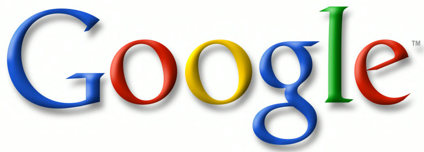


This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

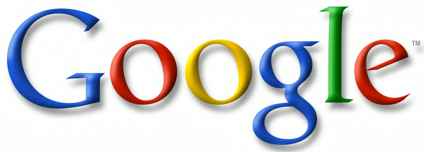
+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at http://books.google.com/



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyły już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

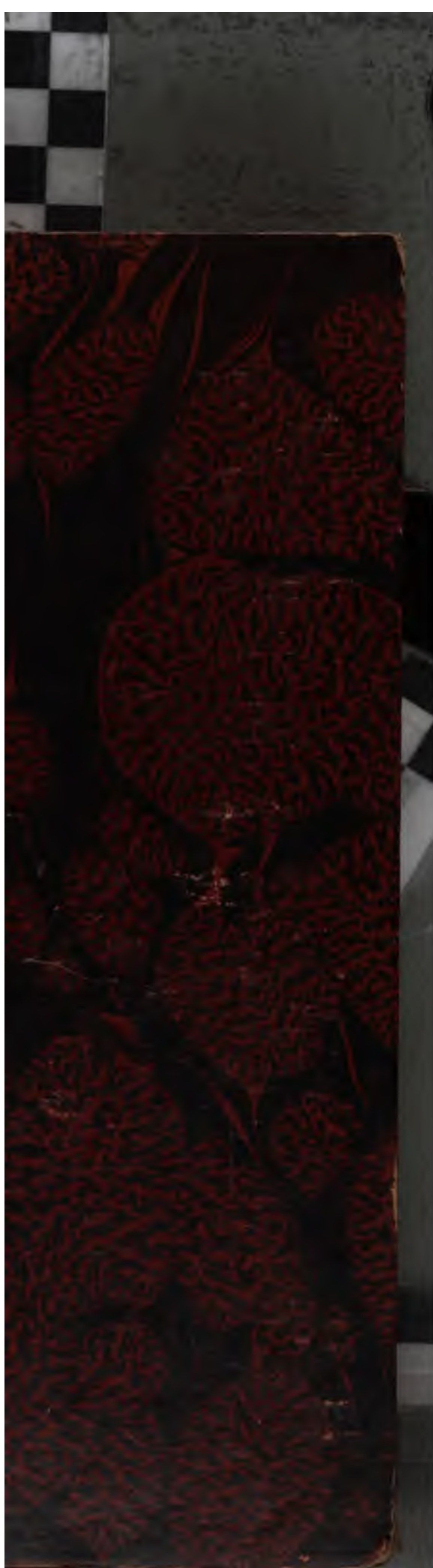
Google szczyci się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`




LELAND STANFORD JUNIOR UNIVERSITY
ORGANIZED 1891
STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES



JÓZEF TRETIAK

JULIUSZ SŁOWACKI

TOM I.

Z 3-MA RYCINAMI).

W KRAKOWIE
NAKŁADEM AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI
W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ
1904.

630

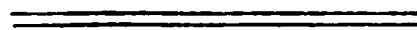
JULIUSZ SŁOWACKI

HISTORYA DUCHA POETY I JEJ ODBICIE W POEZYI

TOM I.

historyi wewnętrznej jego ducha, o ile rzucają światło na jego charakter, wyobrażenia, poglądy i uczucia; a poddawałem szczegółowej analizie tylko te utwory, w których się pierwiastek indywidualny, to jest historya ducha poety silniej odzwierciedliła. W trzech dalszych częściach metoda się nie zmieniła, ale przedstawienie stało się o wiele szerszem z różnych względów. Naprzód dlatego, że ta epoka życia Słowackiego miała wiele nierozjaśnionych dat i stosunków, które należało rozjaśnić i nastręczała do analizy wiele utworów wcale dotychczas nieroztrząsanych, powtóre, że w twórczości Słowackiego z tych czasów pierwiastek subjektywny odgrywa jeszcze donioślejszą rolę niż w poprzedniej.

Puszczając w świat tę książkę winienem złożyć gorące podziękowanie dostojnemu Nestorowi naszych krytyków, prof. Małeckiemu, tak za to, że pozwolił mi korzystać z obfitych a przez siebie niezużytkowanych autografów Słowackiego, jak za bardzo życzliwe przyjęcie z jego strony pierwszych dwu części mojej pracy (w liście, pisanym do mnie zaraz po ich ukazaniu się), przyjęcie, które tem większe miało dla mnie znaczenie, że pochodziło od autora znakomitej monografii o Słowackim. Dziękuję także zarządom dwu Bibliotek: Ossolińskich we Lwowie i ordynacyi hr. Krasińskich w Warszawie, w osobach ich dyrektorów, pp. Wojciecha i Stanisława Kętrzyńskich za łaskawe dostarczenie mi autografów Słowackiego, jakie się w owych bibliotekach znajdują.



CZĘŚĆ I.
W drodze do sławy.
1809—1840.

ROZDZIAŁ I.

Dzieciństwo i pierwsze lata młodości.

1809—1831.

Rodzina poety i miasto rodzinne. — Charakterystyka ojca i matki. — Charakterystyka samego poety: stosunek jego do ludzi, stosunek do przyrody. — Wpływy wychowania. — Ewolucya marzeń dziecinnych. — Początek anhellizmu Słowackiego. — Stosunek poety do filaretyzmu i romantyzmu. — Pierwsze próby poetyckie Słowackiego. — Bajronizm jego; ukazanie się *Konrada Wallenroda* — Szukanie karyery cywilnej w Warszawie. — *Hugo* i *Mindowe*. — Stanowisko poety w listopadowem powstaniu. — Podróż do Londynu.

Ojciec poety, Euzebiusz Słowacki, pochodził z ubogiej rodziny szlacheckiej, oddawna osiadłej na Wołyniu. Wyższego wykształcenia szkolnego nie otrzymał nad to, jakie mogła dać dawniejsza szkoła krzemieniecka, ale mając zamiłowanie w literaturze, sam się dalej kształcił i swojemi pracami literackiemi, w szczególności przekładem Henryady Woltera, tyle sobie zdobył rozgłosu, że Czacki, organizując liceum krzemienieckie, powołał go na profesora poezyi i wymowy. Był to jako literat czystej wody klasyk, albo raczej pseudo-klasyk, po za łacińską poezyą i francuską tyle tylko widzący świata, ile go przez szkła literatury francuskiej osiemnastego wieku można było zobaczyć; jako profesor pilny i wymowny.

W rok po zajęciu profesorskiej posady 36-letni Euzebiusz Słowacki ożenił się z szesnastoletnią panną Salomeą Januszewską, córką rządcy dóbr, któremi uposażone było liceum krzemienieckie, a w rok potem w Krzemieńcu

1*

23 sierpnia st. st. 1809 roku przyszedł na świat jedyny syn jego, Juliusz Słowacki.

Ale Euzebiusz Słowacki niedługo był profesorem krzemienieckiego liceum. Niebawem ogłoszony został konkurs na wakującą od dawna posadę profesora poezyi i wymowy w uniwersytecie wileńskim, Euzebiusz Słowacki stanął sam jeden do konkursu, dzięki poparciu Śniadeckiego otrzymał wileńską profesurę i w roku 1811 przeniósł się z Krzemieńca do Wilna. Ale i ta nowa jego karyera profesorska niedługo trwała: tym razem śmierć ją zamknęła w roku 1814. Po śmierci męża wdowa z pięcioletnim synem wróciła do rodziców, do Krzemieńca i tu mieszkała przez cztery lata, póki powtórnie nie wyszła zamąż za prof. Bécu i nie przeniosła się powtórnie do Wilna.

Te cztery lata spędzone w Krzemieńcu przypadły na wiek, w którym dusza dziecka zaczyna uważniej przypatrywać się otoczeniu. Wtedy dziecinna dusza Słowackiego nagromadziła najbogatszy zapas wrażeń, które tęczowymi kolorami rozbłysnąć miały potem w jego poezyi. Stąd Krzemieniec był mu drogim nietylko jako miejsce urodzenia, ale i jako miejsce, w którem budząca się dusza z podziwem przypatruje się światu. Obraz Krzemieńca taki, jaki przechował się na zawsze w wyobraźni poety, tylko przesłonięty późniejszą tęsknotą wygnańczą, odzwierciedlił się w pięknym urywku pisanym pod koniec życia:

Jeżeli kiedy w tej mojej krainie,
Gdzie po dolinach moja Ikwa płynie,
Gdzie góry moje błękitnieją mrokiem,
A miasto dzwoni nad szmernym potokiem,
Gdzie konwalią woniące lewady
Biegną na skały pod chaty i sady,

Jeśli tam będziesz duszo mego łona,
Choćby z promieni do ciała wrócona;
To nie zapomnisz tej mojej tęsknoty,
Która tam stoi jak Archanioł złoty,
A czasem miasto, jak orzeł, obleci,
I znów na skałach spoczywa i świeci.

Juliusz Słowacki odziedziczył po ojcu wątły organizm i skłonność do suchot, które go też zabrały ze świata mniej więcej w tym samym wieku, co i ojca. Wraz z tą smutną spuścizną odziedziczył także pewne cechy temperamentu. Ojciec według twierdzenia matki miał naturę »zgryźliwą«, to jest pessymityczne usposobienie, do którego i sam się przyznawał w poetyckim *Liście do Erazma*, pisząc:

czyli to skład ciała czyli nędze życia,
Smutek jest towarzyszem moim od powicia.

Gdy patrzał na ludzi, uwaga jego zwracała się przedewszystkiem na ich słabe strony i widział w nich wady i błędy dla innych niewidzialne [1]). Otóż matka sądziła że i syn ma ojca swego »zgryźliwą naturę«, a choć się syn do takiej natury nie przyznawał, to jednak nietowarzyskie usposobienie Juliusza, ten brak uczucia społecznego, który stanowił tak wybitną a ujemną cechę jego charakteru, widocznie dostał mu się był w spadku po ojcu. Matka przeciwnie była bardzo towarzyską i przez wszystkich, którzy ją bliżej znali, serdecznie lubioną.

Dotychczas znaliśmy ją po trosze ze wspomnień jej przyjaciela Odyńca, po trosze z Listów syna do niej; była to więc znajomość pośrednia, patrzaliśmy przez cudze, a przytem przyjacielskie i synowskie szkła na nią. Ogłoszone niedawno przez p. Méyeta jej Listy do Odyńca (Przewodnik nauk. i lit. styczeń — grudzień 1898) pozwalają nam zaznajomić się z matką sławnego poety bezpośrednio.

---

[1]) W tym samym *Liście do Erazma* (Dzieła Euzebiusza Słowackiego, Wilno. 1826. T. IV) znajdujemy takie żwierzenia:
Dar prawdziwy czy zwodny dalszego widzenia
Stawiał w mych oczach ludzi nie bardzo przyjemnych,
Fałszywych, próżnych, srogich, zuchwałych, nikczemnych,
Nieszczęściami mojemi sprawdziłem te wnioski:
Tak cierpienia i klęski, zamiary i troski
Były i są przyczyną, że nigdy wesoła
Myśl zoranego smutkiem nie wyjaśni czoła.

Była to istota niezmiernie czuła, wrażliwa, poetyczna, rozmarzona. Jej uczucia dla młodszego o lat kilkanaście Odyńca miały koloryt o wiele gorętszy od przyjacielskich; taiła się tam jakby niezaspokojona życiem potrzeba miłości romantycznej. Wielka żywość temperamentu pozwalała jej łatwo przechodzić od łez do śmiechu i odwrotnie. Sama pisze o sobie, że gotowa była skakać z radości na widok ładnej wstążki i zanosić się od płaczu bez żadnej wyraźnej przyczyny. »Czytam teraz głośno mamie *Władysława Łokietka* Wężyka — pisze z Krzemieńca w lutym 1828 — zadziwi się Pan niemało, kiedy mu powiem, że ciągle płaczę przy tej lekturze; szczególnie mi się nie udało w pierwszym tomie, od początku łzy mię dławiły, ale nie mogłam ich przytłumić i rozszlochałam się w miejscu... niech Pan zgadnie... oto, kiedy Bolesław, książe kaliski z Władysławem wybrali się na wyprawę pod Gdańsk i w drodze ich deszcz napadł. Wszyscy słuchający mnie czytającą rozumieli, że ten deszcz mnie tak rozczulił« [1]).

W tej żywości i nagłej zmianie uczuć był jakiś wdzięk dziecinny; sama pani Salomea spostrzegała podobieństwo swoje do dziecka, gdy już jako matka dorastającego Julka, pisała o swoich rodzicach i otoczeniu krzemienieckiem: »Śmieją się ze mnie, bo widzą co robię i mówię, co piszę, uważają mnie tu za dziecię dobre, ale popsute, zdziwaczałe, litują się i kochają« [2]).

Poeta nie odziedziczył po matce ani towarzyskości, ani jej dobrego, wylanego dla innych serca. Czułości mu nie brakło; i owszem skłonny był do rozrzewnienia; ale to rozrzewnienie, ta czułość zwracała się niemal wyłącznie do jego własnej osoby i tego, co się bezpośrednio znią wiązało. Nie przeszkadzało mu to łudzić się, że kocha ludzi, że »jeżeli gryzie co, to sercem gryzie« i z tego powodu wiele mówić o swojem sercu, dopóki sam wreszcie

---

1) Przewodnik nauk. i lit. 1898, str. 1273.
2) Tamże, str. 1247.

w chwili głębszej skruchy nie poznał, »jaki to był kawałek szkła błyszczącego«, to serce jego. I wtedy, w ostatnich latach życia, gorąco pragnął nastroić serce swoje na ton miłości i walczył z naturą swoją, a choć zdawało mu się, że tę naturę zwyciężył, to jednak i to było w znacznej części złudzeniem: brała ona górę przy najbliższem draśnięciu jego przeczulonego indywidualizmu.

Dlatego przez całe życie uczuwał Słowacki swoje osamotnienie wśród ludzi i brak przyjaźni ludzkiej. »Ty mi, droga mamo — pisał jako 25-letni młodzieniec ze Szwajcaryi — zawsze słusznie wyrzucasz, że nie żyję z ludźmi Czuję sam sprawiedliwość twoich wyrzutów i co zimy staram się poprawić: zaczynam wizyty i znów odpadam w dawny grzech samotności. Widać że jest coś w moim charakterze nietowarzyskiego. Zdaje mi się że gdybym miał władzę ziemską, byłbym okrutnym władcą, jak wszystkie zwierzęta żyjące samotnie« [1]). Jest w tych wyrazach trochę bajronizowania, trochę manfredowskiego: »lew żyje samotny, jestem jak lew«, ale i stwierdzenie zarazem niewątpliwego faktu nietowarzyskości Słowackiego.

Mickiewicz nie był także łatwym do robienia znajomości, zawierania przyjaźni, otwierania swojej duszy na oścież przed pierwszym lepszym, jak n. p. Odyniec, ale że »miał serce i patrzał w serce«, czuł więc przez całe życie, od ławy szkolnej aż do grobowej deski, bijące serca przyjaciół, między innymi nawet takich, od których dzieliły go różnice wiary, narodowości i tradycyi. Słowacki, który wszędzie i zawsze mierzył się z Mickiewiczem, spostrzegał i w tym względzie różnicę między nim a sobą. Donosząc matce o wrazeniu, jakie wywarł na nim *Pan Tadeusz*, pisał też i o nowem pożyciu małżeńskiem Mickie-

---

[1]) Listy Juliusza Słowackiego z autografów poety wydał poraz pierwszy Leopold Méyet. Lwów. Nakładem Księgarni Polskiej. 1899. T. I, str. 263. Ponieważ dwa dotąd wydane tomy zawierają tylko listy do matki, pod tą więc nazwą (Listy do matki) lub jeszcze krócej (Listy) będę cytował nadal wydanie p. Méyeta.

wicza. »Co wieczora mnóstwo naszych braci schodzi się do mieszkania poety i bawią go, a on ciągnąc dymy z cybucha, słucha i uśmiecha się. Co za sprzeczność z mojemi samotnemi wieczorami! Niech będzie ze mną, jak Bóg chce, w tej smutnej wędrówce życia«[1]). A kiedy zastanawiał się nad przyczyną tej smutnej dla siebie różnicy, odkryć jej nie mógł. »Mam w sobie coś, co tak na ludzi działa, że nigdy ze mną spoufalić się nie mogą. Często szukam w głębi serca mego przyczyny tego i znaleźć nie mogę«[2]),

Z podobnymi skargami spotykamy się nieraz w listach poety, spotykamy się nawet w listach z tych czasów, kiedy już w duszy jego zaszło przeobrażenie, kiedy chwilami zdawało mu się, że »odzyskał ten czar, który miłością ludzi uderza i wiąże ich w jeden wieniec«. I tak pisał matce (w maju 1845): »choć powierzchownie nie sam, to rzeczywiście powiedzieć mogę, że samotny jestem«, a na kilka miesięcy przed śmiercią (11 września 1848) tak się skarżył: »Omdlenia i zniechęcone duchy ludzi, którzy mnie otaczają, są mi nieraz zabójczą treścią; duch mój żyć z ludźmi bez zlania się duchowego nie umie«[3]).

Jak nie zaznał przez całe życie prawdziwej przyjaźni, tak nie zaznał i prawdziwej miłości. W przyjaciołach kochał przedewszystkiem siebie, to jest kochał ich za to, że wielbili jego talent, uznawali jego potęgę duchową, poddawali się jego ideom; z kochankami było podobnie: miłość kobiety była dla niego potrzebą raczej ambicyi, niż serca, miała służyć przedewszystkiem za aureolę dla geniuszu. Naprawdę nie kochał żadnej, poczynając od Ludki Śniadeckiej, a kończąc na pani Bobrowej. I w czasach towianizmu, kiedy dbał przedewszystkiem o piękność duchową, nie mógł pokochać nikogo, bo w nikim nie mógł

---

[1]) Przewodnik nauk. i lit. I, 275.
[2]) Listy do matki, I, 282.
[3]) Listy do matki, II, 231, 323.

znaleźć siebie samego. Nadzwyczaj charakterystyczne są słowa jego listu do matki ze stycznia 1845: »Czekam, czekam, jak cudu, aż który z tych ludzi obudzi się nagle i zawoła zupełnie moim językiem... Czy ty wystawisz sobie torturę takiego oczekiwania. Często już prawie zgodziłbym się pójść jak Jezuita i zmagnetyzować jaką kobietę sercem, aby mieć coś podobnego zupełnie do siebie, choćby ta dusza była tylko artyficialną i pomalowaną po wierzchu piękności złotem i kolorami, ale ta myśl bezbożna trwa krótko, wolę nic nie mieć, niż fantazmo i widmo«.

Było to więc serce dziwnie zbudowane, niezdolne pokochać nikogo prócz siebie, daremnie szukające poza sobą jakiegoś sobowtóra, i w tym względzie poeta wcale niepodobny był do matki. P. Bobrowa, która miała sposobność dobrze poznać ją i jego, spostrzegała wyraźnie tę różnicę i nie kryła się z tem odkryciem nawet przed Słowackim. »W domu Zosieńki — pisze syn do matki — ukochano ciebie i kilką słowy odmalowano mi ciebie doskonale, z poniżeniem nawet dla mnie; oto jest frazes: »J'ai beaucoup retrouvé de vous en elle. Mais que de coeur elle a! quelle sincérité d'ésprit et de sentiments!« [1]). Nie mogąc zaprzeczyć temu, poeta pocieszał się myślą, że tak być powinno, że to »właśnie różnica między kwiatem a drzewem«.

Z czegoż był podobny syn do matki, na czem polegało owo podobieństwo, które spostrzegano »w domu Zosieńki«, które widziała także Hersylia Januszewska, gdy po wielu latach niewidzenia, przeżyła ze Słowackim dłuższy czas razem we Włoszech? Myślę, że podobieństwo tkwiło w nadzwyczajnej wrażliwości, którąbym nazwał estetyczną, wreszcie w wygórowanej skłonności do marzycielstwa [2]). Prof. Małecki w swem znakomitem dziele o Sło-

[1]) Listy do matki. II, 219.

[2]) Odyniec powiada że w usposobieniu matki nie było nawet cienia ironii i pychy, właściwych poecie, a które, jak mówiono, miały

wackim bardzo pięknie określił »tę najistotniejszą cechę oryginalności jego talentu« jako »melancholijny urok poetyckiego na świat spojrzenia«. »Przed jego okiem widne są wszystkie barwy tęczowe poezyi rozlanej po rozłogach życia ziemskiego. Najniklejsze, najtajemniejsze objawy jej przytomności pomiędzy nami, mówią do jego wyobraźni: jesteśmy!« [1]). Otóż źródłem tego »poetyckiego na świat spojrzenia« był mojem zdaniem szczególny stosunek Słowackiego do przyrody, nadzwyczajna wrażliwość jego na wszystkie jej kształty i barwy, odcienia i tony i nadzwyczajna żywośc tych wrażeń, która pozwalała mu obrazy dzieciństwa i młodości przechowywać przez całe życie z niczem nieprzyćmioną świeżością i wyrazistością.

»Dziesięć lat temu — pisał do matki z Florencyi w sierpniu 1838 — w tej właśnie porze czułem woń sosnowych lasów koło Oszmiany; jak to prędko przebiegło! Chciałbym kiedy o słońca zachodzie wjeżdżać z tobą, droga moja, przed dom ten żółty, drewniany przed którym rośnie jarzębina, koralowemi gronami okryta, choćby tam już nikogo z dawnych nie było, to ja wszystko sobie wskrzeszę pamięcią« [2]). Czytając ten ustęp czujemy, z jaką żywością barw przypominany obraz występował w jego pamięci. Najdrobniejsze szczegóły otoczenia z czasów dzieciństwa przechowywały się tam najdokładniej. »Przychodzą mi na myśl te kamienie pod domem babuni, na które ja często patrzałem w dnie słotne, widząc jak krople wody dachowej wyjadają w nich żłobki i dziury; żłobki te jeszcze

---

być spuścizną po charakterze ojca, »tak jak niezawodnie po matce wziął on nerwową wrażliwość, bujną imaginacyę i w ogólności usposobienie poetyczne — z wyjątkiem wszakże kochającego jej serca i zapominania o sobie«. Wspomnienia z przeszłości. 176.

[1]) Juliusz Słowacki. Lwów. 1881. T. I. 114.

[2]) Listy do matki II, 111. Dom, o którym tu Słowacki pisze, był to dom Jana Śniadeckiego w Jaszunach, dokąd poeta jadąc z Wilna do Krzemieńca nieraz zajeżdżał i gdzie się spotykał z Ludwiką Śniadecką.

dziś widzę przed sobą, moje dziecinne oczy wmyślały się w nie głęboko« (w styczniu 1845 II 220). Obok obrazu rodzinnego Krzemieńca najżywiej, z największą świeżością poetyckiego uroku przechowywały się w pamięci Słowackiego obrazy podolskiej przyrody, którą miał sposobność poznać z bliska, gdy jako kilkunastoletni chłopak jeździł z matką nieraz latem do przyjacielskiego domu Michalskich w Wierzchówce. Tam to był ogród na cześć pięknej Julki Michalskiej, nazwany Julinkami, o którym nieraz poeta wspomina w swojej korespondencyi i który pod nazwą Anielinek wprowadził do *Beniowskiego*. Tam to brzozy podolskie »szeptały mu dziwne rzeczy«, usposabiając do marzeń »o wielkich podolskich rycerzach«, tam to w szczególności roztaczająca pogodne błękity nad złotemi łanami przyroda wydawała mu się harfą grającą:

cała natura oddycha
I gra jak harfa — choć zdaje się cicha.

Uczucie, którego przyszły poeta doznawał na widok błękitnookiej, słońcem ozłoconej, falistej i gajami ozdobionej przyrody było dziwnego rodzaju: zdawało mu się, że to jakaś żywa, swawolna czarodziejka, która go bawi swoimi czarami, ale sama ukrywa się przed nim i tylko z ukrycia woła na niego po imieniu:

Często, gdym stanął zamyślony w chłodzie,
Myślałem, że mię kto za ramię trąca,
Woła... ucieka... kryje się za drzewa,
Za kaskadami chowa się i śpiewa [1]).

Mickiewicz miał także głębokie poczucie przyrody i w nietkniętej świeżości przechował wrażenia dzieciństwa, które się tak cudownie przelały w obrazy *Pana Tadeusza*, ale stosunek jego do przyrody był inny, niż Słowackiego.

---

[1]) Nieznane fragmenta i waryanty *Beniowskiego*. — »Gazeta Lwowska« 1902 Nr. 222. W swojej książce notatkowej Rkp. Bibl. Oss. liczba inw. 1792 Nr. 2 k. 128 Słowacki zapisał taką uwagę: »Wołanie po imieniu często przez dzieci słyszane w dzień pogodny«.

Jego heroiczny temperament nie pozwalał mu na lubowanie się w kontemplacyi, na czysto estetyczne nasycanie się wdziękami przyrody. Dusza jego, napojona w dzieciństwie obrazami ojczystej przyrody, raz tylko potem, w podróży krymskiej, otwarła się na nowe widoki, tak że zdołały one zapłodnić jego fantazyę, ale i w Sonetach krymskich nie ma całkowitego oddania się przyrodzie, obrazy jej są tylko jakby akkordami do idei i uczuć, głucho tętniących w duszy poety. W późniejszych latach ani brzegi Renu, ani Szwajcarya, ani Włochy nie rozgrzały jego fantazyi, nie wywołały natchnienia. Słowacki wszędzie i zawsze miał otwarte ramiona dla przyrody i o ile stronił od ludzi, o tyle dobrze mu było w obcowaniu z naturą. Jego chorobliwie wygórowany indywidualizm, nie znoszący innego indywidualizmu, nie mógł znaleźć klucza do serc ludzkich; były też dla niego przez całe życie zamkniętą księgą. Słowacki doskonale malował zewnętrzne poruszenia ludzi, ale do dna serca ludzkiego nie umiał sięgnąć. Przeciwnie natura otwierała przed nim wszystkie swoje skarby, śpiewała mu najpiękniejsze swoje pieśni. Te wiersze w pamiętniku Zofii Bobrówny:

Gwiazdy błękitne, kwiateczki czerwone
Będą ci całe poematy składać,
Jabym to samo powiedział, co one,
Bo ja się od nich nauczyłem gadać,

nie były czczym frazesem, ale szczerą prawdą. Słowacki miał dla natury tą miłość, jakiej nie mógł w sobie znaleźć dla ludzi, a to, jak sądzę dla tego, że natura była bezosobową, że mógł w nią zatem wkładać siebie samego, z nią zlewać się w jedno, na jej tle swobodnie snuć swoje marzenia. Ona go upajała jak wino. Z powodu pewnej wycieczki w okolice Florencyi pisał w liście z 3 października 1837. »Piękne niebo błękitne, kryształowe powietrze jesienne, lasy sosnowe ogromne koło klasztoru, błękitne góry w odległości, zachwycenie oddechem spokojności mniszej, wszystko to upoiło mnie i w spokojne pogrążyło du-

mania« (II 73). Przyroda nie ograniczała, nie krępowała w niczem jego indywidualizmu, niczem nie drażniła jego ambicyi, stawała się jego własnością, państwem dla jego królującej myśli i kornie przynosiła mu w dani niewyczerpane bogactwo obrazów, które też w poezyi jego stanowiły główny kapitał obrotowy. »Bardzo kontent jestem — pisał z Genewy we wrześniu 1834 po odbyciu podróży, której wrażenia miały się uwiecznić w poemacie *W Szwajcaryi* — że odbyłem podróż po górach tego roku. Obrazy gór i lasów zostały w mojej pamięci; imaginacya moja, jak salon pałacowy, ustrojona jest nowemi malowidłami« (I 260).

Była też przyroda dla Słowackiego czemś więcej, niż hołdowniczką, niosącą złoto i karmin barw swoich wielkiemu koloryście; stawała się niekiedy, jak to sam uznawał, i mistrzynią jego i wierną pocieszycielką po ciągłych drażniących i bolesnych starciach z ludźmi. »Trzy miesiące przepędzone pośród najpiękniejszych widoków przyrodzenia — pisze po powrocie z Veytoux do Genewy w 1835 — były wielką dla mnie nauką. Uważałem harmonię, która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem. Postrzegłem, że sztuka powinna naśladować tę dziwną jedność wszystkiego. Zastanawiałem się długo nad drzewami, kwiatami, szmerem, różnemi dźwiękami natury, widziałem ją z bliska błękitną albo chmurną« (I 314). A kiedy w r. 1843, po całorocznej już gorączce transfiguracyi, która nadwerężyła jego siły fizyczne a myśli jego oderwała od przyrody i rzuciła w kierunku mistycznych teoryi towianizmu, znalazł się w bezpośrednim z nią zetknięciu nad brzegami oceanu w Pornic, jakże mu się miłą, drogą i kochającą wydała ta zaniedbana przez jakiś czas od niego hołdownica, mistrzyni i kochanka. O żadnej kobiecie nie pisał nigdy z tak bezwzględnem uwielbieniem, jak o niej. »A ta cała natura, gdybyś ty wiedziała, jak ona ciepła, wonna i kochance podobna, otoczyła mnie skrzydłami, zapraszała do odpoczynku, do odetchnienia; jak ona mi wyrzucała, żem się

długo gorączkowym myślom oddawał, a o niej zapomniał! jak w płotach ćwierkaniem makolągiew, wonią malin orzeźwiała mnie, zabraniała myśleć o trudzie, o ciągnieniu tego woza żywota, w którym my jako konie pracujemy! Jaka ona dobra i litosna dla strudzonych ludzi! Podziękowałabyś jej, że cię wyręczyła na miesiąc przy twoim synu« (II 186).

Taki był stosunek Słowackiego do przyrody i do ludzi. Ludzie drażnili go, psuli mu jego marzenia, przyroda uspokajała i kładła się jego marzeniom pod stopy, widział w niej siebie, symbole własnych stanów duszy. Co się tyczy marzeń, przeobrażały się one w ciągu życia, zależnie od rozmaitych wpływów zewnętrznych, ale wypływały zawsze z jednego źródła, z zapatrzenia się w siebie, z zamknięcia się w najwygórowańszym indywidualizmie, a dokładniej mówiąc, z najczystszego egoizmu. Żywość wrażeń, bogactwo wyobraźni dawało mu od dzieciństwa poczucie swej genialności, wyższości nad otoczeniem, a najwyższym celem pragnień i marzeń tej genialności było przejrzeć się w szerokiem jak morze, jak świat zwierciedle sławy. W tem, jak zobaczymy, tkwił tragizm życia Słowackiego. Przyroda, ku której się nachylał, której najlżejsze szmery i westchnienia rozumiał, nie mogła mu bić oklasków, otaczać wrzawą i blaskiem sławy, a serca ludzi, którzy mu jedynie dać mogli to, czego z takiem wytężeniem pragnął, były dlań obojętne, bo nie umiał trafiać do nich, bo ich nie rozumiał, bo im współczuć nie umiał.

Wychowanie Słowackiego w wysokim stopniu sprzyjało rozwojowi ambitnych marzeń i tej dążności do samoubóstwienia, która się stała głównym charakterystycznym rysem jego ducha. Jako na jedynaku, skupiały się na nim wszystkie promienie miłości i troskliwości obojga rodziców, póki żył ojciec, potem matki, która przez całe życie poety była jego opiekuńczym duchem. Już w czwartym czy piątym roku jego życia rodzice zapragnęli mieć portret swego ukochanego jedynaka, a zadania tego podjął się najzna-

komitszy wówczas malarz wileński, Rustem. Był też ten portret poniekąd symbolem przyszłych marzeń poety o apoteozie, przedstawiał Julka nie w naturalnej postaci dziecka, ale w postaci Amorka ze skrzydełkami u bioder i z łukiem w rączkach.

Gdy ojciec umarł, a matka wróciła do Krzemieńca, czuł jedynak nad sobą oprócz miłości macierzyńskiej, troskliwość i czułość dziadka i babki. Gdy matka wyszła drugi raz zamąż za dr. Bécu, i Julek znów przeniesiony do Wilna znalazł się wśród rozszerzonej rodziny, jako najmłodszy i jedyny reprezentant męski młodego pokolenia, nie przestawał być głównym przedmiotem pieszczot i starań, zwłaszcza, że odznaczająca się powierzchowność jego, wyraz inteligencyi w twarzy i ogień w oczach, i wcześnie objawiające się zdolności poetyckie wcześnie zwracały na niego uwagę wszystkich. Troskliwość starszych od siebie, a zupełnie obcych krwią córek ojczyma, Aleksandry i Hersylii, uwydatnił poeta w *Godzinie myśli*, pisząc, że jego włos czarny gęstym sypiący się pierścieniem

co dnia dziewic ręką gładką
Utrefiony brał blaski dziewiczych warkoczy.

Jak był przyzwyczajony do tego, że się wszyscy nim zajmowali, jak drażliwy był, kiedy wyjątkowo spotykał się z obojętnością i jak obojętność taką uważał za naruszenie praw swoich, świadczy o tem wybornie ustęp z jego listu do Stattlera (z r. 1845), przypominający chwile z czasów dalekiego dzieciństwa, kiedy jako małe dziecko bawił się w przytomności Jana Śniadeckiego i oburzał się w duchu na brak względów, brak szczególnej uwagi dla siebie ze strony tego potentata wileńskiego. »Przy tym człowieku, ja, dziecko, igrałem jak przy wielkim posągu, ale ten lew brązowy zdawał się nie zważać na mnie, nie wiedzieć, nie czuć, że ja egzystuję na świecie; to też przekonany byłem, że jego oczy siwe nie widzą mnie, że jego ucho wyrazów moich nie słyszy i nieraz wrzał we mnie gniew«[1])

[1]) Listy J. Słowackiego, wyd. drugie, Lwów. 1883, T. II, str. 233.

Nic dziwnego, że takie dziecko roiło o wielkiej i sławnej przyszłości: »Pamiętam — czytamy w liście do matki z 1834 r. — że przez długie godziny nieraz chodząc po pokoju, rozwijałem w myślach moich jakieś świetne szczęścia bogactw i sławy obrazy. Niski sufit mego w Wilnie pokoiku nie wstrzymywał mojej bujającej myśli« (I, 246). I w ośm lat potem skarżąc się, że go nuda ogarnia, że już marzenia mu nie wystarczają do zapełnienia samotności, z rozkoszą wspominał owe wieczory w dzieciństwie, kiedy to w świeczce jego »paliły się różne nadzieje tęczowe i brylantowe...«. »Gdybyś ty, droga, wiedziała, co ja tam śnił niegdyś w pokoiku moim naprzeciwko wież St. Michalskich, jakie kochanki, jakie korony i wieńce, jakie tysiączno-nocne wydarzenia i awantury na świecie« (II, 156)

Jaką była ewolucya marzeń dziecięcych Słowackiego, sam poeta nam daje w tym względzie wskazówkę. W czasach głębokiego zanurzenia się w mistycyzmie pisał on wykład nauki w formie dyalogu pomiędzy mistrzem a uczniem i temu uczniowi, Helionowi, włożył w usta takie własne wspomnienia z dzieciństwa. »U dostatnich rodziców urodzony, chciwy łakotek i cukierków, lubiłem wystawę, księży, procesye, resurekcye odbywające się przy ogniu wystrzałów, zwłaszcza gdy w księżycową noc widziałem księży wychodzących z krzyżem srebrnym na plac licealnego kościoła z pochodniami, z celebrantem, nad którym niesiono namiot złoty i jedwabny drogiemi perłami wyszywany... Gdy to wszystko przy blasku miesiąca, przy biciu dzwonów północnych, przy błyskawicowych ogniach moździerzy szło i śpiewało po placu, duch mój niby wylatywał ze mnie, klaskałem w ręce, a oczy moje dziecinne otwierały się szeroko pełne łez i skier radosnych... Ś. p. ksiądz Sobkiewicz, oprowadzający zwykle te procesye, widząc we mnie zapał do rzeczy religijnych, już przepowiadał, że księdzem zostanę, gdy oto nagle, z książeczką Tassa weszły we mnie nowe rycerskie zapały i imaginacye. Odtąd więc już nie procesye, lecz wojny z rówiennikami, ja-

kieś koła hetmańskie, buńczuki, księżyce, szable sadzone turkusami snuły się po główce dziecinnej... Marzyłem o półrozbójniczym rycerskim żywocie, o ścinaniu chorągwi, o tryumfalnych wjazdach na rumaku tureckim do mego rodzinnego miasteczka... Potem ja... wziąłem się do malarstwa samym nazwiskiem kolorów, już jakoby elektrycznie wstrząsany« [1]).

W tych samych mniej więcej czasach w liście do matki (10 września 1845) wspominał Słowacki o jednym z dawnych znajomych (Pawle Jarkowskim, świeżo wtedy zmarłym), który jak z listu widać, musiał w rozmowach z matką przypominać różne szczegóły z dzieciństwa poety. »Dla czegoż on nie wiedział o tem matematycznie, że ja przyszedłszy na świat, a mając lat sześć, koniecznie musiałem się ubierać w ornaty i mszę odprawiać?... dla czego nie wiedział, że po takim śnie w duchu moim koniecznie potem drugi sen Achillesowy i bicie się na tarcze blaszane nastąpi? Dla czego nie wiedział, że potem ja muszę koniecznie rzucić zbroję tak, jakem był ornaty porzucił a wziąć się do malarstwa... Gdyby te trzy rzeczy i następstwo onych po sobie był zgłębił, byłby wiedział, co ja za jeden i skąd przyszedłem, i co uczynię... a tak dziwił się tylko fenomenowi i uważał go, ten jednak wniosek uczyniwszy, żem jest dziecko nad dzieci mego wieku więcej wiedzące i pełniejsze niespodziewanych błyskawic...« (II 241).

Nie chodzi mi tym razem o mistyczne znaczenie następstwa trzech rzeczy wymienionych w tym ustępie, ale tylko o stwierdzenie przez samego poetę tego następstwa. Więc naprzód wyobraźnia jego była olśniona i pociągnięta blaskiem obrzędów kościelnych i dzięki temu, jak zarówno zapewne dzięki sferze rodzinnej w Krzemieńcu, był on w pierwszych latach dzieciństwa, jak sam w pamiętniku

---

[1]) Wykład nauki w wydaniu H. Biegeleisena. J. Słowacki. Warszawa, bez roku wydania, str. 197—198.

powiada, »zapalenie nabożnym« (I 18) i chciał się blaskiem pobożności, naturalnie zewnętrznej, odznaczyć. Potem trafiła do jego wyobraźni Iliada w przekładzie Dmóchowskiego i Jerozolima wyzwolona w przekładzie Piotra Kochanowskiego i zapaliły go żądzą bohaterskiej sławy i chciał on naśladować Achillesa w zapasach z nieznanymi nam rówieśnikami [1]). Potem »wziął się do malarstwa«, to jest zaczął roić o sławie malarskiej. Brat jego matki, Teofil Januszewski, młodzieniec jeszcze w czasach dziecinnych Słowackiego, uczył się wtedy przez czas jakiś w Wilnie malarstwa i miał swoją pracownię i poeta w jednym z listów do matki (19 lipca 1845) przypomina, że to on w »ciemnej malarni swojej wileńskiej« wiele mu »snów o Rafaelu nastręczył» i że w jego małym pokoiku czuł »jakiś zapach niewymówiony dawnego artystycznego włoskiego żywota«. Dopiero po tych trzech »snach w duchu swoim«, mówiąc mistycznym językiem Słowackiego, po tych trzech różnych próbach dążenia do blasku sławy, stanął przyszły poeta na stopniu, z którego odkrył się przed nim ostateczny cel jego dążeń: sława poetycka, wielka, niezmierzona, wszystkim jak słońce nad światem widzialna i wszystkich olśniewająca.

Kiedy nastąpiła ta ostatnia ewolucya, dokładnie oznaczyć trudno, można się domyślać tylko, że już »po snach o Rafaelu«, ale samo dążenie do sławy takiej czy innej, sam pęd w górę do wyniesienia się nad światem sięgał zapewne pierwszych czasów budzenia się inteligencyi i świadomości w dziecku. Co zaś najwięcej zadziwia w tem wczesnem dążeniu, to fakt parokrotnie przez poetę przytaczany i którego prawdziwości nie mamy powodu podej-

---

[1]) P. Hösick mylnie zrozumiał przytoczony ustęp z listu Słowackiego, gdy pisał (I 55): »Iliada go zachwycała tak, iż spać nie mógł, tylko marzył o Achillesie i Hektorze, którzy mu się śnili, gdy usnął«. Wyrażenie »sen Achillesowy« w liście Słowackiego użyte jest w znaczeniu symbolicznem, oznacza obraz symboliczny, mistyczną przepowiednię, nie zaś sen rzeczywisty.

rzewać, że poecie, gdy był dzieckiem, chodziło przedewszystkiem o sławę pośmiertną, a więc o sławę wieczną, nieśmiertelną, i że dla niej gotów był wszystkie blaski i tryumfy tego świata poświęcić, nie przeczuwając zapewne, jak trudno mu będzie wytrwać w tej roli. »Pamiętam — pisał w pamiętniku drukowanym przy listach do matki (I 18) — że będąc małem dzieckiem i zapalenie nabożny, modliłem się nieraz: O Boże! daj mi sławę choć po śmierci, a za to niech będę najnieszczęśliwszym, pogardzonym i niepoznanym w mojem życiu. Tak się modliłem, przekonany jestem, że zły duch pochwycił moje przymierze; to, co ma być w życiu, już się spełnia... to, co ma być po śmierci... być musi«. Tak pisał w roku 1832, a w trzynaście lat potem jeszcze dokładniej ten fakt przypominał w liście do matki: »Droga moja! ja ośm lat mając, przysiągłem Bogu w kościele katedralnym, że nie będę przed grobem moim niczego żądał, a za to za grobem o wszystko się upomnę« (II. 218). Z tych wynurzeń wynika że »zapalona pobożność« dziecka za cel najwyższy miała nie zbawienie duszy, nie dostanie się do raju, ale raj wiekuistej sławy ziemskiej, i że już przed ośmioletnim chłopcem płonęła pełnym blaskiem ta gwiazda przewodniczka jego życia aż do czasu duchowego przeobrażenia, jakie się w nim dokonało na kilka lat przed śmiercią. Tak wczesną tedy była w nim ta tak zwana przezeń »anielskość« jego, którą wcielił potem w Anhellego, która, w miarę rozwoju pojęć albo raczej marzeń jego, nabierała rozmaitego znaczenia, ale która początkiem swoim sięgała owego wzgardzenia wszystkich dóbr ziemi dla sławy [1]).

[1]) Zachodzi tu pewna chronologiczna wątpliwość na razie trudna do rozwiązania. Ze wzmianki o katedrze i ośmiu latach trzeba wnosić, że żądza sławy w całej swej potędze zbudziła się w chłopaku za powtórnem jego przybyciem do Wilna, kiedy matka jego wyszedłszy powtórnie zamąż za dr. Bécu, opuściła powtórnie Krzemieniec. Kiedyż to się stało? Poeta w czwartym rozdziale swego pamiętnika, pisanym jeszcze w r. 1831, a więc w kilkanaście lat tylko

Jakkolwiek nie można zupełnie szczegółowo oznaczyć daty, kiedy w sercu przyszłego poety zbudziła się żądza sławy z potęgą namiętności, tyle przecież napewno można twierdzić, że chwila ta przypadła na czasy, kiedy wśród wileńskiej młodzieży uniwersyteckiej, a więc w sferze, mającej zbliska otoczyć dom matki poety, zaczęły się objawiać dwa prądy wielkiego znaczenia dla przyszłości: filaretyzm i romantyzm. Okres rozwoju i największego wybujania obu prądów w Wilnie aż do katastrofy, która rozmiotła po świecie najznakomitszych filaretów i romantyków, obejmował lat pięć do sześciu (od 1818 do 1824). Na początku tego okresu Julek Słowacki miał lat dziewięć, więc jakikolwiek udział jego w początkach filaretyzmu był niemożliwy, ale przy końcu liczył lat piętnaście, a więc już wtedy prąd filarecki łatwo mógł dotrzeć do niego i po-

po owym wypadku, podał datę ślubu matki i wyjazdu do Wilna na sierpień 1817 (I, 1). Ponieważ się urodził w sierpniu 1809 roku, miał więc w czasie wyjazdu powtórnego do Wilna równo lat ośm, ze wszystkich więc świadectw jego wypadałoby, że owa chwila układu z Bogiem o sławę pośmiertną przypada na pierwsze czasy jego powtórnego przyjazdu do Wilna, na koniec roku 1817. Możnaby myśleć nawet, że wspaniałe obchody żałobne na cześć Kościuszki, które się w grudniu 1817 roku odbyły w Wilnie, a takim blaskiem otoczyły pamięć zapomnianego przez wiele lat bohatera, że te obchody odegrały pewną rolę w sprawie przymierza przyszłego poety z Bogiem. Ale te kombinacye psuje wiadomość, podana przez p. Meyeta w przypisku do pamiętnika Słowackiego, że według wypisu urzędowego aktu ślubnego ślub dr. Bécu z matką poety odbył się w sierpniu nie 1817 ale 1818 r., że zatem i powtórny przyjazd do Wilna Słowackiego nastąpił dopiero w sierpniu 1818 roku. W tym czasie miał już Słowacki lat 9, więc jeżeli naprawdę jako ośmioletni przysięgał nie prosić Boga o nic przed grobem, to stało się to jeszcze w Krzemieńcu. Ale w Krzemieńcu nie było kościoła katedralnego, trudno zaś przypuścić, aby Słowacki, który tak żywo miał w pamięci obrazy swego dzieciństwa, pomylił się w tym względzie. Prędzejby można przypuścić, że pomylił się w liczbie lat, bo mu się to nieraz trafiało. W każdym razie sądzę, że należałoby sprawdzić datę wypisu urzędowego, bo i daty takich wypisów nie zawsze, jak wiadomo, bywają prawdziwe.

ruszyć go[1]). Czy go poruszył? Pamiętnik jego doszedł do nas w urywkach i brak w nim rozdziałów, odnoszących się do owego okresu, więc nic dziwnego, że w urywkach pamiętnika niema o tem żadnej wzmianki, ale to zastanawia, że ani z obfitej poezyi jego, ani z obfitych wspomnień listownych nie pada ani jeden promień na stosunek jego do ruchu filareckiego.

Po roku 1832, po ukazaniu się trzeciej części *Dziadów*, gdzie jego ojczymowi haniebna dostała się rola, wspominanie tego ruchu i związanych z nim wypadków mogło być zapewne dla poety przykrem, ale że do ukazania się tego poematu nigdzie u Słowackiego niema śladu wrażenia temi wypadkami wywołanego, zdaje się to wyraźnie świadczyć, że był obojętnym dla tego ruchu. Potwierdzają to przypuszczenie inne jeszcze okoliczności, n. p. ta, że kiedy w roku 1827 miał się odbyć spóźniony chrzest jego wraz ze chrztem idącej wówczas zamąż Hersylii Bécu, poeta zgodził się na to, aby jego ojcem chrzestnym był Pelikan, prawa ręka Nowosilcowa w Wilnie. Słowacki miał wtedy lat 18 i niepodobna przypuścić, ażeby matka, która tak we wszystkiem starała mu się dogodzić, bez jego zgody narzucała mu jakiegokolwiek ojca chrzestnego. Brał też w owym czasie udział w wielkim balu, wydanym dla Nowosilcowa, a nawet z łaski Pelikana mieszkał jakiś czas wraz z matką w mieszkaniu pana senatora[2]). Prawda, że ani Nowosilcow, ani Pelikan nie nosili jeszcze na sobie takiego piętna, jakie na nich wycisnęła potem trzecia część *Dziadów*, ale że młodzieńca nic nie odstręczało od tych ludzi, świadczy to, że filaretyzm nie znalazł echa w jego sercu.

I w istocie rzecz to zupełnie zrozumiała, że hasło filareckie »w szczęściu wszystkiego są wszystkich cele« nie

---

[1]) Trzeba dodać, że nauczycielem Julka przez jakiś czas był jeden z filaretów, Józef Massalski.

[2]) Listy p. Bécu do Odyńca. Przewodnik nauk. i lit. str. 1159 i 1240.

mogło trafić do nawskróś egoistycznej natury młodzieńca, który sobą tylko był zajęty, którego serca żadna »złota nić« nie wiązała z sercami innemi. Stosunek z Ludwikiem Szpicnaglem, towarzyszem szkolnym, choć nie z jednej klasy, nie stanowi przeciwnego dowodu. Nie było tu »nici złotej«; główną rolę i tutaj grała ambicya, zadowolona ze ścisłego stosunku z towarzyszem »większym nauką i laty«, przy którego pomocy Julek mógł wspinać się myślą wysoko ponad zwykły dziecinny zakres wyobrażeń. Obraz tego stosunku i wogóle czasów szkolnych, podany przez samego poetę w *Godzinie myśli*, potwierdza brak owej złotej nici w przyszłym poecie. On i jego starszy towarzysz przedstawieni tu są, jako »niezmieszani w tłumie« i »oba we współzawodnej wykarmieni dumie«. Stosunek ze starszym, excentrycznym, o marzycielskim, wertherowskim nastroju młodzieńcem, jakim był Szpicnagiel, mógł się przyczyniać tylko do zaniku uczuć koleżeńskich w Słowackim. On, którego starszy »nauką i laty« towarzysz wtajemniczał w mistyczne teorye Swedenborga i w swoje zamiary wędrówki po »wschodnich krainach«, który idąc za przykładem tego towarzysza, lubował się w różnych ekscentrycznościach, tem wyższym czuł się od swoich kolegów-rówieśników, tem mniej lgnął do koleżeńskiej fali.

Co się tyczy romantyzmu, który zakwitnął w Wilnie w czasach szkolnych Słowackiego, dla tego kierunku młodzieniec, rojący o sławie a bujną obdarzony wyobraźnią, nie mógł być obojętnym, i jeżeli wahał się jeszcze w wyborze drogi do sławy, to niewątpliwie blask nowej poezyi musiał go stanowczo pociągnąć na tę drogę, którą sobie obrał na całe życie. W r. 1822 wychodzą w Wilnie *Ballady* Mickiewicza, w r. 1823 *Grażyna* i *Dziady;* trzynastoletni chłopak jest świadkiem niebywałego tryumfu nowej poezyi wśród młodego pokolenia, a sam czując w sobie bogactwo wyobraźni, czuje też, że na tej właśnie nowej drodze najłatwiej potrafi swem bogactwem świat olśnić i zadziwić. I tu — rzecz naturalna — uwaga jego zwrócić

się musiała naprzód na Mickiewicza; jego namiętna żądza sławy miała wytknięty najbliższy cel przed sobą: ażeby się stać najsławniejszym na całym świecie poetą, trzeba było naprzód prześcignąć tego, który się stawał najsławniejszym z młodych poetów w Polsce. Wiadomo, że w kilka lat potem, na wiadomość o śmierci Goethego, przyznawał się Słowacki w liście do matki[1]) do myśli, że Bóg zabrał największego z poetów europejskich, ażeby zrobić miejsce dla niego.

Że marzący o wielkiej sławie chłopak już zaraz w pierwszych latach po ukazaniu się poezyi Mickiewiczowskiej próbował sił swoich poetyckich, mamy o tem wyraźną wiadomość nietylko z wątpliwych nieraz wspomnień Odyńca, zawartych w Listach z podróży, ale i z własnych ust Słowackiego. W liście do matki z 10 listopada 1842[2]) mówi poeta, że Mickiewicz w swojej sławnej improwizacyi na uczcie, którą dlań urządzono na Boże Narodzenie 1840, przypomniał, jak mu matka Słowackiego »dawno, dawno« pokazywała małe próbki poetyckie swego syna i jak on już wtenczas przepowiedział matce, »że jego (Słowackiego) wielka i świetna czeka przyszłość«. Z tych próbek nic nie znamy. Że musiały nosić na sobie piętno niepospolitego talentu, świadczą o tem przytoczone słowa Mickiewicza; można się też domyślać, że były w balladowym duchu i kierunku pisane. Jeżeli się zaś nie przechowały, jeżeli kilkunastoletniego chłopaka chętka rozgłosu nie pociągnęła do umieszczenia ich w jednem z pism wileńskich, gdzie je łatwo można było umieścić, gdzie już towarzysz jego marzeń, Szpitznagel, drukował swoje utwory, to objaśnia się to nadzwyczajną drażliwością młodego poety na ujemne sądy ludzkie. Nie spieszył się on z drukiem swoich utworów, póki nie miał pewności, że blaskiem zaimponują, i jeżeli nie zaćmią innych, to przynajmniej same zaćmić

---

[1]) Listy I, 96.
[2]) II, 148.

się nie dadzą. Trzeba tak wnosić z różnych uwag matki jego w Listach do Odyńca, a w szczególności z tej obawy jej, aby Julka »na śmieszność nie wystawić, bo to pierwszy krok zrobić na świat a źle, to boleśnie i uraża młodego chłopca« [1]).

Najdawniejszym ze znanych utworów Słowackiego jest *Duma Ukraińska;* pisał ją Słowacki w Wierzchówce na Podolu podczas wakacyi letnich 1826, mając lat 17. Był to pierwszy utwór, który odważał się puścić w świat dalszy, do Warszawy, i to nie dając jeszcze pozwolenia na druk, ale zapewne dla wybadania, jakie wrażenie zrobi na Odyńcu i kole jego znajomych literatów warszawskich. Była to rzecz charakterystyczna, że młody poeta występował, a przynajmniej gotów był wystąpić poraz pierwszy przed światem z utworem na temat ukraiński. Utwór jego, wysnuty z przędzy wrażeń i reminiscencyi, których mu dostarczyła *Marya* Malczewskiego i dumki Bohd. Zaleskiego, nie stawał jeszcze do zmierzenia się z poezyą Mickiewicza, tylko z poezyą tych, których łatwiej można było prześcignąć. Było w tem także świadome czy nieświadome zajęcie stanowiska prowincyonalnego, odmienne od tego, jakie zajął Mickiewicz. Pomimo, iż znacznie większą część swego życia dotychczas spędził w Wilnie, nie stawał Słowacki w szeregu litewskich poetów, ale na ukraińskiem skrzydle poezyi. Do tego skrzydła, prócz wyżej wskazanych względów, mogły go ciągnąć inne jeszcze rzeczy: wpływy sfery krzemienieckiej, która obok szkoły humańskiej, była kolebką polsko-ukraińskiej poezyi, która wydała Malczewskiego, Zaborowskiego, Padurrę, Gosławskiego a później Olizarowskiego; a także znajomość z ludową pieśnią ruską i zamiłowanie matki w tej pieśni. [2])

---

[1]) Przewodnik nauk. i lit. 1898, str. 825.

[2]) Z Paryża 20 paźdz. 1831 pisał do matki: »Sowiński niejaki wydaje pieśni ukraińskie i polskie ludu, z tłómaczeniem francuskiem, w którem się na sentymentalną muzykę zamieniają. Kobietom tutejszym niezmiernie się »Hryć« podoba, także pieśń o Potockim, ale ja znajduję, że Mama ją lepiej ułożyła...«.

Niebawem ukazują się *Sonety* Mickiewicza i dostają się do Wilna. Nie bardzo się tu ogólnie podobają«, pisze pani Bécu do Odyńca [1]), nie przeszkadza to jednak, że Julek, korzystając z tego, że lekarze radzą o wzmocnieniu jego wątłego zdrowia, marzy o podróży do Krymu i zachwycony jest jej projektem, a następnie pisze sam sonety, które układem i tonem tak zbliżają się do Mickiewiczowskich, że matka coraz śmielej wychwala poezyę syna, powtarzając, iż jest »niepospolitym człowieczkiem«. Ani poezya filarecka, ani poezya *Dziadów*, o ile wiemy, nie wywołała echa z młodzieńczej duszy Słowackiego, bo nie znajdowała tam nic pokrewnego; dokazała tego poezya *Sonetów*, dzięki swoim tonom bajronicznym i obrazom przyrody.

Poezya Bajrona zalatywała Słowackiego już dawniej, ale nie znał jej jeszcze zbliska, ze źródła. Na dobre zaczął się uczyć po angielsku dopiero po ukończeniu uniwersytetu 1828, podczas półrocznego pobytu w Krzemieńcu, bo w całem Wilnie — jak utrzymywał — nie było nikogo, od kogoby się można było po angielsku nauczyć [2]). Ale że już przedtem czuł pociąg do jego poezyi i do samej postaci Bajrona, to rzecz pewna. Wiemy, że miał sposobność jeszcze w Wilnie zaznajomić się z życiem poety i musiało mu to sprawiać wielką przyjemność, gdy matka »czytając o pierwszych latach Bajrona, znajdowała wiele podobieństwa do Julka« [3]). Można przypuszczać, że i Ludwika Śniadecka, starsza o kilka lat od poety synowica wielkiego Jana, w której się Słowacki kochał, odegrała pewną rolę w skierowaniu młodzieńca ku poezyi bajrońskiej, wiemy bowiem ze Wspomnień Odyńca, że była »na ton bajroniczny nastrojoną« [4]). Miłość ku niej zostawała

---

[1]) Przewodnik nauk. i lit. 1898, str. 825.

[2]) Listy I, 20. »Profesor, dający ten język w uniwersytecie, tak dawał, że sami Anglicy nie poznaliby, jakim on mówił językiem«.

[3]) Przewodnik nauk. i lit. 1898, str. 1156.

[4]) Wspomnienia z przeszłości 171.

w ścisłym związku z nastrojem bajronicznym młodego poety. Dla swego horyzontu poetycznego potrzebował on takiej właśnie postaci, jak Ludka, a jej obojętność dla niego była tylko ostrogą dla jego ambicyi. Jak wielką rolę próżność grała w tej młodzieńczej miłości, świadczy o tem najlepiej jego późniejsza korespondencya z matką[1]).

Jeszcze przed opuszczeniem na zawsze Wilna i rozstaniem się na zawsze z Ludką, poznał Słowacki nowy poemat Mickiewicza: *Konrada Wallenroda*. »Julek i ja ciekawi jesteśmy poematu Mickiewicza — pisze p. Bécu do Odyńca 23 lutego 1828 — Julek prenumerował, a ja się cieszę, że będzie z portretem Mickiewicza«[2]). Już w połowie następnego miesiąca był egzemplarz *Wallenroda* w rękach matki Słowackiego w Krzemieńcu. Rzucono się tu na niego chciwie, wynajdywano »między tysiącem piękności tyleż nie piękności«, zarzucano »brak delikatności czy smaku«. Zarzuty pochodziły głównie od Hersylii Bécu, która była już wtedy wujenką poety, żoną Teofila Januszewskiego. Pani Bécu nie wiedziała dobrze, co sądzić o nowym poemacie i rada była wiedzieć, co publiczność warszawska sądzi o nim, a w parę tygodni potem już wstydziła się tego, co przedtem napisała o *Wallenrodzie* i prosiła Odyńca o spalenie kartki, gdzie były sądy o tym poemacie.[3]) Łatwo sobie wyobrazić, że z większą jeszcze chciwością rzucił się na poemat Słowacki, jako na utwór poety, którego uważał za głównego swego współzawodnika. Uwagi, które nakreślił ołówkiem na swoim egzemplarzu, są późniejszego o trzy lata pochodzenia, pozwalają jednak, przynajmniej po części, odtworzyć wrażenie, jakie powieść krzyżacka wywarła na nim przy pierwszem jej poznaniu. Wskazują one, jak szczegółowo analizował styl utworu, jak brał na wagę estetyczną każde niemal wyrażenie, jak wyszukiwał błędy gramatyczne; z drugiej strony świadczą,

[1]) Listy do matki. T. I, str. 112 i 144.
[2]) Przewodnik nauk. i lit. 1898, str. 1273.
[3]) Przewodnik nauk. i lit. 1898, str. 1275—76.

że poemat wielu ustępami, a w szczególności Powieścią Wajdeloty, wielce mu zaimponował.

Jednym z godniejszych uwagi szczegółów tej krytyki ołówkowej jest to, co zanotował o charakterystyce bohatera poematu: »całe opisanie charakteru nie nowe«. Słowacki, który wkrótce po ukazaniu się *Wallenroda* zaczął się uczyć po angielsku i już »we trzy miesiące dosyć rozumiał Byrona«, bystro dostrzegł pewnego pokrewieństwa Konrada z bohaterami Bajrona, a więc pewnego naśladownictwa i ta słaba strona utworu współzawodnika mogła go ośmielać i zachęcać do zmierzenia się z nim w jakiejś podobnej romantycznej powieści. Z tej zachęty i z tego pragnienia: prześcignąć *Wallenroda* w duchu bajronicznym — wypłynął cały szereg utworów poetycznych Słowackiego: *Hugo, Mnich, Jan Bielecki, Mindowe, Marya Stuart, Arab,* i *Żmija,* pisanych w ciągu dwóch lat, od 1829 do 1831.

Po ukończeniu uniwersytetu i półrocznym pobycie w Krzemieńcu, Słowacki, stosując się do życzeń matki pojechał do Warszawy, aby tam w jednem z biur (w komisyi skarbu) »robić karyerę cywilną«. Pierwotne zamiary matki były inne: »Matka moja exaltowana — pisał Słowacki w Pamiętniku — roiła sobie ciągle, że skoro ja ukończę nauki, to ze mną na wojaż pojedzie«. Ale ta myśl nie uśmiechała się młodzieńcowi nastrojonemu bajronicznie, który pragnął jakiegoś wojażu podobnego do wędrówek Childe-Harolda, a nie spokojnej i powolnej podróży od miasta do miasta. »Myślałem o nim (wojażu) zawsze, jako o poetycznej pustyni, na którą sam jako poetyczna i ciemna osoba rzuconym będę... Wszystka zaś poetyczność znikała, skorom pomyślał, że mam podróżować z matką — byłbym wtenczas jak dobroduszna osoba, odprawiająca świętą pielgrzymkę, nic nadspodziewanego, nic dzikiego w mojem życiu«...[1]). Naturalnie młodzieniec, pozujący na Harolda

[1]) Listy I, 21.

lub Korsarza, wydawałby się śmiesznym sam sobie, podróżując pod opieką matki. Jej czułość i troskliwość, przy tym bajronicznym nastroju, były mu natrętne. »Matka wymagała odemnie ciągłej otwartości i zwierzania się... to być nie mogło... Wymagała tego odemnie wtenczas, kiedy się właśnie uczyłem wszystko w sobie zamykać i łzy pożerać w milczeniu, stąd ciągłe jej skargi i nudzący mnie płacz, i wychowany między kobietami pragnąłem jak najprędzej z rąk ich się wyrwać i być samotnym«.

Szukanie karyery cywilnej w Warszawie dało mu sposobność wyrwania się z rąk matki i rozpoczęcia samodzielnego życia. Wabiła go przytem Warszawa, jako główne naówczas ognisko życia literackiego polskiego, główna arena ścierania się nowych prądów literackich z dawnemi. Ale te początki samodzielnego życia były ciężkie i przykre. Towarzyska Warszawa nie rozochociła nietowarzyskiego i zamkniętego w sobie z marzeniami o sławie młodzieńca, a praca biurowa, do której łatwo znalazł przystęp (była to bezpłatna applikacya, która dopiero po paru latach miała go doprowadzić do stałej, płatnej posady), ciężyła kajdanami na jego marzycielskiej duszy. »Przy zielonym stoliku komisyi skarbu większą część dnia przepędzałem. Pamiętam, że mnie wtenczas jakaś rozpacz ogarnęła... zdawało mi się, że jestem skazany aż do śmierci w tem biurze pracować«. Co za kontrast był między świetnemi obrazami szczęścia, bogactwa i sławy, które snuł pod niskim sufitem studenckiego pokoiku w Wilnie, a tą szarą, powszednią, wśród martwych cyfr obracającą się pracą biuralisty.

Melancholiczne usposobienie wzmogła jeszcze uporczywa febra, która trapiła poetę przez całe lato 1829 r. i wyniszczała i bez tego wątłe jego siły fizyczne. »Okropne gorączki paliły mnie po każdym paroksyzmie, a wtenczas, leżąc twarzą na sofie, marzyłem o różnych poematach — i te marzenia były trudzące. Z rozpaczą chciałem je odpędzić i wracały zawsze, a krew bijąca w skronie

coraz okropniejsze przynosiła mi obrazy«. Miało to silny wpływ na gorączkowy koloryt jego poezyi ówczesnej, i sam poeta powiada, że jego powieść *Mnich* była utworem jednej z takich gorączek, choć napisana dopiero w kilka miesięcy później. Można też powiedzieć, że ta gorączka witająca poetę u progu samodzielnego życia, była jakby symbolem, wróżbą tej gorączkowości, która cechowała całe niemal życie Słowackiego i poezyę.

Pierwszym poematem jego, który poeta uważał za godny puszczenia w świat, był *Hugo*, drukowany w *Melitëli* warszawskiej na r. 1830. *Hugo* był kombinacyą rozmaitych reminiscencyi z *Grażyny*, *Konrada Wallenroda* i poezyi bajrońskiej. Poza tą kombinacyą niema tu jeszcze nic własnego poety. To co Słowacki pisał o matce swojej w Pamiętniku: »Tworzyła sobie nieznacznie z tysiąca myśli przeczytanych i zapomnianych nową myśl« [1]), daje się dobrze zastosować do bardzo wielu jego utworów, a najbardziej zapewne do *Hugona*. Co jest jednak charakterystyczne, że do tej kombinacyi Słowacki wciągnął z Mickiewicza tylko szczegóły, któreby można nazwać dekoracyjnemi, ani trochę zaś pierwiastku patryotycznego, który tak żywo tętni w *Grażynie* i *Wallenrodzie*. Na turniej patryotyczny jeszcze był czas nie nadszedł. Jego bohaterka w *Hugonie* przebiera się w strój męski, jak Grażyna, i ginie, jak tamta, ale nie z pobudek patryotycznych; Hugo ściąga na siebie wyrok trybunału tajemnego, jak Wallenrod, ale dlatego tylko, że wykradł zakonnicę. Osią pomysłu *Hugona* jest sytuacya wzięta z Bajrońskiego *Lary*, którą szczególnie upodobała fantazya Słowackiego: kochanka w przebraniu pazia towarzysząca bohaterowi. Możnaby myśleć, że Słowacki w swoim poemacie chciał rozwiązać zagadkę *Lary*, przez Bajrona nierozjaśnioną. Ta sytuacya tak opanowała wyobraźnię Słowackiego, że wprowadził ją znów potem do *Lambra*, a co ważniejsza, że w kilka lat potem przy-

[1]) Listy. T. I, 21.

chodziła mu chętka wprowadzić ją w życie. »W podróży mojej wschodniej — pisał do matki 3 października 1837, żałowałem trochę, że nie jestem dobrze złotem nadziany, bo mi przychodziła myśl romansowa: kupić na rynku kairskim ładną Abisynkę, przebrać ją za pazia i być nowym Larą, z nową Gulnarą, ale nie mogłem tego uczynić i dobrze się stało dla zbawienia duszy mojej... Wyznam ci jednak, że to było jedyne i istotne zachcenie na Wschodzie. Zdawało mi się nawet, żebym kochał szalenie tak nieszczęśliwą dziewczynkę, któraby nikogo oprócz mnie na ziemi nie miała«[1]).

Słowacki tak był wrażliwy na krytykę, że swój poemat puszczał bezimiennie. *Hugo* wywołał parę głosów krytycznych, z których jeden był ogólnikowo zachęcający, drugi z lekceważeniem odzywał się o bezimiennym utworze. »Jakiś bezimienny umieścił w *Meliteli* powieść krzyżacką, wiernie przypominającą *Wallenroda* i nieoddzielną cechę naśladownictwa — niedołężność«[2]). A więc spychano go ze szczebla, na którym chciał stanąć obok Mickiewicza.

Ogłaszając *Hugona*, Słowacki był już autorem tragedyi *Mindowe*, otwierającej długi szereg jego utworów dramatycznych. Wydając tę tragedyę w parę lat potem, w zbiorze swoich poezyi, traktował ją jako utwór dziecinny i tylko »dziecinnem« przywiązaniem swojem do kilku scen pierwszego aktu i do całego aktu trzeciego tłómaczył jej ogłoszenie. Ale w r. 1830 innemi na ten utwór spoglądał oczyma i roił niewątpliwie, że postawienie jej na scenie mogłoby mu odrazu zdobyć blask sławy. Chodziło o aprobatę jakiejś wielkiej powagi, któraby tej tragedyi wstęp na deski teatralne ułatwiła lub przynajmniej dała zachętę do ogłoszenia drukiem. Taką powagą był Niemcewicz, do niego więc, do jego wiejskiej siedziby w Ursynowie, wybrał się pewnego razu Słowacki w towarzystwie jednego z mło-

---

[1]) Listy II, 75.
[2]) Hösick: Życie Jul. Słowackiego. I, 338—339.

dych znajomych sędziwego poety, aby mu odczytać to, co uważał za najlepszy ustęp swojej tragedyi, t. j. akt trzeci. Ale i tu spotykał go zawód, jakkolwiek osłodzony pochwałami ze strony starego Niemcewicza. Weteran poeta przyznał Słowackiemu — według sprawozdania tego ostatniego — »wielki talent«, ale uważał, że tragedya nie może być graną i powinna czekać w rękopisie szczęśliwszych czasów.

Niebawem Słowackiego, który dzielił swój czas pomiędzy nudną pracę biurową a tworzenie ultra-bajronicznych poematów, zaskoczyło listopadowe powstanie. Ze wszystkiego można wnosić, że wybuch powstania był dla niego niespodzianką; przedewszystkiem tak sądzić należy z nastroju jego utworów poetycznych, które ten wybuch poprzedziły: nie było w nich nic patryotycznego. Ale zawrotny zapał, który w pierwszych dniach powstania ogarnął Warszawę i towarzyszące mu nadzieje złudne, rozgrzały fantazyę Słowackiego i zwróciły ją w kierunku patryotycznym. Odkrywała się przytem sposobność pozyskania wśród rozgorączkowanych tłumów wielkiego rozgłosu i niejako zastąpienia Mickiewicza, który był daleko i nie mógł pieśnią swoją przewodniczyć powstaniu. I oto zaraz w pierwszych dniach po wybuchu Słowacki pisze *Odę do wolności*, *Hymn do Bogarodzicy*, *Kulig*, potem *Pieśń legionu litewskiego*. *Kulig* ma formę pożyczoną od Malczewskiego ze śpiewu masek w *Maryi;* w trzech innych pełno reminiscencyi Mickiewiczowskiej poezyi, mianowicie *Ody do młodości*, wiersza *Do Lelewela*, a potroszę i *Hymnu na Zwiastowanie*.

Te cztery grzmiące pobudki powstańcze, z których najbardziej efektowny *Hymn do Bogarodzicy* sprawiał najsilniejsze wrażenie, wyniosły Słowackiego nagle na szczyt jego marzeń, zrobiły go sławnym poetą. Ale wyżyna, na której się znalazł tak nagle i niespodziewanie, miała swoje niebezpieczeństwa, które bardzo prędko spostrzegł poeta. Temu, który tak mocno uderzał w dzwon wolności i tak

głośno wołał: do broni! nie było do twarzy siedzieć z założonemi rękami, gdy wszystka młodzież spieszyła na pole bitwy. Jego chwilowy zapał, w który go wprawiła gorączka pierwszych dni powstania, wystrzelił jak rakieta i zagasł, nie znajdując w duszy poety nic, coby go podsycać mogło. Zostały niczem niestłumione marzenia o sławie, został instykt samozachowawczy i ten mu nakazał wyjechać z Warszawy za granicę, pomimo iż sam poeta czuł, że taki wyjazd, w takiej chwili, był niczem innem jak ucieczką ze stanowiska.

Chcąc należycie ocenić szczerość pierwszych, nieco późniejszych patryotycznych utworów Słowackiego, nie można zapominać o tej próbie jego patryotycznego zapału. Sytuacya jego była zupełnie inna, niż Mickiewicza. Mickiewicz był zdaleka od kraju, kiedy powstanie wybuchło, Mickiewicz nie rzucał pieśni wzywających do broni. Nie może też i to usprawiedliwiać Słowackiego, że matka trwożna o jego życie, pragnęła, aby syn trzymał się zdaleka od widowni wojennych wypadków. Sam poeta nie był pewny, czy skwapliwe spełnienie jej życzenia nie wywoła w głębi duszy tej romantycznie nastrojonej kobiety jakiegoś niemiłego wrażenia. »Dopełniając woli kochanej Mamy, która aż nazbyt z moją chęcią zgadzała się — pisał z Wrocławia, pierwszego etapu swej podróży —, wyjechałem za granicę i teraz z wielkim strachem oczekuję listu od kochanej Mamy, nie wiedząc, czy mój wyjazd podoba się Mamie, czy nie« [1]). Przyznawał się tu i naiwnie i szczerze, że nie miał wcale ochoty brać udziału w ruchu powstańczym, do którego innych tak gromko powoływał; ale już z Drezna, gdzie się spotkał z Odyńcem, przed którym musiał swój wyjazd z Warszawy tłómaczyć inaczej, wszystko zapewne zwalając na matkę — już z Drezna pisał: »Trzeba było iść

[1]) Listy. I, 34.

do wojska, miałem aż nadto do tego chęci«[1]). Tych to słów nieszczerość musiała wywołać jakieś ironiczne uwagi ze strony wuja, które mocno ubodły Słowackiego. »Kochany Teofilu — odpowiadał na nie — jeśli mi chcesz wiele zgryzot oszczędzić, niech w twoich listach nie przebija taka ironia, jak w ostatnim przypisku. Chciałem, nie mogłem być użytecznym«...[2]).

Zanim nadeszły listy z domu, uspakajające jego sumienie narodowe, znalazł się inny sposób uspokojenia w tym względzie poety. Poruczono mu w Dreznie misyę kuryerską; pojechał z ważnemi dopeszami do Londynu. Misya była mu bardzo na rękę; tym sposobem uprawniał niejako swój pobyt za granicą, pełnił niejako służbę narodową, a przytem mógł poznać największą stolicę europejską — bez kosztu. Doznał też w tej podróży rzadkiej przyjemności, która jego bajronicznemu nastrojowi szczególnie schlebiała. Oto ponieważ spóźnił się na parostatek pocztowy, który go miał z Calais zawieść do Dover, a sądził, że nie może czekać do dnia następnego, więc najął osobny statek dla swego przejazdu. Wiele to kosztowało, »ale za to — pisał — byłem panem okrętu i wszyscy byli na moje rozkazy«. Był więc jakby cieniem bajrońskiego korsarza i myślę, że to z tego cienia urodził się *Lambro*, do pisania którego zabrał się niebawem po spełnieniu misyi kuryerskiej, gdy na stałe osiadł w Paryżu.

1) Listy. I, 41.

2) Tamże, 45. Małecki (I, 206—207) za przyczynę nagłego wyjazdu z Warszawy podaje broszurę Lelewela *Nowosilcow w Wilnie*, która się ukazała w Warszawie na początku 1831 roku, a przedstawiała ojczyma poety, dr. Bécu — według wszelkiego prawdopodobieństwa niezasłużenie — jako donosiciela i zausznika Nowosilcowa. Że ta broszura mogła odegrać pewną rolę w sprawie wyjazdu, na to zgodzić się łatwo, ale żeby to miała być okoliczność, »która raczej zaszczyt sercu poety przynosi, aniżeli żeby miała ujmę czynić jego charakterowi« (Małecki I, 43), tego uznać niepodobna. Obszerniej o tem mówię w *Szkicach literackich* (Serya I, 170—172).

ROZDZIAŁ II.

Początek zatargu z Mickiewiczem.

1832.

Wydanie dwu pierwszych tomów poezyi i przyjaźń z Michałem Sk biokim. — Przelotna chwila powodzenia. — Oczekiwanie przyjazd Mickiewicza. — Krytyka *Wallenroda*. — Przyjazd Mickiewicza. - Jego sąd o poezyi Słowackiego. Przedmowa Słowackiego do traged *Mindowe*. — Jak Słowacki zrozumiał sąd Mickiewicza. — Ukazan się trzeciej części *Dziadów*. — Co sądzić o wprowadzeniu dokto Bécu do *Dziadów*. — Część winy Odyńca. — Zaostrzenie się antag nizmu. — Poemat *Lambro* i jego stosunek do *Wallenroda*. — Z tknięcie bandery patryotycznej. — Przedmowa do *Lambra*. — G *dzina myśli;* prawda i zmyślenie w tym poemacie. — Odpowie Mickiewicza na wyzwanie.

Zbliżała się ważna chwila w życiu poety. Miał wyd dwa tomy swoich poezyi pisanych w ciągu trzech ost tnich lat, miał poraz pierwszy ukazać w całej pełni prze światem skarby swojej poezyi, o których wielkiej wart ści był głęboko przekonany. Na optymistyczne usposobi nie poety wiele się składało, najwięcej przyczynił się d tego przyjaciel, którego znalazł w osobie Michała Skit ckiego. Ten blagier na wielką skalę, który potem jak oszust wsadzony został do więzienia, schlebiając próżn ści poety, równając go z Bajronem, umiał pozyskać prz jaźń Słowackiego, tak mało skłonnego wogóle do społ cznych uczuć. Słowacki, póki się z nim nie zetknął, prze kilka pierwszych miesięcy w Paryżu, czuł się osamotni nym; potem było inaczej. »Życie moje teraz — pisał c

matki — jest daleko rozmaitsze, a przyczyną tego jest Skibicki, który tu przyjechał z Ameryki, i z którym wzajemnie tak pokochaliśmy się, iż teraz wszędzie razem chodzimy« [1]). Jemu poświęcił swoje powieści wschodnie, *Mnicha i Araba,* do niego napisał wiersz osobny, echo Mickiewiczowskiego wiersza *Do doktora S.* Skibicki miał się czem odwdzięczyć za te poetyckie zaszczyty: wprowadził nietowarzyskiego poetę do wyższego towarzystwa w Paryżu i robił mu wszędzie sławę wielkiego poety. W domu książąt Czartoryskich zaraz na pierwszej wizycie przy prezentacyi oświadczył, że »Polska, mając Słowackiego, nie będzie Anglii Bajrona zazdrościć« [2]). Wśród emigracyi przytem znany był Słowacki jako autor pieśni rewolucyjnych, a o tem, jaki charakter miał jego wyjazd z Warszawy, bodaj czy kto wiedział. »200 Polaków publicznie uradziło — pisał w marcu 1832 — aby mi dać pierścień, jako poecie przeszłorocznych wypadków. Dotychczas nie dali mi go jeszcze, ale to jest bardzo korzystnem dla mnie, bo z niecierpliwością dzieł moich czekają« [3]). Zdaje się, że ten pomysł, który zresztą nie doczekał się urzeczywistnienia, pochodził z głowy Skibickiego, jak również i starania o to, aby robić Słowackiemu rozgłos i wśród Francuzów. Do tych starań należało umieszczenie nazwiska poety, jeszcze przed wydaniem jego poezyi, w Słowniku biograficznym pisarzy współczesnych. »Dziś zobaczyłem u Pinnard regiestr ludzi sławnych, zawarty w biografii *Contemporins* (sic), z pod S litery taki porządek: Skrzynecki Jan, Słowacki Euzebiusz, Słowacki Juliusz, Smuglewicz Franciszek, Śniadecki Jan, Śniadecki Jędrzej, etc. Widzicie, że w dobrem jestem towarzystwie. Ucieszyło mnie to bardzo. Jest to najsławniejsza biografia; ciekawy jestem, co o mnie piszą, będę się starać dostać jej. To dziwniejsza, że ta bio-

---

[1]) Listy I, 81.
[2]) Tamże 84.
[3]) Listy I, 82.

grafia wyszła wprzód, nim zacząłem drukować moje poezye; a stąd niewiem, z czego mnie tam sławnym zrobili« [1]. Do tych starań należało i staranie o to, ażeby Lemaitre, jeden z francuskich poetów, wziął się do tłómaczenia *Mnicha* i *Araba*, właśnie tych utworów, które były poświęcone Skibickiemu. Były one potrzebne temu ostatniemu do artykułu o poezyach Słowackiego, który miał umieścić w *Revue Encyclopédique*.

Jednocześnie spodziewał się Słowacki być tłómaczonym i na język angielski. Przynajmniej tak pisał w pamiętniku, z którego wyjątki posyłał matce: »Sienkiewicz dowiedziawszy się, że ja wydaję teraz poezye, pisał do Błotnickiego z Anglii, każąc mi się kłaniać i prosząc, abym mu jak najprędzej poezye moje przysłał, bo je chce na język angielski tłómaczyć. Widzisz, kochana Matko, jak to ja będę zaraz w dwóch językach figurował. Sienkiewicz spodziewa się wziąć za to znaczne pieniądze i pewny jestem, że wszyscy moi tłómacze lepiej wyjdą niż ja« [2].

Wielkim tryumfem dla Słowackiego, przynajmniej o ile o tem z jego własnych słów wnosić można, był obchód rocznicy wybuchu powstania na Litwie, urządzony w Paryżu przez Polaków i Francuzów 25 marca 1832. »Zrana odebrałem list z wielu podpisami, między któremi znajdował się podpis Julliena starego, list, zaklinający mnie, abym na posiedzeniu literackiem czytał. Siadłem więc do roboty i w kilka godzin napisałem odę, w której umieściłem kilka myśli z różnych poematów. Przyszedł wieczór — ogromne zgromadzenie, mnóstwo dam polskich i francuskich, młodych i ładnych. Lafayette prezydował, wszyscy czytali po francusku... potem na końcu vice-prezes (Cezary Plater), obracając się do zgromadzenia, rzekł, że towarzystwo uprosiło największego z poetów polskich, aby po polsku deklamował, a stąd wzywa pana S., aby

[1]) Tamże, 99.
[2]) Tamże, 97.

zasiadł miejsce. Pan S. nie zasiadł, lecz stojąc mówił... Cóż?... trudno opisać; rzucałem całem zgromadzeniem; potem rozłamałem wiersz ody i powiedziałem jednę śliczną historyczną powieść w trzydziestu wierszach, znów wróciłem do ody i zakończyłem myślą z *Lambra* wyjętą...

Ja będę śpiewał i dążył do kresu,
Ożywię ogień, jeśli jest w iskierce...

»Po skończeniu prezes ściskał mnie za rękę i gadałem z nim przez chwilę. Starzec interesujący. Francuzi mówili, iż z taką duszą deklamowałem, że wszystko zrozumieli prawie. Kiedy po skończeniu spojrzałem na tłum dam, obaczyłem oczy jednej ślicznej tak impertynencko zwrócone na mnie, że moje musiałem odwrócić, i znów spojrzałem i jeszcze to samo spojrzenie; żeby tak długo, tobym zwaryował« [1]).

Ten samochwalczy ton, jeżeli z jednej strony nosi nasobie pewne piętno bratania się z tak lichą figurą, jaką był Skibicki, z drugiej strony dowodzi, że poeta w najwyższym stopniu zadowolony był z początków swojej poetyckiej karyery i najświetniejszą widział przed sobą perspektywę. Czuł się też prawdziwie szczęśliwym, czuł że mu teraz »lepiej na świecie, niż kiedykolwiek było«, a donosząc o swoich tryumfach rodzinie, pragnął do reszty zatrzeć to, co niemiłego mogło być dla niej w jego ukradkowym wyjeździe z Warszawy. »Matko kochana, widząc jak tu wiele teraz ludzi lubi mnie i kocha, i mogę powiedzieć uwielbia, nie wstydziłabyś się twego syna. Czuję to i dumne uczucie sprawia mi przyjemność...« [2]). Nie omieszkał też donieść matce, że nazajutrz po wyjściu dzieł Oleszczyński, »sławny sztycharz«, prosił go, aby mu portret swój zrobić pozwolił, a o powodzeniu *Żmii*, jednego z wydanych świeżo poematów, którego układ wydawał się matce niedość dobrym, tak pisał: »Jeden z najsławniejszych naszych kry-

---

[1]) Listy I, 93—94.
[2]) Tamże, 91.

tyków powiedział o mnie, przeczytawszy *Żmiję*, że cały naród ożył w pieśni, że tam, gdzie inni z murów cegiełki dobywali, ja całe mury wzniosłem. Cieszy mnie, że *Żmiję* wszyscy znajdują najlepszym, bo to jest mój ostatni poemat. Widać więc, że postępuję i kształcę się... Kniaziewicz chory ozdrowiał, przeczytawszy pieśń pierwszą i skoczył z łóżka do czytającego; a jenerał Umiński pytał się raz na wieczorze Skibickiego, jak po francusku sumak, bo chciał jechać do Jardin des Plantes, aby to zwierzę widzieć...« [1]).

Jeżeli nie tylko ostatnia wiadomość, ale i dwie pierwsze dotyczące *Żmii*, co rzecz prawdopodobna, pochodziły od Skibickiego, to wiarygodność wszystkich trzech jest bardzo podejrzaną, bo że Skibicki lubił zmyślać i nawet przyjaciela zaprawiał do tego, możemy tak wnioskować z następującego naiwnego wyznania poety. »Chodząc na spacer ze Skibickim, wymyślaliśmy różne bajki czyli kłamstwa wojażerskie, któremi będziemy bawić kiedyś naszych rodaków za przyjazdem do kraju« [2]).

Ale już wtedy, gdy Słowacki pisał tak o swojem powodzeniu, na horyzoncie jego świetnych nadziei i przyjemnych złudzeń zaczęły się, jak się zdaje, ukazywać ciemne punkty. Nie umiem sobie inaczej wytłómaczyć jego niezadowolenia z »ziomków««, których coraz więcej przybywało do Paryża, jak tylko tem, że nie dawali się olśniewać jego świeżo objawioną światu poezyą. »Często wierszami robię (w listach do Zienkowicza) gryzące obrazy naszych tu ziomków... Nie uwierzycie, jakie zebranie głupców; zwłaszcza litewskie posły są nieporównani... i to mnie trochę zaczyna zrażać od Litwy, którą dotąd bardzo kochałem« [3]). Skibicki namawiał go nawet, aby napisał »poemat drwiący o luminarzach naszych«, ale Słowacki nie chciał sobie robić nieprzyjaciół [4]).

[1]) Listy I, 112.
[2]) Tamże 115.
[3]) Tamże 115.
[4]) Tamże 117.

Mickiewicz jeszcze nie był wtedy w Paryżu, ale już dochodziły wieści, że ma przyjechać. »Mickiewicz przyjeżdża — zapisał Słowacki w swoim pamiętniku pod datą 22 lipca 1832 — już jest w Chalons... mówił mi Podczaszyński, że Bohdan Zaleski przyjeżdża także... Więc Parnas Polski będzie w Paryżu, jeżeli nazbyt huczny, to ja z niego ucieknę«[1]. Łatwo zrozumieć, dlaczego z niepokojem oczekiwał tego przyjazdu Słowacki. Nazwany na publicznem zgromadzeniu największym z poetów polskich, przez Skibickiego utrzymywany w tem przekonaniu, że poezya jego dorównywa bajrońskiej, miał teraz stanąć obok człowieka, któremu dotychczas głos powszechny przyznawał pierwszeństwo na Parnasie polskim, ba, któremu i on sam nie mógł tego pierwszeństwa odmówić. Tak było dotychczas, dopóki on, Słowacki, nie wydał dwóch tomów swej poezyi. Ale teraz jak będzie? Czy głos Cezarego Platera i Michała Skibickiego stanie się głosem powszechnym? Czy też sława przybywającego Mickiewicza zaćmi jego tryumfy?. I co też sam Mickiewicz powie o jego poezyi?

Wtedy to zapewne, wśród tych niepokojących myśli, pokreślił Słowacki swój egzemplarz *Wallenroda* rozmaitemi uwagami i znakami, śladami niezmiernie szczegółowej analizy[2]. Cóż go do tej analizy w kilka lat po ukazaniu się *Wallenroda* ciągnęło? Oto chęć dokładnego zdania sobie sprawy, jaką jest wartość poetycka największego i najgłośniejszego utworu przeciwnika, którego miał prześcignąć. Wielu ustępom nie mógł zaprzeczyć piękności, n. p. całej »Uczcie« z pieśnią i powieścią Wajdeloty, ale gdzie tylko najdrobniejszą skazę spostrzegał, tam kreślił

---

[1] Listy I, 117.

[2] Że te uwagi mogą pochodzić najwcześniej z roku 1831, zauważył to już Chmielowski w *Tygodniku Illustr.* 1893. Nr. 27 w artykule: »Co sądził Słowacki o *Konradzie Wallenrodzie*". Przypuszczenie opiera się na tem, że w uwagach jest mowa o przekładzie francuskim *Wallenroda*, z którym Słowacki mógł zaznajomić się dopiero po przyjeździe do Paryża z Londynu.

odpowiednią uwagę [1]). Najwięcej słabych stron odkrywał w charakterystyce Wallenroda; w jednem miejscu dopisał przy niej: »całe opisanie charakteru nie nowe«, w innem, gdzie już Konrad występuje jako mistrz wielki, zrobił uwagę: »Niema poezyi, dlatego *Wallenrod* przetłómaczony po francusku stał się nudną powieścią«. Musiał się wtedy cieszyć myślą, że jego powieści *Mnich* i *Arab*, które miano tłómaczyć na język francuski, nie stracą na przekładzie. Z tych uwag widać także, że Słowacki dostrzegał bajroniczności w charakterze Wallenroda, ale ta bajroniczność nie czyniła zadość jego silnie i jednostronnie napiętemu bajronizmowi, nie imponowała mu, wydawała mu się za »pospolitą«; i oto na czem mogły polegać jego nadzieje przewyższenia groźnego współzawodnika.

Z pomiędzy innych uwag Słowackiego, nakreślonych przy tekście *Wallenroda*, niepodobna pominąć jeszcze jednej, niezmiernie charakterystycznej dla ówczesnej sytuacyi Słowackiego i dla jego antyspołecznego usposobienia w przeciwstawieniu do nastroju Mickiewicza. Mianowicie przy dobrze znanym dwuwierszu Wallenroda: »Szczęśliwa przyjaźń, świętym jest na ziemi — kto umiał przyjaźń zawrzeć ze świętemi«, Słowacki dopisał uwagę: »dziwna myśl«. Uderzyła go, nie wydała mu się jak wiele innych, pospolitą, ale stawał przed nią, jak przed sfinksem, nie rozumiał jej znaczenia, a przedewszystkiem nie domyślał się, ile w niej mógł znaleźć nauki dla siebie. Nie wątpię, że Mickiewicz, stawiąc ten dwuwiersz, miał na myśli Zana,

---

[1]) Nie wszystko to, co uważał za skazę, było nią wistocie; nie wszystko nawet to, w czem mu słuszność przyznali niektórzy krytycy. N. p. przy wierszach »Brwi podniesione, pochyłe wejrzenie — Chcące z głębiny ziemnej coś wydostać« napisał Słowacki uwagę: »Jeżeli brwi podniesione, to nie z głębiny ziemnej będzie dostawał«. Chmielowski w cytowanym artykule nazywa to »słusznym zarzutem«, zanim Hösick (I 224), a przecież niesłuszność tej uwagi jest widoczna. »Brwi podniesione«, wyraz natężenia myśli, mogą się doskonale pogodzić z »pochyłem wejrzeniem«, nie do brwi zaś, tylko do wejrzenia odnosi się wiersz następny: »Chcące z głębiny ziemnej coś wydostać«.

swój stosunek do niego[1]), że Zanowi przypisywał wpływ na rozniecenie tego, co było »świętem« w jego poezyi: promienistego idealizmu i patryotycznego ognia, ale gdyby nawet nie miał przy pisaniu dwuwiersza tej świadomości, to i w takim razie dwuwiersz byłby odzwierciedleniem ich stosunku. Otóż czem był Zan dla Mickiewicza w pewnym okresie jego życia, (On był i duszy jego kierownikiem — on był i serca jego spowiednikiem), tem był niestety! dla Słowackiego w czasie wydawania pierwszych dwóch tomów poezyi i pisania *Lambra* — Michał Skibicki. Wpływ takiego przyjaciela podsycać mógł tylko w Słowackim ujemne strony jego charakteru: egoizm, próżność, chełpliwość i wysokie rozumienie o sobie.

Nareszcie Mickiewicz przyjechał do Paryża, co zaraz pod dniem 31 lipca zanotował Słowacki w dzienniczku, matce przesłanym w liście, dodając: »nie pójdę pierwszy do niego; jeżeli się zechce poznać ze mną, to dobrze...« [2]). Słowacki był o dziesięć lat młodszy od Mickiewicza, jeszcze na ławie szkolnej siedział, gdy Mickiewicz miał sławę poety, a mimo to sądził, że ubliżałoby to jego godności, nadawałoby mu cechę wasalstwa, gdyby pierwszy złożył wizytę Mickiewiczowi. Niebawem jednak spotkali się w Paryżu, a spotkanie to tak opisał Słowacki: »Żaden z nas nie chciał zrobić pierwszego do poznania kroku, a było kilka osób, którym mówił (Mickiewicz), że mnie chciałby widzieć; starano się więc sprowadzić nas gdzie razem i poznać... Dziś zeszliśmy się na wielkim obiedzie... Mickiewicz improwizował, ale dosyć słabo. Po obiedzie, kiedy chodziło towarzystwo po ogrodzie, Mickiewicz przystąpił do mnie i zaczęliśmy sobie nawzajem mówić komplementa. Mówił mi, że mnie znał dzieckiem... przypomniałem mu ową jego wizytę u nas, gdy się zszedł tak nie-

---

[1]) Porówn. to, co podałem w uwagach do *Dudarza*. Dzieła Adama Mickiewicza wyd. Tow. im. Ad. Mick. Lwów, 1896. T. I, str. 268—269.

[2]) Listy I, 125.

szczęśliwie z Janem Śniadeckim. Śmiał się z przypomnienia, potem przypomniał mi, że mu Malewski moje wiersze za granicę przysłał. Kiedyśmy zabrnęli w komplementa, kiedy mu mówiłem, że go uważam za pierwszego poetę, jeden z Polaków, stojący za mną, podchmielony zapewne, powtarzał jak echo: »nadto jesteś skromny« i temi słowami pomieszał zupełnie naszą rozmowę« [1]).

Czy Słowacki, podając głos owego »podchmielonego zapewne« Polaka, chciał rodzinie pokazać, że nie sam Cezary Plater uważał go za największego z poetów polskich? Może, ale to pewna, że ów głos wygląda bardzo ironicznie, i daje do myślenia, że już wówczas Słowacki wydawał się emigracyi zarozumiałym i że już wówczas nie podobały się jej pretensye jego do pierwszeństwa.

Ze wszystkich sądów, jakie mógł usłyszeć Słowacki o swoich poezyach, najważniejszym był dla niego — rzecz naturalna — sąd Mickiewicza. Za sąd istotny nie mógł uważać grzecznych słów, które Mickiewicz wymieniał przy pierwszem z nim spotkaniu za »komplementa«, otrzymane od niego. Wiedział, że takie grzeczności nie odzwierciedlają prawdziwego sądu; wszak i jego przyznanie pierszeństwa Mickiewiczowi nie było szczerem, przynajmniej nie było szczerem w tem znaczeniu, że Mickiewicz przewyższa go geniuszem poetyckim. Otóż o ten sąd istotny Mickiewicza o jego poezyach bardzo mu chodziło i niebawem miał możność dowiedzieć się coś o tem. »Jeden z Polaków — czytamy w pamiętniku Słowackiego, przesyłanym matce, pod datą 12 sierpnia — mówił mi zdanie, jakie dał Mickiewicz o moich dwu tomikach: powiedział, że moja poezya jest śliczna, że jest to gmach piękną architekturą stawiany, jak wzniosły kościół, ale w kościele Boga niema... Prawda, że śliczne i poetyczne zdanie? podobne do jego sonetu pod tytułem *Rezygnacya*...«

Ten sąd Mickiewicza jest nadzwyczaj ważnym mo-

---

[1]) Listy I, 129.

mentem w tragedyi życia Słowackiego i jego monomachii z Mickiewiczem. Zarysowywał on wyraźnie stanowisko obu poetów, obdarzonych geniuszem poetyckim i stojących na czele poezyi polskiej. Ale naprzód co znaczył? a powtóre, jak go Słowacki zrozumiał?

Mickiewicz do przyjazdu swego do Paryża nic z poezyi Słowackiego nie znał, oprócz tych wierszy, które mu Malewski za granicę przesłał jeszcze w r. 1829. Był to mały urywek z jakiegoś nieznanego oryentalnego poematu Słowackiego,[1]) który Odyniec, będąc w Petersburgu, zachwalał przyjaciołom. W Dreźnie, spotkawszy się z Odyńcem już w r. 1832, mógł wiele od niego słyszeć o późniejszych poezyach Słowackiego, o ile te były Odyńcowi znane, ale własnego jeszcze sądu o nich mieć nie mógł. Przyjechawszy do Paryża, zastawał dwa tomy tych poezyi, jako nowość księgarską, bardzo dla siebie interesującą i zaraz też zabrał się do ich poznania. W tych tomach, oprócz już dawniej ogłoszonego *Hugona,* znajdował cały szereg nowych, nieznanych sobie utworów: kilka powieści poetyckich, *Mnicha, Araba*, *Jana Bieleckiego* i *Żmiję* i dwie tragedye: *Mindowę* i *Maryę Stuart.* Przedewszystkiem musiał zauważyć nadzwyczajną świetność i wykwintność stylu, płynność i łatwość wiersza, wogóle bogactwo i wdzięk draperyi poetyckiej. Następnie musiał go uderzyć we wszystkich tych utworach, od pierwszego do ostatniego, ultrabajroniczny kierunek, mianowicie chęć przelicytowania Bajrona w pessymiźmie, chęć, która szczególnie rażąco występowała w *Mnichu* i *Arabie.* Dalej musiał spostrzedz wiele naśladowania swojej własnej poezyi, a także Zaleskiego, Malczewskiego, Goszczyńskiego Gdyby mu to spostrzeżenie samo się nie nawinęło, to musiała mu je nasunąć przedmowa Słowackiego, poprzedzająca tragedyę *Mindowe* i *Maryę Stuart.*

---

[1]) Urywek podany przy liście Malewskiego w Korrespondencyi Mickiewicza III 213—214. Z treści swojej jest nieco pokrewny *Arabowi,* ale wyjątkiem z tego poematu nie jest.

Przedmowa ta jest bardzo godną uwagi ze względu na światło, jakie rzuca na ówczesny stosunek Słowackiego do Mickiewicza i ze względu na wrażenie, jakie mogła wywrzeć na Mickiewiczu. Zadaniem przedmowy było uprzedzić rozmaite zarzuty krytyków, w szczególności zaś zarzut naśladowania Mickiewicza, a przy tej sposobności chciał Słowacki ubocznie obniżyć znaczenie *Wallenroda*. Oto co w niej czytamy:

»Jeden z literatów, który dawniej przebiegał sceny *Mindowy*, uczynił mi zarzut, że scena, gdzie Mindowe porównywa Litwę z krajem Krzyżaków, a bogactwa swoje z bogactwem zakonu, jest naśladowaniem mowy Litawora w ślicznej *Grażynie* Mickiewicza. Pisząc tę scenę, miałem przed oczyma kilka miejsc z historyi Karamzina, gdzie nieraz z upodobaniem czytałem o dawnem ubóstwie królów i kniaziów... Takie homeryczne ubóstwo królów ówczesnych podało mi myśl wzmiankowanej sceny i aby ją uczynić zupełnie oryginalną, dosyć było kilka ostatnich wierszy o zamku przemazać, dosyć było wyrzucić wiersz: »Nie dbam ja o bogactwa, o złoto nie stoję«, i ten drugi: »A tu patrz Lutuwerze, jak posępne gmachy«. Wolałem przecież scenę nietkniętą pozostawić i wyznać, że bez upokorzenia dług myśli względem największego z naszych poetów zaciągam«.

W ustępie tym *Grażyna* nazwana jest »śliczną«, Mickiewicz »największym z naszych poetów«, Słowacki szedł więc za głosem ogółu i zdawałoby się, że stawał w szeregu wielbicieli Mickiewicza. Ale byłoż to wyznanie i uznanie szczere? Dlaczego z uwagi prywatnej »jednego z literatów« robił sprawę publiczną? Czy naprawdę sądził, że tylko w tym jednym, bez większego znaczenia, ustępie zapożyczał się z poezyi Mickiewicza, nie mówiąc o innych poetach? Otóż to, co dalej następuje w przedmowie zdaje się świadczyć, że całe przyznanie się do jednego, może wyraźniejszego, ale niewątpliwie mniej ważnego od wielu innych długu, służyło tylko za sposobność do obni-

żenia oryginalności najsławniejszego, najznakomitszego z dotychczasowych utworów Mickiewicza, *Wallenroda*, który przedewszystkiem chciał w swojej poezyi prześcignąć. Tak bowiem pisał dalej:

»Dzisiejsi poeci muszą również jak dawniejsi w myślach spotykać się, a nawet częściej, bo malują wiernie naturę i serce człowieka, ta różnica tylko zachodzi, że dawniejsi naśladować chcieli i starali się, gdy drudzy przypadkowie naśladują, ile razy tego uniknąć nie mogą. I gdybyśmy każde dzieło geniuszu rozbierać chcieli, czyż trudnem byłoby powiedzieć, że Wallenrod sam jest szpiegiem Coopera, że opisanie charakteru Wallenroda jest opisaniem charakteru Lary lub Korsarza, z tą różnicą, że Korsarz w napojach gorących ulgi nie szukał; że wreszcie, przystępując do drobniejszych szczegółów, krzyk Aldony umierającej w *Wallenrodzie*, jest krzykiem ostatnim i przeraźliwym Pariziny, a jednak pewny jestem, że autor zbliżenia obrazów nigdy nie dostrzegł i takie przystosowania, również jak błędy przez drukarzów popełniane, prędzej w oko czytelnika, niż w oko autora wpadać mogą«.

Nie chcę zastanawiać się nad tem, o ile trafnemi lub nietrafnemi były wskazówki naśladownictwa w *Wallenrodzie*, podane przez Słowackiego, chodzi mi tylko o to, ażeby pokazać, jak Słowacki, ciągle zajęty przymierzaniem swojej poezyi do poezyi Mickiewicza, przy pozornem ustępowaniu pierwszeństwa tej ostatniej starał się obniżyć jej znaczenie, i jak Mickiewicz, gdyby nawet nie był skłonny do zwracania uwagi na naśladowniczość Słowackiego, musiał na nią zwrócić uwagę, po przeczytaniu tej wyzywającej przedmowy.

Cóż więc mogło znaczyć w ustach Mickiewicza porównanie poezyi Słowackiego z pięknym kościołem, w którym Boga niema. Znaczyło niewątpliwie z jednej strony uznanie dla strony zewnętrznej poematu, dla dźwięczności wiersza i języka, dla malowniczości słowa, z drugiej — brak wszelkich ideałów religijnych i społecznych, a nato-

miast gonienie za efektem i stąd strojenie się w najjaskrawsze szaty bajronizmu. Pamiętajmy, że Mickiewicz wypowiadał to zdanie o Słowackim już jako twórca trzeciej części *Dziadów*, jako ten, który duchowi pokory chrześcijańskiej dał stanowcze zwycięstwo nad duchem pychy bajrońskiej. W poezyi Słowackiego znajdował apoteozę tej pychy, a ta apoteoza tem więcej go mogła razić, im mniej szczerości uczucia i oryginalności w pomysłach znajdował u Słowackiego.

Czy Słowacki odrazu zrozumiał sąd Mickiewicza o jego poezyi, skrystalizowany w jednem porównaniu? Nie, nie zrozumiał odrazu, bo nie znał jeszcze nowego zwrotu, który zaszedł w duszy Mickiewicza, nie znał jeszcze ani *Ksiąg pielgrzymstwa*, ani trzeciej części *Dziadów*. Był mocno uderzony tem porównaniem, ale szukając komentarza do niego w dotychczasowej, bajronicznie nastrojonej poezyi Mickiewicza, wytłómaczył je jak najkorzystniej dla siebie. Wiemy już, że nazwał je »ślicznem i poetycznem zdaniem, podobnem do sonetu p. t. *Rezygnacya*«. W tym sonecie, pisanym jeszcze w czasacd nastroju bajronicznego, Mickiewicz porównywał serce swoje do dawnej świątyni »Spustoszałej niepogód i czasów koleją — Gdzie bóstwo nie chce mieszkać, a ludzie nie śmieją«. Otóż podobną świątynią — rozumiał Słowacki — miała być i poezya jego według nowego porównania Mickiewicza. Brak bóstwa w niej w tem rozumieniu nie był czemś ujemnem, ale tylko znakiem ducha czasu, cechą bajronicznego jej nastroju. Wszakże i Wallenrod mówi o sobie:

> Wielkie serca, Aldono, są jak ule zbyt wielkie,
> Miód ich zapełnić nie może, stają się gniazdem jaszczurek.

Jakkolwiek Słowacki nie zdawał sobie jeszcze sprawy z dokładnego znaczenia słów Mickiewicza o kościele bez Boga, to jednak niechętnie był dla niego usposobiony, a spotykając się z nim w towarzystwie emigracyjnem,

w jego słowach, w jego obejściu, w jego stroju nawet znajdował coś, co go odpychało od niego. »Nie możecie sobie wyobrazić — pisał do rodziny w październ. 1832 — jak po liderlichowsku (Mickiewicz) wygląda z pomiętym od koszuli kołnierzem i we fraku zasmolonym«; a w miesiąc potem (9 list.), mówiąc, że jeszcze nie zna trzeciej części *Dziadów*, która wychodziła wtedy właśnie na świat, tak pisał o nim: »Mickiewicz bardzo już ostygł w poezyi. W rozmowach ciągle religię na plac wyprowadza, uniewinnia papieża, nawet bullę, słowem, że mi się jako obecnie żyjący człowiek nie podoba« [1]).

Niebawem dostał Słowacki do rąk trzecią część *Dziadów* i z niej dopiero mógł wyrozumieć, co znaczyło porównanie jego poezyi do kościoła bez Boga. Znalazł on tam coś gorszego, coś bardziej przygnębiającego dla siebie, znalazł swego ojczyma, dr. Bécu, w roli prześladowcy i denuncyanta Filaretów. Łatwo sobie wyobrazić jego zdziwienie, przerażenie i oburzenie, łatwo zrozumieć, jak dotychczasowa niechęć jego dla Mickiewicza zamieniła się w głęboką nienawiść. Wprawdzie ojczym nie był nazwany imiennie, ale scharakteryzowany tak wyjątkowemi rysami, że nikt nie mógł wątpić, kogo Mickiewicz pod nazwą doktora przedstawiał. Położenie Słowackiego w Paryżu, niedawno jeszcze, przed przybyciem Mickiewicza, tak świetne i tyle rokujące, stawały się teraz, po ukazaniu się trzeciej części *Dziadów*, nieznośnem. Nowy poemat nietylko przyćmiewał jego świeżo ogłoszoną poezyę a nowym blaskiem zdobił skroń przeciwnika, ale najboleśniej dotykał Słowackiego, wyciskając piętno hańby na jego ojczymie. Słowacki pod pierwszem wrażeniem chciał podobno wyzwać Mickiewicza na pojedynek — tak przynajmniej donosił matce w rok potem — ale odradził mu tego kroku Skibicki. Ale zostawać dłużej w Paryżu i mieć na siebie

[1]) Listy I, 140 i 148.

zwrócone oczy wszystkich, nie mógł i to była główna przyczyna, dla której wyjechał z Paryża do Genewy [1].

Co mamy sądzić o wprowadzeniu doktora Bécu do *Dziadów* w tak haniebnej roli, jaką on tam odgrywa? Że pomysł jest rażący, że Mickiewicz w najboleśniejszy sposób obrażał uczucia rodzinne ludzi, z którymi go wiązały stosunki towarzyskie, przedewszystkiem panią Bécu, dla której jeszcze przed odjazdem w imionniku wiersz napisał — na to powszechna zgoda. Do tego należałoby jeszcze dodać, że scena, w której występuje doktór w rozmowie z senatorem, Pelikanem i księdzem, razi nas pewną przesadą, pewną karykaturalnością realizmu. Nasuwa się pytanie, czy ta scena była konieczna, czy poemat nie mógł się obejść bez niej bardzo dobrze a jeśli tak, to co pobudziło Mickiewicza do jej wprowadzenia? Byłaż w tem jakakolwiek chęć dokuczenia Słowackiemu, jako swemu współzawodnikowi, albo zemszczenia się na nieboszczyku doktorze za jego stanowisko nieprzychylne dla młodzieży filareckiej?

Do podobnych podejrzeń, tak ubliżających Mickiewiczowi, nic nas nie upoważnia, zwłaszcza że trzecia część *Dziadów* pisana była jeszcze przed wyjściem na świat poezyi Słowackiego. Jeśli zaś rozpatrzymy się uważnie w poemacie, to przekonamy się, że postać doktora, podobnie jak i Bajkowa, wiąże się ściśle z głównym pomysłem poematu, że stanowią one jakby pomost, jakby ogniwo pomiędzy historycznem, realnem tłem wypadków a mistycznym światem, który się nad tem tłem unosi. Wprawdzie, gdyby chodziło tylko o historyę uczuć Konrada, to poemat mógłby się był już na trzeciej scenie zakończyć, na słowach chórów anielskich, które głoszą »pokój grzesznemu sierocie«, i wszystkie dalsze sceny, a między niemi i ta, gdzie doktór występuje, byłyby zbytecznemi. Ale Mickie-

[1] W rok potem, kiedy poraz pierwszy pisał otwarcie o tej sprawie do matki, przyznawał się do tego. Listy I, 214.

wiczowi chodziło o coś więcej, jak o sam przełom w duszy Konrada, chodziło mu o szerokie przedstawienie prześladowania Filaretów i to w świetle mistycznem i w ramach przypominających dawniejsze części *Dziadów*.

Że taki był zamiar poety, świadczy o tem przedmowa do poematu, w której Mickiewicz kładzie nacisk na to, że »w sprawie uczniów wileńskich było coś mistycznego i tajemniczego«. »Charakter mistyczny, łagodny, ale niezachwiany Tomasza Zana, naczelnika młodzieży, religijna rezygnacya, braterska zgoda i miłość młodych więźniów, kara boża sięgająca widomie prześladowców, zostawiły głębokie wrażenie na umyśle tych, którzy byli świadkami lub uczestnikami zdarzeń; a opisane, zdają się przenosić czytelników w czasy dawne, czasy wiary i cudów«. Otóż nic tak nie nadawało cudowności przedstawianym przez poetę wypadkom, jak nagła śmierć od pioruna profesora Bécu, oskarżonego wśród młodzieży o konszachty z Nowosilcowem, i Mickiewicz, nastrojony mistycznie i pragnący wykazać mistyczny charakter wileńskich wypadków, gdyby odrzucił tę śmierć i jej mistyczne powody, byłby się pozbawił najbardziej mistycznego motywu, jaki mu ówczesne wypadki nastręczały.

Taką była niewątpliwie pobudka, której ulegał Mickiewicz, wprowadzając postać doktora do *Dziadów*. Czy mu nie przychodziło na myśl, że mógł się mylić w sądzie o profesorze Bécu? Czy nie zastanawiał się nad tem, jak boleśnie zrani serce pani Bécu i jej syna? Co się tyczy pierwszego pytania, to nie można wątpić, że poeta głęboko wierzył, iż profesor Bécu był takim, jakim on go przedstawił w *Dziadach;* najlepiej świadczy o tem ton głębokiego przekonania, z jakim powiada w przedmowie, że »kto zna dobrze ówczesne wypadki, da świadectwo autorowi, że sceny historyczne i charaktery osób działających skreślił sumiennie, nic nie dodając i nigdzie nie przesądzając«. Co się tyczy drugiej kwestyi, to można przypuszczać, że brak wszelkiej względności w Mickiewiczu dla

pani Bécu i jej syna był następstwem tej ścisłej zażyłości i przyjaźni, jaka wiązała matkę Słowackiego z Pelikanem, prawą ręką i głównem narzędziem Nowosilcowa i to już w czasach pofilareckich. O tych stosunkach, o opiece, jaką roztaczał Pelikan nad panią Bécu, która nie była w takiem położeniu, aby tej opieki potrzebowała koniecznie, o tem, że Pelikana obrano na ojca chrzestnego dla Julka, który nawet za jedno z imion chrzestnych wziął imię Wacław, jakby na cześć swego ojca chrzestnego, o tem wszystkiem musiał dobrze wiedzieć Mickiewicz od Odyńca, przed którym naiwna pani Bécu ze wszystkiem się zwierzała w listach.

Że sam Słowacki w nadaniu wiadomej roli doktorowi Bécu w *Dziadach* upatrywał znaczną część winy Odyńca, można tak wnioskować z pewnego ustępu jego listu do matki (z kwietnia 1833 r.). Rzuciwszy na Odyńca, pod wpływem silnego rozgoryczenia, podejrzenie, że zatrzymuje przy sobie pieniądze, ze sprzedaży jego, Słowackiego, poezyi i że »zapewne wesele Odyńca opędziło się niemi«, pisał dalej: »Mniejsza o to... ma on na sumieniu bardziej ciężką winę... i dziwię się, że do ciebie, Matko, śmie pisać... Brakowałoby Ci jeszcze listu Mickiewicza« [1]). Łącząc w ten sposób Odyńca z Mickiewiczem, miał widocznie na myśli ustępy trzeciej części *Dziadów*, obrażające uczucia rodzinne pani Bécu. Dlaczego zaś czynił Odyńca współwinnym? Możnaby myśleć, że w obrazie balu senatorskiego znajdował coś takiego, co według jego przekonania tylko za pośrednictwem Odyńca mogło się dostać pod pióro Mickiewicza.

Bądź co bądź antagonizm Słowackiego do Mickiewicza, który dotychczas polegał przedewszystkiem na chęci prześcignięcia najsławniejszego ze współzawodników, zaostrzał się teraz do najgłębszej nienawiści, do której też Słowacki otwarcie przyznawał się przed matką, kiedy już

---

[1]) Listy I, 184.

dowiedział się, że i matka wie o wszystkiem [1]. Powodów do nienawiści było teraz tem więcej, że teraz dopiero, jak już wspomniałem, zrozumiał Słowacki, co znaczyło wyrażenie Mickiewicza »wzniosły kościół, ale w kościele Boga niema«, określające poezyę Słowackiego. Teraz dopiero po odczytaniu *Ksiąg pielgrzymstwa*, a jeszcze więcej trzeciej części *Dziadów*, otworzyły mu się oczy na różnicę, jaka dzieliła jego stanowisko poetyckie od nowego stanowiska, które zajął Mickiewicz w tych utworach. On, Słowacki. cały zanurzony był w bajronizmie, cała jego poezya nasiąkła była bajrońskim pessymizmem, bajrońską dumą i pogardą dla ludzi, kiedy Mickiewicz otrząsał się z bajronizmu, i ponad dumę, ironię i wątpienie, wynosił wiarę i pokorę. A więc określenie Mickiewicza nie mogło się teraz wydawać Słowackiemu tylko »ślicznem i poetycznem zdaniem«, przeciwnie ujrzał w tem zarzut dla siebie, godzący w kierunek swej poezyi, i wskazówkę nowej drogi dla niej.

W chwili gdy sąd Mickiewicza wskutek przeczytania nowej części *Dziadów* stawał się przezroczystym dla Słowackiego, ten ostatni był już autorem *Lambra*. Do żadnego z poprzednich ani późniejszych poematów Słowackiego ten sąd nie stosował się tak dobrze, jak właśnie do *Lambra*, bo nigdzie dotąd, trochę pożyczany, trochę własny pessymizm Słowackiego nie oblekał się w tak piękną formę, jak w tym poemacie. Do *Lambra* domieszał poeta trochę własnych wrażeń, odniesionych w krótkiej podróży morskiej, w której był panem najętego wyłącznie dla siebie statku [2], ale jeśli *Lambro* był poniekąd owocem podróży morskiej Słowackiego, to jednak jeszcze więcej był owo-

[1] Listy I, 214.

[2] Ślady tych wrażeń można znaleźć szczególnie na początku pieśni drugiej *Lambra*:

Już noc zapada w korsarza kabinie,
Zalana falą szyba bursztynowa
Coraz ciemnieje i t. d.

cem trawiącej chęci prześcignięcia Mickiewicza i stworzenia postaci w duchu bajronicznym, któraby przyćmiła *Wallenroda*. Wiemy już, że ta chęć prześwieca z jego dawniejszych utworów, że Hugo, Bielecki, Żmija byli *sui generis* Wallenrodami na tle pełnej efektownych świecideł dekoracyi. Ale w miarę dojrzewania Słowacki zapewne coraz wyraźniej spostrzegał, że żaden z tych dawniejszych bohaterów, pomimo nagromadzenia efektów, nie może się mierzyć siłą wrażenia z *Wallenrodem*, i oto *Lambro* teraz miał spełnić zadanie, którego nie zdołali spełnić jego poprzednicy, miał stanąć do walki z *Wallenrodem* i przewyższyć go blaskiem swojej poezyi, prześcignąć nastrojem bajronicznym.

Ani Hugo, ani Bielecki, ani Żmija nie mieli nic wspólnego z ideą patryotyzmu, która stanowi duszę Wallenroda; ich podobieństwo z tym bohaterem było przeważnie zewnętrzne i dekoracyjne; Lambro był bliższym Wallenrodowi z tego względu, że występował jako obrońca sprawy greckiej. Lambro, jak wiadomo, jest postacią historyczną. Słowacki w przypisach Bajrona do *Narzeczonej z Abydos* znalazł wiadomość, że Lambro i Riga byli najsławniejszymi rewolucyonistami w greckiej walce z Turkami o niepodległość, znalazł też w poezyach Bajrona przekład śpiewu wojennego Rigi: »Powstańcie dzieci Greków« i to zapewne zwróciło jego uwagę na te dwie postaci, gdy potrzebował nowego tematu dla swej poezyi. Z Rigą mógł się sam porównywać, jako także twórca hymnów powstańczych; w Lambra chciał włożyć duszę nowożytnego człowieka, t. j. kwintesencyę bajronizmu, jak ją sam pojmował.

Moralną wartość Lambra dostatecznie oświetlił Małecki w swojem studyum; tu chodzi o stosunek Lambra do Wallenroda. Zapewne Słowacki nie zdawał sobie sprawy z tego, ile jest analogii pomiędzy jednym a drugim poematem, ale analogia jest widoczna, a źródłem jej, jak można przypuszczać, było to, że jego wyobraźnia ciągle

była zajęta poematem, który chciała prześcignąć. A więc Lambro jest mścicielem krzywd swego narodu, podobnie jak Wallenrod, i podobnie jak on szuka pociechy w napoju; w jego rozmowach z Idą odzywają się echa rozmów Konrada z Aldoną, Ida, jak Aldona, ma »zamknąć się w cichej celi« i Lambro sądzi, że »klasztorna krata już go na wieki rozdzieliła z Idą«; a co najwięcej zbliża utwór Słowackiego do utworu Mickiewicza, to wstawienie *Powieści Greka* w środek pierwszej pieśni *Lambra*. Ta powieść odgrywa tu rolę bardzo podobną do tej, jaką spełnia *Pieśń Wajdeloty* w obrazie uczty, wydanej przez W. Mistrza. Obie są wstawianemi powieściami, jak jedna tak i druga ma swoją treścią pobudzić do patryotycznego działania; wreszcie pierwszy ustęp *Powieści Greka*, na który później jeszcze zosobna wypadnie mi zwrócić uwagę, zawiera w sobie pewne ukryte, ale niemniej przeto istotne analogie z pieśnią poprzedzającą *Powieść Wajdeloty*.

Ale jeżeli niepodobna zaprzeczyć wpływu *Wallenroda* na *Lambra* t. j. zachodzących między temi dwoma poematami analogii, to znowu bardzo łatwo dostrzedz ogromnej różnicy, dzielącej ideały dwu poetów w bohaterach tych poematów wcielone. To, co stanowi potęgę *Wallenroda*, głębokie uczucie patryotyczne, u *Lambra* wyrodnieje, schodzi na plan dalszy, niemal znika. Jego czyn bohaterski, spalenie okrętu z trupem Rygi, wygląda na wyskok kapryśnej fantazyi. Jego kochanka, patrząc na jego czoło, widzi na niem z przerażeniem »ostatni stopień wszystkich nieszczęść — nudę«. Możnaby w nim widzieć jakby wcielenie tego westchnienia, którem się raczyli wzajem — mniej więcej w czasie pisania *Lambra* — Słowacki i jego przyjaciel Skibicki: »cette vie c'est une farce un peu trop lourde«. Gdybyż przynajmniej ta nuda, ta pogarda dla życia była szczerą w Słowackim! Ale nie, to był tylko grymas modny i nic więcej. Kto tak był głodny sławy, jak Słowacki, ten nie mógł uczuwać przesytu i znudzenia życiem.

O ile patryotyzm Wallenroda w Lambrze zwyrodniał i, rzec można, znikczemniał, o tyle zaznaczony silnie ale krótko przez Mickiewicza nałóg Wallenroda rozwinął się i wybujał pod piórem Słowackiego do nadzwyczajnych rozmiarów i z podrzędnej stał się główną cechą bohatera. A nie tylko pod względem rozmiarów, ale i pod względem charakteru nałóg Lambra odbiega od nałogu Wallenroda. Ten upijał się czasami winem, aby choć na chwilę przenieść się w szczęśliwą »krainę pamięci«, i po torturach ciągłej obłudy choć na chwilę wypocząć we wspomnieniach szczęścia, które poświęcił dla ojczyzny; Lambro upija się stale, systematycznie i nie winem, ale trucizną, »napojem makowym«, a czyni to dlaczegóż? Oto, aby życie, rzeczywistość, zamieniać

na sen gorączkowy,
Sen tak jasnemi grający barwami,
Że chwile życia zdają mu się snami,
A sen szalony wydaje się życiem.

To poszukiwanie gorączkowych marzeń i sennych wizyi jest najbardziej oryginalnym rysem charakteru Lambra, rysem, którego ani bohaterowie Bajrona ani Mickiewicza nie mają, a który Słowacki dobył z siebie, ze swej natury, ze swej niesłychanej przewagi wyobraźni nad innemi władzami duszy. W gorączkowych marzeniach Lambra była jakby przepowiednia tego stanu duszy, w jaki popadł Słowacki w ostatnich latach życia, kiedy tworzył *Srebrny sen Salomei*, *Króla-Ducha* i dalsze pieśni *Beniowskiego*. I jak poecie wtedy wydawało się, że w swoich apokaliptycznych wizyach daje narodowi swemu zbawcze ideje, tak i Lambro teraz woła:

dzisiaj sennym wydrę cudom
Myśl wielką... potem tę myśl zmartwychwstania
Jak Kleopatry perłę w krwi roztopię,
W czarze z kryształu i dam czarę ludom...

Ta myśl zmartwychwstania, ta perła Kleopatry w czarze krwi roztopiona nie może oznaczać nic innego, jak

zerwanie się do krwawej walki z ciemiężycielami narodu, nie było też w niej nic nowego, ale poecie chodziło o to, aby tę ideę otoczyć urokiem nowości i tajemniczości i dlatego Lambro nazywa ją »tak bezcenną i drogą«

Że o niej dotąd nie śnił nikt — prócz Boga.

Ta sama myśl i taka sama chęć otoczenia jej tajemniczością dla przydania jej większego znaczenia występuje na początku *Powieści Greka:*

Więc będę śpiewał i dążył do kresu,
Ożywię ogień jeśli jest w iskierce,
Tak Egipcyanin w liście z aloesu
Obwija zwiędłe umarłego serce;
Na liściu pisze zmartwychwstania słowa;
Chociaż w tym liściu serce nie ożyje,
Lecz od zepsucia wiecznie się zachowa,
W proch nie rozsypie... Godzina wybije,
Kiedy myśl słowa tajemną odgadnie [1]),
Wtenczas odpowiedź będzie w sercu na dnie.

Już Spasowicz zauważył, że Słowacki przywiązywał szczególną wagę do tego ustępu i położył go za *motto* do *Kordyana*; a obraz serca owiniętego w liście aloesu tak mu się podobał, że jeszcze w *Testamencie* swoim, pisanym pod koniec życia, nie zapomniał o nim, polecając przyjaciołom, aby serce jego spalili w aloesie. Wiemy też, że ten ustęp właśnie wybrał do deklamacyi na uroczystym obchodzie pierwszej rocznicy wybuchu powstania na Litwie. Dlaczegóż tak go upodobał sobie i dlaczego tak go akcentował. Zapewne dlatego, że w tym obrazie chciał usymbolizować znaczenie swojej poezyi dla narodu i jej stosunek względem niego. Młody Ipsaryota śpiewający *Powieść Greka* jest przedstawicielem samego poety, i to co on mówi o umarłem sercu i liściach aloesu, to ma zastosowanie do narodu polskiego i poezyi Słowackiego.

---

[1]) W tym wierszu należy domyślać się opuszczonego wyrazu: serce. «Kiedy serce myśl słowa tajemną odgadnie».

Można przypuszczać, że ustęp ten pisany był w czasach, kiedy Słowacki podniecony był wiadomością, iż »200 Polaków publicznie uradziło, aby mu dać pierścień jako poecie przeszłorocznych wypadków«, i że autorowi *Lambra* chodziło o tajemne nawiązanie nowej swojej poezyi do rewolucyjnego *Hymnu*, święcącego »ludu zmartwychwstanie«.

Ale i o co innego jeszcze chodziło mu zapewne, o dorównanie *Pieśni Wajdeloty*, która dyamentowym blaskiem idei rozbłyskując na wszystkie strony, wyzywała niejako Słowackiego do stworzenia czegoś równie świetnego i głębokiego. Że to, co stworzył, pomimo całej śpiewności wiersza i innych zalet zewnętrznych, dalekie było od dorównania *Pieśni Wajdeloty*, tego nie potrzeba dowodzić, ale winienem tylko wskazać, na czem głównie polega analogiczność, o której przedtem wspomniałem, pomiędzy tą pieśnią a wstępem do *Powieści Greka*. I tu i tam tematem jest potęga pieśni, i tu i tam piewca zapowiada swój zamiar rozgrzania, zapalenia serc. Wajdelota litewski chciałby »własne ognie przelać w piersi słuchaczów«, wajdelota grecki będzie śpiewał, aby »ożywić ogień, jeśli jest w iskierce«.

Powiedziałem już, że *Lambro* był już napisany, kiedy się ukazała trzecia część *Dziadów*. Przed jej ukazaniem się, a po napisaniu nowego poematu, Słowackiemu mogło zdawać się, że tym razem dopędzi, a może prześcignie, swego wielkiego poprzednika, zaćmi go barwami swej poezyi, że w nowym turnieju poetyckim ultrabajroniczny Lambro pokona bajronicznego Konrada i pozwoli Słowackiemu zająć miejsce obok lub wyżej Mickiewicza. Ukazanie się trzeciej części *Dziadów* musiało rozwiać te nadzieje. Mickiewicz w nowym poemacie czynił zwrot niespodziewany, rzucał tor bajroniczny, otwierał nowe horyzonty i jak Farys swego obłocznego współzawodnika, tak on galopującego z tyłu z nadzieją zwycięstwa autora *Lambra*, »o całe niebo zostawiał za sobą«.

Bądź co bądź, jakkolwiek *Lambro* po ukazaniu się *Konrada* i *Dziadów* był poniekąd spóźnionym współzawodnikiem *Konrada Wallenroda*, niemniej przeto Słowacki nie myślał go trzymać w tece. Natychmiast po przybyciu do Genewy i rozlokowaniu się w pensyonacie pani Pattey, pisał do matki, że wydrukuje *Lambra*, »bo czuje konieczną potrzebę nowego ukazania się na literackim świecie« [1]. I w kilka miesięcy potem pojawił się trzeci tom poezyj Słowackiego, który przyniósł *Lambra* i prócz tego kilka innych mniejszych utworów. Między niemi były pieśni rewolucyjne: *Hymn Bogarodzica, Kulig, Pieśń legionu litewskiego,* czyli jak się o nich Słowacki w liście wyrażał: »różne wiersze, znane w nieszczęściu naszej kuzynki« [2]) i *Duma o Wacławie Rzewuskim.*

Umieszczenie tych wierszy w trzecim tomie świadczyło, że przed wydaniem jego musiało zapaść w duszy Słowackiego ważne postanowienie. Dopóki te wiersze nie były drukowane w zbiorze jego poezyi, dopóki sam nie przypominał się światu i cenzurze rosyjskiej jako ich autor, mógł jeszcze myśleć o powrocie do kraju. W pierwszych dwóch tomikach nie było nic takiego, coby go czyniło w Rosyi politycznie podejrzanym; ale trzeci tomik zagradzał mu drogę powrotu. Wiedział o tem Słowacki, a przecież go wydawał, widocznie zatem postanawiał zrzec się na zawsze powrotu do kraju i zostać poetą emigracyjnym.

Jakie pobudki skłoniły go do takiego postanowienia? Znając jego dążenie do sławy i stosunek do Mickiewicza, nie można wątpić, że najważniejszą tu rolę odegrał przykład tego ostatniego. Mickiewicz także do chwili wydania trzeciej części *Dziadów* miał otwartą drogę powrotu do kraju, bo *Księgi pielgrzymstwa* były jeszcze wydane bezimiennie. Teraz, wydając tę część *Dziadów* wraz z *Ustępem* i wierszem *Do przyjaciół Moskali*, jako czwarty tom swych poezyi, wypisując na nim otwarcie swoje nazwisko,

---

[1]) Listy I, 167. [2]) Tamże, 174.

zamykał przed sobą tę drogę na zawsze, skazywał się dobrowolnie na wygnanie i zatykał na obcym gruncie swoją chorągiew poetycką, ażeby pod nią walczyć piórem, gdy walka orężna była skończona. Był to naturalny wynik poczucia swego posłannictwa; mógłże Konrad wracać tam, gdzie tylko jako Gustaw mógłby był głos podnosić. Ten krok Mickiewicza miał doniosłe następstwa; dokoła chorągwi przez niego zatkniętej zaczęła się gromadzić tak obfita i bujna literatura emigracyjna.

Słowacki zrozumiał, że wracając do kraju, i tam dalej uprawiając poezyę w granicach, jakie cenzura jej stawiała, schodziłby na stanowisko znacznie niższe od tego, jakie w ostatnim swoim poemacie zajął Mickiewicz i walki swojej o pierwszeństwo z Mickiewiczem musiałby zaniechać. Wprawdzie mógł być pewnym, że zająłby pierwsze pomiędzy poetami w kraju miejsce, ale takie ograniczone pierwszeństwo nie nęciło jego dumy. I to jest rys, który lepiej niż co innego wskazuje, że Słowacki miał pierś skrojoną nie na miarę krawca, szkoda tylko, że w piersi tej rozdymająca ją żądza sławy tak mało zostawiała miejsca dla innych uczuć. Mickiewicz skazywał się na wygnanie, bo widział w tem swój obowiązek, jako wieszcza narodu; Słowacki skazywał się na wygnanie, bo tak mu dyktowała żądza sławy [1]).

Wprowadzając do III tomu swych poezyi pieśni rewolucyjne, które niewinnemu pod względem politycznym

---

[1]) Że jeszcze na bardzo niedługo przed poznaniem III części *Dziadów* Słowacki myślał o powrocie do kraju, świadczą o tem słowa jego listu z października 1832, zwrócone do wuja Teofila: «Teofilu! Zdaje mi się, że Tobie dobrzeby było w Kijowie; miasto tanie i przyjemne; ja kiedyś także bym tam rad z Mamą mieszkał, tylko żeby mi to nie krępowało mojego zawodu, bo *Lambro* straszny...» (Listy I. 142). Wyobrażenie Słowackiego o niecenzuralności *Lambra* było przesadne i dlatego chciał z początku drukować ten poemat osobno, nie jako tom III, ażeby dwu pierwszym tomom nie przeszkadzał. (Tamże).

Lambrowi zagradzały drogę do kraju, Słowacki zatykał także banderę patryotyczną na swojej fregacie poetyckiej, chciał przypomnieć światu, t. j. emigracyi, swoją rolę Tyrteusza polskiego, swoje podobieństwo do Rigi, jednego z bohaterów *Lambra*. Tym sposobem zbliżał się niejako do nowego stanowiska, jakie zajął Mickiewicz, jako wieszcz narodu. Ale zanimby się w nowym jakimś utworze zmierzył z jego nowym Konradem, pragnął wydając *Lambra*, obronić go od tego przygniatającego sąsiedztwa, jakiem dlań była współczesność wielkiej postaci nowego Konrada, chciał uwydatnić to, co w jego mniemaniu stanowiło wyższość Lambra i stąd poszła przedmowa, w której pisał takie rzeczy.

»Świat myśli jest tak obszerny, że można w nim wyciągnąć nieodparte granicami ramiona. Szanuję szkołę religijną, ową wieczerzę pańską polskich poetów, do której zasiedli w Paryżu — sądzę bowiem, że wypływa z przekonania, że nie jest sztucznie natchnięta słowami Fryderyka Schlegla, który w katolickiej religii źródło jedyne poezyi upatruje. Oddaliłem się wszelako od idących tą drogą poetów; nie wierzę bowiem, aby szkoła De-la-Menistów i natchnięta przez nią poezya była obrazem wieku. Dant pisał o piekle, kiedy ludzie w piekło wierzyli, Wolter zgadzał się z wiekiem materyalizmu, Byron, rozpaczający o wątpliwą przyszłość poeta, zaczął wiek dziewiętnasty; ci trzej ludzie wyobrażają epoki, w których żyli, oblicza wieków odbite są na ich umysłowej twarzy, gdyby z myśli większej liczby ludzi, w owych czasach żyjących, można utworzyć było jeden posąg myśli, ten posąg byłby Dantem, Wolterem, Byronem. Wyżej nad nich wzniósł się Szekspir, bo on nie własne serce, nie myśli swojego czasu, lecz serca i myśli ludzkie niezależne od epoki przesądów malował i stwarzał władzą do boskiej podobną. Na niższym szczeblu stoją poeci ściśle krajowemi zamknięci obrębami, jak Goethe, Calderon, Walter-Scott, stoją

jednak wysoko i mocno, bo ich podstawami są narody. Szukajmy więc różnemi drogami treściwej myśli żywotnej naszego kraju; szczęśliwy, kto w ogniwie duszy własnej najwięcej promieni połączy i odbije. Lecz myli się ten, kto sądzi, że narodowość poezyi zależy na opisywaniu narodowych wypadków: wypadki są tylko szatą, ciałem, pod którem trzeba szukać duszy narodowej lub duszy świata«.

Co znaczyły te uwagi, tak dziwnie wyglądające w przedmowie, zwłaszcza po oświadczeniu, że autor postanowił zamknąć się »w jak najściślejszych obrębach potrzeby«, i co znaczyło to ustawianie poetów podług rang wielkości? Wszystko to staje się zrozumiałem przy świetle, jakie rzuca na tę przedmowę współzawodnictwo Słowackiego z Mickiewiczem, a w szczególności chęć wykazania, że Lambro jest wyższy w swoim pomyśle od Konrada z *Dziadów*, bo jest obrazem naszego wieku, czego o Konradzie powiedzieć nie można. Niedość tego, Słowacki chce utorować czytelnikowi drogę do przekonania, że Lambro odbijając w sobie »duszę świata«, odzwierciedla i »duszę narodową« pomimo greckiej swojej szaty, bo narodowość poezyi nie zależy na opisywaniu narodowych wypadków. Co się zaś tyczy insynuacyi, że katolicki charakter nowej poezyi Mickiewicza[1]) ma źródło w poglądach Fryderyka Schlegla i jest »sztucznie natchnięty«, to była ona jakby odpowiedzią na prywatny sąd Mickiewicza o poezyi Słowackiego, że jest ona pięknym kościołem bez Boga.

W końcu przedmowy autor zwracał się do narodu, do »Polaków«, i prosił ich o przebaczenie, że się dobija o jedno z niższych miejsc we wspomnieniach szczęśliwej

---

[1]) Słowacki w przedmowie nie wymienia ani razu Mickiewicza, ale rzecz widoczna, że to, co mówi o szkole religijnej poetów polskich, odnosi się głównie a nawet wyłącznie do Mickiewicza, bo wtedy jeszcze żaden z tych poetów, prócz niego, nie uderzał w ton religijny.

niegdyś przyszłości«. Było to jakby wezwanie do krytyki, ażeby zaprzeczyła tej przesadnej skromności poety i wyznaczyła mu to miejsce, jakie mu się w głębi jego przekonania należało — jedno z najwyższych, albo jeszcze lepiej: najwyższe ze wszystkich.

Z *Lambrem* ukazała się także i *Godzina myśli*, poemat daleko przewyższający *Lambra* szczerością uczucia, jeden z piękniejszych, rzetelniejszych poematów Słowackiego. Wprawdzie i tutaj Słowacki miał wzór bajroński przed sobą, mianowicie *Sen* Byrona, ale oryginalność poematu polegała na tem, że poeta czerpał treść wyłącznie z rzeczywistych, przeżytych wrażeń i uczuć swoich, a nie z książkowych reminiscencyi. Słowacki czuł dobrze tę siłę prawdy, jaką miała *Godzina* i jej wyższość nad *Lambrem*, gdy wyrażał w liście do matki nadzieję, że za ten poemat dadzą mu kiedyś miejsce w polskim Westminsterze [1]. Pobudką do napisania *Godziny* był niewątpliwie list Ludwiki Śniadeckiej, otrzymany przez poetę jeszcze 4 października 1832. Tego listu chciwie musiał oczekiwać Słowacki, bo w nim miał znaleść wrażenie, jakie na jego bajronicznie nastrojoną Laurę wywarły pierwsze dwa tomy jego poezyi. »W tych tworach — pisała Ludwika — chował się człowiek, nieraz się jednak zdradził, a jam go poznała«. Z tych słów Słowacki wnioskował, że jego Laura »gniewa się za mało pamięci o niej w książkach« i dodawał: »Spodziewam się, że jak wydrukuję *Lambra*, to mnie nie będzie obwiniać, abym się krył z mojemi uczuciami« [2]). Otóż *Lambro* zamało jeszcze odkrywał uczucia Słowackiego i tak jak poprzednie poemata nie zawierał wyraźnych dowodów pamięci poety o oddalonej kochance; zadanie to spełniła napisana wkrótce potem *Godzina myśli* [3]).

[1]) »Dla tego jednego poematu chciałbym, abyście tom III czytali kiedy. Matko moja, kiedyś w Westminsterze naszego kraju może mi dadzą kąt jaki!« Listy I, 174

[2]) Listy I, 156—157.

[3]) Należałoby sądzić, że *Godzina myśli* napisana była w grudniu

Pisząc ten piękny utwór, znał już Słowacki trzecią część *Dziadów*. Można też znaleźć pewną jej reminiscencyę w tym dwuwierszu:

I co dnia z łona Boga dusz zagasłych tłumy
Lecą na ziemię, jak gwiazd zepchnięta lawina,

który bardzo żywo przypomina słowa archanioła pierwszego z *Dziadów:*

Runęły z niebios, jak deszcz gwiaździsty, aniołów tłumy,
I deszczem lecą za niemi codzień mędrców rozumy.

Ale *Godzina* urodziła się w jakiejś szczęśliwej chwili, kiedy już minęło wzburzenie wywołane odczytaniem *Dziadów*, bo panuje w niej spokój i skupienie, na jakie Słowacki rzadko się zdobywał. Był to jakby wypoczynek przed dalszą walką o pierwszeństwo. A jednak walka ta i tutaj odbiła się dalekiem echem. Sąd wypowiedziany przez Mickiewicza, że jego, Słowackiego, poezya jest pięknym kościołem bez Boga, brzmiał mu ciągle w duszy, po części jako wyzwanie, po części jak zagadka. Po odczytaniu trzeciej części *Dziadów* zagadka rozjaśniała się i niemal przestawała być zagadką, wyzwanie zostawało i zaostrzało się.

W *Godzinie myśli* jest już odpowiedź na to wyzwanie, jakkolwiek bardzo jeszcze ciemna i niewyraźna. Poeta nie wypierał się, że w kościele jego poezyi nie było Boga, t. j. przyznawał, że ten kościół był »niedowiarstwem ciemny«, ale nie uważał jeszcze sobie tego za ujmę, bo wszakże takim samym był i kościół poezyi Bajrona. Chciał tylko wyjaśnić, uzasadnić taki stan swego kościoła i tu

---

1832, a to z powodu, że w liście poety z d. 8 grudnia jeszcze nie ma mowy o *Godzinie*, pod wierszem zaś postawił poeta, jako datę, rok 1832. Wszelako spokojny ton *Godziny* lepiej odpowiada pierwszym miesiącom pobytu w Szwajcaryi; trzeba też dodać, że pierwsza wzmianka o *Godzinie* w listach poety znajduje się pod datą 15 marca 1833.

mu się nastręczyła dobra sposobność złożenia winy na swoją bajroniczną Ludkę. Nie było w tem prawdy, ale była wykwintna bajroniczność; sądził że było mu z tem do twarzy, a i Ludka nie powinnaby się gniewać za tę rolę, jaką jej wyznaczał, fatalną wprawdzie, ale górującą, rozstrzygającą o kierunku jego uczuć i poezyi. Więc przy końcu *Godziny* znajdujemy obłokiem poezyi przesłonięte wyznanie, jak »dziecko z czarnemi oczyma, Anioła snów dziecinnych żegnało na wieki«. Aniołem snów dziecinnych była Ludwika Śniadecka, a żegnaniu miało towarzyszyć wyznanie miłości. Tę miłość odrzuciła starsza wiekiem kochanka, a to odrzucenie poryło serce poety »w setne skazy«; tracąc wiarę w szczęście, tracił wiarę i w Boga, nie tracił tylko wiary w swoją potęgę twórczą i przez zemstę »gmach budował niedowiarstwem ciemny«. Ale warto posłuchać własnych słów poety, których nie zastąpi streszczenie, choć służy do ich objaśnienia.

Tego wieczora dziecię ustami drżącemi
Anioła snów dziecinnych żegnało na wieki;
A potem bladą twarzą upadło do ziemi,
Jak zabite słowami, dumnym wstydem drżące,
Bo dziecko miało duszę, wielkiego człowieka
Przeczuciem nakarmioną. Wtenczas lat tysiące,
Wtenczas mu w oczach przyszłość stanęła daleka,
Świetna okrzykiem ludzi, a z temi obrazy
Obecna chwila czarnym łamała się cieniem,
Odrzuconą miłością, dumą, oburzeniem;
Serce, jak kryształ, w setne poryło się skazy,
I tak wiecznie zostało. Wszystkie czucia skarby
Ognistej wyobraźni rzucił na pożarcie,
Wyobraźnia złotemi rozkwitała farby,
I kładła się jak tęcza na ksiąg białej karcie;
Lecz nie było w niej wiary w szczęście ani w Boga,

. . . .

On, w głębi duszy słysząc krzyk szczęścia daremny,
Mścił się i gmach budował niedowiarstwem ciemny.

Jest w tym pięknym obrazie prawda i zmyślenie. Prawdą była wiara młodzieńca w świetną przyszłość i duma

jej towarzysząca, prawdą było, że Ludwikę Śniadecką obierał za cel swoich nawpół dziecinnych marzeń, i że ona z góry traktowała te marzenia (bo i traktować inaczej nie mogła). Wszystko poza tem było zmyśleniem: i scena pożegnania, która, jak wiemy z pamiętnika poety [1], inaczej się odbyła i przy innej dekoracyi, i to, że odrzucenie miłości miało tak fatalne następstwa i sprawiło, że gmach jego poezyi stał się »niedowiarstwem ciemny«. Jeżeli był on takim, to przedewszystkiem dlatego, że u Bajrona w tym rodzaju ciemność panowała. Ale do tego się przecież nie mógł przyznać Słowacki, a chciał jakoś poetycznie uzasadnić to, z czego mu zarzut robiono. Więc zwalił wszystko na Ludkę i jej obojętność. Ale nie zapomniał przytem ugodzić krytym sztychem w swego wielkiego przeciwnika, a to w następujących wierszach:

Ta budowa, ciężkimi myślami sklepiona,
Stała otworem ludziom; lecz by się w nią dostać,
Musieli wprzód, jak wielcy szatani Miltona,
Zmniejszać się i myślami przybrać karłów postać.

Była to mglista alluzya do katolickiego stanowiska, jakie zajął Mickiewicz w *Dziadach* drezdeńskich, pokrewna insynuacyi zawartej w przedmowie do *Lambra*, że »wieczerza pańska polskich poetów« w Paryżu jest sztucznie natchnięta słowami Fryderyka Schlegla [2].

Że te i inne alluzye, insynuacye i zwroty Słowackiego do Mickiewicza tak w przedmowie do *Lambra*, jak i w dawniejszej przedmowie do tragedyj, nie mogły podobać się Mickiewiczowi i źle go uprzedzały do młodego współzawodnika, to rzecz naturalna. To też zamiast wdać się

---

[1] Listy I, 15—16.

[2] Pokrewnemi są także uwagi o Mickiewiczu w liście do matki z 9 listopada 1832: »... Mickiewicz bardzo już ostygł w poezyi. W rozmowach ciągle religię na plac wyprowadza, uniewinnia papieża, nawet bullę, słowem, że mi się, jako obecnie żyjący człowiek nie podoba. (Listy I, 1848—1849).

w obszerną polemikę ze Słowackim, której ten widocznie pragnął i do której wyzywał, Mickiewicz dość lekceważąco potraktował młodego przeciwnika w emigracyjnem piśmie *Pielgrzym polski*, w którem wówczas brał udział: podał suchą wiadomość o pojawieniu się trzeciego tomu poezyj Słowackiego, a jakby dla charakterystyki poety przytoczył parę ustępów z przedmowy do *Lambra*, w których się dostatecznie malowała pretensyonalność Słowackiego. Było tam powtórzone i wyzwanie jego, ale tylko powtórzone i zostawione bez odpowiedzi [1]).

O tej recenzyi z przekąsem odzywał się Słowacki w liście do matki z 6 czerwca 1833. »Przemowa (do *Lambra*) krótka i gryząca trochę obraziła Mickiewicza. Zemścił się w jednem z małych pisemek, ale dosyć niezgrabnie« [2]). A w kilka miesięcy potem (w listopadzie 1833), kiedy już nie krył się przed rodziną z nienawiścią ku Mickiewiczowi za piętno hańby rzucone na doktora Bécu w *Dziadach*, jeszcze raz zwracał się do owej recenzyi, ale zapomniawszy widocznie o tem, co dawniej pisał, o tem, że sam swoją przedmowę nazwał gryzącą, przedstawiał teraz tę rzecz w innem świetle. »Wyjątek z mojej przedmowy on obciął i umieścił w pisemku, ale tak obciął, że mu dał inne zupełnie znaczenie, pozór jakiejś uszczypliwości, a przemowa moja jest raczej moim usprawiedliwiedliwieniem i wszyscy, którzy ją całą przeczytają, przyznają, że Adam ze złą wiarą postąpił« [3]).

Oskarżenie niesłuszne. Sam Słowacki nazywał swoją przemowę »gryzącą«, a potem gniewał się, gdy tę jego chęć gryzienia Mickiewicz uwydatniał. Więc złej woli ze strony Mickiewicza nie było, ale było, jak to już powie-

---

[1]) Porówn. autograf recenzyi przedrukowany przez dr. Br. Gubrynowicza w artykule »Współpracownictwo Mickiewicza w *Pielgrzymie polskim*«. Pamiętnik Tow. imienia Adama Mickiewicza. Rocznik szósty. 1898. Str. 364—365.

[2]) Listy I, 186.

[3]) Listy I. 214.

działem, lekceważenie, na które sobie Słowacki zarobił wyzywającą pretensyonalnością swoich przedmów. Zewnętrzną piękność poezyi Słowackiego Mickiewicz niewątpliwie i teraz, jak przedtem, uznawał, ale ten piękny kościół odstręczał go pustką; nie widział on tam żadnego innego ołtarza prócz tego, który poeta dla własnego *ja* wystawił.

ROZDZIAŁ III.
W Szwajcaryi.
1833—1836.

Chęć zmierzenia się z nowym utworem Mickiewicza. — Stosunek *Kordyana* do *Dziadów* trzeciej części i do *Wacława* Garczyńskiego. — Co znaczy prolog w tym dramacie. — Słowacki nastraja się patryotycznie. — Recenzya *Kordyana* w dzienniku *Le Polonais;* jak ją przyjął Słowacki. — Wrażenie, jakie sprawił na nim *Pan Tadeusz.* — *Balladyna.* — Znaczenie epilogu. — Myśli matrymonialne Słowackiego; stosunek z Maryą Wodzińską. — Pragnienie większej doskonałości poetyckiej.

Wydawszy trzeci tom swych poezyj, Słowacki zaraz zaczął myśleć o tem, jakby się zmierzyć z nowym utworem Mickiewicza, który luzując *Wallenroda,* stawał u szczytu poezyi polskiej. Dotychczas zdołał on tylko — w przemowie do *Lambra,* w *Godzinie myśli* — rzucić parę pocisków przeciwko kierunkowi trzeciej części *Dziadów;* teraz chodziło o coś ważniejszego dla poety i trudniejszego: o stworzenie poematu w rodzaju drezdeńskich *Dziadów,* o pokazanie, że autor *Lambra* i w tym nowym rodzaju dorówna Mickiewiczowi, a może go i przewyższy. Już w połowie lipca 1833 pisał do matki: »Czekam z niecierpliwością dzieł Kochanowskiego: zastąpią mi one w pewnym względzie obcowanie Polaków i pomogą wielce w pisaniu nowego poematu, którego pierwszą część pod zmyślonem imieniem wydać sobie zamierzam« [1]. Chciał więc naostrzyć klingę

[1]) Listy I, 194.

poetycką do nowego boju i już z góry postanawiał sobie wystąpić z zamkniętą przyłbicą, co juźci oznaczało mniejszą pewność zwycięstwa.

Zanim zamiar nowego utworu został wykonany, dostał Słowacki do ręki świeżo wydany poemat Garczyńskiego: *Wacława Dzieje*, który nosił na sobie wyraźne ślady wpływu trzeciej części *Dziadów;* był tak samo jak tamten fantastycznym, z mocno napiętą struną patryotyczną, tak samo przedstawiał wewnętrzne przeobrażenie bohatera-poety, tak samo wreszcie urwanym. Dla Słowackiego ukazanie się *Wacława* było nowym i silnym bodźcem, aby zabrać się do napisania poematu w stylu przez Mickiewicza w *Dziadach* obranym. I było zarazem ułatwieniem. Muza Słowackiego o ile miała wielką łatwość naśladowania, kojarzenia, kombinowania, strojenia i ozdabiania cudzych motywów, o tyle mało zdolną była do ich oryginalnego tworzenia, co było przedewszystkiem skutkiem braku społecznych uczuć w Słowackim. Stawać do zapasów z Konradem z *Dziadów* i od niego tylko pożyczać motywów do współzawodniczego poematu, chociażby inaczej obróconych i rozwiniętych, przedstawiało wiele niedogodności; ale z motywów, zawartych w dwu pokrewnych poematach, skombinować coś trzeciego, było zadaniem o wiele łatwiejszem, przy którym daleko łatwiej można było ukryć brak własnej oryginalności. To też potem, po zaznajomieniu się z *Wacławem* Garczyńskiego, robota poszła żwawo i poeta w ciągu dni 20 napisał 2200 wierszy [1]).

Donosząc o tem matce, dodawał: »Czuję jakąś pociechę, myśląc, że moja młodość nie jest zupełnie stracona dla dobra ojczyzny mojej, przynajmniej tak sobie powiadam i słodzę tem wszystko«. Czuł więc dobrze Słowacki, że jego poezya obiera nowy tor — patryotyczny, idąc w tem w ślad za *Dziadami* drezdeńskiemi i *Wacławem* Garczyńskiego. Ale czy zdawał sobie poeta sprawę z po-

---

[1]) Listy I, 217.

budek, które go na ten tor wepchnęły. Zapewne nie, jak sobie z tego nie zdają sprawy liczni wielbiciele Słowackiego, stawiający go, jako patryotę, na równi z Mickiewiczem i Krasińskim. Niestety, jego patryotyzm pochodził z głowy nie z serca; obierał on ten kierunek nie wskutek wzruszeń, wywołanych powstaniem listopadowem, bo w najgorętszych i najfatalniejszych jego chwilach mógł się akademicznie oddawać poezyi, pisząc *Żmiję*, a po upadku powstania bajronizował tak samo, jak przedtem, w swoim *Lambrze*. Na nową drogę wciągnęła go przedewszystkiem żądza sławy, której się na innej drodze poetyckiej wówczas dobić trudno było, chęć prześcignięcia wielkiego przeciwnika, który tędy poszedł i nowemi się ozdobił laurami. Sam on prawie przyznawał się do tego w liście do matki, gdy nazywając swój nowy utwór »wielkiem dziełem« i zapewniając, że się nie zaślepia, że to dzieło osądził »obcego człowieka rozwagą«, dodawał: »drukuję bezimiennie, będzie tak równiejsza walka z Adamem«[1]. O walkę więc głównie chodziło; nie idea patryotyczna, ale nadzieja zwalczenia, prześcignięcia Mickiewicza była gwiazdą przewodnią poety przy pisaniu *Kordyana*. Zapewne, można wierzyć poecie, że i uczucia synowskie odegrały tu pewną rolę i dużo akcentu prawdy mają te słowa poety w liście (już cytowanym) do matki: »Nic mi nie pozostaje, jak okryć ciebie, Matko moja, promieniami takiej sławy, aby cię inne ludzi pociski dojść nie mogły...«. Ale i w tych słowach uczucie dla matki występuje jakby nierozdzielnie złączone z żądzą sławy, jakby jakąś przynależność tej żądzy stanowiące.

Jakiż jest stosunek *Kordyana* do *Dziadów?* Miała to być tak samo historya wewnętrzna ducha poety, osadzona na tle wypadków politycznych i tak samo miała mieć formę napół fantastycznego dramatu. Historya ta u Słowackiego była dotychczas bardzo uboga: prócz żądzy

---

[1]) Listy I, 215.

sławy, która go od dzieciństwa trawiła, nie było w niej silniejszych uczuć, bo jego dziecinna miłość dla Ludwiki, była także tylko jakby attynencyą tej żądzy, z głowy nie z serca brała początek. To, co było ciekawego w tej historyi, zawarł w *Godzinie myśli*, a choćby się powtórzył, to przecież nie było z czego stworzyć poematu, któryby mógł się mierzyć z III częścią *Dziadów*. Trzeba więc było dokomponować historyę swego ducha, wymyśleć jakieś przeobrażenie się, któreby odpowiadało przeobrażeniu się Gustawa w Konrada; Słowacki to zrobił i w tem zapewne tkwił jeden z powodów bezimiennego wydania *Kordyana*, bo jeśli poeta utożsamiał się ze swoim bohaterem, co było rzeczą z wielu ustępów widoczną, to w ten sposób wystawiał się na porównanie swego stanowiska patryotycznego ze stanowiskiem swego bohatera, co musiało prowadzić do niepochlebnych dla poety wniosków. Kordyan rwęcy się do poświęcenia i poeta, uchodzący z Warszawy w czasie najgorętszego ruchu, to była niezgodność zbyt rażąca. Bezimienność poematu naturalnie miała być chwilową, miała ułatwić powodzenie jego, a potem blask sławy wyrównałby wszystko.

Pierwsze dwa akty przedstawiają Kordyana przed jego przeobrażeniem się wewnętrznem. Poeta włożył tu z siebie, co mógł: więc swój bajroniczny sceptycyzm, swoją miłość dziecinną dla starszej wiekiem Ludwiki, swoje myśli, a raczej fantazye samobójcze, swoje wrażenia z podróży po świecie; do tego dokomponował trzy sceny, albo raczej trzy stosunki: z Grzegorzem, Violettą i papieżem. Grzegorz jest postacią sztuczną, pożyczoną z *Dziadów*, o ile przypomina Kaprala, to znów w piosence o Janku, co psom szył buty, jest echem *Wacława*, to jest piosnki Nieznajomego o pchle, którą zresztą Garczyński wziął z *Fausta* Goethego [1]). Scena z Violettą nie ma w sobie nic analogi-

[1]) Możnaby myśleć, że Słowacki tworząc postać Grzegorza miał i żywy model w pamięci, to jest pewnego starego sługę, który mu

cznego ani z *Dziadami*, ani z *Wacławem;* wymyślił ją poeta, albo wreszcie może wziął ją z bardzo poziomych wspomnień, ale podniósł w sferę wyższej fantazyi, ułożył bardzo szczęśliwie, oblał czarem i blaskiem swego słowa. To też scenę tę, oddzielnie wziętą, można nazwać koncertowym kawałkiem; jest ona jakby *pendant* do rozmowy Kordyana z Laurą, która także jest koncertową, to jest z samych efektownych zwrotów ułożoną i która, jak to zobaczymy, w inny się jeszcze sposób wiąże z poprzednią. Myślę nawet, że scena z Violettą lepiej się udała poecie, i że mimo awanturniczego pomysłu o złotych podkowach, przypominającego śmiałość fantazyi Szekspirowskiej, jest więcej szczerości w tej scenie, niż w tamtej; szczerszym jest wzgardliwy ton słów Kordyana zwróconych do Violetty, niż Hamletowskie rozmyślania i bajroniczne pozy, które on przybiera w rozmowie z Laurą.

Scena u papieża była zapewne echem wrażenia jakie w wielu kołach emigracyjnych w Paryżu wywarła encyklika Grzegorza XVI do biskupów polskich, powstrzymująca ich od mięszania się do spraw politycznych. Jako panflet polityczny ułożona zręcznie, dowcipnie i złośliwie, w ogólnym planie poematu jest zupełnie zbyteczną. Słowacki ją tu przyplątał dlatego, że chciał uwydatnić różnicę pomiędzy swojem stanowiskiem względem Kościoła, a stanowiskiem Mickiewicza, który, według cytowanych już dawniej słów Słowackiego, uniewinniał w prywatnych rozmowach papieża, nawet bullę [1]).

Scena na szczycie Mont-Blanc, zamykająca akt drugi, w pomyśle swoim jest splątanem echem wielkiej improwizacyi *Dziadów*, przeobrażenia Gustawa w Konrada, a także

usługiwał w Warszawie w czasach, gdy poeta był trawiony gorączką; powiada bowiem w swoim Pamiętniku, że w chorobie bawił się czasem oryginalnem opowiadaniem tego sługi. Ale na to przypuszczenie nie pozwala charakterystyka sługi, podana w tymże Pamiętniku (Listy I, 24) a wcale niezgodna z charakterystyką Grzegorza.

[1]) Listy I, 148.

tej sceny z *Wacława*, kiedy Wacław pod wpływem melodyi narodowej postanawia cały oddać się ojczyźnie. W porównaniu z Improwizacyą Mickiewicza wygląda poniekąd na parodyę, taki tu w niektórych ustępach brak szczerości poetyckiej, taka teatralność wyrażeń. Poeta chciał przedstawić i uzasadnić przeobrażenie się wewnętrzne bohatera, zbudzenie się w nim zapału patryotycznego, a do wyrażenia tego nie znajdował nic w historyi własnego ducha i stąd to taka sztuczność i teatralność Kordyana w tej scenie [1]). Jest on śmieszny nawet, gdy ze szczytu Mont-Blanc szuka wielkiej idei, jak gdyby idea była jakiemś zjawiskiem fizycznem i gdy lody szwajcarskie niewiadomo dlaczego stawią mu przed oczy poświęcenie się Winkelrieda i budzą w nim miłość dla Polski, a zarazem myśl o posłannictwie Polski, jako Winkelrieda narodów. Wszystko to sztuczne i nagłe, prawdziwe salto mortale, które Kordyan wykonywa skacząc z góry Mont-Blanc do szkoły podchorążych w Warszawie.

A jednak poeta usiłował ten skok swojego bohatera uzasadnić. Oto co Kordyan powiada o sobie:

Uczucia po światowych opadały drogach...
Gorzkie pocałowania kobiety — kupiłem...
Wiara dziecinna padła na papieskich progach...
Nic, nic, nic, aż w powietrza błękicie
Skąpałem się i ożyłem,
I czuję życie!

Jest tu jakby streszczenie i powiązanie jedną myślą rzuconych przedtem luźnie obrazów, ale poeta nie dostrzega braku konsekwencyi w tem powiązaniu. Gorzkie, kupione pocałowania kobiety dobrze wyrażają skargę poety

---

[1]) Przyznaję że kiedy miałem lat dwadzieścia, a nawet trochę więcej, nie było dla mnie nic piękniejszego od tej sceny, bo jest to wiek, w którym teatralność nie razi, owszem przypada do smaku, a do ocenienia szczerości i prostoty nie ma jeszcze odpowiedniego doświadczenia.

na brak wzajemnej miłości, ale cóż znaczy wiara dziecinna padająca na papieskich progach? Słowacki do szczętu zapomniał, że jego Kordyan oddawna już nie miał tej wiary dziecinnej, jeszcze kiedy parafrazował monolog Hamleta; wybierał się rąbać nadpróchniałe krzyże i przykładał lufę pistoletu do czoła. W tę niekonsekwencyą popadł Słowacki przez chęć położenia nacisku na scenę, która miała uwydatniać różnicę w poglądach między nim a Mickiewiczem. Co się tyczy »skąpania się w błękicie powietrza« i odświeżenia ducha, to jakkolwiek ono nie jest dostatecznem do uzasadnienia Kordyanowego *salto mortale*, przecież znajduje pewien grunt w historyi ducha poety.

Skąpanie się w powietrzu szwajcarskiem, to jest pobyt w Genewie, mogło nietylko na stan fizyczny Słowackiego pomyślnie oddziaływać, ale i na moralny. Po drażniącem życiu paryskiem znalazł się on tu w warunkach, które jak najlepiej sprzyjały uspokojeniu się i skupieniu ducha. Miał piękne widoki przyrody szwajcarskiej przed oczyma, z taflą jeziora genewskiego u dołu, ze szczytem Mont-Blanc u góry; miał życie wygodne i swobodne i mógł z wielką łatwością przechodzić od pracy i ciszy do rozrywki; otoczony był najtroskliwszą, najczulszą opieką gospodyni domu i jej córki, Eglantyny Pattey, która nietylko w nim była zakochaną, ale umiała to nawet bardzo poetycznie wyrażać (gdyby on umarł, toby ona jego serce w urnie srebrnej piechotą do kraju zaniosła)[1]; używał w różnorodnem towarzystwie, które go otaczało, sławy poetyckiej, »małej sławy«, jak się wyrażał, która nadawała urok jego postaci. Sam poeta spostrzegał dodatni wpływ genewskiego otoczenia, gdy pisał do matki: »Pobyt w Dreźnie, w Londynie, w Paryżu, zupełnie inne obrazy i bardzo wydatne odcieniami zostawiły w mojej pamięci. Pobyt w Genewie różni się zupełnie i spodziewam się, że utworzy obraz wspomnień najcichszy i najprzyjemniejszy«[2].

[1]) Listy I, 184. [2]) Tamże 172.

Nawet żywa tradycya o Kościuszce, ze czcią powtarzana przez Szwajcarów, uszlachetniająco działała na egoistyczne usposobienie Słowackiego i budziła w nim nowe pragnienia. Powtarzając matce w jednym z listów historyę o koniu Kościuszki, który się sam zatrzymywał przed każdym żebrakiem, autor *Lambra*, który dotychczas wzgardę dla ludzi uważał za szczyt poetycznego nastroju, dodaje z westchnieniem: »O matko moja, jakbym ja chciał być dobrym człowiekiem...« [1]. Ale od tych uspakających i uszlachetniających wrażeń do jakiegoś przełomu wewnętrznego, któryby odpowiadał Kordyanowemu *salto mortale*, droga była bardzo daleka. Nie było go też w duszy Słowackiego w owych czasach i w tym względzie jego Kordyan nie był wyrazem własnego ducha poety, ale tylko echem — pośredniem lub bezpośredniem — Konrada.

Akt III roztacza tło polityczne, na którem występuje postać przeobrażonego Kordyana — w mundurze podchorążych. Szukając tła, odpowiadającego obrazowi prześladowania Filaretów w *Dziadach*, Słowacki nie mógł znaleść nic lepszego od chwili spisku koronacyjnego, którą mu podsuwał poemat Garczyńskiego. Sam wprawdzie nie należał do spisku, nie znał go z wnętrza, ale znał atmosferę Warszawy w owych czasach, stosunek ludności do Wielkiego Księcia, zapał nurtujący w młodzieży. Więc wyobraźnia jego miała obfity materyał do układania efektownych obrazów. Dzięki temu akt III ma wiele ruchu i życia. Co się tyczy Kordyana, to jego patryotyczne uniesienia są retoryką, nie zawsze zrozumiałą, i pozą, która szczytu dosięga w owem *excusez du peu:* »Narodowi zapisuję, co mogę... Krew moją i życie i tron do rozporządzenia próżny«. I nie mogło być inaczej: akcentu prawdy i szczerości nie mógł dać Słowacki patryotyzmowi Kordyana, bo patryotyzmu w samym poecie jeszcze nie było. Wciągał on go dopiero w siebie wyobraźnią, napełniał się nim

[1]) Tamże 177.

zzewnątrz, z poezyi mickiewiczowskiej. Ale dał swemu bohaterowi jedną rzecz z siebie, rzecz, która uczyniła tę postać oryginalną, żywą, zajmującą, mianowicie dał mu gorączkową wyobraźnię, zdolność miewania wizyi, dorównywających żywością swoją obrazom rzeczywistym. Kordyan z bagnetem w ręku, w dyalogu z Imaginacyą i Strachem, jest rodzonym bratem Lambra, którego pod wpływem napoju makowego oblęgają mary gorączkowe; obaj noszą na sobie piętno wyobraźni samego poety.

Poemat Słowackiego jeszcze i pod tym względem jest echem *Dziadów*, że jest jak one nieskończonym, i jak one zaczyna się od wstępu (nazwanego »Przygotowaniem«), w którym występują nadziemskie potęgi, złe i dobre, mające wpływać na losy ludzkie. Tylko w *Kordyanie* wpływ tych potęg nie jest zwrócony ku osobie bohatera, jak w *Dziadach*, ale się odnosić ma do całego narodu; szatani w pierwszą godzinę nowego, dziewiętnastego wieku stwarzają narodowi polskiemu dygnitarzy. Pochop do tego pomysłu może dała Słowackiemu scena fantastyczna Garczyńskiego p. t. *Wizya*, w której czarownica wywołuje przed oczami poety rozmaite wcielenia szatana. Możnaby myśleć, że i samo imię bohatera poematu, wymyślone przez Słowackiego, a utworzone z łacińskiej nazwy serca, podsunięte zostało zakończeniem *Wizyi*, ostatniemi jej wyrazami, określającemi szatana jako »człowieka — bez serca«. Jakkolwiekbądź, *Przygotowanie* bardzo luźnie wiąże się z samym pomatem. Z dygnitarzy utworzonych przez szatana jeden tylko Niemcewicz występuje w poemacie jako prezes spisku, hamujący zapał i gotowość do poświęceń Kordyana. Wiadomo, że Niemcewicz wmieszany został przez Słowackiego do spisku, jak Piłat w Credo, ale gdyby nawet odegrał był w nim rolę, jaką mu poeta wyznaczył, to jeszcze tworzenie całej machiny piekielnej, ażeby uzasadnić w starcu panowanie rozwagi nad zapałem, byłoby niedorzecznością. Ale Słowacki, jak się zdaje, chciał swoim wstępem do *Kordyana*, umieszczonemi tam zagadkami,

odnoszącemi się do ludzi, o których najwięcej mówiono w emigracyi, zainteresować, zaintrygować ogół emigracyjny i nadać tem większy rozgłos swemu poematowi; mógł przytem i osobiste rachunki załatwić. Takim osobistym rachunkiem jest niewątpliwie pełne złości i urągania przedstawienie Lelewela, który jako autor broszury *Nowosilcow w Wilnie*, przedstawiającej doktora Bécu w charakterze zausznika pana senatora, stał mu się nienawistnym; na taki rachunek zakrawa i charakterystyka Niemcewicza, bez śladu uszanowania dla wielkiej a zasłużonej powagi starca. Nie wiemy, czem sobie zraził sędziwy autor *Śpiewów historycznych* Słowackiego; najpewniej jakąś prywatną krytyką jego poezyj, która doszła uszu niesłychanie drażliwego na ujemne sądy ludzkie poety. Czytając te i inne charakterystyki, mimowoli przypominamy sobie fatalną przyjaźń Słowackiego ze Skibickim, który go na rok przedtem namawiał do napisania poematu drwiącego »o luminarzach naszych«. To też o wstępie do *Kordyana* można powiedzieć, że w nim pokutuje duch Skibickiego.

Mickiewicz nigdzie nie został dotknięty w owem *Przygotowaniu*, bo na to Słowacki wyznaczał osobny ustęp, nazwany przez niego prologiem. Był to plac odmierzony do walki z najbardziej nienawistnym wrogiem. W Prologu przemawiają trzy osoby: pierwszą z nich ma być Mickiewicz, między dwie drugie rozdzielił Słowacki siebie. Mickiewicz przedstawia tu siebie takim, jakim się wydał Słowackiemu, jako autor trzeciej części *Dziadów*. Trzeba oddać tym razem słuszność Słowackiemu, że pomimo wytężonego antagonizmu, przedstawił swego przeciwnika wprawdzie niezupełnie wiernie i z akcentowaniem stron ujemnych, w każdym razie w rysach nie odbiegających daleko od rzeczywistości. Oto jak przemawia pierwsza osoba prologu:

Boże! ześlij na lud twój wyniszczony bojem
Sen cichy, sen przespany, z pociech jasnym zdrojem;
. . . .
Niech się we łzach nie budzi przed dniem zmartwychwstania,
A mnie daj łzy ogromne i męki niespania,

Po mękach wręcz mi trąbę sądnego anioła;
A kogo przed tron Boga ta trąba zawoła,
Niechaj stanie przed tobą. Daj mi siłę, Boże,
A komu palec przekleństw na czoło położę,
Niech nosi znak na czole...

. . . .

A kto ja jestem? Jestem duch Apokalipsy...

. . . .

W ręku siedem gwiazd niosę, a z ust mi wytryska
Miecz ostry, obosieczny; a twarz moja błyska
Jak słońce w całej mocy wyświecone kołem.
A gdy przedemną na twarz upadniecie czołem,
Powiem wam... Jestem pierwszy... i ostatnim będę.

Mistyczna charakterystyka pierwszej osoby prologu w znacznej części wzięta jest niemal dosłownie z *Objawienia św. Jana,*[1] ale dość zręcznie zastosowana do autora trzeciej części *Dziadów,* w której pierwiastek mistyczny tak ważną odrywa rolę. Wogóle w tej charakterystyce Mickiewicza miłość ojczyzny, duma i mistycyzm, te trzy główne tony *Dziadów,* uwydatnione są, jak widzimy bardzo trafnie, ale najsilniejszy nacisk położył Słowacki na dumę i dlatego w zwierciedle swego prologu wykrzywił

---

[1]) Dla porównania przytaczam odpowiednie ustępy z *Objawienia św. Jana:* (Rozdz. I, 12—17).

12. I obróciłem się, abym obaczył głos, który mówił ze mną. A obróciwszy się ujrzałem siedm świeczników złotych.

13. A w pośrodku onych siedmi świeczników złotych podobnego Synowi człowieczemu, obleczonego w długą szatę i przepasanego u piersi pasem złotym.

14. A głowa jego i włosy były białe, jako wełna biała, jako śnieg, a oczy jego jako płomień ognia.

15. A nogi jego podobne mosiądzowi, jakoby w piecu rozpalonemu, a głos jego jako głos wiela wód.

16. A miał na swej prawej ręce siedm gwiazd, a z ust jego miecz z obu stron ostry wychodził: a oblicze jego jako gdy słońce świeci w swej mocy.

17. A gdym go ujrzał, padłem do nóg jego, jako martwy. I włożył prawą rękę swoję na mię, mówiąc: Nie bój się! Jam ci jest pierwszy i ostateczny etc.

obraz swego przeciwnika. W okrzyku: »Jestem pierwszy i ostatnim będę«, pochwyconym także z Apokalipsy, było jakby oskarżenie Mickiewicza, że nie chce dopuścić nikogo do współrzędnego panowania w poezyi polskiej, albo jeszcze lepiej, że nie chce uznać Słowackiego za swego następcę i dziedzica swego tronu.

Druga osoba prologu przedrwiwa mistyczny zapał pierwszej. Słowacki za pośrednictwem tej drugiej osoby chciał przypiąć Mickiewiczowi kilka łatek, dość niefortunnych: więc, że podobny z postaci do tureckiego derwisza, że już siwieje, że słowa poetyckiego używa do zemsty na wrogach osobistych. Druga osoba jest jakby na to tylko wprowadzona, aby nadać pozór bezstronności trzeciej, która »spędza zwaśnionych obu ze scenicznych progów«, i zająwszy ich miejsce, zapowiada i zaleca nową poezyę patryotyczną — poezyę Słowackiego. Oto jak przemawia:

Zwaśnionych obu spędzam ze scenicznych progów.
Dajcie mi proch zamknięty w narodowej urnie,
Z prochu lud wskrzeszę, stawiam na mogił koturnie,
I mam aktorów wyższych o całe mogiły.
Z przebudzonych rycerzy zedrę całun zgniły,
Wszystkich obwieję nieba polskiego błękitem,
Wszystkich oświecę duszy promieniem i świtem
Urodzonych nadziei — aż przejdą przed wami
Pozdrowieni uśmiechem — pożegnani łzami.

Zapowiedź bardzo niejasna. Cóż znaczą »aktorowie wyżsi o całe mogiły«? Zdaje się, że poeta chciał tu wskazać wyższość swego bohatera i jego towarzyszy nad Filaretami, bohaterami poematu Mickiewicza, wyższość polegającą na tem, że tamci narazili się tylko na więzienie i wygnanie, ci zaś położyli głowy. Ale czy położyli? W pierwszej części *Kordyana,* t. j. w tej, która jedynie istnieje, tego nie widzimy, zapowiedź zatem mogła się odnosić do dalszych części dramatu, o których poeta zapewne na seryo nie myślał, których planów nie układał, bo jak pierwsza część *Kordyana* była jakby echem pierwszego

aktu trzeciej części *Dziadów*, tak i te dalsze części mogły były ułożyć się w głowie Słowackiego tylko pod wpływem dalszego ciągu *Dziadów*. Ale jest w tem zaleceniu *Kordyana* jeden wiersz, który bardzo trafnie charakteryzuje główną właściwość, główny urok poezyi Słowackiego, i świadczy, że poeta, jeśli nie zdawał sobie dokładnie sprawy, to przynajmniej czuł instyktowo, co jest tą właściwością, tym urokiem, co stanowi główną siłę jego poezyi. »Wszystkich obwieję nieba polskiego błękitem«, powiada trzecia osoba prologu, a z tej zapowiedzi błyskają ku nam tysiące ulotnych obrazów przyrody polskiej i niepolskiej, oblanych światłem poezyi, a stanowiących istotny skarb wątpliwej nie pod jednym względem spuścizny po Słowackim.

Wiemy, że Słowacki nazywał swój nowy utwór »wielkiem dziełem«; podczas drukowania *Kordyana* pisał do matki: »Wyjście na świat tego poematu będzie dla mnie bardzo ważną epoką« [1]). Sądził, że *Kordyan* objawi go światu, a przynajmniej Polsce, jako wieszcza narodowego, a poruszając świeże uczucia i wspomnienia, wyniesie go odrazu na piedestał sławy. Zostawał on sam poniekąd pod wpływem własnego poematu i patryotyzm *Kordyana*, więcej z wyobraźni, niż z własnych wzięty wrażeń, udzielał się teraz samemu poecie. Domyślać się tego można z niektórych poetycznych westchnień poety, pojawiających się w listach do matki od czasu napisania *Kordyana*. Tak opowiadając matce (w liście pod datą 30 listopada 1833) o jakiejś wycieczce w młodej kompanii na wieś, podczas której wśród innych pieśni śpiewano chórem »Święty Boże«, Słowacki dodaje: »Wystawcie sobie tę garstkę na obcej ziemi, a pewno uczujecie wrażenie, jakiem nas natchnęła ta pieśń pobożna... Nasze uczty połączone są ze smutkiem. Łzy pijemy w naszych kielichach i kielichy są pełne goryczy... dopóki Bóg ich od nas nie odwróci« [2]). W innym,

---

[1]) Listy I, 220. [2]) Tamże, 216.

późniejszym liście, prawie bezpośrednio po oznajmieniu, że wyjście na świat *Kordyana* ma być ważną dla poety epoką, znajdujemy takie westchnienie: »O, gdybyście wiedzieli, jak mi się nasz kraj pięknym wydaje! szczególniej Litwa, do niej kiedyś świętą zrobię pielgrzymkę« [1]).

Puściwszy w świat *Kordyana*, przyczajony w bezimienności poeta z bijącem sercem wyczekiwał odgłosu wrażenia, jakie jego poemat wywrze na emigracyi, która była wówczas duszą i kwiatem polskiego społeczeństwa. Nie wstrzymywało to jednak rozbudzonej jego wyobraźni od dalszego tworzenia, i zaraz po napisaniu *Kordyana* zabrał się do pisania innego utworu dramatycznego, który, jak się mozna domyślać, pokrewny był treścią *Kordyanowi*. »Donoszę ci, mamo, pisał 24 marca 1834, że teraz zajęty jestem pisaniem nowej tragedyi: o Wallasie szkockim rycerzu... Wiesz, co mię do niej przywiodło? Długo myślałem, jaki w dziejach różnych narodów najczystszy jest bohater i z najpiękniejszą duszą. Przypomniało mi się, że niegdyś w dzieciństwie, kiedyś mię Mama do uczenia się francuskiego języka zachęcała, mówiłaś mi: »Poznasz Wallasa życie«. Samo imię Wallas uderzało magnetycznie na moją imaginacyę... Wystawiałem sobie coś podobnego do burzy, która w a l i l a s y. Nie mogę zdać sprawy z tego wrażenia, ale czuję je dotąd... W kilka lat potem czytałem romans: *Les Chefs Ecossais*. Mama wtenczas grałaś na fortepianie smutnego niemieckiego walca. Smutne wrażenie romansu tak się pomieszało z tą muzyką, że dzisiaj przez walc tylko romans widzę jak we mgle... Teraz w różnych historyach poznałem się z rzeczywistym Wallasem. Już w tragedyi nie romansowie, ale w historycznej prawdzie maluję tego człowieka, ale składając tragedyę i pisząc ją teraz, często wstaję od stolika i idę do fortepianu i gram tego samego walca, aby koloryt wspomnień smutkiem napełnił moje karty«. Na-

---

[1]) Tamże I, 220—221.

stępnie dodawał, że tragedyę tę chce poświęcić pamięci swego wuja Jana, który zginął w powstaniu [1]). Z tej genezy, przez samego poetę podanej, łatwo wyrozumieć, że Wallas miał być owocem tego nastroju patryotycznego, który fantazya poety przybrała w ciągu pisania *Kordyana.*

Czując w sobie wzbierającą twórczość, a niczem nie drażniony z zewnątrz, czując, że w *Kordyanie* wszedł na drogę, która go musi zaprowadzić do sławy, czując, że »jest tem, czem być powinien«, że »nie minął swego powołania«, Słowacki był zadowolony z siebie i ze swego ustronnego życia i tak pisał do matki jeszcze przed otrzymaniem jakichkolwiek wiadomości o powodzeniu swego *Kordyana:* »Wszystkie przyjemności życia mijają mię i obchodzą kołem, mówiąc »nie przeszkadzajmy temu człowiekowi, on o przyszłości pogrobowej marzy«. O Mamo! ale ja jestem szczęśliwy tak, jak jestem i czasem nie mogę zrozumieć, jak ludzie inni bez takich wrażeń żyć mogą; zdaje mi się, że chleb, który spożywają, musi pachnąć nicością«. Wprawdzie, to co mówił o przyjemnościach życia, nie jest dokładne, bo przyjemności go nie omijały i stanowiły spokojne ramy dla jego marzeń, ale w następujących potem, pełnych poezyi słowach, które najdokładniej wyjaśniają słynne wyrażenie Słowackiego o »zjadaczach chleba«, doskonale maluje się ów ciągły stan poety zapatrzenia się w sławę. Maluje się także i spokój, jakiego wówczas doznawał dzięki przyrodzie i towarzystwu szwajcarskiemu. »Piszę i chodzę po ogrodzie i tak całe długie dnie mi upływają....Sympatyzuję teraz więcej niż kiedykolwiek z naturą i zdaje mi się, że czuję ją do głębi mej duszy« [2]). Poczucie piękna przyrody rosło w nim razem z poczuciem siły swej twórczości, bo stanowiło główny element tej ostatniej.

Słowacki niedługo czekał na głos krytyki. W kilka tygodni po wyjściu *Kordyana* na świat ukazała się recen-

[1]) Listy I, 230. [2]). Tamże 231.

zya o nim w dzienniku *Le Polonais*, w kwietniowym zeszycie 1834 r. Miesięcznik ten, założony w połowie 1833 w Paryżu, w obronie praw Polski, pod protekcyą takich przyjaciół Polski, jak Montalembert, zaznajamiał Francuzów nietylko z cierpieniami ówczesnemi Polaków, z prześladowaniem, jakiego doznawali, nietylko z ich politycznemi dążeniami i nadziejami, ale i z literaturą, w szczególności emigracyjną. W poprzednich numerach redakcya podawała w przekładzie ustępy z *Dziadów* Mickiewicza, z *Ksiąg pielgrzymstwa*, wiersz *Do Matki Polki*, parę wierszy Garczyńskiego ze świeżego wydania jego poezyi. W tym samym numerze, w którem była recenzya *Kordyana*, był także *Farys* w tłómaczeniu Ostrowskiego. Sąd tego pisma miał dla Słowackiego wielkie znaczenie. Ponieważ pismo było przeznaczone i dla Emigracyi i dla Europy, tędy więc była droga do sławy europejskiej.

Recenzya podawała naprzód dosyć szczegółowo i zupełnie objektywnie treść poematu i dodawała, że jakkolwiek z dzieła można łatwo poznać autora, który ukrył swoje nazwisko, nie będzie go jednak odsłaniała. »Jest to młodzieniec dobrze znany przez naszych ziomków. Złożył on już dowody talentu, a obecna książka pozwala spodziewać się jeszcze więcej po nim«. Po tych dopiero słowach następował właściwy sąd o *Kordyanie:* »W każdej poezyi można odróżnić dwie strony: ducha i formy, myśli i wyrażenia. Są ludzie poetyckiego ducha, ale nie posiadają liry Apollina, brak im pewnej harmonii, mowy wierszowanej. Są znów inni, pełni harmonii, ale brak im innej zdolności, innych przymiotów poetyckich [1]). Obawiamy się,

[1]) Toute poésie se compose de deux parties, de l'esprit et de la forme, de la pensée et de l'expression. Il y a des hommes remplis de l'esprit poétique, mais qui n'ont point la lyre d'Apollon, il leur manque une certaine harmonie, la langue des vers. Il y en a d'autres, qui sont pleins d'harmonie, mais qui manquent d'autre talent, d'autres qualités poétiques. Nous craignons que cela ne puisse s'appliquer en partie á l'auteur de Kordian«. Le Polonais, journal des

że to się da w części zastosować do autora Kordiana. Nowy ten utwór, jak i piewsze tego autora, odznacza się bogactwem rytmu, czystością i siłą języka, harmonią, doborem wyrażeń. Poeta uderza czytelnika śmiałością wyrażenia i rozwijania swej myśli. Ale za mało przemawia do serca, nie sprawia należytego wrażenia. Nie chcemy go sądzić według prawideł sztuki. Nie będziemy mówili o toku poematu, o sposobie rozwijania akcyi. Darujemy mu nawet błędy historyczne; talent może do pewnego stopnia usprawiedliwić kaprysy wyobraźni. Wolno poecie uchylać się trochę od prawdy: *Mendax poeta*. Chcielibyśmy za to inną w nim znaleść zaletę: naturalność. Zdaje się, że muza autora Kordiana więcej czerpała z książek i opowiadań, aniżeli z natury i rzeczywistości i oto dlatego jest nieco teatralną. Ale ta muza jest młodą, i ażeby się przekonać, jak wiele jeszcze można się spodziewać po niej, dość jest przypomnieć niektóre z tych pięknych utworów, które mu natchnęły okoliczności«.

Recenzya w swej części krytycznej była krótką, ale zadziwiająco mądrą. Trafiała ona najcelniej w samo jądro rzeczy, w najsłabszą stronę *Kordyana* i całej poezyi Słowackiego: teatralność, ale czyniła to najdelikatniej, uwzględniając drażliwość młodego poety, z całem uznaniem i życzliwością podnosząc zewnętrzny czar jego poezyi. Ostatecznie wypowiadała to samo, co powiedział był przed blisko dwoma laty Mickiewicz o pierwszych dwu tomikach poezyi Słowackiego, mianowicie, że jego poezya to piękny kościół bez Boga, tylko tym razem wiadomo było dokładnie, co należało rozumieć przez słowo Bóg: prawdę uczucia. Dlatego też przypuszczam, że i ta recenzya, podana

intérêts de la Pologne. T. II. Paris 1834, Str. 187. Podaję ten ustęp w oryginale dlatego, że w komentarzu p. Biegeleisena do *Kordyana* (Słowacki — Dzieła T. V) a także w monografii p. Hoesicka (T. II, str. 53), który widocznie oryginału nie miał przed oczyma, a oparł się tylko na p. Biegeleisenie, ustęp ten przełożony został w sposób, który sens jego zupełnie odmienił.

bezimiennie, jeżeli nie pochodziła w całości od Mickiewicza, to przynajmniej ten główny sąd swój zaczerpnęła od niego.

Że i Słowacki tak się domyślał, można to wnosić z jego słów w liście do matki z 27 kwietnia: »Mój śpiew ostatni, jeżeli nie podobał się, to zadziwił. W jednem z pism po francusku wydawanych czytałem o nim zdanie i rozbiór, pochlebne o tyle, ile przeciwna partya ganić nie może, a tą przeciwną partyą są nieszczęściem wszyscy poeci, na których czele Adam, od tego bowiem sam pierwszy stronić zacząłem« [1]. Jakkolwiek jednak z przekąsem odzywał się o recenzyi, widać z tonu słów przytoczonych, że nie odtrącał jej, jako niezasłużonej napaści, że uznawał w głębi ducha życzliwość, która z niej promieniowała. Czy wziął do serca i głęboką naukę, która w niej zawartą była? Możnaby myśleć, że nauka ta sprawiła na nim wrażenie, że w nowem świetle starał się przyjrzeć sobie i swojej poezyi i starał się nastroić odpowiednio do otrzymanej nauki. Wskazówkę pewną w tym względzie można znaleźć w cytowanym tylko co liście poety. Donosząc o tem, że codzień odczytuje Kochanowskich, tak pisał: »Jak ten Jan Kochanowski był spokojny i szczęśliwy w swojej chacie, z żoną i dziećmi. Pod wyniosłą lipą Czarnolesia musiał sobie po obiedzie zasypiać i do tej lipy tak piękne wiersze napisał. Prawdziwie mu zazdroszczę jego chaty, lipy, żony, dzieci i czasów szczęśliwych, w których żył... Ja teraz zmierzam do spokojności i wszystkie moje nauki i książki, których używam, zmierzają do tego, abym w sobie filozoficzną piękność moralną utworzył. Dotąd już tyle w tej nauce postąpiłem, że czuję w sobie jakąś spokojność, natchniętą przez godność natury człowieka. Zewsząd widzę, że ludzie bez wewnętrznej spokojności próżno się o zewnętrzną starają«. To dążenie do spokoju wewnętrznego, to wielbienie spokoju w życiu i poezyi Kochanowskiego

---

[1]) Listy I, 237.

nie byłoż jeżeli nie równoznaczne, to przynajmniej równoległe z dążeniem do naturalności i szczerości w poezyi, zalet, których brak w nim recenzya wskazywała?

Niebawem — latem 1834 — nastały czasy najszczęśliwsze dla wyobraźni Słowackiego. Dotychczas nie ruszając się z Genewy korzystał on tylko z tych widoków, jakie mu Genewa nastręczyła; teraz w towarzystwie rodziny Wodzińskich odbył dłuższą wycieczkę po górach Szwajcaryi i wyobraźnia jego wzbogaciła się mnóstwem nowych, nieznanych mu dotąd obrazów przyrody szwajcarskiej. »Nigdy w życiu mojem nie widziałem jeszcze tak pięknych obrazów, jak te, które przez dwadzieścia dni przemijały przed mojemi oczyma«, pisał do matki w sierpniu 1834 [1]. Z brylantowej przędzy wrażeń, odniesionych w tej podróży, miał w kilka lat potem utkać swoj najświetniejszy poemat *W Szwajcaryi*. Ale bezpośrednio po podróży, choć miał »imaginacyę, jak salon pałacowy ustrojoną nowemi malowidłami«, nie rwał się do pisania, jakby czekając na to, ażeby muza jego wyrobiła w sobie tę zaletę, której brak jej wskazywano: naturalność, prostotę. Dopiero w jesieni tego roku, pod wpływem pewnego komplimentu, który usłyszał z pięknych ust panieńskich o swoim wołyńskim sposobie tańcowania mazura, zapaliła się nagle jego wyobraźnia i w ciągu kilkunastu dni galopem napisał tragedyę o Mazepie.

Tymczasem dochodziły go wieści o nowym poemacie Mickiewicza. Jego paryscy korespondenci donosili mu o *Panu Tadeuszu*, zanim jeszcze został w »kurs puszczony« i na podstawie tego, co wiedział od nich, donosił matce, »że Pan Tadeusz jest to szlachcic na Litwie, który się awanturuje między 1811—1812 rokiem« [2]. I w następnym liście z końca września 1834, także jeszcze przed odczytaniem *Pana Tadeusza*, wspominał o nowym utworze Mickiewicza i dodawał, bodaj czy szczerze: »Cieszę się

[1]) Listy I, 251. [2]) Listy I, 250.

zawsze, ile razy nowego co wychodzi, bo dla literatury naszej nietylko trzeba, aby było dobre, ale też aby wiele było, inaczej zawsze francuszczyzna będzie w modzie«. Dla samego twórcy *Pana Tadeusza* ciągle żywił głęboką niechęć i w jednym z listów, w tym samym, w którym wychwalał matce »swoją cienką postawę« i swego »wołyńskiego mazura«, donosząc o małżeństwie Mickiewicza, szydził z jego powierzchowności, szydził w sposób, który trącił dawną zażyłością i przyjaźnią ze Skibickim. »Prawdziwie, że nie mogłem wierzyć zrazu, gdy mi o tem powiedziano, bo ten Adam, to czysty szczep suchy, ma minę lokaja najczęściej, czasem szalonego od Bonifratrów i nie lubi nosić guzików rzędami osadzonych na sukni, ale je obrywa, gdy są do pary« [1]. Jakże daleko jeszcze był Słowacki w praktyce od owej »filozoficznej piękności moralnej«, do której w teoryi chciał zdążać!

Nareszcie dostał do rąk *Pana Tadeusza*, przeczytał i — został zwyciężony. To, czego brak zarzucała mu krytyka, stawało teraz przed nim w najdoskonalszem wcieleniu. Był to najwyższy tryumf poezyi Mickiewicza: siła szczerości i prostoty tak słonecznie biła z Mickiewiczowskiego arcydzieła, że rozbroiła duszę jego zaciętego przeciwnika. Pycha, zawiść, nienawiść, wszystkie uprzedzenia i urazy Słowackiego stopniały wobec majestatu piękności, której głównemi cechami były: szczerość i prostota. Świadczy o tem wyraźnie list jego do matki z 18 grudnia 1834: »Bardzo piękny poemat, podobny do romansu W. Scotta, wierszem napisanego. Dom szlachcica maluje się wybornie; heroina poematu, choć gęsi pasie, ma jakąś świeżość dawnych opisów, coś dziwnie zachwycającego prostotą... Wiele opisów miejsc, nieba, stawów, lasów jest mistrzowską ręką skreślonych. Natura cała żyje i czuje. Poemat raczej żartobliwy niż smutny, a jednak często z najwesel-

---

[1]) Tamże, 268.

szych na pozór miejsc smutek ujmuje człowieka. Jest to poemat zupełnie innego rodzaju, niż wszystkie dotąd Adama utwory. Nadewszystko jest w tym poemacie opis łowca, dmącego w róg myśliwski, cudowny opis, trochę mi przypomniał Pana Jakóba trąbiącego w lesie i drugi opis żyda grającego na cymbałach także prześliczny... Chciałbym, abyście ten poemat prędko czytać mogli...«

I o samym Mickiewiczu jakże inaczej teraz się odzywał, aniżeli przed miesiącem, jak inne myśli nasuwały mu się teraz, gdy siebie z nim porównywał. »Co do samego autora, piszą mi z Paryża, że żyje dobrze z młodą żoną, a żona ta ma być piękna i ładnie gra na fortepianie. Nie dziw, bo córka Szymanowskiej. Co wieczora mnóstwo naszych braci schodzi się do mieszkania poety i bawią go, a on ciągnąc dymy z cybucha, słucha i uśmiecha się. Co za sprzeczność z mojemi samotnemi wieczorami! Niech będzie ze mną, jak Bóg chce, w tej smutnej wędrówce życia«. Zwracałem już uwagę na ten ustęp, a powtarzam go teraz dlatego, że uwydatnia on, jak właśnie wtedy, pod wpływem silnych wrażeń odniesionych z lektury *Tadeusza*, przed skruszoną duszą poety silniej niż kiedykolwiek zarysowała się tragiczność jego życia: obojętność serc ludzkich dla tego, który przy największych skarbach wyobraźni, w sercu nie miał nic prócz miłości własnej. Rozglądając się w takiej chwili po horyzoncie swoich stosunków i znajomości, uczuwał dreszcz trwogi. »Droga, kochana Mamo! tylko ty nie opuszczaj mię myślą swoją, bo tak, to mniej jestem samotny niż wielu ludzi, bo wiem, że posiadam coś, czego mi ludzie zazdrościć mogą: twoje przywiązanie. Kiedy myślę przed zaśnięciem o mojem położeniu, to mi nieraz włosy na głowie wstają. Oprócz moich gospodyń, które mi sprzyjają bardzo, nie mam przyjaciela na tym szerokim świecie«[1]).

Jak oddziałał *Pan Tadeusz* na twórczość poetycką

---

[1]) Listy I, 275—276.

Słowackiego? Dotychczas prawie każdy nowy utwór Mickiewicza: *Sonety, Farys, Dziady* (część III), pobudzał Słowackiego do współzawodnictwa, do zmierzenia się z wielkim przeciwnikiem na jego własnem polu; Słowacki puszczał się w ślad za Mickiewiczem naturalnie w tej myśli, aby go prześcignąć, naśladował, aby go przewyższyć. Teraz było inaczej. Poruszony do głębi pięknością *Pana Tadeusza,* Słowacki nie myślał teraz o ponownem mierzeniu się z jego twórcą, składał broń przed arcydziełem, czując, że na nowo obranej przez Mickiewicza drodze, sprostać by mu nie mógł. Próba takiego zmierzenia się miała kiedyś później nastąpić, — zachowały się jej ślady w urywkach dalszego ciągu *Pana Tadeusza* — teraz, o ile można wnosić z jego ówczesnej korespondencyi, nie przychodziło mu nic podobnego do głowy.

»Nie wiem dlaczego, ale większa niż kiedykolwiek melancholia i obojętność napadły na mnie«, pisał w tym liście do matki, w którem dzielił się wrażeniami z odczytania *Pana Tadeusza.* Jest w tych słowach, jakby ton rezygnacyi i uspokojenia, które rezygnacya przynosi z sobą. Możnaby myśleć, że szczyt poezyi, na który wzniósł się Mickiewicz w ostatnim swoim utworze, wydał się Słowackiemu tak niespodzianie wysokim, że zmęczony dotychczasowem pięciem się w górę, aby podążać za swoim przeciwnikiem i dogonić go, gdy go ujrzał nagle tak wysoko nad sobą, stracił na chwilę wiarę w skuteczność gonitwy i zaprzestał jej, dając folgę znużeniu. W melancholijnej rezygnacyi, jaka go wtedy ogarnęła, myśl jego biegła nie w przyszłość, ale w przeszłość, ku czasom wileńskim i krzemienieckim. »Wszystko, co zniknęło w przeszłości, ma dla mnie teraz anielską twarz i anielski głos«. Że w tym zwrocie myśli ku czasom dzieciństwa i pierwszej młodości był także wpływ *Pana Tadeusza,* przyznawał to sam poeta dodając: »Adama nowy poemat obudził we mnie także wiele dźwięków przeszłości«. I nie mogło być inaczej. Wszakże to »kraj lat dziecinnych«, jak wiemy ze

wstępu do epopei, (którego Słowacki nie znał), »kraj lat dziecinnych« ze swoją świeżością barw i czystością wrażeń był głównem źródłem natchnienia dla Mickiewicza przy tworzeniu *Pana Tadeusza*.

Była inna jeszcze przyczyna pewnej bezwładności, której doznawała wówczas muza Słowackiego. Oto świeżo ukończył był pisać *Balladynę* i przez kilka tygodni władze jego myślenia »rozkręcały się teraz, jak struny jakiego instrumentu«. *Balladynę*, jak ze wszystkiego w niej można wnosić, zaczął pisać, jeżeli nie ukończył, jeszcze przed poznaniem *Pana Tadeusza*. Najwięcej przemawia za tem brak wszelkich mimowolnych (a tak zwykłych u Słowackiego) remiscencyj z mickiewiczowskiej epopei[1]). W *Balladynie* widnieje na każdym niemal kroku nie wpływ Mickiewicza, ale, jak to wszyscy zgodnie uznają — wpływ Szekspira. Wpływ pierwszego ogranicza się tylko do pewnego pokrewieństwa pomiędzy bohaterką tragedyi a mickiewiczowską »panią, co pana zabiła« z ballady *Lilie*, a także pewnego zewnętrznego podobieństwa Goplany do mickiewiczowskiej Świtezianki[2]). Co się tyczy wpływu Szekspira, do tego sam Słowacki przyznawał się do pewnego stopnia we współczesnym liście do matki: »Nie mogę tu ci dać, kochana Mamo, wyobrażenia dokładnego rodzaju dramatyczności w mojej tragedyi. Jeżeli ma ona

---

[1]) Dopiero w ostatniej scenie słowa strażnika:

A cała niebios równina niebieska,
Jakby się z jednej urągała chmury

przypominają słowa Tadeusza o okręcie, który płynie »po niebios błękitnej równinie«.

[2]) To podobieństwo występuje naprz. w tych słowach Goplany do Grabca:

Mój drogi!
Więc teraz co wieczora na leśne rozłogi
Musisz do mnie przychodzić. Będziemy błądzili,
Kiedy księżyc przyświeca, kiedy słowik kwili,
Nad falą szklistych jezior, pod wielkim modrzewiem
Będziemy razem marzyć przy księżycu.

rodzinne podobieństwo z którą znajomą sztuką, to chyba z królem Learem Szekspira. O gdyby stanęła kiedy przy królu Learze!« [1]). Że tu się Słowacki mylił, to rzecz widoczna. W *Balladynie* odzywa się echo *Króla Lira* obok wielu rozmaitych ech szekspirowskich, to prawda, nie ono jednak jest najsilniejszem: daleko silniej odzywają się echa motywów *Makbeta* i *Snu nocy letniej*.

Tak więc nie z Mickiewiczem szedł w zawody Słowacki, pisząc *Balladynę*, i jeżeli to współzawodnictwo odgrywało jaką rolę przy tworzeniu tej tragedyi, to chyba taką, że Słowacki w razie podniesienia się na wysokość twórcy *Króla Lira*, o czem marzył, mógł się czuć wyższym od Mickiewicza. Ale na co chcę zwrócić uwagę, mówiąc o *Balladynie*, to na pewną jej zależność od krytyki *Kordyana*, umieszczonej w dzienniku *Le Polonais* i od wskazówek, jakie znalazł tam Słowacki dla siebie. Zarzucono mu tam teatralność, zalecono naturalność, a jednocześnie rozgrzeszano go z dowolnego traktowania historyi, przez wzgląd na talent usprawiedliwiano kaprysy wyobraźni. Słowacki, który dotychczas swoje dramata osnuwał na tle historycznem, w tej krytyce, akcentującej zasadę: *mendax poeta*, znajdował poniekąd zachętę do przeniesienia swych kreacyj dramatycznych na tło legendowe i do puszczenia cugli wyobraźni, niczem nie krępowanej prócz estetycznego poczucia, a wzory gotowe znajdował *Śnie nocy letniej* i *Burzy* Szekspira. Myślę, że to owa krytyka zwróciła Słowackiego w tę okolicę szekspirowskiego świata i że to ona pobudziła go do przeciwstawiania zewnętrznej prawdzie historycznej wewnętrznej prawdy uczuć. Posłuchajmy, co sam Słowacki pisał o swojej *Balladynie* tak w liście do matki, jak i w przedmowie do Zygmunta Krasińskiego. »Z wszystkich rzeczy, które dotychczas moja mózgownica urodziła — czytamy w liście do matki — ta tragedya jest najlepszą, zwłaszcza, że otwo-

[1]) Listy I, 272—273.

rzyła mi nową drogę, nowy kraj poetyczny, nie tknięty ludzką stopą, kraj obszerniejszy, niż ta biedna ziemia, bo idealny. Zobaczysz kiedyś, Mamo kochana, co to za dziwna kraina i czasy. Tragedya cała podobna do starej ballady, ułożona tak, jakby ją gmin układał, przeciwna zupełnie prawdzie historycznej, czasem przeciwna podobieństwu do prawdy. Ludzie jednak, starałem się, aby byli prawdziwemi i aby w sercu mieli nasze serca...« [1]). A w przedmowie zwróconej do autora *Irydiona* mówił, że jego *Balladyna* »obdarzona jest wnętrzną siłą urągania się z tłumu ludzkiego, z porządku i z ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie« i że »niechaj tysiące anachronizmów przerazi śpiących w grobie historyków i kronikarzy«, jeżeli to, co poeta stworzył »ma wnętrzną siłę żywota«, jeżeli »stworzone zostało »podług praw boskich«, »to *Balladyna* wbrew rozwadze i historyi zostanie królową polską, a piorun, który spadł na jej chwilowe panowanie, błyśnie i roztworzy mgłę dziejów przeszłości«.

Tak więc i w jednym i w drugim razie silnie akcentował prawo poety do tego, co wiadoma krytyka *Kordyana* nazywała kaprysami wyobraźni. Piorun zaś, który rozwiązuje tragedyę, a przypomina cudowne rozwiązanie ballady *Lilie*, wprowadzony został, dość niefortunnie, do epilogu, z jednej strony, aby dać poecie sposobność do traktowania »z aryostycznym uśmiechem« historyi, z drugiej — aby powtórnie wywrzeć na Lelewelu publiczną zemstę literacką za jego sąd o ojczymie, wypowiedziany w broszurze »Nowosilcow w Wilnie«. Nie wystarczały Słowackiemu szyderstwa, któremi osypał Lelewela w *Kordyanie* (w scenie stwarzania ludzi dla wieku XIX), wprowadził go znowu na scenę w epilogu *Balladyny*, dał mu nazwę podobną z brzmienia do jego nazwiska (Wawel) i kazał prawić niedorzeczności uroczystym tonem nauki. W słowach Publiczności do dziejopisa:

---

1) Listy I, 272.

Jakżeś ty piorunowy opisał przypadek?
Powiedz! myśmy widzieli rzecz całą do końca.

jest jakby aluzya do słów Lelewela (w broszurze *Nowosilcow w Wilnie*) o śmierci doktora Bécu od piorunu. Jeszcze widoczniejsza alluzya, nie tyle godząca w Lelewela, ile w Mickiewicza, jako autora III części *Dziadów*, zawiera się w słowach samego Wawela:

Ten, co w laurach chodzi,
Autor niniejszej sztuki, słusznie wam opowie,
Że odkąd nosi wieniec laurowy na głowie,
Piorun weń nie uderzył.

Miało to zapewne znaczyć, że ustęp o doktorze w *Dziadach* był piorunem, ciśniętym w Słowackiego, ale takim, który mu nie zdołał zaszkodzić. Bądź co bądź, ten epilog, wciągający motywy osobiste i dla nich tylko napisany, jest niemiłym grymasem, mocno osłabiającym wrażenie tragedyi; myślę też, że napisał go poeta nie razem z tragedyą, ale dopiero później, kiedy się zabierał do wydania *Balladyny*.

Niedługo po napisaniu *Balladyny*, na wiosnę 1835, otrzymał Słowacki wiadomość, że matka i wujostwo wybierają się za granicę, że więc będzie się mógł z nimi, przynajmniej na jakiś czas, połączyć. Jak przyjął tę wiadomość? Jużciż rad był zobaczyć się z matką, ale nad tem pragnieniem górowała obawa, że ten wyjazd może nadwerężyć interesa ich majątkowe, a on tak potrzebował pieniędzy nie tylko na utrzymanie swoje, ale i na wydawanie coraz to nowych utworów swoich poetyckich. Na zapytanie jej, co myśli o tym zamiarze, odpowiedział w taki sposób, że matka zamiaru zaniechała i tylko wujostwo Teofilowie do Włoch się wybrali[1]. Tymczasem

[1] »Więc, mamo moja, ty co jesteś na miejscu, dobrze tylko rozważ, czy przerwa w zwyczajnych naszych interesach nie zabije nas zupełnie. Jeżeli wszyscy nasi Debitorowie są honorowymi ludźmi, jeżeli w kiesce z Teofilem będziesz mogła złożyć 4000 fr., to jest trzecią część wydatków, jeżeli na rok drugi popłacą ci procenta, je-

budował nowy dramat, wciąż z szekspirowskiego lasu wywożąc materyał, tylko z innej niż przedtem jego okolicy. Był to pozujący na Hamleta Szczęsny z dramatu p. t. *Horsztyński*, który wraz z *Balladyną* i może innemi jeszcze utworami miał leżeć w tece poety i czekać lepszych czasów. »Bóg wie, dla kogo piszę i kiedy to wydrukuję«, skarżył się poeta przed matką. »Kiedyś to wszystko ktoś wyda na świat, może mały Stasio, jak dorośnie« [1]). Sam nie miał środków do wydawania nowych utworów swoich, a nakładcy się nie zjawiali.

Wśród tak zatarasowanej drogi do sławy przychodziły mu do głowy myśli matrymonialne. Bogate małżeństwo mogło go wydobyć z trudnego położenia i otworzyć wszystkie rogatki na gościńcu sławy. W jego otoczeniu genewskiem była bogata panna polska, Marya Wodzińska, ta, z którą przed rokiem odbywał wędrówkę po górach, do której albumu wpisał wiersz żartobliwie smutny. Że jej nie kochał, ani miłością opiewaną w pomacie *W Szwajcaryi*, ani jakąkolwiek inną, mniej eteryczną, ale szczerą, o tem wątpić nie można, znając usposobienie Słowackiego i znając jego listy współczesne do matki. Ale ożenić się z nią, gdyby się w nim zakochała, znaleść w niej opiekunkę swych materyalnych interesów, jaką dotychczas znajdował w matce, skojarzyć z jej majątkiem swój geniusz poetycki i wyzwolić go od zależności pieniężnej? Tego Słowacki pragnął potajemnie i pod wpływem tego pragnienia łudził się, że fala wypadków, fala codziennych stosunków z rodziną Wodzińskich niesie go ku temu brzegowi. Najwięcej złudzić go mogła w tym względzie ta okoliczność, że na lato w r. 1835 rodzina Wodzińskich przeniosła się do domu pani Pattey, w którym sam mieszkał. Ślady tego złudzenia, a także rozczarowania, które potem

żeli pewna jesteś, że powróciwszy, znajdziesz wszystko nieodmienione — jedź, przyjeżdżaj«. Listy I, 293. Znaczyło to tyle, co nie przyjeżdżaj.

[1]) Listy I, 299.

nastąpiło, przeświecają i w listach do matki. Donosząc matce, że »mąż pani Wodzińskiej przyjechał po nią i ma wkrótce porwać stąd całą rodzinę« i zazdroszcząc im, że »wracają ułożyć się i pomieścić w domu rodzinnym na resztę życia, usnuć sobie domowe szczęście«, Słowacki, czynił zwrot do siebie i pisał: »Pamiętasz, mamo, te węże, które widzieliśmy kiedyś na moczarach pińskich, obwijające się koło lilii wodnych i grzejące się na słońcu? Chciałbym na rzece żywota znaleść taki biały kwiat, obwinąć się koło niego i zasnąć. To bardzo mistyczne i ciemne, matko moja. Lilia wodna niech się tobie zamieni w jedną miłą, spokojną i cichą duszkę, a zrozumiesz moje żądanie... O! o! o! z takim wykrzyknikiem konają osoby w moich tragedyach... z takiem długiem westchnieniem kona moja nadzieja...« [1]).

Że tą lilią wodną miała być Marya Wodzińska, to rzecz jasna; widocznie też ze zbliżeniem się terminu wyjazdu Wodzińskich z Genewy zaczynały chwiać się matrymonialne nadzieje Słowackiego. Wprawdzie o Maryi Wodzińskiej w tym samym liście pisał, że i ona »także zapłynęła trochę w kraj ideału«, ale stosował potem do niej ogólną uwagę, która wskazywała, że niewiele mógł budować na jej poetyckiem usposobieniu. »Młode nasze Polki zawsze przebywają bardzo piękne krainy marzeń, aby się kiedyś zamknąć i zakopać w najnudniejszej realności«.

Żeby wyjść z niepewności, obudzić wyraźny objaw uczucia w tej, w której podejrzywał utajoną dla siebie miłość i przyspieszyć rozwiązanie sprawy, która go od dłuższego czasu zaprzątała, postanowił wyjechać z Genewy jeszcze przed wyjazdem Wodzińskich. Tak sobie tłomaczę jego trzymiesięczny pobyt w Veytoux. Oświadczyć się sam nie chciał, nie śmiał, ale chciał, aby zwrócono uwagę na jego dziwny wyjazd, aby go szukano i pociągnięto do

[1]) Tamże 303.

oświadczenia się. Nikt o tem, jak wiadomo, nie myślał, to też kiedy rodzina Wodzińskich wyjechała z Genewy, Słowacki pisał do matki: »Takiego doznaję uczucia, jak gdyby mi się coś na świecie przez dwa lata klejonego nie skleiło« [1]). Nie przeszkodziło mu to jednak w trzy lata potem wmawiać w siebie i w matkę, że »młodziutka Marya kochała go krótko, ale mocno, jak zazwyczaj młode polskie dziewczynki kochają« [2]).

Po tym zawodzie matrymonialnych nadziei ostatnie miesiące pobytu w Szwajcaryi przechodziły Słowackiemu smutno i nudno, zwłaszcza że i fantazya nie dawała się ożywić i rozruszać. »Ja, co, zawsze w jesieni nawiedzany byłem przez jakąś nową myśl poematu, — pisał do matki 29 listopada 1835 — tego roku głowę mam podobną do niezapalonej latarni; więc nudzę się, czczość myśli jest największą dla mnie męką: nie wiem, o czem marzyć, a nie mając w głowie żadnego zmyślonego obrazu, muszę myśleć o nudnej rzeczywistości«. Ale ten stan jałowości miał swoje dobre strony: poeta skupiał się, dojrzewał, doskonalił i zupełnie inaczej, niż przedtem spoglądał na swoje dawniejsze utwory poetyckie. W tych czasach matka w jednym z listów swoich przesłała mu szczegółowe uwagi o jego utworach poetyckich, o ile je znała z trzech wydanych tomików. Odpowiadając na ten list pisał: »Zgadzam się zupełnie na wszystko i wyznam ci, najdroższa, że ten list zapalił mię, abym podwoił usiłowań, abym ciebie... czem lepszem uradował, bo wyznam ci, że znienawidziłem moje pierwsze utwory. Czuję potrzebę większej doskonałości, rozwinęło się we mnie jakieś nowe piękności uczucie. Nie wiem jeszcze, jak się ono przyoblecze w słowa, ale starać się będę, aby coś jasnego napełniało moje karty, aby więcej łez było w słowach« [3]).

Co wpłynęło na to, że poeta znienawidził swoje pierwsze utwory i poczuł potrzebę i chęć większej doskonałości?

---

[1]) Listy I, 308. [2]) Listy II, 98. [3]) Listy I, 314.

Myślę, że działał tu na poetę naprzód *Pan Tadeusz*, w którym widział, jak »cała natura czuje i żyje«, w którym tyle było »jasnego«, a przecież »często z najweselszych miejsc smutek ujmował« duszę Słowackiego. Powtóre oddziałał w tym kierunku, jak to wiemy od poety z tegoż samego listu — trzechmiesięczny pobyt w Veytoux w ciszy, w samotności, »pośród najpiękniejszych widoków przyrodzenia«. Wtedy to przyroda uczyła go tej harmonii, »która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem«, wtedy to »zastanawiał się długo nad drzewami, kwiatami, szmerem, różnemi dźwiękami natury«. Przypuszczam wreszcie, że i głos krytyki, na którą tak był wrażliwy Słowacki, miał także pewien udział w wywołaniu tej chęci poety doskonalenia się w artyźmie i tego niezadowolenia ze swoich pierwszych trzech tomów poezyj, o którem pisał w liście do matki.

Właśnie na kilka miesięcy przedtem zaczął wychodzić w Krakowie poważny miesięcznik literacko-naukowy, *Powszechny pamiętnik nauk i umiejętności* i zaraz w pierwszych zeszytach zaczął drukować obszerną jak na owe czasy rozprawę Goszczyńskiego o współczesnej poezyi polskiej (Nowa epoka poezyi polskiej). Goszczyński gorliwy wyznawca zasad Brodzińskiego, wielbiący jego *Wiesława*, jako »zorzę, ukazującą polskiemu narodowi ową stronę nieba, z której wejdzie mu słońce prawdziwej jego poezyi«, pragnący, aby poezya polska czerpała soki swoje tylko z gruntu rodzimego polskiego lub słowiańskiego, a nie poddawała się wpływom angielszczyzny i niemczyzny, z tego stanowiska sądził wszystkie utwory nowszej poezyi polskiej, o ile mu — w chwili pisania rozprawy — były już znane. I sądził ostro, nie oszczędzając ani Mickiewicza, jako autora ballad, *Wallenroda* i pierwszych *Dziadów* (trzeciej części *Dziadów* i *Pana Tadeusza* widocznie jeszcze nie czytał) ani nawet samego siebie, jako autora *Zamku Kaniowskiego*, którego grzechy przypisywał »czarnej melancholii Byrona«.

W zeszytach majowym i czerwcowym *Pamiętnika*

były ustępy poświęcone Słowackiemu [1]). Goszczyński z wielką i szczerą życzliwością witał nowego poetę na horyzoncie polskim (Przed kilku laty zjawił się na chlubę i pociechę naszą niepośledni poeta Juliusz Słowacki), nazywał go »wyższym zdolnościami nad tłumem«, »poetą znakomitych nadziei«, ale jednocześnie ostro krytykował jego poezye, zawarte w trzech pierwszych tomach (a więc bez *Kordyana*), zarzucał im brak rodzimości lub oryginalności, twierdził, że »przez błyskotki powierzchownej fantazyi są bardziej dla zmysłów, jak dla duszy« i porównywał je do pozrywanych i powtykanych w ziemię w dziecinnym ogródku »kwiatków chwilowego życia i woni«.

Czy Słowacki, pisząc do matki, że »znienawidził swoje pierwsze utwory«, znał już ową krytykę? Pewności w tym względzie mieć nie można, ale wiedząc, jak się interesował wszystkiem, co o nim gdziekolwiek pisano, i wogóle ruchem literackim polskim, łatwo przypuścić, że już mu owa krytyka była wtedy znaną, a jako pomimo surowości swej życzliwa, mogła się przyczynić do owego niezadowolenia poety ze swoich pierwszych utworów.

---

[1]) *Powszechny Pamiętnik nauk i umiejętności* 1835. T. I, str. 221 i 370—371.

ROZDZIAŁ IV.

Wschód i Włochy.

1836—1838.

Stosunek do wujostwa w Rzymie. — Znajomość z Zygmuntem Krasińskim i jej wpływ na Słowackiego. — Podróż na Wschód. — Nastrój poety, jak się objawił w poemacie opisującym podróż. — *Grób Agamemnona.* — Czego Słowacki żądał od narodu. — U grobu Chrystusa. — Geneza i znaczenie *Anhellego.* — Pobyt we Florencyi — Życie salonowe. — Próby miłości w celach artystycznych: Amerykanka, stosunek z Fornariną. — Aniela Moszczeńska. — Nadzieje pokładane w *Anhellim.*

W początkach roku 1836 wybrał się nareszcie Słowacki do swoich wujostwa, którzy już na niego oddawna czekali we Włoszech, a których od lat wielu nie oglądał. Harmonia między Januszewskimi a siostrzeńcem, z początku dobra, niedługo psuć się zaczęła, a przyczyny tego bardzo dokładnie przedstawił Słowacki w swoim liście do matki z Rzymu. Skarżąc się, że »stracił serce Fila« i przyznając się po części do winy, tak pisał: »Na początku mego tu pobytu żyłem z niemi ciągle razem, całe dnie i wieczory przepędzałem na gawędce, razem chodziłem na obiad, słowem bez żadnej myśli zapisałem im wszystkie godziny mego życia. Tymczasem przybyło tu wielu ziomków moich; sami Filowie powiedzą Ci kiedyś, że nie szukałem ich znajomości i tak dalece stroniłem, że wszyscy prawie musieli mnie pierwsi szukać w mojem mieszkaniu i pierwsi robić znajomość, a chociaż wszyscy zapoznali się z Teofilami, przywykli do kawalerskiego, biegającego i cygara palącego

/cia, powoli wszystkiemi sposobami starali się mnie przyągnąć do swoich mieszkań, bo moje mieszkanie tak jest Filów salonem połączone, że u mnie przesiadywać bez »nowania się nie mogli; stąd poszło, że po kilku tygoniach zacząłem rzadziej w domu siedzieć«. To był jeden »wód nieporozumienia; drugi ważniejszy był taki: »Prze;ytałem był wszelkie prace moje Filom, które się im nierdzo podobały i mówili mi zawsze, że szlachta nie zroımie. Młodzi moi znajomi z chciwością pożerali, cokolwiek ı udzieliłem. Wiesz, droga, że dusza najmędrsza wiele a miłości własnej i choć się jej broni, jak może, mimoolnie jednak woli pełne zapału pochwały, niż zimne grzeczne pochwalenie krewnych. Nawet w tej smutnej alce z imaginacyą ostygającą potrzeba czasem, aby obcy »dali jaką skrę.. «[1]).

To, co Słowacki czytał swoim krewnym, to nie były we pierwsze utwory, które sam znienawidził, a które rzedtem już wujostwu były niewątpliwie znane, ale ;eczy nowe, w ostatnich czasach pisane, między nimi *alladyna*, utwory, które uważał za nierównie wyższe l dawniejszych i na których chciał teraz oprzeć swoją awę. Więc czuł żal do wujostwa, że nie dość chwalili go poezye, ci zaś mieli mu za złe, że przenosił towarzy;wo młodych wielbicieli swej poezyi nad towarzystwo »dzinne.

Pomiędzy tymi młodymi znajomymi był człowiek, który historyi ducha Słowackiego miał bardzo ważną odegrać rolę — Zygmunt Krasiński. Z nim to najwięcej biegał po Rzymie, i »gadał po szalonemu językiem imaginayi«, z nim najczęściej przepędzał wieczory w willi Mills, ogrodzie na ruinach dawnego pałacu Cezarów, »przy wietle księżyca, kiedy kwiaty wydawały dziwne zapachy, iedy ruiny, otaczające tę willę, przybierały kształt duchów, Rzym daleki w mgle sinej tonął«. Jemu to przede-

[1]) Listy II, 4—5.

wszystkiem czytał swoje poezye, on przedewszystkiem przyjmował je z uwielbieniem i zapałem, jego też towarzystwu zapewne więcej, niż powietrzu włoskiemu zawdzięczał »tysiąc zachceń, tysiąc wielkich podlotów do nieba«, o których wówczas pisał do matki.

Zygmunt Krasiński był już wtedy autorem *Nieboskiej Komedyi* i *Irydiona*, od kilku lat już wyszedł był z tej fałszywej poetyczności, w którą drapował się jeszcze jako autor *Agaj Chana*, a którą potępił w *Nieboskiej*, a przecież jako poecie, jako styliście, coś mu z tej dawnej maniery pozostało i wtedy — i na zawsze. Jego koturnowość była zdaleka pokrewną teatralności, z której się wyzwolił, i dlatego to, sądzę, i w poezyi Słowackiego teatralność nie raziła go tak, jak innych współczesnych, a stąd i wszystkie dodotnie strony tej poezyi, wszystkie jej szczęśliwe i śmiałe wyrażenia, jej subtelne arabeski, jej ulotne błyski i uśmiechy, cała gra kolorów oraz harmonijność i płynność jego wiersza, wszystko to większe na nim, niż na innych sprawiało wrażenie, bo nie było poczuciem owej teatralności osłabione. Później starał się rodzaj poezyi Słowackiego filozoficznie wytłómaczyć, co zaś myślał o Słowackim i jego poezyi w czasach pierwszego z nim zbliżenia się, wiemy o tem z jego listów współczesnych do przyjaciela — Gaszyńskiego. »Jest tu Juliusz Słowacki — pisał z Rzymu — miły człowiek, ogromem poezyi obdarzony od niebios. Kiedy ta poezya w nim dojdzie harmonijnej równowagi, będzie wielkim. *Kordyan* jest poematem zapału, szaleństwa; są w nim pyszne położenia i dziwnie trafne pojęcia. *Marya Stuart* jest także znakomitą. Mickiewicz nawet sam nie miał tak rożnobarwnej i giętkiej wyobraźni. Jednak trzeba, by te żywioły doszły w Słowackim do harmonii muzycznej, by sztuczniej jeszcze nauczył się godzić dyssonanse z prawdziwemi dźwiękami. Brak mu czasem powagi, bez której poezya może być miłą igraszką, ale nigdy nie zostanie częścią świata. Tej on nabędzie, bo zdolności tak silne nie ustają, nie słabną, aż odbędą drogę sobie prze-

znaczoną i wydadzą wszystkie owoce w nich nasiennie zawarte. Garczyński nie miał i trzeciej części jego ducha, choć tak w obłoki podchwalony przez Mickiewicza« [1]).

Z tych słów widać, że Krasiński zupełnie z innego stanowiska zapatrywał się na poezyę Słowackiego, niż Mickiewicz i ci co szli za jego głosem. Mickiewicz szukał przedewszystkiem wysokiej myśli, szczerości i głębi uczucia, formę stawiał na drugim planie; i dlatego mógł wysoko wynosić poezyę Garczyńskiego, która nieraz formę miała nieudolną; sam piękny kościół nie olśniewał go, gdy w nim nie czuł obecności Boga. Krasiński w przytoczonych powyżej słowach spoglądał na poezyę przeważnie ze stanowiska sztuki, formy, więc miał do zarzucenia Słowackiemu nie brak szczerości, nie gonienie za efektem, tylko nie dość sztuczne rozwiązywanie dysonansów. Olśniony zewnętrznemi blaskami poezyi Słowackiego, czuł wprawdzie czasem brak w niej powagi, ale źródła tego braku nie spostrzegał, gdy przypuszczał, że Słowackiemu sam rozwój zdolności artystycznych ją przyniesie. A kiedy Gaszyński, odpowiadając Krasińskiemu na jego uwagi o Słowackim, czynił jakieś objekcye, Krasiński krótko mu odpowiedział: »Mów co chcesz, Juliusz Słowacki jest poetą i kiedyś imię jego świetnem będzie« [2]).

A jednak zewnętrzny urok poezyi Słowackiego nie zakrywał przed Krasińskim ujemnych stron charakteru tego poety, jako człowieka. W kilka miesięcy po pierwszych swoich wynurzeniach o Słowackim tak pisał poufnie o nim do Gaszyńskiego: »Dziwny to kontrast w tym człowieku: awanturniczy wyobraźnią, tchórz zaś nerwami i całem ciałem. Jest on z tych poetów, którzy nigdy w danej chwili poezyi w działaniu mieć nie będą. Zawsze uważałem, że poeci, w których silnego indywidualizmu nie czuć, jak np. w Byronie, są tchórzami: Goethe był nim, Szekspir

---

[1]) Listy Zygmunta Krasińskiego. Lwów 1882. T. I, str. 80.
[2]) Listy Krasińskiego I, 83.

być musiał; ale za to więcej obejmują, mniej są ludźmi, bardziej są światem. Jest w nich jakiś panteistyczny kunszt, rozlani w cudzych charakterach, w zewnętrznych fenomenach, mniej dbają na godność osobistą; słowem są to siły ogromne duchowe, ale nie ludzie. Tę uwagę jednakowoż o Julku schowaj dla siebie. Ogadywać bym go nie chciał, tak jakbym w żadnym przypadku także liczyć na niego nie chciał. Z temi istotami obchodzić się trzeba jak z morzem, jak z elektrycznością: zważać ich objawienia i dziwić się im, jeśli silne, żadnej zaś nadziei ni rachuby na nich nie pokładać; w tem ich podobieństwo do kobiet i do sił ślepych natury« [1]).

Nie wiemy, jakie okoliczności dały powód Krasińskiemu do takich sądów, ale to pewna, że zestawienie Słowackiego z Goethem i Szekspirem nie było trafne, bo jakim był Szekspir jako człowiek, nic na pewno nie wiemy, a Goethe z egoistyczną naturą nie łączył awanturniczej wyobraźni, jak Słowacki. Zresztą nie można powiedzieć o Słowackim, aby w nim nie było silnie rozwiniętego indywidualizmu. I owszem, był on w nim zanadto, tylko jednostronnie, chorobliwie rozwinięty w kierunku żądzy błyszczenia, żądzy sławy. Ale rycerski nastrój duszy Krasińskiego był przyczyną, że z ujemnych stron Słowackiego odczuł on nie to, co było główną rzeczą, ale tylko to, co najwięcej ten nastrój raziło — brak odwagi.

Na Słowackiego znajomość z Krasińskim podziałała niezmiernie ożywczo. Znajdował on w nim przyjaciela takiego właśnie, jakiego pragnął: umiejącego wnikać we wszystkie subtelności jego poezyi i szczere, bezzawistne uwielbienie przynoszącego mu w hołdzie. Po Ludwiku Spitznaglu i Michale Skibickim był to trzeci człowiek, którego Słowacki mógł nazwać swoim przyjacielem. Ale jeżeli Krasiński swoją egzaltacyą rzeczywiście podobny był do przyjaciela Słowackiego z lat dziecinnych, Spitzna-

[1]) Tamże I, 92.

gla [1]), to z Michałem Skibickim stanowił rażący kontrast. Skibicki zaostrzał w nim tylko antyspołeczny kierunek i nie zdołał natchnąć myślą wyższą nad to, że życie jest ciężką farsą (cette vie c'est une farce un peu trop lourde); Krasiński, jeżeli nie w ustnych wynurzeniach, to swoimi ostatnimi utworami podnosił myśl jego ku niebu, zachęcał do rozwiązywania dyssonansów życia w wyższej harmonii, a z zapałem wyznając wiarę w ogrom talentu Słowackiego, wlewał weń przekonanie o wysokiem jego posłannictwie. Nie znamy wprawdzie treści rozmów, które wówczas przy zawarciu pierwszej znajomości prowadzili z sobą młodzi przyjaciele, ale domyślać się jej można, tak z cytowanej już współczesnej korespondencyi Krasińskiego z Gaszyńskim, jak i z późniejszych listów Krasińskiego do Słowackiego, w których autor *Irydiona* wyznaczał Słowackiemu stanowisko przeciwstawne, ale równorzędne stanowisku Mickiewicza, wzywał go do trzymania duszy »na kształt harfy eolskiej... nad wszystkie dłonie ludzi, wśród powiewów nieba« i ostrzegał przed zupełnem oddaniem się Szekspirowi, w którym obok dobrego ducha upatrywał i złego.

Po odjeździe Krasińskiego z Rzymu Słowacki razem z wujostwem przejechał do Neapolu, ale »neapolitański hałas« zbyt drażnił lubiącego ciszę i spokój poetę, więc przeniósł się on na cały miesiąc do cichego Sorrento, aby tu swobodnie obcować z naturą i rozczytywać się w Szekspirze. Zdaje się, że Słowacki chciał także skorzystać z samotności dla uporządkowania i zharmonizowania wielu wrażeń świeżo doznanych, owego »tysiąca wielkich podlotów do nieba«, ale nic się z tego widać nie wysnuwało takiego, coby uważał za wyraz godny tych podlotów, ponieważ w liście współczesnym do matki znajdujemy tylko wzmiankę, że »pisał trochę«, bez bliższego określenia treści i wartości rzeczy pisanej.

---

[1]) Sam Słowacki widział to podobieństwo. Listy II, 1. Spostrzegał je również Odyniec.

Niebawem otwarła się przed nim sposobność wzbogacenia swojej wyobraźni całym cyklem obrazów wschodniego świata, o którym dotychczas roił w mglistych marzeniał. Trzej młodzi bogaci Podolanie, z których jeden, Zenon Brzozowski, był synem przyjaciółki pani Bécu, postanowili odbyć wspólną podróż do Egiptu i namawiali Słowackiego, aby im towarzyszył, żeby zaś usunąć przeszkody finansowe, które mogły powstrzymać poetę od tej podróży, jeden z owych bogatych młodzieńców, zapewne Brzozowski, ofiarował mu 1000 rubli sr. jako pożyczkę, zwrotną po czterech latach.

Trudno było Słowackiemu oprzeć się pokusie i nie skorzystać z nastręczającej się sposobności poznania światów, do których nieraz latał wyobraźnią. Nęciła go Grecya, którą szczególnym urokiem otoczyła dla niego poezya i tradycya bajrońska, nęcił go Egipt nie tylko swoją starożytnością, ale i blaskiem świeżych tradycyi napoleońskich, nęciła go wreszcie Ziemia Święta.

Wprawdzie głębszego uczucia chrześcijańskiego w Słowackim nie było, świadczyła o tem jego poezya dotychczasowa. Wszak w *Kordyanie* wybierał się w świat, aby rąbać nadpróchniałe krzyże, w *Godzinie myśli* z pewną chlubą mówił o tem, jak gmach jego wyobraźni, gmach jego poezyi, był »niedowiarstwem ciemny«. Wskazówka, którą znalazł u wielkiego przeciwnika w trzeciej części *Dziadów*, aby w religii szukać natchnienia, jako pochodząca z nienawistnej ręki, nie zwróciła go w stronę chrześcijańskich, katolickich ideałów. Ale inaczej było, gdy tę samą wskazówkę otrzymał z ręki człowieka, który wielbił jego poezyę, przenikał wszystkie jej subtelności, otaczał go najszczerszą życzliwością i wróżył nieśmiertelną sławę, a którego religijność miała szeroki podkład filozoficzny. Tym człowiekiem był autor *Nieboskiej Komedyi* i świeżo wydanego *Irydyona*, utworów, nad którymi, jak wiadomo, unosi się krzyż, jako znak zwycięstwa, jako gwiazda polarna dla skołatanej nawy społeczeństwa polskiego

i jego poezyi. Trudno wątpić, że Słowacki oba te utwory znał już wtedy i wiedział, kto jest ich autorem, a choć Krasiński w tych właśnie czasach czuł w sobie upadek dawnej wiary i mocno cierpiał z tego powodu, jak to widać ze współczesnych jego listów do ojca i Gaszyńskiego, to przecież nie można przypuści ażeby wobec nowego przyjaciela chciał zapierać się przewodniej idei swoich ostatnich utworów [1]).

Dla tego sądzę, że w owych, »tysiącznych podlotach do nieba«, których Słowacki w towarzystwie Krasińskiego doznawał w Rzymie, trzeba widzieć nie tylko wezbranie sprężystości duchowej, energii twórczej, ale i początek pewnego zwrotu w nim ku ideałom chrześcijańskim, chociaż to naturalnie był raczej zwrot wyobraźni niż uczucia. Wyobraźnia poety, przynajmniej chwilowo, zbaczała z torów bajrońsko-szekspirowskich, aby szukać poetycznej przędzy dla siebie w chrystyaniźmie, do czego już głośnem odczytywaniem Biblii w ostatnim roku pobytu Słowackiego w Szwajcaryi mogła być przygotowaną [2]). Do ponęty, jaką miała dlań Ziemia Święta, mógł się przyczynić i przykład Chateaubriand'a i Lamartine'a, którzy szukali u Grobu Pańskiego natchnienia; wiemy przynajmiej, jak miło było

---

[1]) P. Kallenbach w w swojej nowej pracy o Zyg. Krasińskim, opartej na bardzo bogatym materyale, mówiąc o ówczesnym stosunku Słowackiego z Krasińskim, sądzi, że, Krasiński (w tych czasach) nie mógł podnosić myśli Słowackiego ku niebu, on, co sam się żalił wówczas, że mu Ewangelia »żadnej pociechy nie przyniosła, żadnej otuchy«. (Zygmunt Krasiński, Życie i twórczość lat młodych T. II 314). Ostatnie słowa wyjęte są z listu do ojca z Rzymu 1 maja 1836. I w innych współczesnych listach Krasińskiego znajdujemy skargi na upadek w nim wiary, przekleństwa na Niemców, panteistów, filozofów, co chcą »by materya i duch jedno były«. Ale mojem zdaniem nie sama wiara pogodna i bezpieczna może podnosić myśl ku niebu; zdolne są tego także i cierpienia człowieka wątpiącego, ale głęboko czującego potrzebę wiary i z całej duszy pragnącego ją odzyskać, to jest takiego, jakim był wówczas Krasiński.

[2]) Listy I, 289—290.

Słowackiemu, gdy mieszkańcy Bejrutu zestawiali imię jego z imieniem Lamartine'a [1]).

Bądź cobądź, głównym, niejako oficyalnym celem podróży Słowackiego miała być Ziemia Święta, Grecya zaś i Egipt miały służyć za stopnie do tych wrażeń, które sobie obiecywał po krainie pełnej śladów Chrystusa. Tak trzeba wnioskować z urywku listu pisanego do matki przed samem odpłynięciem z Włoch, gdzie poeta nazywa podróż swoją »pobożną wędrówką — przez Grecyę, Egipt do Jeruzalem«, [2]) a wreszcie i z tych wierszy *Podróży na Wschód* [3]):

Lecz ja wyjeżdżam pod Golgoty krzyże,
Po święte myśli i szkaplerze święte.

Taki był zamiar poety. Ale nastrój, w jakim się puszczał poeta w tę podróż, bynajmniej nie odpowiadał owemu zamiarowi. Nastrój ten bardzo wyraźnie maluje się we wspomnianym wyżej poemacie, który Słowacki rozpoczął wraz z podróżą swoją, a może i przed nią jeszcze, a w którym wrażenia z podróży miały się odrazu przelewać w poezyę. Jest to nastrój wirtuoza, zachęconego oklaskiem i szukającego coraz nowych sposobności, aby okazać mistrzostwo swoje. Lubowanie się swoją łatwością przelewania najulotniejszych wrażeń w poezyę, w rymy ozdobne i gładkie, uwydatnia się co chwila, a najwyraźniej w tej strofie:

Przypisek winien być pisany prozą.
Lecz ja nie mogę pisać tylko wierszem.
Ktoby pomyślał, że mnie rymy wiozą,
Że sobie konno usiadłem na pierwszym,

---

[1]) Listy II, 50. [2]) Tamże. 29.

[3]) Co się tyczy tytułu, pod którym figuruje *Podróż na Wschód* w *Pismach pośmiertnych* Słowackiego, wydanych przez A. Małeckiego, a który brzmi: *Podróż do Ziemi Świętej z Neapolu,* ten za dowód służyć nie może, ponieważ jak świadczy Małecki w trzeciem wydaniu swojej monografii o Słowackim (Dodatki T. III str. 264—295) pochodzi nie od samego poety, ale od jego wuja Januszewskiego Teofila. Poeta na brulionie swego poematu nie wypisał żadnego tytułu.

A za mną drugi jedzie krok za krokiem
Rym z parasolem, z płaszczem i tłómokiem.

Wirtuozostwo, żartobliwość, lekka ironia, to wszystko nie godziło się jak należy z celem podróży, jeżeli nim miało być »szukanie myśli świętych pod krzyżami Golgoty«. Słowacki miał nadzieję, że to pogodzi, ślubował sobie być »nieco zabawnym, lecz skromnym«, i w tym szczególnym kompromisie między chęcią igraszki i popisu a pragnieniem myśli świętych liczył także na swoje wirtuozostwo. Wszystko to powiedziane było wpółżartem, niemniej przeto wiernie odźwierciedlało nastrój poety.

A jeśli kiedy mój przyjaciel Szekspir
Na złą myśl zagna rymy buntownicze,
Położę jaki suspir albo expir,
Z muzyki — znaku milczenia pożyczę
I muzę moją w rymowym balecie
Na zakręconym wstrzymam piruecie.

Już wtedy zapewne, to jest przy pierwszem zbliżeniu się ze Słowackim, musiał Krasiński ukazywać Słowackiemu w »przyjacielu Szekspirze« pewne ciemne strony, brak chrześcijańskiej syntezy, nad czem później szeroko się rozwodził w jednym ze swoich listów do Słowackiego. Znać w przytoczonej strofie jakby ślad przestrogi Krasińskiego, ale czuć zarazem, że Słowacki niebardzo do serca brał tę przestrogę, że nie myślał rozstać się z przyjacielem Szekspirem, choć dążył do Ziemi Świętej po »myśli święte«.

Ale ten lekki nastrój, ten aryostyczny uśmiech, który tak był do twarzy Balladynie, a którym Słowacki chciał zabarwić swój nowy poemat, nie na długo mógł mu wystarczyć. Już w Grecyi, potrącony falą wspomnień jej bohaterskiej przeszłości, nie umiał nowego swego nastroju pogodzić z poprzedzającym, nie umiał znaleźć przejścia od jednego do drugiego, i stąd nowy poemat jego zaczął się łamać, a z jego okruchów powstał *Grób Agamemnona* i *Smutno mi Boże*, pierwszy jeszcze formą stro-

ficzną zupełnie podobny do *Podróży na wschód*, drugi o strofach inaczej wyrzeźbionych [1]).

W historyi ducha Słowackiego, o którą nam tu głównie chodzi, oba utwory mają niemałe znaczenie, ale pierwszy nierównie większe od drugiego. Poeta chciał się tu skupić i wybłysnąć syntezą, z roli wirtuoza chciał przejść na stanowisko wieszcza, przewodnika narodu. Wprawdzie już w czwartej pieśni *Podróży na Wschód* podawał on swoje *Credo,* które świadczyło, że poeta znał już wtedy wydaną przed paru laty *Historyę powstania* Mochnackiego i że republikańskie i rewolucyjne ideały historyka żywo przemówiły do jego wyobraźni; ale tamto *Credo* było rodzajem igraszki, podane w tonie, który mu odbierał wszelkie znaczenie poważne. Tutaj ton przechodził w najwyższe pathos, pełne błyskawic i gromów.

O cóż chodzi w tym wierszu? Bynajmniej nie o grób Agamemnona. Mistrzowski obraz »tej kopuły podziemnej, co krwią Atrydów zwalana okrutną« i obraz tego skupienia, które jej widok wywołuje w poecie, to tylko cicha, mistrzowska przygrywka do tej burzy uczuć, która po niej następuje, a która stanowiąc główną treść poematu z grobem Atrydy nie ma najmniejszego związku, albo raczej ma czysto przypadkowy związek. Do pieczary z głazów wpadł złoty promień słońca, i przypomniał poecie strunę z harfy Homera, z tej harfy, którą święcił u samego wstępu:

---

[1]) Co się tyczy wspaniałego wiersza, znanego po tytułem *Wschód słońca nad Salaminą* (tytuł dany przez wydawcę), ten jakkolwiek się treścią bezpośrednio wiąże z dziewiątą pieśnią *Podróży na Wschód*, napisany jednak został dopiero w kilka lat później, w czasie pisania *Beniowskiego,* i miał według pierwotnego planu wejść w skład tego poematu, jak o tem wyraźnie poucza autograf poety. Zob. mój artykuł: »Nieznane fragmenty i waryanty Beniowskiego« w *Gazecie Lwowskiej* (z września 1902 r.), albo w *Bibliotece Warszawskiej* w sierpniowym zeszycie tegoż roku, gdzie ów artykuł podany jest w skróceniu.

O jak daleko brzmi ta harfa złota,
Której mi tylko echo wiecznie słychać.

I przypomniał mu zarazem, że i on ma harfę złotą, że i on jest Homerem, ale gdzież ta sława jego? gdzie jego słuchacze? Im głębsze było upokorzenie się chwilowe przed nicością wieków, tem silniej potem w piersi jego zawrzała duma i żądza sławy. Ta żądza wstrząsa nim całym, rzuca go na koń i każe pędzić na Termopile i Cheroneję, aby z tych pól rzucić gromy potępienia na naród, a jednocześnie objawić się narodowi, jako wieszcz, wzywający go na nowe drogi. Jak te gromy potępienia, jak to oburzenie na brak w Polakach Leonidasowego męstwa niestosownem było w ustach Słowackiego, którego rola w czasie powstania listopadowego w żadnym razie zaszczytną nie była, — na to już gdzieindziej zwróciłem szczególną uwagę [1]. Tu chciałbym tylko wskazać, co wywołało te gromy, co było ich bezpośrednią przyczyną.

Słowacki, rozważając przyczynę niepopularności swej poezyi, przyszedł do przekonania, że jest nią niski stopień rozwoju umysłowego narodu. On, Bajron, Aryost, Szekspir polski, siejący tysiącem blasków, tworzący cuda poetyckie, nie zdoła niczem rozgrzać i poruszyć serc polskich. Najwięcej go ubodło to, że nawet we własnej rodzinie nie znalazł tego zajęcia i uwielbienia dla swej poezyi, jakiego pragnął, do jakiego rościł pretensye. Wiemy już, co pisał do matki z Rzymu na trzy miesiące przed wyjazdem w podróż na Wschód: »Przeczytałem był wszelkie prace moje Filom, które im się nie bardzo podobały i mówili mi zawsze, że szlachta nie zrozumie«. Podejrzywać o zazdrość, zawiść swoich wujostwa, niepodobna było; nie mniej przeto zrażało to Słowackiego i do Filów i do szlachty, a więc i do całego narodu, którego ona była przedstawicielką. Że w tym braku współczucia dla Słowackiego

[1]) Artykuł p. t. »Juliusz Słowacki« w Szkicach literackich. Serya I. Kraków 1896.

w narodzie, który echem zachwytu odpowiadał na każdy głos Mickiewicza, mogła być własna wina poety, a mianowicie brak zmysłu społecznego, którym w najwyższym stopniu obdarzony był Mickiewicz, o tem Słowacki nie wiedział, tego nawet nie przypuszczał. Tem łatwiej mu było zwalić całą winę swej niepopularności na społeczeństwo, że w Zygmuncie Krasińskim i zapewne w podobnie do niego nastrojonych towarzyszach jego rzymskich, znalazł i zrozumienie swojej poezyi i uwielbienie dla niej. Były to więc w jego rozumieniu wyjątkowe, doskonalsze jednostki, wybiegające wysoko ponad poziom szlacheckiego społeczeństwa, które jego poezyę odtrącało. W ich uwielbieniu, w szczególności w uwielbieniu Krasińskiego, (bo o jego towarzyszach w tym względzie niewiele wiemy), znalazł punkt oparcia dla wiary w swoją niezrozumianą przez naród genialność i dla potępienia narodu.

Tylko w świetle tych przypuszczeń można zrozumieć, co znaczy nagi trup Leonidasa »bez złotego pasa« i »bez czerwonego kontusza«, co znaczą skargi na Polskę, że »duszę anielską więzi w czerepie rubasznym«, i że sęp jej wyjada »nie serce — lecz mózgi«. Słowa Filów: »szlachta nie zrozumie twojej poezyi«, oświetliły jaskrawo przepaść dzielącą marzycielskiego wirtuoza, siejącego tysiące blasków z czarodziejskiej fantazyi, od społeczeństwa, łaknącego prostych, ale silnych, ciepłych, żywych, z serca dobytych słów, takich, jakie znajdowało np. w wierszu *Do matki Polki*, w *Reducie Ordona*, w *Panu Tadeuszu*. Czyż »fantastycznie nastrojona« jego lutnia nie była »duszą anielską« zamkniętą »w rubasznym czerepie« szlacheckiego społeczeństwa? Poeta, zapatrzony w siebie i skłonny do ubóstwienia, nie zawahał się w to uwierzyć. A potępiwszy społeczeństwo w stosunku do siebie, zapragnął je potępić także pod względem patryotycznym i politycznym.

Inne się jeszcze nasuwa przypuszczenie, którego pominąć nie można. Czy do tak bezwzględnego i gwałtownego potępienia narodu w *Grobie Agamemnona* nie

przyczynił się Zygmunt Krasiński, już nie przez uwielbienie swoje dla poezyi Słowackiego; ale ówczesnymi poglądami swoimi na naród polski, na jego przeszłość, na jego charakter? W pewnym niezmiernie ciekawym liście Krasińskiego z tych czasów do ojca (z Florencyi 26 stycznia 1836)[1]) takie rozpaczliwe znajdują się między innemi uwagi: »Byliśmy najniepewniejszym, najbłędniejszym, najbledszym, że tak powiem, narodem w historyi ludzkości...« »Garnęły się do nas narody i korony, ale z niczego korzystać nie umieliśmy, nic w czas zrobić. Gdzie kiedy jaki Polak był genialnym politykiem?«... »A w naukach, w kunsztach, w sztukach cóżeśmy stworzyli? Jest-że poezya, architektura lub malarstwo lub muzyka polska? Czyśmy mieli kiedy co polskiego na świecie, prócz Rubaszności?— Ubior od zachodniej Europy, potem od Wschodu pożyczony.«

...»Naród polski bywał zawsze leniwy do wojny, do pospolitego ruszenia, lubił wygódki. Ale za to fanfaron wielki; bo ten tylko się chełpi, który czuje niedostatek rzeczy, z której chełpi się — ale za to małpa, bo ten tylko naśladuje, co nie ma nic własnego—«

...»my wszystko marnowali, nie przez hojność, nie przez popęd, nie przez rozpasane namiętności, ale tylko przez nieporządek, przez opieszałość, przez brak rozumu, a nieraz i serca«.

...»Było pryncypium zakorzenione w Polszcze, które niszczyło wszelką w niej poezyą: pryncypium buffońskie, Rubaszność szlachecka, trefność dworzańska, krotofilność. — W innych narodach byli szczególni ludzie, wyznaczeni na pastwę temu pryncypium, zwali się błaznami królów... U nas cała szlachta ćwiczyła się w tem rzemiośle...«

---

[1]) List prawie w całości wydrukowany w monografii Kallenbacha: »Zygmunt Krasiński, Zycie i twórczość lat młodych (1812—1838) T. II 290—297.

...»I tak leżąc na kożuchu, pijąc małmazyę i piwo, trefnując dziwnie krotofilnie, zeszliśmy do grobu«...

Jeżeli te uwagi Krasińskiego, pisane na parę miesięcy przed poznaniem się jego ze Słowackim, porównamy z *Grobem Agamemnona*, to znajdziemy w niektórych wyrażeniach, szczególnie w piętnowaniu rubaszności szlacheckiej, braku rozumu, chełpliwości i małpiarstwa, zadziwiającą analogię, która musi nas poprowadzić do wniosku, że w owych ożywionych rozmowach, które prowadzili z sobą dwaj poeci w Rzymie, Krasiński poruszał te myśli, a Słowacki przejmował się niemi tem łatwiej i tem chętniej, że mu one tłómaczyły obojętność ogółu dla jego poezyi i wyższość tej ostatniej. I w tem to właśnie zachodziła wielka różnica między nimi: głęboka gorycz uwag Krasińskiego nie miała w sobie nic z pierwiastku osobistego, wypływała tylko z żałosnego poczucia nędzy narodu; w Słowackiego gromach rzucanych na naród tętnią wyraźnie pretensye osobiste.[1])

Wreszcie niemałą zapewne rolę w genezie *Grobu Agamemnona* odegrała Mochnackiego *Historya powstania*, która z ogromnem ciepłem artystycznem i żywością barw odświeżała w pamięci współczesnych gorączkę dni rewolucyjnych i odzwierciedlała gorący temperament i rewolucyjne ideały swego autora. Ale rozgrzany cudzym ogniem, ogniem człowieka, który dla wcielenia swoich ideałów w życie gotów był położyć głowę i nieraz ją narażał, Słowacki zupełnie zapomniał o swym wyjeździe z Warszawy, którego sam się kiedyś wstydził, a pamiętał tylko, że jest autorem *Kordyana* i zdało mu się, że jako twórca tego teatralnego patryotyzmu ma prawo piętnować naród, że nie walczył do ostatniej kropli krwi. Nic też niema bardziej teatralnego od tych strof wezwania do narodu, które do dziś, niestety, odpowiedniego efektu nie chybiają:

---

[1]) Sam Słowacki ten związek między potępieniem narodu a sprawą własną uwydatnił w »Kilku słowach odpowiedzi na artykuł pana K. Z.« w *Młodej Polsce* 1839, o którym niżej będzie mowa.

Zrzuć do ostatka te płachty ohydne,
Tę Dejaniry palącą koszulę,
A wstań, jak wielkie posągi bezwstydne,
Naga — w styxowym wykąpana mule!
Nowa — nagością żelazną bezczelna —
Niezawstydzona niczem — nieśmiertelna!

Niech ku północy z cichej się mogiły
Podniesie naród i ludy przelęknie,
Że taki wielki posąg — z jednej bryły!
A tak hartowny, że w gromach nie pęknie,
Ale z piorunów ma ręce i wieniec —
Gardzący śmiercią wzrok — życia rumieniec.

Wspaniała wizya i patetyczność posunięta do najwyższej potęgi, ale cóż się w tych patetycznych frazesach ukrywa? czego chce naprawdę poeta? A naprzód dlaczego pas i kontusz mają być »płachtami ohydnemi«, »palącą Dejaniry koszulą«, którą Polska powinna zrzucić do ostatka? Widocznie Słowacki chciał w nich widzieć symbol tych wad szlacheckich, które naród wtrąciły do grobu politycznego; i wołanie jego pod wspaniałością frazesu ukrywałoby ogromną siłę treści, gdyby w tem wołaniu właśnie nie tkwiło głębokie nieporozumienie.

Polska szlachecka w istocie miała na sobie »palącą Dejaniry koszulę», a tą koszulą był anarchiczny kult złotej wolności, w *liberum veto* skrystalizowany; ale czy tak rozumiał ten symbol Słowacki? Nie, tak rozumieć nie mógł, bo on sam w całej swojej poezyi i w całej swojej istocie duchowej był najdoskonalszym, najwierniejszym tego anarchizmu przedstawicielem. Jeżeli co ukrywał w tym symbolu, to chyba tylko kastowość dawnej Polski. Ale to nie kastowość zgubiła Polskę w czasach, kiedy jeszcze kastową była cała Europa, tylko kult bezrządu, który i kastowość czynił w Polsce nierównie fatalniejszą, niż gdzieindziej. Gromy więc jego źle były wymierzone, a przytem nie widział, że to co było prawdziwą Dejaniry koszulą dla narodu, na nim samym najsilniej gorzało. Wprawdzie jest tam jeden wiersz skruchy: »Mówię, bom smutny i sam

pełen winy«, ale ten wiersz tak się pojawia nawiasowo i przelotnie, tak przygłuszony jest gromami, ciskanymi na naród, że wygląda jakby wywołany raczej potrzebą rymu, aniżeli potrzebą serca.[1])

I czegoż ostatecznie żądał Słowacki od narodu, jako wieszcz stając przed nim? Jaką drogę mu wskazywał? Przetłómaczywszy jego wspaniały język poezyi na zwyczajną prozę, widzimy, że Słowacki potępiał naród za to, że ten dał sobie nałożyć kajdany i wzywał go do walki orężnej i to takiej, w którejby cały naród podniósł się, jak »wielki posąg z jednej bryły«. Czemże było takie żądanie, szczególnie w ówczesnych warunkach, kiedy naród dźwigał na sobie jeszcze cały ciężar świeżej klęski, jeśli nie pięknym frazesem bez wszelkiej realnej podstawy? A czczość tego frazesu tem większą i przykrzejszą się nam wyda, jeśli go zestawimy z temi hasłami, które Mickiewicz i Krasiński nieco przedtem rzucili obalonemu i broczącemu krwią narodowi. Pierwszy w *Księgach pielgrzymstwa* rzucał hasło wewnętrzego doskonalenia się, od którego wszystkie zewnętrzne zwycięstwa zależą, a którego żaden wróg zatamować niezdolny. »O ile powiększycie duszę waszą, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice«. A drugi w zakończeniu *Irydyona* wskazywał, jako drogę zbawienia, cierpliwą i nieustannie czynną miłość: »Idź i czyń — przemawia głos z nieba do Irydyona — choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich, choć zwątpisz o braci twojej — choćbyś miał o mnie samym rozpaczać — czyń ciągle i bez wytchnienia, a przeżyjesz marnych, szczęśliwych i świetnych...«. To były prawdziwe słowa mądrości, otuchy i nadziei; wobec nich wołanie Słowackiego jest tylko wspaniałą pozą teatralną. A następujący okrzyk jego: »Polsko! lecz ciebie błyskotkami łudzą!« nie da się nigdzie lepiej zastosować, jak do tego teatralnego patryotyzmu Słowackiego.

[1]) Porówn. moją broszurę *W obronie własnej książki,* odpowiedź prof. Chmielowskiemu (odbitka z *Czasu*) Kraków 1904 str. 12—15.

Bądź co bądź *Grób Agamemnona* pisany był w zupełnie innym tonie, niżeli reszta *Podróży na Wschód*. Podniósłszy się pod wpływem bohaterskich wspomnień starogreckich do tak wysokiego nastroju, Słowacki musiał uznać, że ten nowy ton nie daje się sprządz i pogodzić z lekkim nastrojem, z jakim rozpoczynał wcielać swoje wrażenia z podróży w poezyą. Tem mniej z tym nastrojem dawały się pogodzić dalsze wrażenia, które go czekały: w Egipcie, a przedewszystkiem w Ziemi Świętej. Poeta więc przerwał pisanie swojego poematu, czekając wysokich natchnień, które miały nań spłynąć na szczytach piramid i u grobu Chrystusa. Ale natchnienie ani tu ani tam nie przybyło. Piramidy nie zadziwiły go tak swoim ogromem, jak się tego spodziewał i z pewnym żalem pisał do matki: »Widziałem więc piramidy, ale za to straciłem obraz, który sobie o nich moja imaginacya tworzyła« [1]). Wprawdzie na tle wrażeń zebranych w podróży po Egipcie osnuł plan wielkiego fantastycznego poematu w kilku częściach, ale ten plan nie doczekał się częściowego nawet wykonania [2]). Co się tyczy grobu Chrystusa, to postanowił

---

[1]) Listy II, 33.

[2]) Plan ten zachował się w pamiętniku podróżnym poety, który jest obecnie własnością p. L. Méyeta. Przedrukował go p. Biegeleisen w artykule: »Wrażenia z podróży J. Słowackiego na Wschód, na podstawie nieogłoszonego pamiętnika poety«. Bibl. Warsz. 1891. IV, str. 348. Jako rzecz mało znaną, a charakteryzującą współczesny nastrój fantazyi Słowackiego i rozmiary jego pomysłów poetyckich, podaję go tutaj.

Część I. Rhamezes po tryumfie postawił grób. — Homer. — Siostra i żona Rhamezesa. — Aleja Sfinksów przy kościele Typhona. — Samobójstwo, miecz pod kamieniem. — Żal siostry. — Każe miłości historyę wyryć na obelisku i serca nabalsamowanego nie wyjmować — potem węża przykłada do piersi — i złożona w jednym alabastrowym sarkofagu. — Charon. — Hymn dziewic. — Sąd przed statuami Memnona. (Monolog przy zachodzie słońca — figura żórawi — apostrofa do Memnona). Homer, odchodząc do Grecyi śpiewa. — Chór.

Część II. Oślarz Hanut. — Chata gołębiami otoczona. — Zgon

noc spędzić przy nim, aby tem silniejszych doznać wrażeń i o tej nocy pisał potem do matki, że »zostawiła mu mocne wrażenie na zawsze[1]), ale choć się »z wielkim płaczem rzucał na kamień grobu«, grób zimno przyjął te uściski poety-wirtuoza, którego tu nie uczucie pobożne przywiodło, ale poetyzująca wyobraźnia, i nie odpłacił się poecie oczekiwanem przez niego natchnieniem. W jego dzienniczku z podróży, notującym w jak najkrótszy sposób doznawane wrażenia, znajduje się współczesnie wpisany poetyczny urywek sześciowierszowy, świadczący, że poeta wkrótce po owej scenie czuwania nocnego przy Grobie Chrystusa usiłował wykrzesać z serca swego »myśli święte«:

I porzuciwszy drogę światowych omamień,
I wysłuchawszy serca, gdy rzekło: Jam czyste!
Tu rzuciłem się z wielką rozpaczą na kamień,
Pod którym trzy dni martwy leżałeś, o Chryste!
Skarżyłem się grobowi, a ta skarga była
Ani przeciwko ludziom ani przeciw Bogu...

I nic więcej nie potrafił Słowacki wykrzesać z siebie na temat grobu Chrystusowego, ani teraz, ani później,

---

starej Arabki. — Hanut widzi rozbicie sarkofagu. — Góra nad Memnonem. — Monolog młodego Araba. — Żórawie. — Przepływa Nil. — Idzie do Karnaku. — Aleja Sfinksów zarosła palmami. — Rozwaliny Typhona. — Pustelnik Tebaidy. — Widzenie Hanuta całych Thebów przerwane śpiewem. — Miecz Rhamezesa. — Dziewczyna wiejska donosi, że ma gołębia, dziesiątak i osła, zabrane dla syna Baszy. — Hanut przeklina. — Rada z pustelnikiem. — Idzie do Komir (czy nie do Kairu?) dowiaduje się, że baszy syn zginął w płomieniach właśnie w godzinie przekleństwa. — Młoda Daphne uratowana od Beduinów. — Dwa tysiące lat życia darowano dyabłu. — Hymn duchów.

Część III. Sivah. — Życie kochanków. — Omdlenie miłości. — Scena z Dyabłem. — Ostatnie tysiąc lat darowane. — Miłość dla młodej Arabki, która piersią tłucze źwierciadło czarownika. — Daphne daje kochankom życie nowe. — (Części IV brak). Zakończenie: ogromna biesiada duchów w kościele Ipsabala. — Śmierć Araba.

[1]) Listy II, 42.

choć we dwa lata jeszcze potem myślał o tem, jako o niespełnionem zadaniu. »Doznaję prawie wyrzutów sumienia, żem dotąd nic ani o piramidach, ani o grobowcu Chrystusa nie napisał, ale jak mówi dawna piosneczka: serce nie sługa, nie zna co to pany« etc., tak i ja o mojej imaginacyi powiedzieć mogę« [1]).

Ale jeśli Jerozolima nie obdarzyła poety oczekiwanem przez niego natchnieniem, to za to inne miejsce w Syryi, klasztor Betcheszban na Libanie stał się kolebką jednego z najoryginalniejszych i najsławniejszych utworów Słowackiego — kolebką *Anhellego*. Dla Słowackiego podróż na Wschód była przedewszystkiem wyprawą po materyał poetycki, po silne wrażenia i wzruszenia i po »święte myśli«, z których się miało utkać jakieś wspaniałe dzieło. Orzeźwiony, podniesiony na duchu uwielbieniem Krasińskiego, miał najlepsze pod tym względem nadzieje, a jakby chcąc próbować mistrzowstwa swego, zaraz zaczął wrażenia z podróży przelewać w bajronicznie nastrojone strofy. Niebawem przyszedł do przekonania, że z tych strof nie da się skleić wielka, powagą imponująca całość. Poemat się urwał właśnie wtedy, gdy poeta poważniej się nastrajał, czy to rozmyślając nad znikomością wieków w *Grobie Agamemnona*, czy nad znikomością własną na widok morza w *Hymnie o zachodzie słońca na morzu*. Wrażenia odniesione w Ziemi Świętej nastroiły go jeszcze poważniej [2]) i domagały się ujścia w poezyi, którego bezpośrednio znaleźć nie mogły. Nie Byron ani Szekspir, ale Dante najlepiej odpowiadał nastrojowi temu, więc opuszczając innych dawniejszych przewodników, jego sobie obrał Słowacki za wyłącznego przewodnika przy układaniu planu wielkiego dzieła, które miało być wyrazem nowego nastroju. Żeby to dzieło było wielkiem i znalazło silny odgłos w ser-

---

[1]) Tamże, 92.

[2]) »Wszystkie te okolice Jerozolimy napełniają serce jakąś prostotą i świętością«. Listy II, 48.

cach narodu, musiało mieć odpowiedni przedmiot, a takim przedmiotem były współczesne cierpienia narodu, które już z taką siłą odzywały się w trzeciej części *Dziadów*, które z tak przejmującym liryzmem podkreślał Krasiński w epilogu *Irydyona*.

W Słowackim patryotycznego nastroju nie było aż do czasów pisania *Kordyana*, a i w *Kordyanie*, jak widzieliśmy, patryotyzm Słowackiego jest więcej powierzchowny, teatralny, niż rzetelny. Po napisaniu *Kordyana* poeta, jak to już dawniej zauważyłem, zostawał pod wpływem swego poematu i dostrajał się do niego pod względem patryotycznym. Nowy i silniejszy niż przedtem przypływ patryotycznego nastroju w Słowackim wywołał niewątpliwie Krasiński tak swoim *Irydyonem*, jak jeszcze więcej zapewne osobistym stosunkiem, rozmowami, w których struna patryotyczna musiała drgać często, jak się tego łatwo domyślić, sądząc po współczesnej korespondencyi Krasińskiego. Tem łatwiej było Słowackiemu przejmować się nastrojem Krasińskiego, że ten nastrój pochodził od człowieka, który był wielbicielem jego poetyckiego geniuszu. Za wskazówką tedy epilogu *Irydyona* (»Idź na północ w imieniu Chrystusa — idź i nie zatrzymuj się, aż staniesz na ziemi mogił i krzyżów« i t. d.) postanowił Słowacki ująć współczesne cierpienia narodu w dantejski poemat fantastyczno-symboliczny. Jeszcze przed przybyciem do klasztoru libańskiego — jak o tem świadczą autografy poety — powziął on plan wielkiego poematu p. t.: *Posielenje*, który w dantejskich tercynach miał przedstawić cierpienia rzuconych na Syberyę Polaków. Formę poematu podsuwał mu Dante, który w ostatnich latach wraz z Szekspirem i Biblią stanowił główną jego lekturę. I jakim przewodnikiem był Vergili dla Danta w *Boskiej Komedyi*, takim samym Dante miał stać się w tym poemacie dla Słowackiego.

Poeta miał już kilkadziesiąt tercyn napisanych, ale zadowolony z nich nie był. Do stworzenia poematu tak wiele

ogarniającego trzeba było skupienia, którego wędrowne życie dać nie mogło. Zapragnął ciszy, samotności, któraby mu pozwoliła uspokoić »rozigrane nerwy«, uporządkować nawał wrażeń, które od kilku miesięcy kołatały w jego duszę i znaleźć syntezę swego ducha, prawdziwszą i lepszą od teatralnego *Kordyana*. W tym celu, rozstawszy się z towarzyszem podróży, Brzozowskim, w Bejrucie, udał się przed Wielkanocą 1837 do klasztoru Betscheszban, o którym tak później pisał do matki: »Miejsce prawdziwie bezludne, klasztor zbudowany na skale, dobrzy księża ormiańscy, piękne kwiaty, rozwijające się wiosną na górach, rozległy widok na morze z mojej celi, wszystko to miłe mi zostawiło wspomnienie«[1]). Zmęczony ciągłą zmianą wrażeń, w nienaruszonej jednostajności życia klasztornego wyciągał się, jak strudzony człowiek w letniej kąpieli. Ta cicha jednostajność zachęcała go do zagłębiania się w sobie i szukania w sobie zagadki swego życia i stosunku jego do życia narodu. Wśród tych dumań przeglądał przeszłość swoją, aby wydobyć z niej syntezę swego życia i odziać ją w eteryczną szatę swych marzeń. Jakby źwierciadłem przeszłości były dlań listy matki, które zabrał z sobą jadąc na Wschód i teraz w klasztorze odczytywał, wskrzeszając w pamięci minione wrażenia, pragnienia, nadzieje i troski. »Gdybyś Ty wiedziała — pisał w następnym roku z Florencyi — jak ja na Libanie w klasztorze nadchmurnym, wydobyłem cały pakiet Twoich listów, z jaką smutną uwagą je podług dat sześcioletnich układałem, jak je potem odczytywałem ze łzami nieraz nad tobą i nad sobą«[2]).

Pod wpływem tych dumań, rozmyślań i kojącej ciszy klasztornej poemat rozpoczęty, a mający tu być ukończonym, doznał znacznych przeobrażeń tak w samym pomyśle jak i pod względem formy[3]). Domyślam się, że zbyt wy-

---

[1]) Listy II, 47.
[2]) Tamże, 71.
[3]) Plan poematu *Posielenje* był następujący (wyrazy wzięte w na-

raźne naśladownictwo Danta, które wygląda z planu i zna nych nam tercyn, nie odpowiadało nastrojowi poety w kla sztorze, że chciał on prawdziwiej, szczerzej, naturalnie wypowiedzieć swoje ówczesne uczucia i marzenia. Powtóre o ile można sądzić z planu i tytułu *Posielenja*, poema ten miał roztoczyć głównie, jeśli nie wyłącznie, obraz ciei pień narodu, dantejskie piekło Polski, tyle tylko na ten tle jaskrawem zarysowując postać samego poety, ile Dant własną postać przedstawił na tle obrazów *Boskiej Komedy* W nowym planie, który się z dawnego wyłonił, chodził o wyznaczenie ważniejszej roli samemu poecie, syntez jego ducha, oświetlenie jego wnętrza, pokazanie jego dusz miało być ważniejszą rzeczą od tła, na którem się ta pc stać zarysowywała.

Stąd poszło przeobrażenie się *Posielenja* w *Anhelleg* Ponieważ tercyny nie chciały mu płynąć z pod pióra ta swobodnie i naturalnie, jak tego pragnął, więc porzuc tę formę. Mamy własne jego przyznanie się w *Beniowskiu* (Pieśń V oktawa 11):

---

wias są przekreślone w autografie): Pieśń I. (Zgon poety — cisza - ksiądz — ostatnia godzina — jezioro — zachód słońca). II. (Obudzeni się) Dante (kraj nocy, wicher płacze). III. Dzieci — Tonio. IV. Spa lenie się człowieka na koniu — próchno. V. Forteca (obłąkany, truj go). VI. Chata — jabłoń gwiazd. VII. Uczta jeńców pijanych. VII Noc — życie poety. IX. Wilki — ciało jeńca. X. Jama — historyı XI. Dalszy ciąg — zgon kobiety. XII. Druga śmierć — ostatnie świa tło. XIII. Mewy — słońce na wschodzie — Boże Narodzenie. XIV Cień matki — przeczucie — koło ogniste. XV. Cmentarz — gil - palą kości. XVI. Uczta duchów — zorza północna — Anieli Piastı XVII. Omdlenie śmierci — Dante i Anioł. — XVIII. (Orzeł świętych - Dante tłómaczy). XIX. Dante znika — Anioł w podziemne prowadı kraje. XX. Sen jeńców — zgon księdza. XXI. Rąbanie skał rozża rzonych — spalenie nogi. XXII. Odpoczynek nad solnem jezioren XXIII. Przez rózgi — starzec łańcuchami bity. XXIV. Wielki koło XXV. Świecznik biblijny. XXVI. Gwiazda sumienia. XXVII. Drzew pod deszczem ognistym. Bibl. Warsz. 1891, IV, str. 348—349.

Próżno deptałem Parnasowe grzbiety,
I miałem nieraz Dyannę usłużną:
Kiedym chciał zamknąć Sybir w tryolety,
Muza została mi rymami dłużną.
Z tego więc poszło, że pisałem prozą.

Że nie zwrócił się do innych strof, sekstyny lub oktawy, które mu nigdy nie odmawiały posłuszeństwa, gotowe naginać się do wszelkich kaprysów jego wyobraźni i że wolał od nich prozę biblijną, można to przedewszystkiem tem tłómaczyć, że mu chodziło o wielką prostotę i naturalność wyrażenia. Zresztą przykład zastosowania prozy biblijnej do poezyi patryotycznej już był dany w *Księgach pielgrzymstwa*. Wczytywanie się poety w owych czasach w Biblię, cisza klasztorna, nastrajająca religijnie i harmonizująca z powagą i prostotą stylu biblijnego, zapewne i chęć zmierzenia się i przewyższenia w stylu biblijnym Mickiewicza, to wszystko skłaniało Słowackiego, który tak niedawno szczycił się, że go »rymy wiozą« i że »nie może pisać tylko wierszem«, do obioru prozy biblijnej za formę dla swego nowego poematu.

Dając pierwszeństwo Biblii nad Dantem pod względem formy, chciał i w pomyśle usunąć wyraźnie zaznaczoną zależność swego poematu od *Boskiej Komedyi* i postać Danta-przewodnika zamienił na postać Szamana, mędrca-czarodzieja, daleko lepiej niż tamta harmonizującą z tłem sybirskich śniegów i sybirskiego nieba. Co z osobistych stosunków włożył w tę postać, o tem później; teraz chcę jeszcze wskazać, że przesunięcie punktu ciężkości z tła cierpień narodowych na syntezę własnego ducha poety uwydatniło się i w zmianie tytułu. Pierwotnie, jak wiemy, poemat miał się nazywać *Posielenje*, poeta zaś, jak Dante w swoim utworze, nie wciągał na siebie obcej postaci, nie miał obcej nazwy i przemawiał w pierwszej osobie. Po przeobrażeniu się pierwotnego pomysłu poeta ukrył się w postaci Anhellego i to imię postawił w tytule poematu, oznaczając tem, że ta postać stanowi główną treść jego.

Imię »Anhelli« było symboliczną nazwą, jeszcze ba dziej przezroczystą, niż Kordyan. Kordyan miał oznacz człowieka o głęboko czującem sercu, Anhelli — człowiek o anielskiej duszy. I jedna i druga nazwa była fałszyw o ile w nich Słowacki chciał usymbolizować swego duch ale w różnym stopniu. Słowacki miał czułe serce w te znaczeniu, że wszelkie wrażenia świata zewnętrznego siln się w nim zabarwiały uczuciem przykrem lub przyjemnem ale nie umiał zapominać o sobie i przejmować się ucz ciami innych, jednem słowem miał czułe serce dla siebi nie dla innych. Anielską też trudno nazwać duszy, któ miała tak wysoce egoistyczny nastrój; ale przecież prete sye poety do anielskości miały pewne uzasadnienie. Jeg pogarda dla »zjadaczy chleba«, marzycielstwo, wynoszeni sławy pośmiertnej nad wszelkie dobra doczesne, wreszc nadzwyczajna czystość, wszelki brak cynizmu i zmysł wości w jego poezyi nadają istotnie pewną anielsko jego duszy.

Szczególnie zastanawiającą jest nadzwyczajna czysto pod względem zmysłowym poezyi Słowackiego. On, wie biciel i naśladowca Bajrona, on któremu autor *Don Juan* imponował wszystkiem: i życiem swojem i poezyą, do juanizmem i walką z przesądami, nie wciągnął do sw poezyi nic z cynizmu i zmysłowości swego mistrza. Możnab rozmaicie objaśniać tę dodatnią cechę poezyi Słow ckiego: szczególną organizacyą fizyczną, wychowaniem po kobiecą opieką, przygłuszeniem żądz zmysłowych żądz sławy i wypływającą stąd czystością życia, ale stanowczeg objaśnienia dać trudno. W każdym razie warto zwróci uwagę na słowa listu poety do matki (z Florencyi 10 lipc 1838) następujące: »...dotąd na uwięzi trzymałem serc moje i czystsze życie wiodłem, niż inni, znajdując w te jakąś dumną pociechę dla duszy. Widziałem, że to dz wiło Teofila, kiedyśmy byli w Rzymje i że mię miał z oryginała nie do naśladowania« [1]).

[1]) Listy II, 104.

Jakże się przedstawia poeta-Anhelli w poemacie. Jest on wybranym przez Szamana, mędrca i czarodzieja, na ofiarę, która ma odkupić jego nieszczęśliwy naród. »Wybiorę jednego z nich, powiada Szaman, i ukocham go jak syna, a umierając oddam mu ciężar mój i większy ciężar niż mogą unieść inni, aby w nim było odkupienie«.

»I pokażę mu wszystkie nieszczęścia tej ziemi, a potem zostawię samego w ciemności wielkiej z brzemieniem myśli i tęsknot na sercu«.

I potem przywołał do siebie Anhellego »i położywszy na nim ręce, wlał w niego miłość serdeczną dla ludzi i litość«.

Słowa Szamana spełniają się, Anhelli ogląda wszystkie nieszczęścia swojej ojczyzny, serce jego napełnia się po brzegi goryczą i zwątpieniem i on umiera nie doczekawszy się promienia nadziei, ale ta śmierć przynosi narodowi odkupienie, i oto zaraz po niej zjawia się rycerz cudowny, zwiastujący zmartwychwstanie narodów.

Wartość tej idei dostatecznie ocenił Małecki [1]), ale jak się ona zrodziła w Słowackim? Sądzę, że w tym względzie pozostaje coś do dopowiedzenia.

Powiedziałem już, że poeta w ciszy klasztornej zagłębiał się w dumaniach nad swojem życiem, nad jego znaczeniem, nad stosunkiem swoim do narodu. Że był człowiekiem nadzwyczajnych przeznaczeń, wyjątkowo obdarzonym od natury, to czuł i w to wierzył mocno, oddawna, od dzieciństwa. Ale na czem polegało to przeznaczenie, czem miał stać się dla własnego narodu, jaką rolę odegrać w jego losach nieszczęsnych, o tem dotychczas nie rozmyślał. Drogę miał wytkniętą: dążyć do najwyższej sławy, która mu się w jego rozumieniu należała i walczyć o nią.

---

[1]) »Trzebaż, aby najczystsi i najlepsi w narodzie marnieli w bezczynnym smutku?... Czy społeczeństwu zda się to na co, że ten i ów — wyrzucony z zastępu czynnych strawi się w samotności i melancholii...«. Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła, wyd. trzecie. Lwów 1901. T. II, str. 144.

Wprawdzie w *Kordyanie* starał się pokazać syntezę swego ducha i swego stosunku do narodu, a i w *Grobie Agamemnona* zajął wobec narodu stanowisko *Kordyana*, ale mógłże nie czuć teraz, w chwilach zagłębiania się na dno duszy, że to stanowisko jest sztuczne, nie odpowiadające prawdziwej treści jego ducha? Gdzież i kiedy był on bohaterem rwącym się do czynu? Więc czemże był? jakie znaczenie miało jego życie? Jak Anhelli przed śmiercią na stepie sybirskim, tak i on w cichej celi klasztornej z widokiem na morze zapytywał siebie: Cóż robiłem na ziemi? byłże to sen? Tyle posiadać skarbów fantazyi, tyle blasków z siebie wydobyć, tyle roić o sławie, i być samotnym, zapomnianym, nieuznanym, a w dodatku jeszcze oddalonym od swoich najbliższych i skazanym na tułactwo po świecie! Niewątpliwie też i cierpieniami społecznemi przejmował się teraz Słowacki więcej niż przedtem, jakkolwiek i teraz nie ciężyły one na sercu jego więcej od osobistych.

Te wszystkie smutki, wątpliwości, wahania się, te chęć wydobycia z siebie syntezy już się odbija w cudownie malowanym *Hymnie o zachodzie słońca na morzu*, który jest jakby przegrywką do *Anhellego*. Ale wtedy jeszcze Słowacki na swoje smutki nie znajdował żadnej pocieszającej odpowiedzi. Teraz w samotności klasztornej rosła w nim wiara w swoją wielkość, oskrzydlała go i podsuwała rozwiązanie tej smutnej zagadki. Tak czy inaczej, był zawsze wybrańcem potęg wyższych. Jeśli zamiast tryumfu życie przyniosło mu cierpienie, więc widocznie przeznaczony był na to, aby odegrać Chrystusową rolę względem swego społeczeństwa, rolę odkupiającej ofiary. I oto »myśli święte« po które wyjeżdżał w pobożną wędrówkę, kończyły się na samoubóstwieniu, a »brzemię myśli i tęsknot«, pod ktorem rozkrusza się serce, uznane zostało za dostateczną ofiarę do odkupienia narodu.

Tak sobie wyobrażam genezę idei *Anhellego*. A teraz jeszcze kilka słów o postaci Szamana, która w owym pla-

nie zajęła miejsce Danta. Ten człowiek jest przedstawicielem jakiejś nadziemskiej mądrości, jakby opiekuńczym duchem narodu polskiego, i sam powiada o sobie, że w nim »wiele jest Boga«, ale w stosunku jego do Anhellego odzywa się jakby echo stosunku Krasińskiego do Słowackiego. Szaman wlewa w Anhellego »miłość serdeczną dla ludzi i litość«, Szaman pokazuje mu wszystkie nieszczęścia i cierpienia narodu, a co najważniejsza, w czem najsilniej to echo się odzywa, Szaman wywołuje duszę Anhellego i pokazuje ją w całej świetności jej barw i białości skrzydeł zdziwionej gromadzie rybaków. Myślę, że poeta do pewnego stopnia świadomie symbolizował wpływ Krasińskiego na siebie i to szczere uwielbienie, jakiem autor *Irydyona* otoczył jego poezyę, podobnie jak niedługo potem w *Lilli Wenedzie* w postaciach braci związanych łańcuchem symbolizował braterstwo duchowe, które go przez jakiś czas jednoczyło z Krasińskim.

Czy Krasiński domyślał się znaczenia tej tak zaszczytnej dla siebie symboliki, nie wiemy, ale że był za pobłażliwy w sądzie swoim o *Anhellim*, to pewna, bo nietylko wielbił potęgę fantazyi, która potrafiła »otchłań Sybiru wystroić w alabastry śniegów i sine oczy gwiazd«, nietylko podziwiał »styl spokojny, przejrzysty, kryształowy« *Anhellego*, w czem się z nim zupełnie zgodzić trzeba, ale i uznawał w poemacie myśl prawdziwą. »*Anhelli* — pisał do Gaszyńskiego — to pokolenie, które przemarnieje w łzach, w boleści, w daremnych żądzach, a umrze dnia poprzedzającego dzień, w którym te ich żądze dopełnić się mają. Ten Anhelli taki samotny, taki opuszczony, patrzący na śmierć wszystkich swoich, jest doskonałym symbolem poetycznym naszego przeznaczenia«. Otóż Krasiński podsuwał Anhellemu myśl zasadniczą, której on nie miał, bo Słowacki w postaci Anhellego nie miał zamiaru przedstawiać całego pokolenia, ale tylko siebie. [1]) Z drugiej

[1]) Niespodziewane zarzuty, z którymi się spotkało to twierdze-

strony Krasiński zupełnie pomijał istotną zasadniczą myśl poety o odkupiającej sile smutku i cierpienia, myśl, której sam nie mógł przyklasnąć, bo była sprzeczną z ideą Irydyona. Irydyon otrzymał rozkaz: »idź i czyń, choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich«, Anhelli miał tylko biernem cierpieniem dokazać tego, co podług Krasińskiego miało być zdobyczą »pracy wieków«.

Z nowego utworu swego był Słowacki zadowolony i taką wagę przywiązywał do niego, że wracając morzem do Włoch myślał nawet zamknąć go w butelce, »aby na wypadek rozbicia można go rzucić w morze i tak coś po sobie ocalić« [1]). Jednakże do wydania nie zaraz przystąpił — brakło na to środków. Tymczasem, wróciwszy ze Wschodu osiadł na jakiś czas we Florencyi, gdzie najął sobie małe ale ładne, dobrane do swego gustu i usposobienia, mieszkanie z wieżyczką, skąd miał »najpiękniejszy widok na wszystkie góry Toskanii i na wszystkie gwiazdy nad Toskanią świecące«. Tu miał przepędzić zimę z 1837 na 1838 i popracować trochę, a »na wiosnę — pisał do matki — chciałbym pojechać do wielkiego miasta, z książką pod pachą, jak student, z suknią splamioną atramentem, z piórem za uchem i znów oddać wielki ukłon mojej królowej sławie, jako wierny jej do śmierci błazen« [2]). Miał wtedy najmłodszemu dziecku swemu »dać wyprawę«, a o tem dziecku pisał, że »jest zupełnie inne, jak przeszłe, i już mi pięknie rośnie i płacze i ma jakieś rysy bardziej regularne, a jak mi się zdaje, piękne i szlachetne«. Za-

---

nie, odparłem w cytowanej już broszurze: *W obronie własnej książki* str. 15—17. Tutaj, jako najlepszy dowód, że Słowacki w Anhellim widział tylko siebie, przypomnę jeszcze to, co pisał on w cytowanej już odpowiedzi na artykuł p. K. Z. (Ropelewskiego) w *Młodej Polsce*: »dla czego poezye Słowackiego są bez rozgłosu w Polsce; dla czego dusza Anhellego napróżno wychodzi z ciała i po stepie światła księżycowego wraca do ojczyzny, myśląc, że ją tam poznają i przyjmą ze łzami«.

[1]) Listy II, 53. [2]) Listy II, 72.

pewne wykończał wtedy *Anhellego,* nadawał mu tę artystyczną doskonałość stylu, jaką się ten poemat odznacza.

Ale Słowacki nie chciał poprzestać na tym jednym, choć wysoko przez siebie cenionym, utworze; chciał stanąć przed swoją królową z obfitszą daniną, chciał po dłuższem milczeniu odezwać się tem głośniej i tem większe chciał wywrzeć wrażenie. Przedewszystkiem wrażenia z podróży, na które tyle liczył, domagały się zużytkowania. Tymczasem pomimo miłego mieszkania, które zapraszało do dumań, do pracy i pozwalało »samotność zamieniać w słodką melancholię«, praca poetycka nie postępowała, co dręczyło poetę. »Żałuję, żem został na zimę we Florencyi — pisał w styczniu 1838 do matki — nic bowiem nie pracuję i z rozpaczą myślę o moim 28 roku życia, kończącym się na marnościach światowych. Prawdziwie, że na skrzydłach mi wiek ucieka i chciałbym zatrzymać lata, nie dlatego, ażebym się jakiego szczęścia spodziewał, ale żeby nie zejść ze świata niepłatnym dłużnikiem«[1]. I w trzy miesiące potem narzekał podobnie, że dotąd nic ani o piramidach, ani o grobowcu Chrystusa nie napisał i pocieszał się tylko spostrzeżeniem, »że dla nas, ludzi z pod zimnej gwiazdy Niedźwiedzia, Włochy są antiimaginacyjną krainą. Mój starszy i wielki Pierwszy (Mickiewicz) bawiący tu dawniej przez lat kilka, nic nie napisał i dopiero przybywszy między błędne żórawie, zaczął śpiewać i rymy lać obficie; z tego wnoszę, że imaginacyi jest potrzebne ojczyste, a przynajmniej zbliżające się do ojczystego powietrze, potrzebna jest także atmosfera napełniona westchnieniami ludzi czujących i oświeconych... tego wszystkiego braknie tu, wiec dobranoc marzeniom«[2].

Towarzystwa nie brakło mu we Florencyi, ale w tem towarzystwie nie znajdował zachęty i bodźca do pracy poetyckiej. »Od jakiegoś czasu — pisał do matki w cytowanym już liście z 2 stycznia 1838 — dałem się wciągnąć

[1]) Tamże, 83. [2]) Tamże 92.

mimowolnie w świat i już od kilku tygodni prowadz życie pełne roztargnienia, co mię męczy i nudzi. Częst wyszedłszy z towarzystwa, gdzie wiele gadałem, przyp mina mi się twój talent, droga moja, bawienia gości, i dzi kuję Bogę, że mi po tobie trochę tego daru gawędzeni spadło; lecz ta między nami jest różnica, że ty lubi obudzać myśli w kole towarzyskiem i wyciągasz z nieg iskry, jak z krzemieni, a ja nieszczęśliwy gawędzę i n czego się nawzajem od ludzi dopytać nie mogę, więc p wracam zwykle zmęczony i pozbawiony moich marze bo rozmowa z ludźmi jest to dla mnie pole, gdzie ja zło moje myśli, moje samotne marzenia na zdawkową rozmi niam monetę i rozsypuję« [1]). Odnosiło się to zapewne na bardziej do wizyt u Hermanostwa Potockich i księżn Survilliers, synowicy Napoleona I, gdzie Słowacki byw jak się zdaje, najczęstszym gościem, ponieważ »co środ znajdował tam koło dobrze dobrane, starające się dowo pem naśladować paryskie zgromadzenia«.

Młody, przystojny, o salonowych manierach poeta b pożądanym dla każdego salonu, nawet takiego, gdzieb poezyi jego nie umiano ocenić, to też łatwo wierzyć Sł wackiemu, że ubiegano się o jego towarzystwo w sal nach florenckich. Ale wpływ tych salonów na poetę k rzystnym nie był; sam on przyznawał się przed matk nawpół ze skruchą, nawpół z chlubą, że przy księżn »znalazł swoją dawną uszczypliwość w rozmowie«, i ż używał różnych »szarlataneryj«, aby jej nieznacznie pok zywać swoje »pańsko-eleganckie wychowanie« [2]). Czcz życie wśród tego towarzystwa wydawało mu się »ciągl trwającą niedzielą«; skarżył się, że nie ma nikogo »cob go ożywił i podniósł trochę«, a w szczególności żałowa że nie ma tu Zygmunta Krasińskiego, którego towarzy stwo w Rzymie miało dla niego, według własnych słó jego, »lekarskie, uzdrawiające skutki« [3]). Od czasu do czas

[1]) Listy II, 83. [2]) Tamże, 93. [3]) Tamże 91.

miewał tylko listy od niego, które służyły zapewne za rodzaj antydotum wobec wpływu towarzystwa florenckiego.

Wiedząc, że dla wszystkich poetów świata miłość była główną krynicą natchnienia, Słowacki chciał się koniecznie zakochać; miłość potrzebną mu była do ożywienia i rozruszania uśpionej muzy. »Dziwna jakaś czcza melancholia dręczy mię — pisał w tych czasach do matki — chciałbym się kochać, ale nie mam w kim. Filowie już ci musieli powiedzieć, droga mamo, że to jest jedno z najgłówniejszych żądań mojego teraz życia... Otóż rok przeszedł nowy, a ja się nie kocham; co to będzie?«. I tu opowiadał matce jedną z nieudanych prób swoich zakochania się. »Poznałem tu teraz ładną, jak anioła, Amerykankę i to był kamień probierczy mojego ostygłego serca. Zdawało mi się zrazu, że to była jedna z nimf Nijagary, podobna do tych widm, które Manfred wywoływał z tęcz nad wodospadami, i już miałem zachwycić ognia z jej błękitnych oczu, kiedy mię odstręczyła od niej jej ciągła wesołość, ciągły prawie uśmiech na jej rozkwitłych ustach; włożyłem więc znowu, jak ptak, głowę pod skrzydło i pogrążyłem się w moje sny melancholiczne« [1]).

Próba miłości, jakkolwiek się nie powiodła, nie pozostała bez śladu w poezyi Słowackiego. Amerykanka, która przypomniała Słowackiemu powietrzną czarodziejkę alpejską (Witch of the Alps), co wywołana przez *Manfreda* ukazuje mu się w blaskach tęczy wodospadu (Akt II, scena II), dostarczyła poecie pewnych wrażeń, wsnutych potem w przędzę miłosnego poematu, ona to niewątpliwie podała mu myśl owego cudnego obrazu pierwszego poznania się z kochanką u kaskady, »gdzie Aar wody błękitnemi spada« i pożyczyła swoich błękitnych źrenic bohaterce poematu. Naturalnie, wspomnienie Amerykanki kojarzyło się w tym obrazie z pewnemi reminiscencyami z *Manfreda,*

---

[1]) Listy II, 84—85.

a przedewszystkiem z wrażeniami wielkiej podróży rach Szwajcaryi w towarzystwie rodziny Wodzińsk

Ale wspomnienie Amerykanki, jeżeli wystarcz stworzenia jednej sceny miłosnej na tle górskiej prz nie wystarczało do stworzenia całego poematu miło z całą gammą tonów tego uczucia, o co widocznie czas poecie bardzo chodziło. Do tego potrzeba si zakochać, poeta wiedział o tem, ale jakże tu serce sić do kochania i przez serce podziałać na wyobr Ta jałowość wyobraźni i oschłość uczucia budziły wackim obawę, czy nie znaczą już końca mł »Pierwszy raz mieszkanie moje nie przywiązało i siebie, choć bardzo ładne i poetyczne, osoby prz nie utonęły mi w sercu — słowem: jest to dziwi mnie fenomen ta oziębłość dla wszystkiego i dla w kich. Czy to już starość? Lecz ja tak mało używałem mojego, że jeszcze młode być musi«. Zostając ciąg wrażeniem powieści pani Sand, które poznał j w Szwajcaryi, wielbił ją w listach do matki i żałow nie skorzystał kiedyś na genewskiem jeziorze ze bności zbliżenia się do niej. »Kto wie, czy w tej słowa jej nie mogłyby nadać innego kierunku moin ciom. Serce moje było wtenczas jak glina miękkie i do przyjęcia innego kształtu. Teraz już późno na ws metamorfozy« [1])

A jednak wkrótce potem — bodaj czy nie pod wem romansów pani Sand — chciał dokonać na s sercu nowej próby, która miała je ożywić, rozrusza

---

[1]) Listy II, 101—102. Pierwsza wzmianka o pani Sand w Słowackiego do matki umieszczona jest pod datą 28 wrześn »Zjawiła się we Francyi nowa pani de Staël, którą ja prz nad dawniejszą. Nowa ta autorka kryje się pod nazwiskiem Sand i pod tem imieniem wydała 4 romanse, z których dw wsze są prawdziwie zachwycające. Staraj się, Mamo, dostać i drugi romans *Valentine* przez G. Sand, a przepędzisz kilka rozkosznie«. Listy I, 261.

brażnię i dostarczyć jej pożądanego materyału. Wszakże dotychczas nie zaznał naprawdę czarów miłości, nie pił nigdy z jej kielicha. Ta, którą obrał za panią swoich marzeń jeszcze w dzieciństwie, z góry spoglądała na niego, i sam on w *Anhellim* przyznawał, że »choć był jak gołąb na ramieniu dziewczyny, nie wziął nawet pocałowania od jej ust koralowych«. W stosunku z Maryą Wodzińską lub z ową Amerykanką, nie było nawet takiego zbliżenia, jak z Ludwiką Śniadecką, a dla cudzoziemek Kory Pinard i Eglantyny Pattey, które się naprawdę w Słowackim kochały, poeta okazał się zupełnie obojętnym. Postanowił więc żywemi ustami skosztować tego napoju, który znał dotychczas z książek i marzeń; postanowił wyrwać się »ze zwyczajnego omdlenia i lenistwa władz swoich«, odegrać rolę »młodego chłopca szalonego«, znaleźć sobie jaką Fornarinę, »owinąć to bóstwo w idealne szaty i z rzeczy pospolitej zrobić sobie romans, kończący się łzami, a tak głębokie zostawiający wrażenie, że pamiątki jego wystarczą na zapełnienie marzeniami wszystkich mglistych dni zimowych, które jeszcze trzeba będzie przebyć na ziemi«.

Słowa poety, w ostatnim cudzysłowie zawarte, a wzięte ze współczesnego listu do matki [1]), najwyraźniej świadczą, że ten romansowy stosunek z jakąś prostą dziewczyną włoską nie wypłynął nieświadomie, żywiołowo, z serca, ale zawiązany był w celach artystycznych. Ślad też jego spotykamy w poemacie *W Szwajcaryi,* który jest osnuty na kanwie wrażeń, odnoszących się do rozmaitych postaci kobiecych. W cytowanym tylko co liście do matki, opisuje Słowacki, chełpiąc się trochę, nie tyle, jak się zdaje, przed matką, ile przed Filami, którzy trochę sceptycznie spoglądali na jego wstrzemięźliwość, pewną wycieczkę ze swoją Fornariną do ogrodu Pratolino. »Lataliśmy po murawach, kląby róż między ciemną zielonością błyszczące przypomniały mi Julinki; wchodziliśmy odpoczywać o południu

1) Listy II, 103.

do grot, w których mruczały strumienie — słowem dobrze mi było i sądziłem się nowym Numą z Egeryą...«. Myślę, że z tego zaglądania do grot urodziły się niektóre strofy poematu *W Szwajcaryi*, i że Fornarina, pomimo, iż poeta mówi »o dziwnem w niej zakochaniu się«, któreby go mogło »do jakich szaleństw przywieść«, na nic więcej nie była mu potrzebną, jak na model do miłosnego poematu, który mu już wtedy snuł się po głowie, a może w części był już napisany.

Pobyt Słowackiego we Florencyi przeciągnął się nad zamiar, ale bynajmniej nie dla Fornariny, tylko dla innej »osóbki«, którą tam później poznał poeta, a która w jego życiu odegrała rolę podobną do roli Maryi Wodzińskiej. Była to Aniela Moszczeńska, córka obywatela z Ukrainy, a krewna towarzysza Słowackiego z podróży na Wschód. Jak tamta, nie była ładną, ale wykształconą i bogatą, a ponieważ i panna i ojciec uprzejmie go witali w swym domu, zdało się Słowackiemu, że znajdzie w niej taki »kwiat biały na rzece żywota«, o którym dawniej marzył, tak jak lilię wodną, około której mógłby się »obwinąć i zasnąć«, czyli mówiąc językiem prostym, że bogata panna chętnie ofiaruje mu swą rękę i podzieli się z nim swoim posagiem. Złudzenie było silniejsze, niż pierwszym razem, ponieważ ojciec, czy to dobrodusznie, czy dla złośliwego żartu, powtarzał mu: »Popracuj nad sobą, popracuj i zakochaj się, a ja cię ożenię« i poeta sam przyznaje, że dlatego zatrzymał się we Florencyi, aby »kiedyś nie miał na sumieniu swojem, że się po szczęście w ludzkiem rozumieniu wielkie nie schylił wtenczas, kiedy mu leżało na drodze« [1]). Ale rozczarowanie nastąpiło teraz prędzej, niż przedtem, i było zapewne przykrzejsze, ponieważ poeta pisał w rok potem: »cała ta awantura zostawiła mi tylko gorycz w sercu i niepewność, czy się nie urągano ze mnie« [2]). Pisał to już wtedy, gdy Aniela Moszczeńska nie

---

[1]) Listy II, 123. [2]) Tamże.

żyła, i gdy ją »śmierć upiękniła w jego oczach«, ale i wtedy przyznawał otwarcie, że za jej miliony »nic jej nie mógł dać nawzajem, nawet serca«. Tak więc Anhelli pomimo swojej anielskości gotów był nie oglądać się przy zawieraniu małżeństwa na serce, dbając przedewszystkiem o to, aby swemu marzycielstwu i dążeniu do sławy dać silną materyalną podstawę.

Jeszcze zanim zawiodły poetę nadzieje bogatego małżeństwa, nadesłano mu z Paryża świeżo wydany jego poemat. Usposobienie, w jakiem się wówczas poeta znajdował, było bardzo dalekie od tej anielskiej melancholii, która z poematu zawiewa, jednak Słowacki, jako sztukmistrz, zachwycony był tym swoim utworem, który w istocie pod względem kunsztownej prostoty i melodyjności stylu i harmonii barw jest trudnem do prześcignienia arcydziełem. To też w listach do matki formalnie obsypywał pieszczotami to swoje najmłodsze dziecko. Wspomniałem już, że prawdopodobnie jeszcze przed wykończeniem pisał o niem, że »już mu pięknie rośnie i płacze i ma jakieś rysy bardziej regularne« i spodziewał się, że matka je pokocha; w kilka miesięcy potem, przed samem wydaniem, donosił, matce o Anhellim, że »melancholiczną i trochę Chrystusową ma twarz, wielką prostotę w ubiorze i nie podobny jest do niczego« [1]), kiedy zaś nadesłano mu już wydaną książeczkę z Paryża, tak dzielił się z matką wrażeniami dnia owego: »Przedwczoraj miałem dzień miły dla mnie. Oto przyszło mi z Paryża moje ostatnie dziecko, które 11 dni dopiero żyje, w ładną sukienkę ubrane, potulne, melancholiczne, prosto mówiące, dziecko słowem, które ja kocham bardzo i o którem zaręczano mię, że mu się dobrze powiedzie. Odebrałem je z rana w niedzielę, więc porzuciwszy obojętnie, ubrałem się i poszedłem na śniadanie, ale mnie coś ciągnęło do domu i do mego dziecka. Więc już chciałem powracać śpiesznie, ale przypomniałem sobie,

[1]) Listy II, 104.

że jest niedziela, że kościoły otwarte, że Bóg tak jest dobr dla mnie. Więc poszedłem do wielkiej, ciemnej, pustej ka tedry i stanąwszy pośrodku, zacząłem myśleć o Bogu, a oczy moje napełniły się łzami. Upokorzyłem się, bo m się zdawało, żem tego ranka urósł nieco i że Bóg upoko rzenie moje widzieć będzie, jak gdyby jaka z najwyższyc kolumn w ruinie upadała przed nim. Otóż takie były myś moje, takie uczucia po odebraniu tego nowego płod. Dziwnie, jak we mnie katolicyzm jest dumny!...«.

Z tych słów widać, jak nawet pobożność i poko: u Słowackiego przybierały jakiś teatralny charakter, a widać także, jak wielkie znaczenie przypisywał on swem nowemu poematowi. *Anhelli* był czemś zupełnie nowe: w poezyi Słowackiego, a różnił się od poprzednich jeg utworów nietylko formą i treścią, ale i pewnym nastrojem religijnym, jakiego w poprzednich nie było śladu. Zda wało się zapewne poecie, że teraz nikt nie będzie móg powiedzieć o jego poezyi, że jest to piękny kościół, al bez Boga, ani też nikt odmówić mu oryginalności. Nieba wem, w jesieni 1838 r., zjawił się we Florencyi Zygmunt Krasiński, i — jak się łatwo domyśleć, znając jego uwiel bienie dla *Anhellego* — mógł łatwo wzmocnić w Słowa ckim to przekonanie o wielkiem znaczeniu nowego poe matu. Wdzięczność Słowackiego dla Krasińskiego za te nowe pokrzepienie jego ducha, jego ufności w potęg swego geniuszu, wylała się w pożegnalnym wierszu *D Zygmunta,* gdzie Słowacki młodszego wiekiem, ale sta szego powagą myśli przyjaciela nazywał »archaniołem wiary«, i »serc wskrzesicielem«.

ROZDZIAŁ V.

Walka o sławę.

1838—1839.

Przyjazd do Paryża. — *Poema o Piaście Dantyszku.* — Poemat *W Szwajcaryi.* — *Ojciec Zadżumionych.* — *Wacław.* — Sąd Krasińskiego o *Wacławie.* — Pierwsze głosy krytyki o *Anhellim.* — *Młoda Polska* o Trzech poematach i Dantyszku. — Odpowiedź Słowackiego. O ile słuszne były żale Słowackiego. — Kosmopolityczny estetyzm Słowackiego i Krasińskiego. — Sadowskiego recenzya *Anhellego.* — Nadzieja wystąpienia na widowni europejskiej.

Nareszcie pod sam koniec 1838 r. Słowacki pojechał do Paryża, aby tam stanąć do nowego turnieju, odnieść tryumf i otrzymać z rąk »Królowej sławy« najwyższą nagrodę. *Anhelli* już był ogłoszony i przypomniał światu imię poety, który od czasu wydania *Kordyana,* t. j. od pięciu lat prawie, nie dawał o sobie znaku życia. Za *Anhellim,* wkrótce po przyjeździe poety do Paryża, miały się posypać inne utwory Słowackiego, pisane w ciągu lat ostatnich, a więc *Poema* o *Piaście Dantyszku, W Szwajcaryi, Wacław, Ojciec Zadżumionych* i *Balladyna* i swoją różnorodnością i świetnością barw zdobyć dla poety to uwielbienie, jakiego dotychczas zakosztował on tylko ze strony Krasińskiego.

Chwila, w której Słowacki wystąpił do nowej walki o pierwszeństwo na polu poezyi, jakkolwiek smutna dla niego z powodu prześladowania politycznego, jakiego jego matka i wuj w kraju doznawali, była jednak szczęśliwie

obraną ze względu na ciężkie położenie, w jakiem wówczas znajdował ten, o którego prześcignięcie chod: Słowackiemu. I Mickiewicz od lat pięciu, od czasu n: sania *Pana Tadeusza*, zapadł w milczenie, ale z t milczenia, dzięki kłopotom życia małżeńskiego, nie m: się nic urodzić dla literatury polskiej. Wiedział o t kłopotach Słowacki. »Wiadomość smutna, pisał do m: jeszcze w maju 1838, że Adam, chcąc zarobić na kawa chleba, dramę po francusku napisał i wyznał sam, że pisał jak szewc, co szyje buty, aby wyżywić żonę i d cko; że pisał bez zapału, a teraz przechodzi przez m tych autorów, którzy z nieznanem imieniem chcą re| zentacyę dla pierwszego dzieła na scenie otrzymać Wiadomo, że do tej reprezentacyi nie doszło i Mic wicz musiał szukać innego sposobu utrzymania rodz który go miał jeszcze bardziej oderwać od twórcz poetyckiej. Jak ciężko był przygnębiony Mickiewicz w sach przyjazdu Słowackiego do Paryża, tak z pow obłąkania żony, jak i pokrzyżowania się planów doty cych posady profesorskiej, najlepiej się to maluje w ki wierszach jego współczesnego listu do Domejki z Par (8 stycznia 1839 r.): »Odczytawszy twoje wiadom o Coquimbo zawyrokowaliśmy ja i Stefan (Zan), że tc tam lepiej niż nam tu, bo tu nas otacza step ralny bez końca, a na drodze miewamy ciężkie [przepra Ja doznałem różnych nieszczęść. Byłem w Szwajca starając się tam o miejsce w Akademii w Lausa Miejsce otrzymałem, było bardzo dobre. Tymczasem bieram wiadomość, że żona chora. Znajduję konsyli przy żonie, a drugie konsylium przy synku małym. La pojmiesz moje położenie. Żona po kilku miesiącach led teraz daje nadzieję wyzdrowienia. Dzieci w obcych mach, ale przecie zdrowe. Miejsce owo w Lozannie wiem czy znowu dostanę. Bieda wszędzie. Dziwię

[1]) Listy II, 100.

że wszystko to przetrwałem dotąd, alem bardzo zestarzał w duszy....«. A nieco niżej w tym samym liście dodawał: »Nic nawet przez ten czas czytać nie mogłem i nawet czytając nie rozumiałem. Większą cierpiałem biedę, niż tobie opisuję« [1]). Kto wie, jak mało pochopnym był Mickiewicz do użalania się na swoje losy, ten łatwo oceni wymowność tego ostatniego wyrażenia.

Tak więc Słowacki, przybywając do Paryża, mógł być pewnym, że nie grozi mu niebezpieczeństwo, aby blask jego nowych utworów mógł być przyćmiony jakim nowym poematem Mickiewicza. O innych poetów mniej dbał; nadto był pewnym swojej wyższości nad Zaleskim i Goszczyńskim. Wprawdzie Krasiński, jako autor *Nieboskiej* i *Irydyona*, był nową gwiazdą na niebie poezyi polskiej, ale naprzód Krasiński nie miał daru formy poetyckiej, powtóre, co ważniejsza, Krasiński sam się pochylił przed Słowackim, składał hołd jego geniuszowi poetyckiemu i mianował go następcą po Mickiewiczu.

Pierwszym poematem Słowackiego, który ukazał się po przybyciu jego do Paryża, było *Poema Piasta Dantyszka herbu Leliwa o piekle*. Dlaczego poeta nie kładł swego nazwiska na tym utworze? Czy obawiał się, że położenie nazwiska na poemacie, pełnym jaskrawych alluzyj do ostatniego powstania, do wielkiego księcia Konstantego i samego cara, może ujemnie oddziałać na sprawę jego matki i wuja w kraju? Czy nie zupełnie był pewnym artystycznej doskonałości swego poematu, i przed przyznaniem się do niego, chciał zobaczyć, jakie sprawia wrażenie? Zdaje mi się, że pierwszy z tych dwu względów odegrał tu rozstrzygającą rolę, ponieważ poeta ubocznie, stawiąc na czele poematu i czas i miejsce napisania, wskazywał poniekąd publiczności emigracyjnej swoje autorstwo. Bądź co bądź, to pewna, że Słowacki, wy-

---

[1]) Korespondencya Ad. Mickiewicza. Paryż-Lwów 1880. Tom I, str. 195—196,

prowadząc z ukrycia na świat Dantyszka, składał d
wód wielkiego zaślepienia ojcowskiego i niemało szk
dził sprawie swego tryumfu poetyckiego. Poemat na|
sany był na zimno, bez wszelkiego natchnienia; prawd
podobnie pochodził z tych czasów, kiedy poeta skarż
się na Włochy, jako na antiimaginacyjną krainę. Pom
przedstawienia rubasznego szlachcica Leliwy w roli Dan
odbywającego zaziemską wędrówkę, miał być zapew
w intencyi autora bardzo oryginalnym, w wykonan
stał się dziwacznym i niesmacznym. A ze wszystkie
najniesmaczniejszem w *Dantyszku* to połączenie humo
stycznego tonu, w jakim jest przedstawiona postać Leliw
z wysokiem patos patryotycznem, które się z różny
miejsc poematu odzywa; najniesmaczniejszem nie dlateg
żeby się te dwa tony nie dawały nigdy skojarzyć ha
monijnie, bo że mogą, świadczy o tem *Pan Tadeusz*, a
dlatego, że oba brzmią tutaj nieszczerze.

Co mogło pobudzić Słowackiego do tego dziwneg
skojarzenia dantejskiej fantazyi z rubasznością szlachcic
i tonu drwiącego z apoteozą? Jeżeli porównamy *Da*
tyszka z *Grobem Agamemnona*, to dostrzeżemy pewn
rażącej sprzeczności. W *Grobie* poeta przeklinał »rubasz
czerep« szlachecki, który więzi w sobie anielską dus
Polski, i wzywał do zrzucenia kontusza i pasa, »ty
płacht ohydnych«, »tej palącej koszuli Dejaniry«; w *Da*
tyszku ten rubaszny czerep w kontuszu i z dzbane
w ręku, choć w niektórych ustępach traktowany tone
Krasickiego z *Myszeis*[1]), przybierał w końcu aureolę świ
tości i męczeństwa. Cóż było prawdą podług poet

---

[1]) Przypominam np. te wiersze:

Niosą szlachcica w niebo z dzbanem w ręku,
A ja z nad chmury upuściłem dzbana
I potem aż się dowiedziałem w siole,
Że upadł z nieba na księdza plebana,
I wybił mu jak talar guz na czole i t. d.

Kiedy był szczerym, czy wtedy kiedy pisał *Grób Agamemnona*, czy kiedy pisał *Dantyszka?* Niewątpliwie szczerszym był w pierwszym razie, sam ton jego poezyi świadczy o tem.

Jeżeli zaś wbrew niechęci do rubasznego czerepu, chciał go zrobić bohaterem dantejskiego poematu i ubierał w patryotyczne blaski apoteozy, to myślę, że skłoniła go do tego chęć szukania popularności, chęć znalezienia sposobu, któryby jego »fantastycznie nastrojoną lutnię« uczynił przystępną dla szlachty. Znający dobrze tę szlachtę Filowie mówili mu, że ona jego utworów nie zrozumie, otóż Słowacki próbował podać jej swoją fantastyczność w naczyniu, któreby ją pociągało do zawartej w niem treści, to jest w rubasznym czerepie Leliwy. Ażeby zaś tem większą zjednać dla swego poematu popularność, tem więcej zachęcić do niego ogół, uderzał na wstępie w »Ofiarowaniu«, w wielki dzwon patryotyczny, poświęcał swój poemat Warszawie »żałosnej wdowie polskiego ludu«, »matce w żałobie — tych co śpią w krwawym pochowani w grobie — i tych, co wierzą, że wstanie na nowo«. Jak *Anhelli* był przedewszystkiem przeznaczony dla tak marzycielsko nastrojonych, jak Zygmunt Krasiński, *Dantyszek*, w którym jest coś z Sienkiewiczowskiego Zagłoby, miał przemawiać przedewszystkiem do tych, co według pewnej strofy *Beniowskiego*, omijają »szczyt Parnasu stromy«, i wolą »pijące gardła, wąsy, psy, kontusze — a nadewszystko szczere, polskie dusze«. Jak się zawiódł, o tem później.

Zaraz po *Dantyszku*, w początkach r. 1839, ukazały się razem wydane, pod zbiorowym tytułem *Trzy poematy: W Szwajcaryi, Wacław* i *Ojciec Zadżumionych*. Poemat *W Szwajcaryi* uważał Słowacki za najlepszy z tych trzech i stawiał go obok *Anhellego* [1]). I w istocie wykończeniem

[1]) W przedmowie krótkiej do *Wacława* pisał: »Może kilka strof spowiedzi Wacława wyjednają mi u czytelnika nieco pobłażającego

stylu i eterycznością obrazów dwa te poematy zbliża się do siebie i wraz z *Ojcem Zadżumionych* stanow trójcę najsubtelniej wykończonych utworów Słowackieg We wszystkich trzech poematach tło przyrody odma wane jest z właściwym Słowackiemu wdziękiem i s nowi główny urok, ale w żadnym innym poemacie je nie ma ono tak wielkiego znaczenia, jak w tej sielan szwajcarskiej. Czuł to dobrze sam poeta, gdy nadaw poematowi swemu tytuł: *W Szwajcaryi,* bo tym spo bem wyraźnie zaznaczył, że główną rzeczą w poema jest tło krajobrazowe, dekoracya, nie zaś dzieje ser które się na tem tle rozwijają. Przyroda szwajcarsl którą Słowacki poznał w całej jej piękności podczas w cieczki z rodziną Wodzińskich w Alpy, obdarzyła go sk bem wrażeń, które z całą świeżością przechowywały w duszy poety i domagały się ujścia dla siebie w p zyi. Dzieje pisania tego poematu nie są nam znane; b może, iż pierwszy pomysł i pierwsze jego próby sięg jeszcze pobytu w Veytoux, ale przypuściwszy to, nie n żna wątpić, że poemat w swej obecnej postaci napisa był znacznie później. Podjęcie zaniechanego tematu pr pada na czasy florenckie, prawdopodobnie na te, kie poeta jeszcze nie wyszukał był sobie Fornariny i skar się przed matką, że »chciałby się kochać, ale nie w w kim«, i kiedy daremnie próbował swego »ostygłeg serca na jakiejś ładnej Amerykance. Nowe zaś ukształ wanie i ostateczne wykonanie planu poetyckiego trze odnieść do tych chwil pobytu we Florencyi, kiedy po znalazł sobie wreszcie Fornarinę »piękniejszą od tej, kt malował Rafael«, i kiedy postanowił »owinąć swoje l stwo w idealne szaty« i z »rzeczy bardzo pospolitej z

sądu dla reszty i ogólnego układu pisma, którego już ani popraw ani przemienić nie jestem zdolny, a dwa poprzedzające poema *W Szwajcaryi* i *Anhelli*, przybiegną w pomoc broniącemu się zupełnego potępienia poecie».

bić romans, kończący się łzami«, i kiedy o swojej imaginacyi pisał, że »więcej buja i więcej tworzy« [1]).

Wspomniałem już, że te próby, to szukanie miłości było potrzebne poecie do celów poetyckich, bo co się tyczy małżeństwa, to ze stosunku poety z Anielą Moszczeńską, wiemy, że dla Słowackiego miłość wzajemna nie stanowiła niezbędnego w tym względzie warunku. Poeta miał w wyobraźni wspaniałe tło przyrody szwajcarskiej i chciał je wprowadzić do poezyi, ale uważał za rzecz konieczną rzucić na tło jakiś haft miłosny, któryby je ożywił i ozłocił. Wzoru do tego haftu wziął trochę z wra-

---

[1]) Listy IV 103. 111. P. Kazimierz Jarecki w artykule pod tyt. «Juliusz Słowacki i poemat W Szwajcaryi» (Bibl. Warsz. 1901 IV) gdzie są bardzo skrzętnie zebrane wszelkie sądy krytyczne, odnoszące się do genezy tego poematu, występuje przeciwko przypuszczeniu, że napisany on został dopiero we Florencyi (str. 111—112). Podstawy zaprzeczenia są następujące: 1) Żywe odbicie przyrody w całym poemacie i reminiscencye drobnych szczegółów świadczą, że poemat powstał pod bezpośredniem wrażeniem; 2) do poematu jakoby weszły myśli i zwroty spotykane we współczesnych listach do matki; 3) istnieje jakoby wspólność nastroju między poematem a wierszem *Ostatnie wspomnienie do Laury* z datą 30 lipca 1835; 4) List do matki z Genewy 20 paźdz. 1835, gdzie poeta donosi, że postąpił w swoim nowym poemacie i «chciałby bardzo tej zimy coś wydać» i że czuje potrzebę większej doskonałości poetyckiej, świadczy również za szwajcarskiem pochodzeniem poematu. Z tych czterech argumentów tylko ostatni ma pewną wagę i na jego podstawie można w istocie przypuścić z pewnem prawdopodobieństwem, że już w Veytoux zamyślał Słowacki o pisaniu jakiegoś miłosnego poematu na tle szwajcarskiem i że go już rozpoczął pisać. Ale ten argument nie świadczy bynajmniej, że ten pomysł był już w Szwajcaryi wykonany. I owszem, następny list do matki (29 listop. 1835) stanowczo przemawia za tem, że wykonanie pomysłu nie wiodło się i poeta go zaniechał. Skarży się on tam, że »zimę nie wiedzieć jak przepędza»; że «ciągła nadzieja wyjechania do Teofilów przerwała łańcuch jego marzeń», że tej jesieni «głowę ma podobną do niezapalonej latarni», że nie ma w głowie «żadnego zmyślonego obrazu» i t. d. — Co się tyczy trzech pierwszych argumentów, te są bardzo wątłe. Wprawdzie jakieś ustępy z pierwszych prób

żeń osobistych, trochę z lektury (Dante)[1], wreszcie z fa tazyi i oto tak powstała ta pajęcza tkanka fabuły mił snej, która jak nić babiego lata unosi się na tle gć dolin, błękitnych jezior, lodowców i wodospadów Szwa caryi. Niewątpliwie ze wszystkich utworów Słowackieg do owego czasu napisanych, był ten poemat najbardzi harmonijnym, był jakby koroną dotychczasowej twórczoś poety, naprzód dla swego artystycznego wykończeni a powtóre, że to, co stanowi główną siłę geniuszu Sło wackiego, głębokie poczucie piękna przyrody, znalazł tu dla siebie najszerzej otwarte wrota.

O poemacie *W Szwajcaryi* można powiedzieć, że tam prawdziwą kochanką Słowackiego była przyroda alpejska ustrojona we wszystkie swoje wdzięki i uśmiechy, sza firy jezior, tęcze wodospadów, szmaragdy lasów, rubin koron śnieżnych, istota zaś w ludzkiem ciele, odgrywa jąca w poemacie rolę kochanki, była tylko fikcyą, była jakby wymarzonem uosobieniem tamtej. Cóżby się z nią stało, gdyby ją wyrwać z tych ram wspaniałych i rzucić na tło powszednie? Zapewne to samo, coby się stało ze srebrną nicią babiego lata, przeniesioną z szafirowych i złocistych dni wrześniowych na szare, słotne tło listo pada.

W *Ojcu Zadżumionych* znalazł poeta sposobność upla stycznić wrażenia, których doznał podczas dwunastodnio

mogły wejść do ostatecznej redakcyi poematu, ale żywe odbici przyrody szwajcarskiej w poemacie może być tylko skutkiem cu downej władzy, jaką posiadała wyobraźnia Słowackiego w prze chowywaniu obrazów z całą ich pierwotną świeżością i jakiej dowody nieraz składała. Pokrewieństwa w myślach i zwro tach między poematem a współczesnymi listami do matki dopa trzeć trudno. Wreszcie wiersz *Ostatnie wspomnienie do Laury* na strojem swoim nie okazuje bynajmniej podobieństwa do poematu *W Szwajcaryi*.

[1] Mówię o tem obszerniej w *Szkicach literackich*. Serya I. Kra ków 1896, str. 157—160.

wej kwarantanny na granicy między Egiptem a Syryą. I tu krajobraz gra ważną rolę, ale nie taką jak w sielance szwajcarskiej, ponieważ pomiędzy duszą poety, a »smutną doliną piaszczystą« nie było tego węzła, jaki łączył tę duszę ze wspaniałą przyrodą Szwajcaryi, nie było zachwytu, tylko raczej uczucie smutku i grozy.

W *Ojcu Zadżumionych* fabuła choć także dostrojona do krajobrazowych wrażeń poety i od nich do pewnego stopnia zależna, grała daleko ważniejszą rolę, miała swój byt odrębny, kształty wyraziste, do tkanki pajęczej wcale podobną nie była.

Wiadomo, że Słowacki zaczerpnął tej fabuły z ust lekarza włoskiego z miasteczka El-Arish, zaczerpnął na miejscu opowiadanego wypadku, stąd fantazya jego miała w tym utworze tak realną podstawę, jak w żadnym innym. Miało to dodatnie skutki, i jakkolwiek niesłusznie, mojem zdaniem, stawiano *Ojca Zadżumionych* obok Laokoona i grupy Nioby [1]), to jednak trzeba przyznać, że wśród całej, obfitej poezyi Słowackiego, tak często mglistej, mętnej, gorączkowej i kapryśnej, utwór ten zajmuje wyjątkowe stanowisko i świeci wyjątkowo klasyczną jasnością i klasyczną doskonałością budowy. Mistrzowskie stopniowanie cierpień nawiedzonego szeregiem nieszczęść Araba budzi w nas podziw i poemat piętrzy się przed nami istną piramidą boleści. Ale podziwiając kunszt artysty, czujemy pewien chłód akademicki, wiejący z utworu, który egzotycznym tematem swoim tak odbija od tła uczuć przenikających współczesną poezyę polską. To też Szujski, nie mogąc pogodzić tego egzotyzmu z wyobrażeniem, jakie miał o Słowackim, jako wieszczu narodowym, widział w *Ojcu Zadżumionych* allegoryę cierpień Polski [2]).

---

[1]) Porówn. *Szkice literackie*. Serya I, artykuł o Juliuszu Słowackim.

[2]) *Treny* Jana Kochanowskiego i *Ojciec Zadżumionych* Juliusza Słowackiego. «Arab sierocy Słowackiego jest niczem innem, jak je-

Nie potrzebuję rozpraszać tego złudzenia, bo to już dawno uczynił Małecki w swojem dziele o Słowackim: dodam tylko do tego, co tam powiedziano, że gdyby w istocie przewodniczyła poecie przy pisaniu *Ojca Zadżumionych* jakakolwiek myśl o »sprawach domowych« nie omieszkałby mniej lub więcej wyraźnie zaznaczyć tego w przedmowie do poematu. Tymczasem w przedmowie poeta wyłącznie jest zajęty sobą i swojemi wrażeniami z czasów kwarantanny w El-Arish, z których się utworzyła cała dekoracyjna część poematu. Jakie zaś uczucie przewodniczyło poecie, jeśli nie przy tworzeniu to przynajmniej przy ogłaszaniu tego arcydzieła, tego domyślić się możemy z ostatnich słów przedmowy. Powiada on tam, że chętnieby podziękował w przedmowie doktorowi Steble, od którego miał historyę o Ojcu Zadżumionych, gdyby wiedział, że te kilka wyrazów znajdzie go na pustyni. »Ale czemże jest dla niego wspomnienie w niezrozumianym języku i wymówione głosem który zaledwo się tak rozchodzi, jak kręgi na wodzie po rzuconym do niej kamieniu«. Była to cicha skarga na brak sławy, a pod nią ukrywająca się cicha i nie bezzasadna nadzieja, że ten egzotyczny poemat bardziej od innych zdolny jest rozszerzyć sławę poety poza narodowe szranki.

Ostatni z *Trzech poematów*, *Wacław*, był niepodobny ze swego nastroju do żadnego ze współczesnych utworów Słowackiego; przypominał jeszcze dawniejszą manierę bajroniczną poety. W *Wacławie*, jak wiadomo, występuje jako bohater Szczęsny Potocki, tylko nie w rozkwicie młodości, jak u Malczewskiego, ale jako starzec, zdradzany przez piękną i niewierną Greczynkę Zofię i dr

---

dnem ze strasznych marzeń o domowych sprawach, jednem przeczuciem wieszczem więcej, jedną chwilą krzyżowej drogi, którą krwią z pod serca odznaczył poeta — siedząc w namiocie pustynym, a sięgając myślą ojczyzny».

czony zgryzotami sumienia z powodu Targowicy. Wybór tego tematu daje się objaśnić rozmaitymi motywami: szczególnym kultem dla *Maryi* Malczewskiego, wspomnieniami odwiedzin Tulczyna jeszcze w czasach uniwersyteckich, stosunkiem znajomości zawiązanej w Rzymie 1836 r., a odnowionej we Florencyi 1838, z Aleksadrem Potockim, synem Szczęsnego. Wszystkie te motywy mogły działać razem z większą lub mniejszą siłą, ale bezpośrednią, jak sądzę, pobudką, było wprowadzenie postaci Szczęsnego do poematu o piekle. Wtedy to zapewne, kiedy pisał *Dantyszka* i zapełniał piekło różnemi postaciami politycznemi z czasów upadku Polski, stanęła przed oczami Słowackiego cała ponura tragiczność tej postaci i nastręczyła mu temat do jednego z dzieł poetyckich, które miał w cichości wykończyć, aby niemi od razu zabłysnąć przed światem. Myślę, że z tem przypuszczeniem zgadzają się dobrze słowa usprawiedliwienia poety w krótkiej przedmowie: »Są przedmioty, którychby się pióro poety tknąć nie powinno; takim zapewne jest śmierć Wacława, którego nam Antoni Malczewski tak cudownymi kolorami w poemacie *Marya* odmalował. Jakiś jednak mimowolny pociąg, chciałbym go nazwać natchnieniem, zmusił mnie do napisania następnego poematu«. Otóż ten »pociąg« zbudził się w poecie najpewniej przy kończeniu *Dantyszka* i stąd naturalnie wniosek, że *Wacław* napisany był później, niż *Poema o piekle*, a ponieważ to poema, jak wiemy od samego poety, powstało we Florencyi, więc i *Wacława* trzeba odnieść do czasów florenckich[1]).

Jest w dalszym ciągu przedmowy jeszcze jeden ustęp,

---

[1]) W przypisach do poematu o piekle czytamy: «Opowiadanie Dantyszka o piekle, natchnięte niby echem dalekiem Danta, n a p i s a n e w o j c z y ź n i e t e g o k s i ę c i a p o e t ó w i t. d.». Za florenckiem pochodzeniem *Wacława* przemawia jeszcze zgodność w pewnem wyrażeniu pomiędzy poematem a florenckimi listami poety. W poemacie (ustęp XVI) czytamy:

na który warto zwrócić uwagę. Słowacki, przewidując, że nie wszystko się będzie podobało czytelnikom w *Wacławie*, prosił, jak wiemy, o pobłażanie. »Może kilka strof spowiedzi Wacława wyjednają mi u czytelnika nieco pobłażającego sądu dla reszty i ogólnego układu pisma którego już ani poprawić ani przemienić nie jestem zdolny«. Skąd to tłómaczenie się i po co wiadomość, że poeta nie jest zdolny poprawić swego poematu? Zdaje mi się, że odgaduję okoliczność, która do tej exkuzy pobudziła poetę. Niedługo przed wyjazdem Słowackiego z Florencyi bawił tam Zygmunt Krasiński. Odżyła znajomość zawiązana przed paru laty w Rzymie i Krasiński bywał częstym gościem w owej wieżyczce Słowackiego, skąd na wszystkie strony roztaczał się piękny widok na okolice Florencyi. Niewątpliwie Słowacki czytał swemu wielbicielowi nowe swoje rzeczy, które miał niebawem drukować w Paryżu, a między niemi i gotowego już *Wacława*, i niewątpliwie musiał go pytać o zdanie. Wiemy, jakie było zdanie Krasińskiego o utworach Słowackiego z owych czasów. Najwyżej stawiał *Anhellego*, nad którego nie widział »nic smętniejszego, nic poetyczniej pomyślanego i wykonanego« [1]; pozá *Anhellim* najwięcej się zachwycał poematem *W Szwajcaryi* [2]), co się zaś tyczy *Wacława*, to w liście do Konstantego Gaszyńskiego (niedługo po wyjściu na świat *Trzech poematów*, 19 października 1839), pisał o Słowackim, że »w *Wacławie* potknął się, Malczewskiemu nie dotrzymał kroku. Nie jest to poemat, raczej paszkwil; nie jest to poezya, raczej aneg-

---

A dziś... już koniec! Do Wacława gmachu
Weszła posępna *królowa przestrachu*.

W liście zaś z 10 lipca 1838 taki zwrot się znajduje: «można w Azyi i w Afryce wojażować bez żadnego niebezpieczeństwa, a na drodze do Pratolino można się spotkać *z królową ostatecznych przestrachów*, jak pismo święte mówi». (Listy II, 106).

[1]) Listy Zygmunta Krasińskiego, Lwów 1882. T. I, str. 138—139.

[2]) List do Romana Załuskiego, loco citato. T. III, str. 59.

lota, ale wiersz zawsze pyszny!« [1]). W cytowanym już iście do Romana Załuskiego (z 13 maja 1840) sąd Kraińskiego o *Wacławie* jest przychylniejszy. »W *Wacławie* powiedź pełna motywów tak pięknych, jak rzadko. Chaakter Wacława, przejęty z ręki konającego Malczewskiego, ociągniony, dorysowany, domalowany jak na wielkiego nistrza wypada. Byron lepiejby nie był potrafił, to też ałkiem byrońskie« [2]). Ale i ta pochwała nie znaczyła, żeby Krasiński nie miał nic do zarzucenia *Wacławowi*, w liście owiem, o którym mowa, występuje on tylko jako adwoat Słowackiego wobec niechętnej dla tego ostatniego publiczności, stara się wykazać tylko zalety jego poezyi, nie ądzi, ale broni. »Gdyby publiczność — powiada w końcu ego listu — była Juliusza wyniosła pod obłoki, byłbym rytykę pisząc, wspomniał o tem, co w nim jest słabością, usterkiem, niedokończeniem, dysharmonią. Ale to wam zostawiam, którzy na to otwarte oczy macie«. Dlatego też tego nie wytykał, co mu się w *Wacławie* nie podobało.

Na podstawie przytoczonych tu ustępów z korespondencyi Krasińskiego łatwo odgadnąć, co mówił on we Florencyi Słowackiemu o jego najnowszych utworach. Niewątpliwie *Anhellego* i *W Szwajcaryi* otoczył bezwzględnem uwielbieniem, natomiast mówiąc o *Wacławie* musiał do pochwał dołączyć pewne zarzuty, a może i rady, aby to owo, co nadawało w jego oczach poematowi cechę paszkwilu, poprawić i odmienić. Słowacki nie zastosował się do uwag swego znakomitego przyjaciela i wielbiciela, ale te uwagi pobudziły go do tłómaczenia się przed czytelnikiem w przedmowie. Treść przedmowy zupełnie odpowiada sądom Krasińskiego o *Wacławie, Anhellim* i *Szwajcaryi.*.

W parę miesięcy po *Trzech poematach* ukazała się *Balladyna*, poprzedzona listem do Krasińskiego i zakoń-

---

[1]) Tamże. T. I, str. 149.
[2]) Tamże. T. III, str. 59—60.

czyła szereg utworów, które Słowacki po kilkoletniem milczeniu w ciągu niespełna roku puścił w świat, nie wątpiąc w głębi ducha, że tym razem zdobędzie to, o co dotychczas daremnie walczył — sławę. Jeżeli zresztą mógł cokolwiek wątpić o powodzeniu *Dantyszka* i *Wacława*, to był przekonany, a w przekonaniu tem utwierdzał go sąd Krasińskiego, że *Anhelli*, *W Szwajcaryi*, *Ojciec Zadżumionych* i *Balladyna* są arcydziełami, które muszą imię twórcy otoczyć aureolą sławy. Częściowy wyraz tego przekonania widzieliśmy tylko co w przedmowie do Wacława.

Jakże przyjęła te utwory krytyka? Naturalnie poecie najwięcej musiało chodzić o uznanie krytyki emigracyjnej i społeczeństwa emigracyjnego, bo emigracya była wówczas kwiatem narodu, bo poeta do niej się głównie zwracał w swoich utworach, bo tędy zresztą wiodła droga do sławy europejskiej.

Pierwsze głosy krytyki emigracyjnej, wywołane ukazaniem się *Anhellego*, zdawały się, przynajmniej po części, odpowiadać pragnieniom i nadziejom poety. Pierwszym takim głosem była wzmianka o *Anhellim* w *Młodej Polsce*, piśmie świeżo założonem przez Eustachego Januszkiewicza, wydawcy utworów Słowackiego, za pieniądze jednego z hrabiów galicyjskich (Uruskiego). Pismo, z którem nieraz jeszcze wypadnie się nam spotkać, chciało się stać »organem partyi katolickiej w Polsce i emigracyi«, ale nie miało nic wspólnego z Mickiewiczem i tym prądem religijnym, który płynąc z *Ksiąg pielgrzymstwa* i *Trzeciej części Dziadów*, ogarnął wielu jego przyjaciół i dał początek zakonowi Zmartwychwstańców. Wprawdzie to przedsiębiorstwo księgarskie chciało ów prąd na swój młyn obrócić i starało się wciągnąć do spółki Bogdana Jańskiego, założyciela klasztorku, z którego wyszedł Zakon Zmartwychwstańców, ale ten się wciągnąć nie dał, *Młodą Polskę* nazywał »dziwną i misterną entrepryzą«, a o jej głównym redaktorze, Stanisławie Ropelewskim, pisał, że jest to »dandy z opiniami tylko katolickiemi, niepraktykujący

różny, chwiejący się, najniepewniejszy człowiek« [1]). Tego opelewskiego Hieronim Kajsiewicz przedstawiał, jako kołyszącego się i drzemiącego w mglistej, czczej, sentyentalnej religijności« [2]), a Mickiewicz, jakkolwiek pobłaiwie traktował *Młodą Polskę*, utrzymując, że »kto uczy imię Chrystusa, nie może długo być jego nieprzyjaciem«, dodawał dowcipnie: »Prawdę mówiąc, zdaje mi się, oni sami dobrze nie wiedzą, w co wierzą i czego chcą; oże pisząc, dowiedzą się« [3]). Atoli redaktor był zdolnym ylistą, a Januszkiewicz po cichu rozgłaszał, że to Mickieicz redaguje jego pismo [4]) i *Młoda Polska* sprawiała rażenie.

Otóż w tej *Młodej Polsce* w numerze z 10 sierpnia 338, a więc jeszcze przed przyjazdem Słowackiego do aryża, znalazła się taka wiadomość bibliograficzno-krycznа: »W tych dniach wychodzi z pod prasy *Anhelli*, oemat Juliusza Słowackiego... bijący urok stylu, przy iewyraźnem odrysowaniu idei, zresztą wysokie udoskoalenie tego, co jest w piśmiennictwie nabytkiem: oto łówny charakter niniejszego poematu, jak i wszystkich tworów autora. W *Anhellim* przeglądają nadto, niby przez ıgłę, dążności chrześcijańskie. Zapisujemy ten postęp«.

---

[1]) Ks. Paweł Smolikowski. Historya Zgromadzenia Zmartwychtania Pańskiego. Kraków 1893. T. II, str. 145.

[2]) Tamże II, 247.

[3]) Korespondencya Ad. Mickiewicza T. I, str. 174. Bohdan Zaski pisał z Endoume (18 sierpnia 1839) do Semenenki i Kajsiewia: «Adam żali się nam na Młodą Polskę, która tiarą papieską naywa dość świeckie cele. Zowie ją karczemką Januszkiewicza et omp., którą wystawili obok kościoła, bo się ludzie poczynają schodić na odpust». Korespondencya Józefa Bohdana Zaleskiego. Lwów 900, T. I, str. 128.

[4]) W cytowanym tylko co liście czytamy: »N. N. słyszę, że mie jako redaktora po cichu ogłasza«. To »N. N.« zastępujące miejce nazwiska, które Bohdan Zaleski wykreślił, oddając listy Mickieicza wydawcy *Korespondencyi* do druku, niewątpliwie oznacza anuszkiewicza.

W tem ostatniem wyrażeniu traktowano Słowackieg
chę z przekąsem, ale za to pochwała jego stylu ten
kszego nabierała znaczenia; wreszcie i z tego musi
poeta zadowolony, że za ową wzmianką krytyczı
dany został na próbę poematu cały drugi rozdział .
lego, ten właśnie, w którym zasadnicza idea się ul

W miesiąc po owej wzmiance w *Młodej Polsc*
zwało się o *Anhellim* inne pismo paryskie, najpow
sze z ówczesnych emigracyjnych, organ tego odłan
którego czele stał ks. Adam Czartoryski, *Kronika E*
cyi polskiej. W numerze pod datą 15 września
w dziale bibliograficzno-krytycznym (*Przezor* księ
znajdowała się już nieco dłuższa, niż w *Młodej* .
recenzya.

Podczas gdy *Młoda Polska* cieszyła się z ch
jańskich dążności poematu, *Kronika Emigracyi* podk
kierunek patryotyczny. »Jak dla chrześcianina każda k
jest dobra, która umysł jego zwraca do nieba, tak c
laków wszelkie pismo jest dobre, co myśl ich zwra
uciemiężonej ojczyźnie i przemawia silnie o nieszczę
rodaków. Z tego względu świeżo wyszły poemat
już znanego autora ma zaletę niemałą. Scena jeg
w Syberyi, a treścią niema! całą obrazy męczarni c
nych tam wolą wściekłego tyrana braci naszych. Mc
zarzucić temu utworowi: brak wątku i jasności; sfeı
naturalną, osoby cudowne i niepojęte wtedy, kiedy p
tak dostateczną być mogła [1]); niektóre wyrażenia ı
dzone; naśladowanie śmiałe, a nie zawsze szczęśli

[1]) Odpowiedzią na te uwagi były wiersze w *Beniowskim* (I

O Boże! gdyby przez Metampsychozę
W Kozaka ciało wleść, albo w Mazura,
I ujrzeć jaką popełniłem grozę,
Pisząc naprzykład Anhellego . . . .
. . . .
Pewniebym takich nie napisał bredni,
Gdybym był zwiedził Sybir sam, realny etc.

blii; wreszcie przejęcie się zbyteczne gustem dzisiejszych poetów francuskich, ale nikt nie zaprzeczy, że są miejsca poetycznej piękności, myśli wysokie i nowe, obrazy zajmujące«. W końcu recenzent podsuwał radę, aby przełożyć ten poemat na język francuski, »ale wtedy autor musiałby wiele rzeczy choć w przypisach wytłómaczyć. Korzystaliby z tego i rodacy« [1]).

Tak więc i *Kronika Emigracyi*, podobnie jak *Młoda Polska*, skarżyła się na niejasność *Anhellego*. »Język imaginacyi« zrozumiały dla Krasińskiego, nie był zrozumiały dla ogółu. Byłaż tu winną tępość »rubasznego czerepa« szlacheckiego, którą Słowacki w *Grobie Agamemnona* przeklinał? Nie, widzieliśmy, że i Krasiński, który dziwił się, jak można nie rozumieć *Anhellego* i innych współcześnie wydawanych utworów Słowackiego [2]), nie zrozumiał jego głównej myśli zasadniczej. Ale między Krasińskim a ogółem ta była różnica, że Krasiński, lubujący się w fantastycznych obrazach, dawał się im unosić, sam własne im podkładając myśli [3]), ogół, nie nastrojony tak marzycielsko, szukał w tych obrazach myśli poety, a nieraz ich nie znajdując, lub nie mogąc pogodzić jednych z drugiemi, nie umiał ich zastąpić swojemi.

Bądź co bądź, obie pierwsze recenzye, pomimo zarzutów, które czyniły poecie, były tak napisane, iż nie odbierały mu jeszcze przy obecnem nowem wystąpieniu wobec świata nadziei na zdobycie powszechnego uwielbienia. Dopiero następna z kolei czasu recenzya o jego najnowszej poezyi, już nie o *Anhellim*, ale o *Trzech poematach* i *Dantyszku*, umieszczona w dodatku do nr. 8 *Młodej Polski* (21 marca 1839), sprawiła mu bolesne rozcza-

---

[1]) Kronika Emigracyi polskiej. T. VII 1838, str. 272.

[2]) W liście do Romana Załuskiego: »Zapytam się, w czem go nie rozumieją? Ty pierwszy, powiedz mi, czegoś w nim nie rozumiał?« Listy Zygmunta Kras. III, 59.

[3]) Bardzo dobrze to przedstawił Małecki w swojem dziele o Słowackim wyd. trzecie. Lwów 1901, II. str. 123.

rowanie. Autor jej, kryjący się pod literami Z. K., niewątpli wie Stanisław Ropelewski, zaczynał swoją rzecz od ogól nych uwag o poezyi dzisiejszej i zastanawiając się na tem, dlaczego ta poezya tak słabo przemawia do serc na szych, dlaczego wolimy czytać dawne, obce arcydzieła aniżeli najnowsze i najbliższe nam utwory, dostrzega przyczyny tego zjawiska w tem, że ta dzisiejsza poezy »jest fałszem, albo co gorsza osobistem prezentowaniem się poety w udanych postaciach i ze śmiesznemi uroszcze niami«. Była to alluzya do Słowackiego, tem wyraźnie sza, że autor, omówiwszy naprzód z wielką sympaty bajki i poezye Antoniego Goreckiego, zapowiedziane r wnież w tytule recenzyi i zaznaczywszy, że naturą swo i skromnością »swych żądań« wychodzą one »z pod s rowej nagany rzuconej na nowoczesną poezyę«, w te sposób rozpoczynał swój zwrot do poezyi Słowackiego:

»Ale naprzykład, bez poprzednich ogólnych uwa o dziwnym rozbracie poezyi ze społecznością, niepod bnaby nam było wytłómaczyć, z jakiej przyczyny pieś Juliusza Słowackiego są dotąd prawie bez echa w na dzie. Nie znam poety, coby miał równy talent wykon nia. I musi być wielka niezgoda w ogólnem pojmowan poezyi pomiędzy Polską a p. Słowackim, kiedy mimo u czą świetność formy, nie przyjął się lepiej na jej grunc Przecież Polska mało dotąd miała pisarzy, mało stylć w poezyi i jak dziecko łakoma jest zewnętrznego ł łysku«.

I po tym zwrocie następowała krótka, pobieżna, j samą pobieżnością niesprawiedliwa recenzya *Trzech poem tów* i *Poematu o piekle,* którego autorstwo choć zakry w tytule[1]) musiało być dobrze znane w redakcyi *Mło Polski.* Ażeby zrozumieć wrażenie, jakie ona wywarła Słowackim, trzeba poznać ją w całości.

---

[1]) P. Hösick w swojej monografii o Słowackim (III, 35), myli utrzymując, że »Dantyszek wyszedł jako dzieło Juliusza Słowackieg

»Trzy nowe poemata P. Słowackiego świadczą już o uznanej piękności stylu, a na usposobienie narodowe ku utworom poety nie tyle wpłyną, ilebyśmy życzyli. Pierwszy poemat *Ojciec Zadżumionych w El-Arish* jest ustępem żywym i zajmującym wprawdzie, ale tylko ustępem; a co do pomysłu jest to przerysowanie owego znowu ustępu, który P. Słowacki na pamięć umie:

La bocca sollevó dal fiero pasto
Quel peccator, etc. etc.[1]).

»Jednakże *Ojciec Zadżumionych* jest najlepszym ze trzech poematów. Drugi pod napisem *W Szwajcaryi* należy do tej osobowej poezyi, która gdy nie jest wyrazem typu czasowego, skreślonym ręką geniusza, albo też źródłem jakichś nowych lirycznych natchnień, zajmuje więcej samego pisarza, niż czytelników. Ostatni poemat *Wacław*, w mniemaniu autora nawet potrzebował usprawiedliwienia: ładnie pisany, jak wszystko, co pisze P. Słowacki, nie tłómaczy jednak poety ani z zaufania, że się pokusił robić dalszy ciąg *Maryi* Malczewskiego, ani szczególniej z braku artystowskiego uczucia, że chciał zdzierać tę czarowną zasłonę, którą Malczewski zarzucił w końcu na główne osoby swego poematu«.

»*Poemat o piekle* nie nosi nazwiska autora; ostrożność bardzo na miejscu Nie wiemy, kto się dopuścił tego cudactwa, czy jako człowiek talentu napisał to na żart dla wypróbowania publiczności, czy też ktoś w dobrej wierze popadł w błąd taki. W pierwszym razie ostrzegamy, że nie łatwo nas złapać; jeśli zaś nasz autor jest dobra dusza, radzimy mu aby tytułów, jakie mieć może do poczciwości, nie wymieniał na tytuł śmiesznego poety«.

Jeżeli *Dantyszek* zasługiwał na złośliwe uwagi recenzenta, a przedewszystkiem na nazwę »cudactwa«, jeżeli zarzuty czynione *Wacławowi* były do pewnego stopnia uzasadnione, to przejście do porządku dziennego nad tak

---

[1]) W *Młodej Polsce* mylnie wydrukowano: Et peccator.

misternie wykończonemi, tak świetnemi poematami, jak *Ojciec Zadżumionych* i *W Szwajcaryi*, wraz z zarzuten »przerysowania«, dotyczącym pierwszego z tych arcydzieł było aktem wielkiej niesprawiedliwości i niechęci dl poety. Wprawdzie recenzent w ogólnych uwagach o poezy Słowackiego, przyznawał jej »uroczą świetność formy« ale właśnie te utwory, w których ta świetność formy dc sięga zenitu, zbywał półgębkiem, lekceważąco. Jednakż pewnym ustępom recenzyi nie można odmówić trafności bystre było przedewszystkiem zwrócenie uwagi na to, dla czego poezya Słowackiego, pomimo nieprześcignionej świe tności stylu, nie budziła echa w narodzie. Recenzent ni odpowiadał wyraźnie na to pytanie, ale pozwalał domy ślać się, że przyczyną był brak szczerości w uczuciac poety i w tym względzie trzeba mu przyznać słuszność

Dla Słowackiego recenzya *Młodej Polski* była ciosem który nim wstrząsnął do głębi. Wszystkie złudne nadziej opanowania serc narodu, salwą swoich nowych świetnyc poematów, pierzchały w jednej chwili. Kiedy przybywa do Paryża, zdawało mu się, że teraz, wobec milczeni Mickiewicza, nic mu nie przeszkodzi stanąć na szczyci Parnasu polskiego i skupić na sobie wszystkie promieni sławy. Recenzya strącała go na dół, wskazując, że do za jęcia tego wysokiego stanowiska nie wystarcza sam ze wnętrzny blask słowa. Zraniony do głębi w tem, co był głównym nerwem jego życia, Słowacki nie potrafił znieś tego ciosu w milczeniu i postanowił natychmiast odpo wiedzieć na recenzyę i skorzystać z tej sposobności, ab wylać z piersi oddawna w niej wzbierający żal do narod za brak uznania z jego strony dla siebie. Gorąca ta skarg ukazała się już w następnym dodatku do *Młodej Polsk* pod tytułem: »Kilka słów odpowiedzi na artykuł pana K. ł o Poezyach Juliusza Słowackiego« [1], a brzmiała, jak następuj

[1] Dodatek do Nru 9 z dnia 30 marca 1839, str. 35—36. Prze drukowano w Pismach Słowackiego T. IV.

»Wolę prosto w piśmie *Młoda Polska* na artykuł pana Z. K. o poematach moich odpowiedzieć, niż odpowiedź tę zostawiać do zapełnienia kart wstępnych jakiego przyszłego dzieła, jeżeli mi na nowe prace Bóg dosyć życia; a publiczność zniechęcająca, dosyć cierpliwości i zapału zostawi. Ostatni krytyk trzech poematów dotknął najgłębszej struny sumienia mego zapytaniem: dlaczego pomimo wytworność kształtów poezye moje tak mało mają odgłosu w Polszcze. Jest to dla poety *to be or not to be*, nad którym ja jak Hamlet rozmyślam... a którego rozwiązanie Bóg zapewne grobowi mojemu zostawi. Tym czasem kwestyi tej pan K. Z. długim wstępem swoim do krytyki trzech poematów i krótką krytyką trzech poematów nie rozwiązał... wiemy bowiem tylko ze wstępu, że pan Z. K. a z nim Polska lubi czytać Biblriją... Danta i Manfreda... a nie lubi moich poematów. Już to zbliżenie moich poezyi do wielkich mistrzów jest dosyć pochlebne dla mnie, chociaż w celu zniechęcenia mnie zrobione, ażebym się za nie mógł szczerze gniewać. Powiem tu tylko, jak własna miłość autorska broni mię, ilekroć mię ta oziębłość polska do rozpaczy przywodzi... powiem panu Z. K. jakie przyczyny pozbawiły mnie dotąd, i na długo zapewne a może na zawsze odgłosu w Polszcze pozbawią«.

»Pierwsze tomy poezyj moich są bez duszy. Imaginacya moja, młoda jak motyl, wabiona była połyskiem, słońcem, kształtami, kiedym je pisał. Teatralny koturn włożyłem na stopy moje, abym, dziecięciem jeszcze będąc, wzrostu sobie przymnożył. Pokazałem się więc po raz pierwszy jako artysta ludziom, którzy bynajmniej o artystostwie nie myśleli... ważną i okropną tragedyą rzeczywistą zajęci. Pierwszemi dwoma tomami zgubiłem się na cały czas życia mego i teraz muszę bez echa śpiewać, choć śpiewam inaczej, albowiem Polska nie ma ani krytyków silnych, którzyby ją o zmianie lutni ostrzegli, ani czytelników dość szybko sądzących, którzyby się sami z pierwszego sądu otrząsnąć mogli i z czystą uwagą iść

za nową pieśnią poety. Do tej pierwszej i głównej przyczyny niech pan Z. K. doda trochę wyrachowanej obojętności ze strony tych poetów naszych, którzy dość mają lekko zrobionej sławy, a wszelako stoją jak Koklesy na moście literatury i czekają aż Car go zrąbie, aby skoczyć w wodę, obroniwszy od nowych tryumfatorów polską poezyę — tych poetów, którzy podobnie do ministeriów politycznych, związawszy się niegdyś razem w opozycyą przeciwko Osińskiemu i Koźmianowi, osiągnęli berło i dziś są równie przeciwko nowym autorom, partyą Osińskich i Koźmianów. Niech pan Z. K. doda wpływ takich artykułów na polską publiczność, jakim jest jego ostatni artykuł, gdzie *Ojca Zadżumionych* chce zrobić naśladowaniem Ugolina, tak właśnie jak gdyby kto powiedział, że grupa Nioby tracącej dzieci jest naśladowaniem posągu Laokona z dwoma synami zjedzonego przez węże. Niech jeszcze doda, że Polska teraźniejsza podobna jest do Prometeusza, któremu sęp wyjada nie serce, ale mózg i rozum; wtenczas może i sam zrozumie dla czego poezye Słowackiego są bez rozgłosu w Polszcze; dlaczego dusza Anhellego napróżno wychodzi z ciała i po słupie światła księżycowego wraca do ojczyzny, myśląc, że ją tam poznają i przyjmą ze łzami: dlaczego nareszcie biały Anhelli i ciemny Ojciec zadżumionych i Nimfa Szwajcarska i Wacław z Eolionem będą jeszcze długo, długo figurami niezrozumianemi dla duszy narodu, aż może jaka nagła błyskawica oświeci oblicza tych tworów i pokaże je przeźroczystemi aż do głębi serca, oczom narodowym«.

»Cóżkolwiek bądź; sumnienie mi powiada, że przez osiem lat pracowałem bez żadnej zachęty dla tego narodu w którym epidemiczną jest chorobą uwielbienie, epidemiczną chorobą oziębłość i pracowałem jedynie dlatego, aby literaturę naszą, ile jest w mocy mojej, silniejszą i trudniejszą do złamania wichrom północnym uczynić. *Kordyan* świadczy, żem jest rycerzem tej nadpowietrznej walki, która się o narodowość naszą toczy. Przez osiem lat każdą

hwilę życia mojego wyrywałem roztargnieniom, osobitemu staraniu o szczęście, abym ją temu jedynie poświęił celowi... A jeżelim go nie osiągnął, to dlatego, że mi óg dał więcej woli, niż zdolności, że chciał, aby poświęenie się moje bezskuteczne przydane było do liczby tych iększych ofiar, które Polacy na grób ojczyzny składają; ż wyniszczywszy wszystkie siły duszy i całą moc indyidualnej woli napróżno, muszą iść na spoczynek w ziemi, rudzeni i smutni, że miecz ich nie był piorunem, a słowo ie było hasłem zmartwychwstania«.

Juliusz S.

Przytoczyłem odpowiedź poety w całości, aby w caj pełni pokazać stan rozżalenia jego duszy, wywołany iosem krytycznym *Młodej Polski*, a teraz chcę zwrócić wagę na niektóre ustępy odpowiedzi. Poeta, stając w obroie swojej dzisiejszej poezyi, spoglądał z góry na dawniejzą, poświęcał ją chętnie na pastwę krytyce, przyznawał am, że pierwsze tomy jego poezyi były »bez duszy«, że tawał w nich na »teatralnym koturnie«, że występował ylko jako artysta wtedy, gdy wszyscy byli »okropną tradyą rzeczywistą zajęci«; ale dlaczego teraz śpiew jego ie budzi echa w narodzie, chociaż on śpiewa inaczej, piej, piękniej, chociaż już w *Kordyanie* nastroił się payotycznie, stał się wraz z innymi »rycerzem nadpowieznej walki o narodowość«?... Czyjaż to wina? Wina rytyki, która nie umie ostrzegać czytelników »o zmianie itni« poetów i traktuje jego nowsze utwory podobnie k dawniejsze, wina »wyrachowanej obojętności« poetówoprzedników, którzy »lekko« zdobywszy sławę, nie chcą ię nią dzielić z nowym przybyszem (alluzya przedewszytkiem do Mickiewicza), wreszcie wina społeczeństwa, Polki teraźniejszej, tego »Prometeusza, któremu sęp wyjada ie serce, lecz mózg i rozum«.

Zarzuty uczynione krytyce o tyle były słuszne, o ile ę odnosiły do ostatniej krytyki *Trzech poematów*. W porzednich krótkich recenzyach *Anhellego* zwracano i owszem

uwagę na »zmianę lutni«, na religijny i patryotyczny jej kierunek, a i recenzya *Kordyana* w *Le Polonais*, o której wyżej była mowa, już przez samo bardzo szczegółowe podanie treści utworu wskazywała czytelnikom jego nastrój patryotyczny. Więc mógł Słowacki skarżyć się na pobieżność krytyk, ale nie miał racyi uogólniać zarzutu, który się należał tylko krytykowi *Trzech poematów* w *Młodej Polsce*. Co się tyczy poetów, których miał na myśli przedewszystkiem Mickiewicza, to przypisywanie swego niepowodzenia ich »wyrachowanej obojętności«, było bardzo naiwnym zarzutem, porównanie ich z Osińskim i Koźmianem było więcej złośliwe, niż trafne, a sąd o ich »lekko zrobionej sławie« był, niestety, wyrazem głębokiej zawiści dla Mickiewicza, tlejącej ciągle w sercu Słowackiego. Wreszcie, co się tyczy społeczeństwa, narodu, to zarzut, że »sęp mu wyjada nie serce, lecz mózg i rozum« był frazesem wziętym z *Grobu Agamemnona*, ale co znaczył naprawdę? i ile było słuszności w pretensyach Słowackiego do narodu?

Że Polska miała więcej serca, niż rozumu, to było wielką prawdą i to nietylko w czasach Słowackiego, ale co najmniej od czasów, kiedy Kochanowski obawiał się aby Polak mądry po szkodzie nie zamienił się na Polaka i przed szkodą i po szkodzie głupiego. Tak, brakło Polsce w ostatnich wiekach rozumu, mianowicie rozumu politycznego i ten brak, ta niezdolność trzeźwego obrachowywania przyszłości, instynktowego odróżniania rzeczy ważnych od nieważnych, była jedną z głównych przyczyn wewnętrznych, które ją doprowadziły do politycznego upadku. Ale czy taki rozum mógł mieć na myśli Słowacki on, który w zapaleńcu *Kordyanie* apoteozował polityczne szaleństwo, i który sam był z natury, z temperamentu swego anarchicznie nastrojonym? Rzecz naturalna, że nie. Przez »mózg i rozum« nie mógł tu nic innego Słowacki rozumieć, tylko wyższą kulturę estetyczną zachodnio-europejską, której sam czuł się przedstawicielem, a której brał

spostrzegał w »rubasznym czerepie« narodu, tę inteligencyę artystyczną, która lubowała się w »języku imaginacyi«, w grze wyobraźni, dla samych kształtów tej gry, podczas gdy cierpiącemu społeczeństwu polskiemu z wytężonem w jedną stronę uczuciem ta gra wydawała się marną i niezrozumiałą igraszką.

Mickiewicz w *Panu Tadeuszu* doskonale przedstawił ten kontrast między kosmopolitycznym estetyzmem jednostek a nastrojem spółczesnym narodu w postaciach Hrabiego i Tadeusza. Za wzór do pierwszego, według mego przekonania, które gdzieindziej starałem się uzasadnić [1]), posłużył mu ośmnastoletni, ale już dorosłego rolę odgrywający Krasiński; a jeśli nie posłużył, to mógł mu posłużyć. Bo w istocie Krasiński, podobnie jak Słowacki, był u nas przedstawicielem kosmopolitycznej kultury estetycznej i pewnej egzotyczności fantazyi i zarówno ze Słowackim lubował się w grze wyobraźni. Ale ta była walna różnica między nimi, że Krasiński, nie mający daru harmonii formy i blasku słowa, właściwych Słowackiemu, miał umysł filozoficzny i zmysł społeczny, którego niemal zupełnie pozbawiony był Słowacki; stąd gra jego wyobraźni miała podkład ideowy, nie była nigdy świecącą tylko pianą, kalejdoskopowem skupieniem barwnych szkiełek, ale stawała się szatą, czasem zbyt powłoczystą i teatralną, zawsze jednak szatą tylko jakiejś żywej, wykołysanej w duszy własnej, idei. Przeciwnie u Słowackiego płonąca wszystkimi kolorami wyobraźnia nie znajdowała w duszy poety, przynajmniej aż do czasu przeobrażenia wewnętrznego, żadnego jądra głęboko odczutych idei społecznych czy filozoficznych i rwąc się na zewnątrz dla objawienia światu swego bogactwa, chwytała się cudzych pomysłów i uczuć, aby się dokoła nich krystalizować w najrozmaitsze kombinacye kształtów i kolorów. U Krasińskiego gra wyobra-

---

[1]) Zygmunt Krasiński w pierwszym okresie młodości. Przewodnik nauk. i lit. 1885.

źni była sługą idei; u Słowackiego rolę służebną, rolę narzędzia odgrywała idea, panią była wyobraźnia.

I stąd to pochodzi owa nieszczerość, tak często rażąca w poezyi Słowackiego tych, którym niedość bogactwa farb i melodyjności słowa i którzy pod jasną i śpiewną szatą poezyi szukają duszy poety. Nieszczerość objawiła się i w skardze Słowackiego, o której mowa. Powiada on, że jedynym celem jego pracy poetyckiej było, aby »literaturę naszą... silniejszą i trudniejszą do złamania wichrom północnym uczynić«. Byłoż to prawdą? Widzieliśmy z własnych poufnych zwierzeń Słowackiego, co było głównym, najwyższym celem jego pragnień, jego życia, a więc i jego twórczości poetyckiej, poznaliśmy rodowód patryotyzmu Kordyana. Nie o walkę z »wichrami północnymi« chodziło tam przedewszystkiem, ale właśnie o walkę z tym, który tym wichrom stawał najsilniej na wstręcie, a który jednocześnie swoją sławą przyćmiewał młodszego współzawodnika. Na obronę tej nieszczerości tyle tylko można powiedzieć, że Słowacki zapewne nietylko w innych, ale i w siebie wmawiał, że przewodnią gwiazdą jego twórczości poetyckiej była tylko miłość ojczyzny.

Redakcya *Młodej Polski*, otrzymawszy pismo Słowackiego, była zdumiona tym jego wybuchem żalu, a razem i zgorszona lekceważącem odezwaniem się jego o sławie poetów, stojących na czele poezyi polskiej, t. j. przedewszystkiem o sławie Mickiewicza. Postanowiła poprzedzić odpowiedź Słowackiego krótką przedmową, która, jakkolwiek trzymana w tonie spokojnym, była surową nauką daną rozżalonemu poecie.

»Umieściliśmy w piśmie naszem — pisała redakcya — kilka słów o poezyach p. J. Słowackiego w przekonaniu, że krytyka nawet niesprawiedliwa lepsza jest dla poety od zimnego milczenia obojętności; rozumieliśmy więc, iż robimy przysługę p. Słowackiemu, dając miejsce jakiemubądź objawieniu myśli Polaków o poezyach jego. P. Słowacki osądził za rzecz stosowną odpowiedzieć na krytykę

pana Z. K. Nie wchodzim, czyli słusznie uczynił. Wolelibyśmy byli w inny sposób okazać naszą życzliwość P. Słowackiemu. Ale skoro chciał umieszczenia swej odpowiedzi, wypadało się nam stosować do jego woli. Bodaj był szczęśliwym swoich losów prorokiem«.

»O jednej rzeczy ostrzedz czytelników jest przecie obowiązkiem naszym. Pan J. Słowacki zdaje się mieć jakieś powody goryczy względem ludzi, których my uważamy za prawych naczelników polskiego intellektualizmu których sławę mamy nie za lekko, ale za łatwo zarobioną, bo zdobycze geniuszu są tak naturalnego pozoru, że nie zdają się kosztować ni usiłowań, ni trudu. Otóż nie chcielibyśmy, żeby czy to publiczność kochająca imiona tych ludzi, czy to oni sami sądzili, iż umieszczając list P. Słowackiego bierzemy na się wspólnictwo, o narodowej ich sławie cierpko i lekko wyrzeczonego sądu«.

Bardzo prędko po owym wybuchu żalu Słowackiego ukazała się w poznańskim *Tygodniku literackim* (1 kwietnia 1839) recenzya *Anhellego*, napisana przez I. N. Sadowskiego, która o tyle mogła pocieszyć przygnębionego niepowodzeniem poetę, że była niezwykle obszerną i że przykładała wielką wagę do myśli, jakoby zawartej w poemacie. Pozatem mało w sobie miała przyjemnego dla poety. Sadowski napojony filozofią Hegla puścił się z mdłym kagankiem jego idei w labirynty *Anhellego* i objaśniał je w taki naprzykład sposób:

»Wiek ten, który dziś pod ciężarem starości ku ziemi się już chyli, rozwinął się w pewnym systemie umysłowych pojęć i dzieł im odpowiednich. Cały ten system, jako jedna niepodzielna Całość w sobie wzięty, stanowi wyraz Ducha owego wieku i jest jego Rozumem. Reprezentantem tego rozumu jest w poemacie Szaman... Rozum ów przy dzisiejszem obumarciu całego społeczeństwa już tylko zlodowaciałemu ciału panuje, — również Szaman w poemacie, jako król Ludu w śnieżnych siołach zamieszkałego, jako pan krainy grobowcowej

występuje. Pochód jego poprzedzają stada kruków — złowrogi znak blizkiego zgonu dla Wieku, którego myśl reprezentuje i t. d.«. Z tych to i tym podobnych objaśnień Sadowskiego żartował sobie Słowacki w pieśni II Beniowskiego:

> Znowu błądzę
> Jak Telimena, gdy wyszła na grzyby,
> A zbiera mrówki — mrówkami są żądze —
> Na wiatr to mówię tylko, lecz w nadziei,
> Żem dostrzegł, jako Poznańczyk, idei.

Były jednak w tej recenzyi i rzeczy trafne, nawet bystre spostrzeżenia, jak np. to, że »zdaje się, jakoby Słowackiego zadaniem było: uznać nową dążność Narodowej Poezyi i nie wiążąc się wprost i niewolniczo do przewodniego autora, każdą Myśl nową uchwycać i w osobny sposób rozwijać« i dlatego to »źródła jego poezyi nie w niej samej, ale zewnątrz Poety się znajdują«. Trafną była uwaga, że »Duch Anhellego wprost z Irydyona wytryska«, że »*Anhelli* jest jakoby wyśpiewaniem tego wrażenia, które *Irydyon* zrobił na autorze«, trafnem było wskazanie różnicy, która zachodzi między tymi dwoma poematami, mianowicie, że »Myśl Irydyona nietylko śmierć (jak Anhelli), ale i nowe życie zwiastuje« [1].

---

[1]) Rozwinięciem tego poglądu, prawda, że dosyć mętnem, był końcowy ustęp krytyki. Przytaczam go dlatego, że utkwił on najsilniej w pamięci poety i odezwał się potem w *Beniowskim*: «Autor uchwycił obie strony myśli w *Irydyonie* zarysowanej, ale je tylko pobratał, nie ożenił. Zupełnie jasno pojął tylko konieczność strony ujemnej, konieczność upadku tego, co nie mając dalszego od spełnionego już powołania, do dłuższego życia jeszcze się zabiera i w bolach konania jeszcze usilnie ze śmiercią się łamie. W odmalowaniu tej strony dał dowód wielkiego talentu i stopniując tęsknotę i boleść do najwyższej ostateczności, nie przechodzi jednak nigdzie granic Piękności; — owszem, urokiem owej, jak ją sam nazywa «Melancholii z Mocy» czaruje duszę czytelnika; ale za to drugą dodatnią stronę, — stronę Prawdziwego Organizmu zniżył do płaskości bezwzględnej, niczem nie przeciętej Równości, zużytej już pod koniec

Podobne uwagi nie mogły pochlebiać Słowackiemu, a to tem więcej, że krytyk poznański wynosił Krasińskiego pod obłoki i z pominięciem nawet Mickiewicza przyznając mu godność arcywieszcza, Słowackiemu hołdownicze zakreślał stanowisko. »Jak zawsze cały Duch jakiego Wieku najtreściwiej zbiera się w jednym Wielkim mężu, a reszta podrzędnych mu duchów obok niego się kupi i barwą swych dzieł i pomysłów jakoby girlandę około zarysowanego przezeń obrazu maluje; tak i dzisiaj około Arcywieszcza naszego zbierają się przedniejsze Piewce Narodowe i Myśl tak jenialnie przezeń rzuconą barwią i cieniują. Takiem odcieniem owej Myśli-Matki całej przyszłości jest *Anhelli*«. Słowackiemu tedy dostawała się tu rola jednego z tłumu »duchów podrzędnych«, a jego przyjaźń i wdzięczność dla Krasińskiego, którego arcymistrzem mianowano, wystawione tu były po raz pierwszy na ciężką próbę.

Tę próbę zupełnie szczęśliwie przebyły. Zanadto żywą była jeszcze w sercu Słowackiego wdzięczność za pokrzepienie ducha, które był winien Krasińskiemu, zanadto w walce z obojętnością lub niechęcią ogółu potrzebował tak znakomitego sprzymierzeńca, aby dać się unieść zazdrości. Zresztą czuł on, że o tytuł arcymistrza właściwie z kim innym miał do walczenia.

Niedługo potem zabłysła Słowackiemu nadzieja zwrócenia na siebie uwagi już nie polskiej tylko emigracyi, ale całej literacko wykształconej Europy. Oto Konstanty Gaszyński, zapewne zachęcony słowami Krasińskiego, pełnemi uwielbienia dla *Anhellego*, a może stosując się do życzenia wypowiedzianego w *Kronice emigracyi polskiej*, przełożył ten poemat na język francuski, i doniósł o tem

---

przeszłego wieku; i słabością tej myśli dowiódł, czego nie chciał, że Moc Melancholii może być wielką, ale jednak nie jest Największą Mocą Wieszczego Ducha«. Tyg. liter. 1839. T. II, str. 16.

Słowackiemu. Ucieszył się tem Słowacki, ale wątpił, » się znalazł jaki księgarz, biorący na siebie wyd: dziełka«, natomiast chciał skorzystać z tej sposobności, za pomocą pani Sand, o której ciągle marzył, jako (kimś pokrewnym sobie duchu, a do której zbliżyć się znajdował okazyi, aby za jej pomocą dostać się do *R des deux mondes.* »Dla twego *Anhellego* — pisał do szyńskiego — najlepsza byłaby droga przez Chopin: pani Sand, przez panią Sand do *Revue des deux mon* Wydrukowany tam mógłby potem odbity być osobı Pani Sand zaś możeby sobie to dziełko upodobała, ε wiem ona ma nerwy z siedmiu strun złożone« [1]). Je cześnie doradzał Gaszyńskiemu udać się do pana S: Marc Girardin, »który już o północnej literaturze pi i uprosić u niego przedmowę do poematu, bo »we F cyi wszystko teraz, nawet w świecie literackim, prote wymaga«. Donosił też, że jeden z literatów parys H. Latouche, ofiarował mu swoją gotowość napis dziennikarskiego artykułu o *Anhellim.*

Zabiegał tedy Słowacki, jak mógł, aby się dosta(europejską widownię, ale zabiegi nie zostały pomyśl skutkiem uwieńczone. *Anhelli* w przekładzie francus Gaszyńskiego nie ukazał się ani w *Revue des deux* ı *des*, ani gdzieindziej. Dlaczego? Czy Gaszyński nie p(chał rady Słowackiego? I owszem, można się domy że poszedł za jego radą i że kołatał do pani George S Domyślamy się tak z listu Krasińskiego do Gaszyński pisanego w kilka miesięcy później (z datą 19 paźd nika 1839), bo w tym liście Krasiński winszuje pr: cielowi zapoznania się z panią Sand. A więc chyba *helli* nie przemówił do jej siedmiostrunnej duszy, jak spodziewał się Słowacki? Prawdopodobnie tak było, a n

[1]) Nieznany list Słowackiego do Konstantego Gaszyńskieg(dany przez L. Méyeta w *Gazecie Lwowskiej* z dnia 29 maja 19(

ten zawód tem więcej miał dla Słowackiego goryczy, że ta sama pani Sand, na której wybredny smak liczył, w tem samem piśmie, do którego dostać się pragnął bardzo prędko potem (w jednym z ostatnich zeszytów 1839 r.) umieściła pełen entuzyazmu dla Mickiewicza artykuł o *Dziadach* w zestawieniu z *Faustem* Goethego i *Manfredem* Byrona.

ROZDZIAŁ VI.

Dwaj Wenedzi.

1839—1840.

Przedmowa do *Balladyny*. — Recenzya *Balladyny* w *Młodej Polsce* Współczesne usposobienie i twórczość Słowackiego. — Nowy g krytyki w *Kalendarzu pielgrzymstwa polskiego*. — List Krasińskie dodający ducha Słowackiemu. — Krasiński o Słowackim w liś do Załuskiego. — Porównanie sądów Krasińskiego o Słowack z sądem Mickiewicza. — Niekonsekwencya w radach Krasińskiego *Lilla Weneda*, żywioł osobisty w tej tragedyi. — Sąd Krasińskie o niej. — Wpływ Słowackiego na przedmowę do *Trzech myśli Ligen*

We wrześniu 1839 r. puszczał Słowacki w świat sw tak wysoko przez Krasińskiego cenioną *Balladynę*, a święcając ją autorowi *Irydyona*, rozszerzył dedykacyę rozmiarów listu do »kochanego poety ruin«, listu pełne poezyi, pisanego owym »językiem imaginacyi«, któr tak lubili z sobą rozmawiać ci dwaj poeci.

Ale ten list był nietylko wyrazem przyjaźni i pew wspólności duchowej; odezwało się w nim także i e żalu, który tak gwałtownie wybuchnął w odpowiedzi krytykę *Trzech poematów*. List zaczynał się od apolo o starym i ślepym harfiarzu, który śpiewał pustemu r rza brzegowi, myśląc, że śpiewa tłumom i skończyw pieśń swoją zdziwił się i zasmucił, że ta pieśń nie darła żadnego westchnienia, żadnego oklasku nie wy łała. Była to więc ta sama skarga, co w odpowie tylko wypowiedziana nie w chwili bolesnego podraż nia i podniecenia, ale w chwili, kiedy boleść zawodu żyła się już była do spokojnego żalu, a ten żal łączył

z nadzieją, że nowy utwór, zupełnie różny od wszystkiego, co przedtem wydała muza Słowackiego, zdobędzie mu to może, czego poprzednie utwory zdobyć nie zdołały. Był tu Słowacki podobny do gracza, który stawia ciągle na loteryę i po każdem ciągnieniu doznaje smutnego zawodu, ale w miarę, jak zbliża się nowe ciągnienie, nabiera nowej otuchy. I teraz roił poeta, i to roił głośno, wobec świata, w owym liście do przyjaciela, że »*Balladyna*, wbrew rozwadze i historyi zostanie królową polską, a piorun, który spadł na jej chwilowe panowanie, błyśnie i roztworzy mgłę dziejów przeszłości«; roił, że za *Balladyną* siostrzanym korowodem pójdzie pięć innych tragedyj, które wziąwszy się za ręce utworzą »wielki poemat w rodzaju Ariosta« i że za to imię jego słyszane będzie w szumie rodzinnej jego Ikwy, a »jakaś niby tęcza z jego myśli« unosić się będzie nad ruinami zamku rodzinnego Krzemieńca.

Niedługo czekał Słowacki na objaw wrażenia, jakie *Balladyna* jego wywołała. Już w 29 numerze *Młodej Polski* z dnia 20 października 1839 ukazała się recenzya *Balladyny*, obszerna, prawie dwie trzecie numeru zajmująca. Ale ta obszerność nie była bynajmniej objawem względności recenzenta dla poety: przeciwnie wypływała z chęci zupełnego zmiażdżenia i ośmieszenia poety wobec emigracyi. Recenzentem był ten sam Ropelewski, który przedtem umieścił był w *Młodej Polsce* krytykę *Trzech poematów* i który czuł się dotknięty odpowiedzią Słowackiego na tę krytykę. Zdawało mu się, że *Balladyna* daje mu dobrą sposobność do okazania słuszności wypowiedzianych przedtem krytycznych poglądów na poezyę Słowackiego i do zemszczenia się na poecie.

Cały ton recenzyi był drwiący. »Tyle dobrych pogłosek — tak zaczynała się recenzya — z pewnego źródła, bo pono od samego autora i przyjacielskiej drużyny czerpanych, biegało o *Balladynie*, żeśmy sobie obiecywali oddać się uwielbieniu, otrzymać od poety świadectwo

mądrości krytycznej i naprawić dawną niezgrabność, jaką popełniliśmy, nie umiejąc uznać w *Trzech poematach* i w *Dantyszku* owych piękności pierwszego rzędu widnych ojcowskiemu oku P. Słowackiego. Po przeczytaniu *Balladyny* rozchwiały się nasze nadzieje; tak losy kazały, spadniemy jeszcze w mniemaniu poety: zostaniemy na zawsze nikczemnym krytykiem...«. I opowiedziawszy dość szczegółowo, ale ciągle w drwiący sposób, treść *Balladyny*, krytyk zapytywał: »W czem te kilkadziesiąt scen bez logicznego związku między sobą, bez względu na czas i miejscowość, bez poezyi, bez stylu, bez historycznej prawdy; w czem ten dyalog, pełen niedorzeczności i krwi, ma rozjaśniać starożytne dzieje Polski? nie wiem«.

Ale najsroższe ciosy krytyczne zachował recenzent na sam koniec. Zacytowawszy niefortunny epilog *Balladyny*, wołał: »Wielki Boże! że też człowiek talentu, artysta, a zatem człowiek delikatnych odcieni, nie czuje, jaką to ckliwość musi obudzać w czytelnikach to nieustanne, grube pochlebstwo samemu sobie... Szkoła nieprawych dzieci Byrona, exagierując błędy mistrza, zaczęła od apoteozy dumy, a skończyła na apoteozie własnej«. I tu na temat dumy dana była poecie nauka, która zamieniała się w końcu w najsroższe urąganie. »Duma jest to namiętność milcząca; że w sobie samej szuka zadowolenia, przeto ani dba czy ją odkryto, ani spieszy zazawiadomić publiczność o swoim bycie. Ale komu na ustach »jestem dumny, spojrzałem dumnie, odpowiedziałem dumnie«, albo co gorsza, kto to pisze i drukuje na tysiące egzemplarzy, ten dalibóg niesłusznie się oskarża; podobny jest maniakom, co się za umierających podają, choć jedzą dobrze, śpią dobrze i kwitną czerstwym rumieńcem. Przecież lekka nauka synonimów wywiodłaby go łatwo ze złudzenia i oświeciła, że co on bierze za szatański, boży grom, wywołujący występek, jest tylko pretensyą, śmiesznością towarzyską, odpowiedzialną przed

biczem Arystofana. Mój Boże! i po co to robić się większym grzesznikiem, niżeli się nim jest rzeczywiście? Zwiedzając kraje ciemności, wieszcz średnich wieków spotykał tłumy, którym ogromne ciężary chyliły czoła ku ziemi; byli to dumni i Dante uczuł ciśnienie na barkach swoich; autor zaś *Balladyny* jeśli nic nie ma na sumieniu, prócz opisanej przez nas zdrożności, to może być pewny, że pójdzie prosto do nieba, a za całą karę będzie musiał doń wchodzić z miną buńczucznie nastrojoną i przywitan będzie u progu serdecznym śmiechem chórów niebieskich«.

Nauka o dumie potrzebną była Słowackiemu. Czuł to i Krasiński, gdy we dwa lata potem tłómaczył mu, że duma powinna iść w parze z pokorą i dopiero wtedy stanowi wielkość człowieka, bez pokory zaś staje się tylko próżnością. Ale Ropelewskiemu nie o naukę chodziło, tylko o podanie jej z wyrafinowanem okrucieństwem. Trudno było boleśniej dotknąć poetę wiecznie śniącego o nieśmiertelnej sławie, jak owym powitalnym śmiechem chórów niebieskich. Ale z drugiej strony zanadto widoczną była w całej recenzyi zła wola piszącego, aby to nie osłabiało pocisku. Zdaje się, że echo wrażenia, jakie ta recenzya wywarła na Słowackim, odzywa się w jednym ze współczesnych listów jego do matki [1], z tych czasów, kiedy przez obawę skompromitowania jej wobec policyi swoją korespondencyą, pisywał do niej nie pod własnem imieniem, ale jako jakaś przyjaciółka Zofia. »Mam na świecie kilku przyjaciół takich, jakich zawsze żądałam (mowa tu o Krasińskim), to jest przyjaciół, którzy mnie szacują i bronią, ale ci wszyscy są odemnie dalecy; a teraz otoczona jestem ludźmi, do których przylgnąć nie

[1] Listy II, 119–122. List, o którym mowa, nie ma wprawdzie daty, ale ręką matki poety dopisano na autografie: R. 1839 Paryż, a na odpisie zrobionym przez Teofila Januszewskiego dodano: Październik.

mogę; zazdrośni bowiem są, małego serca, nie zdolni ani uczuć, ani pojąć szlachetnych myśli, słowem są to zatarte szelążki, zimne i spleśniałe... Najwięcej więc czasu przepędzam sama, pisząc sobie i bazgrząc różne awantury i przywidzenia, z czego korzyść taka, że mi samej życie złocą i różnemi okrywają tęczami. Są to miłe mi okienka w chacie mojej, przez które widzę wiele rzeczy i twarzy znajomych; czy życie takiemi snami zajęte jest życiem, nie wiem, ale to pewna, że mię od wielu rozpaczy broni a czasem przyjemność sprawia... Nie jestem(że) ja podobna do lampy, która w szejne-katarynce siedzi i przez różnokolorowe szkła rzuca kilka bladych promyków? Dopóki więc jaki szczur łojem zwabiony nie zgryzie tego, co świeci w mojej latarce, nie zgaszą mnie ćmy i komary«.

Jeżeli ten list pisany był już po ukazaniu się recenzyi *Balladyny* w *Młodej Polsce*, co prawdopodobne, to z niego możnaby wnosić, że Słowacki obojętniej przyjął drugą krytykę Ropelewskiego, niż pierwszą, pomimo, iż była nieskończenie zjadliwszą. Do tej względnej obojętności przyczyniać się mogło nietylko to, że w recenzyi *Balladyny* widział nie sam szczery wyraz przekonań recenzenta, ale przedewszystkiem chęć zemszczenia się za odpowiedź na recenzyę *Trzech poematów*, lecz i to, że czuł w sobie wówczas więcej, niż kiedykolwiek przedtem, wzbierającą twórczość poetycką. Słowacki, skończywszy lat 30, wchodził w południe swego życia, płodność jego fantazyi dosięgała zenitu. Na owe czasy, na koniec 1839 i na rok 1840 przypada naprzód przetworzenie *Mazepy*, potem cały szereg nowych dramatów, wykończonych i wydanych za życia, lub pozostawionych w tece: *Lilla Weneda, Krakus, Wallenrod, Beatrix Cenci*, drama *Beniowski;* wreszcie prócz drobnych rzeczy wierszem i prozą bodaj czy i *Złota Czaszka* nie należy do tego okresu[1]). Oddawał się on wtedy całkowicie Szekspirowi

[1]) Podług kombinacyi Małeckiego (II, 276—277) dramat *Złota*

zadziwiającą łatwością naśladował go w niezliczonych cenach dramatycznych, które wysnuwał ze swej fantazyi, zabarwiając je coraz bardziej swojskim kolorytem i czuł, e na tem polu, na polu dramatycznem, w literaturze olskiej nikt się z nim mierzyć nie może, ba, nawet nikt nie próbuje. A czując się Szekspirem polskim, czując obfitość palnego materyału w latarce swojej wyobraźni, krzepił się tem w duchu i pocieszał, gdy ćmy krytyczne uderzały o szyby tej jego latarki.

Niebawem usłyszał nowy głos o swojej poezyi, który mógł mieć tem większe dla niego znaczenie, że obejmował i oceniał całą jego poezyę w zestawieniu z całą współczesną poezyą emigracyjną, że był niejako pierwszą próbą historycznego traktowania tej poezyi. W *Kalendarzu Pielgrzymstwa polskiego* na r. 1840 ukazało się obszerne, bo 34 stronice zajmujące »Wspomnienie o piśmiennictwie polskiem w emigracyi». Nieznany krytyk [1]) (bodaj czy nie

Czaszka był pisany w 1841 lub 1842. Małecki jednak nie uwzględnia jednej rzeczy, mianowicie, że cytowane tylko co słowa listu poety z r. 1839, o okienkach fantazyi, przez które poeta «widzi wiele rzeczy i twarzy znajomych«, ze wszystkich utworów, które mogły być pisane przed r. 1841, najlepiej się stosują do *Złotej Czaszki.*

[1]) P. Hoesick (III, 28) powiada: «zdaniem niektórych był nim Feliks Wrotnowski» i nie zbija tego twierdzenia, pomimo iż uczynić to bardzo łatwo, ponieważ «Wspomnienie» zajmuje się także Feliksem Wrotnowskim i to w taki sposób, że niepodobna przypuścić, aby sam Wrotnowski mógł tak pisać o sobie (n. p. na str. 5 Kalendarza). Natomiast jest rzeczą prawdopodobną, że Wrotnowski był autorem artykułu p. t. «Wspomnienia siedmiu lat pielgrzymstwa polskiego» umieszczonego w *Kalendarzu pielgrzymstwa polskiego* na rok 1829. Że te dwa wspomnienia nie wyszły z pod jednego pióra, jest na to wyraźne świadectwo w drugiem wspomnieniu, gdzie powiedziano: «Nie jest zamiarem naszym uważać pod względem politycznym to przeciągnienie żywota Polski w tułactwie. Już w zeszłym roku dopełniono tego ze znakomitym talentem. Zamiast się rzucać w niebezpieczne współzawodnictwo, wolimy obaczyć drugą stronę tego zjawiska i t. d.» (*Kalendarz pielgrz. pol.* na r. 1840, str. 32).

Ropelewski) uwydatniał naprzód ogólne znamię literat emigracyjnej, jej kierunek »namiętnej wojującej polityl potem kolejno oceniał twórczość wybitniejszych pisa emigracyjnych, począwszy od Mochnackiego, którego oc miała już być »słowem potomnych o umarłych«. Wys wyniósłszy autora *Historyi narodowego powstania,* w l rym widział i pierwszorzędnego męża stanu i mala co połączył w sobie »trójgeniusz Rembrandta, Rube i Van-Dyka«, krytyk zwrócił się do Mickiewicza i je najobszerniejszy poświęcił ustęp. Nie był to bynajmı hymn bezwzględnego uwielbienia. Wprawdzie nazy sławę Mickiewicza »najpiękniejszym wieńcem, jaki kwitł na polskiej ziemi«, a jego samego »pierwsz a wobec cudzoziemców jedynym wyobrazicielem rc mowej potęgi polskiej«, przecież pozwalał sobie i *Dziac* część III-cią i *Pana Tadeusza* surowej poddawać kryt Nie podobało mu się w *Dziadach* naśladownictwo *Fau* w szczególności nie podobało mu się to, co dziś uchc za szczyt i koronę *Dziadów,* »osobiste zapasy poety z nem Bogiem«, w *Panu Tadeuszu,* którego nazywał »p wszym romansem prawdziwie polskim«, nie podobały się najwięcej »przyczepki polityczne« i za jedną z r (Jacyś Francuzi wymowni — Wynaleźli niedawno, że dzie są równi) najniedorzeczniej karcił Mickiewicza, pominając nawet o tem, że te słowa nie idą wprost poety, ale od jednej z osób poematu.

Daleko względniejszym okazał się dla autora *Ni skiej Komedyi* i *Irydyona.* Widział w tych utwor »tryumf geniuszu«, witał nowego poetę »jako szczęśli pojawioną gwiazdę na polskim widnokręgu, jako c wieka dalszego spojrzenia i silniejszej twórczości, niż ktokolwiek po dziś dzień w piśmiennictwie polskie Wypowiadał tylko obawę, aby jego »styl brylantowy«, przeszedł w manierę, i aby jego genialne utwory nie wołały niedołężnych naśladownictw. »Podobną przysł zrobiono za dni naszych Byronowi; trzeba lat kilkud

sięciu, aby, gdy wymrze płaczliwa, dumna, odludkowa literatura dzisiejsza, ludzie przyjść mogli do rzetelnego sądu o tym wielkim poecie«.

Ta ostatnia uwaga służyła krytykowi za przejście do sądu o Słowackim, co już było złowróżbną dla tego poety wskazówką. W istocie sąd ten pod pozorami bezstronności a nawet życzliwości krył w sobie zabójcze strzały, godzące w sławę Słowackiego. »Tu szykuje nasze wspomnienie pisarza — tak się zaczynał ustęp poświęcony Słowackiemu — z najzasłużeńszych w emigracyi, pierwszego co do niezmordowanej i niczem niezrażonej obfitości. Wbrew zwykłemu biegowi rzeczy, obojętność czytelników była mu zachętą, krytyka posunięta do niesłusznej napaści, bodźcem. My nie chcemy w ten sposób dawać bodźca Juliuszowi Słowackiemu, jakiekolwiek by dobro miało stąd spłynąć na literaturę; mówić o nim będziemy jako o człowieku, którego talent uznajem, a wolę mamy za godną szacunku«. Po tym wstępie, zapowiadającym bezstronność i życzliwość, krytyk przypominał pierwsze powieści Słowackiego i z pomiędzy nich najwyżej stawiał *Żmiję*. »Wogóle wszystkiemu temu brakło cokolwiek duszy, ale kształty, chociaż tu i owdzie zdradzały nieraz pożyczkę, przecież śmiałym swym ruchem obok pełnego wykończenia, zdały się zapowiadać artystę. Było to dość świetne wystąpienie. Pogrążenie umysłów w rzeczach polityki sprawiło zapewne, że nic naówczas nie pisano o poezyach Słowackiego; jednak zajmowano się niemi, wróżono rozmaicie. Dla jednych rodzaj zalet i niedostatków poety w tem pierwszem dziele był niepomyślnym na przyszłość znakiem; czytając te poezye, mówili, co parę stronic odbiega cię uwaga, a jeśli wpatrzysz się w robotę szczegółów, wszystko piękne, skończone, mistrzowskie, w tem ci jest złe, bo widać ten pisarz już nic nie zyska z laty, ma już wszystko, co się zdobywa pracą, a brak mu, czego nabyć nie można — iskry z nieba. Drugie stronnictwo, optymistów, do których należymy,

tłómaczyło to jakoś na lepiej. Nie przecząc lichu, co ubezwładnia poezyę Słowackiego, nie pozwalaliśmy, aby to była suchość duszy. On jest w pierwszej radości, w pierwszem upojeniu tworzenia, uderzył po strunach arfy i sam zdumiony dźwiękami, jakie wydostał, gwałtownie budzi tę harmonię, niedbały o jej logikę, znaczenie, cele; ale czekajcie niech się oswoi z własną potęgą, a ujrzycie, że to u niego jest tylko narzędziem wielkich pomysłów. Wszyscy odwołali się do przyszłości, przyszłość nadbiegła, została obecną chwilą«.

Wszystko, co dotychczas krytyk mówił o Słowackim, było jakby zamaskowaniem tych ciosów krytycznych, zaprawionych trucizną ironii, które mu w końcu miał zadać. »W tym czasu upływie — pisał w dalszym ciągu — autor napisał wiele: przypomnienie Korsarza, *Lambro* o nieskończonem konaniu; *Kordyan* we współzawodnictwie z trzecią częścią *Dziadów* i *Anhelli* na cześć *Irydyona*, dziwne dwa dramata, które Bóg chyba osądzi, bo klucza do nich poeta żyjącym nie udzielił; trzy nowe powieści, pełne romantycznych ślicznostek, naprzykład kiedy ojciec owdowiały po żonie i dzieciach opowiadając swoje rozpacze przypomina, że »mysz w księżycu przebiegła«; lub gdy dziewica Alpejska chroni się do szaletu, drzwi i okiennice zawiera dla ważnych powodów: »ażeby na nią nie patrzały kwiaty«; tragedye wreście, jakieś dawniejsze, tuż za pierwszemi powieściami zronione, i *Balladyna*, ta *Balladyna*, o której wspaniałomyślnie przemilczym; co tu dzieł! jak krople ulewy jedno po drugiem między publiczność spadło. A jednak, gdyby nas autor zapytał, co przenosimy z jego poezyjnego życia? odrzeklibyśmy, że nadzieje młodzieńca. Pierwsze powieści, choć więcej w poezyę zewnętrzną, a może w nią tylko samą bogate, są jeszcze w naszem przekonaniu szczytem twórczości Słowackiego. Kiedy wyszły, mistrz doświadczony, gruntując tę poezyę, nazwał ją piękną świątynią, w której nie było Boga: od tej chwili Słowacki wziął się do reform;

na trafny wpadł pomysł, złoto i emalię zastąpił warstwą wapienną, ale nie sprowadził bóstwa do swej świątyni«.

Ten pogląd krytyczny na twórczość Słowackiego był akby ukrytą odpowiedzią na jego żale i skargi na krytykę, wynurzone przed kilku miesiącami w *Młodej Polsce.* Tam poeta sam lekceważył swoje pierwsze utwory, aby tem wyżej podnieść późniejsze i zarzucał krytyce, że nie umiała poznać się na różnicy między niemi zachodzącej i ostrzedz o tem publiczności; tu za szczyt twórczości uznano pierwsze powieści Słowackiego, i najwięcej im poświęcono uwagi, wszystkie zaś późniejsze jego utwory traktowano pobieżnie, z lekceważeniem i ironią. Naturalny wniosek, wypływający z tej oceny, choć nie wypowiedziany, był, że mieli słuszność ci, którzy twierdzili, »że brak mu, czego nabyć nie można — iskry z nieba«.

Łatwo odgadnąć, jak przygniatające wrażenie wywarła na Słowackim ta krytyka. Nie miał nawet tej pociechy, aby widzieć w niej ukrytą rękę Mickiewicza, ponieważ krytyka i Mickiewicza nie oszczędzała. Pod świeżem jej wrażeniem napisał list do Krasińskiego, »bardzo smętny list, choć udający, że nie smętny, z powodu krytyk«[1]). Listu tego nie znamy, ale znamy bardzo obszerną odpowiedź Krasińskiego na ten list. Słowacki pisząc do Krasińskiego porównywał się zapewne z młodziutkim poetą angielskim Keats'em, którego krytyka edynburska pobudziła do samobójstwa i którego grobowiec w Rzymie Słowacki oglądał przed kilku laty z ciekawością[2]). Krasiński odpowiadając uderzał naprzód na to porównanie, jako niewłaściwe. »Kto mówi o Keatsu? Kto słyszał o Keatsu? Kto to jest Keats? Łzę litości upuść nad grobem dziecka; niech ptaszki szczebiocą hymn umarłych tej duszy rozwiązanej przez Edynburską krytykę —

[1]) Listy Zygmunta Krasińskiego do Konstantego Gaszyńskiego Lwów 1882, str. 157.

[2]) Listy do matki. II. 2.

a teraz słuchaj i wiedz«. I tu następowało dowodzen i przekonywanie, że on Słowacki, nie jest jakimś Keatser ale jest wielkim poetą, a choć go ogół dotychczas n rozumie, niema w tem nic nadzwyczajnego i do rozpacz pobudzającego, bo tak samo z początku Byron i Goetł w swoim *Fauście* i Mickiewicz nie byli zrozumiani. »Sł chaj i wiedz, pisał dalej. W tobie leży jeden ze znakó że to, co poczytują za *umarłe*, nie *umarło*. Życie twą duchowe jest tak wzniosłem, że mi zawsze jest jakob znakiem zmartwychwstania. Znam takie trzy duchy, k żdego wielkim w swoim okręgu. Jeden przeszedł, min zostawił za sobą obelisk granitowy wśród pustyni. Ob lisk stoi; ten, co go postawił uczy Szwajcarów, jak n mają nigdy umieć po łacinie. Drugi posiadł wszystk na czem zbywało pierwszemu: posiadł język polski, ta jak się posiada kochankę, gotową na każde skinienie, n śmierć, gdy każesz, na życie, gdy spojrzysz; posiadł i o jął ten język magnetyzera cudną potęgą, tak, że nie c za językiem, ale język za nim goni i prosi go i mów mu: »Ot cały twój jestem, każ a posłucham, zawołasz - przybiegnę; mrugniesz w niebo — polecę tam; wskaże piekło palcem — zstąpię do piekła; chcesz, bym stwa dniał w bryłę — patrz, marmur ze mnie; bym w gaz s ulotnił — patrz, jakim błękitny i znów śniady a prz rzysty, płynny, prawie już nie będący, jednak zaws »twój«. Ten drugi duch zagarnął pod siebie wszystk widnokręgi wyobraźni; to, co w pierwszym było jedn ścią twardą, granitową, w siebie garnącą świat, w pew ciaśniejsze kluby niż sam wszechświat chwytającą, tu s stało rozpłynieniem, powrotem do szerzy, do płynnoś światła, do gry tęcz, do fal muzyki, do woni kwiató do wszystkiego, co tylko chce się rozprysnąć i rozwi na wszystkie strony, by znaleźć nieznalezionego Bog Jest forma panteistyczna niezawodnie w tym drugi duchu: on stoi jako szyba mórz wśród wszechświa i odbija wszystkie słońca, księżyc, anioły, bogi, szatan

co się przesuwają nad nim. W nim właśnie jest jedność ich wszystkich; stąd pochodzi, że ludzie jego władzy nie umieją odkryć, bo im zawsze chodzi o to, co mają najbliżej pod nosem, nie o to, co nad głowami ich się dzieje, a to jednak dzieje się w niebie. Ten drugi duch, ty wiesz, że to Ty! Trzeci to August Cieszkowski, ale ten należy do filozofii. Otóż w was trzech odgadnąć łatwo, że ziemia, co was wydała, zieloną jest i że na jej mogiłach kwiaty porosną« [1]).

List, z którego ten wyjątek podaję, ma datę 23 lutego 1840 roku. W liście Zygmunta Krasińskiego do Romana Załuskiego, pisanym w półtrzecia miesiąca potem (13 maja 1840), znajdujemy podobne poglądy na poezyę Słowackiego i może jeszcze piękniej, poetyczniej wyrażone. W tamtym liście chodziło o to, aby poetę, przygnębionego krytyką, natchnąć ufnością w potęgę swego talentu, w tym, aby przekonać niechętnych poezyi Słowackiego ludzi, że jest on wielkim poetą, równym potęgą geniuszu Mickiewiczowi, chociaż wyrażającym wręcz przeciwny kierunek ducha. »Cechą niezawodną, piętnem jego poezyi, jest owa cudowna mieszanina złożona z wstrętu i ponęty, ów urok panteistyczny, co razem każe twoim stopom cofać się od brzegu przepaści, a głowę twoją ku niej podaje i serce nachyla, aż ciebie całego rzuci w głąb! ta barwa nadzmysłowa i zmysłowa zarazem, która ci ducha powleka, ile razy spojrzysz w noc gwieździstą, w noc wszechświata, zasianą światami. Ciekawość, pragnienie wiedzy, żądze niebotyczne porywają wtedy umysł. Radbyś rzucił się i pływał w nieskończoności; aż tu trwoga cię obejmie zarazem, zmysły twoje cofną się przed temi ogromy, pomyślisz o nich i mózg ci się zawróci; a jednak w tejże samej chwili znów uczujesz, że chciałbyś na zabój przez wszystkie drogi mleczne dostać się do Boga! rozpłynąć się, nie być i być zarazem, topić się,

[1]) Listy Zygm. Krasińskiego, T. III, 45.

czując, że się topisz, czując wiecznie, że się topisz w błękicie! Z tego to głównego akkordu, raczej tonu, rozwiedzionego po całym duchu dzieł Juliusza, wypada ich forma, raczej rozprzęgliwa, niż skupliwa, raczej odśrodkowa, niż dośrodkowa, raczej malownicza, niż kująca rzeźbę, raczej muzyczna, niż malownicza, raczej szukająca Boga, niż mówiąca dogmatycznie o wynalezionym i opisanym, słowem jednem, raczej panteistyczna niż katolicka! Ale bo też panteizm jest niezawodnie połową jedną życia, natury, sztuki, wszechświata, Boga!«

Ten panteistyczny kierunek, którego przedstawicielem dla Krasińskiego był Słowacki, uważał autor *Irydyona* za równie uprawniony, jak i ten kierunek, »wiary uosobiszczonej, energii, środka, co zbiera w siebie wszystkie promienie okręgu«, który się wyraził w Mickiewiczu. Co więcej, uważał, że te kierunki na pozór tylko są sprzeczne, w gruncie zaś harmonijne, dążące do tego, aby zlać się razem; »a gdy się zleją, wtedy będzie mistrz trzeci«, przedstawiciel nowego kierunku, stanowiący syntezę dwu poprzednich. I w tem następstwie kierunków widział Krasiński nieodwołalną konieczność, z natury rzeczy wypływającą, a w duchu Słowackiego widział dalsze rozwinięcie, »koniecznie potrzebną wynikłość« ducha Mickiewicza pomimo, iż pozornie pierwszy zdaje się walczyć z drugim. Ta pozorna walka jest tylko złudzeniem chwili. »Gdy się oddali świat od dni naszych, może temu przeczuciu mojemu przyznają prawdę«.

Odmiennemi, a zawsze pięknemi słowami powtórzył Krasiński te poglądy swoje na stosunek Słowackiego do Mickiewicza w rok potem (1841) w *Tygodniku literackim* poznańskim. Od tych czasów oddalił się świat o lat z górą sześćdziesiąt; o ileż dziś można przyznać prawdę temu co Krasiński nazwał »przeczuciem« swojem?

Przedewszystkiem, ażeby przeniknąć do źródła tych jego poglądów, trzeba pamiętać, że Krasiński zostawał jeszcze wówczas ciągle pod wpływem filozofii Hegla, jak-

kolwiek godził ją po swojemu z katolicyzmem i że wierzył mocno w troistość logiki Hegla, to jest w to, że wszelkie istnienie przechodzi przez trzy momenta: tezy, antytezy i syntezy. Jego współczesna korespondencya z przyjacielem, Edwardem Jaroszyńskim[1]), także heglistą, najlepiej o tem poucza. Ukazały się były wówczas *Prolegomena zur Historiosophie* Augusta Cieszkowskiego, oparte na Heglu, ale skierowujące jego filozofię w stronę dążeń i natchnień współczesnej polskiej poezyi. Krasiński był olśniony tym utworem polskiego Hegla, który poprawiał Hegla niemieckiego, a ponieważ poprawka (odmienny podział historyi nie na cztery, jak u Hegla, ale na trzy części) opierała się na troistości heglowskiej, więc ta troistość wydała się Krasińskiemu jeszcze bardziej cudowną i niewzruszoną, dlatego stosował ją do różnych zagadnień, które go żywo zajmowały, więc i do rozwoju nowszej poezyi polskiej. Dlatego widząc rażące przeciwieństwa między poezyą Mickiewicza a Słowackiego, uważał pierwszą poezyę za tezę, drugą za antytezę i czekał trzeciej, któraby była syntezą dwu pierwszych. Zapewne w głębi duszy pragnął, aby tą trzecią stała się jego własna poezya, ale zarozumiałym nie był, więc ani śladu podobnego marzenia nie można znaleźć w jego współczesnych wynurzeniach.

Ta upatrywana przez niego troistość w poezyi polskiej pozostaje w ścisłym związku z inną troistością, którą upatrywał w rozwoju pojęć religijno-filozoficznych. W tej drugiej troistości tezą jest osobowość Boga, antytezą panteizm, syntezą zaś połączenie jednego z drugiem, połączenie, którego symbol widział w trzeciej osobie Trójcy świętej, w Duchu św. Oto co pisał do Edw. Jaroszyńskiego 1 sierpnia 1840: »Bóg tylko jako *Allgemeinheit* pojęty, Bóg Heglowski, Bóg li tylko panteistyczny jest taką wyłącznością, takim jednym tylko terminem, jak Bóg li

---

[1]) Listy Zygm. Krasińskiego, Tom III, str. 69—106.

tylko osobisty, li pojedyńczy, odłączony od wszechświat Idzie teraz o zlanie tych dwóch bóstw w trzecie, równi osobiste, jak panteistyczne, równie wszystko obejmują jak siebie samego. W Trójcy naszej najdoskonalszym pu ktem jest Duch święty. Czekaj na niego w filozofii, n nadszedł jeszcze, nie Hegelisty go odkryją; ale przyjdzi i świat padnie przed nim, z samej Logiki to wypada«[1]

Ten filozoficzny pogląd Krasińskiego służyć może z najlepszy komentarz do zagadkowego *Syna Cieniów*, którego w owym czasie napisał, a zarazem za najlepsze świadectwo, jak katolicyzm autora *Irydyona* przepojony był filozofią heglowską. Co się tyczy związku, zachodzącego między tym poglądem a troistością w poezyi polskiej, to polega on na tem, że w trójcy poetycznej przeciwieństwo między poezyą Mickiewicza a Słowackiego odpowiada przeciwieństwu między osobowością Boga a panteizmem. Widzieliśmy, jaki nacisk Krasiński kładł na panteistyczność formy poetyckiej Słowackiego i jak przytem wołał, że panteizm »jest niezawodnie połową jedną życia, natury, sztuki, wszechświata, Boga«. W dalszym ciągu cytowanego już listu do R. Załuskiego związek między jedną a drugą troistością jeszcze może wyraźniej wskazany. »Mickiewicz na zawsze zwać się będzie stwórcą on zastał chaos, on rzekł w naszej literaturze: »Światł stań się«. By z rozerwanych samopas chodzących ato mów coś stworzyć i ukształtować, trzeba tej siły wszy stko do środka kierującej, wszystko osadzającej na dół wszystko co płynne zmieniającej w kształt. Mówią, ż z wyżyn atmosfery błąkające się gazy opadły na ziemi w kształcie granitowych skał: to kości planety, jądro jej energia jej. Tem samem Adam w świecie duchowyn Polski; w nim siła tytańska, to Michał Anioł nasz. W oczach posągu Mojżesza, któremu roztłukł młotem kolana Micha

1) Listy Zygm. Krasińskiego T. III, str. 101.

Anioł, mówiąc: »Adesso parla!« — jest coś przypominającego oczy Mickiewicza«.

»Ale teraz planeta choć ma granit i marmur, choć nad tym marmurem świeci światło białe, jeszcze nie jest zupełnym, całkowitym! Muszą rododendrony zakwitnąć na granitach, musi światło białe rozpaść się na siedm barw tęczy i znów z posady tej kamiennej, tytańskiej, z tej planety, którą zaokrągliła siła skupień, muszą ku Niebu rozlecieć się wonie, wiązki kolorów, piany wodospadów, wyziewy dolin, chmury coraz wyżej, wyżej powracające w Niebo, aż zginą przed oczyma — i tam gdzieś, gdzieś poniosą wieść o tem, że świat nowy stanął i bieży w przestrzeni! Takim gońcem świata do światów wszystkich, takim powrotem stworzonej rzeczy do okręgu niebios, w naturze samej już jest dźwięk muzyczny, pochodzący z drgania ciał i niszczenia się pewnych atomów w ciele drgającem; *w duchu ludzkim jest kierunek panteistyczny* (*la facette panteistique*); *w literaturze polskiej Słowacki*" [1]).

Tak więc nie ulega żadnej wątpliwości, że sąd Krasińskiego o znaczeniu i wartości poezyi Słowackiego wypływał z jego poglądów filozoficznych, przedewszystkiem z jego wiary w logikę Heglowską. Jeżeli teraz zestawimy ten kwiecisty, niemal w poemat urastający sąd Krasińskiego z dobrze nam znanym, krótkim a lapidarnym sądem Mickiewicza o poezyi Słowackiego, to na pozór zdawać się może, że między tymi sądami pomimo różnicy wyrażenia panuje zgoda wewnętrzna. Mickiewicz powiedział, że poezya Słowackiego to piękny kościół bez Boga, Krasiński widzi w niej panteizm poetycki, a panteizm według niego, to antyteza osobowego Boga. Więc na jedno wychodzą dwa te określenia. A przecież niejedno znaczą. W określeniu Mickiewicza była nagana, było wskazanie pustki, czczości w tej poezyi o pięknych kształtach;

[1]) Listy Zygm. Krasińskiego, T. III, str. 62—63.

w określeniu Krasińskiego była pochwała, było wskazani naturalnego, logicznego, koniecznego rozwoju poezyi pol skiej, a kościół Słowackiego w tem określeniu nie by pusty, ale napełniony panteizmem, który według Krasiń skiego był »połową«, drugiem niejako obliczem Boga jakby drugą osobą Trójcy boskiej.

Ta różnica w pojmowaniu wypływała z rozmaiteg stosunku Mickiewicza i Krasińskiego do filozofii Hegla Dla heroicznie nastrojonej duszy Mickiewicza filozofia Hegl i wogóle pokrewna jej filozofia niemiecka była schola styką i to gorszą od średniowiecznej, bo taką »któr chciałaby zatrzymać wszelki ruch ducha ludzkiego koł jego słońca i wbić go całkiem w ziemię«[1], która Bog zniżała do człowieka, zamiast podnosić człowieka do Boga przeciwnie dla Krasińskiego była bardzo ponętną gimna styką umysłową, kanwą dla poetycznych haftów marzy cielsko nastrojonej wyobraźni.

Drugą jeszcze ważniejszą przyczyną różnicy w sądacł Krasińskiego i Mickiewicza o poezyi Słowackiego było to że pierwszy miał przedewszystkiem, może nawet wyłą cznie, zwróconą uwagę na jej formę, na jej styl, na je zewnętrzną szatę, drugi, uznając piękność formy, nie za trzymywał wzroku na niej, ale sięgał do utajonej w nie duszy poety, do jego pragnień, dążeń, ideałów.

Ostatecznie dwa te krańcowo sobie przeciwne sąd dają się pogodzić i wzajemnie się uzupełniają. Tylko z sąd Krasińskiego trzeba odrzucić to wszystko, co jest nacią ganiem do filozofii Hegla, a zostawić charakterystyk artyzmu Słowackiego[2]). Bo i Mickiewicz wskazując pustk

---

[1]) Literatura Słowiańska, Poznań 1865, T. III, str. 265.

[2]) Że sąd Krasińskiego nie był pełny i że charakterystyka prze niego podana nie wypływała z logicznej konieczności, w którą wi rzył, na to już zwrócił uwagę Małecki w swojem dziele. Ale Małeck wytykając lukę w sądzie Krasińskiego: brak uwag o ideach Sło wackiego, o jego stanowisku względem dążności i ideałów spółcze snych, to jest o tem, co uważał za wewnętrzną istotę poezyi, — ni

w kościele poezyi Słowackiego, przyznawał, że ten kościół jest piękny, tylko nie określał piękności jego. Krasiński pierwszy to uczynił, pierwszy podniósł i uwielbił malowniczość, płynność, eteryczność poezyi Słowackiego, pierwszy uwydatnił różnicę, jaka zachodzi pomiędzy jego temperamentem artystycznym a Mickiewicza i w tym względzie po sześćdziesięciu z górą latach nie ma w tym sądzie nic do sprostowania. Ale Krasiński, zapatrzony w artystyczną stronę poezyi Słowackiego, nie odczuwał w niej tego braku, który tak raził Mickiewicza: braku prawdy uczucia, braku prawdziwej miłości, braku społecznego zmysłu. Przeciwieństwo między »duchem Adama a duchem Juliusza«, polegało nie tylko na różnicy wyobraźni artystycznej, różnicy, którą Krasiński z taką lubością i w tak poetycznych przedstawiał obrazach, ale równie a może i więcej na głębokiej różnicy charakterów. Poezya Mickiewicza główne źródło swoje miała w sercu poety, w głębokiem przejęciu się pewnemi idejami, w głębokiej miłości, którą poeta sam przeżył, czy to jako Gu-

---

postarał się tej luki zapełnić i choć analizując pojedyńcze utwory Słowackiego, oceniał z osobna ideje w nich zawarte, nie ujął przecież rozproszonych sądów w ogólną syntezę. Jasnego, wyraźnego słowa o tej «wewnętrznej istocie» poezyi Słowackiego Małecki nie wypowiedział, jej antyspołecznego charakteru nie uwydatnił.

Przy tej sposobności wypada mi zwrócić uwagę na pewną sprzeczność w sądach znakomitego krytyka. Mówiąc o Krasińskim, że na stronę ideową, wewnętrzną poezyi Słowackiego nie zwrócił uwagi, Małecki powiada: «Na tej to zaś wewnętrznej dzieł poetyckich istocie, zdaje mi się, że odrębność każdego pisarza, przedewszystkiem polega. Styl i forma bowiem — to rzecz osobista i prawie powiedziałbym prywatna, skutek tysiąca czynników, z których przynajmniej połowa może iść na karb przypadku» (Juliusz Słowacki jego życie i dzieła wyd. 3, Lwów 1901, T. II, str. 267). Nie zgodziłbym się na to, żeby styl znakomitego poety miał być rzeczą przynajmniej w połowie przypadkową, bo w takiem określeniu zaciera się to, co przedewszystkiem nadaje odrębność stylowi — temperament pisarza; ale nie o to chodzi, tylko o to, że w innem miejscu T. I, str. 114) Małecki uznawał, że «najistotniejszą cechą oryginal-

staw, czy Konrad; wyrastała wprost z życia jego i dlatego była tak oryginalną i miała taką potęgę i prawdę uczucia. Poezya Słowackiego płynęła tylko z głowy, z bogatej i ruchliwej wyobraźni, regulowanej jedną tylko głęboko odczutą ideą — wykwitem chorobliwego indywidualizmu poety — ideą samoubóstwienia. I stąd to pod olśniewającym jej blaskiem zewnętrznym tai się w niej nieraz ubóstwo idei i brak szczerości uczucia. Nasuwa mi się tu porównanie z pewnym obrazem z poezyi Mickiewicza jakby stworzonym na to, aby allegorycznie przedstawić charakter poezyi Słowackiego, w myśli właśnie skojarzenia dwóch sądów, o których była mowa. Poezya Słowackiego, to istna Zosia z *Dziadów:*

A toż czy obraz Bogarodzicy?
Czyli anielska postać?
Jak lekkim rzutem obręcza
Po obłokach zbiega tęcza,
By z jeziora wody dostać;
Tak ona świeci w kaplicy.
Do nóg biała spływa szata,
Włos z wietrzykami swawoli,
Po jagodach uśmiech lata,
Ale w oczach łza niedoli.

Ta Zosia, jak wiadomo, skazana jest na bujanie pomiędzy niebem a ziemią i »ani wzbić się pod niebiosa, ani dotknąć ziemi nie może» dlatego, że za życia nikogo nie kochała prócz siebie. Podobnie poezya Słowackiego: piękna, lotna, olśniewająca, ale niezdolna zstąpić do głębi serc i zamieszkać w nich trwale dla braku czystej miłości ludzi i Boga, dla tego, że była przedewszystkiem poezyą samoubóstwienia.

ności talentu» Słowackiego jest «melancholijny urok poetyckiego na świat spojrzenia». Miałażby «oryginalność talentu» nie być równoznaczną z «oryginalnością pisarza?» A jeżeli to są rzeczy równoznaczne, w takim razie między przytoczonymi sądami zachodzi sprzeczność, bo gdzież mamy szukać «melancholijnego uroku» poezyi Słowackiego, jeżeli nie w stylu jego?

Ale wróćmy do listu Krasińskiego. Dla Słowackiego n list przyjaciela, wielbiący jego poezyę, miał ogromne ıaczenie. On go namaszczał na następcę Mickiewicza, ı najwyższego w bieżącym okresie przedstawiciela poe- ri polskiej, on uzasadniał i uświęcał antagonizm nurtu- cy oddawna w duszy Słowackiego względem Mickie- 'icza, on wlewał ufność w duszę poety, którą ciągły brak znania i szydercze krytyki do rozpaczy doprowadzały.

W tym samym liście, w którym się ów sąd zawie- ał, znalazł Słowacki i dla siebie pewne rady, które miały i jego poezyi odegrać ważną rolę. »Julu, zaklinam cię, isał Krasiński pod koniec listu, nie dbaj o te gwary, tóre kiedyś nawrócą się do ciebie. Trzymaj nakształt arfy eolskiej duszę twoją wyżej nad wszystkie dłonie ıdzi wśród powiewów nieba: niech myśli Boga, promie- ie gwiazd i skrzydła przelatujących aniołów grają na iej, a nie myśli ludzi, redakcye paryskie, zdania, uwagi, zprawy«. To była jedna rada, trudna do spełnienia, ale zniosła. Tuż obok niej, niczem nieprzedzielona od pier- szej następowała druga, która źle świadczyła o konse- vencyi doradcy, bo była wprost zaprzeczeniem pierwszej. 'rzymieszaj trochę żółci do twoich lazurów, obaczysz, c ten ziemski pierwiastek chemiczny ziemię przynęci ciebie: więcej jest wątrób na świecie, niż serc, ach! cże cię wtenczas będą rozumieć wątroby! Dalej nieza- odnie żółć jest w poecie tym klejem, co spaja rozer- ane cząstki jego bytu, co świat cały przeistacza w jego obę! Spróbuj, oni się tego domagają. Dopiero uczują roją rękę, gdy z gruba na nich uderzysz, gdy im spa- ie ciężka, koścista na skronie. Dopóki wzniesiona w po- ietrzu i ku gwiazdom, ku przybytkowi Boga, dopóty oni yślą, że to biała lilia rosnąca niewinnie na łąkach błę- tnych przestrzeni«.

Więc naprzód radził Krasiński Słowackiemu trzymać uszę swoją wyżej nad wszystkie gwary ludzkie, a po- ›m radził z gruba pięścią uderzyć na gwarzących, czego,

bez zniżenia się do nich, uczynić było niepodobna. Trudno o większą niekonsekwencyą, jak również trudno o piękniejszą szatę poetycką, w którą ta niekonsekwencya była przystrojona. Była to jakby teza i antyteza Heglowska. Spostrzegł widocznie to przeciwieństwo i sam Krasiński, bo w ten sposób starał się niby pogodzić pierwszą radę z drugą: »Do korda i na sejmik, rąbać mi i siekać, a zostawiwszy trupy na placu, znów porość w skrzydła i zawisnąć na niebie« [1]).

Zobaczymy później, jak skorzystał z tych rad Słowacki, a teraz zwróćmy się do *Lilli Wenedy*, która wkrótce po owym liście (w początkach kwietnia 1840) wychodziła z druku, a była nowym publicznym wyrazem przyjaźni i wdzięczności Słowackiego dla autora Irydyona.

Tragedya ta była przedmiotem wielu poważnych i różnostronnych analiz; rozważano jej stronę estetyczną, historyczną, ideową, niedawno dr. W. Hahn wykazał, jak wiele obcych motywów szczególnie z Chateaubrianda zaczerpnął do niej Słowacki [2]). Tu zaś chodzi przedewszystkiem o wskazanie, o wyświetlenie, jaką rolę w genezie Lilli Wenedy odegrał ów szczególny przyjacielski stosunek, który wówczas wiązał Słowackiego z Krasińskim.

Jak *Balladyna*, tak i *Lilla Weneda* ukazywała się poprzedzona listem otwartym do autora *Irydyona*. Ale *Balladyna* utworzoną została jeszcze wtedy, kiedy Słowacki nie znał Krasińskiego, stosunek więc wiążący dwu tych poetów nie mógł odegrać żadnej roli w jej genezie. Inaczej, sądzę, było z *Lillą Wenedą*. A naprzód wyraźną w tym względzie wskazówkę znajdujemy w owym liście zastępującym jej przedmowę. Wspomniawszy dwóch wodzów wenedyjskich, złączonych łańcuchem, Słowacki zapytuje: »Czy ty myślisz, Irydyonie, że tworząc ów myt jedności i przyjaźni, nie łudziłem się słodką nadzieją, że

[1]) Listy Zygm. Kras. III. 9.
[2]) Wiktor Hahn. Studyum nad genezą Lilli Wenedy. Lwów 1894.

kiedyś i nas tak we wspomnieniach ludzie powiążą i na jednym stosie postawią... ty mnie wtenczas umarłego będziesz trzymał na piersiach i mówił mi do ucha słowa nadziei i zmartwychwstania, albowiem za życia słyszałem je od ciebie jedynie«. Tak więc niewątpliwie dla Słowackiego ten motyw zaczerpnięty z Chateaubrianda stawał się symbolem jego przyjaźni z Krasińskim. Ale czy tylko przyjaźni? Wszakże ten łańcuch wiąże braci Wenedów na to, aby mogli jako jeden mąż walczyć, więc jest symbolem nietylko przyjaźni, ale i wspólnej walki dwóch poetów ze światem. Jeśli z tego punktu spojrzymy na całość poematu, to walka Wenedów z Lechitami, która jest osią jego, przedstawi się nam w zupełnie nowem świetle.

W walce tej widziano dotychczas tylko echo tradycyi historycznej o pochodzeniu szlachty od szczepu zdobywców i niewątpliwie jest ona takiem echem, ale jest i czemś innem jeszcze, jest także echem ówczesnego stosunku Słowackiego do społeczeństwa polskiego i do Krasińskiego. To echo odzywa się także, jak widzieliśmy, i w *Grobie Agamemnona* i myślę, że nie sam przypadek sprawił, iż *Grób Agamemnona* wydany został po raz pierwszy przy *Lilli Wenedzie*. Był to jakby tajemny komentarz do tragedyi.

Wiemy już, że w tym wierszu występuje »anielskość«, anhelllizm poety w przeciwstawieniu do rubaszności szlacheckiej. Podobne przeciwstawienie znajdujemy w charakterystyce Wenedów i Lechitów. Wenedzi to lud pieśniarzy, wyższy od Lechitów o całą skalę kultury poetyckiej, pełni wzniosłych natchnień, które bohaterskiem światłem oblewają postaci Derwida, Lilli i Rozy Wenedy i dwu ich braci: Lelum i Polelum, a symbol dla siebie znajdują w cudownej harfie Derwida. Lechici — to lud krewki i bitny, ale bez rozumu, bez wyższych pragnień i wyższej kultury; poeta, uposaża go we wszystkie wady, przypisywane szlachcie z najgorszych czasów jej panowania. O królu Lechu, głównym przedstawicielu Lechitów,

tak mówi w przedmowie: »Oto jest brat Rolanda, a pra szczur Sobieskiego, człowiek silnej ręki i molierowskie w domostwie słabości; kontusz mu włożyć i buty czer wone, gdy wróci z piorunowej walki, siarką cuchnącj i krwią oblany po szyję. — Kontusz mu włożyć i żupan niechaj panuje... bez jutra«. Z tej charakterystyki już wi dać, że Słowacki gardzi tym bratem Rolanda i że kon tusz odgrywa tu tak niewdzięczną rolę, jak w *Grobie Aga memnona*. W samej tragedyi w usta Ślaza poeta wkład: jeszcze bardziej szyderczą charakterystykę Lechitów:

Gdybym nie mienił to być uchybieniem,
Plunąłbym w oczy temu, kto zapytał,
Czy ja Lechita... Cóż to? czy mi z oczu
Patrzy gburostwo, pijaństwo, obżarstwo,
Siedem śmiertelnych grzechów, gust do wrzasku,
Do ukwaszonych ogórków, do herbów?
Zwyczaj przysięgać *in verba magistri?*
Oszczerstwo?... czy to wszystko mam na twarzy?

Ten wyskok Ślaza tak odbiega od mitycznego tł walki Wenedów z Lechitami, że nie można w nim w dzieć nic innego, jak alluzyę do teraźniejszości, do ni: kiego poziomu umysłowego szlachty, jak on się prze stawiał Słowackiemu. Wreszcie przy samym końcu tr gedyi puszcza poeta strzałę pogardy w przedstawicie szlachty, Lecha i sprzymierzonego z nim przedstawicie duchowieństwa, św. Gwalberta, wkładając w usta Pol lum, stojącego na stosie te słowa:

Boże! patrzaj z nieba
Na tych dwóch ludzi przed stosem Weneda
Konającego... patrzaj na tych ludzi,
I pomyśl, jakim ty dajesz stworzeniom
Chwilę tryumfu i urągowiska?

Dlaczegoż pomimo swojej wyższości Wenedzi ul gają w walce z Lechitami? Naturalnie dlatego, że ma si stać zadość tradycyi historycznej, ale zarazem także i dl alluzyi do osobistych stosunków poety. On sam, Słowacl w walce z emigracyjną krytyką, która przedrwiwała jeg

fantastyczność i wołała (w satyrycznem pisemku *Pszonka* z roku 1839), aby »mniej mówił do uszów, a więcej do kontuszów«, to Lelum, zabity i spoczywający na piersiach brata, a ten brat Polelum, tak czule dźwigający zabitego brata i taką wzgardę czujący dla Lechitów, to Krasiński, jedyny wielbiciel i obrońca poezyi Słowackiego wobec ogólnej obojętności, albo niechęci i napaści. Otóż oni są stokroć wyżsi (naturalnie w rozumieniu Słowackiego) od ogółu emigracyi i krytyki emigracyjnej, ale osamotnieni nie mogą wziąć góry nad tym ogółem i muszą być pokonani. Ale ta przegrana jest tylko chwilową przewagą liczby nad intelligencyą, bynajmniej nie ostatecznym wyrokiem historyi i jak Krasiński upewniał Słowackiego o przyszłem zwycięstwie [1]), tak i Słowacki miał zawołać wkrótce (w *Beniowskim*):

Przyszłość moja!
I moje będzie za grobem zwycięstwo!

Otóż i ten stosunek i ta nadzieja przyszłego zwycięstwa, niezależnego od klęski obecnej, odźwierciedla się znajduje analogię w walce Wenedów z Lechitami. Klęska Wenedów jest zwycięstwem siły brutalnej nad kulturą, ale zwycięstwem — bez jutra. Prawdziwe zwycięstwo w poemacie, zwycięstwo moralne — na co dotychczas, o ile wiem, nikt nie zwrócił uwagi — odnoszą Wenedzi, to jest ich przedstawiciele, rodzina królewska. Św. Gwalbert, niefortunna kreatura, dwojąca się w znaczeniu, pomimo całej swej śmieszności obdarzony został przez poetę mocą wizyj cudownych, bezpośredniego przestawania z bóstwem i oto na początku piątego aktu oznajmia Lechowi, że w dniu tym, w dniu ostatecznej walki, objawi się Najświętsza Panna »nad najświętszym trupem — nad krwią najbardziej Bogu ukochaną«. I staje się cud w isto

[1]) »Mojem zdaniem, komu zaraz sypną się wieńce laurowe, ten znać, że dyablą buffonadę, przystępną, zrozumiałą natychmiast wszystkim, powiedział; kto ma nigdy nie umierać, niech poczeka trochę, aż żyć zacznie«. Listy Zygm. Kras. T. III, str. 6.

cie: nad gasnącym stosem, na którym spłonęły ciała Derwida, Lilli i jej braci ukazuje się Najświętsza Panna. Wprawdzie tym »najświętszym trupem« o którym mówi Gwalbert, ma być trup Lilli Wenedy i jej to tryumf moralny ma przedewszystkiem oznaczać zjawienie się nad stosem Bogarodzicy, ale ta biała Lilla jest tak spojona miłością i cierpieniem, i z braćmi i z ojcem i z całym narodem swoim, jest takiem wcieleniem duszy Wenedów, jakby drugą harfą Derwidową, że jej tryumf moralny można śmiało uważać za tryumf całego narodu, za tryumf moralny sprawy Wenedów.

Ten motyw cudownego zjawiska był niewątpliwie wzięty, jak to już wskazywano[1]), z *Nieboskiej Komedyi* Krasińskiego, ale o tyle różnie użyty, że tam w *Nieboskiej* nie oznaczał tryumfu moralnego żadnej ze stron walczących, tu przeciwnie wyraźnie wskazywał tryumf tych, którzy spłonęli na stosie.

Ażeby żywioł osobisty w *Lilli Wenedzie*, bez roentgenowskich promieni analizy niedostrzegalny i do dziś niedostrzegany, tem lepiej uwydatnić, zwrócę jeszcze uwagę na jeden ustęp przedmowy, to jest wstępnego listu do Irydiona. »Tylko ty, Irydionie, nie opuszczaj mnie wśród zimnego świata słuchaczy, tylko ty mi nie daj uczuć chłodu, który mi na czoło od twarzy ludzkich powiewa, a gdybyś widział na mnie idące węże, weź w rękę harfę Lilli Wenedy i przemień te gady w słuchaczów. Ile razy z tobą byłem, zdawało mi się, że wszyscy ludzie mają oczy rafaelowskie, że dosyć jest jednym słowa zarysem pokazać im piękną postać duchową, że dbać nie trzeba o niedowidzenie, a chronić się tylko przesytu; sądziłem, że wszyscy ludzie obdarzeni są platońską i attycką uwagą; że dodawszy do stworzonego już przez poetów świata jednę taką postać jak nimfa, uwieńczona jaskółkami, które pierzchają z włosów, dotknięte słońca promykiem; jednę

---

[1]) St. Tarnowski w odczycie o *Lilli Wenedzie* w Poznaniu 1881.

ką postać jak nimfa, uwiązana rączkami za łańcuch smu-
o gwarzących po niebie żórawi, można te Ateńczyki
rócić na niebo oczyma. Teraz widzę, że innych widm,
nych kolorów, innych potrzeba obrazów«.

W tych słowach, które się odnoszą do *Balladyny* jej przyjęcia przez krytykę, mamy wyraźnie zarysowaną żnicę estetycznego wykształcenia i usposobienia między ;ółem słuchaczy polskich, a takimi »Ateńczykami« o plańskiej uwadze i rafaelowskich oczach, jak Słowacki i Krański. Różnica ta, znajdująca analogię do tej, która dzieli echitów od Wenedów, a harfa Lilli Wenedy w rękach rasińskiego, podobnie jak i owa nadzieja Słowackiego, kiedyś go ludzie we wspomnieniach powiążą z przyjacielem i na jednym stosie postawią, wszystko to coraz yraźniej podkreśla pokrewieństwo dwu poetów z Wedami.

Czy ten żywioł osobisty, to pokrewieństwo idealne łasnej sprawy poety ze sprawą Wenedów było pierwszą budką do napisania Lilli Wenedy, tego nie śmiem przyszczać, i skłonny jestem wierzyć poecie, gdy powiada przedmowie: »Zaprawdę ci powiadam, jam tych mar e wołał — przyszły same; przyprowadziła je z sobą Lilla eneda«, ale śmiało przypuszczam, że gdy już te mary nęły przed nim, nasunęło mu się podobieństwo sprawy enedów z własną sprawą i odtąd to podobieństwo nie uszczało go przy kształtowaniu tragicznej fabuły, było kby tajemnym do niej wtórem, a przy końcu uwydaiło się najsilniej.

Jak przyjął Krasiński nową tragedyę Słowackiego, óry ją składał w ręce przyjaciela z nieograniczoną ufnoią w »ateńskość« i przyjaźń jego? Ze wszystkiego wić, że *Lilla Weneda,* jako całość, daleko mniej zachwya Krasińskiego, aniżeli jej poprzedniczka, *Balladyna,* ɔo *Anhelli.* Z Sorrento przy końcu września 1840 roku sał do Konstantego Gaszyńskiego: »Czytałem w Niemech *Lillę Wenedę,* pomysł mytu Lelum Polelum jest

prawdziwie wzniosłym i poetyckim. Sama Lilla jest biał Antygoną, ale żal się Boże św. Gwalberta i tego Szlaza który naśladuje Grabca z Balladyny, który Grabiec san naśladuje jakiegoś z tysiącznych potwornych błaznów Szekspira. Aż mnie smutek wziął, gdym ujrzał tych dwóch bohatyrów i tę anielską siostrę ich w towarzystwie ta kiem gałgańskiem. Zaniosę przed Jula, kiedy będę pisa do niego, skargę Lilli, bo mi się bardzo dziewczyna ska żyła. Szlaz jej białą tunikę powalał rękoma, tabaka u nos Gwalberta na skroń jej kapnęła; lepiej ją było zaraz nożem w serce pchnąć, niż tak jej strój zwalać. Ale to niech p zostanie uwagą moją, wypowiedzianą tobie. Spowiedź jes nienaruszalnym sakramentem« [1]).

Wkrótce potem Krasiński wyprawił bardzo długi li do Słowackiego z uwagami o *Lilli Wenedzie*. List ten z ginął, a przynajmniej nie wyszedł dotąd z ukrycia, ale tr ści jego łatwo się domyślić z cytowanego już listu do G szyńskiego. Zarzuty zapewne były te same, tylko w ł godniejszej formie wyrażone. Widać to i z późniejszeg listu do Słowackiego, w którym jest wzmianka o dawnie szym. »Iżaliś go odebrał? przeczytałżeś skargę białej dzi wczyny? uznałżeś w głębi serca Jej prawo do skargi?...« Skarga jak wiemy, dotyczyła postaci Ślaza, a jeszcze wi cej św. Gwalberta. Harmonia między dwoma Ateńcz kami, tak wysoko w przedmowie podniesiona, po raz pier szy pękała, w tem właśnie miejscu, w punkcie religijne nastroju. Okazywała się w tym względzie głęboka mi dzy nimi różnica, z której, jak się zdaje, Słowacki, pisz *Lillę Wenedę* nie zdawał sobie sprawy. Krasiński nie b ortodoksem, sam siebie nawet w owych czasach nazyw kacerzem (»Kacerstwo moją naturą jest i iścizną moj figury«), w *Niedokończonym poemacie* ukochał potępio zakon Templaryuszów (»za to, że potępiony«), nie tail s

[1]) Listy Zygm. Kras. T. I, str. 161—162.
[2]) Tamże T. III, str. 11.

z niechęcią dla obrońców prawowierności, Jezuitów, i katolicyzm jego ówczesny był bardzo wyraźnie podszyty heglizmem, a dzięki temu godził się, jak widzieliśmy, nawet z panteizmem, ale pomimo tego wszystkiego, Krasiński miał na dnie serca żywe uczucie chrześcijańskie, głęboką wiarę w boskość chrześcijaństwa i samego Chrystusa, i ten krzyż, co w *Nieboskiej* pojawiał się na niebie, nad walką dwóch światów, jak »szabla mściciela«, i ten czarny i cichy, co w Colosseum pociągnął ku sobie serce Irydiona, nie były tylko produktem poetyckiej gry wyobraźni, ale symbolem z głębi serca dobytym. Tego religijnego, chrześcijańskiego uczucia nie było w Słowackim; gdyby je miał, toby w *Podróży na Wschód* piruety baletowe nie brały tak łatwo góry nad »myślami świętemi«, po które w podróż się wybierał; gdyby je miał, ostrzegłoby ono w *Lilli Wenedzie*, że postać Gwalberta, streszczająca w sobie wpływ chrześcijaństwa, jest szyderstwem z niego, niemal w rodzaju Woltera.

To szyderstwo mocno ubodło Krasińskiego, wydało mu się rażącym dyssonansem, a ponieważ wiedział, jak Słowacki wielbił i naśladował Szekspira, więc zdało mu się, że ujemnemu wpływowi Szekspira trzeba ten dyssonans przypisać.

Jeden tedy z późniejszych listów do Słowackiego zapełnił cały krytyką Szekspira, to jest jego stanowiska empirycznego, a to w tym celu, aby obudzić w Słowackim potrzebę wyższej syntezy filozoficzno-religijnej, której brak w nim teraz żywo uczuł. »Jest w starym Szekspirze i duch dobry, wzniosły, tytański, ale i zły jest również, i ten zły, czyli niedomiar dobrego, brak wielkości, brak poczucia na czem powszechność, ogół, harmonia wszechżycia zależy, piętno materyalizmu angielskiego, piętno specyficzne, narodowe, wyciska na czole Szekspira piętno charakterystyczne, ale nie piętno piękności«. W ocenie tego złego ducha Szekspira zapewne przesadzał Krasiński, ale na to tylko, aby dać przestrogę i naukę Słowackiemu i zwró-

cić jego uwagę na to, że jego tragedya ostatnia, która była jakoby mieszaniną Szekspira i Eurypidesa, a zbyt przechylała się w stronę Szekspirowskiego *buffo*, nie miała w sobie prawdziwej tragiczności. Nie mówił jużci tego wyraźnie, ale pozwalał domyślać się. »A płakać, męczyć się, krwawić się o nic, za nic, jest w rzeczy samej smętnem błazeństwem; dopiero tam prawdziwa i wyniosła tragiczność, gdzie jest cel męce, gdzie życie pokoleń ludzkich pojęte, jako męka po Szekspirowsku, ale jako męka *serio* nie *buffo*, męka wznosząca się coraz wyżej ku Bogu, męka rozwijająca wszystkie siły natury ludzkiej na to, by kiedyś wstała i przeszła w błękit pogody«... [1]).

Otóż w porównaniu z tak pojętą tragicznością tragiczność *Lilli Wenedy* musi się wydać jako okazała wystawa, popis, gimnastyka mąk torturowych, przeplatana buffonadą, a pozbawiona wszelkiego dążenia do syntezy, do Boga, do rozwiązania dyssonansów w harmonii. Ostatecznie tedy i Krasiński zaczynał uczuwać w poezyi Słowackiego to, co odrazu uczuł Mickiewicz: brak uczucia religijnego, krótko mówiąc: brak Boga.

Jednakże, choć *Lilla Weneda*, jako całość, nie podobała się Krasińskiemu, dla niektórych jej motywów, w szczególności dla postaci wenedyjskiej Antygony i jej braci miał oko i poczucie Ateńczyka, nie mógł też być obojętnym na hołd, jaki mu Słowacki składał w postaci Polelum. Winienem też tu zwrócić uwagę jeszcze na jedną okoliczność. Krasiński, choć młodszy wiekiem od Słowackiego i niższy talentem poetyckim, czuł się wyższym dojrzalszym duchowo od niego, starał się wpływać na kierunek dążeń przyjaciela i w istocie wpływ wywierał. Ale fala tego wpływu, odbiwszy się od Słowackiego, wracała się niekiedy ku temu, od którego wychodziła i Krasiński wtórował pewnym uczuciom Słowackiego, przez siebie wywołanym. Ten wtór widzę w *Trzech myślach Li-*

[1]) Listy Zygm. Krasińskiego T. III, str. 14.

geniey, które się ukazały w tym samym roku, co *Lilla Weneda*, ale nieco później od niej; widzę naturalnie nie w treści samych »Myśli«, które są wyrazem ówczesnych przekonań, poglądów, czy też marzeń filozoficznych i historyozoficznych Krasińskiego, ale w zestawieniu tych »Myśli« z Przedmową wydawcy, w której Krasiński nazwawszy się »Stefan, Szczęsny, Bogdan Mielikowski przydomku i herbu Gozdawa« wybornie naśladował ton, język i horyzont umysłowy ukraińskiego szlachcica-hreczkosieja, zmuszonego z woli żony podróżować po horyzontach włoskich [1]. Ów fikcyjny szlachcic-wydawca, który spogląda na »Trzy myśli« jako na »dziwaczne szusy umierającego na suchoty«, ale je wydaje przez uszanowanie dla ostatniej woli zmarłego, przy tym fikcyjnym Henryku Ligenzie, w którym się ukrył sam Krasiński [2], jest jakby powtórzeniem tego kontrastu, który u Słowackiego widzieliśmy w *Grobie Agamemnona*, w *Piaście Dantyszku*,

[1] Michał Budzyński w swoich *Wspomnieniach z mojego życia*, Poznań 1880, II. 120—121 nawiasowo powiada, że przedmowę do *Trzech myśli* Ligenzy pisał Czajkowski. Gdyby i tak było, to zawsze pomysł kontrastu pomiędzy szlachcicem-hreczkosiejem a poetą-filozofem musiał wyjść z głowy Krasińskiego. Ale zdaje mi się, że tak nie było, bo przedmowę mógł napisać tylko ten, co jak Krasiński (r. 1839) był w Palermo i pamiętał różne szczegóły tego miasta. Natomiast bardzo być może, że na Czajkowskim, na jego postaci, na stylu jego opowiadań wzorował Krasiński swojego hreczkosieja. W r. 1840 (9-go maja) pisał do Sołtana: »Jest tu Czajkowski Wernyhora, dzielny jeździec, z całego Rzymu pojmujący tylko piękność łąk Kampanii, bo siostrzaną stepom, zresztą mało dbający o ruiny miasta wiecznego: siądzie ci na kolumny koryndkiej podstawie i gada o Skibickim, zarżniętym przez hajdamaków; pójdzie do Kolizeum i przypomina sobie, jak Ataman Konaszewicz przebił Bezborodkę: w Termach Karakalli widzi Czarneckiego, który ścina atamana Wychowskiego. Ale co do Kozaczyzny jedyny badacz głęboki, przenikliwy, zgadujący, historyk żywy, śmiały, kozacki romansista, a sercem całem i wszystkiemi pojęciami głowy szczery szlachcic polski. Listy Zygm. Krasiń. III, 195.

[2] Krasiński tym razem starał się ukryć autorstwo swoje nawet przed Konst. Gaszyńskim.

wreszcie w *Lilli Wenedzie*, tego przeciwieństwa mię rubasznością i naiwnością szlacheckiego ogółu, a wysol rozwojem intellektualnym wyjątkowych jednostek. Ty to powtórzenie kontrastu było do pewnego stopnia i prawieniem jego, rubaszność i naiwność szlachecka stępowały tu daleko prościej, naturalniej, sympatyczi oblane światłem humoru, a nie szyderstwa. Można by : śleć, że Słowacki skorzystał z tej poprawki przyjaciela, w *Beniowskim*, do którego wtedy się zabierał, uchw ton, podany przez Krasińskiego, i że to było przynajm: w części przyczyną, iż w nowym poemacie z humoı i pewną sympatyą traktował rubaszność szlachecką,

polskie domy,
Pijące gardła, wąsy, psy, kontusze,
A nadewszystko szczere polskie dusze [1]).

[1]) Drobną, ale znaczącą wskazówką, że Słowacki rozpocz pisać *Beniowskiego* pod świeżem wrażeniem Przedmowy wyda w *Trzech myślach Ligenzy* jest okoliczność, że bohaterowi sw nadał trzy imiona: Maurycy, Kaźmierz, Zbigniew. Z tych imion pie sze tylko historyczne, dwa inne fikcyjne, dodane jakby pod wr niem tego, że u Krasińskiego szlachcic-wydawca nosi trzy imi Stefan, Szczęsny, Bogdan.

CZĘŚĆ II.

Zdobycie sławy.

1840—1842.



JULIUSZ SŁOWACKI.

ROZDZIAŁ VII.

Beniowski.

1840 — 1841.

Geneza poematu. — Zamiar stworzenia polskiego Fausta. — Co było zadaniem poematu. — Uczucia miłosne Słowackiego dla Anieli Moszczeńskiej, p. Bobrowej i Ludwiki Śniadeckiej i ich odźwierciedlenie w poemacie. — Stosunek Słowackiego do Mickiewicza. — Pierwsza uczta na cześć Mickiewicza w Paryżu. - Walka na improwizacye. — Pomysł drugiej uczty. — Drażliwość Słowackiego. — Artykuł «Improwizatorowie». — Oburzenie Słowackiego. — Epicki wątek poematu. — Swentyna jako muza poety.

Rada, którą Krasiński dawał Słowackiemu w pierwszym ze znanych nam listów do niego, aby przymieszał żółci do swoich lazurów i »z gruba uderzył« na swoich przeciwników, na to zresztą, aby porąbawszy i posiekawszy ich »znów porość w skrzydła i zawisnąć na niebie«, ta rada prędko znalazła zastosowanie. Trafiła ona tem łatwiej do przekonania Słowackiego, że skłonności ku takiej rąbaninie miał on i przedtem dosyć; można ją znaleść w rozmaitych zaczepkach i przekąsach polemicznych i w *Kordyanie* i w epilogu *Balladyny* i w niewydanej *Podróży na Wschód.* Ale tamte zaczepki zwracały się przeciw wielkim powagom emigracyjnym, Mickiewiczowi i Lelewelowi, z którymi walka była trudną; teraz według rady Krasińskiego chodziło o porąbanie tych podrzędnych duchów, tych bezimiennych krytyków, którzy go lekceważyli i z niego szydzili w *Młodej Polsce,* z którymi zatem walka łatwiejsze obiecywała zwycięstwo.

Formy dla tej rąbaniny Krasiński nie wskazywał, ale też wzór dla niej tak był blisko oczu Słowackiego, że wskazywać nie było potrzeby. Wprawdzie od kilku lat Byron przestał już być wyłącznym jego przewodnikiem w dziedzinie poezyi, bo Szekspir i Dante wysunęli się naprzód, ale Byrona Słowacki tak dobrze znał i pamiętał, że odrazu mógł znaleźć w *Don Juanie* wzór dla tego rodzaju poezyi, o który mu chodziło. Wracał więc do dawnego mistrza, ale wracał dojrzalszy. bogatszy doświadczeniem i dzięki Krasińskiemu świadomy w całej pełni tego, co stanowiło jego oryginalność, t. j. czarodziejstwa swego stylu. To czarodziejstwo pokazać w całym blasku i na tle tego czarodziejstwa posiekać swoich wrogów, oto było zadanie, które miał teraz do spełnienia.

Ażeby nowy utwór był czemś w rodzaju *Don Juana* polskiego, potrzeba było obrać jakiś awanturniczy wątek powieściowy, któryby służył za ramy dla najrozmaitszego rodzaju wynurzeń i wycieczek i któryby sam przez się bawił wyobraźnię. Na niedługo przed otrzymaniem owego listu Krasińskiego, prawdopodobnie w końcu 1839 r., rozpoczął był Słowacki pisać dramat, którego bohaterem miał być Beniowski. Z fragmentów dramatu, które się dochowały, widać, że fantazya Słowackiego potrąconą była świeżo wydanymi (w 1839) *Pamiątkami Soplicy* Rzewuskiego i może dlatego obrała za bohatera nowego dramatu jednego z bohaterów konfederacyi barskiej. *Pamiątki Soplicy* przypomniały mu zapewne inne pamiętniki, odnoszące się do tych samych czasów, a głośne w całej Europie, bo pisane i wydane po raz pierwszy po francusku (w r. 1791), a potem na wiele języków tłómaczone, pamiętniki Beniowskiego. I w Polsce poczytność ich była niemała, skoro w niespełna dziesięciu latach aż się trzy wydania ich ukazały (1797—1802—1806). Zresztą w tym samym roku 1839 ukazały się Pamiętniki Kitowicza (do panowania Augusta III i Stan. Augusta), które wiele anegdotycznego materyału przynosiły do dziejów

racyi barskiej. Dramat nowy jednakże miał być więcej, jak dramatycznym obrazem epoki. Jak *dyńskim*, pisanym jeszcze w Szwajcaryi, chciał i na tragicznem tle ostatnich chwil niepodległo- zzypospolitej przedstawić, w postaci Szczęsnego, lskiego Hamleta, tak teraz, jak z fragmentów wi- dziło mu o to, ażeby z Beniowskiego zrobić coś ılt polskiego Fausta.

Faust Mephista, tak Beniowski ma przy sobie a, który mu ciągle towarzyszy. Z pewnej rozmowy sa ze św. Piotrem, która się zachowała we frag- tego utworu, dowiadujemy się, że Chrystus sam na to, »aby człowiek ten (Beniowski) oddany był szenie i spróbowany w ogniu«, taki więc sam iiędzy Bogiem a szatanem, jaki jest w *Fauście*, ıasz poeta w pomyśle. Jak się ten pomysł miał , można powziąć o tem pewne, zresztą bardzo i niejasne wyobrażenie z wiersza wstawionego k dramatu; tu dość powiedzieć, że fabuła dra- iała być zupełnie inna, niż późniejszego poematu mej nazwie, pełna cudowności i fantastyczności, ıustowski temat za sobą prowadził. Warto też jeszcze uwagę na to, że Pamphilus, który pełniąc phista, zakrawa nieraz na jakiegoś błazna szeks- iego, za cel swojej ironii obiera ze szczególnem aniem romantyczny kierunek poezyi[1]. Natomiast

ızwę Pamfila wziął Słowacki prawdopodobnie z *Dziewo- rskiego*, dyalogu staropolskiego, którego streszczenie wraz ıi znajdował w dziełach swego ojca (Dzieła III 142—145). jest to pan, który chce użyć świata; w sprawie czwartej mierć na scenę przybywają, chcą zabrać Pamfila. W spra- przybywa wiara w towarzystwie anioła i odpędza śmierć . Czarci biją się z sobą, potem śmierć mordują za to, że eszyła z odjęciem życia Pamfilowi, a gdy ta bez znaku ży- a, dla przywrócenia jej do życia wzywają doktora «i to iada Euzebiusz Słowacki, najdowcipniejsze w tej sztuce ».

w ironizowaniu jego nie ma najmniejszej alluzyi do osobistych spraw poety, do redakcyj i krytyk paryskich. Czy jednak Beniowski, jako Faust polski, nie miał reprezentować pewnej strony ducha poety, zaręczyć nie można; i owszem jest nawet wskazówka, że tak mogło być: Pamfilus mówi o Beniowskim że »to jest człowiek, który ma pokruszyć zęby na białym marmurze sławy«, malownicze określenie, które się doskonale daje zastosować do samego poety.

Ale zamiar stworzenia polskiego *Fausta* przerastał siły Słowackiego. Stworzyć kilkadziesiąt scen fantastycznych i efektownych, przy ówczesnem rozbudzeniu fantazyi, nie byłoby dlań rzeczą trudną, ale powiązać te wszystkie sceny jedną ideą i to ideą wielką, ogarniającą zagadkę życia ludzkiego, lub przynajmniej życia narodu, i stworzyć z tego całość organiczną, taką, o którejby mógł nabrać przeświadczenia, że »ta pieśń nie przeminie«[1], na to się mógł porwać Słowacki, ale dokonać tego nie był zdolny. Uczuł on to zapewne w chwili, gdy stanęło przed nim nowe zadanie, stworzenia polskiego *Don Juana* i dlatego zaniechał dramatu, a widząc, że jego bohater, zarówno jak i tło konfederacyi barskiej nadaje się doskonale do nowego zadania, postanowił ten kapitał, włożony w niedokończony dramat, wycofać stamtąd i obrócić na nowe przedsięwzięcie poetyckie.

To nowe przedsięwzięcie, gdzie rąbanina miała być rzeczą główną, a sama powieść tylko tłem lub ramą, nie wymagało organicznej całości, dawało najpełniejszą swobodę fantazyi. Słowacki znalazł się tu w swoim żywiole: mógł puścić cugle rumakowi swojej poezyi, nie troszcząc

---

[1]) W wierszu, wstawionym w środek dramatu i ręką poety przekreślonym, znajdował się taki ustęp :

O rycerzu więc owym, co był ci do końca
Wiernym i różnej nędzy dla ciebie skosztował,
Śpiewać będę... *i może ta pieśń nie przeminie.*

wcale, dokąd go zaniesie. Tej swobodzie szczególnie
zyjała okoliczność, że o Beniowskim wiadomo było
ko, iż brał udział w konfederacyi barskiej, ale szcze-
owa historya tego udziału, z wyjątkiem pewnego tylko
ępu, wiążącego się z obroną Krakowa, nie była znaną[1]).
powieść swoją zaczął pisać bez jakiegokolwiek wyra-
ejszego planu, na to są w samej powieści jaskrawe
wody. Kończąc pieśń pierwszą, która z wątku powie-
owego zamknęła tylko scenę tajemnego widzenia się
niowskiego ze swoją ukochaną w Anielinkach, poeta
wiedział jeszcze, czem zapełni pieśń drugą.

więc mój czytelniku,
Spróbuj, czy ci się pieśń podoba druga,
Gdzie więcej nieco będzie gwaru, krzyku,
Kościół i wielka słoneczna framuga,
I na tęczowym Duch święty promyku;
Także cokolwiek szlachty. Powieść taka,
Jak dawny, długi, lity pas Polaka.

---

[1]) W Pamiętniku swoim Beniowski tyle tylko o tym swoim
iale powiedział: «Urodziłem się ze znakomitej familii węgierskiej
zaszczytem służyłem Rzeczypospolitej Polskiej, której broniąc
w i swobód, ran siedm odebrawszy, zostałem na placu potyczki
ez Moskalóww zięty w niewolę«. (Historya podróży i osobliwszych
rzeń sławnego Maurycego Augusta Hrabi Beniowskiego, szlach-
polskiego i węgierskiego z franc. tłomaczona. Edycya nowa.
Warszawie 1806. T. I, str. 55—56). We wstępie do pamiętnika
wiedziane są czyny wojenne Beniowskiego z lat 1768 r., kiedy
o generał artyleryi bronił Krakowa i robił stamtąd różne wy-
zki, ale opowiadanie to urywa się z chwilą, kiedy Beniowski po
ku na Apraksyna (11 sierpnia) ranny wpada w ręce nieprzyjaciół.
wiadujemy się jeszcze tylko, że odrzucił propozycyę służby w woj-
rosyjskiem, że wykupił się z niewoli i wrócił do Krakowa, a po-
nagle takie oto oświadczenie następuje: «Nie będziemy wcho-
ć w szczegóły operacyj wojennych Hrabi w ciągu tej wojny.
yć powiedzieć, iż od tego momentu aż do dnia 19 maja 1769 r.
wszy jak największe dowody swojej zdatności, męstwa i determi-
yi, wpadł powtórnie w ręce moskiewskie, dwa razy szablą a raz
kartacza ranny». (Tamże, str. 22).

Z tych słów trzeba się domyślać, że poeta chciał d(pieśni drugiej wprowadzić jakąś scenę sejmikową, któn zwykle odgrywała się w kościele lub w refektarzu kla sztornym i możnaby nawet myśleć, że słowa Krasińskiego »do korda i na sejmik, rąbać mi i siekać« sprawiały t pewną suggestyą. Ale zacząwszy pieśń drugą Słowack zapomniał, czy też nie dbał o to, co przedtem zapowie dział i w tej pieśni drugiej nie znajdujemy wcale an kościoła, ani słonecznej framugi, ani nic z tego, co t szczegóły zdają się zapowiadać, natomiast znajdujem dziki wyskok księdza Marka, wbicie sztyletu w dłoni regimentarza Dzieduszyckiego, niczem niezapowiedzian i niespodziewany, i stosowniejszy dla jakiejś powieści baj rońskiej o korsarzach, niż dla takiej, która ma być »ja dawny, długi, lity pas Polaka«.

Kończąc pieśń drugą, Słowacki znowu zapowiada rzeczy, które nie miały się ukazać ani w następnej, an w którejkolwiek z pięciu pieśni, które sam wydał:

Dalej ujrzycie zapalone miasta,
Szlachcica z Żydem, z psem na drogoskazie
Wiszących — Romans w poemat urasta!
Coś w nim o królu będzie, o zarazie,
O Panu Bogu. Pociągnąwszy hausta,
Jak się rozogni myśl, napiszę Fausta.

Jak się rozgniewam na imaginacyą,
Dyabłowi oddam bohatera duszę i t. d.

Z ostatnich wierszy widać, że nie był pewny, czy nie wypadnie mu powrócić do pomysłu Fausta-Beniowskiego, co także wskazuje, jak żadnej jeszcze wytkniętej drogi nie miał przed sobą w *Beniowskim*. W pieśni trzeciej żartował sobie nawet z własnego planu swojej powieści, pisząc, że czterdzieści cztery (mistyczna liczba) pieśni ca łych »w planie stoi«, a przy końcu tej pieśni wpół żar tem, ale poniekąd trafnie określił charakter i cel swego poematu.

I mój rym także . . . . . .
. . . .

Porozciągawszy tęcze na obrazie,
Pokołysawszy nakształt dobrej łodzi.
Idzie spać. Wyraz został przy wyrazie,
Nie wiem czego chce i czego dowodzi?
Jako fajerwerk z gwiazd kilku tysięcy,
Chciałem, aby się spalił i nic więcej.

Tak, pokazać czarodziejstwo stylu swego i olśnić niem, to był jeden cel; drugi, to nasypać żaru z tych gwiazd palących się za kołnierz tym wszystkim, których uważał za swoich przeciwników.

Komu za kołnierz spadnie przez przypadek
Syryusz zrzucony przez nią (muzę) lub Niedźwiadek,
Spali się, lecz ja nie winien.

Można powiedzieć, że każda pieśń *Beniowskiego* z osobna spełniała to podwójne zadanie: olśniewać czytelników i wydrwiwać nieprzyjaciół. Ale nim przejdę do analizy tej walki podjazdowej, którą Słowacki prowadził w *Beniowskim*, i różnego rodzaju wynurzeń osobistych, które jej towarzyszyły, winienem zwrócić uwagę na niektóre szczegóły z jego życia w ciągu pisania *Beniowskiego*, ponieważ one odźwierciedliły się w poemacie i wogóle w historyi ducha jego niemałą odegrały rolę. Chodzi tu przedewszystkiem o stosunek Słowackiego do p. Bobrowej i do Mickiewicza w tym czasie.

Pani Bobrowa była, jak wiadomo, w przeciągu lat kilku, od 1833—1838, przedmiotem miłości Zygmunta Krasińskiego. Młoda, piękna, bogata, wyszła za mąż za człowieka, który był także bogaty i cieszył się znaczeniem wśród swoich współziemian wołyńskich, ale wykształceniem i usposobieniem nie odpowiadał bynajmniej romantycznemu nastrojowi młodej żony. Wyjechawszy dla zdrowia do Włoch, spotkała się z Zygmuntem Krasińskim, który przez Radziwiłłów był jej powinowatym i w młodszym od siebie o lat kilka, ale umysłowo przed-

wcześnie rozwiniętym i na wysoki ton romantyczny nastrojonym poecie znalazła pokrewną sobie duszę. Wrażenie, jakie wywarła na Krasińskim przy pierwszem spotkaniu, odźwierciedliło się w *Niedokończonym poemacie*, w wykrzyknikach młodzieńca, opisującego Aligierowi księżnę Rahoga: »jak Polska cała, tak ona, ta jedna Polka jest bezmiarem nieszczęścia, ubranym w nadziemski wdzięk! Nigdym nic podobniejszego do przechodzącej ojczyzny nie widział«... »przysięgam ci, nigdym takiego wyrazu boleści nie oglądał w stworzonej ziemiance. Wystaw sobie marmur najniepokalańszy, paryjski, blaskosiejny marmur — napisu żadnego — spojrzysz i powiesz: »Posąg medycejskiej być z niej ma« — a w tem znów spojrzysz i patrzysz, aż tu kamień grobowy już i pod tą bryłą światła — śmierć. Więc klękaj i módl się i płacz! — to Ona!«

Ta marmurowa grobowość nie przeszkodziła pani Bobrowej oplątać siecią miłości Zygmunta Krasińskiego tak, że stał się jej niewolnikiem i wspólnikiem winy wobec męża i dzieci. Jeżeli mowa o wspólnej winie, to trzeba zwrócić uwagę na to, że jakiegoś uwodzicielstwa ze strony Krasińskiego niepodobna przypuścić; sam stosunek wieku pomiędzy nimi świadczy za tem stanowczo. Dość powiedzieć, że kiedy pani Joanna wychodziła za mąż, Krasiński miał dopiero wtedy lat trzynaście. W ośm lat potem, kiedy się poznał z panią Bobrową, był młodzieńcem, dopiero wychodzącym i to niezupełnie z pod ścisłej kurateli ojcowskiej, ona zaś była kobietą w całej pełni dojrzałą i w dodatku matką dwojga dzieci. Ciężar winy zatem, jeżeli się rozdzielał na dwoje, to bardzo nierówno, Krasiński jednak, choć ostygł później w miłości, czuł się skrępowanym wobec pani Bobrowej dawniejszym z nią stosunkiem i dopiero staraniom jego ojca w r. 1838 udało się wyzwolić go z tej zależności.

W r. 1840 pani Bobrowa, która wzorem wielu bogatych rodzin polskich, próżniacze wiodących życie, przebywała prawie ciągle za granicą, przyjechała na dłuższy

pobyt do Paryża, a ponieważ trzymała dom otwarty, więc łatwo było Słowackiemu dostać się do jej salonów. Poznał on ją był kiedyś, jeszcze w r. 1831, w Dreźnie, ale ta przelotna znajomość nie wywarła była wtedy na nim jakiegokolwiek silniejszego wrażenia. Inaczej teraz było. Słowacki wprawdzie, jak się zdaje, nie wiedział z początku nic o tem, że to p. Bobrowa była tą Maryą, której poświęcone były trzy utwory Krasińskiego: *Agay-Chan*, *Nieboska komedya* i *Irydyon*, ale ten uroczysty smutek, ten posągowy spokój w postaci pani Bobrowej, który tak zachwycał Krasińskiego, nie omieszkał tym razem i na Słowackim wywrzeć głębokiego wrażenia. W jednym z późniejszych listów jego, z czasów kiedy fantazya poety błąkała się po ścieżkach mistycyzmu, znajduje się wspomnienie pierwszego, jak się zdaje, spotkania się Słowackiego z p. Bobrową i refleks wrażenia, jakie wtedy wywarła na poecie. »W tym ranku mroźnym nowembrowym obaczyłem czarną postać Pani, niby większą, na horyzoncie pól czarnym wrzosem pokrytych, wobec tych firanek złotych i srebrnych, które aniołowie podnosili na niebie i niby na wałki zwijali... Widzę blask złoty strasznego słońca i twarz Pani oświeconą, i oczy i usta wpół otwarte, strój nawet Pani jakiś ciemny, obszerny, w złote łamiący się fałdy, i pytam się, jaki to żurnal poradził Pani krój i kolor tej sukni, w której mi się Pani pokazałaś w Paryżu? Tak ubierała się matka Grachów, ostatnia po prorokiniach dawnej Judei, a po matce Grachów już nikt przez dwadzieścia wieków płaszcza z błyskawicy wschodniej nie wdziewał, aby ukryć smutek i twarz zachmurzoną ozłocić...« [1]).

Na Słowackiego zatem, jak można z przytoczonego ustępu wnioskować, p. Bobrowa wywarła silne wrażenie nie tylko swoją pięknością, nie tylko posągowym wyra-

[1]) Listy J. Słowackiego do p. Joanny Bobrowej jako dodatek do Małeckiego »Juliusz Słowacki« wyd. 3. T. III, str. 304—305.

zem smutku, ale i artystycznie dobraną do tego smutku dekoracyą, na co tak czułym był zawsze autor *Kordyana*. Były i inne powody, dla których coraz częściej i chętnie bywał w domu p. Bobrowej Słowacki. Naprzód znajdował tam komfort i elegancyą, a także może nieliczne, ale wykwintne towarzystwo nawpół polskie, nawpół francuskie, co wszystko pociągało go ku temu domowi; powtóre jak się łatwo domyślić, pani domu ze szczególną uprzejmością go witała, ze szczególnem upodobaniem z nim rozmawiała, nie tyle jako z poetą, ile jako z przyjacielem innego poety, Krasińskiego. O tej zaś przyjaźni dowiedzieć się musiała wcześnie, jeżeli nie skądinąd, to w każdym razie z listów do Krasińskiego, stanowiących przedmowy do *Balladyny* i *Lilli Wenedy*.

Pani Bobrowa pielęgnowała ciągle w sercu miłość dla Krasińskiego, choć już dwa lata upłynęły od ostatecznego zerwania między nimi. Czy łudziła się nadzieją że to zerwanie może nie jest ostatecznem, że sprowadziła je tylko wola ojcowska wbrew woli synowskiej? Jakkolwiekbądź, to pewna, że Słowacki był dla niej zwierciadłem, w którem mogła oglądać z daleka postać swego ukochanego i w którem sama mogła z daleka pokazywać się swemu ukochanemu, bo Słowacki korespondujący z Krasińskim mógł każdą z dwóch stron obdzielać wiadomościami o drugiej stronie. Tego się zapewne nasz poeta nie domyślał i skłonny do brania wszystkiego na swoją korzyść, ze szczególnej uprzejmości gospodyni dla siebie wnioskował o szczególnych jakichś uczuciach, które w niej obudził. Zdawało mu się, że pani Bobrowa zaczyna się w nim kochać, to naturalnie mocno mu schlebiało i pobudzało do ubiegania się o jej miłość. A gdy widział, że te zabiegi bynajmniej przewidywanych nie wywołują następstw, gdy nie widział postępu rzekomej miłości w pani Bobrowej dla siebie, był zbity z tropu.

Stosunek Słowackiego do p. Bobrowej, a także do dwu innych kobiet, o których miłość się ubiegał, to jest

do Ludwiki Śniadeckiej i Anieli Moszczeńskiej, odźwierciedlił się w *Beniowskim*, to też ten poemat daje najlepszą sposobność do zbadania i ocenienia miłosnych uczuć poety i tej roli, jaką miłość odgrywała w jego życiu i poezyi.

W drugiej pieśni *Beniowskiego*, mówiąc o podolskim domu i Podolankach, Słowacki umieszcza następujące strofy:

Sam znałem jednę... lecz nie wspomnę o niej,
Bo się nadzwyczaj mój rym rozserdeczni.
Od serca mi jej wiało tyle woni
I tyle światła, że mi dziś słoneczniej,
Chociaż mi zegar teraz północ dzwoni,
Niż gdybym w Boga patrzał się najwieczniej.
Niech was bluźnierstwa nie rozpędza trwoga,
Ona umarła już... jest częścią Boga,

Duszą, światłością, wolą, jedną chwilą
Wieczności, wiedzą wszystkiego... O! dosyć!
Niech resztę grobu cyprysy ochylą.
Różom najbielszym jej żałobę nosić,
Jej słońca drogi mlecznej nie omylą;
Zdziwiona blaskiem będzie się podnosić
Jako harmonii lekkiej głos, bez końca,
Od słońc na wielkie słońca i nad słońca.

A gdy się w drogi zatrzyma połowie,
Jak gołąb puszczę za nią skrzydła chyże,
A tu mi ręce zawiążcie na głowie,
I twarzą bladą połóżcie na lirze,
Jakbym, w alpejskim upadłszy parowie,
Spoczywał. Miałem ja troski i krzyże,
Więcej niż śniło się wam filozofom —
Lecz dajmy pokój tym myślom i strofom.

Dosyć o sercach strzaskanych, o świecie
Tu — ziemskim, tam — nadsłonecznym...

To wspomnienie, w tak eterycznych wyśpiewane strofach, nie może się do nikogo innego odnosić, jak do panny Anieli Moszczeńskiej. Z tej eterycznej poezyi jakiż się da wycisnąć wniosek o stosunku, który wiązał poetę z ową

wspomnianą Podolanką? Wszystko tu niejasne, mgliste, ale czytelnik, któryby nie wiedział, jaki był naprawdę stosunek pomiędzy nimi, musi przypuścić, że była tam głęboka miłość, przynajmniej z jednej strony, ale jeszcze pewniej obustronna, że tę miłość, albo raczej szczęście, które ta miłość obiecywała, zerwała śmierć i strzaskała serce poety. Zresztą i innym domysłom stała tu brama otworem i można się było i tego domyślać, że owa »jedna« umarła z miłości dla poety. Tymczasem istotny stosunek poety z Anielą Moszczeńską, jak to widzieliśmy w jednym z poprzednich rozdziałów, nie był ani trochę podobny do tego, jaki się z lekka zarysowuje w eterycznych strofach *Beniowskiego*. Wszak w rok potem pisał Słowacki do matki: »pewny jestem, że byłaby mnie odrzuciła; wreszcie ona miała miliony, jam nie mógł jej nic dać nawzajem, nawet serca« [1]).

Ale nie dość tego, boleść zawodu matrymonialnych nadziei, jakiej doznał Słowacki przy rozstaniu się z domem Moszczeńskich, wyraziła się w dwóch współczesnych sonetach, wydanych dopiero w pośmiertnych pismach poety (T. I). Otóż jeżeli te dwa sonety zestawimy z trzema strofami *Beniowskiego*, tej samej poświęconemi osobie, tu dopiero pokaże się dyametralna różnica w przedstawieniu stosunku, który wiązał poetę z mniemaną jego kochanką. W pierwszym sonecie czytamy te słowa:

O tak, zaprawdę, że wybrałaś świetne
Oczy, ażeby łzami je zaprószyć!
O tak, zaprawdę, że chcąc serce skruszyć.
Wybrałaś dzikie, smutne i szlachetne.

Lecz go łzy dotąd nie otruły setne,
Bo serce moje jest losu i Boga,
A wprzód, niż m.ałaby je zdeptać noga,
Prędzej je zimnem żelazem rozetnę.

---

[1]) Listy II, 124.

I próżno powiesz, bo nikt nie uwierzy,
Abym twój nosił znak u lewej strony...

Czego właściwie chce poeta w tych pięknych wierszach, tego dokładnie określić nie można, to tylko pewna, że gniewa się na tę, »która go chciała zdeptać« i chełpić się wbrew wprawdzie, że była kochaną. W drugim sonecie ton oburzenia jest równie silny, może nawet silniejszy, ale pretensye poety do Anieli M. są zrozumialsze.

Ogniem, żałością wre zamknięte łono;
A kiedy zacznę się na serce dąsać,
Chciałbym je wyrwać z mych piersi i skąsać
I precz odrzucić tę rzecz tak shańbioną

Twoją miłością, że ognie, co płoną,
Dotąd nie mogły go uczynić czystem!
A ty myślałaś, że ja z tem ognistem
Sercem — nazwę cię kochanką i żoną?

O! pierwej piekło, niżby czoło dumne
Na twojem zimnem sercu kiedy spało!
A niż całować twe usta rozumne

I twoje białe, marmurowe ciało
Owionąć ogniem i żyć z taką skałą,
Jaka ty jesteś, zimna, — lepiej w trumnę!

Cóż można wyrozumieć z tego wspaniałego oburzenia? Oto że poeta kochał gorąco ową Anielę, nie wiedząc kogo kocha; ale przekonawszy się, że ona jest zimną, jak bryła lodu, odwraca się od niej ze wstrętem i poczytuje to nawet za hańbę własnemu sercu, że ją kiedyś kochało.

Zdaje się, że nie można piękniej i z większą siłą wyrazić oburzenia, wywołanego takim zawodem. Ale jeżeli to oburzenie i zarzuty ciskane na kochankę zestawimy z pewnymi ustępami listów poety do matki, to dziwnie przykra spotka nas niespodzianka, pociski rzucone przez poetę obrócą się przeciw niemu, a oba sonety wydadzą się nam prześlicznem opracowaniem wymarzonego tematu lirycznego bez związku z rzeczywistością,

podobnie jak wiersz *Przekleństwo*, pochodzący z czasów szwajcarskich, gdzie biednej i dobrej Eglantynie Patte dostała się najniezasłużeniej rola »gadziny«, która swojen żądłem wygnała poetę na samotność.

Oto, co pisał Słowacki do matki z Florencyi w cza sach, kiedy go żywo łudziła nadzieja poślubienia bogate panny. Pani Moszczeńska wybierała się wtedy sama z Flo rencyi na Ukrainę i spodziewała się, że przejeżdżają przez Krzemieniec, zobaczy się z matką poety. »Jeżel więc będziesz widzieć panią M., bądź, moja droga, dl niej uprzejmą i o mnie źle nie gadaj, bo mni mają za bardzo dobre stworzenie, a nawe panna M., dla wszystkich dosyć zimna, ze mną jest do brze i nawet z szacunkiem...« Był że to język ogniste miłości, a nie zimnego wyrachowania i ostrożnego zapo biegania, aby matka nieostrożnem słówkiem nie popsuł mu u rodziców panny opinii »dobrego stworzenia?« I cz znając charakter Słowackiego nie mamy prawa przypu szczać, że w stosunku jego z panną Anielą stało się co wręcz przeciwnego temu, co wyrażają sonety, to jest, ż panna nie znalazła w Słowackim tego, czego się spodzie wała, to jest szczerego uczucia i potraktowała go w końc z pewną dumą, która rozbiła jego nadzieje i zraniła do tkliwie — i oto prawdziwe a nie wymarzone przez poet źródło oburzenia, którem dyszą jego sonety.

Ale przejdźmy do zestawienia sonetów z trzema stro fami *Beniowskiego,* poświęconemi pannie Anieli. Ta, któr miała zimne serce i była marmurową skałą, zamienia si w siostrę róż najbielszych, źródło woni i blasków, w istot której pamięć rozsłonecznia duszę poety, w głos harmo nii, przenikający światy. Cóż się stało pomiędzy napisa niem sonetów, a chwilą pisania owych strof Beniowskiego Czy poeta znowu się z nią spotkał i przekonał się, że j fałszywie osądził i pojednał się z nią i pokochał? Byna mniej; dowiedział się tylko, że umarła. I oto otwarte był pole dla przypuszczeń i rojeń, które i miłości własne

poety i jego marzycielskiej naturze dogadzały. »Choroby, z której umarła, pisał do matki[1]) nie zrozumieli doktorowie, a ja byłbym nadto zarozumiały, gdybym ją memu zimnemu postępowaniu przypisywał. Może być jednakże ta, która tylu odmówiła, czuła się trochę dotkniętą przez to, żem się nie oświadczył...«. Było to więc delikatne przypuszczenie, że umarła z miłości dla niego. »A jednak, dodawał zaraz, pewny jestem, że byłaby mnie odrzuciła; wreszcie ona miała miliony, jam nie mógł jej nic dać nawzajem, nawet serca. Przyznam ci się jednak, droga moja, iż kiedym się o jej śmierci dowiedział, cierpiałem... Bo choćby to było w niej chwilową tylko myślą, aby mnie wybrać z tłumu i zrobić szczęśliwym, io już jej to nadało w oczach moich postać litośnego anioła, a śmierć jej dopełniła obrazu... Ileż razy teraz, chodząc po ciemnych alejach tutejszego ogrodu, zdaje mi się, że mi ona drogę zachodzi, że się jej cień rumieni i spuszczając oczy przedemną, pyta się, dla czegoś mnie nie kochał? Śmierć ją upiękniła w oczach moich«...

Owoż tak źródłem oburzenia w sonetach, jak źródłem zachwytów w *Beniowskim* była gra wyobraźni, przystrajająca podrażnioną miłość własną poety — i nic więcej.

Czy stawiąc strofy, poświęcone Anieli Moszczeńskiej, poeta znał już p. Bobrową i liczył na to, że ona je będzie czytała? nie wiemy. Ale to pewna, że pisząc pieśń trzecią, Słowacki nietylko znał już p. Bobrową, ale i łudził się nadzieją jej miłości. W ustępach widocznie do niej zwróconych jest mgliste oświadczenie własnych uczuć i lekkie próbowanie jej serca.

Krwią do was piłem, moim duchem, zdrowiem;
A teraz ciskam serce, puhar lśniący...
Słyszycie? Pękło. Teraz mi wezgłowiem
Jedno kobiece serce — jestem śpiący;
Omdlały jestem, ogniem owionięty...

---

[1]) Listy II, 123—124.

A o parę strof niżej:

Ona jak złoty mój duch dobrej rady
Odgoni czarne cherubinów stada,
Mówiąc do nieszczęść tak, jak anioł gada.

Przez litość tylko nademną siostrzaną.
Przez błękit tylko swojej własnej duszy,
Przez gwiazdę swego losu obłąkaną,
Przez moc co serca wskrzesza albo kruszy,
Przez to, że hymny we mnie zmartwychwstaną,
Jeżeli ona mnie jak harfę ruszy,
Będę zbawiony, dumny, bezpokutny.
Ale to wszystko sen — i może smutny!

W tych wierszach jest mowa tylko o litości siostrzanej, ale ta litość ma moc wskrzeszenia serca i zbawienia poety, więc łatwo się domyślamy, że poecie chodziło o coś więcej, jak o litość; a ostatni wiersz był jakby nieśmiałem zapytaniem jego, czy może mieć jakąkolwiek nadzieję.

Za komentarz do tych ustępów może służyć współczesna korespondencya Krasińskiego ze Słowackim z początku roku 1841. Przeniknąwszy wskutek rozmów z pani Bobrową stosunek, jaki wiązał ją z Krasińskim, Słowacki w jednym z listów swoich do przyjaciela dotknął tej struny, aby i z drugiej strony coś się o tym stosunku dowiedzieć, ale zarazem, może mimowolnie, odkrył coś i z własnych uczuć dla pani Bobrowej. Nie znamy tego listu Słowackiego, ale znamy odpowiedź Krasińskiego na ten list. Krasiński nie zapierał się, nazywał panią B. »najsłodszą, najlepszą, najszlachetniejszą z dusz, którym ten planeta już czyśćcem i męką ciągłą«, sądził, że jej »nadewszystko teraz przyjaznej, męskiej, a jednak, że tak powiem, siostrzanej ręki potrzeba«, ale jednocześnie ostrzegał Słowackiego, że się znajduje na zdradzieckiej pochyłości. »Nam, powiadasz, zostawisz koniec zagmatwanej naszej tragedyi, a sam odejdziesz! O nie, ty się mylisz, ty zostaniesz i sam się zagmatwasz, sam, jeśli czasu c

stanie«[1]. A w następnym liście jakby przeczuwając, jaki charakter przybierze uczucie Słowackiego dla p. Bobrowej, pisał mu: »Pytasz się, czego żądam od ciebie: Oto tego, byś się nie bawił, o to jedno cię proszę, a jeśli masz kochać, kochaj, ale pamiętaj, że kto kocha, ten szanuje«[2].

Jak w pieśni drugiej Aniela Moszczeńska, a w trzeciej p. Bobrowa, tak w czwartej króluje Ludwika Śniadecka; jej poświęca Słowacki całych dziewięć strof. Ten zwrot do »kochanki pierwszych dni« (Kochanko pierwszych dni! znów jestem twoim) po strofach poświęconych p. Bobrowej zdaje się wskazywać, że nadzieje Słowackiego pozyskania serca tej ostatniej, w czasie pisania czwartej pieśni, musiały zbladnąć i nasuwa się nawet przypuszczenie, że cały ten długi hymn na cześć pierwszej kochanki napisany był przedewszystkiem *ad usum* p. Bobrowej, trochę aby ją podrażnić, trochę, aby się popisać stałością uczuć, któraby jej stałości dorównać mogła.

I powiedz, czy ja duszę mam powszedną?
Ja, co przebiegłszy świat, kochałem jedną!

Twój czar nademną trwa. O! ileż razy
Na skałach i nad morzami, bez końca,
W oczach twój obraz, w uszach twe wyrazy,
A miłość twoją miałem nakształt słońca
W pamięci mojej. Anioł twój bez skazy
Na moich piersiach spał — łza gorąca
Nigdy mu jasnych skrzydeł nie splamiła:
Twa dusza znała to — i przychodziła.

Czy poeta czuł na prawdę to, co tu pisał? Czuł tak, jak czuje artysta dramatyczny, głęboko przejęty swoją rolą, i nie pamiętający ani trochę, że poprzedniego wieczora w odmiennej występował roli. I Słowacki stawiąc w *Beniowskim* entuzyastyczne strofy dla »kochanki pierwszych dni« nie pamiętał zapewne tego, co pisał o niej przed

[1] Listy Zygm. Kras. III, 18.
[2] Tamże III, 27.

czterema laty. Niewątpliwie postać Ludki otoczoną była w jego pamięci poetycznym urokiem niezatartych wrażeń dzieciństwa i pierwszej młodości, ale były chwile, kiedy podrażniona ambicya dyktowała mu najzłośliwsze sarkazmy na tę, której »anioł« jakoby »bez skazy spał« na piersiach poety. Co myśleć o prawdzie tych poetycznych zapewnień, poucza nas kilka strof z *Podróży na Wschód*, która już od czterech lat spoczywała była w jego tece:

Znałem... lecz szczęściem uleczoną z żalu
Safonę bardzo podobną do greckiej.
Ta się nieszczęściem kochała w Moskalu,
A Moskal zginął na wojnie tureckiej;
Ta poszła zabrać na Warneńskiem polu
Zwłoki — a uszy w Konstantynopolu.

Smutna, ubrana w kwiaty sympatyczne,
Poszła nieszczęsna na brzegi Marmora,
Kędy osobne biuro statystyczne
Liczyło uszy z rana do wieczora
I oddzieliwszy od niezgrabnych zgrabne,
Nizało sztucznie na sznurki jedwabne.

I przyszła sama, smutna jak Armida,
I rzekła z płaczem: «oddajcie mi skarby!»
— «Jakie?» rzekł gruby emir Bej Raszyda.
Chciała powiedzieć, lecz rumieńca farby
Zeszły na twarzy płaczącej dziewczynie,
Bo nie znalazła frazesu w *Korynie*...

Wiadomo, że strofy te odnoszą się do Ludwiki Śniadeckiej, że ona kochała się w synu generał-gubernatora wileńskiego Korsakowa, który zginął w wojnie tureckiej 1829 roku. Otóż analiza wszystkich ustępów *Beniowskiego*, poświęconych różnym kochankom Słowackiego, pozwoliła nam stwierdzić prawdę określenia, podanego na początku tej pracy, a mianowicie, że miłość kobiety była dla Słowackiego raczej potrzebą ambicyi, niż serca, miała służyć przedewszystkiem za aureolę dla jego geniuszu.

A jeżeli nie było prawdy w jego wynurzeniach miło-

snych, za to miał najdoskonalsze poczucie artystyczne tego wszystkiego, co stanowi wdzięk kobiecy i umiał tym wdziękiem tak przyozdobić stworzone przez się postaci kobiece (a szereg ich długi), że pod tym względem nikt z poetów polskich dorównać mu nie może. Możnaby powiedzieć, że dla niego kobieta stanowiła część przyrody, że nie budziła w nim takich uczuć, jakie budziła i budzi w innych, kochliwych zazwyczaj poetach, tylko takie, jakie budził w nim widok pięknej przyrody. Nie ma w tych postaciach głębi psychicznej, nie ma czasem konsekwencyi, ale jest nadzwyczajny wdzięk linii, kolorów i tonów.

Zobaczmy teraz, jaki był stosunek Słowackiego do Mickiewicza w czasie pisania *Beniowskiego*. Jak ciężkiem było położenie Mickiewicza w tym czasie, kiedy Słowacki przybywał powtórnie do Paryża dla zdobycia sławy, o tem już wyżej była mowa. Położenie to w ciągu dwu lat następnych (1839 i 1840) o tyle się polepszyło, że nie brakło już autorowi *Pana Tadeusza* środków utrzymania rodziny, która z każdym niemal rokiem zwiększała się, ale profesorska praca, która mu tych środków dostarczała, była ciężkiem jarzmem na szyi poety. »Ja wczora zwaliłem z karku trzeci tydzień lekcyi, pisał do Bohdana Zaleskiego (z Lozanny 2. listopada 1839), i dzisiaj, jak katorżnik wy puszczony na światło, dyszę. Pracę mam wielką. Dni całe nie wstaję od stołu, a często do pierwszej w nocy rozbieram jaki trudny metr łaciński. O siódmej muszę być na nogach we dni lekcyjne. Żrę tedy łacinę i pluję francuszczyzną. Nie prędko będę mógł spotkać się z tobą na lutnię. Śpiewaj tymczasem za nas, mój słowiku« [1]). To też czasy lozańskie nic nie przyniosły do wieńca poezyi mickiewiczowskiej, prócz kilku drobnych urywków, z których jeden »Gdy tu mój trup i t. d.« jest właśnie wyrazem owej niezgody, owego rozdwojenia w życiu poety

[1]) Korr. Ad. Mick. 1880 I, 209.

pomiędzy usposobieniem jego poetyckiem a wymaganiami pracy profesorskiej, tem cięższej, że uczył wśród obcych i w obcym języku.

Słowacki musiał z zadowoleniem porównywać swoje położenie z położeniem ówczesnem Mickiewicza, bo nie potrzebował na chleb pracować, miał dzięki troskliwości matki środki na skromne, ale wygodne życie, i mógł się całkowicie oddawać poezyi. To też oddawał się jej z większem niż kiedykolwiek natężeniem sił twórczych, jakby chcąc korzystać z czasu, póki jego wielki współzawodnik milczał, przyciśnięty jarzmem profesorskiem. Przyjemnie mu też brzmiały słowa Krasińskiego o Mickiewiczu, że »przeszedł, minął«, jak i ten dość niefortunny, chyba tylko dla rozweselenia przyjaciela napisany koncept Krasińskiego, że ten, co postawił obelisk granitowy »uczy Szwajcarów, jak nie mają umieć po łacinie«. Zresztą Mickiewicz był w Szwajcaryi, zdaleka od dziennikarstwa emigracyjnego w Paryżu, nie można go było posądzać o udział w krytykach, które godziły w Słowackiego, więc już i dla tego słabnął w Słowackim antagonizm względem Mickiewicza.

Ale pod koniec 1840 r. sytuacya się zmieniła. Mickiewicz mianowany został profesorem literatur słowiańskich w Collège de France i zjechał na stały pobyt do Paryża. Wprawdzie i przy tem nowem zadaniu, jakie miał przed sobą, trudno mu było oddawać się poezyi, ale stanowisko jego profesorskie było nierównie ważniejsze i świetniejsze teraz, kiedy miał przemawiać nie w jakimś zakątku szwajcarskim, ale w stolicy świata, i nie *de re metrica* lub *de asse romano*[1]), ale o dziejach i twórczości umysłowej Słowian, i śledzić bieg myśli polskiej na tle słowiańskiem. Więc uwaga całej emigracyi zwróciła się na niego, a jego wielka sława poetycka, od kilku lat niczem nie odświeżana, na nowo w pamięci wszystkich zabłysła. Nie bra-

[1]) Porówn. Korespondencyą Mickiewicza T. I, str. 206.

kło wprawdzie i głosów niechętnych, ale tonęły one w ogólnym chórze uwielbienia i radości.

Początek kursów (22 grudnia 1840 r.) zbiegł się z podwójną uroczystością: Bożego Narodzenia i imienin poety-profesora. Już wspólna wigilia w klubie polskim, która zgromadziła przeszło sześćdziesiąt osób, a której przewodniczył ośmdziesięcioletni Niemcewicz, przedstawiciel dwóch zamkniętych okresów literatury polskiej i trzech powstań polskich, była owacyą dla Mickiewicza. Nazajutrz drugą owacyę dla poety przygotował jeden z jego najgorętszych wielbicieli, księgarz-emigrant, wydawca *Młodej Polski*, Eustachy Januszkiewicz; mianowicie wydał na cześć poety sutą ucztę, na którą sprosił do czterdziestu znajomych, przeważnie ze świata literackiego i artystycznego. Między zaproszonymi był także i Słowacki i stawił się na ucztę, pomimo, iż mógł się spodziewać, że spotka się tam nietylko z Mickiewiczem, ale i z autorem recenzyi o *Balladynie*, Ropelewskim.

Żeby zrozumieć dla czego obraza, jakiej doznał Słowacki ze strony *Młodej Polski*, nie przeszkodziła mu wziąć udziału w uczcie wydanej przez Januszkiewicza, trzeba wiedzieć, że na pół roku przed tą ucztą, *Młoda Polska* w Nr. 17 pod datą 20 czerwca 1840 r. dała mu jakby lekkie zadośćuczynienie za dawniejszą obrazę, a to mianowicie w ten sposób, że umieściła wiersz jego »*Na sprowadzenie prochów Napoleona*« z bardzo pochlebnym dla autora przypiskiem: »Szczęśliwem dla nas zdarzeniem, doszedł rąk naszych niniejszy wiersz pana Słowackiego. Pozwolił nam, abyśmy przypuścili naszą publiczność do rozkoszy, jakiej doznaliśmy sami, czytając te piękne strofy«. Słowacki nie był zapewne zupełnie rozbrojony tym dopiskiem, ale sądził, że może teraz bez ujmy dla siebie zająć miejsce przy uczcie u wydawcy *Młodej Polski*.

Uczta była wydawaną na cześć Mickiewicza; na tej uczcie miał spotkać się z tym, za którym przez wiele lat daremnie podążał, aby go prześcignąć na drodze do

sławy, któremu przez tyle lat zazdrościł pierwszeństwa, z którym oprócz tego miał różne rachunki nie załatwione, jak wprowadzenie doktora w *Dziadach,* jak nazwanie jego, Słowackiego, poezyi kościołem bez Boga. Ale ten wielki współzawodnik, którego sława »lekko«, jak się wyraził, zarobiona, tak go trapiła, od kilku lat przestał tworzyć, i nie było to już tajemnicą, i już inni twierdzili o nim, że »przeszedł i minął«. Słowacki, który sypał ciągle nowe utwory, jak z rękawa, którego styl poetycki dosięgał w tym czasie najwyższej doskonałości, którego wyobraźnia kotłowała mnóstwem obrazów, postanowił skorzystać ze sposobności, jaką mu dawała uczta, aby okazać wyższość swoją teraźniejszą nad tym wielkim przeciwnikiem, którego opuściło natchnienie. Znając charakter Słowackiego mam przekonanie, że z tą myślą szedł na ucztę i że z tej to myśli wypłynęły dwie tak zwane improwizacye jego na tej uczcie, które były jakby wyzwaniem Mickiewicza do zmierzenia się z nim na poezyą.

Słowacki, przyjmując zaproszenie na ucztę, mógł być pewnym, że będzie wezwany do przemówienia, czy to wierszem, czy prozą na cześć Mickiewicza, dlatego to improwizacye jego były zapewne z góry obmyślane, nie były we właściwem tego słowa znaczeniu improwizacyami. Tak przypuszczać każe przedewszystkiem okoliczność, że Słowacki nigdy, ani przedtem, ani potem nie występował jako improwizator, nie miał tego zadziwiającego daru, którym jaśniał i tak podbijał serca słuchaczy i widzów w pewnym okresie swego życia Mickiewicz. Trudno więc przypuścić, aby on, tak trwożnie dbający o swoją sławę poetycką, chciał ją, nawet przy szczególnem podnieceniu fantazyi, stawiać na kartę przypadku i puszczać się w takiej właśnie chwili na drogę, nigdy przez siebie nie wypróbowaną. A że wystąpił aż z dwiema improwizacyami bezpośrednio jedna po drugiej i to bez żadnego już wezwania do drugiej, więc możnaby myśleć, że obie te improwizacye, jedną poważną, górną, wojo-

wniczą, drugą łagodną i zabarwioną humorem, miał na wszelki wypadek obmyślane i opracowane w głowie, gdy zasiadał do uczty.

Potrącając te przypuszczenia, nie chcę bynajmniej obniżać poetyckiej wartości owych dwu improwizacyi Słowackiego, ale chcę tylko uwydatnić, że w tym pojedynku na improwizacye, który na owej uczcie stoczyli z sobą dwaj najwięksi poeci polscy, Słowacki o tyle wygodniejsze miał stanowisko, że zaczynał, że obierał broń, że miał daleko więcej czasu i swobody do przygotowania natarcia na przeciwnika, niż ten przeciwnik do przygotowania odparcia.

Cóż było treścią owych dwu improwizacyi Słowackiego? Wiemy o tem tylko tyle, ile zostało w pamięci niektórych słuchaczy i przelało się następnie w opowiadania listowne. Jest też o tem wzmianka w jednej z ostatnich strof *Beniowskiego*, ale poetycznie mętna i urwana, widocznie poeta przykrawywał ową treść do tego usposobienia, w jakiem kończył piątą pieśń *Beniowskiego*. Posłuchajmy naprzód opowiadania gospodarza uczty, Januszkiewicza, które w trzy dni po uczcie przesyłał swojej narzeczonej a późniejszej żonie:

»Przy wieczerzy, której prezydował kochany od nas kasztelan Ludwik Plater, wznoszono rozmaite toasta. Ottavi, Korsykanin, w imieniu Włoch witał Adama, jako wieszcza katolika, tem Adama przeniósł w czasy pobytu w Rzymie. Wezwany Słowacki improwizować zaczął, w swojej improwizacyi wystąpił z całą swoją dumą, którą jednak u końca składa w ofierze przed potęgą geniuszu Adama. Mówił długo o sobie, o wyjściu w świat poezyi, o przyjęciu, jakiego doznał i było wiele ładnych rzeczy, ale to wszystko miało cechę zarozumiałej dumy. Zmęczony umilkł, a kiedy wśród oklasków szemrał ktoś, choć pokryjomu, przeciw niemu, on znowu powstał tłumacząc się z tego, co powiedział, trzema czy czterema strofami oddał hołd Mickiewiczowi i uznał słabość

swoją. Kończył prawie temi słowy: »O ty coś w *Tadeusz* tak pięknie opisał grzybobranie, naśladuj twego Wo skiego ze mną: on przez fantazyą czy kaprys kładł d worka różne grzyby i nieraz omijał rydze, a brał much mory«. Podobało się to wszystkim, dawano brawo« [1]

Drugi uczestnik uczty, Jan Koźmian, nazajutrz p uczcie tak pisał o niej do swoich rzymskich »braci w Chry stusie«, Kajsiewicza i Semenenki. »Był wieczór u Ja nuszkiewicza, ja się przez jakieś przeczucie nań zawk kłem. Improwizował Słowacki i ślicznie, ale wielka dum w wierszach jego przebijała. Rzucił się pod stopy Micki wiczowi, ale nie z czci, tylko zabity. Drugi raz jeszcz mówił, ale już z uczuciem lepszem« [2]). Ten sam świade w pół roku potem podobnie, ale nieco szczegółowi przedstawiał wystąpienie Słowackiego (w Dzienniku N rodowym Nr. 16): »W wierszu pełnym giętkich zwrotów śmiałych porównań i życia, zwycięzcą swoim wieszcz *Dziadów* ogłosił; przebijała czasem gorycz i ironia w jeg strofach, ale piękność ich artystyczna uderzyła słuchacz i kiedy siadł, wielkie się dały słyszeć oklaski. Wszakż w zadowoleniu otaczającego koła zrozumiał improwiz tor więcej admiracyi jak współczucia; za szczęśliwem idą natchnieniem, jeszcze raz do stołu wrócił: »Na łodydz mego życia, mówił do wieszcza Dziadów, dwa błyszcz kwiaty; jeden niechęci ku tobie, ten więdnie i opad drugi przyjaźni, ten rozwija się z pączka. Jakkolwie nizko zakwita, schyl się, aby go zerwać!«

Co się tyczy strofy *Beniowskiego,* streszczającej ow przemówienie Słowackiego, to jakkolwiek mętna, jakko wiek odwołująca wypowiedziane wówczas słowa hołd jest przecież potwierdzeniem dwu przytoczonych wyż świadectw.

---

[1]) Ten list Eustach. Januszkiewicza wydrukowany jest u Wła Mickiewicza, »Żywot Adama Mickiewicza« Poznań 1894 T. III, st 30–34.

[2]) X. Smolikowski op. c. II. 309–310.

Jam ci powiedział, że jak bóg litewski
Z ciemnego sosen wstałeś uroczyska;
A w ręku twem krzyż, jak miesiąc niebieski,
A w ustach słowo, co jak piorun błyska,
Tak mówiąc... ja syn pieśni! syn królewski!
Padłem. — A tyś już następował zbliska!
I nogą twoją jak na trupie stawał?
Wstałem... jam tylko strach i śmierć udawał!

Z zestawienia tych świadectw intencye poety występują bardzo wyraźnie. Chciał on naprzód w olśniewających strofach wyrazić skargę na brak uznania, przeciwstawić ten los swój tryumfującemu pochodowi poezyi Mickiewicza i uznać się zwyciężonym przez niego, ale zwyciężonym niejako zewnętrznie (»rzucił się pod stopy Mickiewiczowi, ale nie z czci, tylko zabity«) jakby gromem jego poezyi (»A w ustach słowo, co jak piorun błyska«). Była w tem może daleka alluzya do ciosu, który ugodził Słowackiego w III-ej części *Dziadów*, alluzya podobna do tej, którą wprowadził do epilogu *Balladyny*, może alluzya do krytyki, która padła z ust Mickiewicza na pierwsze tomy poezyi Słowackiego. Po wypowiedzeniu tej swojej krzywdy, w dwuznaczną szatę hołdu przybranej, a dla niewielu może zrozumiałej, chciał przeciągnąć rękę do zgody, pod warunkiem naturalnie, że przeciwnik uzna w nim równorzędnego sobie przedstawiciela poezyi polskiej, a ponieważ ten przeciwnik przestał tworzyć, więc musi w nim uznać i następcę swojego. Dawał więc Słowacki jakby do wyboru wojnę lub pokój swemu przeciwnikowi, a przedewszystkiem chciał olśnić zgromadzonych wielbicieli Mickiewicza potęgą swojego stylu, rozsypać przed nimi gwiaździste skarby swojej fantazyi, i w ten sposób okazać wyższość swoją nad przeciwnikiem, który zdawał się już być tylko wygasłym wulkanem poezyi.

Że pod formą hołdu było wyzwanie ze strony Słowackiego, tak to zrozumiał i Mickiewicz. Żeby dokładnie przedstawić sobie znaczenie tej sceny i to wrażenie, jakie

dalszy jej przebieg wywarł na obecnych, trzeba pamiętać, że zgromadzeni na tej uczcie byli to ludzie z nielicznym wyjątkiem skazani na niedolę tułactwa, ludzie, którzy wielbili i czcili poezyę Mickiewicza, nietylko dla jej piękności artystycznej, ale jeszcze więcej dlatego, że streszczała wszystkie ich bole i tęsknoty patryotyczne i dawała im, szczególnie w *Panu Tadeuszu*, idealny obraz tego, co utracili, a do czego nie przestawali tęsknić, ludzie, którzy od wielu lat przywykli byli widzieć w Mickiewiczu, jako poecie, duchowego wodza narodu. Trzeba pamiętać, że umysły były podniecone i ucztą i różnemi produkcyami muzycznemi, które ją poprzedziły, i rozmową towarzyską i późną porą nocną, i że po improwizacyach Słowackiego, zwróconych do Mickiewicza, cała uwaga obecnych musiała się skupić na tych dwóch poetach. Jeden z nich był dla wielu obojętny, może nawet z powodu swej pychy niemiły, ale podziwiać musieli świetność jego improwizacyi. Drugi był im nierównie droższy, ale o drugim dobrze wiedzieli, że od sześciu lat, od napisania *Pana Tadeusza*, przestał tworzyć. Nie wniknęli może we wszystkie zwroty myśli Słowackiego, ale i dla nich nie mogło się zupełnie utaić wyzwanie, zawarte w strofach jego. Otóż łatwo sobie wyobrazić, jaki niepokój wewnętrzny trapił niejednego z nich, jak oczekiwano tego, co ma nastąpić: czy Mickiewicz przyjmie wyzwanie, czy odpowie Słowackiemu i jak odpowie? Czy odnajdzie w sobie dar improwizatorski, którym słynął niegdyś przed wielu laty, który uwiecznił nawet w III części *Dziadów*? Czy znajdzie tyle natchnienia, aby odpowiedź jego mogła dorównać świetnym strofom Słowackiego?

Ze wszystkich opisów tej sceny najlepiej i najwierniej, mojem zdaniem, maluje ją cytowany już opis Jana Koźmiana: »Wieszcz *Dziadów*, pisze on, milczał, pasował się z natchnieniem; powstał w końcu i w poważnej, dziwnie prostej osnowie wzniósł pieśń miłości przeciw pieśni współzawodnictwa, przypomniał młodemu przeciwn-

kowi lata dziecinne, mówił mu, dlaczego ludzie za nim nie poszli, mówił i o sobie, jak nieraz jeszcze niewiary doznaje. Skończył, jak zaczął: spokojnie i wzniośle. »Dla poety jedna tylko droga... ztąd (z serca) — przez miłość tam — do Boga«. Kto był obecny tej wspaniałej improwizacyi, nie zapomni nigdy natchnionego oblicza drugiego poety (Mickiewicza), poważnej harmonii jego twarzy. Nie było tam popisu, nie było walki. Przy końcu uściskali się improwizatorowie: żaden nie zwyciężył, żaden nie był zwyciężony. Jeżeli który z dwóch zwyciężył, to ten, co czuł więcej, co szczerzej dłoń drugiego chwytał. Tak to zrozumieli obecni« [1].

Wierność tego opisu najlepiej stwierdzają świadectwa listowne samychże poetów. »Wczoraj — pisał Mickiewicz nazajutrz po uczcie do Bohdana Zaleskiego — byliśmy na sutej uczcie u Eustachego Januszkiewicza. Wyzwany przez Słowackiego improwizacyą, odpowiedziałem z natchnieniem, jakiego od czasu pisania *Dziadów* nigdym nie czuł. Było to dobrze, bo wszyscy ludzie różnych partyi rozpłakali się i bardzo nas pokochali i na chwilę wszyscy napełnili się miłością. W tę chwilę duch poezyi był ze mną« [2]. A Słowacki w kilka miesięcy potem w jednym z listów do matki pisał o Mickiewiczu: »w improwizacyi nietylko mi przyznał to, co mi należy, ale jeszcze chwalił się w niej, mówiąc, że Ty mu sama moje małe próbki dawno, dawno pokazywałaś, a on Tobie już wtenczas przepowiedział, że mnie wielka i świetna czeka przyszłość... Tem wziął mię za serce i tego wieczora byliśmy z nim jak dwaj bracia, ściskaliśmy się, chodzili, opowiadając sobie nasze przeszłe zatargi... I gdyby nie ludzie, którzy to wszystko popsuli, byłoby dotychczas zupełnie dobrze« [3].

Z tych i innych świadectw można dość dobrze wyro-

[1]) Dziennik Narod. Nr. 15 z dnia 10 lipca 1841 str. 60.
[2]) Koresp. Ad. Mick. T. I, str. 230.
[3]) Listy Jul. Słow. T. II, str. 148.

zumieć tok i nastrój odpowiedzi Mickiewicza. Koźmi trafnie ją nazwał: »pieśnią miłości« w przeciwstawien do »pieśni współzawodnictwa«. Mickiewicz, poruszony w zwaniem ze strony Słowackiego, w tem skupieniu ducl które to wyzwanie wywołało, a wśród którego zstąpił n dawno niewidziany gość, duch poezyi, — w tem skup niu oczyścił duszę swoją z wszelkiej niechęci, jaką mć mieć ku Słowackiemu i chciał tylko pokazać jemu, a razem innym słuchaczom, tę różnicę, jaka ich dzieliła, żnicę stanowisk, jako poetów, i wypływającą stąd różni ich stosunku do społeczeństwa. W pokazaniu tej różni była nauka dla Słowackiego, nauka ostatecznie dająca sprowadzić do owego porównania jego poezyi z piękny kościołem bez Boga, które tak jątrzyło Słowackiego, nauka podana ręką starszego brata, bez cienia zawiś z gorącem współczuciem i szczerem uznaniem dla je genialnych zdolności. Więc jeżeli poezya Słowackiego zyskała uznania, nie przemówiła do serc narodu, to d tego, że płynęła jedynie z głowy, ze świetnej fantaz bez udziału serca i nie niosła z sobą tego, co tylko se dać może i czego naród przedewszystkiem łaknie — wia i miłości. Na tej drodze on, Mickiewicz zdobył laury; dro ta stoi otworem i dla Słowackiego.

Wrażenie, wywołane improwizacyą Mickiewicza, b ogromne, nietylko dla jej treści i tonu, nietylko z powo nastroju obecnych i ich wytężonego oczekiwania, czy o zwie się wielki poeta, którego głosu poetyckiego oddaw nie słyszano, ale także i z powodu owego dziwnego pr obrażenia, jakie się zwykle objawiało w twarzy poe gdy schodziło nań natchnienie, gdy poczuwał w sobie s improwizatorską. Wiemy od Odyńca, że w czasach wil skich przemiana w twarzy i w głosie Mickiewicza p czas improwizacyi działała na słuchaczów silniej, niż sa słowa[1]). Z uczestników obecnej uczty mało kto słys

[1]) O wrażeniu, jakie wywolały wileńskie improwizacye Mick

i widział Mickiewicza improwizującego, mało kto był dawniej świadkiem owego cudownego zjawiska, owego wcielonego natchnienia, to też im bardziej było niespodziane, tem silniej działało na obecnych. »Cała twarz jego przybrała jakąś anielską postać; dziwna, niepojęta światłość otoczyła jego skronie. Powstali wszyscy jakby na zjawienie się bóstwa, przychodzącego odwiedzić śmiertelnych« z takim zachwytem pisał gospodarz uczty do swojej narzeczonej w cytowanym już liście, a Stefan Witwicki, który nie był na tej uczcie, ale wiele słyszał o niej, donosił Bohdanowi Zaleskiemu w kilka dni potem, że »ta uczta było to coś bardzo wielkiego. dziwnego, nadprzyrodzonego. Wszyscy są tem jak pijani. Widziałem już kilkanaście osób z tych, co były obecne i nie sposób sobie wystawić, z jakiem wzruszeniem o tem mówią. Twarz Adama miała być w ten moment jak anielska, spokojna, piękna, jasna. Dość ci powiedzieć, że Kaszyc płakał całą noc, a Szadurski, który także nie jest entuzyastą, wczoraj mi jeszcze przysięgał, że gdyby mu Adam kazał skoczyć z najwyższej wieży, skoczyłby natychmiast« [1].

I na Słowackiego nietylko to, co znalazł on pochlebnego dla siebie w odpowiedzi Mickiewicza, ale sam ów czar promieniejący z natchnionej postaci poety musiał działać, skoro i on według własnego świadectwa obejmował braterskim uściskiem Mickiewicza, a nawet, jak niektórzy twierdzili, płakał. Koźmian w cytowanym już opisie powiedział, że nie było tam zwycięzcy, ani zwyciężonego, i było to słuszne o tyle, o ile tryumf jest równoznaczny z poniżeniem przeciwnika. Tu takiego zewnętrznego tryumfu nie było, skoro przeciwnicy rzucili się sobie w objęcia ze szczerem uczuciem braterstwa, ale był przecież po stronie Mickiewicza wysoki tryumf moralny, skoro

wicza, szczegółowo mówiłem w książce »Młodość Mickiewicza« T. II, str. 290—297.

[1]) Kronika Rodzinna 1883 Nr. I, str. 14.

jego przemówienie taki wywołało skutek, że przeciwnika zamieniło w brata: Słowacki był tu zwyciężony wewnętrznie, w sercu swojem, tak samo jak wtedy, gdy po przeczytaniu *Pana Tadeusza*, pomimo głębokiej nienawiści dla autora *Dziadów*, pochylił głowę przed jego nowem arcydziełem.

Ale ten błogi nastrój w Słowackim, wywołany ucztą, nie trwał długo; podrażniona różnymi okolicznościami ambicya poety prędko wzięła górę nad tem uczuciem, z jakiem obejmował swego przeciwnika na uczcie, i to, co mogło się stać początkiem przyjacielskiego stosunku z Mickiewiczem, stało się powodem namiętnej walki, którą mu wytoczył w *Beniowskim*.

Januszkiewicz zachwycony przebiegiem uczty i dumny z tego, że był jej gospodarzem, że to jego Bóg »wziął za narzędzie pokazania tym, co wierzyć przestali w ducha w ducha Adama, że to jest lew na spoczynku«[1], podał pomysł uczczenia tej chwili wspaniałym puharem, który wraz z odpowiednim adresem, przez uczestników uczty podpisanym, miał być ofiarowany Mickiewiczowi. Dawało mu to sposobność wyprawienia drugiej uczty, i czynił on wszelkie starania, aby ta nowa uczta była powtórzeniem »górnie przeżytej« chwili, a nawet większe niż tamta przyniosła rozkosze. Zdawało mu się zapewne, że w ten sposób rozbudzi drzemiący geniusz Mickiewicza, a nie wiedział, czy nie pamiętał o tem, że takie »górne« chwile przychodzą same przez się, a nigdy się nie zjawiają na zamówienie.

Pomysł, podany przez niego, przyjęty był z zapałem przez uczestników uczty, którzy i na drugą stawić się mieli, pieniądze na zakupienie puharu prędko się znalazły, chodziło o sposób wręczenia. Układającym plan nowej uczty zdawało się, że najstosowniej będzie poruczyć tę zaszczytną rolę temu, który swoją poezyą wywoła

[1]) Słowa z listu do narzeczonej.

improwizacyę Mickiewicza, a w hierarchii poetyckiej zajmował jedno z najwyższych miejsc po nim — Słowackiemu[1]). Ale znaleźli się oni w położeniu Podkomorzego z' *Pana Tadeusza*, który przysądzając skórę z zabitego niedźwiedzia Hrabiemu, »myślał, że Hrabiego ucieszył — nie wiedział, jak boleśnie serce jego przeszył«. Czar braterskiej miłości, który ogarnął duszę Słowackiego przy końcu uczty, pierzchnął bardzo prędko: drażliwa ambicya wzięła górę na pierwszą myśl, że to on jest teraz panującym królem poezyi polskiej, bo dawniejszy już »przeszedł i minął«, że zatem przynajmniej równe hołdy im się należą, a tu mu każą przy oddawaniu puharu hołdownicze zajmować stanowisko. Zrodziło się w nim zaraz podejrzenie, że jest w tem ukryta chęć upośledzenia go i upokorzenia. »Trzeba, abyś wiedziała — pisał do matki w listopadzie 1841 r. — że przyjaciele mego antagonisty widząc, że z równą sławą wychodzimy, umyślili zaraz, aby mnie czemkolwiek zbić i strącić, więc umyślili dwie rzeczy: 1) abym ja jemu za tę improwizacyą oddał puhar, co było niby uznaniem mego wasalstwa; 2) napisali zaraz do dalekich stąd pism wielkie kłamstwo... jakoby mi Adam powiedział, że nie jestem poetą« [2]).

[1]) P. Hoesick (l. c. III, 88 - 91), na podstawie listu, który otrzymał od Leonarda Niedźwiedzkiego, jednego z uczestników uczty, (szkoda, że listu tego nie ogłosił w całości, zamiast użyć go za kanwę do własnego haftu) opowiada, że pierwotnie był zamiar, aby obu poetów uezcić puharami, i że Słowacki wiedział o tym zamiarze. Czy przynajmniej w tym ostatnim szczególe nie zawiodła pamięć Niedźwiedzkiego, jak to się stało np. z Romanem Załuskim lub z Januszkiewiczem, który w liście do Maleckiego z roku 1867 opisując drugą ucztę, najwyraźniej — a przecież, jak skądinąd wiemy wbrew prawdzie — opowiadał, że «przy wieczerzy Juliusz pił zdrowie Adama i oddał mu kielich». (Juliusz Słowacki wydanie 3-cie T. II, str. 240). Niedowierzanie względem opowiadania Niedźwiedzkiego nasuwa się z tego powodu, że Słowacki lubił się chwalić przed matką wszelkimi tryumfami swymi, nawet niedoszłymi, a o tym szczególe wcale nie wspomina.

[2]) Listy II, 148.

Otoż tu Słowacki powiązał z sobą dwie rzeczy, któ niewątpliwie nie z jednej wypływały pobudki. O drug rzeczy potem będzie mowa; co się tyczy pierwszej, u trywanie wasalstwa w oddaniu puharu Mickiewiczo i ukrytej złej myśli w tych, którzy mu to proponow świadczyło tylko, że Słowacki zajęty wyłącznie sw osobą i tą rolą następcy po Mickiewiczu, który już »pr szedł i minął«, jaką mu Krasiński wyznaczył, nie spostrz gał, jak słuszną, naturalną, a nawet zaszczytną była p pozycya, którą mu czyniono, jak słuszną i naturalną by rzeczą, że hołd zgromadzonych na uczcie zwracał się w łącznie do tego, na którego cześć ta uczta była wydan który nietylko niespożyte skarby poezyi dał narodowi, a teraz w imieniu tego narodu miał głos zabierać wob Europy z katedry w Collège de France, który naresz był sprawcą owego cudownego podniesienia ducha, w kiem się uczta zakończyła.

W jaki sposób Słowacki wymówił się od tego z szczytu, w którym widział oznakę wasalstwa, nie wiem ale to pewna, że się wymówił. Widocznie jednak wst mu było zupełnie zapierać się tych uczuć, wywołany improwizacyą Mickiewicza, które go rzuciły w objęc przeciwnika, skoro nie odmówił swego podpisu na ad sie, który miał być wraz z owym puharem doręczo Mickiewiczowi, a brzmiał jak następuje:

»Polacy w liczbie trzydziestu siedmiu, dnia dwudz stego piątego grudnia 1840 roku w gronie spólnem z Ad mem Mickiewiczem zebrani, przechowują w sercach sw ich drogą pamięć chwili górnie z nim przeżytej. A imio swe tu zapisują w hołdzie uwielbienia i miłości«.

Kładąc swój podpis na tym adresie, nie przewidyw Słowacki, jak prędko i w jak rażący i namiętny spos zaprzeczy w końcowych strofach Beniowskiego podpis nym przez siebie słowom »uwielbienia i miłości«. — I czasu niechęć jego z powodu nowego hołdu dla Micki wicza zwracała się głównie przeciw tym, którzy go chci

w jego mniemaniu wykierować na wasala, najwięcej zapewne przeciw Januszkiewiczowi, który w tem wszystkiem był *spiritus movens*. Ze swojej strony Januszkiewicz i jego pomocnicy w organizowaniu hołdu musieli być urażeni odmową Słowackiego, tem bardziej, że druga uczta nie odpowiedziała nadziejom przez nich żywionym i kiedy wzywany do zastąpienia Słowackiego Bohdan Zaleski, mieszkający wówczas w Fontainebleau »przez pierzchliwość ptasią i obawę niezasłużonej owacyi«, jak sam pisał [1]), nie zjechał do Paryża i nie zjawił się na uczcie — nie było odpowiedniej osoby do wręczenia puharu Mickiewiczowi.

Zamiast w duchu owej miłości, która ogarnęła wszystkich po improwizacyi Mickiewicza na pierwszej uczcie, puścić płazem urazę i wybaczyć Słowackiemu chorobliwą drażliwość ambicyi, Januszkiewicz sam, czy przy pomocy innych, postanowił ukarać go za odmowę, zemścić się w sposób niezmiernie dotkliwy, szczególnie dla Słowackiego, który był tak czuły na wszelki głos drukowany. Na podstawie listu Januszkiewicza do narzeczonej, w którym znajdował się bardzo szczegółowy opis pierwszej uczty, ułożono artykuł, opisujący tę ucztę w sposób dla Słowackiego bardzo nieprzychylny, w jaskrawem świetle wystawiający jego pychę i zarozumiałość i opacznie tłómaczący słowa Mickiewicza zwrócone do Słowackiego — i nadawszy artykułowi temu tytuł »Improwizatorowie«, przesłano go *Tygodnikowi literackiemu* w Poznaniu, który go umieścił w numerze z dnia 22 lutego 1841 (Nr. 8). W artykule nie wymieniano wprawdzie poetów po nazwisku, tylko po imieniu, ale była to zasłona tak przeźroczysta, że właściwie nic nie zakrywała, a tylko nadawała artykułowi pozór pewnej dyskrecyi.

Otóż w tym artykule powiedziano, że »drugi poeta,

---

[1]) Korespondencya Józefa Bohdana Zaleskiego wydał Dyonizy Zaleski. — Lwów 1900, T. I, str. 194.

którego nazwijmy sobie Juliuszem, wystąpił z całą dui szatańską, którą jednakże geniuszowi Adama kładł u n Mówił długo o sobie o swojem wejściu na świat poe czny, o zimnem przyjęciu, którego doznał; wiele pięknj rzeczy, w wierszach odrazu wprost i z duszy wylany powiedział z zapałem — ale wszędzie przebijała się je duma i zarozumiałość«. To był jeden ustęp, odnoszący do Słowackiego, a ujemnie go przedstawiający, jako sznego i zarozumiałego, ale nie ten ustęp dotknął go n boleśniej, nie zarzut »szatańskiej dumy« uraził najdra wszą stronę jego ambicyi, zwłaszcza, że był pewne opleciony pochwałami. To, co go jak rozpalonem żelaz przypiekło, to był dalszy ustęp, streszczający słowa ckiewicza. »Adam odpowiedział Juliuszowi, wyrzucał jego grzechy poetyckie. Oświadczył wręcz, że on nie j poetą. Tłómaczył, co go zgubiło. Nie jesteś poetą, mów bo nie masz wiary i miłości«. Więc w streszczeniu imp wizacyi Mickiewicza omijano zupełnie to, co tak zjedn Słowackiego, przepowiednię o wielkiej i świetnej pr szłości, wypowiedzianą przez Mickiewicza matce Słov ckiego o jej jedynaku, a objaśnienie Mickiewicza, że poez Słowackiego nie znalazła oddźwięku w narodzie dlate że w niej naród nie znajdował miłości i wiary, przek cono na stanowcze zaprzeczenie prawa do tytułu poe

Łatwo zrozumieć, znając naturę Słowackiego, jak wzburzony, przeczytawszy ten artykuł. Jemu, który od się cały poezyi, który żył tylko nadzieją sławy poetyck który czuł całe bogactwo swojej fantazyi, któremu K siński przyznawał berło poezyi polskiej po Mickiewic i który właśnie sądził, iż swoją improwizacyą na ucz zbliżył się do osiągnięcia tego berła — jemu zaprzecza publicznie nawet tytułu poety i to zaprzeczenie wkłada w usta człowieka, którego głos był dla wielu wyrocz

Słowacki jakiś czas zapewne liczył na to, że Mick wicz wystąpi ze sprostowaniem słów fałszywie mu pr pisanych. Ale Mickiewicz obarczony przygotowywani

wykładów, z których każdy był dla niego »jak bitwa« albo według słów listu jego do Domejki »jak podróż przez Pampas, skroś tygrysów i Indyanów«, trapiony w domu obłędem żony, który się ciągle powtarzał, i chorobą dzieci, nie miał czasu ani ochoty do czytania bieżących rzeczy i nie czytał owego artykułu zaraz po jego wyjściu. W to Słowackiemu, chciwie chwytającemu z dzienników wszystko, co się do jego osoby odnosiło, trudno było uwierzyć, to też w dziesięć miesięcy po tej uczcie nie dowierzał własnemu zapewnieniu o tem Mickiewicza. »Trzeba ci wiedzieć, pisał wtedy do matki, że Adam o tym kłamstwie, dla niego uczynionem, niby nie wiedział, przynajmniej tak mi to teraz mówił, ale powinien był wiedzieć odeprzeć...« [1]. Posądzał więc Mickiewicza, że ów artykuł był napisany za jego wiedzą i wolą i zapewne analizował skrzętnie to, co mu w pamięci zostało z improwizacyi wielkiego przeciwnika, aby się przekonać, czy w istocie nie ukrywało się w niej coś podobnego do owego »nie jesteś poetą«. Zresztą cokolwiek powiedział Mickiewicz, Słowacki miał mu już to za złe, że z jego nawoływania na drogę miłości i wiary mogli słuchacze wywnioskować, że on mu odmawia tytułu poety. A czy w tych wierszach, które zapamiętano:

Ja rymów nie dobieram, ja wierszy nie składam,
Takem wszystko napisał, jak tu do was gadam...

nie zawierała się alluzya do Słowackiego, ukryta myśl, że jego poezya jest dobieraniem rymów i składaniem wierszy? To, co w całości, owianej tchnieniem braterskiego uczucia, nic nie raziło, i nie przeszkodziło wcale Słowackiemu rzucić się w objęcia Mickiewicza, teraz rozważane z osobna, w rozdrażnieniu i wśród podejrzeń wywołanych artykułem »Improwizatorowie«, nabierało innego, wrogiego znaczenia. Obudziły się przytem wszystkie dawne, przez jakiś czas drzemiące zawiści i niechęci do Mickiewicza

[1] Listy II, 148.

i poczuł on w piersiach gwałtowną żądzę zemsty na którego wielkość nie przestawała go dotąd przygn gwałtowną chęć rozprawienia się z tym, który z się ciągle stawać mu na drodze sławy. A przeświad o mocy i ostrości swojej klingi poetyckiej i o zwin swego ramienia, postanowił rozprawić się ze swoim kim przeciwnikiem, tylko nie tak, jak to uczynił na u gdzie chciał odnieść zwycięstwo, olśniewając przyton gwiaździstym deszczem swej improwizacyi, uderzen osłaniał pozorami hołdu: ale nacierając otwarcie, w I z impetem na przeciwnika, siekąc go i rąbiąc w recepty Krasińskiego — mylnie tym razem zastosov i oto z jakich pobudek wypłynęły ostatnie strofy pieśni *Beniowskiego*.

Ale w chwili gdy poeta zabierał się do walki ze s wielkim przeciwnikiem, już piąta pieśń *Beniowskieg* to wiemy z autografów poety, była zamknięta, już r rozpoczęta szósta. — To pierwotne zamknięcie piąte śni [1]) jest godne uwagi naprzód jako jeden z najpię szych ustępów lirycznych Słowackiego, powtóre jako zupełniejsze przeciwieństwo z późniejszem zakończe Był to hymn na cześć matki, pełen głębokiego żalu, sn i synowskiej wdzięczności, najpiękniejszy pomnik p cki, jaki Słowacki swojej matce wystawił·

Do ciebie, matko moja, twarz obrócę;
Do ciebie znowu, tak jak anioł biały,
Z obłędnych krajów położyć się wrócę
U twoich biednych stóp, bez szczęścia, chwały,
Lecz bez łzy próżnej ..

. . . .

[1]) Małecki umieścił je (wraz z kilku poprzedzającemi st w których występują Beniowski i Swentyna nad Bohem) w d tomie *Pism pośmiertnych* Słowackiego (str. 156—159) jako jeden datkowych luźnych urywków niewiadomo do której pieśni należ ale nie wskazał, że urywek ten w pierwotnym planie nale pieśni piątej.

Z błogosławieństwa twego miałem blaski
Gwiazdom podobne i cień w puszczach Gazy...
Nieraz ćwiek rdzawy u podróżnej laski
Rył imię twoje...

. . . .

I nad potokiem Elektry tyś była
Ze mną! Na każdem miejscu, gdzie z przeszłości
Dolata płaczu głos, o moja miła,
Wszędzie, gdzie w polach bieleją się kości
I woła głosem rycerskim mogiła
O zemstę — wszędzie, gdzie człowiek zazdrości
Umarłym i chęć śmierci duszą pije:
Tyś była ze mną, jam cię czuł — i żyję.

. . . .

Wszędzie miłosne twoje oddychanie
Liczyło mi czas, co upływał w ciszy;
W tych strofach jeszcze — kiedy rym ustanie —
Niechaj czytelnik na końcu usłyszy
Moje twych biednych stóp pocałowanie,
Bo łez nie słyszał...

Co za kontrast w zestawieniu tego aktu pokornego żalu i miłości synowskiej z aktem szaleństwa i samoubóstwienia, który zajął jego miejsce! Ale nie uprzedzając analizy tego ostatniego aktu, którą na właściwem miejscu podam, chcę tu zwrócić uwagę na związek, jaki zachodzi między przytoczonym zwrotem do matki, a współczesną korespondencyą poety, zdolną objaśnić genezę tej cudownej perły liryzmu. W początkach 1841 roku, jeszcze przed ukazaniem się artykułu o improwizatorach, otrzymał Słowacki jakiś list od matki, w którym ona wyrażała obawę, aby syn nie myślał, że ona go kochać przestała. Czułe serce matczyne musiało w liście syna znaleść jakiś zwrot, który w niej tę obawę wywołał. Obawa była niesłuszną, bo Słowacki wprawdzie nie zawsze odpłacał się matce miłością synowską, godną macierzyńskiej, ale nigdy na chwilę nawet nie wątpił o tej ostatniej. I teraz (16 lu-

tego 1841 roku) pisał do matki: »Nigdym nie myślał, droga moja, że ty mnie kochać przestałaś. Niestety, tak kochać, jak ty kochasz, nikt nie umie na świecie; boli mnie tylko, że ja ci mojej miłości niczem dowieść nie mogę, dlatego w słowach moich jest czasem jakaś smutna niespokojność. Gdyby nie to, byłoby mi dosyć dobrze na ziemi, stałem się bowiem spokojniejszy, weselszy prawie, w wielu rzeczach mniej niecierpliwy, to jest rozsądniejszy, słowem, świat mi był nauką niezbyt gorzką, pełną wspomnień i wrażeń«.

Słowackiemu chodziło o to, aby uspokoić matkę o siebie[1]), a zarazem, aby dać jakąś przeciwwagę jej tęsknocie macierzyńskiej, która ją coraz silniej gniotła, podczas gdy nadzieja połączenia się z synem stawała się coraz dalszą i mglistszą, więc dodawał: »Nie darmo żyliśmy i tęskniliśmy; to przeświadczenie powinno i tobie osłodzić czasem marzenia szarych godzin«. Żeby zaś dowieść, że nie darmo żyli i tęsknili, tak pisał dalej: »Ty wiesz, droga, jakem ja niegdyś nie lubił egzaltacyi próżnej i wielkim nieszczęściem nieusprawiedliwionej (odnosiło się to do matki, którą Słowacki w swoim pamiętniku z roku 183[illegible] nazywa egzaltowaną). Lecz teraz nasze myśli smutne być mogą, a kto nas obaczy chodzących w ciemności, albo patrzących w blade oczy księżyca, ten jużby szaleńcem był, gdyby się szydzić odważył. Tak więc najpiękniejszy stan duszy, to jest jej anielskość stała się nam dozwoloną i zwyczajną, wszak nieprawdaż?«

Znaczyło to, że matka nie miała dawniej prawa do stanu egzaltacyi, a teraz je dzięki cierpieniom rozłąki posiadła. Dla marzycielsko nastrojonej matki pociecha ta niewątpliwie mogła mieć pewne znaczenie, ale poeta czując słabość argumentu, nie omieszkał wzmocnić go innym

---

[1]) Zwracam uwagę na wyrażenia listu »dosyć dobrze«, »weselszy prawie«, »nauką niezbyt gorzką«, które świadczą, że poecie trudno było wbrew prawdzie upewniać matkę o swoim spokoju.

ważniejszym, wyznaczeniem jej pierwszego miejsca w swojem sercu i obietnicą poetyckiej aureoli dla niej i dla jej smutku. »A teraz bez egzaltacyi (!) i prosto ci napiszę, że ty zajmujesz pierwsze miejsce w sercu mojem; gdybym umierał, kazałbym spalić i odnieść ci serce moje, bo jego popiół do nikogo innego nie należy. Zawsze czegoś brakowało tym, którym je oddać chciałem. Najpiękniejszej z córek moich dam imię twoje chrzestne, i to imię długo będzie brzmiało owiane zapachem konwalii, która rośnie na Czerczy; to jedno mogę: dźwięk, głos, echo dać naszemu smutkowi«.

»Najpiękniejszą z córek«, o której tu wspomina Słowacki, była niewątpliwie Salomea z dramatu, nazwanego przez wydawcę *Horsztyńskim*. Widocznie zamyślał wówczas Słowacki o wykończeniu i wydaniu tego utworu; ale nim to miało nastąpić, chciał wywiązać się z danej obietnicy już w *Beniowskim*, to jest »dać echo« anielskiemu smutkowi, wiążącemu dusze syna i matki i pod wpływem uczuć rozbudzonych ostatnim listem matki napisał owo rzewne zakończenie pieśni piątej.

Wtem niespodzianie pojawił się ów nieszczęsny artykuł o improwizacyach, przypiekł najboleśniej ambicyą Słowackiego i wywołał w nim niepowstrzymaną chęć prędkiego rozprawienia się z Mickiewiczem wobec świata. Postanowił on zatem, nie przedłużając poematu, który dopiero w szóstej pieśni miał zacząć opiewać wojenne czyny bohaterów [1]), to, co już było napisane, odpowiednio przerobić, ułożyć, zakończyć ostrzem, wymierzonem w Mickiewicza i natychmiast ogłosić drukiem. W przerobieniu musiała doznać wielkich zmian pieśń piąta i ów końcowy pełen głębokiej rzewności zwrot do matki odpadł, ustępując miejsca szalonym zapędom walki o sławę [2]).

[1]) Porówn. wydane przezemnie *Nieznane fragmenty i waryanty Beniowskiego* Bibl. warsz. 1902 T. III, str. 215 (a także obszerniej w Gazecie Lwowskiej 1902 Nr. 211—223).

[2]) Zdaje się, że i pieśń czwarta doznała wtedy przeobrażenia,

Zanim przypatrzymy się tym zapędom i wogóle walce, którą poeta wytoczył w tym poemacie światu, a raczej swojemu społeczeństwu za to, że nie chciało uznawać jego wielkości, należy się przedtem jeszcze kilka słów epickiemu wątkowi poematu, (o którego znaczeniu mówiłem już wyżej), ponieważ wiązał się on z tą walką, odgrywał po części taką rolę, jaką w procesach odgrywają dokumenta dowodowe, mianowicie miał świetnością obrazowania uzasadnić pretensye poety do wielkości. O obrazy też tylko chodziło w epickiej części *Beniowskiego*, poeta obierał wyszukane, malownicze sytuacye, aby je odziać w czarodziejskie barwy, a bynajmniej nie troszczył się, że tym obrazom brak nieraz logicznego powiązania, psychologicznego uzasadnienia. Dość jest przypomnieć, jak nienaturalnego sposobu używa niańka Anieli, ażeby sprowadzić Beniowskiego do Anielinek, a ksiądz Marek, żeby doręczyć Dzieduszyckiemu wydany na niego wyrok, jak nienaturalnym dalej jest ów dąb, do którego chroni się przed żołdakami Swentyna, albo raczej jak nienaturalnem jest zachowanie się żołdaków, którzy mogąc najswobodniej wyciągnąć ją z szerokiego jak namiot dębu, tak

---

a mianowicie, że wtedy dopiero wprowadził do niej poeta ustęp poświęcony «kochance pierwszych dni». Tak się należy domyślać z dopisku, zrobionego ołówkiem przez wuja poety na autografie pierwotnego zakończenia pieśni piątej, gdzie jest ów rzewny zwrot do matki. Dopisek jest taki: «Te strofy przerobione z matki do kochanki są drukowane na końcu IV pieśni». Wprawdzie porównawszy dwa te ustępy ze sobą, trudno powiedzieć, aby jeden był prostem przerobieniem drugiego, wszakże jest między nimi widoczna analogia. Jak w jednym jest wyłączne oddanie się matce, tak w drugim kochance, jak w jednym myśl o matce, tak w drugim o kochance towarzyszy poecie we wszystkich wędrówkach. Dwa te ustępy razem nie mogły figurować w jednym poemacie, bo byłyby częściowo przynajmniej wzajemnem zaprzeczeniem siebie. Dlaczego poeta odrzucił zwrot do matki, a wstawił podobny zwrot do kochanki, do tej kochanki, z której tak złośliwie drwił przed czterema laty? Niestety, zdaje się, że i tu przyczyną było zamiłowanie Słowackiego w teatralności.

›rokiego, że mógł go ksiądz Marek użyć za swoję kanaryę, zamiast tego wolą ją upiec. Za szczyt nienaturalści można uważać tę scenę, kiedy ksiądz Marek, patrząc pojedynek Beniowskiego z Sawą, zamiast natychmiast wiedzieć się, o co chodzi i pogodzić walczących, poala im bić się, aby sobie trochę krwi utoczyli, bo to potem uczyni rozważniejszymi w boju. A przecież to › były żarty, gdy Sawa z pistoletu celował prosto w czoło niowskiego.

Ale poecie nie chodziło wcale o prawdopodobieństwo, ko o malowniczość obrazów i dlatego rozwiązanie walki ędzy dwoma bohaterami poematu poruczył Swentynie, nieważ to mu dawało sposobność do popisania się obran, bardzo sztucznym, ale pełnym eterycznego wdzięku, którym nikt mu dorównać by nie mógł. Wirtuozostwo, strzowstwo Słowackiego w tym obrazie sięgało zenitu o jest ów obraz:

Z obłoków spadła na konia ze śniegu,
Na którym siedział pan Sawa złowrogi.
Nim się obejrzał, już na siodła brzegu
Stojąca za nim, jak Olimpu bogi,
Prosta i naprzód podana do biegu,
Chwyciła za lejc i na tylne nogi
Podniósłszy konia z rycerzem do góry,
Tak pomięszała go, że strzelił w chmury.

I nie czekając, aż poprawi strzału,
Lejcem i głosem zagrzawszy rumaka,
Rzuciła w galop taki pełny szału,
Że galop konia był jako lot ptaka,
A ta dzieweczka, by duch ideału,
Stojąc nóżkami na końcu czapraka,
Resztą się ciała, strach przechodzi mrowi!
Oddała całkiem unieść błękitowi.

I błękit ją wziął tak zrównoważoną,
Z rozciągniętemi jako ptak ręczęty.
Z włosów, co były na głowie koroną,
Naprzód się zrobił złoty wąż zwinięty

W kłęby i leciał wraz za tą szaloną
W połyskające ją chcąc winąć skręty.
I różne kwiaty wyrzucał ze skrętów,
Które goniły ją mgłą dyamentów.

Za włosem i za kwiatami i za nią
Pędziły równym dwa gołębie lotem,
Nie widzę więcej, jary się tumanią,
Dymnej kurzawy przesłonięte złotem;
W kurzawie rycerz znika z moją panią;
Jeszcze raz galop konia runął grzmotem,
Jeszcze raz jeździec na wierzchołku góry,
Jak z ametystu, z płomienia i z chmury

Błysnął i zniknął...

W tym obrazie nie ma za grosz uzasadnienia psychologicznego, bo przecież rozmija się z wszelkiem prawdopodobieństwem przypuszczenie, że Sawa, przed chwilą roznamiętniony walką, teraz najspokojniej, jakby z założonemi rękami, pozwala się wieść dziewczynie — nie wiedząc dla czego, dokąd i po co; — ale obraz to nieporównany swoją malowniczością, powietrznością, wdziękiem linii i barw, mistrzowstwem w szczegółach, cudowne malowidło dekoracyjne, gdzie nie chodzi o wzorowanie życia lub natury, o symbolizowanie idei, a tylko o malownicze grupowanie przyjemnych dla oka motywów. A ta Swentyna, nawpół cyrkowa amazonka, nawpół stepowa królewna, nawpół cyganka wzorowana na różnych Esmeraldach, nawpół ukraińska dziewczyna, ta Swentyna, pędząca rumaka Sawy, mimowoli poety stała się jakby uosobieniem jego muzy, naśladowniczej, kapryśnej, ale giętkiej, lotnej, powietrznej, siejącej blaskami ócz i uśmiechami. I zdaje się, że jemu samemu przyszła ta myśl, gdy w pieśni piątej powracając do porzuconego obrazu i przedrzeźniając Malczewskiego i Mickiewicza, zapytywał niby to Sawę, a właściwie samego siebie:

Komu ty jedziesz? Jadę księżycowi,
Aby się w konia przeglądał kopytach,

Wonnemu jadę na stepach kwiatowi,
Dziewannom, które w złotych stoją kitach;
Anioł mię srebrny jasny w skrzydła łowi,
I leci za mną, jak sen po błękitach,
Na koniu stojąc rycerskim jak sława,
I goni mię w kurhany... Mówi Sawa.

›wa te włożone w usta Sawy, odnoszą się najwi-
ej nie do niego, ale do samego poety, który iden-
ąc się z Sawą, zamieniał w ten sposób Swentynę
go anioła poezyi, w swoją muzę, poprzedzającą ru-
fantazyi. Spostrzegał on coraz wyraźniej pod koniec
ıu, to jest tej części, którą miał wydać, że jakkol-
v pomyśle poematu miał za przewodnika Byrona,
nak w rozwinięciu jego wjeżdżał na nowe tory
xie, zbliżał się do kapryśnej i lotnej fantazyi Ariosta,
rm pokrewieństwo swoje spostrzegał już w *Balla-*
i dlatego wołał w ostatniej pieśni, porzucając Be-
.iego dla Sawy:

Wolę porzucić dym, płomień, pieczywo
Rycerza, moją szlachtę — a sam w stepy,
Jako ognisty koń z rozwianą grzywą,
Jak Ariost, nie jak Homer idę ślepy.

ROZDZIAŁ VIII.

Beniowski (Ciąg dalszy)

1840—1871.

Liryczno-polemiczna strona poematu. — Uwielbienie własnej poezyi. — Walka poety z krytyką. — Sprawa króla *de facto*. — Jak się odzwierciedliło w poemacie stanowisko Słowackiego w walce stronnictw emigracyjnych. — Credo polityczne i religijne. — Religijność Słowackiego i Mickiewicza. — Walka z Mickiewiczem w ostatnich strofach. — Zarzut ultramontanizmu i panslawizmu. — Dokąd to Słowacki chciał prowadzić naród. — Szaleństwo gniewu. — Wpływ Krasińskiego.

Przechodzę teraz do tego, co nie jest powieścią w poemacie, do jego liryczno-polemicznej strony, do tego mnóstwa wynurzeń i wycieczek, które wartkim strumieniem spienionym płyną przez cały poemat, a wśród których obrazy powieściowe wyglądają jak wysepki zewsząd żywiołem liryzmu oblane. Te wszystkie wynurzenia i wycieczki dadzą się ująć w kilka grup. Zwróćmy naprzód uwagę na te dygressye, gdzie poeta sam sobie pieje hymny pochwalne, sam wielbi i charakteryzuje czarodziejstwo swojej sztuki. Są one szczególnie ważne z tego względu, że w nich streszcza się główna dążność poematu — chęć poety roztoczenia wszystkich blasków swego stylu, dla przyćmienia współzawodników, a olśnienia wszystkich. Taka dążność niewątpliwie nieraz już przedtem towarzyszyła twórczości Słowackiego i zapewne nie obca była i jest wielu innym poetom, ale nigdzie, sądzę, nie jest tak wybitną, tak rażącą i tak regulującą cały poemat, jak w *Beniowskim*.

Słowacki czuł, że samouwielbienie może nań rzucić ń śmieszności, więc starał się je powlekać żartobliwym lorytem, ale rozgrzawszy się w tem samouwielbieniu, pominał o obawach i niczem już nie krępował swojego pału dla własnej muzy. Tak w pierwszej pieśni jest zcze żartobliwa wzmianka o olśniewających skrzydłach muzy (I skrzydeł mojej Muzy rozpostarcie — Tęczoym blaskiem was oślepi wcześniej — Niż miałem zaiar), wzmianka, w żartobliwy sposób i przelotnie ukająca istotny zamiar poety. W pieśni drugiej poczyna on mouwielbienie także od żartów, o pieśniach swoich ówi: »Ponieważ moje są, otwarcie chwalę«, cytuje żarbliwie wykrzyk Szekspirowskiego Ryszarda: »Głupi! sobie dobrze mów!« ale potrąciwszy o to, że jego przewnicy czynią mu nawet z łatwości pisania zarzut, ıczyna się rozgrzewać:

O Boże! ileżbym stworzył romansów,
Gdybym chciał wszystkich durniów być zabawą!
Wyspą dla grubych naszych Sanszo Pansów,
Na którejby się uczyli ze sławą
Sylabizować. Lecz z prozą aliansów
Nie chcę.... do wiersza mam, jak sądzę prawo.
Sam się rym do mnie miłośnie nagina,
Oktawa pieści, kocha mię Sekstyna.

Ton jeszcze żartobliwy w tej strofie, ale już samovielbienie znajduje dla siebie silne akcenta i pełne łzięku porównania. W następnej strofie poeta chce deprzeć własne przekonanie o świetności swojej poezyi łem obcym, sądem Krasińskiego.

Ktoś to powiedział, że gdyby się słowa
Mogły stać nagle indywiduami,
Gdyby ojczyzną był język i mowa:
Posąg by mój stał, stworzony głoskami,
Z napisem *patri patriae*...

I ten obcy sąd jest już niejako upoważnieniem dla

Słowackiego do tego, aby odrzucić względy krępujące go dotąd i wybuchnąć pełnem samouwielbieniem:

Stój! ten posąg błyska skrami,
Spogląda z góry na wszystkie języki,
Lśni jak mozajka, śpiewa jak słowiki!

Otocz go lasem cyprysów, modrzewi;
On się rozjęczy, jak harfa Eola,
W róże się same, jak Dryada wdrzewi,
Głosem wyleci za lasem na pola,
I rozłabędzi wszystko, roześpiewi...
Jak smukła, pełna słowików topola!
Co kiedy w nocy zacznie piesń skrzydlatą,
Myślisz.... że w niebo ulatujesz z chatą...

Tu już nie Krasiński, ale sam Słowacki, korzystaj z porównania przyjaciela, śpiewa hymn na cześć swoj na cześć swojej poezyi. W innym ustępie tej samej pie- śni jest uwielbienie nie samej poezyi własnej, ale teg źródła, skąd ona wypływa, to jest fantazyi swojej, wy- brażonej w postaci kopuły tęczowej, a także i swojej du- szy, rzekomo anhellicznej, w postaci srebrnego anioł Porównanie fantazyi z kościołem może było nasunięt znanemi słowami Mickiewicza o poezyi Słowackiego, któr tak głęboko utkwiły w pamięci tego ostatniego.

O tęczowa
Kopuło myśli! tyś moim kościołem!
Wymalowana, jasna, księżycowa,
Nad srebrnym duszy wisząca aniołem!
Modlitwą w tobie są rozpaczy słowa.
Serce wygląda jak urna z popiołem,
W najtajemniejszej kaplicy stojąca.
Tak jesteś, gdy cię żaden wiatr nie trąca.

Lecz kiedy burza zawieje i wzruszy
Z filarów ciebie, kopuło tęczowa,
Pękasz, jak niebo, nad aniołem duszy;
Próżno się broni w błyskawicach głowa!
Cały gmach na nią upada i kruszy
I ją i serce, które biedna chowa
Jak smętny łabędź, pod skrzydły białemi.
Pękło — popioły rozwiał wiatr po ziemi.

W tym ustępie samouwielbienie przybiera ton melanny i przechodzi w skargę, która szczególnie w naej strofie (Skończona wielka tragedya powagi) staje ardzo niejasną i bardzo... teatralną. Wogóle, gdzie Słowacki mówi o swojem sercu z patosem, tam jest teatralna i frazes — zwykle bardzo piękny, ale wy, nie z serca wzięty; tam gdzie wielbi swoją fan, swój styl czarodziejski, tam jest szczery, wymowny n prawdy. I tutaj porównanie fantazyi swojej z kotęczową jest wysoce piękne, ale przyrównanie serca ny z popiołem jest tylko frazesem, który każe doć się, że pożar jakiejś miłości wielkiej przeszedł to serce, a tymczasem wiemy, że żadnej takiej miw Słowackim, ani indywidualnej, ani społecznej, nie i jeżeli co trawiło serce jego, to tylko chorobliwa zaspokojona żądza sławy.
est też sporo teatralności i w tym ustępie pieśni ej, gdzie poeta wielbi nie już szatę swojej poezyi, ęczową kopułę swojej fantazyi, ale siebie, jako boharagedyi życia, a życie swoje, jako poemat dla Boga.

Lecz z mego życia poemat dla Boga.

On wie, On wiedział, nad jakimi chmury
Stawałem bez łez i pieśni, z myślami
Aniołów w przepaść lecących — te chóry
On słyszał, gdyśmy z Bogiem byli sami.
Nie zwiodły go te królewskie purpury,
W które ja się tu, jak przed sztyletami
Cezar, obwijam, gdy mię w serce rażą,
Ażeby umrzeć z niewidzianą twarzą.

Bóg sam wie tylko, jak mi było trudno
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć;
Iść co dnia drogą rozpaczy odludną,
Co dnia uczucia rozrzucać, czuć, niknąć:
Co dnia krainę mar rzuciwszy cudną,
Powracać między gady i nie syknąć;
Co dnia myśl jednę rozpaczy zaczynać,
Tą myślą modlić się — i nie przeklinać.

On! i pustyni gwiazdy lazurowe
I zachodzące nad morzami słońce,
I jedno serce ludzkie... Lecz to nowe
Głosy dla mojej lutni — te cierpiące —
Milcz serce! Albo się strzaskaj, echowe
Narzędzie pieśni, bolu, wiecznie drżące
I obłąkane, niezaspokojone...
Uderzam ciebie w złości... Milcz, szalone!

Że w życiu Słowackiego była tragedya, to pewna, i właśnie praca niniejsza ma zadanie ją przedstawić, ale nie była to tragedya zupełnie taka, jak ją sobie Słowacki wyobrażał i jaką chciał w przytoczonych strofach wyobrazić. Tragedya jego życia, jak to już wskazywałem, wypływała z dziwnego braku harmonii, równowagi między różnymi władzami jego duszy, z dziwnego kontrastu między bogactwem fantazyi a ubóstwem serca, między do najwyższego stopnia rozwiniętym zmysłem estetycznym, a wcale nierozwiniętym zmysłem społecznym, wreszcie z kontrastu, który był następstwem tamtych, między samoubóstwieniem poety i pożerającą go żądzą sławy z jednej strony — a obojętnością społeczeństwa — z drugiej. U Słowackiego, w podanych strofach, tylko to ostatnie przeciwieństwo zarysowane, przyczem o ile sam siebie idealizował i stawał na koturnie, stając do pary z Bogiem lub przynajmniej Cezarem, o tyle czarno malował przeciwną stronę, której się dostała nazwa gadów. Winy tragicznej nie widział w sobie wcale, tylko w społeczeństwie, a końcowa apostrofa do serca była bardzo pięknym efektem teatralnym, ale niezgodnym z rzeczywistością, bo poeta przedstawiał tu siebie jako kryjącego swoje cierpienia przed światem, a tymczasem wiemy, że miał on ciągle skargę na ustach na brak uznania. Dla objaśnienia dodam, że owem »jednem sercem ludzkiem«, które tylko wraz z Bogiem znało jego cierpienia, a dla którego przedewszystkiem zapewne był zrobiony ów patetyczny gest końcowy, nie mógł być nikt inny, jak Krasiński.

pieśni piątej całe zakończenie jest wielkim aktem wielbienia poety, ale ponieważ ten ustęp ma chana wskroś polemiczny, analizę jego odkładam na . Jest jednak inny jeszcze ustęp w pieśni piątej, ający uwielbienie poety dla siebie, na który chcę wrócić uwagę. Jest w nim uwielbienie własnego jak w pierwszym z ustępów analizowanych, ale óżnicą, że tam poeta wielbił słodycz, melodyjność, ność swego stylu, tu chciał uwydatnić i uwielbić ętkość, rozmaitość, jego proteuszową naturę. Była by wierszowana poetyczna parafraza cytowanego ępu z listu Krasińskiego o tem, jak Słowacki pozyk polski, jak »nie on za językiem, ale język za ni« i prosi i mówi mu: »Ot cały twój jestem, każ, cham, zawołasz — przybiegnę; mrugniesz w niebo — tam; wskażesz piekło palcem — zstąpię do piekła; bym stwardniał — patrz, marmur ze mnie i t. d.« wana parafraza tej pochwały Krasińskiego brzmiała *iowskim* jak następuje:

Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa;
A czasem był jak piorun jasny, prędki,
A ezasem smutny jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga Nimfy miętki,
A czasem piękny jak aniołów mowa,
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem.
Strofa być winna taktem, nie wędzidłem.

Z niej wszystko dobyć, zamglić ją tęsknotą;
Potem z niej łyskać błyskawicą cichą.
Potem w promieniach ją pokazać złotą;
Potem nadętą dawnych przodków pychą,
Potem ją utkać Arachny robotą,
Potem ulepić z błota, jak pod strzechą
Gniazdo jaskółcze przybite do drzewa,
Co w sobie słońcu wschodzącemu śpiewa.

I gdyby stary ów Jan Czarnoleski
Z mogiły powstał, on to by zrozumiał.
Myśląc, że jakiś poemat niebieski,

Który mu w grobie nad lipami szumiał,
Słyszy, ubrany w dawny rym królewski...

To, czem się tu chlubił, było nie urojeniem, nie pr widzeniem pychy, ale najrzetelniejszą prawdą. Giętk języka jego, zdolnego oddać najrozmaitsze tony, najs telniejsze rysy, barwy i odcienia, była niezrównaną, a w śnie w *Beniowskim*, w różnorodnych jego obrazach, zı dowała sposobność do ukazania się w całej swej cza dziejskiej doskonałości, i *Beniowski* w tym względ przewyższał wszystkie poprzednie poematy Słowackie Miał też prawo Słowacki, oglądając się za siebie, sięg wzrokiem aż do Jana Kochanowskiego, który pierw nadał giętkość polskiej mowie poetycznej, bo nikt z ty co go dzielili od ojca poezyi polskiej, nie przewyższał w tym względzie, nikt, nawet Mickiewicz. Tylko po nien był wiedzieć, że gdyby naprawdę »stary ów J Czarnoleski z mogiły powstał« i przysłuchiwał się je poezyi, to wydałby sąd o niej podobny do sądu Mick wicza: wielbiąc piękność świątyni, nie znalazłby w n bóstwa.

Przypatrzmy się z kolei tym dygresyom, które mi charakter polemiczny, w których się wyraziła wal poety z krytyką i stosunek jego do różnych stronnic emigracyjnych. Z krytyk najwięcej go ubodły te, któ *Młoda Polska* umieściła, to też na to pismo wylał n więcej żółci, uderzał z największą zajadłością, tak że d wcip jego stawał się grubijański i niesmaczny. Poniew *Młoda Polska* miała barwę wybitnie katolicką, dawało sposobność Słowackiemu do uderzenia na nią z zasad czego stanowiska, do nazywania jej (w pieśni I) »Arkad gdzie Jezuici są barankami«, krainą, »pełną wężowy ślin, pajęczej nici i krwi zepsutej«, »przeklętą wodą, kt rej pies nie chce, wąż nawet nie pije« i t. p., jednem sł wem do wylania na nią z sześciu strof, jakby z sześc konwi, najgorszych mętów swego gniewu, i to pod p zorem, że oburzony jest na nią za jej stanowisko, nie

ywdę osobistą, jakiej doznał. Jest tu apostrofa do Pol- i przestroga dla niej przed papiestwem (krzyż twym ieżem jest — twa zguba w Rzymie), przyczem Polska, niedawno jeszcze w *Grobie Agamemnona* nazwana əz poetę »pawiem narodów i papugą« i »służebnicą zą«, zamieniała się niespodzianie, po części zapewne kontrastu z Polską »młodą« (O Polsko! jeśli ty masz ;ać młodą) po części może gwoli Krasińskiemu, za- niała się w »córkę Boga« i »siostrę Ukrzyżowanego«. ›iero przy końcu pieśni I natarł otwarcie na *Młodą skę* za krytykę *Balladyny* i starał się odpłacić pięknem nadobne.

Nie podobało się, że Grabiec spity
Jest wierzbą, że się Balladyna krwawi;
Że w całej sztuce tylko nie zabity
Sufler i *Młoda Polska*, co się bawi,
Jak każdy głupiec, plwając na sufity
Lub w studnię, która po sobie zostawi
Tyle, co bańka mydlana rozwalin,
A pewnie nie woń miry albo malin.

Jeżeli porównamy ten złośliwy, a nie dość swobodny ;cip z tą złośliwą fantazyą, jaką się kończyła krytyka *ladyny*, to musimy przyznać, że odparcie nie dorów- ;ało pociskowi. Musiał to uczuwać Słowacki, ponie- ; nie poprzestał na tym dowcipie, ani na insynuacyi, *Młoda Polska* zostaje pod wpływem tak niepopular- h wśród emigracyi Jezuitów, ale starał się jeszcze do- zyć jej, ośmieszyć ją, szerzeniem pogłoski, że »baby« ›iszą. Ile mogło być prawdy w tej pogłosce, która aźliwą stawała się jużciż nie sama przez się, ale əz sposób, w jaki była podaną — trudno dziś wie- əć i trudno wiedzieć, kogo w szczególności miał na ili pisząc o »babach«, ale z kilkakrotnego potrąca- tej struny w poemacie można wnioskować, że uwa- ją za najdrażliwszą dla wydawców i redaktorów *Mło- Polski.* Tak już w pieśni I-ej powiedziano z alluzyą

do tego pisma: »Niebieska kraina! Co za pieniądze bab.— truć nas zaczyna«. W pieśni III mszcząc się za krytyk Balladyny, podpisaną literami Z. K., całą strofę poświęci roztrząsaniu tej pogłoski:

Imię krytyki? nie, krytyków. A! bah!
Któż z nich ma imię? Z. K. S. K. E. K.
Mówią, że Młodą Polskę pisze — baba!
Ale, ja widząc, jak kąsa i szczeka,
Sądzę, że jezuita, a ma draba,
Który tłómaczy na język człowieka:
Hymny, przestrogi, pacierze i lekcye
W dyabelskim napisane dyalekcie.

I pozatem złość Słowackiego do »bab«, których przekonaniu odpowiadał katolicki kierunek *Młodej Polski*, objawia się parę razy, czy to gdy Słowacki wspomina jakąś pannę Praksedę, (Święta, aniołek jezuicki, wdowi), czy gdy do porównania wprowadza »jedną z tych przestałych — Owoców, starą pannę, seraficznie — Rozeskrzydloną w Bogu«. Dostało się przy sposobności ataków na baby i Jezuitów i pisarzom emigracyjnym w duchu katolickim, Witwickiemu i Bohdanowi Zaleskiemu; co się tyczy Mickiewicza, z tym długi rachunek miał być osobno załatwiony.

Drugiem pismem, któremu chciał dokuczyć, był poznański *Tygodnik literacki*. Wiemy, że tu była drukowaną krytyka *Anhellego*, pisana przez Sadowskiego, z której Słowacki nie mógł być i nie był zadowolony, i że tu był drukowany artykuł p. t. *Improwizatorowie*. Prócz tych powodów niechęci, były jeszcze inne: *Tygodnik* w r. 1840 w swoich »Doniesieniach literackich« umieścił parę wzmianek o najnowszych utworach Słowackiego w tonie lekceważącym [1]. Jednakże ani krytyka *Anhellego*, ani owe

[1]) W Nrze 17 z d. 27 kwietnia 1840, wiadomości o tem, że się ma wkrótce ukazać *Lilla Weneda*, towarzyszyła uwaga: «Jest ona (jak nam jeden z szanownych literatów donosi) równie, jak i pier-

wzmianki nie byłyby pobudziły Słowackiego do odwetu w *Beniowskim*, jak go nie powstrzymały od drukowania swoich utworów w *Tygodniku*, gdyby nie ukazał się był artykuł o improwizatorach. Wnoszę to z tego, że są dwa ustępy w *Beniowskim*, które mówią o *Tygodniku* i podnoszą ten sam szczegół, ale w tonie zupełnie różnym. Mianowicie ku końcowi pieśni III poeta pisze:

O! chcę miłości uczyć! Gdzie jest rzesza?

Odbiegła. — Skarży się na moją ciemność.
Poeto, «fiat lux» zacięcie krzyczą.
I we mnie dziwną znaleźli wzajemność:
Życzę, aby to było, czego życzą!
Tygodnik jakąś odnalazł odjemność
We mnie; lecz niech się dobrze wtajemniczą,
A ujrzą, żem jest coś, jak grecki antyk,
Lecz panteista trochę i romantyk.

W tym ustępie jest jakby odpowiedź poety na zarzuty czynione mu w »Doniesieniach literackich« i w krytyce *Anhellego*. Żeby czytelnik mógł zrozumieć, co znaczy owa odjemność, o której Słowacki wspomina, przypominam, że Sadowski kończył swoją obszerną krytykę *Anhellego* stwierdzeniem, że Słowacki tylko »ujemną« stronę myśli zarysowanej w *Irydyonie* zupełnie jasno pojął, »dodatnią« zaś obniżył i osłabił. Z tej »ujemnej strony« Słowacki zrobił »odjemność«, ale zresztą odpowiedź ta,

wsze płody tego autora mało zroznmiała dla czytającego». W Nrze 20 z dnia 18 maja 1840 *Tygodnik* podawał wiadomość o wyjściu na świat *Beatrix Cenci* z takim dodatkiem: «Trudno, pisze jeden z naszych najszanowniejszych korespondentów, wyobrazić sobie większego steku zbrodni, pominąwszy dążność, która dziś i samym Francuzom obrzydła. Cóż Polak ma wspólnego z Włochami? Autor ten posiada szczególniejszą łatwość: w dniach kilkunastu buduje dramat, a Witwicki powiada o nim, że ledwo się tytułu jednej jego tragedyi na pamięć nauczy, to już druga wychodzi. Ztąd też wszystko mu przez głowę, a nic przez serce nie przechodzi; utwory jego nie absorbują mu, jak innym pisarzom, życia».

o ile dotyczyła Tygodnika, nie miała w sobie nic złośliwego, i owszem poeta wobec zarzutów ciemności i ujemności starał się poważnie wyjaśnić charakter swej poezyi. Że wyjaśnienie to bodaj czy było jaśniejszem od owych tragedyj, na których ciemność skarżyła się publiczność — to inna sprawa, tu chodzi o to, że Słowacki, pisząc pieśń III, nie czuł jeszcze potrzeby zemszczenia się na *Tygodniku*. Inaczej było, kiedy w pieśni V potrącił znowu o *Tygodnik* i o tę samą wspomnianą już przedtem »odjemność«.

Kiedym chciał zamknąć Sybir w tryolety,
Muza została mi rymami dłużną:
Z tego więc poszło, że pisałem prozą,
Odjemną — mówi Tygodnik — o zgrozo!

Odjemną!... czy od Tygodnika? Boże!
Kto tam odejmie co, ten będzie mądry.
Tybyś nie odjął sam nic, Pitagorze,
Z twoją tabliczką w ręku...

Dowcip był dosyć naciągany, pocisk zwracał się poniekąd przeciw samemu poecie, który przecież drukował tam niektóre rzeczy swoje [1]), ale chęć okazania pogardy *Tygodnikowi* była widoczną, a stąd wniosek, że Słowacki pisał drugi ustęp w *Beniowskim*, dotyczący *Tygodnika*, już wtedy, gdy dostał w ręce artykuł o improwizatorach.

Inne zacinania Słowackiego, wymierzone w stronę dziennikarstwa i literatury, były już więcej pobieżne, nawiasowe, niewywołane chęcią zemsty, więc i trafniejsze. Dostało się tam z lekka kalendarzykowi emigracyjnemu

---

[1]) Na rok przed wydaniem *Beniowskiego* ukazało się w *Tygodniku* — prawda, że bezimiennie — «Święcone u J. O. księcia Radziwiłła Sierotki», jako «wyjątek z niedrukowanego rękopisu» (Nr. 15 i 16), gdzie Słowacki do niepoznania podrabiał styl Rzewuskiego w *Pamiętnikach Soplicy*, a Mikołaja Sierotkę przedstawił zupełnie jak księcia Karola Panie kochanku, zostawiając mu nawet to przysłowie.

i Tygodnikowi petersburskiemu, Kiefalińskiemu, t. j. Hołowińskiemu za przekład Szekspira, w którym Szekspir znika, poznańskim Heglom, do których zaliczał Słowacki zapewne i Sadowskiego i Libelta, »kozakopowieściarzom«, których głównym przedstawicielem był Czajkowski, Goszczyńskiemu, nie nazwanemu zresztą, jako autorowi *Zamku Kaniowskiego* [1]), wreszcie nie nazwanemu także »Krakowczykowi«, autorowi książki, która »ma polską duszę, a na zmysły działa jak Niemiec« [2]). Z literatury krajowej najwięcej go interesował Michał Grabowski, którego pisma krytyczne już wyszły były w zbiorowem wydaniu, a z którego artykułami spotykał się także w Tygodniku petersburskim. Więc kilka razy go wspomniał, raz w pieśni pierwszej, nazywając prymasem, wkładającym koronę na głowy poetów, w trzeciej, żartując z niego i z wieszczów krajowych, których on odkrywa, a którzy »kiedy straszną opisują burzę — To burza piorun zostawia w cenzurze«, wreszcie w piątej, gdzie zdaje się dotykać jego słowianofilskich dążności.

Zobaczmy teraz, jak się w *Beniowskim* zarysowuje stanowisko Słowackiego względem różnych stronnictw, na które się dzieliła ówczesna emigracya. Czas, w którym przyszedł *Beniowski* na świat, był chwilą ożywionych

---

1) Alluzya do Goszczyńskiego zawiera się w tych wierszach pieśni III:

Tu nawet zimny rozsądek najzdrowszy,
Widząc, jak gałąź ta jęczy i wyje,
Zrobiłby utwór i poemat nowszy,
W którym gadają puhacze i żmije.

2) Nienazwanym «Krakowczykiem« był Franciszek Paszkowski generał wojsk polskich z czasów Napoleona, ten, którego Kościuszko obdarzył w testamencie znacznym zapisem. W Paryżu 1840 wydał on bezimiennie swoje «Pomysły do dziejów Polski». W rozdziale p. t. «Opinia» utrzymywał, że poeci jak dawniej byli pochlebcami królów, tak teraz pochlebiają ludom i ilustrował swój wywód ustępem z *Kordyana*. Szczególnie godnymi uwagi są tam poglądy autora na powstanie 1831 roku.

starć pomiędzy stronnictwami głównie wskutek roli, jaką stronnictwo grupujące się koło X. Czartoryskiego chciało wyznaczyć swojemu przedstawicielowi, naturalnie nie bez jego zgody. Chodziło o to, aby uznać i ogłosić księcia królem polskim: uzasadniano potrzebę tego argumentem, że główną przyczyną upadku powstania listopadowego był brak silnej władzy monarchicznej, brak króla, że zatem trzeba go mieć w gotowości na wszelki wypadek, a także tem, że Czartoryski tak ma wielkie znaczenie w emigracyi i w oczach Europy, iż jeżeli nie *de jure*, to jest królem *de facto*. Żeby został królem *de jure*, potrzeba, aby go ostatni sejm polski, przebywający za granicą, uznał za króla, a właśnie wtedy, przy końcu 1840, sejm ten w przewidywaniu jakichś pomyślnych dla Polski wypadków, zaczął się po kilkuletniem uśpieniu ruszać. Ale w sejmie, gdzie najważniejszą rolę odgrywał wojewoda Ostrowski, kandydatura Czartoryskiego na króla nie znajdowała dostatecznego poparcia i w ogóle stała się przedmiotem żartów w emigracyi. Nawet ludzie, którzy wysoko cenili i kochali księcia, byli zrażeni tym niewczesnym pomysłem. »W emigracyi — pisał Mickiewicz do Domejki w tym czasie [1]) — ciągła walka o królestwo Czartoryskiego, którego partya nowa gwałtownie popiera a dawni stronnicy zatrwożeni i zrażeni odeszli. Książe zacny, nie zawsze zręczny, pozwala bić medale z napisami *Boże wróć nam króla,* co jego przeciwników wprawia w wściekłość. Ja po dawnemu księcia kocham, ale nie wszystkie jego kroki rozumiem i potwierdzam«...

Podobne stanowisko względem niefortunnego pomysłu »nowej partyi« Czartoryskiego zajmowali emigranci, najwięcej zbliżeni do katolickiej *Młodej Polski*, a po jej

---

[1]) Korresp. Ad. Mick. I 227. Data listu (1 listopada 1840) jest niewątpliwie mylną, ponieważ w tym samym liście Mickiewicz donosi Domejce już o swojej pierwszej prelekcyi w Collège de France. W każdym razie pisany jest niedługo po 22 grudnia 1840.

nięciu z końcem r. 1840, do *Dziennika Narodowego*, tórym upatrywano dalszy ciąg *Młodej Polski*. Oba te ia, przy całem uszanowaniu dla osoby księcia, występ-ały przeciw jego królewskiej godności i żywo pole-wały z pismem *Trzeci Maj*, ówczesnym organem nictwa Czartoryskiego. Reszta emigracyi, wywiesza-sztandar demokratyczny, dzieliła się na dwa obozy: noczenie, którego organem był *Orzeł Biały*, a głównym dstawicielem zamieszkały w Brukselli Lelewel, i To-zystwo Demokratyczne, które się uważało za jedynie vdziwą demokracyę i zarzucało Zjednoczeniu chęć owania z ludźmi innych przekonań politycznych, órego urzędowym niejako organem był *Demokrata ki*, wydawany w Poitiers, gdzie była osobna sekcya arzystwa. Sekundował *Demokracie* humorystyczny *nka*, wydawany przez Leona Zienkowicza w Strass-u, a zasilany najbardziej przez Goszczyńskiego i Lu-a Siemieńskiego. Stamtąd to dostawały się największe księciu, którego ironicznie nazywano »królem *de* «, i jego stronnictwu nazywanemu przez demokratów okracyą. A kiedy *Trzeci Maj* w numerze z 1. kwie-1841 wyciągał rękę do demokracyi i pisał, że »myśl okratyczna i myśl *Trzeciego Mąja* przeznaczone są do zumienia się, połączenia się w przyszłości i praco-a wspólnie nad wywalczeniem i szczęściem ojczy-, to *Demokrata Polski* widział w tem »dziwaczne, ch obudzające oświadczenie«, które »służy z jednej y za nowy dowód słabości, z drugiej niepospolitego zumu arystokracyi naszej« [1]).

Jakież Słowacki zajął stanowisko wobec sprawy »króla cto« i w ogóle wobec walki stronnictw emigracyjnych. poemat, jak *Beniowski*, dawał najlepszą autorowi obność do objawienia w tym względzie swoich sym-i poglądów. Ale Słowacki w jednym tylko kierunku

---

[1]) Demokrata Polski. Poitiers 1841 T. III str. 268.

objawił się wyraźnie, mianowicie w kierunku niechęci ku temu stronnictwu emigracyjnemu, które chciało oprzeć narodowość polską na religii, na katolicyzmie, które chciało sprawę narodową rozwijać w zgodzie z Kościołem, a do którego należał Mickiewicz i jego najbliżsi przyjaciele, Zaleski Bohdan i Witwicki. Co go do tego popchnęło, to już wiemy: naprzód współzawodnictwo z Mickiewiczem, potem ciosy krytyczne, które z tej strony, z pod sztandaru katolickiego nań padły, po trzecie brak głębszego uczucia chrześcijańskiego w poecie. Ale wystąpienie Słowackiego przeciw tak zwanym przez niego Jezuitom nie stanowiło jeszcze o jego stosunku do dwu innych głównych stronnictw emigracyjnych, to jest do stronnictwa Czartoryskiego i do Towarzystwa Demokratycznego, ponieważ oba te stronnictwa, z różnych naturalnie powodów i w różny sposób, walczyły wówczas ze stronnictwem katolickiem. Otóż stanowisko Słowackiego między dwoma temi stronnictwami zarysowuje się w *Beniowskim* bardzo niejasno, jest jakby umyślnie lekką przykryte zasłoną, tak, że czytelnik zwyczajny nie widząc wyraźnie wszystkich linii, mógł je rozmaicie sobie tłómaczyć.

Z demokratami w owych czasach Słowacki nie miał właściwie nic wspólnego oprócz niechęci do papiestwa i katolicyzmu. Wprawdzie w *Podróży na Wschód* oświadczał, że wierzy »w religię mass, w republikanizm, w postęp«, w to, że »ludy idą jako chmura — pełna błyskawic na trony zachwiane« i »że nawet królewska purpura próchnieje w trumnach«; w zakończeniu *Anhellego* kazał bladym królom stać »nad krwawymi rzekami i na krużgankach pałacowych... trzymając szaty na piersiach szkarłatne, aby zakryć pierś przed kulą świszczącą i t. d.«, a na chorągwi rycerza zwiastującego zwycięstwo wypisywał »trzy ogniste litery«, które według własnego jego komentarza miały oznaczać *Lud* [1]), ale to wszystko było tylko echem

[1]) List Słowackiego do Konst. Gaszyńskiego podany przez L. Méyeta w Gazecie Lwowskiej 1902 Nr. 121.

ażenia, jakie na nim książka Mochnackiego wywarła, iadczyło tylko o lubowaniu się jego wyobraźni w efekvnych obrazach rewolucyjnych, bynajmniej nie o współıciu dla smutnego położenia ludu. Kwestya wyzwolenia lu z pańszczyzny i uwłaszczenia włościan, wysuwana :ez Towarzystwo demokratyczne na czoło jego proımu, była dlań obojętną, jak wogóle wszystkie kwestye)łeczne, co łatwo daje się wytłómaczyć brakiem zmysłu)łecznego w Słowackim. Osiadłszy na nowo w Paryżu,)isał się do klubu polskiego, który u demokratów, jako 'stokratyczny, używał najgorszej opinii i przez *Demoıtę* z Poitiers nazywany był »hultajskim związkiem«. ımo to wzywało każdego rodaka, przejętego obowiązkami ıigranta, aby »przechodząc ulicą Godot de Mauroy spojıł na dom pod liczbą 18 i z należnem ku hultajstwu zuciem wzgardy pomyślał sobie: Tu się urągają poszechnej niedoli i szydzą ze straty ojczyzny«. ıczegoż tak? Bo »czyż może być jaki postępek rzucay większą plamę na święty charakter wygnańców po'cznych, powołanych wyobrażać przed obcymi *Lud męnnik*, jak stowarzyszać się w celu przyjemnego przepęınia czasu, gry w billard i karty?«... »Ci niecnoty, pisał lej korespondent *Demokraty*, nazwali się klubistami, tak : inna lubo moralniejsza szlachta zowie się demokrani, aby znaczenie najświętszych wyrazów sfałszować :ohydzić« [1]).

Otóż Słowacki zapisał się do klubu polskiego, był stan jego członkiem, a w chwili kończenia *Beniowskiego* lnym z jego dyrektorów. To samo stanowiło już mur 'soki, dzielący go od demokracyi emigracyjnej. Jego stonki znajomości i przyjaźni jeszcze więcej dzieliły go ı demokracyi, a łączyły z arystokracyą, w szczególności ı stronnictwem Czartoryskiego. Jego najlepsi znajomi, lotnicki, dawny jego nauczyciel, a później nauczyciel

[1]) Demokrata Polski T. I. 1838 str. 111.

synów księcia i jego sekretarz, Loman, Reitzenheim, i ze wszystkich najbliższy w owych czasach Leonard Niedźwiedzki, sekretarz jenerała Zamojskiego, byli to ludzie całkiem oddani sprawie księcia. Zresztą Słowacki był bardzo czuły na grzeczności, których doznał ze strony księżnej jeszcze za pierwszego pobytu w Paryżu, a któremi się chwalił, bardzo szczegółowo je opisując w jednym z listów do matki [1]). Stąd, przynajmniej po części, poszło, że owym jedynym »godnym« z pomiędzy wszystkich wielkich ludzi, których szatan stwarza dla Polski w *Kordyanie*, był Czartoryski [2]).

Słowacki w stosunku do demokracyi w *Beniowskim* zdawał się trzymać zasady wypowiedzianej w tym poemacie, że »jest niebezpiecznie — Z demokratami być nie dosyć grzecznie«. Nigdzie też nie zaczepił ani *Demokraty polskiego*, ani *Pszonki*, a parę zwrotów do demokracyi wogóle, jak tylko co przytoczony (z pieśni II) i ten (z pieśni I), w którym przypisywał demokratom dbałość o godność osobistą (Zwłaszcza, jeżeli jesteś demokratą — I o swą godność indywidualną — Dbasz wielce), choć miało lekki odcień ironii, nie zawierało przecież w sobie nic »niegrzecznego«, a nawet »nie dosyć grzecznego«. Ale ta obawa narażenia się demokratom, których mógł uważać za swoich sprzymierzeńców w walce z *Młodą Polską*, przeszkadzała mu w jasnem wypowiedzeniu się, co myśli o głośnej wówczas sprawie »króla de facto« i jasnego wyrażenia

---

[1]) Listy I. 83—84.

[2]) Przypominam ustęp ze wstępu do *Kordyana* (Przygotowanie Roku 1799 dnia 31 grudnia w nocy). Szatan każe wrzucić do kotła dyament i polać atramentem z kałamarza Talleyranda, a następnie dyabli wołają:

Już gotowy! mimo czary
Wyszedł jakiś człowiek godny.
Złe w tym kotle były wary,
Płyn za rzadki lub za chłodny.

swoich sympatyi dla księcia. Że Słowacki obawiał się, ażeby go nie wzięto za Czartoryszczyka, dowodzi to, że drukując w tych czasach w *Trzecim Maju* artykuł o *Nocy letniej* Krasińskiego, który był zarazem odpowiedzią na artykuł »Improwizatorowie«, zaznaczał, że pismo, w którem występuje, jest dla niego »obcem«.

Otóż w *Beniowskim* jest naprzód alluzya do sprawy Czartoryskich w tem miejscu, gdzie bohater poematu, wiedziony przez gołębie, pędzi pod dąb, do którego schroniła się Swentyna. Mówiąc o tem, jakie nadzieje obudził w rycerzu lot ptaków, poeta dodaje:

Tak młodość wszystko stroi w lśniące farby,
Nigdy się małych nie spodziewa lichot.
O, gdyby nie to! to nigdy Ikar by
Nie latał, nigdy by nie żył Don Kichot,
Nigdy by w Trzecim Maju nie urosły
Illuzye, na co dziś tak wrzeszczą posły.

Że wyraz »illuzye« odnosi się do sprawy królestwa Czartoryskiego, to nie ulega wątpliwości, ale co właściwie należało rozumieć przez owe złudzenia: czy wiarę w potrzebę i stosowność ogłoszenia Czartoryskiego królem, czy wiarę w to, że emigracya da się pociągnąć tej myśli i pozwoli ją urzeczywistnić? Można było rozumieć dwojako i ta niejasność dogadzała Słowackiemu; dla Czartoryszczyków jednakże niechętne wyrażenie o posłach, że »wrzeszczą na to«, mogło być wskazówką, że poeta rozumiał te iluzye w sensie przychylnym dla tych, którzy im ulegli.

Jeszcze więcej na taki domysł mógł naprowadzać ustęp, zawarty w dalszym ciągu tej samej (III) pieśni. Ustęp to jeszcze bardziej niejasny, bardziej zamglony od poprzedniego, ale rozgarnąwszy mgłę, można wydobyć z niego wiersze, które nie mogą znaczyć nic innego, jak to, że Słowacki w sprawie królestwa Czartoryskiego, tak żywo poruszającej ogół emigracyi, stawał po stronie księcia. Powiedziawszy, że nawet dyabeł nie chce już emi-

gracyi, »i żadną serca żądzą już nie łechce«, poeta pisze dalej:

Ambicya serce z pod żeber wykradła,
Sejm się nie kocha już, ani też gminy;
Zbiorowa ta osoba będzie jadła,
Piła, wydawać dziennik, biuletyny.
Gwiazdy się spyta każdej, co upadła:
Jakie pryncypia ma?... A księżyc za miny
Arystokratą nazwie i dla tego,
Że w smutnej twarzy swej ma coś — srebrnego.

Pryncypia... O pryncypia! jakbym chętnie
Powiedział prosto dziś, co o was myślę!
Gdyby mi teraz w serca mego tętnie
Nie brzmiała inna struna... Więc przekreślę
Te strofy... Dusza mi zagrała smętnie,
Śmiechu na ustach nie mam, ni w umyśle.
Wszystko prowadzi dziwnie boża ręka,
Tak dziwnie!... że mi serce wre i pęka.

Więc polityczne moje Falanstery,
Bądźcie mi zdrowe!... I wy co bez głowy
Upadli z pańskiej jak z niebieskiej sfery
W arystokratów gracie: smętne sowy!
Co w grze myślicie bić jako kozery
Asa, choć będzie z sercem i laurowy:
Was także żegnam, bez miecza rycerze,
A choć mi serce pęka — śmiech mię bierze.

Żeby też jedna pierś była zrobiona
Nie podług miary krawca — lecz Fidyasza!
Żeby też jedna pierś, jak pierś Memnona!
Żeby też jedna! — Ha — to mię przestrasza —
Kościuszko przeczuł was, krzycząc: skończona!
Z krzyża swojego krzyknął tak — a wasza
Pierś to pojęła, z tą myślą umiera.
Chociaż mi serce pęka — śmiech mię zbiera.

Cóż znaczyło to gorące oburzenie i przeciw komu zwracało? Możnaby myśleć, że poeta całą emigracyą sm tem oburzeniem, gdyby z pojedyńczych zwrotów nie nikało, że chodzi tu głównie o sejm, o gminy, z któ

składało stronnictwo środkowe, Lelewelowskie, i o je-
ałów. Ale cóż oni wówczas zrobili takiego, ażeby aż
ce miało pękać poecie? albo raczej co powinni byli ro-
podług poety, a czego nie robili?
Prawda, ciągłe spory i kłótnie w emigracyi były rze-
smutną i czyniły życie emigracyjne ciężkiem i jało-
m. Mickiewicz pisał do brata w tym czasie (3 marca
1): »Nie możesz sobie wystawić, co to za bieda z ludźmi
nkniętymi w tak smutnem położeniu. Każdy dzień i noc
e projekta polityczne i wścieka się, kiedy drugich nie
że na swoją stronę przemówić« [1]. A do Domejki w parę
siący potem: »Między naszymi zawżdy to samo głup-
o i kłótnie jeszcze żwawsze. Już to u nich stało się
oniczne i do nieuleczenia« [2]. Ale czy sama kłótliwość
igracyi mogła wywołać w Słowackim takie potoki roz-
zliwego oburzenia i potępienia? Ze Słowacki nie na-
ał do ludzi, którzy cenią jedność i zgodę, dał tego liczne
wody i przedtem i potem, więc już to samo nie po-
ala na powyższe przypuszczenie. Ale prócz tego jest
cze inna wskazówka, która nakazuje inaczej tłómaczyć
potępienie. Wśród potępionego ogółu poeta znajduje
ną tylko postać, dla której nawiasowo wprawdzie, ale
dzo gorąco wyraża współczucie. Postać ta zakryta jest
wą »asa«, który jest »z sercem i laurowy«, a którego
ą bić jakieś młódki, dlatego, że »kozery«. Tym asem
ówczesnej sytuacyi nie mógł być kto inny, jak książe
rtoryski, »kozerami« były zapewne różne figury sej-
we, przeciwne dynastycznym zamiarom księcia, a ta
viasowa, ale tak gorąca sympatya dla asa, całemu obu-
niu poety nadawała szczególny charakter. Był w tem
ystkiem jakby wtór do skargi, wypowiedzianej przez
ęcia na ostatnim obchodzie 29 listopada (1840), który
nnictwo księcia odbywało zwykle w Towarzystwie
rackiem, skargi, że na trudnem stanowisku swojem

[1] Koresp. I. 231. [2] Tamże I. 232.

»często ani poparcia dostać, ani dobrego słowa nie zdarzy mu się usłyszeć« [1]).

Sprawa »króla de facto«, obok strony osobistej i w danych warunkach śmiesznej, miała stronę zasadniczą, poważną. Było w niej uznanie, że Polska potrzebuje silniejszego rządu i ciągłości władzy i że brak tego przyczynił się do jej zguby. Ale nie zasadniczą stroną, która była wręcz przeciwna całemu nastrojowi Słowackiego, mogła ta sprawa przemawiać do serca, raczej do fantazyi jego, tylko właśnie stroną osobistą. Nie byłoż czynem efektownym zdobić wygnańcze czoło koroną? Nie dodawałże temu czynowi uroku powszechny opór tych, nad którymi jedynie mógł nowy król panować? Była przytem pewna analogia pomiędzy stanowiskiem księcia a Słowackiego. Wszak i nasz poeta o niczem innem nie marzył, tylko o królewskiej i polskiej koronie, koronie poetyckiej, która nawiasem mówiąc więcej wówczas miała realnej wartości od tamtej, tak samo wierzył, że jest w polskiej poezyi królem de facto, i tak samo bezskutecznie walczył z ogółem emigracyi o przyznanie mu korony. Dodajmy do tego osobisty stosunek z domem księcia, zażyłość z takimi ludźmi jak Błotnicki lub Niedźwiedzki, a zrozumiemy, jak to się stało, że Słowacki wystąpił w *Beniowskim* jako stronnik Czartoryskiego w jego dążeniu do korony *in partibus infidelium*. Wystąpienie to było gęstą zasłoną przykryte, nie tak jednak gęstą, aby interesowani nie mogli jej wzrokiem przeniknąć.

Tem też tylko można wytłómaczyć, dlaczego redaktor *Trzeciego Maja*, Orpiszewski, tak chętnie otwierał przed Słowackim łamy swojego pisma i podawał mu sposobność do odparcia fałszów, zawartych w artykule *Tygodnika poznańskiego* O improwizatorach; dlaczego *Trzeci Maj* zamieścił potem tak entuzyastyczną ocenę *Beniowskiego*, dlaczego w roku następnym Czartoryscy tak łaskawie

---

[1]) *Trzeci Maj* z 12 grudnia 1840.

traktowali Słowackiego, iż poecie zdawało się, że mu chcą syna oddać w opiekę. »W oczach ich widzę, że mi chcą syna swego w przyszłości powierzyć, że im to miło wiedzieć, że za ich grobem syna ja będę strzegł i kochał bezinteresownie, jak kochają ludzie dumni i równi wszystkim«. Wprawdzie Słowacki w liście podawał inną przyczynę [1]), można jednak być pewnym, że gdyby był zajął w *Beniowskim* przeciwne względem dynastycznych dążeń księcia stanowisko, to takie zbliżenie z rodziną księcia, o jakiem pisał, te »małe codzienne tryumfy«, te »maleńkie zdarzenia«, z których każde »wymagałoby arkuszowych listów... i łańcucha całego okoliczności miejscowych«, a któremi tak delektował się Słowacki, to wszystko byłoby niemożliwem.

Zatrzymałem się dłużej nad tą sprawą dlatego, aby pokazać, że Słowacki, który później tak wysoko wynosił sztandar demokratyczny i tak ostentacyjnie nim potrząsał, który w wierszu *Do Autora trzech psalmów* i w *Liście do księcia A. C.* okazywał się stanowczym przeciwnikiem korony i monarchizmu Czartoryskich, w czasach pisania *Beniowskiego* nie myślał być jeszcze takim, jak później, demokratą, i w tym poemacie, w którym miał doskonałą sposobność zarysowania swego stanowiska wobec emigracyjnej walki demokracyi z arystokracyą, stanął dzięki osobistym stosunkom bliżej obozu arystokratycznego, niż demokratycznego.

Pozostaje nam jeszcze analiza zakończenia *Beniowskiego,* a raczej piątej jego pieśni. Jest to wierzchołkowy

---

[1]) «Guwerner mój dawny, jak pamiętasz, z długim nosem (Błotnicki)... wychował, ile ci wiadomo, drugiego pupilla, i wysłał go na uniwersytet... Na tym uniwersytecie uczeń ten poznał się z jednym moim kochanym (Krasińskim?), który mu tyle o mnie nagadał, że dobre chłopczysko, przyjechawszy tu na wakacye do starych rodziców, szukał mnie, a dobrze już będąc o mnie uprzedzony, pokochał szczerze... Za nim poszli rodzice, którzy dotąd nigdy się do mnie byli nie zbliżyli tak, jak teraz». Listy II, 154.

punkt poematu, i tu na tem końcowem wzniesieniu ustawił Słowacki najsilniejszą baterye poetycką, aby z niej otworzyć morderczy ogień na tego, który mu przez całe życie stał na drodze do sławy, w którym widział głównego sprawcę swoich niepowodzeń. Walkę z nim, zawartą w kilkunastu ostatnich oktawach, poprzedził wyznaniem wiary, ponieważ zostawało ono w ścisłym związku z tą walką. W pierwszym sądzie swym o poezyi Słowackiego zarzucał jej Mickiewicz brak Boga; ten sąd obiegał przez cały szereg lat emigracyą i drażnił uszy Słowackiego, i oto w natchnionej improwizacyi wielkiego przeciwnika znajdował go znowu. Wiemy, że w pierwszej chwili nie był Słowacki dotknięty tym zarzutem, nie czuł tego pocisku, ujęty uznaniem swego talentu ze strony Mickiewicza, jego szczerością tonu i blaskiem natchnienia. Ale gdy w *Tygodniku literackim* fałszywie przedstawiono improwizacyę Mickiewicza i ów pocisk umyślnie zaostrzono (nie jesteś poetą, bo nie masz wiary i miłości), wtedy tem silniej zabolała poetę oddawna jątrząca się rana. Zarzucają mu brak wiary, brak Boga w kościele jego poezyi: otóż on ma Boga i ma wiarę, a jaką? to pokaże.

Rzecz to charakterystyczna, że *Credo* swoje, wypowiedziane w *Beniowskim*, zaczął Słowacki od artykułu wiary estetycznej: »Wierzę sercem poganina — W rym szekspirowski, w Danta i Homera«. Nic naturalniejszego, że zaczynał od wiary w bogów poezyi on, który siebie także za Boga poezyi uważał, on, dla którego sfera wiary artystycznej była najwyższą sferą. Potem następowało *credo* polityczne. W tym względzie Słowacki nie znalazł nic więcej do powiedzenia nad to, co napisał był w *Podróży na Wschód*. Ten poemat ze wszystkich poprzednich utworów Słowackiego najpodobniejszy był do *Beniowskiego*. Jak tu, tak i tam, wzorem bajrońskiej poezyi, opowiadanie przeplatane było rozmaitemi dygresyami, rozmaitemi wynurzeniami lirycznemi i alluzyami, które prowadziły za sobą ciągłą zmianę tonu; i tu i tam poeta chlubił się

jem wirtuozostwem poetyckiem, i tu i tam przewo-
zyła mu chęć olśnienia swoim artyzmem czytelnika.
eszcie jakkolwiek dygresye w *Podróży na Wschód*
odgrywały tak ważnej roli, jak w *Beniowskim* i nie
ły za główny cel walki z przeciwnikami, znajduje się
dzy nimi *credo* polityczne nietylko w treści, ale i w wielu
ażeniach bardzo podobne, niekiedy identyczne z tem,
e podał w *Beniowskim*. Po co się ono tam pojawiało?
ojawiało się dwukrotnie i w obu razach dosyć niespo-
nie), na to pytanie odpowiedzieć stanowczo. Być może,
tam już grała pewną rolę chęć pokazania Mickiewi-
wi i światu, że poeta ma czem zapełnić kościół swej
zyi. Możnaby tak wnosić z tych strof pieśni dziewiątej,
ie Słowacki przedrwiwa proroctwa Mickiewicza i »je-
ką reakcyę« [1]).

Credo z pieśni dziewiątej *Podróży na Wschód* było
o jakby echem, skróceniem *creda* z pieśni czwartej
est tego wstępu, który w parafrazie przeszedł do *Be-
vskiego*. Zwraca tu naprzód uwagę, w jednym i w dru-
poemacie, trawestacya *creda* apostolskiego, zastoso-
a do Mochnackiego, rewolucyi listopadowej i emigra-
Ma ona zwykły ton trawestacyi, ton drwiący, z pod
tonu jednak widocznie przebija się sympatya dla
hnackiego, który swoją *Historyą powstania* wywarł,
wiemy, wielkie wrażenie na Słowackim, którego prze-
ania i poglądy polityczne odpowiadały dobrze nastro-
i psychicznemu poety. Ale na trawestyi nie mógł poeta
rzestać, jeżeli naprawdę chciał pokazać swoją wiarę

---

[1]) Czy nie widzicie, żem chory? Szatanizm,
Bajronizm, siedem mnie dręczy boleści;
Wierzę w religię mas, w republikanizm,
W postęp... a nawet... wierzę w te czterdzieści
Cztery... choć nie wiem, co ta liczba znaczy,
Ale w nią wierzę, jak w dogmat... z rozpaczy.

Mam także wielką ufność w jezuicką
Reakcyę... lecz się nie łączę i czekam;...

polityczną, więc doszedłszy do »amen« zmienił ton szyderczy na poważny i wygłosił swoje *credo* polityczne, które w *Beniowskim* tak brzmi:

Jednak wierzę,
Że ludy płyną jak łańcuch żórawi
W postęp, że z kości rodzą się rycerze;
Że nie śpi tyran, gdy łoże okrwawi
I z gniazd najmłodsze orlęta wybierze;
I ogień z nim śpi i węże i trwoga...

W *Podróży na Wschód* odpowiada tym wierszom następująca strofa:

Wierzę, że idą ludy, jako chmura
Pełna błyskawic na trony zachwiane,
Wierzę, że nawet królewska purpura
Próchnieje w trumnach; wierzę w zatrzymane
Lawy żołnierza, tam gdzie stanął Kokles;
Wierzę, że Milcyad żył i Temistokles.

Porównywając pierwszy ustęp z drugim, dostrzegamy, że w tym pierwszym, późniejszym, znikło to, co miało wyraźnie anti-monarchiczny kierunek, więc znikła wiara w republikanizm, znikły trony zachwiane i próchniejąca w trumnach purpura, zostało zaś to, co monarchizmowi nie przeczyło: wiara w postęp, w bohaterów, w Nemezys dziejową. Nie chcę twierdzić, że Słowacki przerabiał swoje wyznanie wiary w ten sposób świadomie (bo, że tu było przerabianie, świadczą o tem poprzedzające strofy)[1], przypuszczam raczej, że mimowoli dostrajał się do sympatyi i przekonań stronnictwa, z którem go wówczas łączyły przyjaźne stosunki i nieświadomie dobierał obrazów i wyrażeń, któreby tej harmonii towarzyskiej nie psuły.

Ale credo estetyczne i credo polityczne to były tylko dwa stopnie, potrzebne poecie na to, aby wspiąwszy się

[1] Mianowicie trzy strofy, poświęcone Mochnackiemu w *Beniowskim*, które są przerobieniem trzech odpowiednich sześciowierszowych strof czwartej pieśni *Podróży na Wschód* na oktawy.

po nich, wyjść na trzeci, najwyższy, i z tego wzniesienia ogłosić światu swoje wyznanie wiary religijne, zaśpiéwać hymn swojemu Bogu, i tem wyznaniem, tym hymnem zmierzyć się z religijnością wielkiego przeciwnika, który mu brak wiary zarzucał.

Wierzę w to wszystko... ha!... a jeszcze w Boga.

Pięć strof, które następują po tem przejściu do religijnego *credo*, jest to niezmiernie ważny, ogromnie charakterystyczny ustęp, naprzód dla tego, że wyraził się w nim jeden z najwybitniejszych momentów monomachii Słowackiego z Mickiewiczem, powtóre, że w tym ustępie poeta otworzył na oścież bramy swojej świątyni, aby w pełnym blasku pokazać nam swojego Boga.

Na horyzoncie duchowym każdego poety, jak wogóle zresztą na horyzoncie duchowym każdego człowieka, można odróżnić cztery główne strony świata jego wyobrażeń i uczuć, cztery zasadnicze stosunki: do kobiety, jako przedstawicielki płci odrębnej; do społeczeństwa w jego rozmaitych formach, albo zakresach: rodziny, koleżeństwa, narodu, ludzkości; do przyrody, jako karmicielki nietylko ciała, ale i ducha, jako do głównej mistrzyni, kształcącej wyobraźnię człowieka; wreszcie do tego pierwiastka jedności, tego Najwyższego Utajonego, bez którego nieskończoność zjawisk stawałaby się nieskończoną dla ducha ludzkiego zmorą. Dotychczas mieliśmy sposobność poznać stosunek duszy Słowackiego do kochanki, do społeczeństwa i do przyrody. Dwa pierwsze stosunki ukazały się nam w charakterze ujemnym, to znaczy, przedstawił się w nich Słowacki, jako niezdolny do szczerego ukochania kobiety i narodu; przeciwnie w trzecim stosunku, dzięki szczególnej swojej organizacyi duchowej, w której wyobraźnia wybujała kosztem innych władz ducha, objawił się jako nieporównany tłómacz piękności natury, jako ten, który umiał odczuć każdy jej wdzięk najsubtelniejszy, złowić najprzelotniejszy jej uśmiech, dosłyszeć najlżejszego

jej westchnienia i to wszystko czarodziejskiem słowe odmalować. Jakiż był stosunek jego względem Boga?

Boże! kto Ciebie nie czuł w Ukrainy
   Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy,
Kiedy przeleci przez wszystkie równiny
   Z hymnem wiatrzanym, gdy skrzydłami ruszy
Proch zakrwawionej przez Tatarów gliny!
   W popiołach ziemi słońce zawieruszy,
Zamgli, zczerwieni i w niebie zatrzyma,
Jak czarną tarczę z krwawymi oczyma!

Kto Cię nie widział nigdy, Wielki Boże!
   Na wielkim stepie, przy słońcu nieżywem,
Gdy wszystkich krzyżów mogilne podnoże
   Wydaje się krwią i płomieniem krzywym...
A gdzieś daleko grzmi burzanów morze:
   Mogiły głosem wołają straszliwym;
Szarańcza tęcze kirowe rozwinie,
Girlanda mogił gdzieś idzie, i ginie.

Kto Ciebie nie czuł w natury przestrachu
   Na wielkim stepie albo na Golgocie;
Ani wśród kolumn, które zamiast dachu
   Mają na sobie miesiąc i gwiazd krocie,
Ani też w uczuć młodości zapachu
   Uczuł, że jesteś — ani rwąc stokrocie
Znalazł w stokrociach i niezapominkach:
A szuka w modłach i dobrych uczynkach —

Znajdzie... ja sądzę, że znajdzie... i życzę
   Ludziom małego serca: kornej wiary,
Spokojnej śmierci... Jehowy oblicze
   Błyskawicowe jest ogromnej miary!
Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę
   I widzę kości, co jako sztandary
Wojsk zatraconych, pod górnymi grzbiety
Leżą... i świadczą o Bogu... szkielety;

Widzę, że nie jest On tylko robaków
   Bogiem, i tego stworzenia, co pełza.
On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,
   A rozhukanych koni On nie kiełza...

On piórem z ognia jest dumnych szyszaków...
Wielki czyn często go ubłaga, nie łza
Próżna, stracona przed kościoła progiem,
Przed Nim upadam na twarz — On jest Bogiem!

Czemże jest Bóg Słowackiego? Żeby go pokazać, poeta › nam rozległy obraz stepu ukraińskiego, z szumem tru, z czerwonym ogniem zachodzącego słońca, z tęszarańczy na niebie. Tam on czuł i znajdował Boga. co dalej wspomina o kolumnach pod gwiaździstym nem niebios, o zapachu młodości i stokrociach, jest już em tylko uzupełnieniem pierwszego obrazu, w nim c, w tym obrazie mamy przedewszystkiem szukać po- a Słowackiego o Bogu. Bóg jego w tym obrazie ude- ogromem przestrzeni, ale nie tym bezkształtnym, jaki w pojęciu nieskończoności zawiera, tylko tym plasty- ym, jaki obraz stepu przedstawia, a obok gromu pla- :znego uderza szumem i blaskiem. Jest to Bóg, prze- wiający tylko do zmysłów, do oczu i uszu, a przez te ysły do wyobraźni, podobny do bogów, czczonych przez y pierwotne, nie umiejące oddzielić przyczyny zjawisk ury od samych zjawisk, przytem Bóg to jakiś stepowy, wiastek ruchu dla samego ruchu, niby wiatr ukraiń- niby koń rozhukany, niby ptak wielki z szumem prze- jący »przez wszystkie równiny«. Cóż dziwnego, że Bóg i »lubi huczny lot olbrzymich ptaków« i że »rozhukanych i On nie kiełza«. Lubi on podobno także wielkie czyny, łatwo się domyślić, że tylko takie, które tworzą wspa- e widowisko, które są ucztą dla oczu.

Jest coś panteistycznego w tem przedstawieniu Boga yć może, że Słowacki ulegał tu poniekąd suggestyi v Krasińskiego, który widział formę panteistyczną ego poezyi, który ją, jak wiemy nazywał »rozpłynie- n, powrotem do szerzy, do płynności światła, do gry ., do fal muzyki, do woni kwiatów, do wszystkiego, tylko chce się rozprysnąć i rozwiać na wszystkie strony,

by znaleźć nieznalezionego Boga« [1]). Zapewne pod wpływem tych słów mówił o sobie poeta w *Beniowskim*, że jest »panteistą trochę«, więc może i swoje wyznanie wiary dostrajał do określeń przyjaciela. Ale przedewszystkiem to wyznanie wiary, ten obraz Boga Słowackiego miał być przeciwstawieniem do religijnych pojęć tych ludzi, z którymi toczył zaciętą walkę, w szczególności do pojęć Mickiewicza, który mu zarzucał brak wiary i miłości i wzywał jego muzę na drogę, wiodącą do Boga. I to przeciwieństwo dobywał już Słowacki wprost z siebie, nie ze słów Krasińskiego i dlatego wiernie się wypowiedział w swojem wyznaniu wiary.

Żeby zrozumieć, jak dyametralna różnica zachodziła między Słowackim a Mickiewiczem w tym względzie, to jest w ich stosunku do Boga, dość jest odczytać choćby jednę strofę z »*Rozmowy wieczornej*« Mickiewicza, pisanej, podobnie jak Credo w *Beniowskim*, w chwili, gdy poeta czuł pełnię sił twórczych i stał u zenitu życia, i porównać ją z tem *Credo*.

Z Tobą ja gadam, co królujesz w niebie,
A razem gościsz w domku mego ducha,
Gdy północ wszystko w ciemnościach zagrzebie,
I czuwa tylko zgryzota i skrucha,
Z Tobą ja gadam! słów nie mam dla Ciebie,
Myśl Twoja każdej myśli mej wysłucha;
Najdalej władasz i służysz w pobliżu,
Król na niebiosach, w sercu mem na krzyżu.

Słowacki znajdował Boga w obrazach przyrody, groźnych i wspaniałych, w szumie i blasku, rzecby można w błyszczącej i szeleszczącej szacie bóstwa, która olśniewała jego wyobraźnię, i przed takim Bogiem padał na twarz. Mickiewicz, jakkolwiek szukał go myślą »za gwiazd kołowrotami« (w *Dziadach*) znajdował jednak dopiero we własnem sercu i znajdował dopiero wtedy, gdy wszelkie

[1]) Listy Zygm. Krasińskiego T. III, str. 5.

ımy i blaski dzienne poznikały, gdy północ wszystko ciemnościach pogrzebała i nic skupieniu uczucia nie ;eszkadzało [1]). I wtedy uczucia żalu, skruchy i miłości nęły z jego serca, jak wonie z kwiatów, których kiehy na noc się rozwijają, płynęły modlitwą bez słów, ążącą domek jego ducha z Tym, który gościł w tym mku, ale zarazem królował w niebiosach, to jest serce ety z nieskończonością. Jednem słowem religijność Mic›wicza tkwiła w sercu, religijność Słowackiego w wyobźni. Ten ostatni fakt potwierdzają tak inne utwory). *Hymn o zachodzie słońca na morzu*), jak i listy poety, ile on w nich wspomina o budzeniu się swoich uczuć ligijnych, np. opis wrażeń doznanych na Wezuwiuszu [2]).

Czy ten błyszczący i szumiący Bóg Słowackiego miał wspólnego z chrześcijańskiem pojęciem o Bogu? Nie, dobniejszy był raczej do Jehowy Starego Zakonu, który ;ymał naturę w przestrachu i podziwie, którego świeość zewnętrzną i potęgę wielbił psalmista. Słowacki, zytując się w Kochanowskiego psalmy, znajdował tam tępy, dobrze odpowiadające obrazowi Boga z *Beniowiego* np. w psalmie XVIII:

Trzęsła się w swym gruncie ziemia na wszystkie strony,
Trzęsły się góry, bo Pan był gniewem wzruszony.
Dym się kurzył z nosa jego, oczy pałały
Żywym ogniem, a z oblicza węgle strzélały itd.

o we wspaniałym psalmie CIV:

---

[1]) Podobna myśl wypowiedziana jest w *Zdaniach i Uwagach* kiewicza, wziętych z pism mistyków:

Głośniej niźli w rozmowach Bóg przemawia w ciszy,
I kto w sercu ucichnie, zaraz go usłyszy.

[2]) «Raz tylko na Wezuwiuszu, patrząc na słońce wschodzące, rróciłem się i modliłem się i łzy miałem w oczach. Raz tylko od u miesięcy coś czułem wiejącego na mnie z tamtego świata«. tv II 10

Ciebie obeszła w koło cześć i świetna chwała,
Ciebie jasność jako płaszcz ozdobny odziała...
. . . .
Pan, który kiedy pojrzy, ziemia drży; Pan, który
Kiedy ręką gór dotknie, dymem pójdą góry.

Oto jest Bóg objawiający się, jak chce Słowacki, w natury przestrachu, mierzący tym przestrachem swoją potęgę. Jakże inaczej wygląda Bóg w ewanielii, Bóg, który błogosławi ubogim w duchu i zapewnia im królestwo niebieskie, błogosławi cichym i zapowiada, iż oni to odziedziczą ziemię, błogosławi pokój czyniącym i swoimi synami ich nazywa, każe miłować nieprzyjaciół i modlić się za nich. »Abyście byli synami Ojca waszego, który jest w niebiesiech; bo on to czyni, że słońce jego wschodzi na złe i na dobre, i deszcz spuszcza na sprawiedliwe i na niesprawiedliwe«. (Mat. V, 45). Słowacki, w którym żądza wielkości, żądza sławy, zajęła niepodzielnie serce i rozpierała je, nie miał zupełnie, przynajmniej do owego czasu, zdolności do zrozumienia moralnego piękna, jakie świeci z prawdziwej pokory chrześcijańskiej, z prawdziwej miłości bliźniego, z prawdziwej miłości Boga, jako ideału najwyższej doskonałości moralnej. Najwięcej jeszcze zbliżył się on do tych pojęć w *Hymnie na morzu* i w *Anhellim,* ale w Hymnie jest raczej skarga na swoje losy, niż pokora i miłość chrześcijańska, w Anhellim miłość i litość, które wlewa Szaman w bohatera poematu, przemieniają się, jak widzieliśmy, w samoubóstwienie. W *Beniowskim,* w owem wyznaniu wiary, które analizujemy, jest wręcz negacya idei chrześcijańskich, któremi od lat dziesięciu tak głęboko był przejęty Mickiewicz, które tchnął w *Księgi pielgrzymstwa,* w *Dziadów Część III,* które od niego wychodząc szerzyły się w pewnem gronie emigracyi i wcielały się w życie, ściągając nieraz na to grono niechęć i szyderstwa płytkiej i rozpolitykowanej emigracyi. Słowacki, który znajduje Boga w wichrze stepowym, pod kolumnami świątyń egipskich, nakrytych

aździstem niebem, a nawet w stokrociach, z ironią
vi o tych, którzy go szukają w modlitwie i dobrych
ynkach, ludzi »kornej wiary« nazywa ludźmi »małego
a«, porównywa ich z robakami i płazami, i przeciwsta-
im tych, którzy jak szumnoskrzydłe ptaki, lub roz-
ane konie przelatują przez życie.

Uniesiony antagonizmem względem Mickiewicza i jego
gijności, podobny w istocie do uwielbianego przez się
ia rozhukanego, który się na nic w pędzie nie ogląda,
ominał Słowacki o niekonsekwencyach, w jakie po-
ał, o tem, że jego wyznanie wiary kłóciło się najwy-
iiej z tą czcią dla Chrystusa, którą niejednokrotnie ma-
stował, którą jeszcze w pierwszej pieśni *Beniowskiego*
iił, wspominając, jak »bił czołem w marmur Chrystu-
'y«. Dopóki się rzucał na Jezuitów, na Rzym, na pa-
itwo, nawet na katolicyzm, jeszcze jego cześć dla Chry-
ıa mogła była w ten lub ów sposób z tem całem mio-
iem się pogodzić, jak się godziła nieraz w inowiercach,
'óżnego rodzaju kacerzach, sekciarzach i marzycielach,
ıcych o powrocie do pierwotnej gminy chrześcijańskiej.
kiedy uderzał już nie na to, co mógł uważać za skrzy-
nie nauki Mistrza, ale na to, co musiał uważać za
ią jej rdzeń, za główne zasady i ideały, kiedy ośmie-
' pokorę, modlitwę, skruchę i miłosierdzie, jakże mógł
ım wszystkiem pogodzić cześć dla Chrystusa?

Zagadki nie można inaczej rozwiązać, jak w ten spo-
że w Słowackim cześć dla Chrystusa z wyobraźni
a początek, nie z serca. Wielbił Go — naturalnie nie
ąc sobie z tego sprawy — nie dla jego doskonałości
alnej, której niezdolny był odczuć sercem, ale dla tej
oli, która otacza jego postać w dziejach, i dla drama-
ności, jaką historya jego męki przedstawia.

Jak ta dramatyczność działała na jego wyobraźnią,
ıdczy o tem pewien list jego szwajcarski, z czasów,
ly studyował Biblię i nieraz przed zaśnieniem odczy-
'ał głośno jakiś z niej rozdział. »Przedwczoraj — pisał

do matki — tak mocno wraziła mi się w imaginacyę męka Chrystusa, że we śnie umęczenie całe widziałem. Obudziłem się okropnie przerażony« [1]).

Jeżeli znalazłszy się sam jeden u grobu Chrystusa w nocy, na ten grób z płaczem się rzucał, wywołała to do najwyższego stopnia podniecona wyobraźnia poety, która mu uprzytomniała cały zewnętrzny blask postaci Chrystusowej.

Żeby lepiej zrozumieć charakter religijności Słowackiego, warto jeszcze przypomnieć to, co pisał o swoich uczuciach religijnych po otrzymaniu z Paryża pierwszego egzemplarza *Anhellego*, swego ukochanego dziecka, jak go nazywał. Poszedł on wtedy, jak wiemy, »do wielkiej, ciemnej, pustej katedry«, stanął po środku, zaczął myśleć o Bogu i oczy jego napełniły się łzami. »Upokorzyłem się, bo mi się zdawało, żem tego ranka urósł nieco i że Bóg upokorzenie moje widzieć będzie, jak gdyby jaka z najwyższych kolumn w ruinie upadała przed nim... Dziwnie, jak we mnie katolicyzm jest dumny«. Otóż łzy, które mu się wówczas pokazały w oczach, nazwał Słowacki upokorzeniem się, z tego jednak, jak pisze o tem z owego »urośnięcia«, z owego porównania siebie do najwyższych kolumn, łatwo wywnioskować, że te łzy napędziła mu nie pokora, ale wyobraźnia poetyzująca chwilę, od której, jak mu się zdawało, miał się rozpocząć okres jego sławy, i poetyzująca dekoracyę tej chwili, owo sam na sam z Bogiem w »wielkiej, ciemnej i pustej« katedrze. To też i sam, choć mówił o upokorzeniu się swojem, nazywał, i to z pewną chlubą, swój katolicyzm dumnym.

Ogłosiwszy swoje wyznanie wiary, pokazawszy swego Boga i upadłszy na twarz przed nim, Słowacki zwracał się do Mickiewicza, aby w ostatnich dwunastu strofach stoczyć z nim bój z zaciętością, która pod koniec przechodzi niemal w szaleństwo. Rozpoczynając *Beniowskiego*,

[1]) Listy I, 289—290.

e przewidywał jeszcze, że jego poemat zakończy się ta-
em ostrzem, wymierzonem w pierś wielkiego przeci-
ika, bo jeszcze wtedy nie był podrażniony ucztą, jej
mentarzami i różnymi owacyami dla Mickiewicza. Poemat
ał być przedewszystkiem chłostą dla *Młodej Polski* i tego
onnictwa emigracyjnego, które, Słowacki upatrywał za
. Mickiewiczowi naturalnie miało się dostać, ale do ta-
go szalonego pojedynku, jakim poemat się kończy, nie
ło jeszcze powodu. Zaczepiał go Słowacki w ciągu
rwszych trzech pieśni parę razy, czy to w pieśni III
pominając o »wieszczu wszystkowiedzącym« i prze-
eźniając jego proroczą liczbę 44. (Szkoda! czterdzieści
ery pieśni całych! — Czterdzieści bowiem cztery w pla-
stoi)[1]; czy to w pieśni drugiej starając się aż w pię-
oktawach ośmieszyć wallenrodyzm i w złem świetle
azać Wallenroda. Ale były to tylko lekkie natarcia
porównaniu z atakami na *Młodą Polskę* i Jezuitów [2])

[1]) Małecki nie dopatruje w tem ironii i powiada: «Poemat ten
cowity miał się składać z czterdziestu czterech takich pieśni, jak
e pięć co wyszły z druku 1841 r. Tyle ich przynajmniej autor za-
wiedział w jednej ze zwrotek pieśni trzeciej«. (Juliusz Słowacki
ów 1901 II, 272). Zwracam uwagę, jak już w *Podróży na Wschód*
wacki przedrwiwał tę liczbę proroczą, mówiąc, że wierzy w nią
rozpaczy».

[2]) Co się tyczy ustępu o wallenrodyzmie, który podług Słowa-
go «wiele zrobił dobrego», bo «wprowadził pewny do zdrady
odyzm — Z jednego zrobił zdrajców sto tysięcy», to ustęp ten
jest oryginalnym pomysłem Słowackiego, ale echem pewnego
kułu «*Pszonki*« z roku 1840, (półarkusz 6, str. 21) p. t. «Wallen-
o-mania». Ale w *Pszonce* z ośmieszaniem rzekomych naśladowców
llenroda szło w parze uwielbienie dla twórcy tej postaci i dla
iego Wallenroda. «Nieporównany Mickiewicz... wywołał z cie-
w przeszłości krzyżackiej ową ogromną postać, od stóp do głów
irysie, dumną, tragiczną, mściwą, słowem zakonnika rozkocha-
o, co pił, mordował i śpiewał ballady, a kreśląc ten olbrzymi
rakter, mogący wielką myśl zaszczepić w narodzie, nie spodzie-
się może wywołać najśmieszniejszych w świecie naśladowców,
rzyby Molierowi mogli dostarczyć materyi do nowego rodzaju

Teraz, po obu ucztach na cześć Mickiewicza i po ukazaniu się artykułu o improwizatorach, Słowacki, rozdrażniony w najwyższym stopniu na Mickiewicza, postanowił skorzystać z poematu, który już był doprowadzony do początku pieśni szóstej, nie przedłużać powieści, ale przerobić tylko ostatnie dwie pieśni i w zakończeniu wytoczyć swoją sprawę przed światem, wypowiedzieć swoje pretensye do wielkości, której uznawać nie chciano, i z całym impetem uderzyć na tego, którego sława, od pierwszych wystąpień Słowackiego na polu poezyi, przyćmiewała jego sławę. Ale do zawiści któż i kiedy się przyznawał? Tem mniej od innych mógł to uczynić Słowacki, więc za powód do swego uderzenia na Mickiewicza wziął przeciwieństwo zasad. Ale o tem później.

Pierwsza strofa tej monomachii była wyzwaniem:

Gdzież więc ten człowiek, który jest zwiastunem
Pokory? co się Bogiem ze mną mierzył?
Ja go chcę jeszcze — w głowę tnę piorunem,
Tak jakem wczoraj go w piersi uderzył.
Czy widzieliście? i on ma piołunem
Zaprawne usta... Lud co w niego wierzył,
Radość udaje, ale głowy zwiesił,
Bo wie, żem skinął Ja — i wieszcza wskrzesił.

Ton wyzwania namiętny zapowiadał namiętną walkę. To, co Słowacki mówi o piołunie w ustach było alluzyą

Tartiufów». Widział wprawdzie Pszonka «jakąś niedoskonałość» w Wallenrodzie z powodu «że znikczemnienie, podłość, brak charakteru, wyparcie się uczuć narodowych tak łatwo parodyują ten płaszcz krzyżacki i ten hełm z tajemniczą przyłbicą», ale i przy tych słowach nie omieszkał nazwać Wallenroda «prześlicznym ideałem», a Mickiewicza «nieporównanym wieszczem». Słowacki w swojem natarciu na wallenrodyzm zwrócił ostrze głównie przeciwko Mickiewiczowi.

Ponieważ «Wallenrodo-mania» ukazała się w czerwcowym półarkuszu *Pszonki*, przeto pieśń II Beniowskiego, a przynajmniej ów ustęp o wallenrodyzmie i to, co po nim następuje, nie mogło być pisane wcześniej, jak w drugiej połowie 1840.

pewnych szczegółów improwizacyi Mickiewicza, mia-
vicie do przyznania, że i on nieraz doznaje niewiary
strony ziomków[1]). Przy końcu strofy zaznaczył Słowa-
swoją wyższość nad przeciwnikiem, którego natchnie-
od kilku lat opuściło; a jeżeli się na chwilę teraz zja-
o, to tylko dzięki Słowackiemu.

W czterech następnych oktawach podany jest obraz
lki improwizatorskiej, stoczonej na uczcie. Słowacki
volna serca swego rwał kawały, zamieniał w piorun«
skał w przeciwnika, to jest wypowiadał to, co mu od
lu lat nakipiało na sercu przeciw Mickiewiczowi, ale
powiadał w poetycznych obrazach, których słuchacze
ąć należycie nie byli zdolni, więc choć sam czuł, że
iskami swymi zwyciężył przeciwnika, zwycięstwa tego
chacze nie zrozumieli.

Za błękitami był bój i zwycięstwo,
Ludzie nie widzą we mnie — tylko męstwo.

Nie dość tego, ci słuchacze, to przyjaciele lub wielbi-
e przeciwnika, to w znacznej części jego współkra-
cy, Litwini, już z góry niechętnie usposobieni dla Sło-
ckiego. I poeta czuł tę niechęć ich ku sobie, czuł samo-
ść swoją wśród »tej zgrai ciemnej«, czuł, że daremnie
ca słowa »pełne łez i krwi i błyskawic świetnych«, na
a dla siebie »wstrętne«. Czemuż, jak Mickiewicz swoich
winów, tak on nie ma za sobą swoich Wołyniaków
rzy jako wychowańcy tego samego kraju »pełnego łąk

---

[1]) «Oto niedawno, rzekł on, kiedy miałem mówić przed obcymi,
n z moich przyjaciół nie miał wiary w słowa moje, wszyscy
e odbiegli, odstąpili; jedni mówili: skądże mu ta śmiałość w obcym
wać się języku? Inni obwiniali mnie o miłość własną, a nie wi-
li, że oto w sercu (i odkrył je) Bóg złożył słowa prawdy, które
ocen jestem na wszystkie tłómaczyć języki itd.» (Wyjątek z listu
uszkiewicza, Wł. Mickiewicz Żywot Ad. Mickiewicza T. III, str. 31)
Koźmian w cytowanym artykule (Dziennik Narodowy Nr. 16)
wierdza świadectwo Januszkiewicza: «Mówił i o sobie, iak nieraz
cze niewiary doznaje».

kwietnych«, wykarmieni przez tę samą ziemię »krwią i mlekiem płynną«, powinniby go lepiej rozumieć i kochać?

Słowacki rozczulał się nad sobą i w tem rozczuleniu był szczery, ale kiedy potem wołał:

Jeśli wy bez serc! Wy! — to moje serce
Za was czuć będzie, przebaczać bez miary,

to był to frazes, w tak rozpaczliwej niezgodzie zostający z całym poematem, że jeśli go Słowacki nie usunął po napisaniu, to można to objaśnić tylko albo pośpiechem w oddaniu poematu do druku, albo co pewniejsza, brakiem zmysłu dla szczerości uczucia, któryby go ostrzegł o fałszywym akordzie.

Różnica prowincyonalizmów podsunęła Słowackiemu przeciwstawienie rodzinnej, krzemienieckiej Ikwy litewskiemu Niemnowi i tej to allegoryi użył poeta do sprostowania fałszu umieszczonego w artykule o improwizatorach, to jest tego szczegółu, że Mickiewicz w swojej improwizacyi odmówił mu jakoby prawa do tytułu poety. Nie, tak nie było.

Tyś zmusiła Niemen stary
Wyznać, żem wielki, że w sławę płyniemy,
Lecz rzekł: »Niech idzie tam, gdzie my idziemy«.

I tu następują dwie strofy, w których Słowacki chciał swój antagonizm względem Mickiewicza, swój obecny zapęd wojowniczy, oprzeć na różnicy zasad społecznych i wspiąć się wobec narodu na stanowisku wieszcza-przewodnika, równorzędne stanowisku Mickiewicza, ale wręcz tamtemu przeciwne.

Ha! ha! mój wieszczu! Gdzież to wy idziecie!
Jaka wam świeci, gdzie, portowa wieża?
Lub w Sławiańszczyźnie bez echa toniecie,
Lub na koronę potrójną Papieża :
Piorunem myśli podniesione ślecie...
Gnacie... Znam wasze porty i wybrzeża!

Nie pójdę z wami, waszą drogą kłamną —
Pójdę gdzieindziej!... i lud pójdzie za mną!

Gdy zechce kochać, ja mu dam łabędzie
Głosy, ażeby miłość swoję śpiewał.
Kiedy kląć zechce... przezemnie kląć będzie;
Gdy zechce płonąć... ja będę rozgrzewał,
Powiodę tam, gdzie Bóg... w bezmiar... wszędzie.
W me imię będzie krew i łzy wylewał.
Moja chorągiew go nigdy nie zdradzi,
W dzień jako słońce, w noc jak żar prowadzi.

Na czemże polegała różnica zasad? Jakąż to drogą ckiewicz, według rozumienia Słowackiego, chciał pro- dzić naród, a jaką drogą on, Słowacki? Autor *Beniow- ego* chciał koniecznie przeciwstawić swoje zasady spo- zne zasadom Mickiewicza, ażeby uzasadnić swoją na- ętną z nim walkę i swoje pretensye do przewodnicze- ι narodowi, czyli do pierwszeństwa. Ale nie była to ecz łatwa, przedewszystkiem dla tego, że kwestye spo- zne były dotychczas dla Słowackiego rzeczą obcą, obo- ną, że właściwie żadnych zasad społecznych nie miał. łeli chodziło o patryotyzm, to szedł on tak samo w kie- nku patryotycznym, jak Mickiewicz, z tą różnicą, że tryotyzm jego w *Kordyanie* przejęty był z drugiej ręki, aśnie z ręki Mickiewicza. Jedną tylko różnicę w pa- 'otyzmie spostrzegał wyraźnie Słowacki między sobą Mickiewiczem: patryotyzm tego ostatniego opierał się katolicyzmie, na doskonaleniu się wewnętrznem w du- u ewanielii, a wobec tego Słowacki zachowywał się pornie i szyderczo, jak np. w Przedmowie do trzeciego nu poezyi, albo jak w owem wyznaniu wiary, którego alizę już podałem. Otóż tę różnicę Słowacki postanowił vydatnić teraz, stając przed narodem, jako nowy jego ieszcz przewodnik, żeby zaś odstręczyć od Mickiewicza ım emigracyjny, religijności jego nadawał niepopularną ırwę ultramontanizmu. Tak trzeba rozumieć zarzut

Słowackiego, że portową wieżą dla Mickiewicza i jego przyjaciół jest korona papieża.

Ale ten zarzut zapewne wydawał się niedostatecznym poecie, więc skorzystał z rozmaitych plotek i niedowarzonych sądów emigracyjnych o pierwszych wykładach Mickiewicza w Collège de France, aby do pierwszego zarzutu: ultramontanizmu, dodać drugi: panslawizm. »Lub w Sławiańszczyźnie bez echa toniecie«.

Żeby zrozumieć, skąd taki zarzut mógł powstać, trzeba wiedzieć, że znaczna część emigracyi paryskiej sądziła, że Mickiewicz, zostawszy profesorem Collège de France, będzie korzystał z tej katedry, ażeby niejako z obowiązku patryotycznego wszystko, co rosyjskie, bez względu na prawdę historyczną, przedstawiać w złem świetle. Tego się też obawiano i ze strony rządu francuskiego. Mickiewicz w pierwszych swoich wykładach rozproszył i nadzieje i obawy, i pokazał, że ani polskość, ani patryotyzm nie odbierają mu bezstronności historycznej. To wywołało w różnych kołach emigracyjnych niezadowolenie, ujemne a nawet obraźliwe sądy. Już w pierwszej prelekcyi nie podobało się to niektórym polskim słuchaczom, że Mickiewicz charakteryzując języki słowiańskie, nazwał język rosyjski językiem prawodawstwa i administracyi, język polski językiem literatury i rozmowy potocznej. Jeszcze większe niezadowolenie wywołało to, co mówił na drugiej lekcyi o zasługach Rusi i Polski względem chrześcijaństwa, przyznając Rusi, a właściwie Rosyi, zasługę pokonania Tatarów, Polsce zasługę powstrzymania potęgi Turków. Najwięcej wrzawy wywołała trzecia lekcya z powodu słów Mickiewicza o charakterze patryotyzmu polskiego. »Niepodobna jest określić patryotyzmu polskiego wyrazami i zamknąć go w formule scientyficznej. To pewna, że u poetów, mowców i polityków narodowych polskich, ojczyzna nie jest to miejsce, gdzie jest dobrze (ubi bene), nie jest to pewny stan pomyślności, nie jest to pewny kawał ziemi

·eślony granicami, za któremi kończy się byt i działa- narodowe Polaka. Ojczyzna Polaków żyje i działa zędzie, gdzie biją wierne serca jej synów...«[1]) I zacy-vawszy w końcu słowa Aleksandra I: »Polacy poświę-ą rzeczywistość dla urojeń«, dodawał: »Miał on słu-iość, jeżeli, jak to dziś bywa, nazwiemy urojeniem zelką ideę, która jeszcze nie ma władzy na ziemi i je-:ze dąży ku rzeczywistości«.

To idealne pojmowanie patryotyzmu i ojczyzny, w któ-n się już tail późniejszy mesyanizm, dla większej czę- emigracyi, rozpolitykowanej i płytko rzeczy biorącej, lo niezrozumiałem i gorszącem. *Narodowość*, wydawana :ez niejakiego Słowaczyńskiego, odsyłała Mickiewicza słownika Lindego i kazała mu tam dowiadywać się, znaczy słowo ojczyzna. *Zjednoczenie* z tego samego wodu wołało: Adamie! — przebóg! niegdyś wielki nasz eto! Ojczyzna nie jest dla Polaka ni snem, ni marze-im. Naród, który za swoją wiarę, za swoje swobody, swoją wolność i niepodległość przez ośm wieków swą ɔw przelewał, ten naród wiedział i wie, co jest jego zyzną«[2]). *Pszonka* dowcipkował: »Emigracya gniewa za jakieś tam brednie o Polsce i Ojczyźnie. Czy za-mniała, że poecie wszystko wolno?«

Ale wszystkie pisma emigracyjne prześcignęła *Nowa lska*, wydawana przez osławionego krzykacza J. B. trowskiego, który pierwszym wykładom Mickiewicza święcił sążnisty artykuł, na dwa numery rozciągnięty, t. »Pan Adam Mickiewicz profesor«. Co on tam na-:ód o ucztach dla Mickiewicza, a potem o jego wykła-:h popisał, przechodzi wszelkie pojęcie: »Ten Polak, męczennik, ten pierwszy wieszcz, jako raczy nazywać ɔie — przyjmuje szumne wieczory, zachmiela się szam-ıem — kiedy Polska łzy i krew wylewa«[3]). »We swoim

[1]) Literatura słowiańska Poznań 1865 T. I str. 21.
[2]) Zjednoczenie z 25 kwietnia 1841 T. I str. 3.
[3]) Nowa Polska T. IV Oddział 3 str. 617.

umyśle Polski potężnej, zasłużonej, poważnej, przygotowanej na nowe nieograniczone poświęcenia nie znalazł. To był pył dlań. Moskwa zajęła jej miejsce jako najgrubsza, jako najogromniejsza«... W dalszym ciągu J. B. Ostrowski dowodził, że Mickiewicz »rozmyślnie, przez dobrze i spokojnie rozważany i przyjęty zamiar, uczynił to, co dosyć trafnie nazwano złorzeczeniem narodowym świętościom...« [1]. Przypomniał przedmowę do pierwszego wydania Wallenroda, gdzie Mikołaj nazwany był ojcem ludów i twierdził, że uczucia patryotyczne Mickiewicza oziębiły się »na salonach moskiewskiej arystokracyi i przez lubieżne pieszczoty moskiewek« [2].

Nie podobało się także wielu słuchaczom, że Mickiewicz w pierwszych swoich wykładach szczególnie się zajmował Ukrainą i jej poezyą dawniejszą i współczesną. Z powodu różnych ujemnych sądów, jakie o tem krążyły, pisał Bohdan Zaleski do Goszczyńskiego (29 stycznia 1841): »Nie wierz, mój Sewerynie, co ci piszą o Mickiewiczu. Byłem sam bez wiedzy profesora na jednej lekcyi i wyszedłem całkiem rozradowany. Była mowa o charakterze fizycznym różnych miejscowości słowiańskich, a mianowicie Polski, Moskwy, Ukrainy. Oczywiście Ukraina, która ma pieśni ludu, ma piewców swoich dawnych i nowych, najwięcej dostarcza barw poetyckich. To się zaraz nie podobało słuchaczom. »Czy to już w Polsce oprócz Malczewskiego, Goszczyńskiego, Zaleskiego nie było i nie ma poetów?« Sam słyszałem taki wyrzut. Ty wiesz, że u nas wciąż krąży w obiegu pewna masa pospolitych wyobrażeń i, broń Boże, uderzyć na nie... Byle nowszy nieco lub śmielszy pomysł, natychmiast podejrzywają patryotyzm« [3].

---

[1] Tamże str. 618.
[2] Tamże str. 619.
[3] Korespondencya Józefa Bohdana Zaleskiego, wydał Dyonizy Zaleski. Lwów 1900. T. I str. 195. Lekcya, o której Zaleski pisze, był to piąty wykład z d. 12 stycznia 1841.

O podobnych podejrzeniach pisał i zbijał je Bohdan ileski w liście do Lucyana Siemieńskiego, o parę mieęcy późniejszym (3 kwietnia 1841). »Czytałem noty steografów i ani słówka o tem, co mi pisałeś i co czytałem m po emigranckich żurnalach. Wierzaj mi, wszystko plotki ludzi, nierozumiejących rzeczy sobie nieswojich, a chcących przecież o nich wyrokować. Mickiewicz, to Litwin, nie wierzy nawet w Słowiańszczyznę, ale samą jedną Polskę, z którą zjednoczyli się ongi jego zesławni Olgierdowicze. Ale poradźże Polonii! Dla nich iś Kijowska, Nestor i Bojan, to Moskiewszczyzna. Ani cą wierzyć, że tam wcześniej rozwinęła się poezya morodna itp. A cóż dopiero mówić im o Czechach Serbach? Sam to wiesz z własnego doświadczenia. Poyka u nas, przedewszystkiem polityka i dla lada jaego widzi mi się tej lub owej partyi trzebaby wciąż święcać prawdę« [1].

Na takich to emigracyjnych plotkach i podejrzeniach ierał Słowacki swoje posądzenie Mickiewicza o panslaizm [2]), opierał tem chętniej, że cytowanie Malczewskiego

[1]) Tamże I, 198.

[2]) Na obronę Słowackiego można powiedzieć, że wtedy, kiedy ıal *Beniowskiego,* prelekcye Mickiewicza jeszcze nie były ogłaszane ukiem, nie było więc łatwo oceniać wartość podejrzeń i plotek igracyjnych. Tłómacz wykładów Mickiewicza, Feliks Wrotnowski, przedmowie do trzeciego wydania Literatury słowiańskiej poada, że nie tylko rodacy rozsypani po Francyi, ale «obecni nawet Paryżu nie mogli częstokroć zgodzić się o to, co z katedry było wiedziane», i to właśnie było głównym powodem, że zabrano się ogłaszania tych prelekcyj. Ale z drugiej strony trzeba zaznaczyć, gdyby Słowacki pilnie uczęszczał na wykłady Mickiewicza, lub zynajmniej postarał się o przejrzenie stenograficznych zapisków, óre już od piątej lekcyi się poczęły, to byłby się przekonał, jaki st prawdziwy pogląd Mickiewicza na panslawizm. Mianowicie przy ńcu wykładu dziewiątego (z 26 stycznia 1841) znajdujemy te słowa: arzekania słowianofilów, że wszczęcie się królestw rozerwało ność Słowiańszczyzny, nie ma żadnej zasady. Jedności tej nigdy było. Jedność ludów znajduje się tylko zapisana na pierwszej

Goszczyńskiego i Zaleskiego (tego ostatniego kilkakrotnie) w pierwszych wykładach Mickiewicza, cytowanie ich, jako poetów ukraińskich, a pomijanie jego, Słowackiego, który jako autor *Żmii* opiewał również Ukrainę i kozaczyznę, mogło mu się wydawać i wydawało się zapewne umyślnem upośledzaniem jego przez Mickiewicza.

Ale wróćmy do pytania, jaką to drogę własną przeciwstawiał Słowacki »kłamnej«, jak ją nazywał, drodze Mickiewicza, dokąd to chciał prowadzić »lud« za sobą, pewny, że lud za nim pójdzie? Nie chciał prowadzić do Rzymu, ani do roztopienia się w Słowiańszczyźnie, to było wyraźne, ale nie mówiąc już o tem, że przypisywanie Mickiewiczowi ultramontanizmu lub panslawizmu w zwykłem tego słowa znaczeniu było fałszem, sama ta

karcie religijnych podań Biblii i znajdzie się znowu, jak się spodziewamy, na ostatniej stronicy filozofii prawdziwej. Przed początkiem historyi politycznej żaden węzeł powszechny nie łączył Słowian, a historya ta pracowała ciągle nad zatarciem plemiennictwa, którego już wszelki ślad zniknął. Polak dzisiaj uważa Rosyanina za człowieka zupełnie innego rodu; Serb i Czech nie przyznaje się do wspólnego pochodzenia z ludami północnych krajów słowiańskich. Pojęcie Słowiańszczyzny całkowitej zaświtało dopiero w wieku przeszłym: jest to owoc scientyficznej i literackiej roboty uczonych; ale żeby tę całość kiedyś rzeczywiście otrzymać, podobno chwycono się dróg nie najlepiej prowadzących do celu. Uczeni wołają zawsze w imię wspólnego rodu, nie pomnąc, że to instytucye religijne i polityczne sprawiły te różnice, któreby oni chcieli zniszczyć, i że nie można zniszczyć całej historyi ludu, aby go wrócić do początku fizycznego»... «Insi, zajmujący się myślą przyszłego odbudowania Słowiańszczyzny, upatrują środek w tej lub owej formie rządu. Ale żaden rząd nigdy nie miał dosyć mocy na spojenie różnych narodowości. Cesarstwo rzymskie, które było ideałem siły materyalnej, narzuciło swój kształt wielu ludom zachodnim: za pierwszym wszakże ciosem Barbarzyńców, pękła na zawsze ta spojnia martwa. Owóż i Słowianie nie powinni spodziewać się, żeby ich mogła zgromadzić fizyczna skłonność krwi wspólnej, albo ponętna obietnica jakiej upodobanej formy rządu; dokazać tego potrafiłaby tylko idea powszechna, wielka, idea zdolna objąć całą ich przeszłość i przyszłość». (Lit. Słow. I. str. 79 i 80).

iechęć do obu kierunków nie wskazywała jeszcze, jaką rogą chciał Słowacki lud czy naród prowadzić. W tym względzie poecie, jak już wspomniałem, trudno się było asno wypowiedzieć, poprostu dla tego, że żadnej takiej asnej drogi nie miał. Wspaniałe wezwania, które z *Grobu Agamemnona* rzucał Polsce, aby wstała, »nagością żelazną bezczelna... jak wielki posąg z jednej bryły«, zarówno jak i to, co wieszczył w zakończeniu *Anhellego* o przewadze ludu, o »krwawych rzekach«, o »bladych królach« i »wichrze zemsty ludzkiej«, świadczyło tylko o tem, że wyobraźnia Słowackiego, podobnie jak w »hucznym locie olbrzymich ptaków« i w widoku »rozhukanych koni«, lubowała się także w jaskrawych obrazach rewolucyjnych ruchów, ale nie świadczyło o wyrobionych i głęboko odczutych w sercu przekonaniach społecznych i za wskazanie narodowi drogi do wyzwolenia uważane być nie mogło. Ażeby się wywinąć z tej trudności, skorzystał Słowacki z pewnego przeciwieństwa swego względem Mickiewicza, przeciwieństwa, z którego — dzięki Krasińskiemu — zdawał sobie jasno sprawę, z tego mianowicie, że jego geniusz poetycki był antytezą geniuszu Mickiewicza, że jak tamten, Mickiewicza, miał charakter siły dośrodkowej, tak jego — odśrodkowej. I dla tego to pokazując niby drogę, którą ma prowadzić naród, nie potrafił powiedzieć nic więcej nad ten wiersz, który dobrze odśrodkowość jego ducha malował, ale jako wyraz przekonań politycznych był frazesem bez treści:

Powiodę tam, gdzie Bóg... w bezmiar... wszędzie

Kto prowadzi wszędzie, ten nie prowadzi nigdzie. Jeżeli jednak Słowacki drogi swojej nie pokazał, bo dla swego antyspołecznego indywidualizmu formuły odpowiedniej jeszcze wtedy nie znajdował, to zato, znalazłszy nową sposobność uwielbienia swojej poezyi, znowu, już nie wiem poraz który, uwielbił jej blask i śpiewność, wspaniałym wybuchem samouwielbienia (Gdy zechce ko-

chać, ja mu dam łabędzie głosy i t. d.) zakrył nicość głównej myśli.

Po tem samouwielbieniu, zdaje się, że szaleństwo ogarnia poetę. W ostatnich pięciu strofach rzuca się on, niby Orland szalony, z mieczem na swego przeciwnika, szydzi z niego i urąga, mówiąc o jego twarzy »zielonej« w nocy [1]), o »liści dreszczu«, świadczącym »o próchnie duszy«, wieszczy sobie zwycięstwo, grozi mu losem Hektora — zabiciem i włóczeniem trupa, wykrzykuje, rzucając hasła, które zdają się coś wielkiego znaczyć (»Kocham lud więcej, niż umarłych kości...« albo »Bóg mi obronę przyszłości poruczył«) a właściwie są tylko teatralnym gestem, wypływającym z chęci podkreślenia swego stanowiska, jako wyższego od stanowiska Mickiewicza, wreszcie wieńczy to całe we wspaniałą szatę swego stylu przybrane szaleństwo pożegnaniem:

Bądź zdrów! — A tak się żegnają — nie wrogi,
Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — bogi.

To pożegnanie jest nowym dowodem, jak na całym poemacie zaciężył wpływ listu Krasińskiego. Wyrażenie: »Dwa bogi na słońcach przeciwnych« było jakby powtórzeniem wskazanego w liście Krasińskiego przeciwieństwa pomiędzy Słowackim a Mickiewiczem, przyczem ci, których Krasiński nazywał »wielkimi duchami«, otrzymywali tytuł »bogów«, także pod wpływem Krasińskiego jego uwielbienia dla poezyi Słowackiego; bo to uwielbienie w prywatnym liście zamknięte, a więc światu jeszcze nieznane, w rozdrażnieniu, w jakie popadł wówczas Słowacki w skutek artykułu o improwizatorach, jeszcze więcej go podniecało i ośmielało do samoubóstwienia. A przyznając sobie boskość, dla konsekwencyi musiał ją przyznać i drugiemu »wielkiemu duchowi«, swemu poprzednikowi i przeciwnikowi.

[1]) »Zielona« twarz jest alluzyą do bladości, którą się okrywała zwykle twarz Mickiewicza w chwilach improwizacyi.

Tym sposobem współzawodnictwo względem Mickiewicza, które od lat dziecinnych tlało w sercu Słowackiego, objawiając się na zewnątrz z większą lub mniejszą siłą, teraz w ostatnich strofach *Beniowskiego* dosięgało zenitu, wybuchało wielkim płomieniem, a ten płomień jaskrawo oświetlał tragedyę życia poety, i tę, co już była za nim, i tę, którą Słowacki miał jeszcze do przebycia.

ROZDZIAŁ IX.

Trwogi i tryumfy.

1841.

Obrona *Nocy letniej* Krasińskiego. — Wyjazd do Frankfurtu i pobudki tego wyjazdu. — Światło, które pada na epizod frankfurcki z korespondencyi poety z Niedźwiedzkim, matką i p. Bobrową. — Przestrogi Krasińskiego. — Roznerwowanie Słowackiego. — Miłość ku pani Bobrowej. — Komedya w tragedyi życia Słowackiego i moment tragiczny w tej komedyi. — Sprawa pojedynku z Ropelewskim. — Jakie wrażenie wywarł *Beniowski* na Bohdanie Zaleskim i Mickiewiczu. — Sądy krytyki emigracyjnej o *Beniowskim* i stosunek trzech głównych stronnictw emigracyi do tego poematu. — Tryumfatorski nastrój Słowackiego.

Jeszcze przed ukazaniem się na świat *Beniowskiego* Słowacki znalazł inny sposób pomszczenia krzywdy, którą mu wyrządzono w artykule *Tygodnika* poznańskiego o improwizatorach. Ukazała się była w owym czasie *Noc letnia* Krasińskiego, drukowana jak i poprzednie jego utwory bezimiennie. Powieść ta, trzymana w hyperromantycznym tonie, była jakby cofaniem się Krasińskiego do maniery Agay-chana [1]. *Tygodnik literacki*, który tak wysoko wyniósł był Krasińskiego, jako autora Irydyona, nie wiedząc że i *Noc letnia* jest jego utworem, podał w doniesieniach literackich taką o niej krótką i pogardliwą wiadomość:

---

[1]) Obszerną i trafną analizę *Nocy letniej* podał Stan. Tarnowski w swojej monografii: »Zygmunt Krasiński« W Krakowie 1892, str. 322—332.

»W Paryżu wyszło dzieło *Noc letnia*. Słabe naśladowanie stylu Krasińskiego, bez myśli i ładu« [1]). Słowacki, który wiedział, kto jest autorem *Nocy letniej* i który niedawno otrzymał wiadomość od Krasińskiego, że ten ostatni ma w jego obronie wystąpić w jednem z pism poznańskich [2]), postanowił wywzajemnić się przyjacielowi i również stanąć w obronie jego utworu, a zarazem skorzystać z tej sposobności, ażeby uderzyć na tych, którzy w tymże Tygodniku tak boleśnie go dotknęli, przekręcając słowa improwizacyi Mickiewicza. To też otrzymawszy od redakcyi *Trzeciego Maja* zaproszenie do napisania fejletonu o *Nocy letniej* (a otrzymać takie zaproszenie przy ówczesnych jego dobrych stosunkach z Czartoryszczykami było rzeczą łatwą) podzielił się on z przyjacielem ofiarowanem sobie miejscem w taki sposób, że niemal połowę obrócił na swoją sprawę, a resztę poświęcił przyjacielowi. Było to zapewne w oczach Słowackiego jakby powtórzenie sceny z *Lilli Wenedy:* Lelum i Polelum, związani z sobą łańcuchem, występowali do walki przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi.

Żeby powiązać swoją sprawę z oceną powieści przyjaciela wystarczyła Słowackiemu gra słów: przeciwstawienie wyrazowi »Noc letnia«, wyrazu »Noc zimowa«. Oto jest początek owego fejletonu; falują w nim jeszcze te same wzburzone uczucia poety, które się tak piętrzą w ostatnich strofach *Beniowskiego*.

---

[1]) Nr. 14 Tygodnika literackiego z dnia 5 kwietnia 1841.

[2]) »Jeśli tam macie z księstwa dzienniki, tak koło kwietnia, maja i aż do pół czerwca, pilnuj, czy w nich nie znajdziesz pewnych myśli bratnich a szczerych, a już nie w biurku zatęchłych, lecz wolnem okąpanych powietrzem. Gdy je czytać będziesz, nie myśl o ich treści, bo to, co w sobie masz, znasz przecież, a tam, o tem tylko mowa; ale pomyśl, że w Villi Róż było niegdyś dwóch ludzi, co sobie ślubowali przyjaźń i dochowali jej, a wtedy to może rozwidni twoje niektóre marzenia o niestałości uczuć ludzkich«. List z datą 16 marca 1841. Listy Zygm. Krasińskiego III, str. 20.

»Chcecie, ażebym wam napisał fejleton o Nocy letniej, lekko, zgrabnie i stylem brylantowym. Niestety! niestety! myśl moja zajęta jest pewną nocą zimową, gorzej, dotkliwiej, kwaśniej, niżby na poetę przystało, a właśnie tak, jak przystoi na fejletonistę, który radby się dziennie ścierać i wygrywać bitwy — a ilekroć ukolą go fałszerze, rzuca się jak lew leżący na podstawie dziennika. Słyszeliście zapewne o jednej sławnej nocy zimowej, o improwizujących dwóch poetach — o łzach słuchaczy, o mdleniu krytyków, o ściskaniach się wieszczów, którzy długo rozdwojeni okolicznościami, zbliżyli się duszą nareszcie... a których dusze były tak białe, jak Anhellego cień, idący po sybirskich jeziorach — i miała nawet rozlać się w sali woń konwalii — i rozpromienić się sala jutrzenką, dusz różanem światłem... Kłamstwo! Wiecież wy, co się działo tej nocy? Oto Adam powiedział Juliuszowi wręcz, że nie jest poetą, oto Tygodnik poznański powtórzył głośno słowa Adama i to nazwał improwizacyą. Na Boga!... jeżeli tak było, to przynajmniej wyrok ów improwizacyą nie jest, ale długo i dobrze pomyślanym poematem — który to poemat zapewne Grabowski w krytyce za kamień węgielny *Litewskiej szkoły* położy. Cieszmy się, że taka wielka fantazya przewodniczy tworzeniu się kłamstw — cieszmy się, że improwizacye są jak owe historyczne wypadki, w których Szyler kazał wyszukiwać poezyi — to jest, że zaginąwszy w rzeczywistości, już nie mogą zmartwychwstać, ani się bronić — i są jak trupy bez mowy... Cieszmy się, bo zapewne o tego Juliusza nikt dbać nie będzie; a gdyby powiedziano, że owej nocy zimowej Adam oskarżył go o brak honoru w grze — albo o jaki nałóg haniebny, albo inszą rzecz jaką podłą — równieby kłamstwo korespondenta przyjął Tygodnik — równeby echo rozeszło się między czytającymi — wielkie, niezaprzeczone, twarde, kończące się tym: Adam powiedział. O! jakże więc lepiej, że go tylko w osobie poety zabito! Jakże dobrzy są owi litewscy rycerze, że mogąc wszystko

skłamać — lub kłamać dozwolić — to jedno tylko skłamać pozwolili. Taki jest poemat o nocy zimowej — gwiazdy skrzyły się nad Sekwaną — księżyc świecił — stanęliśmy na mostach nad Sekwaną — rzuciliśmy z bladością Lary trupa do Sekwany — tyle razy zmartwychwstał — może teraz ostatecznie zabity — może już nigdy nie pokaże się na świata widowni — jeżeli nie, jeżeli wstanie — mamy w ręku kamienie kłamstwa, rzucimy wszyscy na niego głazy czerwone — a kysz! a kysz! po co przychodzisz na dziady?...« — »O nie przyjdzie już więcej — przysięgam!... Nigdy kawałkami serca nie będzie was karmił, nigdy za karm duszy nie odbierze od was puharu nalanego goryczą i przykrytego kłamstwa pokrywą — nigdy więcej, przysięgam«.

I tu następowało przejście do oceny albo raczej uwielbienia *Nocy letniej*, ale i w tem przejściu znajdowały się jeszcze nawiasowe pociski wymierzone w stronę »litewskich rycerzy«. »Oto ujrzał nową krainę poezyi rosnącej — piękną, szlachetną, wzniosłą, tam usiądzie w cieniu pięknych posągów, ten który je budował i krzesał, wielki jest — jeżeli improwizuje, to nie w gronie pół pijanych zwolenników szkoły, ale wśród starych, siwych rycerzy... Wojewodowie zbrojami okryci — z Chrystusowemi wizerunkami na puklerzach, słuchają słów jego — a kiedy śpiewa, to nie mdleją, to nie padają na kolana, ale tylko wychylają czary, dobywają mieczów i wstając — idą walczyć za ojczyznę« [1]).

Cały ten ustęp, drukowany na parę tygodni przed pojawieniem się *Beniowskiego*, był jakby przygotowaniem opinii publicznej do niego, jakby komentarzem i uzasadnieniem tej walki, jaką w ostatnich strofach poematu wytoczył poeta Mickiewiczowi i jego litewskim przyjaciołom i wielbicielom. Ażeby uwydatnić winę Mickiewicza, Słowacki odróżniał tych co »skłamali«, od tych, którzy

[1]) Trzeci Maj Nr. z d. 29 kwietnia 1841 str. 59—60.

»skłamać pozwolili«, podsuwając w ten sposób Mickiewiczowi świadomy udział w przekręceniu słów jego. Co jeszcze zwraca uwagę w tym ustępie, to kilkakrotne zaznaczenie, że jego przeciwnicy są Litwinami (litewska szkoła, litewscy rycerze, a kysz! a kysz!), że zatem w walce, którą toczy, gra pewną rolę pierwiastek prowincyonalizmu, co było słusznem nietylko dlatego, że Litwini tem więcej wielbili Mickiewicza, jako wielkiego poetę, że był Litwinem, ale i dlatego, że bliżsi mu byli od reszty emigracyi nastrojem psychicznym.

Dalszy ciąg fejletonu pod niebiosa wynosił *Noc letnią* i jej autora i to w stylu, jakby pożyczonym od Krasińskiego. Stary wojewoda z powieści jest »większy od Leara straszniejszy — większy król, choć jest tylko polskim szlachcicem«, poemat jest »wysoki jak pierwsza wieża gotyckiej, staropolskiej epopei«, a każdy pomysł autora »widać, jak się wiąże z całym światem Ducha, z jakim krzykiem boleści wyrywa się na świat stworzenia, jak się krwawi odstając od słońc na wysokościach, do których był pierwszemi ćwiekami poczęcia przybity«. Tym razem łańcuchem, wiążącym dwóch Wenedów, nie była »ateńskość« ducha, ale barokowy nastrój wyobraźni.

Napisawszy ten fejleton i oddawszy go redakcyi *Trzeciego Maja*, Słowacki, jak się zdaje jeszcze przed jego ogłoszeniem, wyjeżdża z Paryża do Frankfurtu [1]). Co go do tego wyjazdu pobudziło? Sprawa nie przedstawia się dość jasno. Wprawdzie ze współczesnych listów Słowackiego można wnioskować, i tak to uczynił p. Hoesick, że Słowackiego pociągnęła do Frankfurtu tylko miłość ku p. Bobrowej, która tam na niedługo przedtem wyjechała,

[1]) Ta hypoteza chronologiczna, opiera się na tem, że fejleton ukazał się w numerze z d. 29 kwietnia, Słowacki zaś piszący dnia 18 maja do Niedźwiedzkiego z Frankfurtu wspomina już o dwóch listach, które od niego odebrał z Paryża, musiał więc już wtedy sporo czasu bawić we Frankfurcie.

Paryża; ale są względy, które nakazują domyślać się ꞅspółdziałania innego jeszcze czynnika.

Słowacki wiedział dobrze, że naprzód jego fejleton ꞅ *Trzecim Maju*, a potem, i jeszcze więcej, *Beniowski*, prawią wielkie wrażenie w emigracyi i wywołają wielie oburzenie wśród »Litwy«, przeciw której były głóꞅnie wymierzone. Wyobraźnia jego mogła rozmiary, objawy tego spodziewanego oburzenia przesadzać i w jakrawych barwach przedstawiać niebezpieczeństwo, groące mu szczególnie w pierwszych chwilach oburzenia ze trony tych, których obrażał. Dlatego czy nie chciał on sunąć się z Paryża na jakiś czas, aż przejdzie pierwsze ꞅrażenie, aż dowie się przez listy, co tam o nim mówią, zem się odgrażają? Przypuszczenie to nasuwa się z tego owodu, że w Słowackim żądza sławy górowała nad ꞅszystkiemi innemi żądzami, walka o sławę była najwaniejszą sprawą jego życia, co tak wyraźnie odźwiercieliło się w *Beniowskim*, więc czy podobna, aby w chwili ajwiększego natężenia tej walki sama miłość tylko, która igdy w życiu Słowackiego wybitnej nie odegrała roli, ama miłość tylko (i to jaka miłość!) mogła go odciągnąć pola tej walki i spodziewanego tryumfu? Wszakże odżdżając, zostawiał za sobą drukujący się poemat, zostaꞅiał go na łaskę niebiegłego w rzeczach korekty przyjaiela Niedźwiedzkiego, wskutek czego poemat zaroił się d błędów drukarskich, które aż sprawiały poecie wraenie mnóstwa pcheł, skaczących po prześcieradle. Wszakże ani Bobrowa nie uciekała z Frankfurtu, mógł ją tam ył znaleźć i o miesiąc później, jeżeli liczył na to, że we 'rankfurcie powiedzie się mu lepiej, niż w Paryżu, w poyskaniu jej miłości. Natomiast odwaga jego mogła ławo chwiać się wobec niepewności, jakie mu grozić noże niebezpieczeństwo ze strony obrażonych, w pierwszej hwili.

Ten nagły jego wyjazd z Paryża przypomina dwa

inne dziwne jego wyjazdy: z Warszawy w r. 1831 i z Genewy w r. 1835. W obu pierwszych razach domyślać się trzeba pewnego wyrachowania: czy go nie było i tym razem, i to takiego, jakie zaznaczyłem? Naturalnie jest to tylko przędza domysłów, o tyle usprawiedliwiona, o ile objaśnianie nagłego wyjazdu Słowackiego z Paryża w takiej chwili wyłącznie jakimś miłosnym szałem nie zgadza się z jego temperamentem, z jego całem życiem.

Zobaczmy teraz, jak się przedstawia ta miłość, albo raczej ten frankfurcki okres miłości Słowackiego w jego listach współczesnych do matki, do Niedźwiedzkiego i do pani Bobrowej. Są to jakby trzy zwierciadełka dla jednego i tego samego przedmiotu, który w każdem z nich wydaje się inaczej, a bywa nawet, że i w jednem zwierciedle stosunek ten w rozmaitych występuje barwach. Tak jest mianowicie w listach do matki. Raz Słowacki donosi matce krótko i ogólnikowo, że zna panią Bobrową (»pewną damę, która po Czerczy na osiołkach przed dwoma laty jeździła«) i że »bardzo miłe z nią przepędził miesiące« w Paryżu i Frankfurcie [1]. Nieco później tak pisze o tym stosunku: »Serce moje długo zimne i ostygłe, doznało teraz, że może jeszcze wiosennem oddychać powietrzem, charakter mój, zimny tak długo, zaczął mi znów figle płatać. Szalałem, kochałem się, latałem za marą szczęścia w różne strony, płakałem, śmiałem się, jak człowiek szczęśliwy, żyłem« [2]. Ustęp ten przypomina trochę wiadomość, którą poeta przesyłał matce o swoim stosunku z tak zwaną przez siebie Fornariną, przynajmniej o tyle, że matka i tym razem mogła domyślać się powodzenia swego jedynaka w miłości. Ale oto w nieco późniejszym liście (z 10 listopada 1841) znajdujemy wiadomość, że we Frankfurcie, gdzie przepędził wiosnę, był »jak szaleniec, bardzo dręczony przez pewną osóbkę«, i że powrócił stamtąd

[1]) Listy II, 141. [2]) Tamże II, 143.

smutny i rozpaczny łając szalonemu sercu swemu« [1]). Róż-
ica w przedstawieniu pomiędzy drugim a trzecim listem
ochodzi stąd, że w drugim liście poeta chciał udokumen-
›wać wiadomość, że »teraz szczęśliwszy jest niż kiedy-
olwiek w życiu«, w trzecim zaś chciał udramatyzować
ytuacyę, w której, jak zobaczymy niżej, znalazł się po
owrocie z Frankfurtu. Dlatego też w listach do matki
·udno szukać wiernego odźwierciedlenia tego stosunku
ıiłosnego. Zabarwiał się on stosownie do tego, jak się
hciał poeta w danej chwili przedstawić matce.

Listy do Niedźwiedzkiego rzucają nieprzyjemne świa-
'o na ten nowy romans Słowackiego, na samego poetę,
po części i na przyjaciela, do którego były adresowane.
¦yłoby daleko przyjemniej nie zajmować się tymi listami,
możnaby było tak zrobić, gdyby znajomość ich nie była
iezbędną do zrozumienia tego dziwnego stanu psychi-
znego, w jaki popadł Słowacki w owym czasie. Pozuje
ı on przed swym przyjacielem na jakiegoś Don Juana,
opisuje się cynizmem, widocznie gra jakąś niewłaściwą
›bie rolę. Właśnie te listy swoim nienaturalnym tonem
ıogą także budzić podejrzenie, że nie sama miłość dla
ani Bobrowej popchnęła Słowackiego do Frankfurtu.
. ta miłość wygląda tu tylko jak jakiś zapał zmysłowy,
ık chęć zdobycia donżuanowskich laurów; Słowacki nie
czuwa żadnych skrupułów, opisując Niedźwiedzkiemu
woje postępy w zbliżaniu się do tych laurów, traktuje
kochaną swoją wobec niego tylko jako cel pożądania
mysłowego i pozwala sobie przesyłać rady, które trącą
najpą lub biwakiem, a z jakimkolwiek idealizmem w mi-
›ści nie mają nic wspólnego.

Znane są trzy listy Słowackiego do Niedźwiedzkiego
Frankfurtu; wszystkie trzy pisane po francusku i bez-
miennie lub z wymyślonem nazwiskiem, co było skutkiem
akiejś ostrożności ze strony Słowackiego, trudnej dziś do

[1]) Tamże II, 149.

wyjaśnienia. Oto co w pierwszym z tych listów (18 maja 1841) pisał o swojej miłości i o sobie:

»Je vous ai écrit il y a quelques jours et ma lettre était remplie des plaintes sur l'état malhereux où je me suis placé moi même, en suivant cette bulle de savon, qui se nomme amour. Mon martyr ne finit pas — cependant j'avance à petits pas, et j'espère que l'habitude fera, ce que n'a pu faire l'amour... Je ne me repens pas cependant d'être venu... mes journées se passent agréablement... je la vois, je sens les battements accelerés de mon coeur et du sien... son visage se colore d'une rougeur qui me rappelle la clarté diaphane de l'aurore en Grèce — j'apprends à parler le langage d'amour, je vis — et je rayonne... que faut-il de plus?...

»Avant-hier je lui ai lu ma Beatrix C...(enci) et la commotion électrique qu'elle en a ressentie ne peut se comparer qu'à celle qu'on reçoit en se baignant d'une torpède... Elle a trouvé la passion supérieurement bien peinte; il est vrai, qu'en lisant je trouvais des inflexions de voix qui faisaient vibrer toutes les cordes de son âme«... A w dalszym ciągu popisywał się konceptem, którym jakby umyślnie chciał rzucić donżuanowskie światło na swój romans:

»Je ne suis pas tenté de faire connaisance avec les hommes de lettres d'ici... ce sont tous des gens décrépits, usés, et sans aucune force vitale... Hier, quand on m'a parlé d'un savant fort grave, fort maladif — et fort profond penseur, et que des gens qui m'en parlaient croyaient me pénétrer de respect, je leur ai repondu... per Bacco! donnez-lui des cantharides, une jeune fille et qu'il essaye d'être homme! Tu conçois bien, que des preceptes comme celui-la et des doctrines de ce genre, ne me font pas de prosélytes...« [1]).

[1]) Biblioteka Warszawska 1893. T. I. Listy nieznane Juliusza Słowackiego, str. 359—366.

Ten grymas cyniczny w ustach zakochanego poety, óry rościł pretensye do anhellizmu i ateńskości, jest powórnie nienaturalnym i niesmacznym i rzuca niepolebne światło nie tylko na autora listu, ale i na »przyiela«, do którego upodobań i poziomu moralnego wicznie był list zastosowany.

W następnym liście (z 22 maja) Słowacki tak opisył dalszy przebieg swego romansu frankfurckiego: »La me des mes pensées ne me laisse pas un instant de repos et les calmes sont rares sur la mer où je vogue pleines voiles... Je souffre et je ronge mon frein en umant... Votre conseil d'oser et de tout oser n'est pas n à suivre; je l'ai essayé et j'ai manqué de périr — un stant de plus et tout aurait été fini pour moi. Mainıant je suis plus prudent et elle aussi. Que Dieu nous rde et nous sauve«!

»Il y a des jours où je ne la vois presque pas; ce nt ceux où sa fille vient à la maison — ces jours-là nt un véritable enfer pour moi — je suis obligé de les sser tout seul avec mes livres allemands et mon piano, i est tout discord, et une petite servante allemande, i est amoureuse de moi. Vous sentez bien, que j'enrage que je ne touche souvent ni à mes livres, ni à mon ano, ni à la petite fille, mais je reste plongé dans mes ires pensées comme Corsaire ou Lara«.

Pisząc ten list miał już Słowacki wiadomość od Niedźedzkiego, że jego *Beniowski* jest już wydrukowany, omagał się, aby mu go co prędzej przysłano do Frankrtu, a w przypisku żądał od przyjaciela, aby mu doósł, co mówią o poemacie. W dziewięć dni potem, kiedy sał list trzeci (1 czerwca), miał już i egzemplarz *Beniowiego* w ręku i miał już zapewne dokładne wiadomości wrażeniu, jakie ten poemat w kołach emigracyjnych ywiera, a to tak z listu Niedźwiedzkiego, jak i od peıego członka klubu polskiego, który w owym czasie zejeżdżał przez Frankfurt. (J'ai vu le vice-directeur de

notre cercle, qui passait par Francfort pour se rendre à Posen, toujours gai, rouge et bien portant). I oto w tym samym liście, jakby wskutek otrzymanych wiadomości, Słowacki donosi Niedźwiedzkiemu, że niebawem wróci do Paryża i stara się wyjaśnić przyczynę powrotu, którego widocznie przyjaciel nie spodziewał się prędko. »Je me propose bientôt de revenir à Paris, plusieurs causes m'y obligent. La vie que je mène ici est insupportable; — je suis seul — à sa merci — ayant les entrailles dechirés par elle. Il est impossible que je souffre plus longtemps une torture pareille — il faut que je parte; aussi dans dix jours tout au plus — mon petit appartement d'hirondelle me reverra. Oh! qu'il y a de déséspoir dans cette pensée«!

Jak przedtem cynizm, tak teraz ta rozpacz nie wydaje się naturalną i szczerą, zwłaszcza, że zaraz po niej następują rozmaite koncepta pod adresem Witwickiego i Januszkiewicza, i że w ogóle w całym tym trzecim liście poeta bardzo żywo jest zajęty swoim nowym poematem, daleko więcej, niż miłością. Martwią go błędy drukarskie; zaledwie otworzył książkę, ujrzał ich mnóstwo: zrobiły mu wrażenie pcheł skaczących po prześcieradle. Za powrotem musi zaraz poprawić drukowane egzemplarze ołówkiem, bo nieraz brak potrzebnej ilości zgłosek, niekiedy nawet myśl zepsuta. Obawia się nawet, żeby krytyka nie przyczepiła się do tych błędów drukarskich, i na karb poety ich nie policzyła. Nie ma innej rady, tylko co najprędzej puścić w obieg pierwsze wydanie i zrobić drugie. Za karę Niedźwiedzki musi zostać powtórnie wydawcą, a to na to, żeby dać od siebie przedmowę, przyznać się w niej do grzechu i wziąć go na swoją odpowiedzialność. Dopiero po tem wszystkiem pocieszał Słowacki przyjaciela zapewnieniem, że bierze tę rzecz filozoficznie, i nadzieją, że krytyka, dostawszy porządne cięgi od niego, nie tak skora będzie do zaczepiania jego (je ne pense pas, que la critique soit assez bête

se frotter à moi après l'échantillon, que je lui ai ; de mon savoir-faire et de ma rage canine).

'rzy końcu listu był godny uwagi ustęp, bo wska-;, jak sobie w danej chwili wyobrażał Słowacki wra- które powinien był wywrzeć *Beniowski*, i którego 'agnął. Przesyłając ukłony Błotnickiemu, kazał go ;, aby źle poety nie sądził, bo on jest w gruncie , i jego namiętna szczerość nie powinna mu szko- ilekroć objawia się na wielką skalę i zapala mu ;dę na czole (ma franchise passionnée ne doit pas uire toutes les fois qu'elle se montre en grand et e m'allume une étoile au front).

ı tego, co powiedziałem o listach do Niedźwiedzkiego : nich przytoczyłem, można sądzę wnioskować, że 'ch listach nie przedstawia się stosunek Słowackiego Bobrowej w świetle naturalnem, ponieważ poeta e przed swoim przyjacielem, jeżeli nawet nie ukrywa nim głównego motywu wyjazdu z Paryża.

'ozostaje trzecie źwierciadło, listy do p. Bobrowej. te pochodzą z różnych lat od 1841 do 1845, nie- z nich zatem pisane już były po wielkiej transfi- yi duchowej Słowackiego, stąd też panuje w nich ıity nastrój [1]). O pobycie Słowackiego we Frankfur- .c one nie mówią, żadnych alluzyj do tej wycieczki ıwierają, ale mają tę ważną zaletę, że w nich ma- się stosunek Słowackiego do pani Bobrowej taki, ıył rzeczywiście, że na ich podstawie można odtwo- sobie koloryt frankfurckiego epizodu i zrozumieć kter tej ostatniej miłości Słowackiego.

'ak o rok później od wycieczki do Frankfurtu, poeta, ny jak się zdaje tem, że p. Bobrowa wybrała się 'yża do St. Cloud na puszczanie wodotrysków, nie

---

Listy J. Słowackiego do pani Joanny Bobrowej, wydane ıatkach do trzeciego wydania monografii Małeckiego o Sło- n T. III. 280—308.

uprzedziwszy jego o tem, pisze do niej list niby pożegnalny [1]), a w tym liście tak przemawia: »Jam ciągnął za panią dawny jęk przeszłości, za mną do salonu wchodziła wieść, wspomnienie, boleść dawna. A ilem ja osobiście, jako środkowy kamień, cierpiał, tego trudno zliczyć i tej nuty może nigdy Pani między różnemi tonami wspomnień nie znajdziesz. Lepiej więc, że się rozstaniemy, że ja zniknę, jak gdybym nigdy nie egzystował, nigdy nie żył. Wszystko zniknie! i wszystko się znajdzie w łonie Bożem, ale biada ludziom, co nie zrywają prędko ostatnich bolących łańcuchów«. I do listu dodana była prześliczna improwizacya na temat wycieczki do kaskady (O! gdybym ja wiódł Panią do kaskady), która kończyła się takiem żartobliwo-gorącem oświadczeniem:

Gdybym był duchem wersalskiej natury,
A taką Ciebie między tłumem zoczył,
Zleciałbym na Cię, jak kaskada, z góry,
Porwał — i rzucił w przepaść — i sam skoczył.

A w miesiąc potem, kiedy p. Bobrowa znowu już była we Frankfurcie, poeta błagał ją listownie, aby rzuciła błękitnemi oczyma w stronę Paryża, »niech mi tu od tego spojrzenia błyśnie i rozwidni się ciemne powietrze«. Połowę tego światełka i tej błyskawicy obiecywał oddać, jak zwierciadło wierne, Aleksandrowi Potockiemu, synowi Szczęsnego i sławnej Zofii Greczynki, który także był wielbicielem p. Bobrowej, i z którym Słowacki spotykał się często w jej domu. A nażartowawszy się z dowcipem pełnym dystynkcyi z tego współzawodnika swego zwracał znowu westchnienia do pani B. »Gdybyś pani wiedziała, jak oddalenie upięknia każdy ton głosu, jeżeli ten jest bez szyderstwa, a prawdziwie smętny i serdeczny — i zdaleka budzić przychodzi; gdybyś Pani wiedziała, jak mi tu słychać każdy szept w jej domu, każdy

[1]) Tamże 286—288.

st jej sukni; jak echo każdego jej kroku dochodzi nie uroczyste«...

»Ostatnia to moja skarga, bo mi już wszystkie inne omogły, ostatnia i wiem, że próżna. A jednak czuję, m winien jestem, że była we mnie jakaś siła nieujakieś wojsko duchów, niewyprowadzone do walki, grom piorunowy, który leżał w sercu spokojnie, głąb nie odkryta, coś takiego, co musiałoby pokoa czego ja sam lękałem się wyprowadzić na jaw — ść zimna, marmurowa mojej natury zwyciężyła« [1].

Wreszcie z listu, pisanego już po przeobrażeniu duem Słowackiego, dowiadujemy się, »że biedna głowa« nic mu dotąd nie zdolna była zdobyć »prócz półijącego uśmiechu i politowania« pani Bobrowej. znawał też w tym liście, że jego serce było jak źróvyschnięte, że nie było w niem szczerych uczuć i że artwość uczucia serce pani B. odczuwało i dla tego ło się i cofało się z przestrachem« [2].

Jeżeli teraz skupimy rozmaite promienie, padające espondencyi poety na ten jego stosunek miłosny, ączymy do nich światło, które w tę stronę rzucają Krasińskiego, to epizod frankfurcki przedstawi się sądzę, w następującem oświetleniu. Słowacki, jak ż nadmieniłem w poprzednim rozdziale, na początku znajomości z p. Bobrową, nie wiedział jeszcze, jaką w jej życiu odegrał Krasiński. Z czasem przeniknął nicę i objawił to przyjacielowi, odchylając przytem ka zasłonę z własnych uczuć dla p. Bobrowej. Krai, odpowiadając na te wynurzenia w dwu listach to po sobie następujących (z 16 marca i 10 kwietnia), wiedliwiał się z tego, co mu się wydało zarzutem cie Słowackiego, a jednocześnie przesyłał mu różne i przestrogi, owinięte w obfitą a poetyczną szatę ficznych rozmyślań. Pomiędzy pierwszym a drugim

---

[1]) Tamże 292—293. [2]) Tamże 294—295.

listem ta zachodzi różnica, że w pierwszym p. B. występuje, jako »najszlachetniejsza z dusz«, której nieszczęściem jest tylko, że »nie umiała nigdy w jedną chwilę skupić wieczności na ziemi«, a w drugim, wskutek zapewne nowych spostrzeżeń Słowackiego, przesłanych przyjacielowi, otrzymuje już nazwę, »anioła obłąkanego«. Dla nas tym razem szczególnie drugi list jest ważny. »Julu, pisał Krasiński, ty broń, co boskiego w niej znajdziesz, od zaguby, broń się od tej kobiety, której nigdym nie widział, ale którą nosiłem przeczuciem w duszy, tak jak mi ją postawiłeś przed oczyma. To moje ostatnie słowo do ciebie o *przeszłości*. I to jeszcze dodam: zapewne niezawsze po chrześcijańsku lub po katolicku, po stoicku lub po cnotliwemu i t. d. postępowałem, miałem straszne chwile egoizmu, dla mojego *Ja* zapominałem, że drudzy mają *Ja* swoje; ale nigdy i nigdzie w niczyjem sercu *wiary* nie zniszczyłem, owszem osłabłą krzepiłem, nieistniejącą stwarzałem i umarłą wskrzeszałem. Kto powie, iż odemnie się nauczył, że człowiek nie winien być aniołem, nie winien być boskim i dążyć, odepchnąwszy podłość wszelką, w wznioślejsze okręgi; kto powie, żem kiedykolwiek przystał w drugim na jedną chwilę niegodności, niedumy, niepowagi, żem kiedykolwiek zalecił brak szlachetności i urody nieśmiertelnej, by stało się zadość chwilowym chętkom lub namiętnostkom moim: tego powoływam nie przed ludzi sąd, bo ludzie nicby tu nie pojęli — ale przed sąd Boga«![1]).

»O Julu, pisał w dalszym ustępie, nie myśl o mnie tego, coś pomyślał, kiedyś mnie w duchu oskarżył, żem nie użył, czy użyć nie chciał, czy nie umiał pewnych chwil potęgi nad pewnemi sercami. Taki zarzut mógłby mnie przywieść do szaleństwa. Nie, przez Boga wiekuistego, nigdy i nigdzie natury bliźnich moich o włos jeden nie poniżyłem; wszystką siłą ducha w niebo pory-

[1]) Listy Zygm. Krasińskiego III, 25—26.

ałem ich, przynajmniej pragnąłem ich wnieboporwania. wiele siły mojej wyszło ze mnie, a im nie pomogłem, wszem wołają na mnie: »tyś zgubił nas«, i przeklinają nie. Ich nieszczęście biorę na się, jako winę moją i wy-ut nadal; ale tu granica tego, na co mogę przystać, nic ięcej, nic więcej mojej barwy nie nosi, z mojego wpływu ę nie wywikłało«.

Sam Krasiński, stawiąc te słowa, dodawał, że »ciemno sze«; dla nas naturalnie te słowa są jeszcze bardziej emnemi, niż były dla Słowackiego, wszakże jedna rzecz, k się zdaje, wynika z nich jasno, a mianowicie, że Sło-acki przedstawił Krasińskiemu p. Bobrową, jako znaj-ıjącą się na niebezpiecznej pochyłości moralnej i gotową oczyć się po niej, i że w tem tkwił niejako wyrzut dla rasińskiego. Ale Krasiński dostrzegł także widocznie, y przeczuł z listu Słowackiego, że i ten, który ostrze-ł o pochyłości, miał ochotę znaleść się na niej razem tą, nad którą ubolewał, że się na tej pochyłości znaj-ıje, więc do obrony własnej dodał gorące przestrogi dla zyjaciela. Pozwalał mu dawną swoją kochankę poko-ıać, ale pokochać szczerze i prawdziwie; i jej by nie iał za złe odwzajemnienia takiej miłości; ale potępiał ıjsurowiej bawienie się w miłość, szukanie w niej tylko nysłowej rozkoszy. »Poniżeniem nie zowię ja troski rca nieszczęśliwego, szukającego tęskno jeszcze jednej wili życia i wiosny na ziemi — nie, nie, bom ani pe-nt, ani ksiądz, ani dziecko, ani młodzieniaszek; ale po-żeniem zowię przystać na *zabawę*, kiedy *szczęście* zni-o, poniżeniem zowię cały świat, który krąży koło cie-e, wieszczu, w tem mieście rozbłotnionej zabawy, roz-iawiający pyszczek, jak ostryga, by zachwycić cośkol-iek powietrza smrodliwego. Ty nie jesteś z nich, ty nich być nie możesz: *non fiunt, sed nascuntur*. Szla-ıetnąś się duszą urodził, masz kryształową naturę, biały armur, nie gips wchodzi w skład kości twoich. Ty mnie ɔjmiesz, ty mnie pojmiesz! A zatem raz jeszcze powia-

dam ci, zbaw, jeśli możesz; niech pająki, ślimaki, szerszenie, węże, skorpiony, niech plugastwo stworzenia nie przyprzęże się do anioła obłąkanego i nie powiezie go do kałuży piekielnej«.

W końcu listu jeszcze raz ponawiał przestrogę przed robieniem zabawy z miłości i jeszcze raz starał się skierować Słowackiego na dobrą drogę pochlebną ufnością w szlachetność jego natury. »Pytasz się, czego żądam od ciebie? Oto tego, byś się nie bawił, o to jedno cię proszę, a jeśli masz kochać, kochaj, ale pamiętaj, że kto kocha, ten szanuje. Zresztą ty nie jesteś z tych, którzy mogą się bawić: ty musisz być albo *bogiem* szczęśliwym, albo człowiekiem potępionym i pełnym bolu«.

Jeżeli ten list Krasińskiego zestawimy ze znaną korespondencyą Słowackiego z Niedźwiedzkim, to będziemy mieli najjaskrawszy, jaki tylko można sobie wyobrazić, kontrast. Co znaczył ten kontrast? jak go wytłómaczyć? A naprzód, jak to się stało, że Słowacki w tydzień, najwyżej w parę tygodni po odebraniu takiego właśnie listu puszcza się za p. Bobrową do Frankfurtu, i to w tej samej chwili, kiedy się drukuje jego fejleton o *Nocy letniej*, wynoszący pod niebiosa »wzniosłą krainę poezyi« przyjaciela? Jakie kontrasty i niekonsekwencye!

Myślę, że zagadka daje się rozwiązać tylko w taki sposób, że główną przyczyną wyjazdu Słowackiego do Frankfurtu było ogromne roznerwowanie, w które poeta popadł po napisaniu *Beniowskiego*, a które już w ostatnich strofach tego poematu występuje tak wyraźnie. W tem roznerwowaniu czekać w Paryżu na wrażenie, jakie wywrze naprzód jego wojowniczy fejleton, a potem szalejący poemat, a do tego zapewne spotykać się często w klubie z niektórymi przynajmniej Litwinami, których tak miał obrazić, było, sądzę, dla Słowackiego rzeczą nie do zniesienia, zwłaszcza, że podniecona wyobraźnia jego, jak już wyżej wspomniałem, mogła przesadnie przedstawiać mu kształty spodziewanego oburzenia obrażonych

pierwszym jego impecie. Nie darmo Kordyanowi
:hwili, gdy miał wykonać zamach, towarzyszyły strach
ıaginacya; wiemy, że ten motyw wziął poeta z siebie;
ż teraz on sam miał dokonać wielkiego zamachu, choć
nnym rodzaju, i łatwo przypuścić, że te władze duszy
pewnego stopnia analogiczną w nim teraz odegrały rolę.
Wiemy z przeszłości Słowackiego, że w chwilach
zególnego rozdrażnienia lub podniecenia szukał lekar-
'a na usunięcie tego stanu w samotności. Tak było
ıewne w Szwajcaryi, gdy się schronił do Veytoux,
drażniony niepewnością swego stosunku z Maryą Wo-
ńską i pragnący w ten sposób rozwiązanie tej niepe-
ości przyśpieszyć. Tak było za pierwszego pobytu we
'oszech, gdy po nadzwyczajnem podnieceniu, jakiego
ı doznawał, szukał samotności w cichem Sorrento;
było, gdy po utrudzającej a pełnej nowych wrażeń
lróży na Wschód, zamknął się na kilka tygodni w kla-
orze na górze Libanu. Teraz w chwili, gdy miał się
ızać *Beniowski*, na użycie tego sposobu, na wyjazd
'aryża do jakiegoś cichego ustronia na jaki miesiąc,
pozwalał wzgląd jeden: obawa, aby go nie posądzono,
schował się ze strachu przod odpowiedzialnością. Ale
z pomocą przyszła miłość ku pani Bobrowej.
Miłość! Ten wyraz jest jak szeroki płaszcz, który może
'ywać najrozmaitsze postaci, sam nic o nich nie mó-
ıc. Co okrywa tym razem? Jaką była właściwie miłość
wackiego ku pani Bobrowej? Że nie była miłością pra-
ziwą, którą Krasiński określał słowami: »Kto kocha,
szanuje«, to już można wnioskować z tego, że Kra-
ski uważał za potrzebne czynić przyjacielowi podobne
agi, jak wreszcie z korespondencyi Słowackiego z Niedź-
ədzkim. Że nie była z drugiej strony czysto zmy-
wą zabawą, jakby można było z tej ostatniej korespon-
ıcyi wnosić, to wynika to z listów do p. Bobrowej,
: każe zresztą sądzić wszystko, co wiemy o tempera-

mencie poety, w którym zmysłowość bardzo podrzędną odgrywała rolę.

Miłość dla p. Bobrowej w Słowackim była podobną trochę do pierwszej jego miłości dla Ludki, choć naturalnie nie owiana świeżością wrażeń dziecinno-młodzieńczych; podobną dla tego, że jak tamta była potrzebą artystycznej i tylko o sławie rojącej duszy. Naprzód p. Bobrowa pociągała poetę ku sobie swoją pięknością, wykwintnością wykształcenia salonowego, artyzmem w stroju i otoczeniu, miała wszystkie zewnętrzne warunki, ażeby na deskach świata odegrywać rolę kochanki; powtóre poeta w swojej karyerze poetyckiej czuł brak miłości kobiety, miłości, któraby szczególną aureolą otoczyła jego skronie: wszakże dotychczas nie znalazł ani jednej, któraby jego uczucia i zabiegi miłosne odpłaciła wzajemnością. Więc chodziło mu o tę aureolę tem więcej teraz, gdy czuł w sobie nieprzebrane skarby wyobraźni i rzucał niemi pełnemi garściami w *Beniowskim*, gdy dzięki Krasińskiemu nabrał pewności, że jest najwyższym szczytem poezyi polskiej, że jest bogiem poezyi, gdy dzięki tylko tej wyobraźni umiał w tak gorących kolorach odmalować namiętną miłość w *Beatrix Cenci*.

Więc jakże to? Krasiński jeszcze jako młodzieniaszek pozyskał miłość tej kobiety, i po zerwaniu nawet ciągle był w jej pamięci przytomny, a on, który i powierzchownością mógłby go przyćmić, a przedewszystkiem geniuszem poetyckim, czarodziejstwem słowa tak górował nad nim, nie mógłby pociągnąć ku sobie tej, którą dawny kochanek porzucił? To także było zapewne ostrogą, bodźcem do tego, aby rozkochać w sobie panią B. O ożenieniu się z nią naturalnie trudno było myśleć, ale i bez tego mogła się ona dla niego stać taką lilią wodną, o jakiej kiedyś marzył, dokoła której chciał był jak wąż okręcić się i wygrzewać na słońcu sławy, to jest nie tylko kochanką, ale i zakochaną w nim opiekunką. W przestrogach Krasińskiego bodaj czy nie upatrywał tylko za-

rości dawnego kochanka, czy nie podejrzewał, że idea-
m jego jest tym razem interesownością podszyty? Zre-
tą Krasiński pozwalał mu zostać »bogiem szczęśliwym«,
on w swojem rozumieniu właśnie do tego dążył.

Taki, wyobrażam sobie, był nastrój »miłosny« Sło-
ackiego w chwili, gdy miał się ukazać fejleton *Nocy le-
iej* a *Beniowski* był już oddany do druku. Na kilka dni
zedtem pani Bobrowa wyjechała z Paryża do Frank-
rtu i Słowackiemu zabrakło wykwintnego ogniska do-
owego, gdzie był na stopie przyjacielskiej, znajdował
iły odpoczynek po dziennych zajęciach, mógł igrać i ol-
iewać iskrzącym dowcipem, pozować na zakochanego
wpatrywać się w »błękit siostrzanej duszy«, czekając,
chłoli zacznie się zorzą miłości powlekać. W rozdraż-
eniu, w jakie go wprawiła walka z Litwinami i nie-
wność, jak będzie przyjęty jego manifest wojenny, brak
go ogniska dawał mu się uczuwać tem silniej. I oto
yska mu myśl, aby pojechać za nią do Frankfurtu.
ten sposób usunie się z Paryża na czas, kiedy pęknie
go bomba, w emigracyę polską rzucona, znajdzie ustr n-
ść i względną przynajmniej samotność, której natura
go potrzebowała, a wreszcie będzie mógł korzystać z po-
danego sam na sam z panią Bobrową. o co w Paryżu
ło trudno, aby pozyskać jej miłość. Posądzenia o tchó-
ostwo nie potrzebuje się obawiać, skoro będzie rzeczą
iadomą, że wyjechał szałem miłosnym ogarnięty; i ow-
em, autorowi polskiego *Don Juana* ten nagły, roman-
wy wyjazd powinien być do twarzy. I bodaj czy nie
o tego poglądu zastosowany był ów niesmaczny i nie-
aturalny ton listów Słowackiego do Niedźwiedzkiego.
odaj, czy nie dla tego i Krasiński tak wcześnie był
wyjeździe i jego miłosnej pobudce uwiadomiony. że już
1 maja mógł donosić Sołtanowi: »Słowacki zakochał się
ściekle w pani Bobrowej i poleciał za nią do Frank-
rtu«. Że to dla niego było rzeczą niespodzianą, do-
odzi dalszy wykrzyknik: »Co też to za ogrom dziwactw,

szaleństw, głupstw, i ciągłych sprzeczności dzieje się na świecie«![1])

To wszystko naturalnie było nie tragedyą, ale komedyą. Do komedyi należy także i owo czytanie głośne *Beatrix Cenci*, przy którem w scenach miłosnych poeta dobierał akcentów głosu, mających elektrycznie wstrząsać sercem pani Bobrowej. *Beatrix Cenci* miała pokazać tej pani nie tylko, jak pięknie poeta umie malować namiętną miłość, ale i do jakiej sam jest zdolny. Można też zgodzić się na przypuszczenie p. Hoesicka, że Słowackiemu zdawało się, iż będzie to powtórzenie sceny z opowiadania Franczeski da Rimini[2]). Do komedyi należy i to, jak pani B. traktowała Słowackiego i jak przyjmowała jego uczucia. Widziała naturalnie w Słowackim wielki talent poetycki, podziwiała siłę przedstawienia namiętności w *Beatrix Cenci*, ceniła jego zdolności towarzyskie i dowcip, ale główną miał dla niej wartość, jako przyjaciel Krasińskiego, jako ten, który mógł jej coś nowego o nim powiedzieć, przed którym ona mogła w opowiadaniu coś z dawnej szczęśliwej odnowić przeszłości. Ale gdy chciał wyjść z roli »środkowego kamienia«, gdy sam zaczynał wzdychać ku niej i robić czułe oczy, gdy okazywał chęć zastąpienia dawnego kochanka, przyjmowała to z »półurągającym uśmiechem i politowaniem«, albo z całem »szyderstwem«. A czyniła to nie dlatego tylko, że tamtego stawiła nierównie wyżej w sercu swojem, że uważała go za takiego, który zastąpić się nie da, ale i dlatego, że nie wierzyła w szczerość uczuć Juliusza, że odczuwała, jak to on sam później przyznał, martwość jego serca. Przypominam znamienne słowa, które się jej wymknęły w liście o cztery lata późniejszym, gdy donosząc Słowackiemu o poznaniu się z jego matką, pisała:

---

[1]) Listy Zygm. Krasińskiego II, 235.

[2]) l. c. III 128. Że tę scenę miał Słowacki dobrze w pamięci, dowodem, że naśladował ją w swojej szwajcarskiej sielance.

»J'ai beaucoup retrouvé de vous en elle. Mais que de coeur elle a! quelle sincérité d'esprit et de sentiments!« [1]). Więc ani serca, ani szczerości nie dostrzegała pani B. w poecie.

Cały tedy epizod frankfurcki wygląda, jak komedya w tragedyi życia Słowackiego. A jednak i w tym epizodzie był moment, przelotny wprawdzie, ale wysoce tragiczny, który i na całą komedyę frankfurcką rzuca cień tragiczny. Wiadomość o nim zawdzięczamy późniejszym listom poety do matki, kiedy Słowacki z nowego punktu widzenia spoglądał na swoją przeszłość i podnosił w niej różne znamienne szczegóły, na które przedtem mało zwracał uwagi. Mianowicie w liście z 29 lipca 1845 przesyłając z namaszczeniem rady i przestrogi rodzinie, w szczególności wujowi (ażeby się jego dawna duma szlachetna w próżność jeżdżącą na dryndułi nie zamieniła), robił nagły zwrot do siebie i tak pisał: »Jam był już przyszedł do tego stanu, żem był zerwał wszelki związek z duchem piękności na świecie, lat temu pięć nazad [2]), w jednej chwili, stojąc w ogrodzie Frankfurckim, otoczony mnóstwem kwiatów, wśród brzóz i drzewek nagle uczułem się martwy, jakby martwą naturą otoczony... te brzozy, które mi dawniej na Podolu tak dziwne rzeczy szeptały, stanęły przedemną, jak obce figury, myśl zimna poleciała po ich gałązkach — niebo i ziemia zatrwożyły mię, nic nie mówiąc do mnie... Ta chwila była jedną z najstraszniejszych w życiu... ale mię zaraz Pan Bóg obudził — albowiem tego wieczora wicher taki wyjący powstał i tak przeraźliwie zaczął przewiewać przez okna czarne eleganckiego, w którym byłem, salonu — że mi nigdy dawniej niedoznane uczucie strachu — włosy podniosło na głowie i przez to wstrząśnienie obudzona była moja sym-

[1]) Listy Jul. Słow. II, 219.

[2]) Słowacki myli się tu w rachubie o rok jeden, a właściwie o dziesięć miesięcy.

patyczna natura duchowa... A to, ci piszę, droga, abym ci pokazał, że są straszne choroby dusz naszych, na które my często nie zwracamy uwagi« [1])...

Tak, w istocie, moment, opisany przez Słowackiego, był objawem strasznej choroby ducha, oddawna nurtującej w poecie, a teraz zbliżającej się do przesilenia. Tą chorobą była martwość serca przy rozognionej wyobraźni, wszystko pożerająca żądza sławy, która pod wpływem zewnętrznych podmuchów zamieniła się w samoubóstwienie, zupełne zesztywnienie serca w bezwzględnym egoizmie. Poeta nigdy, przez całe życie, nie doznawał tych rozkoszy, jakie daje zapomnienie o sobie, zlanie się we wspólnem uczuciu miłości lub przyjaźni, poświęcenie swojego »ja« na rzecz drugich; nie doznawał dla braku zmysłu społecznego, którego mało dostał od natury, a którego słabym zadatkom wychowanie pozwoliło zmarnieć. Jak poezya jego dla braku tego zmysłu pomimo swojej świetności nie znajdowała echa w sercach współczesnego pokolenia, tak jego osobistość, pomimo blasku zewnętrznego, dla braku szczerości uczucia nie pociągała ku sobie serc kobiecych, ku którym się zwracał. Jednę tylko, jak wiemy, miał kochankę, która mu wynagradzała obojętność serc współbraci i kobiet, z którą obcowanie było dlań rozkoszą, która mu wszystkie oddawała swoje skarby, przemawiała doń najczulszym, najpieszczotliwszym językiem — to jest przyrodę. Z niej on czerpał swoją potęgę, moc swojej wyobraźni, barwy i blaski swojej poezyi; w niej znajdował jedynie prawdziwą osłodę w życiu i uspokojenie; ona, rzecby można, była dla niego i siostrą, i matką i kochanką — i ojczyzną.

I oto nagle i ta bezosobowa kochanka, na której wierność i czułość mógł dotąd liczyć bezpiecznie, która mu szeptała do ucha to, co było najpiękniejszego w jego poezyi — nagle i ona odstępowała go, albo raczej zamy-

---

[1]) Listy II, str. 237.

ɔrzed nim swoją duszę i spoglądała nań martwo, i bezmownie. Dla poety, w którym prawdziwie ym był tylko kult piękności plastycznej, gdy źródło ultu nagle wysychało, gdy znikała piękność z przy- dla takiego poety w takiej chwili świat musiał się straszną, rozpaczliwą pustką i dlatego to Słowacki tę chwilę »jedną z najstraszniejszych w życiu«. było przyczyną tego nagłego znieczulenia estety- ? Nie podejmuję się dokładnego wyjaśnienia tego w każdym razie sądzę, że był to szczególny objaw wowania, które go już wypchnęło z Paryża, a które otności frankfurckiej zamiast ustać, jeszcze się wzmo- kutek fałszywego położenia, w jakiem się znajdo- vskutek nienaturalnej roli Don Juana, którą chciał wać. Była to jakby przestroga dla poety z wnętrza jego wychodząca, zarazem jakby wskazówka, że ękim był już wielki przełom w duchu poety.

e ta straszna chwila trwała krótko, poeta odzyskał »sympatyczną naturę duchową«, jak nazywał sto- swój do przyrody, choć przyczyny niepokoju, który poetę, nie zaraz ustać miały. Wiemy już, że zaraz zymaniu wiadomości o wrażeniu, jakie wywarł *Be- i* w Paryżu, postanowił Słowacki powrócić do tego . Jakkolwiek uspokajającemi mogły być te wiado- wszakże poeta przypuszczał, że ci, których najdo- j obraził, zechcą go, gdy wróci do Paryża, pocią- lo odpowiedzialności i takie przewidywania wypo- przed panią Bobrową, wyjeżdżając z Frankfurtu [1]. zewidywania jego sprawdziły się, a ponieważ ten, miał pomścić obelgi rzucone na *Młodą Polskę*, wię- zył na tchórzostwo przeciwnika, niż na własną od- cała ta sprawa zakończyła się zupełnym tryumfem kiego. Tryumf ten i cały przebieg sprawy opisał ki bardzo obszernie i dokładnie, z myślą nietylko

Listy do matki II, 149.

o współczesnych, ale i o potomnych, w dwóch listach: do pani Bobrowej i do matki [1]). Listy zgodne są w treści, zupełnie tak samo przedstawiają całą sprawę; ta tylko różnica między nimi, że list do p. Bobrowej pisany bezpośrednio po niedoszłym pojedynku szczegółowiej rzecz całą przedstawia, i że w nim Słowacki pozuje przed p. B. na bohatera *sans peur ni reproche* i stara się pokonać niedowierzanie, którego się z jej strony widocznie spodziewa, czego nie ma w liście do matki. Dla charakterystyki Słowackiego w danym okresie oba listy wiele przynoszą, ale pierwszy więcej, niż drugi. Wezmę więc opis pojedynkowej sprawy z pierwszego listu, a uzupełnię tylko niektórymi szczegółami z drugiego.

»Pani! Przebyłem nareszcie mój dzień donkiszotowski, nogę silnie postawiłem na szali i podniosłem w górę całą zgraję jezuitów, potem zdjąłem ją i poupadali w błoto, ale w błoto, z którego się już nie wygrzebią tak prędko — niech spoczywają. Gdybym wiedział, że Cię pani opis dnia tego cokolwiek mógłby zabawić, nie lękałbym się pisać, bo wiem, że Pani jesteś szlachetna i nie będziesz wątpiła, że to, co mówię, jest prawdą — staram się nareszcie tak żyć, abym o każdej chwili życia mojego mógł szczerze mówić, a teraz więcej, niż kiedykolwiek dbam o to, aby tak było i na Boga tak jest! — Zaledwo przyjechałem do Paryża, wrogi moje wychłostane w pierwszej i w trzeciej pieśni *Beniowskiego*, wydawcy Młodej Polski, jezuickiego dziennika, a obszerniej biorąc jeszcze rzecz, Litwini — postanowili zabić mnie, lub upokorzyć; jakoż na drugi dzień zaraz przysłali mi jednego z eleganckiej litewskiej młodzieży, aby mię wyzwał. Ten, z miną bardzo dumną, oddał mi bilecik, który tu w liście Pani posyłam, abyś wiedziała, do jakiej otwartej wściekłości przyszli ci jezuici, którzy mnie dotąd bezimiennie po różnych pismach

[1]) List pierwszy z datą 16 czerwca 1841 r., drugi z datą 10 listopada tegoż roku.

kąsali. Przeczytawszy bilecik, schowałem go do kieszeni i odpowiedziałem, że papieru wzmiankowanego nawet widzieć nie chcę i będę się strzelał, przyjmując wszystkie warunki, które mi podadzą. Jakoż nazajutrz posłałem do nich mojego sekundanta z poleceniem, aby na wszystkie pojedynkowe punkta, przez nich podane, przystał. Przez dni pięć czekałem na ostateczną ich decyzyę; w poniedziałek dopiero pod wieczór o jedenastej dowiedziałem się, że pojedynek ma być nie w St. Germain, ale koło Paryża, na placu otoczonym pustemi murami w miejscu zamkniętem; że schodzić się mamy do mety o 20 kroków i strzelać, kiedy się podoba. Dowiedziałem się o tem od mego sekundanta, że mój przeciwnik, ten sam krytyk *Balladyny*, który podczas improwizacyi mojej omdlał, przywieziony został z St. Germain, gdzie serce swoje u p. Pauliny Pl... zostawił, przywieziony bez serca, blady, z czerwonemi obłąkanemi oczyma, bardziej do miłości, niż do strzelania się skłonny. Jest to młody, 28-letni chłopak — ładny, lecz chorowitej i nieco nalanej cery, możebyś go Pani żałowała[1]). Możebyś... sam nie wiem, ale Pani i zawsze Pani mieszasz się teraz do wszystkich spraw moich — myśl o Pani jest zwierciadłem dla ducha mojego i duch mój musi być takim, aby się w nim zawsze bez wstydu mógł przejrzeć«.

»Teraz z dziecinnemi szczegółami opiszę Pani ranek wtorkowy. Między 9 a 10 godziną miał być pojedynek, aby zaś w razie napadu przez ludzi sądowych można się było czem od procesu kryminalnego obronić — pojedynki teraz bowiem są zakazane we Francyi i chociaż sąd przysięgłych, zwykle przez wzgląd na opinię pojedynkowego zabójstwa, tak jak innych morderstw nie karze, zawsze jednak sześciomiesięczne więzienie i kara pieniężna spada

---

[1]) Zdaje się, że w tych słowach jest złośliwie figlarna alluzya do powierzchowności Krasińskiego i do stałości uczuć pani B. dla niego.

na zabójcę i sekundantów — dla zapobieżenia więc temu kupiliśmy królika, który miał nam służyć w razie napadu przez policyę za wymówkę... biedny królik! — on był śmieszno-tragiczną stroną naszego pojedynku. We wtorek więc o godzinie 5-tej rano obudziłem się — przysięgam Pani zupełnie spokojny — spojrzałem na drzewa rosnące pod memi oknami, na słońce złote, zapaliłem cygaro, wypiłem szklankę starego wina, zjadłem dwa ciasteczka, i ubrawszy się cały czarno, tak, aby żadnego celu na mojej osobie nie było, wyszedłem sam z domu o 7-ej do ogrodu Luxembourg, gdzie o pół do dziewiątej miał się zejść ze mną Nabielak i zaprowadzić na plac, niedaleko od ogrodu będący. Przechodząc koło kościoła Magdaleny przez targ kwiatów, kupiłem za grosz różę, abym ją przez ten ranek w ręku trzymał i mógł potem zwiędłą posłać — komu? Pani to odgadniesz. Idąc dalej, zaszedłem do kościoła Ascension i tam właśnie trafiłem, że ksiądz kończący mszę, żegnał; schyliłem pokornie przed błogosławieństwem głowę — i wyszedłem... W ogrodzie, na który Pani patrzałaś, stanąłem znowu i długo oczy moje zatrzymały się na dwóch dobrze znajomych oknach; ten dom teraz walą; okna były zamknięte, żaluzye pospuszczane — poszedłem dalej. — Pani nie wiesz, co to jest iść samotnie, bez przyjaciela, z różą w ręku, przez cały Paryż, nie pożegnanemu przez nikogo, w tej pewności, że nikt nie drży o życie hazardowane i może nikt żałować nie będzie? — Dobrze jest jednak użyć takiej przechadzki, uczuć w sercu siłę dumną i niezłamaną, uczuć nawet zachcenie krwi, w ręce czuć broń, na sobie samym oprzeć się i uśmiechnąć się, czując, że dobrą jest podpora. W Luxemburgu o trzy kwadranse na 9-tą ujrzałem zbliżającego się Nabielaka. Tu mi Nabielak donosi, że nowa się rzecz stała: że Ludwik kasztelan Plater — przyjechał z St. Germain za moim przeciwnikiem; że nabożny Cezary Plater mu towarzyszy, że oba są u Ropel... i godzą sprawę; że oba mają natychmiast do mnie z prośbą przyjechać. Zawrzała we mnie

krew; postrzegłem, że Jezuici z rąk mi uciekają — przeczułem, że ten blado-zielony wróg, któryby pod moim pistoletem omdlał, nie pokaże mi się na celu u już zapalonego krwią oka mojego; spokojnie jednak rzekłem do Nabielaka, że jestem na placu boju i nie ulegnę. Nabielak prosił mnie tylko o grzeczne z kasztelanem obejście się i o krew zimną; wkrótce zjawili się pacyfikatorowie. Kasztelan wziął mię pod rękę, Cezar wziął pod rękę sekundanta mojego i tak w głębokiem milczeniu szliśmy przez ogrodową aleję. Nareszcie kasztelan zaczął lisią przemowę, przeciwnika mego oskarżył o nierozwagę dziecinną, mnie i moje postępowanie zaczął wynosić pod niebiosa, skończył pokorną, ale bardzo podstępną prośbą, abym go upoważnił do medyacyi... Tu odbiegła mnie już zupełnie rozwaga. — »Nie upoważniam Panów do żadnej medyacyi, krzyknąłem, jestem na placu boju; jeżeli przeciwnik, który mnie wyzwał, odstępuje od pojedynku, to ja go przymusić do bicia się nie mogę, ale nie pozwolę na to, aby mnie każdy bła.... wyzywał, zwlekał od dnia do dnia i na plac mnie wyprowadzał napróżno«. Tu obróciwszy się do Nabielaka — Panie Nabielak! — rzekłem — proszę, aby mi była wyznaczona dziś albo jutro godzina pojedynku; ja na nią stanę i będę czekał«.

»Widząc Nabielak, że coraz bardziej w gniew wpadam, wydał nareszcie całą tajemnicę. Z kimże ty się bić chcesz, rzekł do mnie, chyba z wiatrem; oni się już cofnęli. — Czy tak? — A tak, już się cofnęli; — rzekł kasztelan z miną pokorną, spodziewał się albowiem, że jeszcze nie mówiąc mi nic o tem, dla Pana Ropelewskiego wyrobi, że mu dam jaką słowną przynajmniej exkuzę; lecz obaczywszy we mnie wściekłość tygrysią, on i Cezar Pl... zadrżeli o swoją bladą i drżącą lalkę — i prosto mi ją z pod pistoletu uchylili... Wtenczas poznałem, co to są za wrogi ci przyjaciele, którzy więcej dbają o życie, niż o honor człowieka — tryumfowałem! — Chciał mnie jeszcze kasztelan Plater wmówić, że o tak zakończonym

pojedynku pod słowem honoru milczeć należy. Na to mu rzekłem prosto, że słowa honoru na to nie dam, bo do kilku osób o pojedynku już pisałem, więc gdybym dalej milczał i te same osoby strzałów pistoletowych nie słyszały, mogłyby myśleć, żem się ja upokorzył i dał jaką wymówkę słowną lub na piśmie — będę więc mówił i pisał o pojedynku, jak mi się podoba. Kasztelan i to przyjął — i tylko obróciwszy się do Nabielaka i wzniósłszy oczy do nieba, zawołał litośnie: »Jak on mnie traktuje!« Tu jeszcze nowa przeprawa: Cezar Plater zaprasza na śniadanie, chce koniecznie, abym się tego dnia z przeciwnikiem moim widział, zgodził się i kochał. Na to mu odpowiedziałem, że kochać można tylko człowieka, którego się szanuje, a ja dla pana Rop. jeszcze szacunku mieć nie mogę; że będę z nim grzecznie i nie dam mu uczuć wzgardy, ani go poniżę w towarzystwie, ale z kochaniem wstrzymam się, aż pan Ropelewski co dobrego zrobi. Od śniadania wyrywałem się, lecz Nabielak, który miał, jako sekundant prawo rozporządzać moim czasem i rozkazywać mi, zawiódł mnie koniecznie do Cezarego Platera i tam z moim przeciwnikiem widziałem się. Plater Ludwik miał przemowę, w której dowodził, że do pojedynku racyi nie było, że to swoje przekonanie wpoił w serce p. Ropelewskiego, że Pan Ropelewski wzruszył się i dał się nakłonić do cofnięcia wyzwania swego. Po której to mowie p. Rop. podał mi rękę, ja mu podałem moją, mówiąc mu zimno: »zapomnijmy o tem, ale jeżeli mamy zapomnieć, to zapomnijmy na zawsze!« Na te słowa, choć nie bardzo czułe, p. Rop. rozpłakał się, potem dano śniadanie, na którem jeden tylko z sekundantów pana Rop. był przytomny, drugi (Kołysko) przez wstyd został w domu, i teraz z wroga stał się moim, to jest mojego tryumfu rozgłosicielem. Stało się tak, że klub się cały o pojedynku rano dowiedział, wieczorem przyjęli mnie więc wszyscy po bratersku i we wszystkich oczach widziałem błyszczącą przychylność, wszyscy o poemat się dobijają,

wszyscy chcą czytać strofę, którą ja krwią moją pieczętować byłem gotowy, wszyscy się dziwią, że widząc mnie przez pięć dni przed moim pojedynkiem, nigdy żadnej zmiany we mnie, nigdy żadnego cienia na czole nie spostrzegli; ten mi przypomniał, że mię w poniedziałek wieczór o jakąś książkę prosił, a ja mu ją dać we wtorek obiecałem, drugi, że mi jakąś sztuczkę teatralną chwalił i we wtorek na teatr iść ze mną proponował, — słowem, wszystko się do mnie nawraca«...

»A teraz, choć się tak stało i ludzie mówią, że dobrze się stało, wolałbym był, przysięgam Pani na tego Boga, który wczoraj do mnie przybliżył swoje łono i gotów był mnie wziąć w objęcia swoje, jak dziecko skrwawione, przysięgam, że wolałbym wroga mojego mieć przedemną i tam go nauczyć, co to jest igrać z życiem człowieka temu, który nie gotów jest swoje zupełnie odważyć, ale i tak nauka jest dana, a kara jego, może jest gorszą, niż śmierć« [1]).

W liście do matki było daleko mniej pozowania. Słowacki, który pisząc do pani Bobrowej przedstawiał się jako żądny pojedynku i żałujący, że do niego nie doszło, w liście do matki przyznawał się, że pięć dni, które dzieliły wyzwanie od pojedynku, przeszły mu w wielkim niepokoju. »Ja przez pięć dni bawiąc się, jak zwykle z kolegami w cerklu naszym, tak dobrze pokryłem do ostatniego momentu pięciodniową niespokojność, że potem, gdy się dowiedziano, każdy się dziwił, iż ze mnie tego bynajmniej nie spostrzegł. A jednak wyznam ci, że te pięć dni... były mi bardzo gorżkie«. Chciał też, aby ten list jego do matki świadczył o nim przed potomnością: »Chciałbym, ażebyś, droga, chowała ważniejsze z listów moich, bo to będzie najszczerszy ślad życia mego« [2]).

[1]) Listy J. Słowackiego do p. Joanny Bobrowej, jako dodatek do III-go tomu monografii Małeckiego o Słowackim (wydanie 3, str. 280—285).

[2]) Listy II, 150—152.

Sprawę pojedynkową znamy tylko z listów Słowackiego lub jego przyjaciela Niedźwiedzkiego [1]), znamy więc ją tylko z jednej strony, nie mamy jednak powodu wątpić że Słowacki wyszedł z niej z zupełnym tryumfem. Mniej jasno przedstawia się nam postępowanie strony drugiej, Litwinów, a także sekundanta Słowackiego, Nabielaka. Niedźwiedzki donosił Zamojskiemu, że »Litwa nie zdołała strawić nowych poezyi Słowackiego, że ją ubodły do żywego i nierozumujący dawnym [2]) obyczajem chcą we krwi obmyć obrazę... Były narady, zjazdy i na nich postanowiono, że Ropelewski wyzwie Słowackiego, stanie się ofiarnym kozłem za Litwę całą«. Z tej i z innych wskazówek można wnioskować, że wśród Litwy, która się naradzała, jak postąpić ze Słowackim wobec ogłoszenia drukiem *Beniowskiego*, zarysowała się różnica zdań, że jedni jak n. p. Kołysko lub Franciszek Szemioth, widzieli konieczność wyzwania Słowackiego na pojedynek, (byli to c, których Niedźwiedzki nazywał nierozumującymi), inni jak Platerowie Ludwik i Cezary, a niewątpliwie i Mickiewicz, wychodząc z katolickiego punktu widzenia, byli pojedynkowi przeciwni. Strona gorętsza, jak zwykle bywa w takich razach, wzięła górę i wmówiła w Ropelewskiego który był najdotkliwiej obrażonym, że powinien krwią zmyć obrazę i pomścić zarazem siebie i Litwę; poważniejsi cofnęli się, ale na to, żeby do pojedynku nie dopuścić, co im nietrudno poszło.

Z przebiegu całej sprawy, jak go przedstawił Słowacki, można przypuszczać, że owi poważniejsi, a w szczególności Platerowie, potrafili zjednać dla swoich starań Nabielaka, sekundanta Słowackiego. Przeciwnie sekundant Ropelewskiego, Adam Kołysko, zgorszony był pokojowem

---

[1]) Na listach Niedźwiedzkiego do Wład. Zamojskiego z dnia 14 i 21 czerwca 1841 p. Biegeleisen, oparł swój artykuł: «Pojedynek Słowackiego z Ropelewskim» w Tyg. Powszech. z r. 1884 Nr. 41.

[2]) W cytowanym wyżej artykule wydrukowano: dziwnym obyczajem, co jest zapewne mylką druku lub przepisywacza.

kończeniem sprawy pojedynkowej, skoro Niedźwiedzki wiada o nim, że jakkolwiek »człowiek lubiący cudze adania, zwłaszcza kiedy go na nie proszą«, nie chciał jść na śniadanie, na którem przeciwnicy mieli sobie dać ręce.

Tryumf Słowackiego był tem większy, że właśnie owym czasie w *Tygodniku literackim* poznańskim uka- : się ów, na kilka miesięcy przedtem zapowiedziany ›wackiemu, artykuł o nim Krasińskiego. Ukazał się anonowo p. t. *Kilka słów o Juliuszu Słowackim*, a był poórzeniem, parafrazą tego, cośmy już przedtem poznali cytowanych wyjątkach z listów Krasińskiego do Słowaiego i Załuskiego. Słowacki nie znajdował w tym artyle nic dla siebie nowego; ale dla ogółu emigracyi były n rzeczy zupełnie nowe, sądy wynoszące Słowackiego równej z Mickiewiczem wysokości i służące poniekąd komentarz do owej walki bogów, którą się kończy *niowski*[1]).

Zobaczmy teraz, jakie wrażenie wywarł ten poemat głównych przedstawicielach poezyi emigracyjnej, Bohda- ; Zaleskim i Mickiewiczu i jakie sądy publiczne wy- łał. Zaleski już w pierwszych dniach czerwca, a więc tychmiast po ukazaniu się *Beniowskiego*, czytał go i tak ał o nim do Lucyana Siemieńskiego 7 czerwca 1841. le, ale, ma tam dla ciebie Seweryn (Goszczyński) egzemırz poematu Słowackiego p. t. *Beniowski*. Sam obaczysz. jlepszy ze wszystkiego, co dotąd napisał. Ogromna fan- ;ya, a serca ani źdźbła. W nic nie wierzy, nikogo nie łuje, niczego się nie spodziewa. Siebie uważa za *centrum* świata i Polski i wszystkich rzeczy, które jeno są; ι się słowem za Boga. Nieznośny pyszałek, zapalczywszy łośliwszy stokroć, niż Bajron. Smaga niemiłosiernie bi-

---

[1]) Ludwik Plater miał usunąć z czytelni klubu polskiego numer *godnika*, w którym był ten artykuł, a Feliks Wrotnowski, nie iał umieścić ogłoszenia płatnego w «Dzienniku Narodowym». trz Biegeleisen l. c.

czem, kto mu się nawinie. Zaciął mnie i Seweryna, Mickiewicza ciemięży najstraszliwiej na śmierć... Wpadł jednak na swój rodzaj i dlatego został odrazu znamienitym pisarzem; wątpię, czy poetą? Wierszowanie niesłychanie świetne i żwawe. Oktawy jego lepsze, niż Ariosta. Język giętki, czysty, ale brakuje mu jakiejś woni poetyckiej, którą daje serce, tego samego, co Ariostowi. Nienawiść — jego Muza; a ja brzydkie — Bogiem. Gorączkowy stan duszy odźwierciedla się i w obrazach narodowych obyczajów. Pozorna też to narodowość. Gdzie mu do Soplicy? Zadziwi może blaskiem i naturalnością swoją nową czytelników, ale nie zniewoli serc na długo« [1]).

Ustęp ten najwymowniej dowodzi, jak olśniewające wrażenie wywarł *Beniowski* na Bohdanie Zaleskim. Doskonale się też zarysowuje w tym ustępie przeciwieństwo pomiędzy poezyą Zaleskiego i Słowackiego: z jednej strony pewna jałowość fantazyi przy pełni i świeżości uczucia, z drugiej strony ubóstwo serca przy olśniewającym przepychu i niewyczerpanem bogactwie fantazyi. Jak na antagonistę i to jeszcze zaczepionego w poemacie, sąd Zaleskiego był dość bezstronny. Słuszny był zarzut, że Słowacki uważa się za centrum świata, słusznem i to, że gorączkowy stan duszy poety odźwierciedlił się w obrazach narodowych obyczajów, niesłusznem tylko określenie, że muzą jego była nienawiść, niesłusznem powątpiewanie, że był poetą.

W dziesięć dni potem pisząc do Seweryna Goszczyńskiego, Zaleski poddawał się przygnębieniu moralnemu, które widocznie wypływało z wrażenia, jakie wywarł na nim *Beniowski*. On, tak wysoko postawiony przez Mickiewicza w pierwszych wykładach Literatury słowiańskiej, on, któremu Mickiewicz przed rokiem pisał, że mocą swego ducha »ciągnie do siebie całe ciepło i światło poetyczne« [2]),

---

[1]) Korespondencya I. B. Zaleskiego T. I, 1900 str. 206.
[2]) Korespondencya Ad. Mick. T. I, 210—211.

porównywając swój śpiew i lot skowronka z czarodziejstwem słowa w *Beniowskim*, z burzą i błyskawicami fantazyi Słowackiego w tym poemacie, uczuwał nikłość swoją i stąd pochodziło przygnębienie. »Jakiś niesmaczny niepokój trapi mnie wewnątrz, że ustawicznie to tęsknię za czemś, to nudzę się na śmierć. Tęsknię za swobodną milszą pracą, jak to bywało ongi; a nudzę się ze swojej dzisiejszej niemocy. Pospólna to podobno nam choroba, generyczna dla wszystkich poetów. Może my, Sewerynie, dlatego jałowiejem, że inne spółczesne nam duchy płodzą. Szczęść im Boże! byle więcej mieli miłości i pokory, niż Słowacki, bo inaczej nie wiele przysporzą dobra i chwały dla Polski. Ej, żeby to rychlej dostać się nam na Ukrainę! Zsadzilibyśmy jeszcze z Pegaza niejednego pyszałka. Ale tak, jak jesteśmy, to i same ręce opadają. *Czużyna* trawi nas powoli, jak suchoty; przepadniem nie wiedzieć po jakiemu« [1]).

W liście do Mickiewicza, o dwa dni późniejszym (19 czerwca 1841 r.), Zaleski inaczej pisał, nie z tą szczerością, co w listach do Siemieńskiego i Goszczyńskiego. Widocznie chciał sobie i Mickiewiczowi dodać ducha.

»Czytałem też tu nieco uważniej *Beniowskiego*. Nie ma co mówić, wiersze zgrabne, ale duch mdły, pomimo pozornej ruchliwości. Poeta buja na płytkich bardzo fluxach i oprócz grubego skandalu nie ułowi ani drobnej perełki, którą godziłoby się zawiesić, choćby na pogańskim ołtarzu lub na szyi jakiejbądź kochanki. Ja taki niepoczesny, a wcale się nie stracham i spodziewam się, że kiedyś po leciech zsadzę go z Pegaza. A cóż dopiero ty, nasz Adamie, taki doświadczony i zawołany jeździec! Skoro nastaną wakacye, weźno się w skok do pióra. Panowie młodsi poeci obrali sobie na Muzy złość i pychę, my przytulmy się jeszcze bliżej 'ku miłości i pokorze, a obaczysz, kto wygra? kto i jasne i roznośniejsze dźwięki

---

[1]) Korespondencya I. B. Zaleskiego T. I, str. 208.

wydobędzie dla narodu, któremu wcale dziś nie do śmiechu. *Wojna Bogów!* głupie cielce, obydwa ze swoim X. (Krasińskim)... mniemają, że o taką wojnę chodzi Polsce. Liczę sobie za dobrą kreskę, żem cię ongi odstręczał od pokusy poetyckiej à la Słowacki. Mnie samego o mało nie namówił Gurowski, żebym w taki sposób kontynuował mego *Diabła Borutę*. Ale pomiarkowałem się i spaliłem, a wyręczył oto nas obydwóch autor Beniowskiego: nie warto dłużej o tem pisać« [1]).

Lekceważenie okazywane tu poezyi Słowackiego wydaje się więcej sztucznem, niż prawdziwem i bodaj czy nie wypływało z przyjacielskiej chęci zatarcia w Mickiewiczu przykrych wrażeń, wywołanych ostatniemi strofami *Beniowskiego*. Z tem lekceważeniem nie licowało pobudzanie Mickiewicza, aby za nadejściem wakacyi wziął się w skok do pióra. Widocznie dolegały Zaleskiemu pociski, którymi Achilles-Słowacki szturmował w poetycką Troję Mickiewicza, widocznie chodziło mu o przyćmienie sławy, którą sobie autor *Beniowskiego* zdobywał tym utworem, o przyćmienie jej jakimś nowym tryumfem podobnym do tego, który na uczcie odniósł Mickiewicz nad Słowackim.

Ale Mickiewiczowi, zmęczonemu kursem literatury, a mającemu w perspektywie napisanie, a raczej przepisanie z Niemców porównawczej gramatycзki słowiańskiej, ciągle niespokojnemu o zdrowie żony i przygnębionemu smutnemi wiadomościami, jakie nadchodziły z Litwy, nie do poezyi było. Więc odpowiedział: »O poezyi boję się myśleć. Chybabym gdzieś głęboko na wsi osiadł, tobym może coś wydumał. Nie masz tedy na ten raz współubiegaczów prócz Słowackiego«. Ale wyrzekając się współzawodniczenia ze Słowackim, najzupełniej pochwalał sąd Bohdana o duchu jego poezyi. »Dobrze i święcie powiedziałeś, że nam trzeba tulić się ku miłości i pokorze. Gdyby i nieboszczyk Byron był między nami, pewnieby

---

[1]) Tamże T. I, str. 214.

s zbudował pokorą. Ale biedne pyszałki, co się im ieje! Boję się, żeby ich nie spotkał taki los, jakiego doają dyktatorzy emigranckie, gryzieni troskami władzy jwyższej, której rozkoszy nigdy nie użyli« [1]).

Sądy dotychczas przytoczone były prywatne, przypadwo tylko mogły dochodzić uszu Słowackiego: ale niego miał czekać na publiczne. *Beniowski* był niezwyɔm zjawiskiem w literaturze emigracyjnej, nietylko dlaɡo, że świetnością formy olśniewał, ale i dlatego, że poszał mnóstwo ważnych i drobnych spraw i stosunków cia emigracyjnego, że wreszcie wprowadzał ton, nieany dotychczas w poezyi polskiej, ale od początku emiacyi rozbrzmiewający w dziennikarstwie emigracyjnem, ı zaciętości polemicznej. Powszechna uwaga emigracyi róciła się na ten poemat, a trzy główne jej stronnictwa, tolickie, demokratyczne i dynastyczne uczuły potrzebę ɣdania o nim sądu, zajęcia wobec niego stanowiska.

Najwięcej czuło tego potrzebę stronnictwo katolickie, zeciw któremu ostrze poematu najwyraźniej było wyerzone. Krytyka przytem *Beniowskiego*, ze stanowiska ɡo stronnictwa wychodząca, powinna była naprawić to, popsuł śmieszny pojedynek Ropelewskiego ze Słowaim. Myślę, że właśnie owi poważniejsi Litwini, którzy li przeciwni pojedynkowi, za jedynie godne odparcie elg rzuconych w *Beniowskim* uznawali rozumną, spojną i wyższą nad złość i oburzenie krytykę. Organem onnictwa, o którem mowa, był niedawno przedtem załony, a przez Wrotnowskiego redagowany *Dziennik rodowy*, tu więc miała się ukazać owa krytyka. Podjął ı jej Jan Koźmian, który już przedtem w tem samem mie podał rozbiór *Nocy letniej* Krasińskiego i umiał które trafne poczynić uwagi autorowi.

Krytyk na wstępie przyznawał, że nie łatwo mu będe spokojnie mówić o utworze, w którym tyle zimnego

[1]) Koresp. A. Mick. T. I, 1880 str. 234.

gniewu i nienawiści, nie łatwo wstrzymać się od odpłacenia uszczypliwością, lekkim żartem za wyuzdany dowcip«, ale oświadczał, że będzie się starał przy całej surowości sumiennej krytyki zachować miarę i powagę. Tego przyrzeczenia dotrzymał; niektóre zarzuty jego, szczególnie odnoszące się do formy, nie były trafne, były nawet śmieszne, ale nigdzie zjadliwość, nigdzie chęć zemsty z nich nie przebijała. W *Beniowskim* widział naśladownictwo *Don Juana* i to mu dało powód do porównania Słowackiego z Byronem. »Byron miał w sobie ogień niebieski... miał potęgę miłości i tylko w nadużyciu łatwych uciech, w miękkiej pomyślności hart duszy stracił«; nawet w *Don Juanie*, który jest otchłanią sceptycyzmu »często się ocknie dawny ogień; miłość, cześć wolności dźwięczą na strunach poety wzniosłą nutą, nawet szyderstwo jest namiętne«... »Słowacki jest człowiek zimny, cały jego zapał w głowie; wyobraźnię ma bogatą i świetną, ile się zaś razy w uczucia zapuszcza, znać przymus, wysilenie, udaje namiętność, ale w nim nigdzie namiętności nie znajdzie. Indywidualizm Byroński mocno do niego przystał, tylko co w Byronie był tak głęboko ognisty, w Słowackim wziął znamiona ciasnej próżności. Mile czasem z głębi duszy odzywają się rzewność i tęsknota polska, ale i te znać przelotem, i tych dobrych uczuć wstydzić się zdaje«.

Ten sąd porównawczy, najpewniej od Mickiewicza zaczerpnięty, był słuszny. Słuszne też były uwagi, że Słowacki »chętnie się pieści z natchnieniami snu gorączkowego.... często nawet jakieś zachcenie za natchnienie biorąc, między nasuwającemi się myślami nie przebiera«. (Chodzi mi o to, żeby język giętki — powiedział wszystko, co pomyśli głowa) i że »należy do rzędu tych, co w obcej myśli popędu szukają«, że »nie do poety należało polemikę małych dzienników wznosić do powagi poematu epicznego« i inne. Najmniej szczęśliwem było to, co mówił o stronie zewnętrznej poematu, o strofach, wierszach i rymach, o błędach »przeciw pierwszym zasadom gramatyki«.

Walce Słowackiego z Mickiewiczem poświęcony był osobny ustęp. Była to ze strony wielbicieli autora *Pana Tadeusza* odpowiedź na pociski rzucone nań w *Beniowskim*. »Nie widzimy potrzeby stawać w obronie wielkiego poety, którego bezsilny gniew nie dotyka. W czyich wierszach całe pokolenie uczyło się szukać wyrazu na najwznioślejsze uczucia, czyje śpiewy dziś jeszcze powtarza wszystko, co cierpi i wszystko, co się spodziewa w Polsce, ten żyje i żyć będzie w historyi. Choćby do Słowackiego, jak sam wykrzykuje, należała przyszłość, do niego zwycięstwo za grobem, to jeszcze piętnastoletniej nie zatrze chwały. Nienawiść dla autora Pana Tadeusza wrzała w Słowackim od dawna; głośna już dzisiaj improwizacya grudniowa przyśpieszyła tylko jej wybuch«. I tu Koźmian znajdował sposobność podania opisu walki improwizatorskiej, którą już na właściwem miejscu poznaliśmy.

Zakończenie krytyki było napisane w duchu improwizacyi Mickiewicza, było wezwaniem Słowackiego na drogę wiary i miłości. »Niechaj rozdmucha w sobie iskrę uczucia, tylko się sercem serca rozpalają; niech się uspokoi, trzeba pogody wewnętrznej, żeby wielkie rzeczy pojmować i tworzyć. My nie zwątpiliśmy jeszcze o nim. Wierzymy mu, kiedy mówi o swoim smutku i goryczy... wierzymy, że jeszcze to zmieni...« niechaj nie woła, że już zapóźno wziąć nową harfę niepokalaną[1]). »Nie, nigdy

[1]) Słowa te odnoszą się do następującej strofy *Beniowskiego* (Pieśń IV.).

A jednak gdyby twoja, o! młodości!
Żelazna niegdyś wola, dumna, twarda;
Gdybym nad sobą miał więcej litości,
Gdyby mi nawet w krew nie przeszła wzgarda
Tego, co teraz jest i co w przyszłości
Być może, lutnię szalonego Barda
Skruszyłbym, wziąwszy pod zgięte kolano,
I nową harfę wziął niepokalaną.

późno: po co schylać czoło pod jakąś fatalnością. Obejrzyj się w koło, młody poeto, oto jesteś wśród nieszczęśliwego ludu wygnańców: koło ciebie tyle cierpień, cichego poświęcenia, czystych nadziei, sław cierpienie, darz poświęcenie wieńcem nagrody, grzmij pieśń nadziei. Obiecujesz wieść naród, śpiewać narodowi. Śpiewaj, chętnie ci wtórować będą, ale weź, jak sam mówisz, lutnię niepokalaną. Gorycz, nienawiść, nasz codzienny chleb na wygnaniu, już wiele świętych rzeczy, wiele poezyi zwarzyły. Wojując ironią ciężko wykroczyłeś przeciwko Bogu, przeciw Polszcze, masz przyszłość do poprawy« [1].

Były to słowa z serca płynące, a tem łatwiej mogły pociągać ku sobie Słowackiego, że krytyk chętnie się godził na przewodnicze stanowisko jego, jako poety, w narodzie, byle tylko wziął inną, »niepokalaną« lutnię. Wogóle krytyka Koźmiana, pomimo swych rozmaitych słusznych i niesłusznych zarzutów, jako pochodząca z obozu, na który Słowacki tyle wyrzucił obelg, i skąd mógł się spodziewać surowego odwetu, musiała wywrzeć na nim dodatnie, uspokajające wrażenie.

W parę tygodni po ukazaniu się krytyki Koźmiana wystąpił z równie obszerną, równie na dwa numery rozciągniętą oceną *Beniowskiego*, przedstawiciel obozu demokratycznego, *Demokrata Polski*, które to pismo na niedługo przedtem, właśnie w czasach wychodzenia *Beniowskiego* z druku, przeniesione było z Poitiers do Paryża i pod nową wychodziło redakcyą. W redakcyi brał udział i Seweryn Goszczyński, więc nasuwa się przypuszczenie, że może to on był autorem owej oceny [2]. Krytyka *Demo-*

---

[1]) Dziennik Narodowy Nr. 14 i 15 z d. 3 i 10 lipca 1841.

[2]) W tym samym arkuszyku *Demokraty*, w którym był pierwszy artykuł o *Beniowskim*, (z 28 lipca 1841), znajdował się artykuł p. t. *Narodowość*, pisany przez Goszczyńskiego. Bohdan Zaleski we współczesnym liście do niego rozpisuje się o tym ostatnim artykule, chwaląc go, o krytyce zaś *Beniowskiego* milczy najzupełniej. To jednak, co mówi z powodu artykułu «Narodowość», jest jakby

aty była jakby odpowiedzią na krytykę *Dziennika Na dowego*, i to wszystko, czemu ten ostatni przyganiał *Beniowskim* ze stanowiska religijnego, brała w obronę — ekiedy dość chaotycznie — Słowackiego zaś przedstaiała, jako prześladowanego przez »pewien polityczno-ligijny lub semi-religijny kącik«, który »z trudem podsił na ramionach Stefana Garczyńskiego, wielką pracą wysileniem dźwigał Kajsiewicza, może nawet i z autora *ieboskiej Komedyi* za wielkiego zrobił olbrzyma«. Był pocisk wymierzony głównie przeciw Mickiewiczowi, órego katolickie stanowisko zarysowane w III. części ziadów nie podobało się autorowi.

Największe wrażenie na krytyku *Demokraty* wywarło ołanie Słowackiego, że poprowadzi »lud« inną drogą, ż Mickiewicz. Przytoczywszy wiersze: »Ha! ha! mój ieszczu, gdzież to wy idziecie... pójdę gdzie indziej ud pójdzie za mną«, tak pisał dalej: »Kiedyśmy następ odczytali strofy, dusza nasza uniesiona została całą więtością posłannictwa poezyi w naszym narodzie, my- sięgnęliśmy cały przestwór, całe gmachy, całe głębie, zie prawdziwie natchniony duch obudzić i poruszyć oże, i w dłoniach takich pieśni, oskrzydlonych archaelskiemi pióry, ujrzeliśmy i miecz archanioła, ale nieety! ta pieśń budząca z grobów dotąd jeszcze nie zazmiała. Lud za nią pójdzie i lud jej czeka. Lecz wieczom że to pokazywać, gdzie podobnego mają szukać

---

mierzone przeciw owej krytyce. »Zgadzam się na wszystko, co n powiedziałeś i podkreśliłem tylko jedno miejsce, gdzie podejwasz katolicyzm Skargi. Sewerynie! och Sewerynie! nie przyjiecie wy nigdy do ładu z ludem, póki nie uszanujecie jego wiary ie rozniecicie wielkiej miłości w Chrystusie. Bijcie na księży, na zuitów, na wszystko złe w kościele, które także spłodził ten sam iecki materyalizm, duszący dziś wolność, ale brońcie religii i moności, dwóch kotwic, na których stoją narody. Dalibóg! Skarga zerze kochał i Chrystusa i Polskę«. Koresp. I. B. Zaleskiego T. I, . 216.

natchnienia? niech się wpatrzą z całą miłością w mękę tego ludu, w jego poniżenie i cierpienia, jak się wpatrywali święci w rany i krew Zbawiciela, ażeby w nieskończoności mogli śpiewać hymn wiecznego szczęścia i chwały. Mamyż wyrażenie się poety lud pójdzie za mną za uroczystą uważać obietnicę?«

Loika ostatniego zdania nieco chroma, (bo pewność, którą ma poeta, że lud pójdzie za nim, nie może być jeszcze uważana za obietnicę jakąś z jego strony, że poślubi sprawę ludu), ale o co chodziło autorowi krytyki, domyśleć się łatwo. Widział on w tem wyrażeniu »lud pójdzie za mną« jakby oświadczenie, że poeta chce zostać śpiewakiem ludu, wyśpiewać dążenia i ideały demokracyi. Ale porównywając dotychczasową twórczość poetycką Słowackiego z tym okrzykiem, tak rozumianym, jak sam rozumiał, widział, że się z nim nie godzi, to też musiał przyznać, że »niestety! ta pieśń budząca z grobów, dotąd jeszcze nie zabrzmiała«. Wszakże co się dotąd nie stało, to stać się może, jeżeli Słowacki przejmie się cierpieniami i nędzą ludu. Rzecz charakterystyczna, że kiedy krytyk *Dziennika Narodowego*, mówiąc o tym okrzyku Słowackiego, brał wyraz lud w znaczeniu narodu, krytyk *Demokraty* nadawał jemu słowu znaczenie jednej tylko warstwy społecznej.

W całej tej pochwalnej krytyce dwa tylko były zarzuty uczynione *Beniowskiemu*: jeden dotyczył zamieszania w obrazach, niewykończenia scen, drugi, o wiele ważniejszy, umieszczony na końcu, miał być nauką na pożegnanie daną, odmienną, ale analogiczną do tej, której udzielał Koźmian w swojej krytyce. Przystępował do niej *Demokrata* bardzo czule, chciał z wielką delikatnością, »z całem współczuciem braterstwa, z całą zręcznością«... »przyłożyć dłonie do bolesnej i dotkliwej rany«... O cóż chodziło *Demokracie?* Widział i on, pomimo całego współczucia, jakie miał dla walki Słowackiego z katolicyzmem, widział w Słowackim za nadto wyłączne prze-

ɔie się sprawą osobistą, z drugiej zaś strony brak wiary naród i nadziei lepszej przyszłości dla niego. »Możeby silniejszemi były te gromy, które poeta tak słusznie na owy nieprzyjaciół rzuca, gdyby padały z całej wysokoi niczem niezachwianej narodowej wiary, gdyby wieszcz ł się okazywał więcej obrońcą prawdy wyższej i nieleżnej od niego; niechby spoczywała na jego czole barkach, czyliż ją nie nadto wcielił i w swą przyszłą wałę i w swe nieszczęścia minięte i w swą walkę obec-. Kiedy miłość wyższa, kiedy prawda, obiorą sobie go za rycerza i obrońcę, wysokiego udzielajac mu nanienia, niechaj zapomni sam siebie, one go pewnie nie pomną, wzleci na ich skrzydłach, bez znużenia się własem szamotaniem«. W końcu przypominał *Demokrata* ɔwackiemu jego własną strofę z *Beniowskiego*, w której ʒ podobna przestroga zawierała:

Biada, kto daje ojczyźnie pół duszy
A drugie tu pół dla szczęścia zachowa itd.[1]).

Ostatecznie krytyka *Demokraty* była bardzo pochleb- dla Słowackiego, stawała stanowczo po jego stronie zeciw Mickiewiczowi i zapraszała poetę do obozu deɔkracyi emigracyjnej, od którego trzymał się on dotychas zdaleka.

Teraz przyszła kolej wypowiedzenia sądu o *Beniowim* na stronnictwo dynastyczne, z którem, jak wiemy, ɔzyły Słowackiego dość ścisłe stosunki osobiste. Jakież ɩnowisko miał zająć *Trzeci Maj* wobec tego poematu? piśmie tem spoglądano na wszystko pod kątem dynaʏcznym, i jak *Demokrata* znajdował w *Beniowskim* wyżenia, w których dosłuchiwał się wyznania wiary deɔkratycznego, tak *Trzeci Maj* mógł łatwo w niektórych ʏrotach dopatrzeć sympatyj dynastycznych, (gdzie, to

---

[1]) Demokrata Polski z d. 23 lipca i 5 sierpnia 1841 T. IV, str. –47 i 52–54.

już wiemy), a im więcej pierwszy starał się poetę dla swego obozu pozyskać, tem więcej drugiemu mogło chodzić o to, ażeby nową sławą poetycką uświetnić swoje stronnictwo. Przytem *Trzeci Maj* ciągle prowadził polemikę z *Dziennikiem Narodowym*, organem emigracyi najbardziej zbliżonej do Mickiewicza, o potrzebę uznania dynastyi i skarżył się (w numerze z 3 sierpnia 1841), że »widzi się w każdym niemal numerze *Dziennika Narodowego*, wprost i w zelżywych słowach atakowanym«. Zelżywych słów nie było, ale było traktowanie organu dynastycznego, jako niedowarzonego, jakim on był niewątpliwie.

Dla takich to względów *Trzeci Maj* umieścił krytykę *Beniowskiego*, która w uwielbieniu daleko przelicytowała *Demokratę*, bo nie znalazła nic do przygany w poemacie, podobnie jak *Demokrata* brała w obronę poemat od zarzutów *Dzien. Narodowego* i obniżała umyślnie znaczenie Mickiewicza, aby tem wyżej wynieść Słowackiego i otoczyć go gęstemi kłębami kadzidła. Oto jakim pompatycznym i zawiłym stylem pisał p. Wacław Jabłonowski — autor owej krytyki — o Słowackim.

»Juliusz Słowacki wzrósł nagle w ogromnego olbrzyma, opartego silną stopą o piękne, fantastyczne charaktery żywo wyjęte z koła społeczności polskiej ze wszystkiemi jej odcieniami, formami i czysto narodowym kolorytem, sięgającego czołem tego autora tylko geniuszowi znanych podniebnych wysokości, które słusznie i głęboko filozoficznie jeden z recenzentów krajowych (Krasiński) nazwał siłą odśrodkowania — a które, ja, instynktem politycznym wiedziony — słuszniej może językiem zrozumialszym dla masy nazwę: usiłowaniem polskiej duszy i instynktów czysto narodowych uwolnienia się z więzów form i idei cudzoziemskich — w olbrzyma nacechowanego stąd całą siłą, wypływającą z dwóch wielkich jego własności — narodowości — i misyi jej oczyszczenia«.

Cóż znaczyła ta gmatwanina, mająca pretensyę, że

jest »zrozumialszą dla massy« od słów Krasińskiego? Oto, że poezya polska nie miała dotychczas cech narodowych, że Słowacki dopiero jej te cechy nadawał i że jakoby to miał na myśli Krasiński, mówiąc o odśrodkowym kierunku poezyi Słowackiego. Jak dalece entuzyastyczny krytyk rozmijał się z Krasińskim, nie potrzeba tego dowodzić, ale warto pokazać, jak uzasadniał swoje twierdzenia, ponieważ w tych słowach jego znajdował Słowacki to, co było jego marzeniem od dzieciństwa, to jest przyznanie mu wyższości nad Mickiewiczem.

»Pan Tądeusz, ta głośna epopea narodu polskiego — pisał Jabłonowski — przy Beniowskim dopiero w prawdziwej swej farbie nagle okazuje się i nawzajem Beniowskiego zachwycające barwy wydatnemi oku massy czyni — przy Beniowskim to dopiero mocno czuć się daje, że Pana Tadeusza nie koniecznie Polak, ale może i cudzoziemiec, dobrze znający zewnętrzne formy życia i charakteru polskiego, polskim językiem gdzieś w buduarze paryskim, w Berlinie czy Edynburgu napisał... Bo gdzie w Panu Tadeuszu znajdziesz tę polską szlachecką duszę, co w każdej myśli, zwrocie mowy, w każdej osobie poematu Beniowski ciągle wyjawia się; ciągle wre i kipi — znajdziesz tam zimne, piękne posągi mowy i czucia, ulane na formę bóstw niemieckich lub angielskich i lekko gdzieniegdzie okryte, to rogatą czapką — to jednym (!) butem czerwonym; ale gdzie tam znajdziesz tę duszę tęgą, że tak powiem chwacką, to jest silną, a wesołą, dziką i fantastyczną, pełną prostoty a razem głębokiego czucia wszelkich odcieni — duszę naszych ojców — dla której plastyczne uczucia piękności form cudzoziemskich, narzucane siłą narodowi w każdej chwili wahania się jego w wyborze drogi ku postępowi — były ogromnemi cięgami, które zagłuszyły życie i byt narodu«.

Krótko mówiąc, wbrew powszechnie panującemu przekonaniu, że Mickiewicz jest poetą prawdziwie narodowym i oryginalnym, a Słowacki naśladowniczym, kry-

tyk *Trzeciego Maja* przedstawiał ten stosunek odwrotnie, z Mickiewicza robił naśladowcę, w Słowackim widział tego, który pierwszy zrzucał jarzmo naśladownictwa, a na zarzut *Dziennika Narodowego*, że ironia *Beniowskiego* jest naśladowaniem *Don Juana*, odpowiadał długo, zbijając to twierdzenie takiemi np. argumentami: »Ironia Bayrona wydobywa nam mimowolnie z piersi śmiech piekielnego zepsucia duszy — w Słowackim przymusza serce, że tak powiem, dowodzić w sobie uczuć cnoty i piękności«. Była w tem odpowiedź na niekorzystne dla Słowackiego zestawienia *Don Juana* z *Beniowskim* w *Dzienniku Narodowym*, jak znów w innym ustępie było odparcie zarzutu tego Dziennika, że »Słowacki jest człowiek zimny«, że »cały jego zapał w głowie«, że w nim nie ma prawdziwej namiętności. Oto jak patetycznie przemawiał Jabłonowski o sercu Słowackiego. »Ja kocham i podziwiam silną pasję co w Słowackim ciągle się odbija — boleję nad cierpieniami tego pięknego, silnego serca! — Biedne serce! co ono cierpieć, co ono czuć musi! — Serce wybrane na męczeństwo — bo Bóg widząc, że ani krew ani niedola w sercach Polaków siły obudzić i wydobyć nie mogą — rzucił okiem na Polskę i gdzieś wśród lasów Wołynia — wybrał silne serce, zdolne wytrzymać burze i gorące jady, które na przeczyszczenie dusz polskich zgotował, którymi to serce zaprawił — i wychyliło się ono dzisiaj ognistym deszczem mowy, co pożre wszystko, co złe, śmieszne i podłe — a z którego wyjdzie całe i nietknięte, wszystko co święte i co prawda« [1]).

Cała recenzya Jabłonowskiego była jednym wielkim hymnem uwielbienia dla autora *Beniowskiego*. Na taki akt publiczny długo czekał Słowacki, więc choć zapewne i sam dostrzegał pewnych niedorzeczności w tym hymnie, błogo mu było, gdy się widział tak wysoko wyniesionym, takiemi kłębami kadzidła otoczonym. Błogo mu

[1]) Trzeci Maj z 5 października 1841. Str. 166—169.

było, gdy tak przeciwne sobie stronnictwa, jak centralizacyi demokratycznej i *Trzeciego Maja* ubiegały się o pozyskanie jego dla siebie, gdy nawet stronnictwo, które najzajadlej szarpał, ofiarowywało mu przymierze i gotowość uznania jego przewodnictwa w poezyi, jeżeli weźmie lutnię »niepokalaną«.

Inne go jeszcze spotkało w tym czasie odznaczenie, twarz jego w dwojaki sposób została uwieczniona: raz w stalorycie przez pewnego Anglika (James Hopwood'a według rysunku Józefa Kurowskiego), drugi raz w znakomitym medalionie Władysława Oleszczyńskiego, a pochwalny opis tego medalionu w *Trzecim Maju* (z 11 września 1841) był poniekąd także tryumfem dla poety. »Z siedmiocalowej tarczy wystaje pełno-wypukły profil Słowackiego, ze wszystkiemi charakterami znamionującemi tę niepospolitą głowę. Widzisz je w dziwnem ścięciu korony głowy; w natężonem, ogniem pałającem oku; w wardze dolnej pełnej skargi i niesmaku dla świata; w rozdętym, dziką energią tchnącym nosie; w czole wyniosłem, obarczonem myślami, ciężarem swoim naciskającem oko. Oblicze zionie surową pogodą i otwartością, jaka znamionuje dusze wyższe, zacięte lecz szlachetne. Myśl, jakaś mgła posępna, surowość toż pogoda, duch żywy, wyglądają na przemian z tej pięknej, podobnej, miłością snycerską obrobionej, z i d e a l i z o w a n e j twarzy«.

Te wszystkie różnego rodzaju tryumfy, które odniósł Słowacki po ukazaniu się *Beniowskiego*, wpłynęły na jego usposobienie, co się odbiło we współczesnych listach do matki. W liście bez daty, ale widocznie pisanym zaraz po niedoszłym pojedynku z Ropelewskim, pisał Słowacki do matki, że teraz szczęśliwszy jest, niż kiedykolwiek w życiu: »Wszystko się tak składa, jakby Bóg nademną czuwał i kochał mnie i błogosławił«. I tu napomknąwszy w kilku słowach o swojej miłości dla p. Bobrowej i o swojem »lataniu za marą szczęścia«, dodawał: »Z drugiej strony nabierałem także powagi i blasku; tych, co mi byli

niechętni, przymusiłem, że otwarcie przedemną stanęli i widząc mnie niedrżącego, z przed oka mego ustąpili ze wstydem«. Więc wzywał matkę, aby dziękowała Bogu, że go »widocznie broni i niczemu nie pozwala przemódz nad nim«, a ponieważ z jej listu wysnuł nadzieję zobaczenia się z nią w Dreźnie, więc tak pisał o tej nadziei: »Tak teraz wierzę, że jestem w jakiejś dobrej szczęścia epoce, że i ta nadzieja snem mi się nie wydaje«. List kończył się równie wesoło, jak się zaczynał: »Cierpliwy, spokojny i smutny, przeżyłem nudne chwile życia; teraz z uśmiechem patrzę na to, co minęło, i ty się droga uśmiechnij i kochaj mnie wesoło«...[1]).

W nieco późniejszym liście do matki powtarzał Słowacki te same zapewnienia, że mu »lepiej na tym świecie dziś niż wczora«... »Są lata napełnione nudą i troską, w których się człowiekowi zdaje, że przebywa pustynię; nic mu wtenczas w porę nie przychodzi, dobro każde na złe się obraca, usiłowanie żadne skutku nie bierze. Są to lata dążenia, gorączki, podróży, upragnień, zachceń, bolu, złe słowem, i bezsenne lata... Lecz nagle, jeżeli Bóg nam sprzyja, uczuwamy, że wszystko się odmienia, że życie staje się pełniejszem... że jedni ludzie zupełnie przeciw nam się deklarują, drudzy są naszymi przyjaciółmi... jest coś w sercu, co nas o tem ostrzega... może to zmiana jakaś w zdrowiu, w systemacie nerwowym, ale dobra ona jest i mnie teraz weselej«... A wiedząc, że matka radaby poznać bliżej przyczynę tej zmiany usposobienia w ukochanym synu, pisał w dalszym ciągu: »Tak dawno nie widzieliśmy siebie, że gdybym cię listem chciał o stanie mego serca, o zmianach charakterowych humoru mego uwiadomić, potrzebaby list zrobić dziennikiem dni prawie i wypadków; bo, rozważywszy rzeczy, nic dla mnie bardziej szczęśliwego nie zdarzyło się. Jestem, jak zawsze, dość samotny, pracuję, dumam, ale ta

[1]) Listy II. 143—146.

zość jakaś, która mi prace moje i dumania obrzyiła, zniknęła... Widzę, że mnie Bóg nie zapomniał niebie i to mi daje dziwnie dumną spokojność« [1]).

Dla nas, znających wrażenie, jakie wywołał *Beniow-*, powody tej zmiany usposobienia, jaka się malowała listach, są jasne, ale matka, niewtajemniczona w szczey ówczesnego życia swego syna, w szczegóły jego lki o sławę, nie mogła ich zrozumieć. Zdawało się jej, syn, ciesząc się nowem powodzeniem, mniej dba już

[1]) Listy IV. 139—140. Trzy listy bez wyraźnej daty, oznaczone nerami 74, 75 i 76 p. Méyet ustawił nie w porządku chronolonym. List nr. 76, pisany widocznie świeżo pod wrażeniem poynku, jest mojem zdaniem wcześniejszy od numeru 74, gdzie mowa o liście poprzednim, jako »weselszym niż dawniej«. Co tyczy Nru 75, ten był pisany na początku wiosny (Zda mi się, mię promień wracającej wiosny najwięcej cieszy), ale mam pe wątpliwości, czy przypisana na liście przez matkę data (r. 1841) prawdziwa, czy nie odnosi się ten list raczej do wiosny 1842. tego przypuszczenia skłaniają mię następujące względy. W liście 74, który mógł być pisany nie wcześniej, jak latem 1841, Słoski pisze o swoich »dzieciach« t. j. utworach, że je wyprawi do ki »jak znajdzie człowieka, któryby im za mentora w podróży gl służyć, bo inaczej nie odważy się ich w podróż wyprawiać«, naczy, jak znajdzie kogoś wracającego do kraju, który się ponie je przewieść i matce przesłać. Obietnica ta spełnioną zoa dopiero w listopadzie 1841, bo w liście z 10 listopada t. r. czyy: »Wysłałem więc wczora pakę maleńką, gdzie znajdziesz wszy-, co ja z siebie i co ze mnie zrobiono. Medalion w ramkach amitnych i trzy w czerwonych, złotych sukienkach xiążki do ożeństwa, także dwa wizerunki na stali«. Książkami do nabostwa nazywał poeta przez ostrożność swoje trzy utwory. Otóż iście Nr. 75 jest widocznie mowa o tych książkach, tylko już postacią kwiatów: »Sądziłem, że cię cybulki i nasiona kwiatów ch doszły... Była między niemi georgina koloru bronzowego ze emi obwódkami (zapewne mowa o medalionie), były także trzy aki czerwonych tulipanów (zapewne trzy książeczki w czerej oprawie) miałżeby jaki żydek pokwapić się na nie? albo e im zima zaszkodziła?«... A zatem, skoro list nr. 75 pisany po liście z listopada 1841 i pisany na wiosnę, więc trzeba go iecznie przenieść na rok 1842.

o matkę, nie dzieli się z nią ani wrażeniami swego życia, ani swymi utworami, i skarżyła się przed nim na swoje smutne i samotne życie. Odpowiedzią na podobne skargi jest list poety z wyraźną już datą 10 listopada 1841. »Najdroższa moja! Dziś odbieram list, który mnie zasmucił, jest w nim albowiem jakby echo żałosnej skargi, a co okropniej, zdaje się, że udręczonej tylą cierpieniami, już i syn twój przestał ci być miły. Ilekroć chciałbym się bronić, nie mogę, bo wiem, iż jestem winny względem ciebie, ale ty pomyśl, że dziecko twoje oddało się całkiem tej zimnej, marmurowej kochance, która na grobach ludzkich stoi, a dla kochanków dopiero po śmierci ma łzy i uśmiechy, a za życia z poświęcenia się często urąga: więc się lituj i pomyśl sobie, że już jest późna godzina i już nic się nie odstanie«. Zapewniał matkę, że »nie przez obojętność« nie posłał jej swoich »dzieci«, to jest swoich nowych utworów, ale przez obawę, że to ją może narazić na jaką przykrość, a na skargę jej na rozdział, tak odpowiadał: »I cóżbyśmy dziś robili, siedząc przy wiejskim kominie, gdyby nas los nigdy był nie rozłączył? Możebyśmy utyskiwali na zimno i dym w pokoju i na inne małe cierpkie życia trudności... a teraz wiemy, że Bóg o nas pamięta i jest naszym dłużnikiem«.

W tym to liście znajdował się obszerny opis pojedynku, o którym przedtem krótka tylko była wzmianka, opis widocznie wywołany użalaniem się matki na brak szczegółów z życia synowskiego w listach. Słowacki, przypuszczając, że jego *Beniowski* nie zupełnie będzie się matce podobał, że poeta nie wyda się jej tam »zupełnym aniołem« według jej wyrażenia z jakiegoś dawniejszego listu, tak przy tej sposobności pisał o tym swoim poemacie. »Ostatni maleńki zły jest, ale był potrzebny, był konieczny, celu swojego dopiął i więcej jeszcze, bo zwrócił wszystkich oczy i stał mi się strażą«. I w dalszym ciągu dodawał: »przed malutkim moim uchylili czoła ci, którzy nigdy przedtem nie oddali mi pokłonu, a mnie

ıutno, żem zejść musiał z mojej podstawy, aby właśnie enczas przyznano mi, że jestem na niej«.

Nic jednak we współczesnych listach Słowackiego do ıtki nie maluje tak dobrze jego ówczesnego usposo- ›nia, jego wewnętrznego zadowolenia ze zdobycia stawiska, o które się tak długo dobijał, jak ten oto ustęp ;ytowanego listu: »te rzeczy już od kilku miesięcy ucięty w mojem sercu i teraz doskonale jestem usadowiony mojem krześle ze słoniowej kości.... Rzadko przed .iercią otrzymać, aby się ludzie sami za niesprawiedli- 'ch uznali, wydrzeć im to siłą jest bardzo miło«[1]).

[1]) Listy II, 145—152.

ROZDZIAŁ X.

Przed transfiguracyą.

1841 — 1842.

Korespondencya z Krasińskim; nowe przestrogi przyjaciela. — Jego nauka o dumie i pokorze. — Niezadowolenie Słowackiego ze swojej twórczości. — Dalszy ciąg *Beniowskiego;* inne zadanie przed poetą. — Dygresye w dalszych pieśniach *Beniowskiego;* sytość zwycięstwa. — Pierwsze dreszcze *Króla Ducha.* — Ówczesny stosunek poety do staroszlacheckiej przeszłości. — Wątek epicki w dalszych pieśniach *Beniowskiego.* — Dramat *Fantazy,* jego pokrewieństwo z *Beniowskim.* — Kogo przedstawiał Słowacki w postaci Fantazego? — Krytyka krytyki i literatury. — Hogartowski nastrój Słowackiego. — Niekonsekwencye dramatu i jego melodramatyczność.

Kiedy Słowacki był tak dobrze usadowiony w swojem krześle ze słoniowej kości, i nasycony powodzeniem, poraz pierwszy w życiu zażywał tryumfującego pokoju, co też o jego tryumfach i o jego poemacie myślał ten, który mógł się uważać za głównego sprawcę tych tryumfów: i jako taki, który go natchnął myślą napisania polemicznego poematu, i jako autor »Kilku słów o Juliuszu Słowackim«? Ten artykuł rozpoczynał szereg głosów publicznych, wielbiących poezyę Słowackiego, ale o jego *Beniowskim,* jako pisany przed ukazaniem się poematu, nic jeszcze nie mówił.

Beniowski nie prędko, jak się zdaje, doszedł rąk Krasińskiego. Oznajmiając Słowackiemu, w liście z Rzymu 18 czerwca 1841, że za kilka dni wyjeżdża do Kissingen i prosząc go, aby tam do niego pisał, dodawał, że do-

chczas jeszcze *Beniowskiego* nie odebrał. Prawdopodo-
nie otrzymał go nie wcześniej, jak w lipcu. Czy prze-
ytawszy go, przesłał niebawem autorowi swoje wraże-
a i sądy o poemacie? Trzeba się tak domyślać, ale
tów jego do Słowackiego z lipca, sierpnia i września
41 nie posiadamy. Tylko z treści jednego późniejszego
tu, którą później przedstawię, można przypuszczać, że
różnych rzeczy w poemacie był niezadowolony. Był też
ezadowolony i ze stosunku Słowackiego do p. Bobro-
ej, z jego gwałtownego ubiegania się o jej miłość. Za-
ował się fragment listu Krasińskiego do Słowackiego.
sanego zapewne w początkach października 1841 w od-
wiedzi na jakiś list autora *Beniowskiego*, w którym to
cie były dwie strofy, mające widocznie za temat miłość
a pani Bobrowej. O tym liście Słowackiego i o jego
rofach tyle tylko wiemy, ile na nie pada światła z frag-
entu listu Krasińskiego. Krasiński zapewniał przyja-
ela, że nie chce się skarżyć na niego, że rozumie i poj-
uje »tę rzutną falę krwi, która te dwie strofy, te dwa
wiaty do serca mu przyniosła«, ale jednocześnie nazy-
ał tę falę »nieostrożną, nieprzezorną, ufną w miłosier-
ie ludzkie, zatem grubo mylącą się« i ostrzegał, zakli-
ł przyjaciela, aby nadal był »jak wąż skryty, jeśli chce
ć dobrym i czystym i tkliwym jak gołębica«.

Z tych słów tyle tylko domyślać się można, że owe
wie strofy niemile dotknąć musiały Krasińskiego swoją
nysłowością. Dalej następowały przestrogi, które były
kby dalszym ciągiem, rozwinięciem przestróg, przesy-
nych przyjacielowi jeszcze przed podróżą frankfurcką.
Wierz mi, jeśli sam nie chcesz gorzko żałować kiedyś
zeszłości, stań się jej przyjacielem, a nie chciej, by serce
óre pękło i umarło, zmartwychwstając dla ciebie, stało
ę upiorem, bo taki los, taka barwa konieczna dusz,
óre w trumnie już usłyszawszy dźwięk harfy, podno-
ą się na chwilę i marzą, marzą, że mogą żyć raz drugi
rfowemi dźwięki. One nie wiedzą, że powtórne życie

czeka dopiero na nie w niebie. Ale z tego złudzenia wynikają okropne skutki, wierz, wierz mi Julu. Przyjaciel w tej chwili całem sercem się odzywa do ciebie. Chciałbym cię przycisnąć do serca i wlać w ciebie pogrobową mądrość tych piersi moich. W przyjaźni będziesz szczęśliwy, kochany, odwdzięczony, ale miłość taka stanie się goryczą wam obojgu. Czara szczęścia pęknie wam w dłoniach za pierwszem dotknięciem i rozleje się na strugi trucizny! Na przekleństwach kończyć będziecie ten gorzki dramat. Ale czas jeszcze! Możecie wyrobić go sobie pokojem, ciszą, błogością, wspólnem czuciem, wiarą, zaufaniem. Szukaj tam przyjaciółki, gdzie żądasz kochanki, a będziesz miał duszę siostrzaną na wieki, a przestaniesz być samotnym« [1]).

List Krasińskiego kończył się słowami: »O żadnych mistycznych waryatach nie słyszałem«, słowami, które wskazywały, że Słowacki musiał już coś donosić Krasińskiemu o pierwszych poruszeniach towianizmu i że wyznawców Towiańskiego, do których szeregu sam niedługo miał wstąpić, nazywał mistycznymi waryatami. W następnym liście Słowackiego, którego także nie mamy, musiały być już obszerniejsze i dokładniejsze wiadomości o Towiańskim i jego wyznawcach, skoro odpowiedź swoją na ten list zaczynał Krasiński od tego, że »w cudotwórców« nigdy nie wierzy, choć w cuda wierzy zawsze i wszędzie.

Ta odpowiedź Krasińskiego, datowana z Monachium 27 października 1841, jest bardzo ważnym dokumentem do historyi wzajemnego stosunku dwu tych znakomitych przyjaciół, bo w niej znajdował się sąd autora *Irydyona* o *Beniowskim*, a w szczególności o jego zakończeniu. Sąd to był przysłonięty, nie zwrócony wprost do poematu, niemniej przeto zrozumiały. Krasiński zaczynał swój

---

[1]) Tadeusz Sternal. Kartka ze stosunku Krasińskiego ze Słowackim w Dodatku literackim do Kraju 1890 Nr. 7.

t od cudotwórców, jakby na to tylko, żeby przejść do
ólnych nauk o dumie i pokorze, które w końcu już bez
ródki zastosowywał do Słowackiego. O cudotwórcach
sał, że nie zna większej próżności nad tę, »która siebie
waża za konduktorkę płynu cudów« i takie czynił po-
wnanie stosunków emigracyjnych z dziejami biblijnemi:
V sferze nibyto widomej wystąpił tytuł, urząd, zaszczyt,
zwa miasto rzeczy, blichtr miasto istoty, słowem *kró-
lewskość;* w sferze niewidomej, w kościele poezyi, awan-
wano na proroków. Jest to także stopień, *dignitas.*
znowu tu jak tam tytuł wprost rzecz samą skaził.
ształt obrócił się przeciwko treści, wyniknęła komiczność«!
ła to alluzya do znanego nam ubiegania się Czarto-
skiego o tytuł królewski, do sprawy *króla de facto*, i do
ystąpienia Towiańskiego.

Bolejąc nad tem, że jakkolwiek żył niedługo, docze-
ł się przecież zbłaźnienia wszystkiego, tem się
lko pocieszał, że odkrył przyczynę tych smutnych zja-
isk. I tu było przejście do nauki, którą chciał dać star-
emu wiekiem, ale młodszemu dojrzałością ducha przy-
ielowi. Przyczyna owa »zowie się brakiem dumy a prze-
tem próżności. Jak cud jest rodzajem pewnym *niepracy*
naturze, pieczonego gołąbka, co spada z nad chmur
gąbki, tak i w duchu ludzkim próżność jest wieczną
dzą *chwały* bez pracy; kiedy *duma*, wbrew przeciwnie,
t wieczną żądzą chwały, lecz za pomocą olbrzymiego
du. Kto *dumny*, ten i *pokorny* zarazem, a *duma* po-
zona z *pokorą*, stanowi wielkość człowieka. Duma bez
kory, to próżność, pokora bez dumy, to podłość. Na
zór tylko sprzeczne te władze duszy, a w istocie wiel-
ść prawdziwa bez nich obydwóch obejść się nie może.
kora powinna zawsze objawiać się w *środkach*, a duma
celu. Tem, że duch nigdy nie zadowolni się tem, co
zynił już; tem, że dalej iść pragnie i piękniejszego
ynu się dorwać; tem, mówię, *pokorę* swoją pokazuje,
ciągle się ma z niższego do Ideału: skąd tęsknota,

smętek, czasem zwątpienie. Tem zaś, że dalej stąpa, że karmi się wiarą urzeczywistnienia w końcu piękna, które pojął, że gardzi wszelką skończonością i poczuwa się do pobratymstwa z nieskończonością, że uznaje się niezwalczonym i wolnym od śmierci, tem jest *dumnym* i *boskim!* Lecz nie mógłby takim być, gdyby zarazem nie był *ludzkim* i *pokornym*, bo bez *pokory* duch stanąłby na pierwszem lepszem stanowisku osiągniętem i nazwałby to doskonałością wszystkiego, końcem i dopełnieniem, wiecznością, wielkością, pięknem! i zaraz by tem samem okrutnie się zbłaźnił... Patrz tylko, na co wyszli Lammennais, Lamartine, Sandowa w ostatnich płodach? A wszystko przez próżność, przez *serwilizm* dla ludu lub urzędu, przez chętkę poklaseczków teraźniejszości, niepamiętni o poklasku wieków!«

Dotychczas ta nauka o dumie i pokorze nie miała wyraźnego zastosowania do Słowackiego; następowało to w końcu. Za pretekst do tego zwrotu Krasiński brał jakąś skargę Słowackiego, w jego liście ostatnim, skargę na niemoc fantazyi, na to, iż jest już tylko »mozaikowym artystą«. To ostatnie wyrażenie odnosiło się zapewne do *Beniowskiego,* ale co znaczyła powyższa skarga Słowackiego? Możnaby myśleć, że za pomocą tej skargi chciał Słowacki wydobyć z Krasińskiego sąd o *Beniowskim,* z którym się może dotychczas przyjaciel wstrzymywał, albo przynajmniej którego mu dotychczas zupełnie wyraźnie nie podał.

Bądź co bądź, w taki sposób zwracał się Krasiński ze swoją nauką już wprost do Słowackiego: »Teraz, mój drogi Julu, o tobie słów kilka. Ucz się, patrząc, do czego wiodą rozmaite dusz słabości: unikaj wszelkiej, nie zapadaj w *niemoc,* bo *niemoc* nie jest *pokorą;* ni znów rośnij w dzikie przekonanie, że można jedną strofą wieki przewrócić, bo takie przekonanie nie jest *dumą.* Bądź *dumny* a *pokorny!* Lecz kiedy się korzysz, to korz się przed Panem wiekuistym lub przed wszechświata pię-

ıością, lecz nie przed tą dziwną Madonną, której za ›dstawę dałeś piersi swoje«. I po kilku uwagach doty- ‚ących owej Madonny-Bobrowej, z których widać, że owacki skarżył się także na nią, iż odtrąciła jego uczu- e i w niemoc go wprawiła, Krasiński pisał dalej: »Julu, ›wtarzam Ci, nieśmiertelność jest w tobie, od ciebie za- ży z piersi ją własnych wyrwać i uzewnętrznić. Nie adź się więc na ziemię, *taking the measure of an nu- ade grave*, nie chciej sobie samemu wmawiać, żeś tylko ż mozaikowym artystą! Nie, tak nie jest. Artysta z cie- e, Mistrz! Lecz nie ufaj nigdy chwilowym ludzi pokla- om. Wszystko, co żyć ma i trwać, musi wprzód przejść zez walkę... Co zatem zaraz zyskuje aprobacyą gminu, nie długo pożyje, wierz mi Julu! Tyś przeznaczony ć, jeśli sam nie wyrzeczesz się wieczności dla zniko- ych ułudek. Bądź *dumny* a *pokorny* a będziesz *wiel- m«*! [1]).

Cóż znaczyły i skąd się brały te przestrogi i nauki dumie i pokorze? To pewna, że nie wywołał ich ani vczesny stosunek Słowackiego do towianizmu, ani do Bobrowej, choć były one zewnętrznie w liście z tymi ›sunkami powiązane. Wywołać je mogło tylko wrażenie, kie wywarł na Krasińskim *Beniowski*, z owem samo- vielbieniem poety, z pięciem się jego na stopień bó- wa, z pogardą dla wszelkiej pokory, a także wywołać mogła krytyka bezwzględnie wielbiąca *Beniowskiego Trzecim Maju*. Krasiński rozumiał dobrze, że *Beniow- i* napisany był za jego pobudką, czuł więc poniekąd powiedzialność na sobie za ten poemat, za drogę, na órą popchnął przyjaciela, za receptę mieszania żółci do ;urów, wykonaną nie po jego myśli, i tem więcej po- uwał się do obowiązku ostrzegać Słowackiego przed szywą dumą, w którą się ten ostatni drapował w swoim emacie, a także przed nierozumnym szumem takich

---

[1]) Listy Zygmunta Krasińskiego T. III, 31—34.

pochwał, jakiemi go *Trzeci Maj* obdarzał. I stąd to pochodziła przestroga, aby Słowacki »nie rósł w dzikie przekonanie, że można jedną strofą świat przewrócić«, stąd wezwanie, aby »nie ufał nigdy chwilowym ludzi oklaskom«, stąd tłómaczenie, że prawdziwa duma i boskość człowieka łączą się z ludzką jego pokorą.

Jak przyjął te nauki i przestrogi przyjaciela Słowacki? Ani w jego, ani w Krasińskiego listach, o ile nam znane, nie znajdujemy nic, coby na to pytanie mogło być odpowiedzią. Z listów Krasińskiego do Słowackiego tyle tylko wywnioskować można, że przestrogi owe nie przerwały korespondencyi dwu przyjaciół i nie oziębiły ich stosunku, przynajmniej widocznie. Słowacki nie przestawał skarżyć się na melancholię, i na brak miłości ze strony madonny Rubensowej, któraby go ożywić mogła, Krasiński w którym już dojrzała ta ewolucya wyobrażeń, jakiej wyrazem miał być wkrótce *Przedświt*, ale który był wtedy bardzo chory i miał obok siebie umierającego przyjaciela, najdroższego mu ze wszystkich przyjaciół, Danielewicza, choć ledwie piórem mógł ruszać, odpisywał Słowackiemu (z Monachium 28 lutego 1842) i chciał mu »wiele rzeczy powiedzieć«, chciał go przedewszystkiem »wyrwać z melancholii, bo nie czas na nią teraz«, a w razie śmierci swojej czynił go opiekunem tego, »co po jego duchu się zostanie«. »A ostatnią moją wolą, pisał w końcu tego listu, jest, byś nie tracił życia na nędzne zgryzoty, ale na wielkie gotował się bole, a po nich na wielkie wzniesienie. Bądź mężem z białego marmuru! zrzuć z piersi nogi Rubensowych Madonn, żyj, a gdy mnie już nie będzie, wspomnij o mnie« [1]).

W miesiąc później, odpisując na jakiś nowy list Słowackiego, wśród rozpaczliwych żalów nad stratą Danielewicza, którego agonia lada chwila miała się zakończyć, taki zwrot czynił do stosunku Słowackiego do Bobrowej.

[1]) Listy Zygm. Kras. III, 35—36.

»Pytasz, czego żądam od ciebie i od niej: od ciebie, byś mi dotrwał w przyjaźni tak, jak ja tobie, a kiedy chwila *taka* się zdarzy, był *tak!* Od niej zaś, cóż powiem? nic zupełnie, chyba spokoju«! I tu przytaczał jedną ze strof, które jej napisał kiedyś na pożegnanie:

Ukląkłbym może, błagał przebaczenia!
Lecz wy przebaczać nigdy nie umiecie.
Daj mi więc jeszcze tu na żywych świecie,
Co zmarłym dają, pokój zapomnienia!

Czegóżby innego mógł żądać od niej? Dosyć jej już złego mimowoli wyrządził. »Była niegdyś aniołem dobroci dla mnie, lecz szczęścia, podług jej o szczęściu wyobrażenia, nie miałem na podorędziu, ni w losach moich takiem pedanckiem kiedy kogo módz obłogosławić szczęściem. Są błyskawice i pioruny, lecz nie ma niw jednostajnych szczęścia! Serce kobiece o pioruny nie dba, chce mu się niw tych gładkich, długich, jednakowych, konserwatorskich zawsze! Znajdźże je na ziemi«! W tych wywodach tkwił dawny, romantyczny kochanek Henryety, tak żywo przypominający swoją dyalektyką Hrabiego z *Pana Tadeusza* w ostatniej scenie z Telimeną, kiedy ta również domagała się pedanckiego szczęścia.

Ale list, o którym mowa, skądinąd jeszcze zasługuje na uwagę. Pisany do przyjaciela, poświęcony był głównie innemu przyjacielowi, umierającemu, i wielbił tę przyjaźń i tego przyjaciela w taki sposób, że Słowacki porównywając swoje stanowisko przyjacielskie ze stanowiskiem umierającego Danielewicza, mógł czuć dotkliwie niezadowolenie z różnicy, jaka z tego porównania występowała. Krasiński wielbił przedewszystkiem bogactwo idei w Danielewiczu. »O Konstanty, Konstanty mój, gdzie ty odszedłeś już? gdzie duch twój ten wielki i pełen idei... Pamiętaj o mnie, Julu, pamiętaj, żem odtąd jak ty bardzo sam na ziemi; bo ci, co ruchy moje naśladują, nie zapełnią mi serca i wezmą odemnie, lecz nie dadzą,

jak on zawżdy mi dawał, ducha swego! Tak on był dobrodziejem moim duchownym, idee jego zstępowały we mnie. Rzadko, myślę, takiej przyjaźni na planecie tym« [1].

Czy uczuwał Słowacki przy czytaniu tych słów, jak różnym był jego stosunek do Krasińskiego? Wszak i on należał do tych, którzy brali od Krasińskiego ducha i ideje, a w zamian dać mu własnych nie byli zdolni. Jakiekolwiek zresztą refleksye wywołał ów list w Słowackim, to pewna, że nasz poeta w owym czasie, choć wobec świata »usadowiony na krześle ze słoniowej kości« odgrywał rolę tryumfatora, uczuwał przecież w sobie jakąś niemoc, jakąś niepewność, jakieś niezadowolenie ze swojej twórczości. Świadczą o tem tylko co przytoczone listy Krasińskiego, w których jest mowa o zapadaniu w niemoc Słowackiego, o tem, że się on uważa już tylko za mozajkowego poetę, o jego melancholii i zgryzotach. Te ostatnie odnosiły się zapewne do miłosnego stosunku, ale i ten stosunek, mojem zdaniem, wiązał się ściśle z owem poczuciem niemocy twórczej, na którą się skarżył Słowacki przed przyjacielem. Poeta pragnął zdobyć serce p. Bobrowej nietylko dlatego, że czuł samotność w życiu i potrzebę serca, któreby dla niego tylko biło; nietylko dla tego, że kochankę uważał za drogi klejnot w dyademie sławy poetyckiej, klejnot, którego mu dotąd brakowało — ale i dla tego, że przypisywał tej zdobyczy siłę, zdolną ożywić i wzmocnić jego twórczość. Wszakże jeszcze w III pieśni *Beniowskiego* wyrażał nadzieję, że »hymny w nim zmartwychwstaną, jeżeli ona go jak harfę ruszy«.

Żeby lepiej zrozumieć tę niemoc, na którą skarżył się Słowacki, potrzeba przypatrzeć się jego twórczości z czasów bezpośrednio następujących po ukazaniu się pierwszych pięciu pieśni *Beniowskiego,* to jest od lata 1841 do lata 1842. Owocem tej twórczości jest dalszy ciąg *Beniowskiego* i dramat, przez autora samego nie nazwany

---

[1]) Tamże III, str. 37—39.

(przynajmniej nie wiemy, jaką mu chciał dać nazwę), a w pośmiertnem wydaniu ochrzczony wcale nietrafnie tytułem *Niepoprawni*. Trafniejszą już jest nazwa *Nowej Dejaniry*, którą mu chcą dać niektórzy, ale najtrafniejszą, sądzę, byłaby nazwa *Fantazy*, to jest imię głównej osoby dramatu.

Naprzód o *Beniowskim*. Przedewszystkiem zaznaczyć trzeba, że do okresu, o który nam teraz chodzi, nie można zaliczyć całego dalszego ciągu *Beniowskiego*, ale co najwyżej sześć dalszych pieśni, dla tego o nich tu tylko będzie teraz mowa. Otóż porównywając tych sześć dalszych pieśni *Beniowskiego* z pierwszemi pięciu pieśniami, spostrzegamy odrazu widoczną różnicę w stosunku żywiołu liryczno-polemicznego do epickiego. W pierwszych pieśniach, jak wiemy, żywioł epicki odgrywał podrzędną rolę, był tylko niejako dokumentem dowodowym, na pierwszy zaś plan wysuwał się żywioł polemiczny, indywidualność samego poety. W dalszych pieśniach stosunek zupełnie się zmienia. Wycieczki polemiczne bledną, kwiatów lirycznych daleko mniej, choć niektóre, zrzadka rzucone, są bardzo piękne, natomiast żywioł epicki występuje w zwartych masach i ściąga na siebie główną uwagę.

Była to rzecz zupełnie naturalna. Dawszy folgę swojej zemście, swojej drażliwości a zarazem i chełpliwości autorskiej w ogłoszonej części poematu i zyskawszy poklask w emigracyi, jeżeli nie powszechny, to przynajmniej bardzo szeroki, poeta nie czuł już potrzeby prowadzenia dalszej walki ze światem. Mógłby już był zupełnie zaniechać dalszego ciągu *Beniowskiego*, bo to, co ogłosił, osiągnęło cel, dla którego zabrał się do pisania swego poematu. I bodaj, czy myślał o dalszym ciągu, dając pierwsze pięć pieśni do druku.

Ale kiedy poemat wywarł wielkie wrażenie, podobał się wielu, a zainteresował wszystkich, i to nietylko swoją stroną polemiczną, ale także i epicką, wtedy pod bodźcem powodzenia Słowacki nie mógł nie zabrać się do dalszego

ciągu. Tylko inne teraz stawało zadanie przed poetą. Domagano się od niego narodowej powieści poetyckiej. Nie wypowiadał tego wyraźnie *Demokrata*, ale skarżąc się na zamęt wywołany przez poetę w »uczuciach, myśli i uwadze czytelnika«, i stawiąc poecie za wzór opowiadania jegoż własny poemat, *Ojca Zadżumionych*, zwracał go w kierunku owego zadania. Krytyk *Trzeciego Maja*, jak wiemy, namaszczał Słowackiego, jako autora *Beniowskiego*, na pierwszego narodowego poetę, pierwszego, który umiał przedstawić »duszę naszych ojców«, i dając mu w tym względzie wyższość nad Mickiewiczem, pobudzał go naturalnie do dalszego malowania »polskiej, szlacheckiej duszy«.

Ale najwyraźniej to zadanie wskazywał mu ten sam Ropelewski, który się niegdyś tak pastwił nad jego *Balladyną*, a wskazywał w przedmowie do drugiego wydania »*Pamiątek JPana Seweryna Soplicy*«, które wyszło w Paryżu 1841 roku, już po zgodzie zawartej między poetą a krytykiem. Mówiąc o tem, że autor *Pamiątek*, biorąc na siebie postać starego Soplicy, mógł z tego stanowiska dobrze pokazać taką postać, jak Radziwiła Panie Kochanku, ale nie mógł przedstawić »w całym blasku« takiej postaci, jak Kazimierz Puławski, krytyk czynił taki niespodziewany zwrot do Słowackiego: »Gdyby Juliusz Słowacki wyzwolił swojego Beniowskiego ze wspomnień Don Żuanowych i polemikę z rodzajem ludzkim, którą mu rzucił osnowę, na inne miejsce odłożył, lub dał zasnąć jej z Juvenalisem i Byronem, możeby jemu się dostało wskrzesić rycerzy barskich. W pierwszych pieśniach poematu *Beniowski*, śród rzeczy zupełnie obcych dla przedmiotu i okresu, padają od pisarza błyskawice na przeszłość świadczące o jego powołaniu epicznem. To powołanie widne już w pierwszych powieściach... w *Beniowskim* się zapowiada przez wyraźniejsze znaki, a nas utwierdza w myśli, że z przeznaczeniem przeciwko niemu byłby wszystkie wysiłki autora na inne szlaki poezyi

Zresztą przez robotę epicznego talentu rozumiemy tu powieść, romans poetycki, nie zaś to wielkie *słowo* ludzkości *epos«*...

Słowacki pisząc dalej swój poemat, nie uwolnił go wprawdzie od rozmaitych dygressyj, ale je znacznie ograniczył i o wiele więcej, niż przedtem dbał o wątek epicki. Jeszcze we fragmentach pieśni VI i w pieśni VII-ej jest ich sporo, w następnych pieśniach ich liczba i znaczenie bardzo się zmniejsza, wskutek czego pierwiastek epicki stanowczo góruje nad niemi Dygresye polemiczne tracą tu swój dawniejszy ostry charakter. Tak np. potrącając zarzut, który go spotkał ze strony *Dziennika Narodowego*, że naśladuje Byrona, Słowacki w żart go obracał, i żartował tylko ze swojej muzy (Mówią, że już raz była za milordem — Tak mówi *Dziennik Narodowy* — przeczę! — Ostrzegam wszystkich was, że jest dziewicą) W najobszerniejszej dygresyi, zwróconej do Bohdana Zaleskiego, którego poezye oddawna zapowiadane i przed ogłoszeniem jeszcze wielbione, ukazały się w czasie pisania dalszego ciągu *Beniowskiego*, i bardzo pochlebnie ocenione były przez *Dziennik Narodowy*, w tej dygresyi Słowacki nie szturmował już do Troi poetyckiej, nie potrząsał mieczem, ale pobłażliwie i lekceważąco traktował współzawodnika, wiersze jego nazywał »katolicką wodą«, ubolewał nad jego »prostotą gołębia« i »niewinnością dziecka«, a tak czuł się silnie usadowionym w swojem krześle ze słoniowej kości, że znalazł nawet pochwałę dla jego wiersza, »gdzie w ciągłym przymusie — Pała różowy brylant na turkusie« [1]).

---

[1]) Do tych czasów odnosi się i krytyczny artykuł Słowackiego o nowych poezyach Bohdana, w szczególności o *Duchu od stepu* i kilku sonetach, artykuł widocznie przeznaczony do jakiegoś pisma peryodycznego, ale nie drukowany za życia poety i dopiero w *Kraju* 1892 Nr. 5 wydany przez Biegeleisena p. t. »Sąd J. Słowackiego o poezyach B. Zaleskiego«. Krytyka jest surowa, w wielu rzeczach trafna (wiadomo, że *Duch od stepu* należy do słabszych utworów

Ale najlepiej ta sytość zwycięstwa uwydatniła się w dygresyi, dotyczącej Mickiewicza i jego *Pana Tadeusza*. Chwalca Słowackiego w *Trzecim Maju* poniżał ten poemat, odmawiając mu cech narodowych, aby tem wyżej podnieść *Beniowskiego*. I oto Słowacki zdaje się wspaniałomyślnie brać w obronę od swoich chwalców tego, któremu tak niedawno groził śmiercią i włóczeniem trupa. Nazwawszy Homera i Mickiewicza bratnimi śpiewakami i dotknąwszy nieco »dzisiejszych Litwinów«, mówiąc, iż są »troszeczkę lepsi« od Greków Homera, »ale mniejsi«, taką aureolę roztaczał nad epopeją Mickiewicza:

Jednak w tej cudnej epopei żyją:
W ich lasach trąba gada... boskie trąby
Odzywają się wnet w sosnach i wyją;
Patrzcie, jak ten żubr od pękniętej bomby
Cofa się; patrzcie, jakie wianki wiją
Z wiejskiego kwiatu wiejskie dziewosłęby;
Słuchaj i patrzaj, bo jako zjawienie
Litwa ubrana w tęczowe promienie

Zaleskiego), w niektórych złośliwie świdrująca i niesłuszna, jak np. w rozbiorze gramatycznym jednego z piękniejszych ustępów tego poematu, gdzie jest obraz pochodu barbarzyńców na Rzym. Niektóre z zarzutów, odnoszących się do tego ustępu, wydają się na pierwszy rzut oka słusznemi, przy głębszem wniknięciu okazują się bezzasadnemi.

Wogóle Słowacki krytykował poezye Zaleskiego przeważnie ze stanowiska wirtuoza. Uwielbiwszy własne wirtuozostwo w *Beniowskim*, chciał w tej krytyce pokazać, o ile niższym jest w tym względzie od niego Zaleski. Bardzo dobrze charakteryzuje Słowackiego, szczególnie w ówczesnym okresie, następująca refleksya jego: «Bez wielkiej ambicyi poetycznej dojść do niczego w poezyi nie można». Tak, właśnie w tym względzie — jak zresztą i w różnych innych — wielka różnica zachodziła między Słowackim a Zaleskim, ale mylił się genialny współzawodnik *Mickiewicza*, gdy sądził, że ambicya mogłaby podnieść wyżej poezyę Zaleskiego. Właśnie ona to w *Duchu od stepu* uniosła słowika ukraińskiego na zupełnie dlań niewłaściwe pole historyozoficzne.

Wychodzi oto z lasu. — Z taką chwałą
Potrącał lutnię ten śpiewak Litwinów,
Iż myślisz dotąd, że to echo grało,
A to anielskich był głos serafinów.
Grzmotowi jego niebo odegrzmiało!
Chociaż Godfredów nie miał i Baldwinów,
Ani mógł morza wiosłami zamącić,
Ani księżyca z wież krzyżowych strącić:

Jednak się przed tym poematem wali
Jakaś ogromna ciemności stolica;
Coś pada... myśmy słyszeli — słuchali;
To czas się cofnął i odwrócił lica,
By spojrzeć jeszcze raz na piękność w dali,
Która takimi tęczami zachwyca,
Takim różanym zachodzi obłokiem...
Idźmy — znów czasu bóg postąpił krokiem.

Z tak poetycznem uwielbieniem odświeżał wrażenie, jakie na nim wywarł *Pan Tadeusz* przy pierwszem jego odczytaniu i chciał niewątpliwie w tych strofach dać dowód bezstronności. Ale ci, co tak wysoko bezstronność Słowackiego w tych strofach wynoszą, nie zwracają uwagi na strofę bezpośrednio po tamtych następującą, która tę bezstronność w nieco odmiennem stawia świetle: jako akt wspaniałomyślności ze strony zwycięzcy, akt służący niejako do stwierdzenia zwycięstwa.

Ale ten napis łatwo startej kredy
Niechaj zostanie! a ten, co przeczyta,
Niech sobie wspomni, żem na piramidy
Wchodził i deptał to, na czem czas zgrzyta;
Że nieraz końcem Pelidowej dzidy
Zrobiona trumna jest — albo rozbita.
Wąż Laokoński, który gryzł bez przerwy,
Syty — wlazł znowu pod tarczę Minerwy.

Cóż znaczyła ta przestroga poety, z której krytyka dotychczas nie korzystała? Oto, że czuł się on sytym zemsty i zwycięstwa i dlatego pozwalał sobie na wspaniałomyślność.

Inne strzały polemiczne tak w tych sześciu pieśniach, jak i w dalszych fragmentach puszczane w stronę Trentowskiego, Hegla, dzienników poznańskich, poetów rosyjskich i czeskiego uczonego Hanki, nie mają już charakteru osobistego. Najdowcipniej zaostrzoną jest ta ostatnia strzała, wymierzona w pieczątkę Hanki z wyobrażeniem dwóch kozaków.

Co się tyczy lirycznych wynurzeń poety, to dwa z pomiędzy nich na szczególną zasługują uwagę, tem więcej, że poniekąd zdają się być sprzeczne z sobą. W jednem (z pieśni VII) objawia się samouwielbienie poety, poprzedzone demokratycznem proroctwem, które tak wygląda, jakby było napisane pod wpływem wezwań *Demokraty polskiego* i jego krytyki, ukazującej poecie nowe zadanie dla jego muzy.

Jest jakieś dziwne, ciągłe głuche kucie,
Pod narodową słyszane mogiłą,
Jak gdyby serce ludu w kamień biło.

W północy wstają mi włosy na głowie,
I zadziwiony słucham — i to słyszę,
Co muszą boscy słyszeć aniołowie —
Jakąś okropność przyszłą — co kołysze
Światem... i miastom zapala na głowie
Straszne korony... Czujcie (ja wam piszę
Z ciemnego duchów świata list przestrogi)
Ludy, bo wkrótce będziecie, jak bogi.

Co rozwiążecie wy w żelaznej dłoni,
To rozwiązanem będzie już na wieki.
A kto odejdzie od was, gdzie się schroni?
Z was będą góry, doliny i rzeki
I morza...
Czujcie! bo tętno już waszego chodu
W uszach wysokich ludzi — grzmi wyraźnie.

Jakąż rolę odegra sam poeta w tej nadchodzącej przyszłości ludów?

Ja jestem gwiazdą życia — co o świcie
Skąpana w krwawej jutrzence wychodzi
Różana — a dzień będzie wtenczas biały,
Gdy ja zagasnę. — Duch w cierpieniach rodzi
I w gniewie — ale w gniewie tak wspaniały,
Jako Bóg chmurny, gdy piorunem godzi
W najwyższe czoła alpejskie i skały.
Kto chce w pioruny wstąpić i w błyskanie
I śnić to, o czem śnię... niech przy mnie stanie!

ężeli porównamy samouwielbienie poety w pierw- pięciu pieśniach *Beniowskiego*, z tem, które w tym e się objawia, to dostrzeżemy, że tamto miało prze- ystkiem za przedmiot wirtuozostwo, cudowność poetyckiego, tu zaś poecie o coś innego chodzi, tu on być »gwiazdą życia« dla nowej epoki, gromem kawicą, wiodącą, jak chorągiew, zwycięskie szeregi . Nastręcza się tu godne uwagi porównanie z *An*- . W końcu tego poematu, jak wiemy, jest także owiednia krwawego zwycięstwa ludów, ale jak różne : tej przepowiedni zakreślał sobie poeta stanowisko! li, przeznaczony na cichą ofiarę serca, nie rzuca gro- i błyskawic, powołujących do walki, nie budzi się na głos rycerza, zwiastującego zwycięstwo ludów. st inaczej; tu już tai się początek, albo raczej przy- anie do tej roli, którą Słowacki potem miał odgry- ają się pierwsze dreszcze *Króla-Ducha*.

rugie wynurzenie liryczne poety, na które chcę zwró- vagę, zawarte jest we fragmentach, z których Ma- złożył pieśń szóstą. Nie wszystkie one, co prawda, się zaliczyć do czasów, o których mowa, ale ustęp, y mi chodzi, prawdopodobnie z tych datuje czasów. owuje się w nim ówczesny stosunek Słowackiego roszlacheckiej przeszłości. On, który w *Grobie Aga- ona* symbolizując ją w czerepie rubasznym, w zło- ąasie i czerwonym kontuszu, patrzył na nią z po- i rzucał na nią przekleństwo, teraz miał dla niej :anie z miłością skojarzone.

... w dawnych ludziach złotą wiarę
I złote serca miłuję nad własne.
Dalej więc! — mówcie mi znów serca stare,
Usta umarłe dziś, lecz w oczach krasne,
Odwińcie srebrną trumienną czamarę,
Pokażcie mi się duchy żywe, jasne,
Ubrane w tęcze, gwiazdy i miesiące,
Na urok pieśni z nieba zlatujące.

Skądże pochodziła ta zmiana w usposobieniu Słowackiego dla »rubasznych czerepów« przeszłości? Dwojakie jej było źródło. Naprzód wyobraźnia poety, która tak długo zamieszkiwała sfery fantastyczne lub exotyczne i napojona była tych sfer obrazami, pociągnięta barwnością pamiętnikowych utworów, które się w owym czasie ukazały, zaczęła sobie podobać w tej nowej sferze, znajdując w niej dużo dla siebie żywiołu i cieszyła się, gdy w jej bengalskiem oświetleniu ten świat zapadły, który się jej dawniej tak prozaicznie przedstawiał, teraz w tak poetycznych występował barwach. Przytem konfederacya barska była tym momentem dziejowym, który swoją awanturniczością, rozproszeniem walki, bogactwem epizodów, przewagą indywidualizmu, szczególną mógł stanowić ponętę dla wyobraźni Słowackiego. Z drugiej strony do zmiany usposobienia w poecie jeszcze więcej może przyczyniła się ta okoliczność, że muza jego dopiero wtedy znalazła oddźwięk w narodzie, gdy porzuciwszy szlaki fantastyczne i exotyczne, zaczęła opiewać staroszlachecką sferę, owe »szczere polskie dusze«, które jeszcze u wstępu do Beniowskiego, umieszczone obok »pijących gardeł, wąsów, psów, kontuszów«, mają trochę ironiczne oświetlenie.

Kiedy napisał fantastyczną *Balladynę*, powiedziano mu, że szlachta tego nie zrozumie, i proroctwo się spełniło; jak tonący w mgłach *Anhelli*, tak i exotyczne poematy »*W Szwajcaryi*« i *Ojciec Zadżumionych*«, na które tyle liczył, przyjęte były obojętnie, mimo całej doskonałości formy. A oto fragmentaryczny początek powieści staroszlacheckiej z dziejów barskich, z ledwie naszkico-

wanemi kilku postaciami, wszystkich poruszył, prawie wszystkim się podobał. Słowacki, rzecby można, przez wdzięczność poczuwał miłość dla tematu, który mu czynił wstęp do serc słuchaczy i zjednywał dawno upragnioną sławę, i stąd to po części poszło, że »rubaszny czerep staroszlachecki«, tak pogardliwie przedtem traktowany, obudzał teraz w poecie tylko żal i współczucie.

Tyle o dygresyach. Co się tyczy wątku powieściowego, to ten jeszcze w pierwszych pieśniach, wskutek wprowadzenia do powieści Sawy, który się wydał Słowackiemu »ogromnym skarbem dla pisoryma«, rozdzielił się na dwa pasma. Sawa wystąpił w powieści jako drugi bohater, a jako kozak, wprowadzał za sobą cały świat kozacko-hajdamacki do poematu, z pełnem efektu, ognistem i krwawem tłem rzezi i pożarów. A jak obok Beniowskiego stał ksiądz Marek, cudotwórczy patron konfederacyi barskiej, tak obok Sawy wystąpiła niemniej cudowna postać Wernyhory, proroczego przedstawiciela idealnej zgody między szlachtą polską a ludem ruskim, postać, która dla fantazyi Słowackiego stała się jeszcze większym skarbem, niżeli Sawa.

Rozpoczynając tedy pieśń szóstą, poeta znajdował się na rozstajnej drodze, którą sam sobie przedtem zakreślił: albo miał opowiadać dzieje Sawy, albo iść z Beniowskim wysłanym przez księdza Marka do Krymu. Wybrał pierwszą drogę i opowiadał mocowanie się Sawy z kozactwem, które go pociągnęło do połączenia się z hajdamakami przeciw szlachcie, a które on chciał pociągnąć do uderzenia na hajdamaków, spętanie Sawy przez kozaków, a potem wyzwolenie jego przez Wernyhorę, bitwę szlachty pod wodzą podczaszego Potockiego z hajdamakami, którymi dowodził Zeleźniak, przyczem poeta znalazł sposobność wyprowadzić na scenę jaskrawo a świetnie odmalowany typ kobiecy, rozbójniczkę Hudymę, tak do pary postawioną przy Żeleźniaku, jak Aniela przy Beniowskim, a Swentyna przy Sawie. Te wypadki miały stanowić treść

pieśni VI-ej, ale pieśń ta doszła do nas w urywkach, na luźnych kartkach, i nie wiemy napewno czy była tak wykończoną, jak cztery następne pieśni, od VII do X, które się przechowały spisane w dwu brulionowych zeszytach. Jakkolwiekbądź, to jest fakt, że poeta prędko porzucił tę drogę obrazów walki z hajdamactwem, ażeby wkrótce po rozpoczęciu pieśni VII zwrócić się do Beniowskiego i bardzo długo i szczegółowo opowiadać jego przygody w Krymie.

Myślę, że nie można tego uważać za rzecz jedynie przypadku, że pieśni zawierające podróż krymską zachowały się w całości, a inne we fragmentach tylko, i że były na zeszytach spisane, kiedy inne zachowały się na luźnych arkuszach i kartach. Myślę, że owe cztery pieśni zachowały się w całości dlatego, że były wykończone, tamte zaś dlatego we fragmentach do nas doszły, że nie były jeszcze ostatecznie ułożone, że miały ulegać różnym przemianom.

Kiedy pisane były fragmenta, ułożone przez Małeckiego w pieśń XI-tą, dokładnie określić nie można, nic jednak nie przeszkadza przypuszczeniu, że odnoszą się jeszcze do r. 1842. Natomiast fragmenta następnych pieśni trzeba koniecznie przenieść na czasy późniejsze, ponieważ — jak to już wskazał Małecki — w XII pieśni znajdujemy wzmiankę o *Cybernetyce* Trentowskiego, która dopiero w r. 1843 wyszła na świat. Są przytem inne wskazówki późniejszego tworzenia fragmentów tej pieśni[1]).

---

[1]) We fragmentach pieśni XII znajdujemy takie wiersze:

Nad morza teraz uciekam i blade
Tęczą nadmorskich kwiatów, wietrzne pola
Depcę . . . .

Otóż nad morze zaczął poeta jeździć dopiero od r. 1843; że przytoczony ustęp odnosi się nie do pierwszego pobytu nad morzem w roku 1843, ale do następnego roku, bardzo wyraźnym na to dowodem jest list poety do matki (z 12 sierpnia 1844), gdzie znajdujemy wyrażenia, jakby wzięte z przytoczonej strofy: »z tym listem (matki)

Z tego wszystkiego, co się powiedziało o dalszym ciągu *Beniowskiego*, można wyprowadzić wniosek, że grunt oryentalny, na którym się poeta obracał w czterech pieśniach, od VII do X, lepiej odpowiadał jego fantazyi, jego ówczesnemu usposobieniu od tła ukraińskiego, ponieważ powieść jego w dalszym ciągu o tyle tylko wiązała się w całość, o ile trzymała się tego gruntu. Dla czego tak było? Czy dla tego, że tło oryentalne więcej dostarczyć mogło awanturniczych i komicznych przygód? Czy że mniej krępowało poetę, mniej wymagało historyczności? Czy wreszcie, że łatwiej było iść utorowaną przez Byrona drogą? Nie rozstrzygając tych pytań, na to tylko chcę zwrócić uwagę, że jeśli poeta po napisaniu wyprawy krymskiej oglądał się za siebie, to musiał spostrzedz niezgodność pomiędzy zamiarem a wykonaniem. We fragmentach pieśni szóstej zapowiadał, iż chce »na mogiłach stanąć« i śpiewać »ludzi złotej wiary i złotych serc«, a oto ledwie dotknąwszy tych mogił i tych ludzi, przeniósł się w sferę exotyczną i tam, zamiast złotych serc, malował dziwne i komiczne przygody swego bohatera i jego przypadkowego towarzysza. Wirtuozostwo w malowaniu tych przygód było wielkie i to, co pisał przed samem rozpoczęciem opowiadania podróży do Krymu (Każda z tych moich strof, jak blady topaz — Oszlifowany w różne kostki rymu) dawało się najzupełniej stosować do tego opowiadania, ale poecie, o coś więcej teraz chodziło, niż o samo wirtuozostwo i dlatego właśnie uczuwał niezadowolenie, że nie może sprostać zadaniu, które mu głosy krytyki i własna ambicya wytykała, zadaniu napisania bohaterskiej powieści poetyckiej na tle konfederacyi barskiej, jakiejś Iliady barskiej, jak sam nazywał swój poemat w jednym z późniejszych fragmentów.

---

poszedłem na wietrzne pola, stepom naszym podobne, tęczą nadmorskich kwiatów malowane« (Listy II, 204). W wydaniu *Pośmiertnych pism* Słowackiego (T. II, str. 126) wydrukowano błędnie »wieczne pola« zamiast »wietrzne«.

Sądzę, że w taki to sposób należy rozumieć skargi Słowackiego, zawarte w listach do przyjaciela, na swoją niemoc, na swoją mozaikowość. A teraz rozważmy pytanie, czy mógł być zadowolony z napisanego w owym czasie dramatu, którego bohaterem jest Fantazy?

Dramat ten różni się od wszystkich utworów dramatycznych Słowackiego, które kiedykolwiek napisał lub próbował pisać, tem, że osnuty jest na stosunkach współczesnych, że najświeższą teraźniejszość stara się wyprowadzić na scenę. Możnaby powiedzieć, że odbił się na nim wpływ *Beniowskiego*, że to *Beniowski*, który swoją stroną satyryczno-polemiczną dotykał najrozmaitszych stosunków współczesnych, zachęcił, pociągnął poetę do utworzenia dramatu na tle współczesnem. A pokrewieństwo między dygresyami *Beniowskiego* a *Fantazym* (niech mi wolno będzie nazywać tak ten dramat wobec braku ustalonej nazwy) zachodzi nietylko we wprowadzeniu współczesności do poezyi, ale i w satyrycznem jej traktowaniu, w wirtuozostwie dowcipu, którem Słowacki odznaczał się oddawna, które wyostrzył na salonach księżnej Survilliers, a potem w salonie p. Bobrowej, a które starał się okazać w całym blasku tak w *Beniowskim*, jak i w *Fantazym*. Ten ostatni utwór przeciążony jest dowcipem, a raczej dowcipkowaniem, niemal wszyscy tam dowcipkują, czyni to nieustannie Fantazy w swoich rozmowach z Rzecznickim, czyni to Rzecznicki, drwiąc z Idalii z powodu jej mniemanego porwania, odpłaca mu się tą samą monetą hrabina Idalia, zanim się odpłaci — ni w pięć ni w dziewięć — poświęceniem, dowcipkuje hrabia Respekt, a nawet scena gotowania się na śmierć Fantazego i Idalii na cmentarzu nie jest wolną od dowcipkowania i to ciągle na ten sam mizerny temat porwania *Nowej Dejaniry*, pani Rzecznickiej, jakiegoś słomianego straszydła, niepokazanego nawet na scenie [1]).

[1]) Już z tego chociażby powodu, że właściwą Nową Dejanirą jest pani Rzecznicka, która się wcale nie pokazuje na scenie, tru-

Jest też inne jeszcze pokrewieństwo z Beniowskim i to już nie z dygresyami, ale z powieścią: a to mianowicie w postaci i sytuacyi Dyany, jednej z tych dziewiczych postaci, które Słowacki takim urokiem i blaskiem poezyi umiał otaczać. Jest to rodzona siostra panny Anieli z *Beniowskiego*, jest w niej ten sam hart i ta sama czułość i sytuacya jej podobna: jak tam ojciec, tak tu oboje rodzice chcą ją wydać za mąż nie za tego, kogo ona kocha.

Tyle jest wyraźniejszego pokrewieństwa między *Fantazym* a *Beniowskim*. Najważniejszą z cech wspólnych jest dowcip satyryczny i tę to wspólność uważam za nić, która nas może zaprowadzić do genezy dramatu. W Słowackim w owych czasach było w wysokim stopniu wyostrzone i rozmachane narzędzie dowcipu. Świadczy o tem nietylko *Beniowski*, ale i artykuł jego p. t. *Krytyka krytyki i literatury*, pisany we wrześniu 1841 i przesłany *Orędownikowi*, który jednak z niego nie korzystał. Artykuł ten, w którym Słowacki występował pod nazwą Szekspira a miał za towarzysza Hogartha, rysującego karykatury na paznogciu, był jakby prozaicznem uzupełnieniem tego, co się dostało poznańskim krytykom w *Beniowskim;* prócz tego przedrwiwał rozmaitych poetów,

---

dno dramatowi temu dawać nazwę *Nowej Dejaniry*. Za tą nazwą przemawia tylko to, że tak nazywa ten dramat w swojej broszurce o Słowackim (Juliusz Słowacki Paryż 1862 str. 18) Reitzenheim, przyjaciel poety z ostatnich lat życia. W autografie nie dał poeta na czele żadnej nazwy, ale na ostatniej stronie pod ołówkowym napisem, nie z ręki poety pochodzącym: *Nowa Dejanira*, wypisano atramentem, wielkiem starannem pismem tytuł: *Fantazy*. Czy ten napis pochodzi z ręki Słowackiego? Być może, bo pismo jest podobne do jego zwykłego, drobnego pisma, ale gdyby nawet tak nie było, to zawsze napis ten wskazuje, że w otoczeniu poety dramat ten znany był i pod nazwą *Fantazego*. Zdaje się, że Słowacki, nie mając zamiaru wydawać dramatu, nie ustalił był jego tytułu i rozmaicie go nazywał. Dziś chcąc go ustalić racyonalnie, trzeba dramat nazywać *Fantazym*.

którzy płody swoje składali w poznańskich pismach[1]). Otóż jak niegdyś chwilowy przypływ dziarskości w Słowackim wywołał pomysł *Mazepy*, tak teraz hogartowskie usposobienie poety domagało się ujścia w jakimś dramacie i znalazło je w *Fantazym*.

Czy Fantazy miał być satyrycznym wizerunkiem Krasińskiego, a Idalia pani Bobrowej, jak chcą niektórzy, np. p. Hoesick? Bardzo to rzecz podobna do prawdy, że Słowacki w owych czasach hogartowskiem spojrzeniem obejmował i swego przyjaciela i swoją ukochaną i łatwo znaleźć w *Fantazym* ustępy doskonale charakteryzujące stosunek Krasińskiego do p. Bobrowej i jej pretensye do niego[2]). Ale jakkolwiek do postaci Fantazego wciągnął

---

[1]) Krytyka krytyki i literatury. Nieznany utwór Juliusza Słowackiego z autografu poety wydał dr. Bolesław Erzepki. Poznań 1891.

[2]) Takim np. ustępem jest to, co mówi Idalia w monologowej pierwszej scenie aktu II:

Tak się kręci
Świat — tak tańcuje każdy modniś młody!
Taką niteczkę z jedwabnej pamięci
Snuje za sobą! tak się w jedwab mody
Obwija, i tak — ot z rąk mi wylata
I już... odemnie wziął ruch, a mnie nie zna!...

Jeszcze lepiej charakteryzują stosunek Krasińskiego do p. Bobrowej te ustępy z innego monologu Idalii (akt IV scena V).

Ach! gdyby godzina
Tego żywota, gdy mię ciągle poił
Z serca, jak z czary! — Gdy na kształt murzyna
Otellowego — w sztylet się uzbroił
I przyłożywszy mi do piersi — czekał,
Czy w oczach moich strach, czy uśmiech będzie?

. . . .

O! jak mi dobrze było na pościeli
Granitów rzymskich — z pochyloną głową
Nad nim, oddychać różami Cezarów
I widzieć, jak się w tym człowieku rodzi
Nowy ideał wieków, pełny czarów...

Słowacki wiele rysów, wziętych z Krasińskiego, począwszy od tak zewnętrznych, jak tytuł hrabiowski i bogactwo, a kończąc na marzycielskiej wyobraźni, rycerskich popędach i szlachetnej ofiarności, to jednak nie chodziło mu o to, aby dać wierny portret przyjaciela, ponieważ do postaci Fantazego wprowadził także część swojego ja, sobie tylko właściwą, a wówczas w nim górującą, owo hogartowskie usposobienie, chęć szermowania wyostrzonym dowcipem, a nawet swój już (nie Krasińskiego) stosunek do pani Bobrowej. Tym sposobem jak w falującem zwierciedle wody zlewać się mogą dwie postacie nad nią obok siebie stojące, tak w Fantazym zlały się duchowe oblicza dwu poetów i mimo woli Słowackiego utworzyła się parodya dwu Wenedów, połączonych łańcuchem, którego rolę tym razem pełniła miłość dla p. Bobrowej.

Fantazy tedy jest to Słowacki, przenoszący się w sytuacyą Krasińskiego, poszukiwanego, tytułem, złotem i fantazyą od losu obdarzonego młodzieńca, a gonionego widmem dawnej miłości. Wraz z sytuacyą przybiera on pewne cechy jego charakteru, ale dzieje się to przeważnie dopiero w drugiej połowie sztuki; w pierwszej hrabia Fantazy Dafnicki jest wcieleniem ówczesnego nastroju Słowackiego. Żeby uzasadnić to twierdzenie, przypominam rozmowy Fantazego z Rzecznickim, charakteryzujące tak dobrze ówczesny popęd Słowackiego do wywijania stalą dowcipu, albo jeszcze bardziej charakterystyczne w tym względzie opowiadanie Fantazego przy herbacie o polskich gościach w Rzymie, utkane z samych drwin. Oto np. co mówi Fantazy o hrabinie Idalii:

...dałaby dziesięć lat życia
Za jaką scenę głośną i tragiczną.
Jej trzeba rany, usta ma do picia
Trucizny; — byłaby osobą śliczną,
Mając rozdarte serce i sumienie,
Do miesięcznego modląca się blasku.

Nieszczęściem — takie biednej przeznaczenie —
Że jako okręt rozbity na piasku
Siedzi i czeka; lecz żądane burze
Nigdy ją z ziemi zabrać nie przychodzą.

Takie drwiny z kochanki w ustach Krasińskiego byłyby najwyższem nieprawdopodobieństwem, w ustach zaś Słowackiego są w zupełnej zgodzie z tem, co wiemy o jego traktowaniu Ludwiki Śniadeckiej albo Anieli Moszczeńskiej. A teraz posłuchajmy, co dalej mówi Fantazy o swoim stosunku do Idalii:

Gdym przybył, chciała mię poznać: ja służę
Chętnie kobietom, ale się nie godzę
Być Danaidy beczką, w którą leją
Wszystkie serc swoich rdzawych niedokwasy.
Przychodzę: — była zajęta ideją
Że miłość wszędy i po wszystkie czasy
Była święconą, bo w treści jest wiarą
I jedynie się zasadza na wierze. —
Na to krzyknąłem bardzo wielkie »haro!«
I powiedziałem mojej pani szczerze,
Że miłość nie jest taką narkotyczną
Niedowiedzioną istotą; — że trzeba,
Aby tę gwiazdę zobaczyła śliczną
Przez alabastry płci jakiego Feba
Świecącą, w oczu skrze lub na koralu
Ust gorączkowych...

. . . .

Myślała, że szydzę
Z początku; ale widząc, że ja na tem
Stanąłem, jako okręt na kotwicy,
Rzekła: — Ach! Pan mi będziesz duszą bratem!
Pan jeden — w jednej czucia błyskawicy
Pojąłeś, co ja cierpię, co ja czuję,
Na jaką jestem samotność wskazana...
Rzekłem, że sercem się nad nią lituję,
Że mi potrzebna jest dusza siostrzana,
Jak rękawiczce nieparzystej druga
Z tej samej pary i z tego numeru.

Cały ten ustęp nie może mieć nic wspólnego ze stoem Krasińskiego do pani Bobrowej, ale za to wierlowcipnie i złośliwie charakteryzuje współczesny stot do niej Słowackiego, któremu się dostała rola :i Danaid, podczas gdy on chciał być dającym i bion miłość Febem. Nie przytaczam innych ustępów, ,dzę, że przytoczone aż nadto wyraźnie dowodzą, Fantazym oprócz Krasińskiego trzeba szukać Słoiego, zwrócę jeszcze tylko na to uwagę, że nawet koniec dramatu, kiedy Fantazy staje się podobniejdo twórcy *Nieboskiej komedyi* niż do autora *Beniow*-), nawet i wtedy wyskakuje z niego hogartowskie obienie poety. Tak jest w scenie na cmentarzu, kiedy liczu śmierci Fantazy dowiaduje się, że to nie Idale Rzecznicka była porwaną przez Kałmuka. Ten, w obronie honoru Idalii gotów był narazić się na ć, na tę wiadomość zanosi się od śmiechu:

Cha! cha! cha! jeszcze raz z Rzecznickim chciałbym
Zejść się na ziemi i w tym famulusie
Mego Faustyzmu niewydrwioną stronę
Wydrwić, ażeby drwin posągiem stanął
Na moim grobie. Cha! cha! cha! Utonę
We łzach serdecznych! — Cha! Kałmuk archanioł
Porywający z ręku Jezuitom
Panią Rzecznicką — i w galop — i w galop!...
Cha! cha! cha! śmiech mój gwiazdom i błękitom...
Wiwat typ wszystkich dewotek i salop,
Pani Rzecznicka, która była duchem
W pielgrzymce!! Dyabli! dyabli! cha! cha! cha! cha!

To pokładanie się ze śmiechu w takiej chwili musi am wydać bardzo dziwnem, zwłaszcza że osoba, ten śmiech wywołuje, jest nam zupełnie nieznana piętna. Ale jeżeli się na to zgodzimy, że w Fantawłożył poeta część swojego ja, swoje współczesne obienie, to ten cmentarny wybuch śmiechu stanie rozumialszym dla nas, usłyszymy w nim echo *Beniow*-

skiego, a w pani Rzecznickiej, nad którą się tak pastwi poeta, znajdziemy pokrewieństwo z panną Praksedą. Nawet wzmianka o Faustyzmie Fantazego wskaże nam pokrewieństwo dramatu — prawda, że tym razem bardzo dalekie — z poematem, w którym poeta zapowiadał, że »jak się rozogni myśl, napisze Fausta«, i którego bohater miał pierwotnie w twórczej fantazyi poety wystąpić jako Faust polski.

Ale jeżeli Fantazy, jak to wykazałem, jest zlaniem w jedno dwóch mało podobnych, pod niektórymi względami wręcz sprzecznych z sobą charakterów, to muszą w nim zachodzić sprzeczności i niekonsekwencye. I rzeczywiście zachodzą. Dość jest zwrócić uwagę na to, że ten sam, który najzłośliwiej publicznie wyśmiewa swoją kochankę, broni potem jej czci, jak rycerz i chce umrzeć z nią razem. Możnaby myśleć, że Słowacki chciał się z góry zasłonić od tego zarzutu, nadając bohaterowi imię Fantazego, które miało zapewne oznaczać człowieka rządzącego się jedynie kaprysem fantazyi[1]). Ale czy taka zasłona dostateczna? Sądzę, że nie, bo i w kapryśnych postaciach, jeśli mają być prawdziwemi, musi być pewna konsekwencya, i nie mogą się kojarzyć rzeczy, wzajem wyłączające. Zresztą nie tylko w Fantazym tkwi niekonsekwencya; można powiedzieć, że cały dramat, pomimo rozrzuconych w nim skarbów poezyi, jest jedną wielką niekonsekwencyą.

Początek jego wyborny: charaktery narysowane wyraziście i śmiało, ustawione kontrastowo, dyalog zajmujący, dowcipem uiskrzony, węzeł dramatyczny zawiązany żywo i silnie, ale niedaremnie skarżył się poeta w dalszych pieśniach *Beniowskiego*, mniej więcej współczesnych *Fantazemu*, że »sztuka rozwiązań jest niełatwa«, bo nigdzie mu tak ciężko nie poszło rozwiązanie, jak w tym dramacie.

[1]) Prawdopodobnie nazwę bohatera podsunął Słowackiemu Musset swoim *Fantasio*.

W tragedyach, osnutych na tle fantastycznem, można było piętrzyć jedne na drugich zawikłania, bo przywołana na pomoc cudowność potrafiła najtrudniejsze węzły porozcinać, to też piorunami kończyły się *Balladyna* i *Lilla Weneda*. W tragedyach, osnutych na tle historycznem, już sama historya lub podanie wytykało kierunek rozwiązaniu. Ale dramat osnuty na tle realnem i współczesnem nie miał ani jednej, ani drugiej dogodności.

W dramatach, na dnie których spoczywa jakaś idea, ona poniekąd może wskazywać rozwiązanie, ale czy jest aka idea w *Fantazym?* Prof. Małecki upatrzył ją i wyraził tytułem, który nadał dramatowi: *Niepoprawni*. Że tytuł niestosowny, że taka idea nie da się w dramacie wykazać, to już inni to objaśnili[1]), co do mnie chcę tu zwrócić uwagę na współczesne poglądy Słowackiego na twórczość poetycką w ogóle, a w szczególności dramatyczną, wyrażone we wspomnianej już *Krytyce krytyki i literatury*. Szekspir-Słowacki w rozmowie z redaktorami *Orędownika* i *Tygodnika* (Pan Or. i Pan Tyg.) takie wypowiada zdanie: »Aby pisać, trzeba mieć coś pięknego przed oczyma imaginacyi — rzecz rozwidniającą się stopniami, obszerną jak świat, pełną ruchu i życia...

Pan Tyg. Idei...

Szekspir. Idei?... ja nie wiem... ale ja bez żadnej idei piszę... Rzecz stworzoną nazywam pomysłem... z pomysłu wynikają naturalnie figury i charaktery — charaktery znów oddziaływają na pomysł,.. jest zaś jakieś monotonne usposobienie duszy, które to wszystko harmonizuje i jedną barwą oblewa«...

W dalszym ciągu Słowacki wyśmiewał, podobnie jak w *Beniowskim*, poznańskich krytyków, upatrujących wszędzie w kształtach poetyckich symbolikę i allegoryę, i wyszukujących idei. Pan Tyg. tak mówi do Szekspira:

---

[1]) Prof. St. Tarnowski w studyum »O Niepoprawnych Juliusza Słowackiego«. Przegląd Polski 1875.

»wszędzie panie jest u wielkich poetów idea... np. wybierzmy najmniejszą rzecz: *farysa* przez jednego z naszych Arcy-mistrzów napisanego... farys jest to myśl... a priori rzucająca się w świat nieznany sobie empiryzmu, a stopniowe wymijanie... etc... lecz wróćmy do Makbeta... zdaje mi się, że Makbet wystawia *wiedzę* a jego żona jest uosobieniem *woli*... dwie te skojarzone władze... przez świat empiryzmu dążąc... do osiągnienia ostatniego końca przeznaczeń... zakrwawić się muszą... lecz nie krwią cielesną, ale krwią ducha i t. d.« [1]).

Te i inne szyderstwa Słowackiego z krytyków godziły przedewszystkiem w autora krytyki *Anhellego*, więcej niż przed półtora roku umieszczonej w *Tygodniku literackim*; Słowacki przedrzeźniał nawet rozmaite jego wyrażenia, aby nie było wątpliwości, kogo ma na myśli, komu się chce odpłacić. Widocznie uważał odprawę daną w *Beniowskim* za zbyt lekką i niedostateczną. Przypominam, że w krytyce swojej Sadowski wyznaczał jakby hołdownicze stanowisko poezyi Słowackiego z powodu, że czerpie ona ideje z zewnątrz, nie z wnętrza samego poety, że każdą nową myśl chwyta i w osobny sposób rozwija, ale własnej myśli nie daje, i dlatego twierdził, że »Słowacki nie jest arcy-poetą«. Otóż na ten zarzut nie było w *Beniowskim* odpowiedzi, ale widać, że on głęboko tkwił w pamięci poety, skoro chciało mu się we dwa lata potem na niego odpowiadać i wkładać nawet w usta Panu Tyg. te słowa: »Nie jest to Arcypoeta... żadnej nowej drogi nie otworzył«.

Cóż znaczyła odpowiedź Słowackiego? Oto, że jeśli Szekspir nie potrzebuje idei, aby tworzyć arcydzieła i być »arcy-poetą«, to i on Słowacki, który jest Szekspirem polskim, może tak samo tworzyć arcydzieła i mieć prawo do tytułu, którego mu poznański krytyk odmawiał. Ale przytoczyłem ustęp z satyry Słowackiego nie na to głó-

[1]) Krytyka krytyki i literatury 16—18.

wnie, aby pokazać, jak pomimo usadowienia się w krześle ze słoniowej kości Słowacki niepokojony był pamięcią dawniejszych zarzutów, ani na to, aby się zastanawiać, o ile słusznym był pogląd jego na Szekspira, tylko aby zaczerpnąć stamtąd objaśnienia dla genezy *Fantazego*. Na mocy własnych słów poety, współczesnych układaniu tego dramatu, możemy stwierdzić, że żadna idea nie przewodniczyła tworzeniu pomysłu jego. Miał on »przed oczyma wyobraźni« kilka typów, hogartowskiem okiem uchwyconych, jeden z tych typów napełnił sobą, swojem ówczesnem usposobieniem — przynajmniej do połowy, i ustawił te postacie w zajmującej, dramatycznej sytuacyi. Bogaty i dowcipny fantastyk chce złotem kupić sobie u rodziców rękę pięknej panny, pomimo iż wie, że ona kocha kogo innego; w tej sprawie jest mu pośrednikiem wieszający się przy nim przyjaciel-faktor; rodzice panny z powodu złego stanu interesów gotowi sprzedać córkę, ale na układy rzuca cień zjawiająca się niespodzianie dawna kochanka bogatego i kapryśnego konkurenta. Dotąd było wszystko szczęśliwie utworzone i świetnie wykonane. Potrzeba było znaleźć rozwiązanie dla tej dramatycznej sytuacyi i tutaj wyobraźnia poety skoczyła w kierunku jego hogartowskiego usposobienia: ono to jej nastręczyło ów dziwaczny, karykaturalny motyw porwania Dejaniry, który widocznie przypadał bardzo do smaku poecie, ale który stał się przyczyną mnóstwa niekonsekwencyi w dramacie i z tego, co się tak pięknie zapowiadało, jako dzieło wyższej sztuki, uczynił melodramat.

Ów motyw, to istny *Deus ex machina*. Dla ustawienia jego i puszczenia w ruch, poeta musiał wielkim kosztem sprowadzać aż z Syberyi majora z Baszkirem i Kałmukiem, a dla naprawienia tego wszystkiego, co ten *Deus* wyrządził, zmuszony był pod koniec awansować majora na głównego bohatera sztuki, skąd poszło, że sztuka mogła się wydawać tendencyjną i że prof. Małecki mógł

upatrywać sens moralny »w przeciwstawieniu półdzikiej bezpośredniości Czerkiesa wykwintowi naszej rzekomej cywilizacyi« [1]).

Ten major jest stekiem niekonsekwencyi i pomimo pozorów prawdy człowiekiem zupełnie sztucznym. Słowacki modelował go potrosze z kapitana Rykowa, tylko zapomniał, że ten ostatni był żołnierzem z czasów Suworowa, a nie jednym z dekabrystów, którzy należeli do najoświeceńszych i najbardziej ucywilizowanych ludzi swego czasu w Rosyi, więc coby może mniej raziło w Rykowie, owa naiwność w pomyśle ratowania przyjaciół za pomocą porwania kobiety, w majorze Słowackiego staje się krzyczącą niekonsekwencyą. Słowacki chciał, jak się zdaje, ten wybryk uzasadnić atawistycznem usposobieniem majora, czerkieskiem jego pochodzeniem, ale w tym pomyśle bierze udział także i Jan, kochanek Dyany, i to przez poświęcenie się dla niej! więc tu już i tej wymówki nie ma, i nieprawdopodobieństwo wydaje się jeszcze dzikszem.

Zresztą nie wiemy, kiedy się więcej dziwować: czy wtedy, kiedy major-liberał chce dzikiem bezprawiem przysłużyć się dawnym przyjaciołom; czy kiedy hrabia Fantazy, natrząsający się z Idalii, na pierwszą wiadomość o jej zjawieniu się, zamiast jej unikać, bieży do niej? czy kiedy dowiadujemy się, że pani Rzecznicka przebiera się w kapelusz i szal Idalii, rzekomo ażeby sprawić niespodziankę swemu mężowi, tak mało do tej czułości dobranemu, a właściwie, ażeby wprowadzić w błąd Kałmuka? czy kiedy Idalia chce się poświęcić dla Rzecznickiego, którym pogardza i dla jego żony, którą nazywa łachmanem, furyą i dziwolągiem? Czy kiedy Jan, dawny ułan polski, szuka ulgi dla serca w piosence sołdackiej o »matce gorzałce« i o »kochance pałce?« Czy kiedy major na jedno skrzywienie się hrabiego Respekta poświęca życie

[1]) Małecki l. c. II 276.

dla ocalenia człowieka, który go śmiertelnie obraził? Czy wreszcie kiedy niespodziewanie na końcu dowiadujemy się, że ten liberał-dekabrysta, »przepuszczał kiedyś okręt przez nogi« i »chwytał za worek«, i z tego powodu jest bardzo majętny a majątkiem swoim chce uszczęśliwić ukochanego Jana, któremu dotychczas pozwalał chodzić w dziurawych butach?[1])

Ale wyjdźmy z tego lasu niekonsekwencyi, ażeby odpowiedzieć na pytanie, postawione na początku tego ustępu o *Fantazym:* czy mógł Słowacki być zadowolonym ze swego nowego dramatu? Myślę — na podstawie uwag wypowiedzianych o nim — że jeżeli nie zdawał sobie dokładnie sprawy ze wszystkich niekonsekwencyi dramatu, to przecież cała sztuczność jego rozwiązania musiała ciążyć na jego sumieniu artystycznem i jak z dalszego ciągu *Beniowskiego,* który nie odpowiadał nowemu zadaniu, obmyślonemu dlań przez poetę, tak i z *Fantazego*, na którym przekonywał się, że »sztuka rozwiązań jest niełatwa«, nie był zapewne zadowolony.

W końcu jeszcze na jedno charakterystyczne podobieństwo między *Beniowskim* a *Fantazym* chcę zwrócić uwagę. W cytowanym ustępie artykułu Słowackiego *Krytyka krytyki i literatury* Szekspir-Słowacki mówi o »monotonnem usposobieniu duszy« poety, które wszystkie szczegóły danego dzieła sztuki »harmonizuje i jedną barwą oblewa«. Usposobieniem, które bardzo silne piętno wycisnęło na *Fantazym*, było to, które nazwałem hogartowskiem, ale nie można powiedzieć, aby ono zharmonizowało i jedną barwą oblało wszystkie sceny i wszystkie postacie dramatu. Poeta wbrew panującemu w so-

---

[1]) Na obronę Słowackiego trzeba powiedzieć, że dramat jego przechował się tylko w brulionie, i że przynajmniej niektóre sprzeczności tak rażące a łatwe do usunięcia, jak np. to, że Jan oddaje księdzu Lodze pierścionek zaręczynowy, którego już nie powinien mieć przy sobie, bo go oddał przedtem Stelce, byłby Słowacki niewątpliwie usunął przy ostatecznem wygotowaniu do druku.

bie usposobieniu nastrajał się niekiedy na ton inny, patetyczny, patryotyczno-demokratyczny, co właśnie nadało melodramatyczny charakter utworowi.

Ton ten w szczególności odzywa się w postaciach Dyany, Jana i majora. To, co Dyana w rozmowie z Fantazym mówi o swojej miłości dla chłopów i gotowości poświęcenia się dla nich, nosi na sobie widoczne ślady wpływu *Demokraty Polskiego* i tego przyjęcia, jakie on zgotował *Beniowskiemu*, bo zresztą zostaje w dysharmonii z tem, co potem Stelka o awanturach domowych opowiada Janowi. Jan »mieści w sobie Polskę« i jest czemś w rodzaju zgorzkniałego i zdziczałego Kordyana, major jest Rykowem podniesionym do potęgi bohaterstwa. Między temi postaciami a tłem ogólnem nie ma zestrojenia, zharmonizowania, podobnie jak go nie było w dalszym ciągu *Beniowskiego*, pomiędzy poważnym tonem i uroczystemi zapowiedziami fragmentów pieśni szóstej, a komicznem traktowaniem krymskich przygód bohatera w czterech dalszych pieśniach.

CZĘŚĆ III.

Transfiguracya

1842—1844.



ANDRZEJ TOWIAŃSKI

Jedyny autentyczny wizerunek mistrza, odbicie fotograficzne z wyblakłego już nieco dagerotypu, który posiada Muzeum Narodowe w Krakowie.

ROZDZIAŁ XI.
Nowy stan duszy
1842—1843.

Własnoręczny portret Słowackiego przed transfiguracyą. — Widzenie się z Towiańskim. — Wiersz *„Tak mi Boże dopomóż"*. — Przewrot w duchu poety. — Andrzej Towiański. — Strona moralna jego nauki. — Strona dogmatyczna; kolumny jasnych i ciemnych duchów. — Kult Napoleona. — Cele stworzenia; realizacya; postęp tworów. — Zadatki mistycyzmu w *Godzinie*. — Nowy kierunek indywidualizmu Słowackiego.— Próby wskrzeszania serc; korespondencya z p. Bobrową. — Wtajemniczanie matki w nową naukę. — Niepokój matki. — Groźba syna i następstwa tej groźby.

W połowie maja 1842, chcąc uczynić zadość powtarzanym prośbom matki, pragnącej mieć jak najwięcej szczegółów z życia ukochanego syna, którego już od 13 lat nie widziała, którego jeszcze pożegnała prawie dzieckiem, a teraz chciała mieć w wyobraźni jako człowieka dojrzałego i sławnego, Słowacki posyłając jej swoje wizerunki, tak je dopełniał opisem swojej postaci i swego sposobu ubierania się. »Wiedz, że ubieram się zawsze z dosyć wielką elegancyą, jak to sobie niegdyś przyrzekłem za młodu, bojąc się, aby mnie zwykłe memu zajęciu się zaniedbanie kiedyś nie owładało... Otóż więc zawsze biorę dobrego krawca, co mi oszczędza niepotrzebnych wydatków; najczęściej chodzę czarno, z małymi wyjątkami w szarawarkach lub kamizelce, nigdy prawie zupełnie czarno, bo to ma minę księżą.... Mam także jedną oryginalność, to jest, że zawsze noszę żółtawo-blade białe

rękawiczki, jest to mój lux, a nie bardzo kosztowny, bo cały czysto chodząc, nigdy ich prędko nie brudzę. Noszę także najczęściej lakierowane buty, co nie jest żadnym luxem wcale... Zawsze tak staram się być ubrany, abym bez przebierania się mógł pójść wszędzie, a nigdy tak, aby widziano, żem się wystroił umyślnie... Taka jest moja polityka co do ubioru. Nie jestem wcale tłustszy, niż byłem, ale jestem zupełnie weselszy. Jakby po walce z ludźmi odbytej używam pewnej spokojności i to mi się w uśmiechu maluje; przez długi czas z zaciśnionemi zębami i ponurem czołem gotowałem się do życia, teraz żyję. Muszę ci także wyznać, że może tracę więcej, niżby należało«[1]).

Taki był portret Słowackiego, własną jego ręką skreślony, w chwili, gdy stał tuż u progu wielkiego przeobrażenia, które miało w nim nastąpić. Ledwie minęło parę miesięcy od nakreślenia tego portretu, a już poeta wbrew swoim najświeższym opisom donosił matce, że »świat glansowanych rękawiczek i woskowanych podłóg« zupełnie zniknął z jego oczu, »bo cóż z niego można wydobyć«... »Jest to próżny teatr dla igrających myśli, dla słów ulotnych, a mnie trzeba być dziś wewnętrznie człowiekiem, ile można doskonałym i dobrym... Wierz mi, droga, że ta przemiana ze źrzódła płynie głębokiego« [2]).

W istocie zmiana, jaka wówczas zaszła w Słowackim, była głęboka i stanowcza, i nadała zupełnie inny charakter całemu jego dalszemu życiu i twórczości. A tę zmianę wywołało zetknięcie się z Towiańskim, którego mistyczna nauka już od roku szerzyła się wśród emigracyi paryskiej. Już od roku Mickiewicz wierzył w niego, jako w cudownego, przez Boga zesłanego męża i jednał dla niego nowych wyznawców. Publiczne wystąpienie Towiańskiego wobec emigracyi 27 września 1841 w kościele Notre-Dame powszechną zwróciło uwagę na niego, i już

---

1) Listy II, 157.
2) Listy II, 159. Data listu 2 sierpnia 1842.

wtedy Słowacki widocznie interesował się nową nauką, gdy we współczesnych listach do Krasińskiego wspominał przyjacielowi naprzód o »mistycznych waryatach«, potem o »cudotwórcach«. Nowe zdobycze, jakie ta nauka czyniła w kole znajomych poety, coraz większą musiały w nim budzić ciekawość i chęć poznania zbliska tego źródła cudowności. Najwięcej go musiało uderzać, że ludzie tak przeciwnych opinii, jak np. były wydawca *Młodej Polski*, Januszkiewicz, i były redaktor *Demokraty*, Goszczyński, łączyli się we wspólnem ciążeniu ku nowej nauce[1]. I jeden z najbliższych znajomych Słowackiego, jego były sekundant, Nabielak, z początkiem czerwca 1842 roku zapisał się w poczet uczniów Towiańskiego, i przyjął od niego »medal służby w świętym zaciągu«. Przytem nowa nauka przynosiła mgliste obietnice prędkich a cudownych przemian na świecie, prędkiego a szczęśliwego zwrotu w losach Polski, i jak inni, tak i Nabielak w to uwierzył, pomimo, iż zbliżał się do nowej nauki z obawą, otwarcie przed mistrzem wypowiedzianą, »aby to nie była rzecz jaka machiawelska«[2].

Jakże tu nie spojrzeć w twarz człowiekowi, który takie cudowne rzeczy obiecywał i taką cudowną wiarę w siebie wzbudzał. A nietylko wiarę, ale i natchnienie. Nabielakowi dał Towiański nietylko medal służby, jako jednemu z wybitniejszych uczniów, ale i książeczkę zapiskową, »ubogą pamiątkę brata«, dla zapisywania w niej »owoców drogich świętego zasiłku«, i oto w tej książeczce wśród bardzo niewielu notatek zachowała się następująca: 27 czerwca w poniedziałek: »Wskutek ciągłego wytężenia myśli, jak służyć sprawie polskiej na no-

[1]) Januszkiewicz był jednym z wcześniej pozyskanych wyznawców, Goszczyński wprawdzie później od Słowackiego był przedstawiony mistrzowi (dopiero 16 lipca), ale już na półtora miesiąca przedtem uważali go Towiańczycy za swojego. Patrz: Ludwik Nabielak przez Wład. Zawadzkiego. Lwów 1886. str. 121.

[2]) Tamże str. 120.

wej drodze, Bóg raczył natchnąć ducha mego, żem jasno obaczył środki, ku temu prowadzić mogące«[1]). Był to jakiś rodzaj wizyi, bo pod datą 12 lipca czytamy w tej książeczce: »Rozmowa moja z mistrzem i spowiedź tego, com widział 27 czerwca«. Zwracam uwagę na tę wizyę dlatego, że i ona mogła odegrać pewną rolę w popchnięciu Słowackiego ku mistrzowi, bo Słowacki o niej zapewne wiedział, skoro wraz z Nabielakiem stawił się wtedy u mistrza i zaraz po owej rozmowie był przez Nabielaka mistrzowi przedstawiony.

O wrażeniu, jakie wywarło na poecie to pierwsze widzenie się z Towiańskim, możemy sądzić z wiersza p. t. »*Tak mi Boże dopomóż*«, który Słowacki napisał 13 lipca, a więc nazajutrz po owem widzeniu się. Wrażenie było piorunujące.

Idea wiary nowa rozwinięta
W błyśnieniu jednem zmartwychwstała we mnie
Cała, gotowa do czynu i święta.
Więc niedaremnie! o! niedaremnie
Snu śmiertelnego porzuciłem łoże.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Mały ja, biedny, ale serce moje
Może pomieścić ludzi miliony.
Ci wszyscy ze mnie będą mieli zbroję
I ze mnie piorun będą mieć czerwony,
I z mego szczęścia — do szczęścia podnoże.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Za to spokojność już mam i mieć będę,
I będę wieczny, jak te, które wskrzeszę,
I będę mocny, jak to, co zdobędę,
I będę szczęsny, jak to, co pocieszę,
I będę stworzon, jak rzecz, którą stworzę.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Chociaż usłyszę głosy urągania,
Nie dbam, czy wzrastać będą czy ucichać.

---

[1]) Tamże str. 121.

Jest to, w godzinie wielkiej zmartwychwstania
Szmer kości, który na cmentarzach słychać.
Lecz się umarłych zgrają nie zatrwożę.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Widzę wschód jeden tylko otworzony
I drogę ducha tylko jednobramną...
Trzymając w górę palec podniesiony
Idę z przestrogą: kto żyw, pójdzie za mną!
Pójdzie, chociażbym wszedłszy szedł przez morze.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Drugi raz pokój dany jest na ziemi
Tym, którzy miłość mają i ofiarę...
Dane zwycięstwo jest nad umarłemi,
Dano jest wskrzeszać tych, co mają wiarę...
Na reszcie trumien — Ja — pieczęć położę.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Lecz tym, co idą, nie przez czarnoksięstwa,
Ale przez wiarę dam, co sam Bóg daje,
W ich usta włożę komendę zwycięstwa,
W ich oczy — ten wrrok, co zdobywa kraje,
Ten wzrok, któremu nic dotrwać nie może.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Z pokorą teraz padam na kolana,
Abym wstał silnym Boga robotnikiem,
Gdy wstanę, mój głos będzie głosem Pana,
Mój krzyk — ojczyzny całej będzie krzykiem,
Mój duch — Aniołem, co wszystko przemoże.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

wiersza tego uderza naprzód nadzwyczajna energia tak w sprawę, w nową ideę, która »w jednem błyu« w poecie się zbudziła, jak w siebie, w swoją moc ryczajną działania w imię tej idei. Jeżeli sobie przyimy tak niedawne jeszcze skargi jego na swoją niena to, że jest już tylko mozaikowym poetą, i jego czesne hogartowskie usposobienie, to ta energia wiary askrawiej się wyda. A tą nową ideą była miłość więcenie się dla ogółu, dla ojczyzny. Dotychczas, snem śmiertelnym ogarniony, myślał tylko o sobie,

o swojem szczęściu, o swojej sławie, o swojem błyszczeniu na świecie, i nie mógł zdobyć nietylko szczęścia, ale nawet tego, co jest tylko konieczną podstawą do niego, to jest spokoju. I nagle przejrzał: tylko miłość i ofiarność daje spokój, szczęście i zwycięstwo. Tylko miłość i ofiarność daje spójnię z Bogiem i pozwala stąd czerpać moc niezwyciężoną. Odtąd będzie spokojny, szczęśliwy i zwycięski. Teraz rozumie dlaczego został obdarzony od Boga nadzwyczajnemi zdolnościami: nie dlatego, żeby być Anhellim biernie cierpiącym, ale żeby być Aniołem ojczyzny, »co wszystko przemoże«, jej duchem przewodnim. Ci, na których uderzał w *Beniowskim* w imię tylko swojej sławy, wzywali go, aby wziął inną lutnię, niepokalaną i stanął na czele pochodu, a pójdą za nim. Otóż on bierze tę nową lutnię, staje na czele i ma prowadzić za sobą naród nie jak przedtem wszędzie, jakby na jakieś bezdroże stepowe, ale w drogę jedną, »jednobramną«, jasno, wyraźnie wytkniętą. Że jest cały oddany swemu nowemu powołaniu, na to składa przysięgę i powtarza ją po każdej strofie, a to powtarzanie jeszcze więcej całemu wierszowi nadaje cechę niezłomnej wiary.

W tym wierszu jest już jakby ziarno »Króla-Ducha«, który się dopiero w cztery lata potem miał wcielać w kształty poetyckie. Słowacki wierzy tu już najgłębiej w swoje posłannictwo jako ducha-wodza narodu, w swoje pośrednictwo między Bogiem a narodem; gdy się z tem połączy idea metampsychozy i chęć wytłómaczenia losów Polski, pomysł »Króla-Ducha» będzie pełny.

Jak wytłómaczyć tę przemianę, która nagle »w błyśnieniu jednem« zaszła w Słowackim, gdy się twarz w twarz poraz pierwszy spotkał z Towiańskim. Niewątpliwie trzeba to przedewszystkiem przypisać temu dziwnemu urokowi, jaki postać i wymowa Towiańskiego wywierała na ludzi marzycielsko nastrojonych i w błędnem kole życia emigracyjnego najwięcej cierpiących. Była jakaś szczególna siła, idąca z twarzy, ze spojrzenia, z prostoty za-

:howania się, i tonu głosu, ze słów, czasem koszlawo, ale)oetycznie wyrażających idee. Był on tak mało podobny lo innych ludzi, tak głębokie mistyczne pokłady, trudne lo przeniknięcia, nosił w duszy, że Mickiewicz więcej, niż)o roku najściślejszych z nim stosunków, pisał o nim do Domejki, że im bliżej go poznał, tem mniej go zna: »Origo ejus autem divina« [1]. Portret Towiańskiego, który w Album Mickiewiczowskiem jest podany, niewiele dać może wskazówek do objaśnienia tego wpływu, jaki swoją postacią wywierał Towiański na uczniów, ale w krakowskiem Muzeum Narodowem jest dagerotyp, który do tego celu daleko lepiej służy. Przedstawia się tam Towiański niezgrabnie, klocowato, ale łączy w sobie doskonałą pełnię życia fizycznego z jakimś mistycznym blaskiem w oku i z wyrazem prostoty i dobroci w twarzy. Myślę, że ten mistycyzm, z wyrazem spokoju wyglądający z kwitnącego ciała, udził szczególną ufność w ludziach zdenerwowanych, :rawionych różnemi cierpieniami i tęsknotami. Jego niezachwiana a spokojna wiara i w swoje powołanie i w swoją mistyczną naukę i w bliskość szczęśliwej odmiany losów Polski magnetycznie udzielała się słuchaczom i więcej zapewne znaczyła od samej wymowy.

Historya życia Towiańskiego do roku 1840, to jest o chwili, kiedy opuścił na zawsze rodzinną Litwę, ażeby zerzyć nową naukę wśród rodaków za granicami Rosyi, jest mało znaną. Nie zbadano jej dotychczas dokładnie, jak nie zbadano wszystkich wpływów, które na jej wytworzenie się oddziałały. Ponieważ praca niniejsza nie jest historyą towianizmu, ale tylko historyą ducha Słowackiego, więc ani szczegółowa biografia Towiańskiego, ani szczegółowa geneza jego nauki nie jest tu niezbędną. Trzeba tylko zaznaczyć, że człowiek ten od pierwszej młodości nastrojony był mistycznie i przejęty wiarą, że »myśl Boża spoczęła na nim« i że on wskutek tego »od

---

[1]) Współudział Mickiewicza w sprawie Towiańskiego I. 52.

osi do osi światem wstrząśnie« [1]). Od młodości też chłonął w siebie to wszystko, co odpowiadało jego mistycznemu nastrojowi i z tych różnorodnych pod względem pochodzenia żywiołów układał swoją mistyczną naukę. w której można znaleść ślady pokrewieństwa i z mistyką Swedenborga i z Saint-Martin'em [2]), a przedewszystkiem z mistycznym duchem natchnionymi utworami Mickiewicza.

W nauce Towiańskiego trzeba odróżnić stronę moralną i stronę dogmatyczną. Pierwsza była zupełnie zgodna z ewanielią, stamtąd zaczerpnięta bezpośrednio, lub pośrednio z pism Mickiewicza, o ile te były duchem ewangelicznym przejęte. Pokora, czystość serca, miłość Boga i ludzkości, te wszystkie cnoty, do których nawoływał Towiański ludzi, były cnotami ewangelicznemi. Były to więc rzeczy dobrze i oddawna znane, ale podawane przez mistrza ze świeżą i gorącą wiarą i jako środek odrodzenia ojczyzny, sprawiały wrażenie nowości. Wprawdzie już na dziewięć lat przed Towiańskim Mickiewicz w III części Dziadów i Księgach Pielgrzymstwa i narodu polskiego wytykał ten sam kierunek narodowi polskiemu, ale ani w jednym, ani w drugim utworze rzucane przez poetę myśli i nauki nie były ujęte w systemat religijny, nie miały charakteru objawienia; poeta wieszczył wprawdzie o tajemniczym mężu, którego imię czterdzieści i cztery, a który widocznie miał być przez Boga zesłanym zbawcą ludów, ale co ten mąż miał ogłosić światu i w jaki sposób zbawić ludzkość, to wszystko było zakryte tajemnicą. Towiański, któremu to zagadkowe proroctwo Mickiewicza, bez komentarza przez poetę zostawione, nadało niewzruszoną pewność, że to on jest owym wybrańcem Bożym, ujął poglądy i dążenia moralne Mickiewicza, po-

[1]) Współudział Ad. Mickiewicza w sprawie Andrz. Towiańskiego. Paryż 1877 II. 134 i 168.

[2]) Porówn. J. Kallenbacha «Adam Mickiewicz». Kraków 1897 II. 321—326.

ɔwne ze swojemi, w pewien całokształt i wystąpił ;em, jako z nowem objawieniem, służącem do rozża›nia przygasłego ogniska nauki Chrystusowej.

Cechę nowości moralnej stronie nauki Towiańskiego dawała także jej strona dogmatyczna. I ta ostatnia wielu zasadniczych rysach była zgodną z nauką kościoła tolickiego, ale się w jej obrębie nie zamykała, wybieła ponad nią i chrześcijańską walkę ducha z ciałem jaśniała po swojemu, w sposób, który dla ludzi fantacznie nastrojonych, musiał mieć wiele uroku.

Według tej nauki cały glob ziemski zalegają nieprzejıne chmury duchów i układają się w kolumny światłe ;iemne stosownie do swojej wartości. Duchy nizkie, mne, któremi rządzi piekło, są bliżej ziemi, duchy wyżɔ, jasne, wprost od Boga zależne, wyżej, ale i te mogą iżyć się ku człowiekowi, gdy ujrzą w jego sercu rozpaıe światło Chrystusowe. Z tych duchów jedne pokutują, zekając póki Wola wyższa nie wprowadzi ich do życia ɔmskiego«, inne, »wyższe duchy, duchy święte«, które rzebyły już pielgrzymkę ziemską podług praw Miłości«, już wolne od wszelkiej pokuty i prób życia cielesnego bujają swobodnie w służbie Bożej ponad światem. 'szystko, co się dzieje na świecie, dzieje się za sprawą dnych i drugich duchów, one to działają za pośredniwem ludzi, których napełniają i którymi kierują. Bo łowieka, według *Biesiady* Towiańskiego, trzeba sobie 'obrazić »jako ostatnią pochwę, ostatni punkt widzialny tez który zastępy duchów niewidzialnie działają«. Ma wprawdzie wolę, ale owocem jej jest tylko sprowaenie takiej lub innej kolumny duchów. »Stawi Bóg czę' człowieka, jako wolnego, wszystko jemu ułatwia, zaɔpy światłości i ciemności ustępują i czekają na kieruık, jaki człowiek sam sobie zostawiony, zupełnie wolny ıć musi — a po zrobionym kierunku na światło lub emno, kolumny światłości lub ciemności mocą prawa ırmonii, tego prawa najwyższego, zalegają wnętrze czło-

wieka i podług swej natury rządzą nim. Wielkie dobrowolne zasępienie duszy rodzi ten fatalny skutek, że nadługo ciemna kolumna zalega duszę człowieka, i taki podług słów objawienia »oddany jest pod moc złego«. Taki nieszczęśliwy traci wolę, »bo duch jego kolumna ciemna zalega«, — jednakże i on może »wydobyć się przez wysilenie wewnętrzne, może wśród tego piekła, w jakiem zostaje, wydobyć światełko i tym światełkiem kolumnę opiekuńczą wśród niedoli swej sprowadzić, aleć to prawie niepodobna — bo kiedy wolny przy pomocy łaski tego nie zrobił, jakże wśród piekielnej atmosfery tego dokaże«. Więc potrzeba znowu pomocy miłosierdzia Bożego, ażeby człowiek mógł odzyskać zupełną wolność i kiedy nadejdzie ta chwila, »podług tego, jak użyje darów nieba, znów jemu pójdzie« [1]).

Chrystus odkupił rodzaj ludzki w ten sposób, że »świętością swoją sprowadził światłą kolumnę i tą grube ciemności ziemi rozpędził«. Ale pomimo, iż ośmnaście wieków upłynęło od objawienia Chrystusowego, nigdy jeszcze »światła kolumna berła ziemi nie miała«,... »światło Jezusa Chrystusa, pasując się z przewyższającemi ciemnościami, nie stanęło jeszcze na tym punkcie potęgi i siły«. Było ono »krzywdzone, gaszone, fałszowane, dla dogodności, niestety, dla dumy za narzędzie używane«, w zupełnej czystości gdzieniegdzie tylko »sposobem żebraczym w pokorze i skrusze exystowało«. Teraz »według zapewnienia Pana« danego Towiańskiemu, »Berło Piekłu na czas pewny wydartem będzie«... »wstrząśnięty duch ciemny ziemi już nigdy do dawnej swej potęgi nie powróci, bo wybrani Pańscy, te przyszłe świeczniki ziemi, znając już drogi sprowadzenia światłych kolumn, tego jedynego puklerza od zamachów ciemności, ciągiem już będą chwiać

[1]) Biesiada, podana jako dodatek do broszury Stefana Witwickiego: Towiańszczyzna, wystawiona i annexami objaśniona. Paryż 1844. 61—62.

potęgą złego — i władza nad ziemią będzie już dzielić się, będzie ważyć się między duchem światłości i ciemności«. Bóg ułatwia zwycięstwo światłości zsyłając posłańców takich, jak Towiański, to jest przynoszących ludziom wprost od Boga jakieś rozkazy i zlecenia. Przy zesłaniu siódmego takiego posłańca nastąpi ostateczne pokonanie ciemności, i wtedy ziemia stanie się niebem [1]).

Pierwszym takim posłańcem od czasów Odkupienia był Napoleon. Zesłany on był na to, aby »sztandar Chrystusowy zatknąć na pogańskiem polu polityki«. Dlatego wyniósł go Bóg tak wysoko. Ale Napoleon przekroczył granice swego powołania, zamiast woli Bożej zaczął pełnić wolę swoją, Bóg go opuścił i Napoleon upadł. Wszakże po śmierci, jako duch, nie utracił swojej misyi, pozwolono mu żyć i działać na ziemi i spełniać to, czego, jako człowiek, nie spełnił. W wielkiej kolumnie duchów światłości ściągniętej przez mistrza Towiańskiego na ziemię, u której szczytu jest Chrystus, a niżej cherubiny, święte zastępy duchów, duch Napoleona jest przedostatnim szczeblem, bezpośrednio dotykającym ostatniego, już widzialnego dla ziemi szczebla tej kolumny, którym jest właśnie mistrz-objawiciel.

Wogóle, jak na poezyi współczesnej polskiej, francuskiej i innych, tak i na nauce Towiańskiego znać silny wpływ wojen napoleońskich i tego uroku, jakim postać wielkiego wodza-zdobywcy była w pamięci ludów, wstrząśniętych jego dziełami wojennemi, otoczoną. Właśnie w chwili, gdy Towiański występował ze swojem objawieniem, urok ten odświeżył się z całą siłą wskutek sprowadzenia zwłok Napoleona z wyspy św. Heleny. W tym właśnie czasie (w czerwcu 1840) wydał Hoëne-Wroński swoją broszurę historyozoficzną »*Secret politique de Napoleon*«, jako część swojej *Metapolityki messyanicznej*, w której to broszurze traktował Napoleona, jako męża

[1]) Tamże. Passim.

Opatrzności, nowego zbawcę ludzkości, otwierającego nowy (piąty) okres jej dziejów i sądził, że tylko Watykan w Rzymie jest miejscem godnem przyjęcia zwłok jego. To też i w *Biesiadzie*, która była napisaną przez Towiańskiego na początku 1841 (dla jenerała Skrzyneckiego, którego chciał wtedy pozyskać Towiański) Napoleon występuje jako patron nowej nauki, a jeden z toastów, którym się kończy *Biesiada*, ten mianowicie, który potem Mickiewicz powtórzył w zakończeniu swoich wykładów, wzniesiony jest »za radość, pokój i zbawienie« jego ducha. Uczniom swoim zalecał Towiański odwiedzać i jakiś czas przebywać na polach Waterloo, ponieważ »jest to dziś miejsce najpełniejsze duchów, najważniejsze w dziejach słowa Bożego i łaska w tem miejscu przychodzi prędzej, niż gdzieindziej« [1]). Wreszcie samo przedstawienie walki jasnych kolumn z ciemnemi jest jakby przeniesieniem obrazu bitew napoleońskich i zapału, który ożywiał napoleońskich żołnierzy, ze sfery ziemskiej w nadziemską [2]).

Jakkolwiek Słowacki powrót zwłok napoleońskich uczcił był pięknym wierszem, drukowanym w *Młodej Polsce* jeszcze na kilka miesięcy przed tym wypadkiem, to jednak kult napoleoński zawarty w nowej doktrynie, w neochrystyanizmie Towiańskiego, nie miał dlań tego znaczenia, co dla innych, naprz. dla Mickiewicza. Bo Słowacki, jak wiemy, nie miał ani heroicznej natury Mickiewicza, ani rozwiniętego zmysłu społecznego, ani tak od dzieciństwa tradycyą napoleońską owinięty nie był. W dogmatycznej stronie nauki Towiańskiego najwięcej go uderzało i najwięcej pociągało ku tej nauce to, co odpowiadało jego marzycielskiemu usposobieniu, jego pnącemu się w górę indywidualizmowi i jego szczególnej wrażli-

---

[1]) Współudział Adama Mickiewicza w sprawie Andrzeja Towiańskiego. Paryż 1877 II. 209.

[2]) N. p. «Od stworzenia świata kolumny światłe nie jaśniały na ziemi, jak zajaśnieją wskutek czystego entuzyazmu dla Boga wśród bitwy i po bitwie». Witwicki, Towiańszczyzna 63.

wości na piękno świata przyrody, a mianowicie stosunek materyi do ducha i hierarchia duchów wraz z pokrewną jej teoryą metampsychozy.

Tych rzeczy nigdzie Towiański jasno i kategorycznie nie określił, co pozwalało uczniom jego podług swojej fantazyi dorysowywać w niejednem miejscu kształty jego doktryny. Z różnych jednak, często chaotycznych, wynurzeń mistrza można wysnuć następującą naukę. Bóg stworzył wszelkie twory na to, aby się doskonaliły i w ten sposób zbliżały ku Niemu. Temu doskonaleniu się w świecie ludzkim pomagają duchy jasne, wyzwolone z ciała, ale nad ziemią ciągle jeszcze się unoszące, a przeszkadzają duchy ciemne, sługi szatana, do materyi, do ziemi, do ciała łatwy przystęp mające i zapomocą materyi łatwo opanowujące dusze ludzkie. Ale zła potęga, przeciwna doskonaleniu się wszelkich tworów, a szczególnie ludzkości, pozornie zatem krzyżująca plany boskie, nie jest przecież potęgą niezależną od Boga: ona jest także w ogólnym planie stworzenia jednem z narzędzi doskonalenia się ludzkości[1]). Doskonalenie się człowieka polega na tem, aby duch człowieka, zamknięty w ciele, które jest »pokrywą« zasłaniającą przed nim krainę ducha, wyzwolił się naprzód z pod przewagi ciała, aby obudził w sobie miłość ku Bogu, który jest samą miłością i dobrocią. A miłość ta stworzenia ku Stwórcy musi być dobrowolną, bo gdyby nawet była »wszechmocnością Boga wciśnięta, narzucona, nakazana, przestałaby być miłością — swą świętość, swój blask niebieski straciłaby«... Musi ona »stać się kwiatem wonnym przez same tylko serce nasze wypielęgnowanym« i chociaż Bóg nam »milionowe sposoby ułatwienia nam drogi zbawienia podaje — zbawić nas wszakże bez nas, bez tej dobrowolności, bez tego wła-

[1]) Z rozmów F. Wrotnowskiego z Andrz. Towiańskim. »Sprzymierzyć się z Bogiem i widzieć jego okiem. Piekło widzieć, jako narzędzie«. Współudział A. Mickiewicza T. II, str. 268.

snego poruszenia, bez tego kwiatu z własnego naszego pola nie może«. I dlatego to Bóg, »ten najwyższy Mistrz miłości, na poniewierkę siebie oddaje, aby po upływie wieków wyjednał u tworów choć słabe poruszenie serca dla Siebie«, dlatego to, dla tej dobrowolności uczucia, »przy władzy i potędze będąc zbiorem światła, cząstkę tylko i to tak rzadko na ziemię spuszcza i na tak smutne koleje naraża — dopuszcza zniewagi siebie a tryumfu ciemności«[1]. W ten sposób, łatwo do serc trafiający, a niesprzeczny z nauką kościoła, rozwiązywał Towiański rozpaczliwe pytanie rzucone przez Konrada ku Bogu w Improwizacyi.

Ale wyzwolenie się z pod przewagi ciała, rozbudzenie w sobie dobrowolnej miłości ku Bogu, to dopiero jedna część zadania, którą ma duch ludzki do spełnienia na ziemi. Powinien on następnie dostroić ciało do swojej wysokości, do swego tonu. Nazywało się to zrealizowaniem ducha w ciele, przebiciem przez ciało, albo z białoruska horowaniem, horą. Mistrz mówił: »To jest zasługą, co człowiek przeprowadzi przez ciało, przez horę, a Chrystus był wzorem hory«[2].... »Taki sam niech będzie człowiek, jaki jest duch, oto jest Ideał, to słowo. Przebić przez ciało i żyć w tonie ducha, oto jest Chrześcijaństwo«. Dobrym wzorem hory może być dla nas nasz chłopek, »który wszystko w ten moment przez ciało przepuszcza, drga na każde poruszenie ducha«. Sam mistrz życiem swojem najlepiej wyjaśniał uczniom, którzy go bliżej znali, co rozumiał przez

[1]) Biesiada w różnych miejscach.

[2]) »Dotąd niełatwo było pojąć, czytając, że Chrystus wstąpił do nieba z ciałem, tymczasem tak jest. Chrystus przez zwycięstwo nad ciałem, przez ciągłą z niego ofiarę Bogu, tak je uświęcił, że jego duch i ciało zamieniły się w jedno, nie było żadnej różnicy między duchem i ciałem i mogły społem wejść do nieba. I nikt inaczej tam nie wejdzie. Dlatego to stoi w *Wierzę w Boga:* »zmartwychwstanie ciał«. Z rozmów Towiańskiego z Goszczyńskim. Współudział T. II, 203.

horę, przez realizacyę[1]). Dostrajanie ciała do tonu ducha nie wymagało bynajmniej martwienia ciała, i owszem Towiański wyraźnie zastrzegał się przeciw temu, i wzywał do równego pielęgnowania ducha i ciała, »nie pieścić, ale istocie dogadzać«. »Duch męczeński pierwszej epoki już dziś miejsca nie ma.... Gdyby kto teraz dyscyplinował się, Bóg by go na dno piekieł strącił, bo nie chce cierpienia zewnątrz, nie chce ciała, ale ducha«[2]).

Kto nie zrealizuje całego ducha w ciele, ten z niedopełnienia tego zadania musi zdać rachunek przed Bogiem i po śmierci pokutować i dalej urabiać się, jako duch, zanim powołany będzie do nowego żywota cielesnego. Więc jeden duch może mieć wiele żywotów ziemskich. Tak o Mickiewiczu Towiański twierdził, że był on »rycerzem kamiennym znanym z odwagi, stałości i surowego życia, był zakonnikiem, znanym z surowości i męczeństwa, był Dziewicą Orleańską, był prorokiem przed Jezusem Chry-

[1]) »Jak jego życie jest ciągiem realizacyi — mówił Mickiewicz do zgromadzonych braci 21 listopada 1844 — to można mieć z tego wyobrażenie. »Nie wolno mi było, mówił (mistrz), mieć sługi, którby mi jeść gotował, aż póki sam go nie wyuczyłem. Tym sługą jest żona, która już przy kuchni, przy zatrudnieniach gospodarskich umie trwać w takim tonie, że mogę z nią rozmawiać o najwyższych rzeczach. Nieraz przez cały dzień obmyślałem, jak buty powinny być uszyte, po kilka godzin trawiłem w modlitwie, jak kupić ćwieki dla ojca do gontów, żeby to wszystko było w prawdzie. Będąc urzędnikiem, kiedy jaka sprawa między żydem i chłopem przychodziła, siedziałem ranek w kościele i potem największego trudu trzeba było, żeby mię nie zbito z rezultatu, jaki w modlitwie sobie zanotowałem. Bo nie sztuka zairytować się, wyłajać kolegów, rozpisać się na wyroku, ale to rzecz, użyć całej miłości, całej mocy, żeby postawić prawdę«. Wśród tego, z powodu zajścia z rodzicami, Mistrz musiał dla chorej żony robić owsiankę, gotować jaja, a idąc na sądy w mundurze, przy szpadzie, pod płaszczem nosił to dla niej. Często koledzy go spotykali i śmiali się, a wszystko należało znieść w tonie i przemódz tonem. Współudział Mickiewicza w sprawie Towiańskiego T. I. str. 196.

[2]) Tamże, 265—270.

stusem, dziś nim jest i przed trzecim (posłańcem Bożym) będzie«, a ostatnie żywoty musiał przebywać dlatego, że nie spełniał, jak należy, upominań Pańskich [1]). Ci, którzy dokonają tej »realizacyi«, którzy »przebędą pielgrzymkę ziemską podług praw Miłości«, stają się już duchami wyższemi, świętemi, wielkimi cherubinami. Unoszą się oni nad ziemią i nie mogą jej opuścić, dopóki nie wywzajemnią się Bogu za swe podniesienie, rozpalając w sercach udzkich ogień Boskiej miłości i wtedy dopiero, dopełniwszy tej służby swojej, opuszczają glob ziemski, i przenoszą się — tak się należy domyślać — na inne globy, odpowiadające wysokości ich ducha, »bo ziemia, czytamy w *Biesiadzie*, między innemi globami niższa, to jest przeznaczona do urabiania niższych duchów« [2]).

Jak się odbywało doskonalenie w zakresie życia ludzkiego, o tem już z tego, co się powiedziało o nauce Towiańskiego, można mieć pewne wyobrażenie. Natomiast o tem, jak się odbywa doskonalenie w zakresie innych tworów, niższych organizacyą i znaczeniem od człowieka, nigdzie się mistrz wyraźnie nie wypowiedział. Zdaje się, że w tym względzie nie miał wyrobionej doktryny i że go stosunek człowieka do niższych tworów niewiele zajmował. Tak np. w *Biesiadzie* parę tylko ubocznych wzmianek w tym kierunku zostawił. Mówiąc o zastępach duchów, niewidzialnie działających na ziemi, takie dawał objaśnienie: »te zastępy są nader różne, bo duch człowieka, co mówię, każdego Tworu, musi z nimi dopewnej wyrokiem Najwyższego przepisanej harmonii ułożyć się« [3]).

Z tej wzmianki należałoby wnioskować, że jak w człowieku, tak i w innych tworach działają duchy, ale co na-

---

[1]) Słowa Towiańskiego, spisane przezeń dla Mickiewicza 4 października 1841. Żywot A. Mickiewicza przez Wł. Mickiewicza. T. III. Dodatek XIII.

[2]) Witwicki. Towiańszczyzna 66.

[3]) Tamże 59.

eży rozumieć przez każdy twór, czy tylko świat źwie- 'zęcy, czy także i roślinny, czy może wreszcie i nieorgani- :zny, tego ani trochę z tej wzmianki wybadać nie mo- :emy, zarówno jak i tego, w jaki sposób w tych innych worach odbywa się doskonalenie.

W innem miejscu *Biesiady* powiedziano, że »górujący ıa ziemi (podług słów objawienia) może nie być w pierw- ızym żywocie, może nie być człowiekiem — i duch niedź- viedzia opuściwszy stepy polarne może być na szczy- :ie górowania w pierwszej świata stolicy«[1]). W ustępie ym jest wskazówka wiary w przechodzenie dusz ze świata :wierzęcego do ludzkiego, ale nic więcej. Ważniejszą, ;hoć ogólnikową wskazówką jest inny ustęp *Biesiady*, gdzie jest mowa o ziemi, jako przeznaczonej do urabiania ıiższych duchów. »W każdej fabryce są sale, wydziały, lo niższej operacyi przeznaczone — Mistrz dzieła patrząc ıa to obrabianie z syrowego, cieszy się w duszy wido- ciem ostatniego wyrobu — bo on jeden tylko widzi, jak :a kolej jest konieczną... i wśród brudów niższej operacyi pęd miłości do wykończonego dzieła Jego mechaniki jest en sam — i to jest cechą Mistrza. Komu brudy niższej operacyi nie są miłe przez miłość ostatniego wyrobu, ten Mistrzem nie jest«. A nieco dalej czytamy: »Konstytucya lana globowi przez wieki nietknięta. Przez wieki nic naj- lrobniejszego z zakreślonych kolei na włosek nie wyszło, em bardziej urabianie się i postęp tworów«[2])…. W li- ście do Mickiewicza z dnia 2 czerwca 1845 pisał o »drabi- ıie od nicości do Boga wiodącej«, która »istnieć będzie przez wieki«[3]).

Wszystko to są niejasne, ogólnikowe wskazówki, ale ıabierają one nieco jasności dzięki wykładowi Mickiewi- :za. Mówię tu nie o tych wykładach w Collège de France

[1]) Tamże 62.
[2]) Tamże 67.
[3]) Tamże 244.

które miały na celu zalecić słuchaczom *Biesiadę* Towiańskiego, bo tam ta strona nauki mistrza pozostawiona była w cieniu (z wyjątkiem jednej prelekcyi, o której później będzie mowa), ale o pewnem przemówieniu Mickiewicza na zgromadzeniu Koła współwyznawców (w Wielką Środę 19 marca 1845). Mickiewicz otrzymał był wtedy od Mistrza pismo do Koła, pisane jak zwykle stylem niejasnym, ogólnikowym, gdzie myśl roztapia się w porównaniach i miał je odczytać kołu zgromadzonemu w jego mieszkaniu. Niejasność ta nie raziła go, usprawiedliwiał mistrza, utrzymując, że każde pismo jego, to nie wykład prawd, ale wiedza zaczerpnięta przezeń z Ducha, ale wyzyw ze strony mistrza do zdobycia tej wiedzy własnym duchem. Zdobywał też ją sam i wkładał w ogólniki mistrza daleko więcej zapewne, niżby sam mistrz potrafił to uczynić, ale wiedział, że dla innych pismo mistrza może być przeważnie tylko brzękiem słów niejasnych i dlatego starał się »przypomnieć im niektóre przynajmniej punkta przeszłych zadań naszych, objaśnić przynajmniej kilka głównych idei, któreby ułatwiły pojęcia wyrażeń w teraźniejszem piśmie Mistrza« [1]). Do takich wyrażeń należało między innemi n. p. następujące: »Glob ziemski po wielu spełnionych myślach odpowie powszechnej myśli stworzenia, która na nim przez wieki statecznie leży, wśród zapasów ziemi z Panem zastępów«. Otóż Mickiewicz objaśniał, jak należy rozumieć ową powszechną myśl stworzenia. »Celem, myślą Pańską życia naszego jest wyrabianie Ducha, a zatem mieszczenie w tonie Bożym całego jego stworzenia. Z prochu postępem wieków wyrabia się to, co w nas żyje i co dalej ku Bogu postępować ma. W kim ta iskra się obudzi, ten jest przyszły dziedzic chwały Pańskiej, bo z głazu i piasku

[1]) Współudział I. 216. Objaśnienia Mickiewicza miały się opierać na jakiemś dawniejszem piśmie mistrza, nam nieznanem. »Podam wam wiadomości pracą moją wyciągnięte z innego pisma, dawniej mi udzielonego, szczególnie dla urzędu«. Tamże.

lo najwyższych cherubinów postępuje to, co w zwyczajnej mowie zowiemy Duchem«[1]).

Mamy tu więc wyraźnie wypowiedzianą zasadę ewolucyi, jako myśl Bożą, ogarniającą całe stworzenie. Ale jak się odbywa ta ewolucya, ten »chód ducha od prochu ziemi aż do ducha jasnego i niknącego w Bóstwie«, tego Mickiewicz nie wyjaśnił. I on, podobnie jak mistrz, rzadko się zwracał w stronę genezy świata, cały zwrócony ku przyszłości, cały zajęty pełnieniem myśli Bożej na ziemi, jakie mu przypadło w udziale. A kiedy Zmartwychwstańcy zarzucali Towiańczykom, że nauczają rzeczy już potępionych przez Kościół, jak przechodzenie dusz, Mickiewicz zaprzeczał, żeby to była metampsychoza indyjska, ale nie umiał, czy nie chciał wyjaśnić przeciwnikom nauki Towiańskiego, na czem różnica polega[2]).

Jak Mickiewicza i całe koło Towiańczyków we Francyi zajmowała głównie społeczna strona nauki Towiańskiego, tak Słowackiego, zgodnie z jego układem psychicznym, a mianowicie z przewagą wyobraźni, która ten układ cechowała, najwięcej zajmował ów, przez mistrza najmniej rozjaśniony i stąd najwięcej pola otwierający fantazyi pochód ducha od głazu i piasku do Bóstwa.

Ta strona nauki Towiańskiego przyczyniła się bardzo wiele do tego olśniewającego i piorunującego wrażenia, jakie wywarło na Słowackim pierwsze widzenie się z mistrzem. Świadczy o tem dedykacya pewnego wiersza mistycznego (Góry się ozłociły — szafiry mórz czernieją)[3]),

[1]) Tamże I. 217.

[2]) X. Smolikowski. Historya Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego. Kraków 1896. IV, 58.

[3]) Wiersz drukowany w I. tomie Pism pośmiertnych, składa się z dwu części, z których pierwsza jest jakby jakiemś oratoryum mitycznem, streszczającem dzieje biblijne, zakończone zwycięstwem Chrystusa nad szatanem, druga, opowiadająca, zawiera alluzye do chwili współczesnej i do współczesnych poetów. Z radosną wieścią zwycięstwa poleciał anioł z trzema gwiazdami na czole nad złote ogniska pastusze, ażeby »budzić w ludziach barankowe dusze« i oto:

w której Słowacki w ten sposób ocenia znaczenie Towiańskiego:

»Temu, który nie słowy ani nauką, ale przyjściem swojem i zapowiedzeniem sprawy Bożej ducha mojego z więzów uwolnił i przejściu w krainę wiedzy dopomógł,

ANDRZEJOWI TOWIAŃSKIEMU,

niniejszy wyraz, jako wywołaną z ducha mego odpowiedź i miarę wyrozumienia Sprawy Bożej, ofiaruję i poświęcam, — narodu mego prosząc o uwagę dla człowieka, który słowa te: że wszystko przez Ducha i dla Ducha stworzone jest, wyrzekłszy, podobnie jak Kopernik, a więcej jeszcze, bo nie świat fizyczny, ale świat wiedzy, na syntetyzmie zatrzymał i postawił« [1]).

Ażeby lepiej zrozumieć nagły przewrót, jaki się dokonał w wyobrażeniach Słowackiego na hasło rzucone przez mistrza, że wszystko jest stworzone przez ducha, — to jest że wszelka materya jest tylko jego robotą, i poza

---

Na trzech pasterzy upadły promienie,
Obmyły ducha duszę — pod imieniem
Jeden był, który ugaszczał natchnienie;
Drugi, który był kwiateczków siemieniem,
Trzeci zaleśne echa wywoływał:
Te zbudził Anioł duchy — ponazywał,
Pomiędzy ludźmi pastuszymi wsławił,
Dał ducha, wieńce i w drogę wyprawił.

Podkreślone przezemnie słowa wskazują wyraźnie, jakich to pastuszków miał na myśli poeta-mistyk, w każdem nazwisku upatrujący jakieś tajemne znaczenie. Pastuszkowie owi, to niewątpliwie Goszczyński, Siemieński i Zaleski. Widocznie wiersz ten pisany był w czasach, kiedy Słowacki nie stracił był jeszcze nadziei, że Zaleski i Siemieński przejmą się nową nauką i kiedy zostawał w serdecznych stosunkach z Goszczyńskim, to jest według wszelkiego prawdopodobieństwa w zimie z 1842 na 1843. Potwierdza to przypuszczenie i postać »przejasnej Dziewicy« w dalszym ciągu wiersza, która jest wzięta z Apokalipsy, a na którą, jak to niżej zobaczymy, zwrócił w owym czasie uwagę Słowackiego Krasiński.

[1]) Małecki l. c. III, 69.

wiatem widomym działają wszędzie niewidome siły, — rzeba pamiętać, że ukryte zadatki pojmowania świata, ako pochodu ducha od głazu i piasku do Bóstwa, Słowacki osił w sobie we wspomnieniach marzeń dziecinnych, tych czasów, kiedy wraz ze Szpicnaglem »na księgach wedenborga budowali gmachy — pełne głosów aniel-kich, szaleństwa i blasku«. Oto jak ten pochód ducha ku óstwu, a także i cofanie się jego przedstawione było wierszu p. t. *Godzina*.

Przez tworów państwa myślą snuli dwa łańcuchy,
W światło zbite u góry, w ciemność spodem zlane;
Tych ogniwa, jak szczeble wschodów połamane,
Wiodą w światłość idące, albo w ciemność duchy.
I świat tworów w dwa takie rozłamane ruchy
Wiecznie krąży. A dusza z iskry urodzona,
Różnem życiem przez wieki rozkwita i kona,
Przez długie wieki biorąc kształty różnych tworów.
W kwiecie jest duszą woni i treścią kolorów,
W człowieku myślą, światłem staje się w Aniele.
Raz wstępnym pchnięta ruchem, ciągle w Boga płynie,
W doskonalszem co chwila rozkwitając ciele.
Człowiek się silną myślą w anioła rozwinie,
Ten anioł zachwyceniem w światło się rozleje
I będzie częścią Boga na żywiołów tronie.
Lecz męty ziemskie w światła osiadają łonie;
Jak o spadłych aniołach święte uczą dzieje,
Ziemskimi sny ścigani, grzeszą myślą duszy.
I co dnia z łona Boga dusz zagasłych tłumy
Lecą na ziemię, jak gwiazd zepchnięta lawina.
Każda się w kształty ziemskie krysztali i ścina,
I rosnącym ciężarem w bieg strącona skory,
Przechodzi w ludzkie czuciem zatwardziałe twory;
I będzie jadem w gadzie, a trucizną w kwiecie.
Patrząc na tłumy ludzi na tym ciemnym świecie,
Oni widzieli, którzy z łona Boga spadli,
I po schodzących szczeblach szli w otchłań i bladli.

Są w tym ustępie w istocie pewne echa nauki Swe-enborga, ale splątane. Podług tej nauki świat jest stwo-zony przez Boga ze słońca duchowego, którego ciepło

i światło stanowią boska miłość i boska mądrość. Ponieważ wszystko wzięło początek z tej substancyi, więc obraz boskości objawia się w każdej stworzonej rzeczy, ale coraz mniej silnie, im do niższych zstępujemy stopni. Celem stworzenia jest niebo, ale nie wszyscy do nieba wchodzą, tylko ci, którzy już na ziemi błogość niebieską w sobie wyrobią. Wstęp do nieba jest wprawdzie dla wszystkich duchów otwarty, ale ci, którzy ze złemi uczuciami tam wejdą, nie mogą wytrzymać i muszą schodzić do piekła, gdzie znajdują sobie podobnych [1]).

W przytoczonym obrazie marzeń dziecinnych obok Swedenborga niewątpliwie innych jeszcze śladów dopatrzeć można, mianowicie wpływów teoryi ewolucyjnej, której odgłosy dochodziły już do Wilna w czasach dzieciństwa Słowackiego. W roku 1816 i 1817 *Pamiętnik magnetyczny wileński* drukował wyjątki z dzieł uczonego francuskiego Virey'a, p. t. »O początkowem nastaniu wszystkich istot stworzonych«, a w tych wyjątkach znajdowały się uwagi, że »istoty doskonalsze powstały z mniej doskonałych i że powinny się doskonalić przez następstwo rozrodzenia. Zwierzęta dążą do człowieka; rośliny do uźwierzęcenia się, minerały do roślin«... »Im więcej się dusza wznosi, tem ciało bardziej zniżać się musi: życie zwierząt dąży do pożywności i rozrodzenia się: kiedy życie wyższe działając na rozgałęzienie się nerwów, wydoskonalenie zmysłów i ukształcenie mózgu, dąży do życia rozumnego i moralnego. Jeśliby przeto przyrodzenie stworzyło z czasem coś wyższego od człowieka, miałoby to stworzenie więcej życia moralnego, tak jak istoty niższe od nas więcej żyją fizycznie; o takich to istotach wyższych od nas mają wszyscy wyobrażenie, wystawując one sobie pod imieniem geniuszów, duchów, aniołów: co dowodzi,

[1]) Anielska mądrość tycząca się Boskiej Opatrzności przez Emanuela Swedenborga. Polski przekład: »Sapientia angelica de divina providentia. Amstelodami, 1764«. Wydanie Towarzystwa Swedenborga w Londynie bez r. str. 9—11 i 295.

dusza nieustannie dąży przebywać szereg ciągły istot zmaitych, wznosząc się aż do tronu Boga« [1]).

Czy Towiański w rozmowie ze Słowackim miał na vadze ów przytoczony ustęp z *Godziny* i umyślnie położył nacisk na tę strunę mistyczną, ażeby tem łatwiej ·dnać sobie autora *Beniowskiego*, na to pytanie stanowczej powiedzi dać nie można, choć rzecz wydaje się dość awdopodobną; ale to pewna, że poruszenie dziecinnych ırzeń mistycznych i wydobycie ich z głębi wspomnień ıyczyniło się wiele do tego nagłego przeobrażenia w duy poety, które było skutkiem rozmowy z mistrzem. ⁄iadczy o tem o rok późniejszy list Słowackiego do ıtki. »Ty wiesz, droga, pisał do niej, ile nikłych marzeń ało się nam po głowie, kiedyśmy się zagłębiali w tę głę pełną melancholii, w którą kiedyś wejść musimy zniknąć... Otóż wiele z tych myśli przelotnych było awdziwemi natchnieniami; odrzucaliśmy je, nie śmiemy wierzyć, sądząc, że są grą naszej imaginacyi, a choiż spotykaliśmy się z temi myślami i w innych ludziach, yśleliśmy, że to wszystko są tony fałszywe«... »A teraz łowiek jeden jaśniej widzący rzeczy Boskie odkrył niełębioną prawie czeluść przyszłości, w której wszystko się znajduje, cośmy śnili, ale logicznie powiązane, ale ligijnie... Więc i ty kiedyś tam różyczki twego ogrodu baczysz na tym pniu, i ja gwiazdy moje już zobayłem«... [2]).

Na jeden jeszcze wzgląd trzeba zwrócić uwagę, ażeby ozumieć tę nagłą zmianę frontu w myślach i w usposobieniu Słowackiego. Stefan Witwicki, który nie znał się prawdzie z samym Towiańskim, ale bardzo żywo zajował się ruchem wywołanym przez niego w emigracyi

---

[1]) Pamiętnik magnetyczny wileński. T. II. 1817, str. 366—369. artykuł cytowany zwrócił uwagę moją p. Stan. Fischer, mój zeń, co z wdzięcznością tu zaznaczam.

[2]) Listy do matki II. 180.

i wiedział, jak sam powiada, bardzo wiele o Towiańskim »od ludzi pobożnych, cnotliwych i światłych, którzy go zbliska i długo znali, lub przynajmniej kilkakrotne mieli z nim rozmowy«, utrzymuje, że Towiański miał zwyczaj zapewniać ludzi, których pociągał ku swojej nauce, iż są »wielkie duchy i wielkie mają przeznaczenie«. Można być prawie pewnym, że i Słowacki coś podobnego usłyszał z ust Towiańskiego i że te słowa, odpowiadając namiętnym a od dzieciństwa ożywionym pragnieniom sławy, głęboko zapadły mu w duszę i nadały nowej wierze jego tę niewzruszoność, która już w wierszu *Tak mi Boże dopomóż* tak majestatycznie występuje.

To nas prowadzi do uwagi, że nagłe przeobrażenie, jakie się dokonało w duszy Słowackiego, nie mogło jej odmienić z gruntu i nie odmieniło, nie nadwyrężyło, nie osłabiło w niczem jego wygórowanego indywidualizmu, tylko nadało temu indywidualizmowi zupełnie różny od poprzedniego kierunek i wprowadziło zupełny przewrót w wyobrażeniach poety o świecie i o zadaniach życia. Błyszczeć skarbami wyobraźni, olśniewać ludzi i zakreślać coraz szerszą aureolę sławy poetyckiej dokoła siebie: to był dotychczas pęd jego ducha nieustanny i wszystko pochłaniający. Teraz indywidualizm jego porzucał drogę ziemskiej sławy, na której tyle doznał zawodów, i zwracał się ku świętości. Chciał na tej drodze zajaśnieć, przekonawszy się, że tylko ta światłość jest prawdziwą, dawniejsze zaś blaski, do których się rwał, były blichtrem tylko.

Przedtem chodziło mu głównie o to, aby tak zewnętrzną szatą swej poezyi, jak i zewnętrzną postacią własną sprawiać wrażenie na ludziach, podobać się im bez względu na ich wartość, zmuszać ich do kadzideł i oklasków. Bóg na widnokręgu jego myśli, jak to widzieliśmy w *Beniowskim*, stworzony na obraz i podobieństwo poety, był także czemś w rodzaju wielkiego wirtuoza, grającego na strunach wichrów, rzucającego fa-

lami blasków, wogóle dobierającego najsilniejszych efektów, ażeby wywołać cześć i uwielbienie tłumów. Teraz wraz z wyobrażeniem o świecie, o ludziach, o zadaniu własnem, jako poety, zmieniało się i wyobrażenie o Bogu. Poeta przejmował się chrześcijańskiem pojęciem doskonałości moralnej Stwórcy, który świat stworzył nie na to, aby lubować się hucznym lotem olbrzymich ptaków i pędem rozhukanych koni, ale aby go coraz bliżej do siebie, za pomocą wybranych duchów, podnosić i w ciągłej pracy moralnej ludzkości nad sobą czynić coraz doskonalszym, coraz bardziej uduchowionym. Więc jak przedtem Słowacki na Boga nie oglądał się wcale, chyba, że do tego był zmuszony zarzutami przeciwników, nazywających jego poezyę kościołem bez Boga, a przedewszystkiem dbał o sądy ludzkie i starał się podobać ludziom bez względu na ich wartość, — tak teraz poczuwszy się wybrańcem Bożym, przeznaczonym na to, aby swój naród, a za nim ludzkość prowadzić ku Bogu, nie dbał już o mizerne oklaski ludzi, grzęznących w materyi, ale o to tylko, aby nie zboczyć »z drogi ducha jednobramnej«, nie wypaść ze wspaniałej roli pośrednika między Bogiem i ludźmi, i musiał mieć ciągle oczy zwrócone na cel, ku któremu dążył. Nie obeszło się to wprawdzie bez walki wewnętrznej, bez ścierania się dawnych dążności z nowemi, przełom jednak, który nastąpił w duszy poety nagle, był tak stanowczy, że wszelkie jej wahania się późniejsze były tylko przelotnemi.

Przełom ten — rzecz naturalna — odźwierciedlił się w korespondencyi poety, i to rozmaicie, stosownie do osoby, do której listy były pisane. Pierwszy blask transfiguracyi znajdujemy w liście Słowackiego do p. Bobrowej, pisanym d. 15 lipca 1842 r., a więc w cztery dni po owem przełomowem pierwszem widzeniu się z Towiańskim. Na pozór nie ma tu tej potęgi wiary i pewności zwycięstwa, jaka brzmi w wierszu *Tak mi Boże dopomóż*, jest nawet przyznawanie się do słabości. Ale to

tylko pozór. W istocie jest to pierwsza próba wywarcia na innych tej potęgi, którą uczuł w sobie Słowacki po transfiguracyi, pierwsza lub jedna z pierwszych prób jego dostrojenia dawnego stosunku do nowego nastroju swej duszy.

Może dlatego, żeby zachęcić p. Bobrową do poznania i przyjęcia nowych idei, donosił jej, że miał list od Krasińskiego, z którego dowiaduje się, że Krasiński zajęty jest także apokalipsą przyszłości, »ideą, która tu już stworzyła piorunowy obłok nad błękitnem niebem paryskiem, która ma kapłana, sługi, proroctwa, straszliwie spełniające się już teraz i straszliwiej jeszcze grożące przyszłości«. Była to aluzya do Towiańskiego i przepowiedzianej jakoby przez niego śmierci księcia Orleanu i jakby wskazówka, skąd pochodzi zmiana tonu w duszy i w liście poety. To, co dalej mówił o sobie i Krasińskim, wydaje się dziwnem w liście, który był pisany w trzy dni po owym wybuchu energicznej wiary w wierszu *„Tak mi Boże dopomóż“*. »Świat zdaje się budzić, a my oba zmęczeni, stargani, napół senni, nie możemy się podnieść zupełnie, ani odrzucić przeszłej połowy nas samych«. Ale w tym obrazie trzeba raczej widzieć stan duszy poety przed transfiguracyą. Zresztą to wyznanie słabości ze strony Słowackiego (bo Krasiński był tu przypleciony zapewne dla większego zainteresowania p. Bobrowej) zrozumieć można i w ten sposób, że stosunek jego do p. Bobrowej był tą częścią właśnie przeszłości, którą przedewszystkiem należało odrzucić, a tymczasem poecie żal było zrywać tego węzła, który stanowił największą ozdobę ostatnich paru lat jego życia. Chodziło tylko o to, ażeby ten węzeł uszlachetnić, oczyścić z dawniejszej arlekinady, ile jej w nim było, dostroić do nowego tonu duszy.

»Jeśli więc Pani piszesz do którego z nas — czytamy dalej w tym liście — proszę i zaklinam, nie udawaj wesołości, ani cukruj słów swoich, ani mi odmawiaj tego szczęścia, abym jej prawdziwe i szczere serce mógł wi-

dzieć w każdem słowie; za jaką szczerość ja odpłacę każdą cząstką i całem sercem mojem, które jest ludzkie, ale nie serce arlekina światowego, które nie igra z nikim i z niczem, i nie chce, aby z niem igrano Tem sercem, które się tak teraz broni, piszę ten list i nie używam już bynajmniej strudzonej i biednej głowy mojej, owszem przeklinam ją, bo mi dotąd nic nie zdobyłą, oprócz półurągającego Pani uśmiechu i politowania«. Oskarżał więc swój dotychczasowy stosunek do p. B., ale na to tylko aby ją wezwać do nowego, zgodnego z transfiguracyą, jaka w nim nastąpiła. »Niech więc to, co było, zapisane zostanie w powietrznych kartach księgi przeszłości, a teraz uważaj mnie Pani za wiernego sługę, za dobrze nastrojoną harfę, z której ile razy zechcesz Pani prawdziwy ton wyciągnąć, da Ci go.... Nie uśmiechaj się, Pani! ten list, który trzymasz w ręku, zaczarowany jest wolą moją, czuciem mojem, prawdą moją — zaklęty jest, ma moc i władzę uzdrawiania nawet serca. Serce moje jest jak źródło Syloe na dolinie Jozafata, co trzy dni tylko wytryska; trzy dni, przez które nie było w niem wody, były okropne i długie; uczucia szczere nauczyły się, jak jaskółki, odlatywać gdzieindziej po wodę, drzewa nademną uschły, a tę martwość około mnie czułaś Pani przeczuciem, a ja przez cały czas czułem także, że serce Pani lękało się i cofało się odemnie z przestrachem... Teraz ta tortura moja skończona, bo zmartwychwstałem... Teraz wiedz Pani, że Ją kocham jako pięknego ducha, który cierpi; co będzie we mnie mocy wskrzeszania, wydobędę z siebie, aby duchowi temu lżej było — i szerzej i szczęśliwiej«.

W podkreślonych przezemnie wyrazach daje się słyszeć echo tej wiary w moc swoją wskrzeszania serc ludzkich, która tak jaskrawo występuje w wierszu *Tak mi Boże dopomóż*, którą nieraz później wypowiadał Słowacki w swojej poezyi. Ale jakby lękając się, żeby w odpo-

wiedzi na swoje zapewnienia, nie wywołać znowu »półurągającego uśmiechu i politowania« pani Bobrowej, Słowacki zatrzymywał się w wylewie swoich nowych uczuć i pisał: »Widzę stąd, że Pani zadziwiona ten list czytasz, znajdując w nim ton różny od zwyczajnego; wolę więc przestać, a może jaki anioł dośpiewa reszty w sercu Pani, prowadząc ją za rękę *par les jolis sentiers qui invitent à la promenade,* — oddaj się Pani temu aniołowi zamyślenia i tym ścieżkom ociemnionym; niech tam nie zalatuje niemiecka muzyka, ani zapach cygarów — niech powietrze będzie czyste i kryształowe, a konwalie pachną tak jak nam pachniały w dzieciństwie. Dosyć — dosyć już — tak dalej pisać nie mogę. Panienki by się śmiały ze mnie« [1]).

Ta pierwsza próba wskrzeszania serc nie powiodła się Słowackiemu. Wprawdzie stosunek Słowackiego z p. Bobrową nie zakończył się na tym liście i p. Bobrowa od czasu do czasu przypominała sobie o swoim dawnym wielbicielu, ale dla nowej wiary zjednać się nie dała, a o jej kapłanie bodaj czy o wiele lepszego potem nabrała wyobrażenia, skoro porównywając go z matką jego (w cytowanym już dawniej ustępie listu z r. 1845) pisała: »J'ai beaucoup retrouvé de vous en elle. Mais que de coeur elle a! quelle sincerité d'ésprit et des sentiments!« [2]). Słowacki cierpiał i ubolewał nad tem, że nie może silnie i skutecznie oddziaływać na tego ducha, który tak stanął na drodze jego życia, że poruszyć go i nastroić na ton nowy, miał sobie za obowiązek; ale pocieszał się nadzieją, że jeśli nie prędzej, to później oddziaływanie jego na p. Bobrową uwieńczy się skutkiem. »Nie uwierzysz — pisał do Krasińskiego w styczniu 1843 — ile temu duchowi oddać muszę ducha, nim będę odeń uwolniony...

---

[1]) Listy Słowackiego do pani Joanny Bobrowej, jako dodatek do monografii Małeckiego III, 294—295.

[2]) Listy Słowackiego do matki II 219.

ı duch ten straszny trefi teraz włosy — i rzuca się v świat z wrzaskiem morskiego ptaka... Ale coraz — ıimo świata — stawać musi przed sąd mój, wypiękniać ię duchowi... i składać skrzydła motylowe za ramio-.ami, abym ich nie widział... Mam więc nadzieję, że iedyś zobaczę ją spokojną — prostą i cichą. Dobrą zavsze była, i teraz, gdyby w sercu mojem było więcej iły spokojnej, jużbym ją zdobył spoczynkowi« [1]). I w je-nym z późniejszych listów do tej pani przypisywał so-ie dodatni wpływ na jej usposobienie: »uczucie wezbrane re mnie działało na ducha Pani, jak natchnienie, jak siła vspierająca, karmiąca, ożywcza; nie wiedziałaś Pani, co zynię, i nie opierałaś się wpływowi ducha mojego, to też abalsamowałem niektóre ranne części serca Pani i rany się ozamykały — i powietrze wspomnień chwytane ustami już ; nie tyle rani, niż przedtem... Taka jest zasługa moja pokorna . Pani i taka postać moja przed Panią i takie powinno vspomnienie zostać o mnie na wieki« [2]). Ale było to ajwidoczniej jedno z tysiącznych złudzeń, któremi się armił Słowacki wówczas i do końca życia.

W korespondencyi z matką nowy ton ducha Słowackiego odzywa się po raz pierwszy w liście z d. 2 sier-nia 1842. Cytowałem już na początku rozdziału ustęp, v którym Słowacki donosił matce, że świat glansowa-ıych rękawiczek i woskowanych podłóg zupełnie zniknął jego oczu. Pisał on tam także: »Co do mnie, wiele ıadziei zwiędłych boża miłość i łaska ożywiła we mnie ıż nie wyrzekam, ale ufam... Otoczył mnie krąg ludzi :ochających, kosztuję nowego stanu duszy, zdaje się, że łogosławieństwo Boże jest nademną. Wszystko to po-lobne jest do snu i do marzenia i wytłómaczonem być ıie może«. W istocie matce tak oddalonej i czasem i prze-

---

[1]) Listy Słowackiego do Krasińskiego podane przez L. Méyeta v Gazecie Lwowskiej z d. 17 maja 1902.

[2]) Małecki III. 298.

strzenią od syna, trudno było wyjaśnić w listach, które musiały być z wielką pisane ostrożnością, w jaki sposób, pod jakimi wpływami tak radykalna zaszła przemiana w wyobrażeniach syna. To też Słowacki nie kusił się o to i prosząc ją, aby czytała ewanielię i łączyła się z nim modlitwą, dodawał: »Na teraz nic więcej«.

Ale i w następnym liście syna (z d. 24 września) nie znalazła matka nic takiego, coby mogło jej choć trochę wyjaśnić zagadkowe wzmianki pierwszego listu o nowym stanie duszy. Więc zaniepokojona była i wyraziła w jednym z listów obawę, czy jej syn nie »oddał się jasnowidzącym i w ich sny nie uwierzył«. Teraz już nie można było zwlekać z wyjaśnieniem i w liście z datą 29 listopada Słowacki postanowił wtajemniczyć matkę lepiej niż dotąd w nowy stan swojej duszy, w zasady swojej nowej wiary i pokazać jej wyraźnie różnicę między dzisiejszemi a dawnemi swemi dążeniami. »Poznałem, iż nie na to jesteśmy na ziemi, abyśmy szukali próżnej uciechy i posągów przyszłych, jako aktorowie grający każdy swoją sztukę smutną albo wesołą, ale dla chwały Bożej jesteśmy i dla pracy prostej a czystej i dla wywiązania ducha naszego i dla spełnienia tego, co mu jest polecono; a nie myśl, abym tak będąc, był dalszym od ciebie, owszem bliższy jestem i mam ciągle twoje serce w mojem sercu, dlatego więc, piszę tak, abyś i ty, moja droga, miała cząstkę tego pokoju, który jest we mnie«... »Dotąd smutno nam było i gorzko, bo myśleliśmy, że jedynie dla kawałka ziemi cierpieć musimy rozłączenie i znosić tęsknotę... lecz teraz wiedz, droga, że nietylko dla ziemi, ale i dla nieba cierpimy, a cierpienia tego nie uszlibyśmy żadną drogą idąc, wszędy spotkałoby nas ono i zaszło drogę, ażeby się duchy nasze w nim oczyściły i nauczyły nowych a potrzebnych im cnót i wiedzy dalszych rzeczy«.

»Nie potrzeba zaś, abym ja ci mówił, jakie te cnoty nowe i te wiadomości są; zawołaj sercem i gorąco tych,

którzy umarli, a są jeszcze sercu twemu najbliżsi, a powiedzą ci i rozwidnią wszystko; a będą to lepsi i świętsi nauczyciele, niż ja, któremu się należy u stóp twoich leżeć z pokorą i ze łzami«. W ten sposób udzielał Słowacki matce wiary swojej w nieustanny wpływ duchów na człowieka, ale jakby chcąc uspokoić ją, że nie ma w tej wierze nic heretyckiego, dodawał zaraz: »wiedz, że piszę po spowiedzi i po przyjęciu Sakramentów, a musiałem szukać prostaczka wielkiego, aby mię rozgrzeszył, bo rozumni wypędzają z domu Św., oskarżając o walenie tegoż domu przedtem i teraz... a boją się o siebie i nie wiedzą ani pojąć nie chcą, że to jest odbudowanie prawdziwe w czystości i pokorze«... »Wiele więc może próżnych ech dojdzie do ciebie; więc jeżeli mi nie uwierzysz, będziesz się smuciła, myśląc, żem się zaparł rozumu mego i zszedł z drogi, na której mnie witano. Albowiem teraz mi przyznają rozum dawny i prawość dawną, a na teraźniejszego i prostego człowieka utyskują; ale ja wiem, że mnie Bóg nie opuści, bom ja także nie opuścił żadnej pracy około świata... i już nietylko głową, ale całym sobą wojuję, a najwięcej wnętrzem najczystszego czucia; a tak czyniąc nie tylko za siebie, ale i za tego, który leży w grobie na Rossie (t. j. za ojca) i wszystkiego jeszcze nie spełnił, ja odrabiam pracę i wiem, że go to raduje«.

W dalszym ciągu poeta zapewniał matkę, że w dawnym tonie jego listów »była nędza serca, a tu jest zdobywane bogactwo i pierwsze garście wydane ze skarbu nowego«... »Dusza moja była pełna skarbów oddawna, lecz nie było w niej miłości i dlatego sama jadła wnętrzności swoje, nie mogąc skądinąd brać pokarmu« [1]).

Ale i te wyjaśnienia nie były wystarczającemi dla serca matki, która w ostatnich pełnych mistycyzmu i chrześcijańskiej abnegacyi listach nie mogła poznać swego da-

[1]) Listy do matki II. 165—167.

wnego Julka, z góry na świat patrzącego i rojącego tylko o wielkości i sławie. Znając dobrze jego naturę, wiedziała, że te rojenia stanowią główną treść jego duszy, z temi też rojeniami zespoliła i własne swoje marzenia. W jej ciemnem, sierocem życiu sława poetycka syna była jedyną gwiazdą na niebie, zsyłającą jej nadzieję i pociechę. Teraz mistyczne obłoki, które się z listów syna podnosiły, zakrywały jej tę gwiazdę pocieszycielkę. A przytem nie mogła ona pojąć, jak mógł zrzec się jej syn tych świeckich rojeń o sławie, które z myślami o niebie i duchach i chrześcijańskiej pokorze pogodzić się nie dawały. Nie byłoż w tem jakiego zwichnięcia umysłowego, jakiemiś nadzwyczajnemi, a szkodliwemi wpływami wywołanego?

Taka obawa musiała bardzo wyraźnie wypowiedzieć się w jednym z następnych listów matki, skoro Słowacki (pod datą 18 stycznia 1843) tak pisał do niej i do wujostwa, którym zapewne przypisywał podsycanie niepokoju w matce: »Najdrożsi moi! Prosiłem i błagałem, abyście sercem, nie zaś rozumem, wzięli słowa moje. Jakże mię więc boli boleść wasza i ta nieufność w świętości moich przedsięwzięć, w opiece Bożej. Będęż-li wam pisał, że świat się zmienia, że garstka ludzi zaczyna Duchem czystym i boskim spełniać a raczej gotować się do spełnienia Jego woli, że to nie sen żaden, ani guślarstwo, ani magnetyzm, ale proste obudzenie boskości w sercach przez człowieka czystego i Bożego, który prowadzi nas małych i pracujących teraz nad sobą, abyśmy się zmienili w sobie, stworzyli Duchem i cierpieniem wnętrznem to, czego nam potrzeba, ten cel, wznioślej pojęty, niż wszystkie dotąd cele. Nie wątp ty, która mnie urodziłaś, bo wszelkie drgnięcie ducha mego powinno ci się dać uczuć, wszelkie podniesienie podnosić, wszelka ofiara cieszyć«. A czyniąc alluzyę do jakichś słów listu o wielkości, pisał dalej: »Myślicież wy, że to pół śpiąc, pół bawiąc się, można być wielkim człowiekiem w oczach Boga?...

Bluźnierstwo piszę, ale jest napisane, wielkim, mówię, to jest godnym opieki Jego, prawdziwym narzędziem, przez które On swoją wolę spełnia... Nie przydawajcie więc zimna do zimna i oporu światowego do oporu; dosyć jest ludzi strzegących mizernych swoich pozycyj i dumy własnej i czci światowej... i fałszów... ale muszą być i tacy, co zapomną o sobie, a wtenczas będą silni i niepokonani...« I tu poeta składał wyjątkowy dowód trzeźwości w sądzie o sobie samym. »Nie mówię, aby mi to łatwo było, abym nie staczał walk z sobą i z częścią dumną ducha mojego, który się ułożył i ustroił podług świata, ale ufam, że mię i modlitwy wasze nie odstąpią i strach o mnie nie będzie trwożył, albowiem czegoż mi dowiedziecie? Że oto nie jestem w oczach waszych i w nadziei waszej takim, jakim być chcę. Że oczy wasze nie patrzyły nigdy na ludzi pełnych i nie przeczuwają, jacy ludzie być mogą... Niczego więc nie żądam od was teraz, tylko wiary w Bożą moc, miłość i sprawiedliwość«.

Właściwie żądał więcej, co się z dalszego ciągu tegoż listu okazywało. Jego wiara w moc swoją wskrzeszania serc ludzkich, tak energicznie wypowiedziana w poetycznym manifeście wewnętrznego przeobrażenia, poraz wtóry doznawała zawodu. Z matką nie lepiej mu się wiodło, jak z kochanką. Ale w sercu p. Bobrowej zajmował on miejsce podrzędne i wiedział o tem, więc łatwiej mógł się pogodzić z zawodem, który go spotykał z tej strony. Inaczej było z matką. Nie miała ona nic droższego na świecie nad syna, a przecież i tego serca nie zdołał wskrzesić, to jest przelać w nie swojej nowej wiary. Więc trochę pocieszając sam siebie, trochę tłómacząc matce i wujostwu czego od nich pragnie, tak pisał dalej w tymże liście. »Rozlewanie się Ducha mocniejszego na duchy zrazu jest powolne, ciężkie i niewidoczne; listki na brzozach waszych zadrżą, bo wiatr poczują, ale stare zgrzybiałe drzewa długo stać będą, nie pokazując żadnego wstrząśnienia... Tego szmeru listków,

tego zadrżenia serc gorętszych chcę, a niczego więcej na teraz, i od tych, co czują, chcę, aby mocniej i głębiej poczuli, a sercem siebie wypracowali na takich, jakich Bóg żąda, to jest na ludzi prostych, czujących, na nieprzyjaciół wszelkiego fałszu i wszelkiej rzeczy poczętej przez nienawiść«... Lękał się jednak, że i to nie będzie dość jasne dla rodziny. »Czuję, że to wszystko jeszcze będzie niezrozumiane, jeszcze za exaltacyę wzięte, ale wam inaczej nie mogę wytłomaczyć siebie«.

Przypuszczając zapewne, że najwięcej »zimna i oporu światowego« idzie od wuja Teofila, który wrócił był wówczas z wygnania i przebywał część zimy z r. 1842 na 1843 razem z p. Becu, Słowacki pod koniec listu zwracał się osobno do niego i wzywał go do wyrobienia w sobie nowego stanu duszy, takiego, jakiego sam wówczas doznawał. »Niech ludzie nowego i różnego od siebie ducha poczują w tobie; wylej z siebie to, co świat dał, a wszystko staraj się wyczerpać z głębi serdecznej ducha, z ducha, który jest Boży, a podług św. Pawła, jeśli się z Bogiem łączy, jedno jest. Z ducha tego wyprowadź swoje obowiązki, skupiaj się i pierwej uczuj miłość dla człowieka, nim zaczniesz z nim gadać; wiedz zaś i to, że nie sam Duch twój zbawi się, ale odpowiedzialność ma za wszystkie duchy, wypełnienie więc missyi twojej musi być w związku z całą massą duchów, wiedz i to, że cię Bóg chłostą zmusi do zrobienia tego, czego sam nie wypracujesz i czego się sam nie domyślisz«...[1].

Ale i po tym liście — jak to zresztą Słowacki przypuszczał — ani matka, ani wujostwo nie mogli zrozumieć, o co chodzi Julkowi i wpadli na nowy pomysł rozwiązania zagadki: pewno chce księdzem zostać. Nie mogło się to uśmiechać matce, która o jakimś świetnym związku małżeńskim i szczęściu rodzinnem roiła dla syna, szczęściu, które i jej starość swoimi promieniami

[1]) Listy do matki II, 169—173.

ogrzaćby mogło. Więc poszło zapytanie do Paryża, czy prawdziwy jest domysł. Słowacki rad był, że może stanowczo uspokoić matkę w tym względzie i skorzystał z tej sposobności, aby zaznaczyć wyraźnie swoje stanowisko względem Kościoła, który Towiańczycy nazywali urzędowym, i na niego zwalić winę dawnej swej obojętności religijnej«. »Najdroższa moja — pisał 18 marca 1843 — nie tracąc chwili odpisuję, abym cię wyprowadził z trwogi i uspokoił, bo pojmuję, ile cię taki straszny domysł zatrważać musi. Nie, nie zostanę nigdy księdzem... Oni to, faryzeusze miłość udający, obrzydzali mi próg kościelny i pokazywali do Boga drogę maleńką i pełną fałszów, po której tylko robactwo ludzkie pełznąć mogło... Żądza prawdy, sprawiedliwości, wiary zawsze trwała w sercu mojem, stąd moje nieraz gorzkie urąganie światowi, stąd rozpacz i samotność serca, albowiem sądziłem, że daleką jest epoka, w którejby tłum cały lub nawet garstka ludzi mogła się zebrać w Imię Boże i otrzymać od Niego obietnicę, że w pracy im dopomoże«... »Otóż Bóg przyśpieszył tę porę, ludzie stanęli, Opieka Boża ukazuje się im widocznie, a oni według myśli Pańskiej tworzą w sercach swoich nową ojczyznę, gotowi na wszystko... lecz Bóg pokazuje im tylko pracę dnia każdego, a na każde jutro zapuszcza zasłonę. Kto więc zapyta się tych ludzi: cóż wy zrobicie? nie otrzyma żadnej zaspakajającej rozum jego odpowiedzi«.

Podobne pytanie, mniej lub więcej kategoryczne, musiał znaleźć Słowacki w listach z domu, a obok tego inne: jak się dzisiejsze jego wyobrażenia dadzą pogodzić z całą jego przeszłością, z całą poetycką twórczością, znajdujemy bowiem w cytowanym liście ustęp, który jest jakby odpowiedzią na takie pytanie: »Przeszłości życia mego nie żałuję, ani pogardzam tą podstawą, którą sobie wybudowałem i z której mi teraz łatwiej postępować wyżej. Sądzę, że w kwiatach, które mi kwitły, są niektóre wonie prawdziwe i potrzebne stworzeniom oddy-

chającym, ale dzięki Panu, żem przez te flety nie wydał całego ducha i nie wylał całej duszy mojej, a to, co zostało, nie będzie stracone«. Była tu wreszcie i odpowiedź na marzenia matki o przyszłem szczęściu syna i jego małżeństwie: »Mówię wam, że nagrodą moją jedyną jest prosty domek pod lipami i miłość świata, która go nam ogrzeje w dni zimowe«... »a jeżeli ty mi, droga, przygotujesz jaką dobrą żonę i za rękę ją wprowadzisz i posadzisz przy mnie, przy Wielkanocnym stole, nie odwrócę się od niej zmarszczony, chyba że ona się zmarszczy, widząc mnie cokolwiek podszarzałego na służbie Bożej żołnierza... Jeżeli więc to będzie Byronianka, to niech sobie idzie szukać cienia mojego na skale Leukady i pod kolumnami Ateńskiemi i z przeszłym Julem niech się żeni, bo teraźniejszy chce uśmiechu na ustach kobiety, dobroci, prostoty i spokojności serca. Lecz to szczęście ziemskie jest tylko podrzędną rzeczą...« [1]).

Ale pomimo tylokrotnych wyjaśnień poety nie mogła rodzina zrozumieć jego nowego stanu duszy, nie mogła pogodzić swego dawnego wyobrażenia o nim, jako o genialnym, rwącym się do sławy, i bajronicznie nastrojonym młodzieńcu z tymi mistyczno-religijnymi głosami, które się odzywały z listów jego, a zdawały się pochodzić od jakiejś obcej, nigdy tej rodzinie nieznanej osoby. Więc strach ją ogarniał, w szczególności matkę, która nie mogła sobie zdać sprawy, co się stało z jej synem. Ona pragnęła odzyskać swego dawnego Julka, często kapryśnego, chełpliwego, zawsze swojem »ja« zajętego, ale prawdziwego, zrozumiałego, dla którego szczęścia żyła, a to szczęście wyobrażała sobie po części tak, jak on ją nauczył wyobrażać, to jest jako wielką sławę poetycką, po części własnym prostym rozsądkiem, jako zwykłe powodzenie zewnętrzne. Jak dawniej, tak i teraz pragnęła mieć jak najwięcej szczegółów z jego realnego życia, aby

---

[1]) Listy do matki II, 173—178.

uprzytomnić sobie mogła jego postać, jego powodzenie. Cieszyła się, kiedy mogła wyobrazić sobie swego syna tak naprzykład, jak się jej odmalował w ostatnim liście przed transfiguracyą, w czarnem ubraniu, blado-żółtych rękawiczkach i lakierkach wśród »małych codziennych tryumfów« na salonach księstwa Czartoryskich. Ale od kilku miesięcy Julek nie pisał jej ani o swojem życiu zewnętrznem, ani o zamiarach tego życia dotyczących, karmił ją tylko jakiemiś niejasnemi nadziejami, jakiemiś dziwnemi teoryami o duchach, które jej wyobrażenie dawnego Julka zacierały, a nowego dać nie były zdolne. Cóż mogła zrozumieć z takich zapewnień syna, że »do końca życia ma drogę pełną słońc i tęcz prawdziwych«; że »ta mu wystarczy, choćby żył najdłuższe lata«. Czuła, że pomiędzy nią a synem zrywa się ten węzeł, który pomimo oddalenia pozwalał jej duszy obcować z synem i posiadać go chociaż z daleka, a wyczerpawszy wszystkie domysły tej przemiany, z przestrachem stała przed zagadką, której rozwiązać nie mogła.

Na list, w którym się ten przestrach odmalował, Słowacki odpowiadał (5 czerwca 1843): »Dla czego się wam listy moje wydają tak niezrozumiałe? Dlaczego ja sam się wydaję taki zmieniony? Dlaczego silniejsze uderzenie serca mojego dla rzeczy Boskich przeraża was? Czyliż rodzina nasza nie dosyć odebrała nauk z ręki Boga? któreż z nas znalazło szczęście, szukając go zwyczajnemi sposoby, podług prawideł teraźniejszego świata na ziemi?« I tu przechodził kolejno losy najbliższych z rodziny, począwszy od wuja Jana, który zginął w powstaniu. »Czy Jaś, którego głowa pełna błysku i nauki śpi teraz w dębowym lesie pod konwalijami? Czy Fil, który tyle razy na wsi spokojnie osiąść próbował, jak wróbel, co usiłuje siadać na kłosach? Czy Sylli taka teraz rozsądna a taka dla mnie kochana, której dzieciątko Bóg wziął i już nie odda? Czy ty nareszcie, droga moja, podobno najbiedniejsza z nich wszystkich? Lękaj się, droga moja, bo teraz

najstraszniejszą nauką byłaby garść prochu mego i puste echo, któreby zaczęło gadać po górach imię moje«.

Co znaczyła ta groźba? Wypływała ona z nowej wiary Słowackiego, że człowiek odpowiedzialny jest nie tylko za siebie, ale i za inne duchy i że Bóg chłostą zmusza do zrobienia tego, czego człowiek sam nie wypracuje. Jego śmierć byłaby taką chłostą dla rodziny, która głosu prawdy nie chciała przyjąć, ale zarazem karą dla niego samego, odpowiedzialnego za to, że najbliższych sobie krwią i sercem nie zdołał pociągnąć ku prawdzie. Czując tę swoją odpowiedzialność i przekonany o wielkości swojej misyi, jako wskrzesiciela dusz, doznawał wielkiego udręczenia, gdy nawet w najbardziej otwarte dla siebie serce matki swej wiary ognistej przelać nie mógł i pod wpływem tego udręczenia nie wahał się mignąć przed oczami matki tak straszną dla niej groźbą.

Skutek był natychmiastowy, choć nie taki zapewne jakiego pragnął poeta, to jest więcej pozorny, niż rzeczywisty. Matka przerażona złowróżbnemi słowami syna, zrozumiała, jak jej opór, niedowierzanie i niepokój muszą go rozdrażniać i nie chciała już niczem przyczyniać tego rozdrażnienia, które kto wie jakie mogło mieć skutki! Więc w odpowiedzi, którą wysłała na ostatni list synowski były już słowa uspokojenia i wiary. »Bogu niech będzie chwała, pisał do niej Słowacki 28 lipca 1843, że cię czwarta ewangelia po Wielkiej nocy natchnęła wiarą i przyniosła pewne uspokojenie. Jakże ty, droga, lękać się mogłaś o duszę moją! Czy ty nie wiesz, jak my podobni jesteśmy duszami do siebie? Więc nie wątpiłem, że skoro się dobrze, głęboko wpatrzysz w siebie, ujrzysz to, co się dzieje we mnie, i zamiast opierać się, będziesz mi pomagać, bo wyznam ci, że to jest trud na trudy owo wymiatanie serca swego ze wszystkich brudów, owo oczyszczanie wewnętrznego człowieka, tak, aby tworząc innych ludzi podług siebie, był pewny, że dobrze i dla Pana Boga pracuje«.

I uszczęśliwiony, że już zdobył nareszcie po całorocznem kołataniu do serca matki jej ufność dla swojej misyi, którą żył teraz jedynie, a nie podejrzewając, ile w wyrazach matki o własnym spokoju mogło być chęci uspokojenia syna, z zapałem zabrał się do dalszego, głębszego jej wtajemniczania w swój stan duszy i w zasady swojej wiary. Więc tłómaczył jej, jak »świat cały jest fabryką ducha, wyrabiającego w sobie miłość dla Boga«, jak »exaltacya prawdziwa Ducha Bożego jest celem nawet wyrabiającym się już w kamieniu«... »a nie kończy się to na człowieku, ale idzie wyżej i tak kolumna ta duchów kończy się na najczystszych, na najbardziej wyrobionych, najwięcej miłosnych«; jak »duch każdy ma swoją missyę na ziemi i zawiązuje stosunki z podobnemi duchami bez ciała już będącemi, które także podobną missyą miały i o dokończenie jej dbają«; jak można uczuciem łączyć się z niemi, » one wtenczas nam dają natchnienia, a według naszej wiary i czystości coraz wyraźniej je mówią do serc, a potem nieraz do uszu i oczu«; jak »najmniejsza rzecz nie jest trafem, ale dopuszczeniem Bożem i potrzebną do wielkiego celu«; jak »wielkie odmiany w narodach zajść muszą, a narody, które najbardziej cierpiały, muszą przewodniczyć«; jak on sam, dzięki idei która w jego sercu zatliła się, »już wiele rzeczy widzi lepiej, niż je dawniej przez teleskop i mikroskop widział i cały świat może podług niej sądzić i całą naturę, albowiem wie, na co jest świat i natura«; jak jego duch »wiele sobie instynktownie przypomina z dawnych żywotów«, a teraz Bóg mu pozwolił »dowiedzieć się nareszcie, jak ma dopełnić misyi, aby nie potrzebował już wracać i oblekać gorsze lub lepsze ciało, ale aby już poszedł między Aniołów... i stamtąd jeszcze natchnieniami, miłością dopomagał tym, co idą za nim« [1]).

To wszystko pisał prędko, według własnego wyra-

[1]) Listy do matki II, 179—184.

żenia »jak szalony«, chcąc, aby jak najwięcej ducha wylało się z niego i »poszło żywić i utwierdzać« matkę w nowej wierze. Jakże matka przyjęła ten nowy, gorętszy od poprzednich wylew ducha synowskiego? Listów jej nie znamy i tylko z odpowiedzi syna można nieco wnioskować o ich treści. Tym razem wiemy, że po tym liście syna nastąpiło dłuższe milczenie ze strony matki, ale nietrudno odgadnąć, co się pod zasłoną tego milczenia ukrywało. Wzniosłość i piękność marzeń, w liście synowskim odmalowanych, nie mogły nie przemawiać do jej poetycznego serca i przyklasnęłaby im niewątpliwie. gdyby je syn podawał jako fantazyę poetycką; ale widząc, że te marzenia stały się dla niego gorączkową wiarą, która mu odjęła wszelkie poczucie rzeczywistości, po tym nowym wybuchu tej wiary, jeszcze więcej się o syna zatrwożyła; tylko nie śmiała już ani słowem — przynajmniej do czasu — trwogi swojej przed nim wypowiadać.

ROZDZIAŁ XII.

Stosunek do Krasińskiego i Mickiewicza.

1842—1843.

Próba nawrócenia Krasińskiego. — Ton pokory. — Nauki dawane Krasińskiemu o szacie z jęków i hełmie z błyskawic; realizacya. — Odpowiedź Krasińskiego; obrona piękności pogańskiej. — Krytyka jednostronności towianizmu. — Różne drogi przyjaciół. — Stosunek Słowackiego do Mickiewicza, jako zastępcy mistrza. — Majówka wrześniowa. — Trzeci kurs wykładów Mickiewicza. — Protestacya przeciw apostazyi Mirskiego, uświetniona kometą. — Słowackiego tęsknota za dawnem sumieniem i krytyka życia wewnętrznego w kole. — Spowiedź w kole i przyjmowanie medalu. — Niechęć braci ku Słowackiemu.

Widzieliśmy starania Słowackiego, aby dla nowej swej wiary pozyskać kochankę i matkę; zobaczmy teraz, jak mu się wiodło w takichże staraniach, zwróconych ku przyjacielowi. Stosunek między nawracającym a nawracanym był tu zupełnie inny. Tej przewagi umysłowej, którą Słowacki miał nad matką i nad p. Bobrową, i której był świadomy, nie mógł uczuwać w stosunku z przyjacielem, który dotychczas tak często występował wobec niego w roli mentora i przewodnika, którego sam był nazwał swoim »archaniołem wiary«. Żeby pozyskać Krasińskiego dla nowej wiary, wypadało Słowackiemu zamienić się ze swoim przyjacielem na stanowiska, stać się mistrzem swojego dotychczasowego mistrza, co jużciż nie było rzeczą łatwą. I to może było przyczyną, że Słowacki tak długo ociągał się z oznajmieniem przyjacielowi

o wielkim przewrocie, jaki się stał w jego duszy. Kiedy Mickiewicz natychmiast po rozpoczęciu Sprawy zwrócił się do swego przyjaciela — słowiczka z wezwaniem do udziału w radości i łaskach nowego objawienia, Słowacki uczynił to względem Krasińskiego dopiero w pięć miesięcy po swojej Transfiguracyi. Trudność i skądinąd jeszcze pochodziła. Słowacki, jak wiemy, — jeszcze przed nawróceniem się swojem — pisał do Krasińskiego o Towiańskim i jego pierwszych wyznawcach pogardliwie, nazywając ich »mistycznymi waryatami« i od Krasińskiego w jednym z późniejszych listów otrzymał zapewnienie, że on, w cuda wierząc zawsze i wszędzie, w cudotwórców nie wierzy prawie nigdy. Nieskładnie mu więc było występować teraz przed przyjacielem z uwielbieniem tego, co przedtem obaj potępiali.

Ale zaszła okoliczność, która przypomniała Słowackiemu obowiązek, ciążący na nim, pozyskania dla nowej wiary przyjaciela, a która zarazem torowała mu drogę do porozumienia się w tej sprawie. W grudniu 1842 rozpoczął Mickiewicz nowy, trzeci kurs swoich wykładów w Collège de France i zaraz na pierwszym wykładzie zapowiedział, że ma w następnych wykładach roztrząsać *Nieboską komedyę*, a w drugim wykładzie przytoczył wyjątek ze wstępu do tego poematu, aby pokazać, jak Polacy pojmują poezyę, albo raczej, żeby słowami Krasińskiego wypowiedzieć własne przekonanie, że prawdziwą poezyą jest wcielanie w czyn swoich natchnień, czyli to, co się realizacyą nazywało w języku Towiańczyków. W obu razach Mickiewicz z wielkiem uznaniem mówił o anonimowym poecie.

Otóż Słowacki, który teraz uczęszczał pilnie na wykłady Mickiewicza, postanowił skorzystać z drugiego wykładu, aby donosząc o nim przyjacielowi, przedstawić mu towianizm jako coś, co on już przeczuwał, i wezwać do uznania Mistrza. »Wiedz — pisał — że jest człowiek, który rozwiązuje duchy i stawia je nad ciałami, wkłada-

jąc im wszelkomożne korony... wpajając w nie królewskość mocy, łącząc z Bogiem; a to wszystko prostą, ożywczą, Bożą siłą, jednem słowem, które świat materyalny robi snem w oczach człowieka, a wyciąga z niego dążność ku nieśmiertelności Bożej«... Tak pisał na podstawie własnego doświadczenia i zaraz dawał ukrytą przestrogę przyjacielowi, aby nie odtrącał tej jedynie zbawczej nauki. »Nauka Jego nie potrzebuje się rozwijać, bo ci, którzy są gotowi, przyjmą ją, a ci, na których czas nie przyszedł, odrzucą, a jednak odrzuciwszy będą mieli targane sumienie i serca do krwi rozdarte«. Nową ideę w świecie duchowym przyrównywał do systematu Kopernika: »Dosyć było powiedzieć któremu uczonemu astronomowi przeszłości, że słońce stanęło, a on już sam w obserwatoryum swoim od lunet i teleskopów dowiedziałby się reszty.... Ale gdybyś ty jednak wiedział, jak ten szlachcic litewski wśród sosnowych lasów wyciągnął z myśli Bożej wszystko — i wszystko odtworzył na nowo — z prostotą pastuszą i z pohamowaną w sobie ludzkością, wziąłbyś go pewno za Pana i przewodnika. A nie mógłbyś inaczej, bo idąc do któregokolwiek ze słońc drogi mlecznej, napotkasz go między słońcem a ziemią, a jeśli przez niego nie przejdziesz, będziesz musiał wrócić się na świat, gdzie wiesz sam, co napotkasz, co tworzyć, z czem walczyć będziesz. On tworzy to koło, które przez wyduchowienie się swoje nie ma wyższego na ziemi, ale trzyma na ramionach duchy, wiąże się z niemi i działa za nie«.

Po tej apoteozie mistrza, jako pośrednika między niebem a ziemią, następowało wezwanie już wprost zwrócone do Krasińskiego, aby stanął w szeregu wyznawców Towiańskiego. »Ty, który oddawna jesteś ogniem tych, którzy wokrąg ciebie stają, musisz koniecznie gotować teraz podobnych nam — i przyjść nam z legionem twórczoduchów w pomoc... Przemowę twoją do »Nieboskiej komedyi« wczoraj czytał z katedry profesor, wystawiając ą Francuzom za model tego pojęcia, jakie my nowi lu-

wielkiej wagi, każe ją nosić, jak gwiazdę na czole i nie rozdzielać się od niej przepaścią słowa. Wysłowić ją, wypisać, jest to wedle niego zmarnować, zdradzić. Słowo napisane dowodzi niemocy do czynu. Grecy nawet nie inaczej pojmowali poezyą, jak w czynie: poezya po grecku znaczy działanie. Czegoż chce nasz autor? Oto żeby duchy najhartowniejsze, najwznioślejsze, najbliżej stykające się z Bóstwem, nie puszczając sił w czczych wyrazach, zachowały je całkiem na działanie, na czyny. Biada im, jeśliby tylko mieli gadać i pisać; wtedy to byliby skazani całe życie bawić się garstką zwiędłych kwiatów« [1]).

Słysząc te wyrazy potępienia poezyi, nie mógł ich Słowacki nie zastosować do swojej przeszłości poetyckiej, a choć z nią teraz zrywał, to jednak obok skruchy uczuwał pewien żal za pięknością »poganizmu«, który mu na dawnych drogach przewodniczył.

Nie znamy odpowiedzi Krasińskiego na ten list, wzywający do uznania nowej nauki. Wiemy tylko z dalszego ciągu korespondencyi, że w niej Krasiński dla wyrażenia swoich poglądów na sprawę wytoczoną przez Słowackiego sięgał do Apokalipsy i objaśniał niektóre jej obrazy, zapewne w duchu przekonań złożonych w *Przedświcie*, którego pisaniem już był wówczas zajęty. Bądź co bądź, odpowiedź Krasińskiego była tak napisaną, że zachęciła Słowackiego do dalszego nawracania swojego przyjaciela na na nową drogę. W jego drugim liście (z 17 stycznia 1843) mniej już jest kadzidła dla przyjaciela, a więcej nauczycielskiego tonu, a obok krytyki własnego dawnego stanu duszy znajdzie się i oględna krytyka poetyckiego nastroju Krasińskiego. Przedewszystkiem chodziło Słowackiemu o wtajemniczenie przyjaciela w to, co się nazywało realizacyą, a co stanowiło główną podstawę nauki Towiańskiego.

»Twój list apokaliptyczny świeci mi jak lampa w go-

[1]) Literatura słow. 1865, III. 16—17.

tyckim kościele, jak różyca różnokolorowa, przez którą patrzy słońce, ale roztęczowane, niepewne. Odgadłeś kilka kształtów, i z wzroku, który Adam (Mickiewicz) rzucił na jednego ze swoich uczniów, kiedym mu o liście twoim mówił, widziałem, że mistrz tak samo tłómaczy niewiastę w słońcu na włosach, z księżycem pod nogami. Ale czy to starczy? Czy to jest wszystko? Czy nie czujesz, że ta idea musi być działalną na ziemi, to jest czynioną przez ludzi, nie głoszoną przez usta ludzkie... Sercami i rękami trzeba światu wytłómaczyć objawienie św. Jana, spełnić je, być gotowymi do spełnienia, inaczej epoka wypełniająca oddali się jeszcze na tysiące lat, nie mając rycerzy, pełnych, wielkich ludzi, to jest takich, którzyby dla prostoty i prawdy odważyli się wbrew malowanemu fałszem światowi, zostać prostymi i prawdziwymi. Wielki to trud, duchowie wziąwszy, podobny do tej pracy Herkulesowej, kiedy przymuszony był czyścić stajnie Augiasza: wystawiasz sobie tego bohatera po kolana w bagnie, walczącego z błotem, strumieniami i zgnilizną? Otóż tak dzisiaj eleganckiemu światowi wydają się nowi pracownicy, których ideałem jest chłop i pastuch wierzący, a prawdziwy. A niedosyć nawet wszedłszy do groty lub stajni, gdzie tańcują pasterze, cieszyć się z przyjścia królestwa bożego, tańcować z nimi i uśmiech mieć na twarzy, trzeba koniecznie uczuć w sercu radość pasterską i być jako jeden z nich: tu więc jest trud. O! moje serce!!! Ty wiesz, jaki to kawałek szkła błyszczącego, to serce moje! A jednak musiało się ruszyć i nie stało się to bez przelewu do jego ducha — Ducha Świętego, którego choć najmniejszą wziąłem perełkę, a już sądzę się skarbnikiem bożym, już widzę postęp codzienny i światło nowe. Wszystko więc leży w tem nowem źródle żywem Ducha, z którego świat może brać, albowiem jest to otwór mały, przebity aż do dna, skąd leją się strumienie niewyczerpane. Wszakże my wszyscy enceladowaliśmy się do

nieba i udało się nam czasem, dla wielkiej boleści serc naszych, zdobyć cokolwiek ognia niebieskiego, ale dla braku prostoty naszej nigdyśmy źródła Ducha bożego otworzyć nie mogli. W tobie także błyskało nieraz światło prorockie, ale straszne, a głos twój był podobny językowi. Mówię ci więc, drogi, że wkrótce szata z jęków a hełm z błyskawic wyda się aktorstwem i sprzecznością śród prostoty i wypogodzonych twarzy i nagich piersi bożych rycerzy. Ileż razy ja sam jeszcze jęknę z największą rozpaczą, myśląc, że mnie wszystkie mary tego świata odbiegły i nie został mi jak Chrystus. Tak duch mój rzucony na różne drogi stracił prawdziwe uczucie nagiej prawdy i nieubranej w złotogłowie piękności! Widzisz więc, że pod chłostę idę i opieram się często, bo wolałbym nieraz odwrócić się znów w te gaje ciemne, laurowe, gdzie świecił księżyc i wspomnienia były drzew Dryadami. Ale już nie można! już nie można! Nowe sumienie urodziło się z Ducha nowego, nowe cierpienie przyszło dla sfałszowanych serc, dla bohaterów świata przeszłego«.

Niektóre z ostatnich wyrażeń tego ustępu przypominają nam list Słowackiego do przyjaciela, umieszczony jako przedmowa do *Lilli Wenedy*, list, w którym autor *Lilli* »z lekkością i ciszą letniej błyskawicy przedzierał się przez czarne liście drzew nieśmiertelnych do Endymiona poezyi, drzemiącego w cieniu gajów laurowych«. Trzy lata jeszcze nie minęły od tego listu, a jakże różnym był teraz stosunek dwóch Wenedów. Ateńskość ducha, ten łańcuch wiążący ręce bratnich bohaterów, wydawała się teraz Słowackiemu, w świetle nowej nauki, wobec prostoty i nagiej prawdy Chrystusowej, barwidłem fałszu, a tego, który był wtedy jego nauczycielem, od którego jedynie słyszał »słowa nadziei i zmartwychwstania«, który się gorszył brakiem poczucia chrześcijańskiego w *Lilli Wenedzie*, tego sam teraz nauczał o prawdziwem zmar-

twychwstaniu serca przez łączenie się z duchem Bożym, i wzywał do zrzucenia z siebie »szaty z jęków i hełmu z błyskawic«. To, co mówił o własnem sercu, »tym kawałku szkła błyszczącego«, było dowodem głębokiej skruchy i zarazem świadectwem największego cudu, jakiego dokonał Towiański, a nauka, którą dawał Krasińskiemu, trafiała w najsłabszą stronę przyjaciela i jako poety, który się nigdy nie zdołał wznieść do prostoty i jako obywatela, który wieszcząc o czynie i o nieustannej pracy »na ziemi mogił«, dzięki różnym fatalizmom wiódł życie bezczynne w dali od tej ziemi.

W dalszym ciągu tego obszernego listu Słowacki potrącał o różne dogmaty nowej wiary, jak »łańcuch żywotów«, odpowiedzialność za tego, kogo się duchem zaczepi znaczenie narodowości (solidarne misye duchów powiązanych z sobą wspólną odpowiedzialnością), kolumny duchów świętych. W historyi widział »cudowną harmonię między duchowymi pracami a boleściami ciał, które są chłostą niby bożą i przymusem i nauką duchów«; stąd »wszystko się wyjaśnia, Bóg się pokazuje z każdej mgły, z każdej chmury«. Przedewszystkiem zaś chodziło mu o to, aby pokazać przyjacielowi, którego chciał pozyskać dla nowej wiary, na czem polega zadanie jej wyznawców. »Uczuciem, ogniem miłości, ściągnięciem woli Bożej na ziemię możemy odbudować świat i postawić go w kształcie zupełnie nowym. Praca więc powinna się zacząć w nas samych, to jest powinniśmy w sobie wyrabiać doskonałą moc czucia, zlewać go, spiorunować w sercu, a to wszystko z cichością i prostotą ludzi mocnych i mających wielkie rzeczy do wypełnienia«. A zapewne spostrzegłszy, że niedość wyraźnie określił to zadanie, wracał do niego w dopisku. »My za każdym krokiem w idei zastanawiamy się, zamieniamy ją w krew, w ciało, w naturę naszą i robimy ją czynem, a czyny te małe na teraz z rozgorzeniem w nas Chrystusowej natury będą powiększały postać, aż zwyciężymy świat, i zaprawdę, że go zwyciężymy, a nie zo-

stanie po nim nawet takich ruin, jak rzymskie; bo powiedz? czy kupy rozrzuconych pieniędzy w bankach bankierskich będą świadczyły o tych mamutowych figurach zmateryalizowanej, źwierzęcej ludzkości? Czy kupieckie księgi gdzieś gnijące wydobędą łzę z oczu nowej kiedyś Korynnie?«

Rzadko kiedy u Słowackiego ton serca był tak czysty i prawdziwy, jak w tym liście. Przemawiając z serca, chciał trafić do serca, nie do rozumu przyjaciela i wyraźnie to zaznaczał: »Wszystko to jest proste i nie do rozumu twojego, ale do serca twojego pisane«. A w końcu listu przemawiał: »Weź sercem to, co ci piszę, a jeśli tego żądasz, obszerny ci list drugi wyleję prosto z ducha, abyś żadną cząstką ducha twojego nie był odstrychnięty od ducha bratniego«.

Ale Krasiński nie sercem wziął list do siebie pisany, tylko głową, i z głowy też odpowiedział. Miał on gotowy, ustalony, a oparty głównie na Prolegomenach Cieszkowskiego pogląd filozoficzny na tok dziejów świata, miał gotową, z Mickiewiczowskiej poezyi zaczerpniętą ideę o Chrystusowem posłannictwie Polski, którą już wcielał w kształty *Przedświtu*, do tych gotowych rzeczy przymierzył treść listu przyjaciela i dał odpowiedź, która z tego przymierzenia wypadła. Ponieważ ludzkość ma mieć trzy epoki, ponieważ nadchodząca epoka trzecia (według zasady Heglowskiej, za tak niewzruszoną mianej, że nią z samym Heglem wojowano), ponieważ ta epoka trzecia, jako synteza, miała być pogodzeniem pogańskiej tezy z chrześcijańską antytezą, więc nie trzeba się odżegnywać od piękności pogańskiej, nie trzeba się odwracać od laurowych gajów, oświetlonych księżycem, a zaludnionych Dryadami, ale z dwóch piękności: pogańskiej i chrześcijańskiej, podług gotowej recepty, stworzyć trzecią. »Dwie sfery przygotowane przebiegliśmy dotąd, każda z nich wzięła na się rozwinięcie jednej z jednostronnych części, składających całość, czyli życie! Piękność czyli praw-

dę kształtu pojęło pogaństwo, prawdę czyli piękność myśli chrześcijańska era upłyniona od dni Chrystusowych. A czemże czyn, życie, świat przyszły nasz, jeśli nie doskonałym zlewem tych dwóch jednostronności.... Każda z osobna jest niecałka, jest ułomna, przeznaczona znikomemu błyśnięciu gorżkim losem urodzenia, rozkwitania i upadku. Obie razem skojarzone, przemienione w harmonię, wywyższone, są bez miary, bez granic, bez końca życiem i w sobie dopełnionem i coraz dalej z siebie tworzącem wszystko! Więc owszem ja ci mówię, że gdy tak prawdziwie pojmujesz czyn, tak głęboko wzdychasz doń, ty wcale nie odsuwasz się od tego, co nieśmiertelnem z świata pierwszego ludzkości pozostało, — od piękności! Przeciwnie, ty żądasz, by myśl Chrystusowa, która dotąd idealną prawdą była, wcieliła się w widomą rzeczywistość, w kształt powszechny, planetarny, godzący wszystko, organizujący wszystko, a czemże kształt prawdy, jeżeli nie piękność? Zatem dążysz ku piękności, nie już tylko w marmurach, płótnach, dźwiękach i miarze wierszowej, ale ku piękności żywej, ku najwyższemu stanowisku piękności! O! zawracasz ku pogańskiemu światu i wyciągasz owszem ramiona k'niemu i wołasz na jego obalone posągi, jak Ezechiel na kości umarłych, mówiąc: »Chodźcie, wy, martwe, ja was żywemi uczynię, dotąd był kamień z was, teraz będą ludzie«. Nie myl się więc, nie purytanuj mi się, nie zasępiaj oblicza prawdy, chcąc by naga stała, jako stała dotąd: przyszła chwila dla niej ustrojenia się w kwiaty zwierzchnie, w suknię weselną« [1]).

Więc i realizacyę i zadanie nowego człowieka pojmował Krasiński inaczej. Czyn podług niego, to »myśl i piękność w miłości nastroju zawarte«. Myśl i piękność w człowieku są jakby dwoma aniołami zlanymi w jednego ducha. »Im zgodniej, im święciej, im żywotniej

---

[1]) Listy Zygm. Krasińskiego III. 41—42.

splatać umiemy tych dwóch aniołów w koronę naszego Ja, tem wyższymi duchami się stajem, bo wtedy two rzym więcej z siebie, czynimy więcej, podobniejsiśmy do Pana, w którym najwyższe pogodzenie tych dwóch połowic wszechżycia się znajduje«. Obecnie nie tyle z braku prawdy cierpimy, ile z braku piękności, »bo przepis Chrystusa waży się w przestrzeniach nad nami, lecz kształt ludzkości nie dorównał jemu«.

Na jedną rzecz zgadzał się bezwzględnie, na pojmowanie narodowości, jako odpowiedzialności wspólnej i korzystał z tego tematu, aby wypowiedzieć, zalecić, podsunąć niejako Słowackiemu i jego współwyznawcom ideę, którą stroił wtedy w blaski poetyckie w *Przedświcie:* mesyanicznego powołania Polski. Idea ta nie była jego własną, oryginalną, płynęła z tego samego źródła, co towianizm, ale Krasiński niezależnie od towianizmu przyjął ją za swoją, ażeby uwieńczyć, jak kopułą, gmach swoich filozoficznych poglądów i w ten sposób zamknąć jego budowę. Podług niego tedy Polska jest »pośrednikiem między bolem teraźniejszym (ludzkości), a zbawieniem w przyszłości; ona wyobraża Chrystusa na ziemi; ona absolutną prawdą na teraz odrodzenia się ludzkiej natury; ale na to, ona powinna wiedzieć o sobie samej, że przez łaskę i miłość Wszechżywiącego, płynąc po fali wieków, przemieniła się z kraju w ideę, z historycznego wypadku w religijną prawdę«.... »musi objawić prawo boże, myśl Pańską o ludzkości!«

I w tym względzie gotów był przyznać wielkie znaczenie, wielką zasługę Towiańczykom. »O to kusicie się, bracia moi, to waszem jest usiłowaniem. I błogosławieni jesteście za to, żeście pierwej pojęli to i starali się to uczynić«. Ale nie zgadzał się na sposób realizacyi, wcielania myśli Chrystusowej przez Towiańczyków, taki, o jakim z listu Słowackiego, a zapewne i skądinąd mógł powziąć wyobrażenie. Raziła go jednostronność, którą uważał za krzyż dla każdej czystej i świętej idei. »Spójrz na Rzym,

zobacz jak rozprowadził myśl Chrystusa: *Discite justitiam, exemplo moniti!* Bądźcie żywą, wszechstronną, wszystko pojmującą miłością, nie jednostrońcie się, nie każcie duszom waszym nosić pęta«... I pod koniec listu wracał do tych samych rad i przestróg. »Pamiętajcie, że wszechstronność pierwszą cnotą waszą być powinna, że nic nie odrzucać, niczem nie gardzić, ale wszystko wywyższać, wszystkiemu miejsce dać, a piękniejsze i lepsze powinniście.... Bądźcie pełniejsi miłości od tych, którzy twierdzą, że ich rzemiosłem jest miłość i t. d«.

Krytyka jednostronności, którą Krasiński spostrzegał w Słowackim i jego współwyznawcach, była jużciż słuszną, rady, które dawał, były zapewne zbyt ogólnikowe, ale także słuszne, ale w całości wzięta odpowiedź Krasińskiego zestawiona z listem Słowackiego, wygląda jak traktat filozoficzny przy gorącem wyznaniu wiary. Nie była to odpowiedź serca na wezwanie z serca i należy przypuszczać, że już dlatego nie mogła się podobać Słowackiemu. Odpowiedział on wkrótce na ten list Krasińskiego, ale tej odpowiedzi nie znamy. Adresowana do Rzymu, nie zastała tam Krasińskiego, który na dłuższy czas wtedy był się wydalił stamtąd i zaginęła, nie doszedłszy rąk jego. Czekając na nią Krasiński, nie pisał do Słowackiego, temu zaś zdawało się, że przyjaciel obraził się »wielką prostotą« jego listu i dlatego milczy. Napisał więc list drugi (23 marca 1843), który znamy tylko tyle, ile się odźwierciedlił w odpowiedzi Krasińskiego.

List był cierpki; Słowacki pisał, że już »nie czuje sercem serca« przyjaciela; wyrażał owo podejrzenie, dotyczące »wielkiej prostoty« poprzedniego listu, wogóle był w liście jego »jakoby kwas melancholijny« przeciwko Krasińskiemu, temu ostatniemu dostał się tu nawet epitet starej dewotki. Przyjaźń widocznie psuć się zaczynała, a jakkolwiek odpowiedź Krasińskiego była łagodna i ubolewająca, to jednak naprawić tego, co się popsuło, już nie mogła. Zanadto były różne drogi, na których stali wówczas

przyjaciele, pomimo, iż ideje, które wyznawali były sobie pokrewne. Mesyanizm Krasińskiego był przyrodnim bratem mesyanizmu Towiańczyków; z ojca Hegla, miał wspólną matkę, ewanielię. Ale stosunek wyznawcy do idei był bardzo różny. Tamci chcieli ją poślubić tak, aby się zamieniała w ich krew i ciało; pragnęli rzeczy niemożliwej, ale pragnęli szczerze i gorąco i nad tem tylko pracowali. Stosunek Krasińskiego do idei był poniekąd taki, jak do kochanek, począwszy od Henryety; czcił je, ubóstwiał, kochał, opiewał, gotów był wiele dla nich poświęcić, ale poślubić ich wbrew woli ojcowskiej, wbrew tradycyi, w której był wychowany, nie miał odwagi. Tak samo Irydyonowa idea czynu, której wspaniałe ołtarze stawiał w piersiach i w poezyi, w życiu ustępowała miejsca bezczynności.

Zdaje się, że tę różnicę w stosunku do idei uczuwał sam Krasiński przy pisaniu listu, o którym mowa. Była to chwila, kiedy ojciec naglił syna do małżeństwa, które miało wprowadzić poetę na tory życia, realizującego ambicye ojcowskie i nadzieje. »Lecz znowu, żeby moją osobistość zrozumieć, jeśli się godzi o niej przyjacielowi wspomnieć, — pisał przy końcu listu nieśmiało, jakby wstydząc się swojej »szaty z jęków« — trzebaby wiedzieć, o ile ona od roku ciągłą, a coraz gorszą znękana chorobą, i ile walk się jej zewsząd gotuje, i ile kielichów goryczy jej co chwila podawanych. Śmierć, gdyby tylko swego egoizmu słuchała, śmierć byłaby jedyną jej ulgą i prośba o nią codzień z ust jej wznosiłaby się do Boga. Ale trzeba ofiary«. Gdybyśmy się zapytali: dla kogo? odpowiedź byłaby: dla ojca i tradycyi rodowej, której on był dla niego przedstawicielem.

Zobaczmy teraz, jak się ukształtował po transfiguracyi ten Słowackiego stosunek, który był przedtem głównym regulatorem jego życia, a przynajmniej jego twór-

czości poetyckiej: stosunek do Mickiewicza. Słowacki — jak wiemy — zapalił pochodnię nowej wiary wprost od samego mistrza, ale stosunek jego osobisty z Towiańskim trwał bardzo krótko. Widział się on z mistrzem tylko dwa razy: gdy był przedstawiony przez Nabielaka i w cztery dni potem (16 lipca), kiedy już Towiański otrzymał był rozkaz opuszczenia Francyi.

Po wyjeździe mistrza zastępcą jego został Mickiewicz. Czy już przed wyjazdem mistrza (19 lipca) wiedział o przyłączeniu się Słowackiego do wyznawców nowej nauki? Prawdopodobnie widział Słowackiego w gronie tych, którzy przyjmowali od mistrza pożegnalne nauki w kościele św. Seweryna. Ale to pewna, że nie znał szczegółów porozumienia się Słowackiego z Towiańskim, i że był zadziwiony tą nagłą zmianą frontu swego dawnego przeciwnika, a poniekąd i zakłopotany swoją nową rolą moralnego zwierzchnictwa nad nim. Bardzo też być może, że wiersz Słowackiego *Tak mi Boże dopomóż*, wydrukowany w *Dzienniku Narodowym* z dnia 30 lipca był mu jeszcze przedtem znany z rękopisu, i że rola, którą tam sobie Słowacki przypisywał, którą *urbi et orbi* ogłaszał, rola Anioła »co wszystko przemoże«, którego głos »będzie głosem Pana« i t. d. wzbudziła w nim niepewność, czy mistrz jakiejś szczególnej misyi nie poruczył Słowackiemu; zwłaszcza, jeżeli wiedział o tem, co sobie Nabielak zanotował, że za drugiem widzeniem się z mistrzem Słowacki rozmawiał z nim sam na sam.

Wogóle nie wiedział Mickiewicz, jak ma sobie po wyjeździe mistrza poczynać z tymi, z którymi mistrz porozumiewał się bez jego pośrednictwa. Zaraz więc po wyjeździe Towiańskiego zapytał go o to listownie i otrzymał dwojaką odpowiedź (pod datą 27 lipca): jedną poufną, drugą, przeznaczoną do odczytania braciom. W poufnej Towiański pisał: »A ja z nowymi nic stanowczego nie zawiązałem, prócz przyjęcia czystego tonu od braci Bolewskiego, Słowackiego i Skindera — dla braci Nielubo-

wicza i Klukowskiego, jako w czasie wyzyw pański przyjmujących, miejsce otwarte w pierwszym szeregu: to tylko dla twej wiadomości«[1]). Znaczyło to, że były dwa szeregi wyznawców, bliższych sprawie, na których zupełnie można było polegać i dalszych, do których tym razem i Słowacki zaliczony został. Różnicę pomiędzy jednymi a drugimi, jeszcze bliżej określa druga »Odpowiedź bratu Adamowi«.

»Ile czucie czyste okaże się w braciach dziś łączących się (a czego rozstrzyganie do brata Adama z urzędu należy), tyle z istoty spojonemi będą — a dla istoty dusza nasza zawsze otwartą być powinna. Tacy jako bracia goście na zebraniach bywać raczą — do czasu rozstrzygnięcia co do formy, w jakiej sprawie służyć będą. Ostygnięcie lub odstąpienie drogi wzywanie gościa wstrzyma, co z braćmi poświęconymi miejsca mieć nie może. Zaciągu Pańskiego człowiek nie rozwiązuje. To się stosuje i do tych braci, z którymi ligę snować w miesiącu Julii rozpoczęliśmy«[2]).

Tak więc byli jedni bracia »poświęceni«, stanowiący Zaciąg Pański, ci mianowicie, którzy przyjęli z rąk mistrza lub potem jego zastępcy medal służby w świętym Zaciągu i którzy już tak się zespalali ze sprawą, że człowiek nie mógł już zerwać węzła, który ich łączył ze sprawą; i byli bracia »goście«, którzy mogli bywać na zebraniach, o ile »czuciem czystem« łączyli się z innymi braćmi, ale których można było odsunąć od zebrań, gdyby się okazało, że nie są dostrojeni do tonu koła. O usunięciu z koła miał stanowić starszy brat Adam. Tym sposobem Towiański, któremu nie mógł być obcym dawny antagonizm dwóch poetów, pozostawiał woli i sumieniu Mickiewicza zatrzymanie lub odsunięcie Słowackiego od związku.

Mickiewicz nie odsunął Słowackiego, i owszem, już

---

[1]) Współudział Adama Mickiewicza I. 35.
[2]) Tamże I. 34.

} lipca, według notatki Nabielaka, znalazł się wraz ze 'owackim w gronie kilku Towiańczyków, gdzie zapewne ıstąpiła pierwsza, w szczegółach nam nieznana, scena)ratania się dwu poetów, rozdzielonych dotychczas przeıścią, którą Słowacki w końcu piątej pieśni *Beniowskiego* ,ucił pomiędzy sobą a swym wielkim poprzednikiem w poe'i. Sceny nie znamy, ale wrażenie, które po niej i może) innych podobnych pozostało, drga niewątpliwie w tych owach listu do matki, w kilka dni potem pisanego: »Oto,ył mię krąg ludzi kochających, kosztuję nowego stanu ıcha, zdaje się, że błogosławieństwo Boże jest nademną« [1]). iedługo potem (7 sierpnia 1842) podpisy obu poetów znazły się wśród kilkudziesięciu innych na akcie obrony mirza, wygnanego z granic Francyi, przesłanym francuskiemu inistrowi spraw wewnętrznych w imieniu wszystkich owiańczyków. Posyłając to pismo Ignacemu Domejce na 'ugą półkulę świata Mickiewicz pisał: »Obaczysz na podsach dziwne skupienie osób, które się dawniej nie znały, teraz jednym duchem żyją i jedno serce w nich bije« [2]).

Ale najlepiej o serdecznem zbliżeniu się poetów świad,y ustęp z późniejszego wrześniowego listu Słowackiego) matki, w którym dla ostrożności mówiąc o sobie jako jakiejś Zosi, opowiadał matce o swojem pojednaniu się Mickiewiczem, o swoich odwiedzinach u niego na wsi, ι letniem mieszkaniu pod Paryżem w Saint-Germain-enaye. »Pogodziła się ona teraz z wielkim swoim przecinikiem, z którym ją nieraz różnili ludzie i on sam jej e rozumiał; teraz zbliżyli się i dobrze im jest... Nieιwno nawet przepędzili dzień bardzo miły, bo Zosia pochała do niego na wieś, do wielkiego lasu, gdzie on raz z żoną i z dziatkami mieszka patryarchalnie, na 'zyby. Wielu innych także w tym dniu zebrało się, każdy ιś z sobą wziął do jedzenia; ci, co mogli wziąć więcej,

---

[1]) Listy do matki II. 158.
[2]) Współudział I. 47.

wzięli dla tych, którzy nie mogli: i tak pod ogromnemi orzechami na trawie, gadając i śpiewając, z patryarchalną prostotą przepędzili dzień, dzień jesienny, błękitny i czysty, jak kryształ i bądźcie pewni, że więcej z wami myślą, niż z okolicami, które nas otaczają, byliśmy. Stos borowików we mchach znaleziony przypominał twojej Zosi dawne, dawne czasy i miejsca jodłami zarosłe; kilka bab i szynka i pieczenie na dywanie rozłożone na ziemi przypominało święcone, ale święcone jakieś koczujących Tatarów, dziwne, jesienne i naprędce jedzone, jakby przed podróżą do nieba. Zapach takiego święconego inny jest i gwar ludzi jedzących inny i modlitwa poświęcająca je inna, trochę mniej radośna, niż tamtych, co kiedyś dawniej święcili«.

Czytając ten opis majówki wrześniowej pod Paryżem łatwo przenosimy się myślą o dwadzieścia parę lat wstecz do owych wileńskich majówek filareckich, których niniejsza majówka była jakby oddalonem echem. Jak wtedy tak i teraz upajano się uczuciem braterstwa i jakichś nieokreślonych nadziei patryotycznych; ale wtedy było to upojenie młodości, która nie doznała jeszcze ciężkich doświadczeń i rwała się do życia, teraz było to upojenie ludzi zmęczonych zawodami życia i długą tęsknotą wygnania, więcej w niebo patrzących, niż na ziemię. Tam były nad głowami »lasy litewskie, tak poważne i tak pełne krasy«, tutaj drzewa orzechowe przypominały spoczywającym pod niemi, że zapowiedziany przez mistrza rychły powrót do kraju nie spełniał się.

Słowacki nie zakosztował był tamtych majówek, więc też nie z niemi porównywał obecną, tylko ze święconem. Co się tyczy Mickiewicza, ten więcej od innych braci uczuwał wówczas trosk w sercu i ciężaru na duszy, a to wskutek złożonego w swoje ręce przewodnictwa w kole i odpowiedzialności za postęp sprawy. Niezmiernie wzruszającym jest list jego do Towiańskiego z owych czasów (a wiele znaleźć można podobnych listów późniejszych)

w którym spowiadał się przed nim ze swego stanu duszy i trosk swoich i wzywał jego pomocy, duchowego pokarmu. »Drogi nasz mistrzu — pisał — zasilaj koło nasze słowem i mnie pożyw. Koło trzyma się w całości, ale mało ruchu i słabo. Ja więcej kruszę się, jak podnoszę się, dałeś mi jęk do Pana, ale moc nie schodzi. Często zdaje mi się, że już jestem duchem stojącym i pokutującym w nieruchomości, tak przeszłość moja ciemna i kręte dawne drogi porywają ducha mego wstecz na rozmyślanie. Lotu nie mam dotąd. Część wielką siły pożera mi dom. A muszę ciągle pilnować i najmniejszą szczerbę opatrywać i duchem całym zatykać, aby złe nie wcisnęło się. Ciężko mi samemu w kole« [1]).

Czy Słowacki należał do tych, którzy wówczas przyczyniali się do tworzenia szczerb w kole? Myślę, że nie; przynajmniej ani współczesna korespondencya Słowackiego, ani współczesne listy Mickiewicza do Towiańskiego, w których są wiadomości o zachowywaniu się różnych braci, nie upoważniają do takiego przypuszczenia. Ażeby praca w kole, praca moralnego doskonalenia się, mogła swobodniej postępować, jeszcze przed wyjazdem mistrza koło podzieliło się na siódemki, które zgromadzały się z osobna, a każda miała swego przewodnika. Po wyjeździe mistrza dawał się uczuwać brak cudownego wpływu, jaki on na braci wywierał i Mickiewicz, donosząc mu, że bracia »głód słowa jego cierpią«, prosił go, aby ich ożywiał »jakowymi ogólnymi listami, albo pismami« [2]). Tymczasem sam starał się podnosić ducha braci zapomocą postów nowego zakonu, które polegały na tem, ażeby w pewne dnie, mianowicie niedziele »od rana do zachodu słońca wstrzymać się od działań, rozmów i myśli, któreby nie były w stosunku prostym ze Sprawą«. Za nadejściem rocznicy 29 listo-

[1]) Współudział I. 39.

[2]) Współudział I. 51. Że Mickiewicz nie znał jeszcze wtedy »Biesiady« napisanej dla Skrzyneckiego, świadczy o tem późniejszy list jego do mistrza z grudnia 1842. Współudział I. 64.

pada, która w życiu wychodźców wciąż obchodzoną była uroczyście, uroczyściej niż druga wielka rocznica, 3-go maja, bracia, na których ze strony księży polskich ciągle sypały się gromy potępienia, oskarżenia o herezyę, postanowili obchodzić ten dzień spowiedzią i wspólnem przystąpieniem do komunii. Na dwa dni przedtem było zgromadzenie u Mickiewicza, na którem wzajemnie prosili siebie o przebaczenie. Słowacki był pierwszym, który poczuł potrzebę tego, pierwszy przystąpił do Mickiewicza i przeprosił go, a scena ta tak go wzruszyła, że, jak świadczy ówczesny jego współwyznawca i współlokator Goszczyński, przez cały dzień czuł się tak rozrzewnionym, jak wtedy, gdy się znalazł przy Grobie Chrystusa [1]).

Niebawem, z początkiem grudnia, Mickiewicz rozpoczął trzeci kurs swoich wykładów, w którym coraz wyraźniej miał sterować w stronę mesyanizmu. Nowa nauka była jakby ukrytem światłem, które coraz jaśniej miało przeświecać przez naukowe improwizacye profesora-poety. Rzecz naturalna, że Towiańczycy całym zastępem spieszyli na wykłady starszego brata, w których znajdowali ten sam czysty ton, co i w jego przemówieniach w kole. Wiemy już, że i Słowacki pilnie teraz uczęszczał na wykłady swego dawnego przeciwnika. I tu jego transfiguracya, oczyszczenie duszy z zawiści i próżności, wystawione było na jedną z najcięższych prób. Mickiewicz w pierwszych wykładach, mówiąc o powołaniu poezyi, o wpływie Bajrona wymieniał i cytował rozmaitych poetów słowiańskich, szczególnie polskich. Więc znowu, jak przedtem, padały z katedry, nazwiska Garczyńskiego, Zaleskiego, Goszczyńskiego, Malczewskiego: Słowackiego między niemi nie było.

Dlaczego Mickiewicz i teraz pomijał Słowackiego, który należał do Towiańczyków, a nie przestawał zajmować się

---

[1]) Z. Wasilewski. Stosunki Goszczyńskiego ze Słowackim. Biblioteka Warszawska 1895 I. 390.

aleskim, pomimo, iż ten zdaleka się trzymał od koła? latego sądzę, że był wierny sobie i w poezyi Słowaciego widział, jak przedtem »piękny kościół bez Boga«. Słowacki zapewne uważał teraz, że to pomijanie jego azwiska nie wypływa z osobistej niechęci dla niego, tylko ąd, że jego dotychczasowa poezya nie nastręczała pregentowi tych świadectw, tych myśli, jakie mu były pozebne do torowania mesyanizmowi drogi w umysłach uchaczy. Wszak i on teraz na swoje serce dawniejsze oglądał jak na kawałek szkła błyszczącego, a o swojej iszy pisał, że »była pełna skarbów Bożych oddawna, cz nie było w niej miłości i dlatego sama jadła wnęzności swoje, nie mogąc skądinąd brać pokarmu« [1]).

Ale łatwo sobie wyobrazić, że dawniejsza drażliwość go musiała się nieraz z tego powodu budzić i że muał z nią staczać zapasy. Ślady tej walki wewnętrznej idać w jednym z listów do matki, pisanym zaraz po wych pierwszych wykładach Mickiewicza. Mówiąc tam, ludzie powinni zapomnieć o sobie, a wtedy będą silni niepokonani, dodawał: »Nie mówię, aby mi to łatwo ło, abym nie staczał walk z sobą i z częścią dumną icha mojego, który się ułożył i ustroił podług świata«.

Z walki tej jednak wychodził jeszcze zwycięsko, przyjmniej o tyle, że mógł w tym samym liście tak pisać stosunku swoim do Mickiewicza: »Spotkawszy mego zeciwnika na wyższem stanowisku, podniesionego ku awdzie, prawdziwej Bożej, już nie w jezuityzmie podłem mu rękę i teraz jesteśmy razem, jesteśmy ja i on jeszcze trzeci (t. j. Goszczyński) równie zajęci sercami iszych braci, równie pomagający duchem i życiem, ile który ma w sobie... Życie takie podobne jest do życia Aniołów i nieraz ozłocone uśmiechem są twarze nae, a prawie zawsze serca spokojne«. Pisał o tem matce, zedewszystkiem dlatego, że ta miała już możność po-

[1]) Listy do matki II. 167.

znać *Beniowskiego* i nie mogła zrozumieć, jak jej syn mógł żyć w szczerej przyjaźni z tymi, których tak ciężko obraził w poemacie. I dodawał: »Nie miej więc, o droga, żadnej bojaźni o mnie, bo jeżeli kiedy, to teraz sam nie jestem, a nikt mię nienawidzieć nie może, bo wszystkich ukochałem i sercem zapragnąłem i muszą to kiedyś uczuć, choćby już nigdy więcej moich słów nie słyszeli« [1]).

Tak jednak pisząc do matki zatajał to, o czem doniósł we współczesnym liście (17 stycznia 1843) Krasińskiemu: »Ja sam jeszcze pracuję nad sobą śród ludzi, którzy mię często nie rozumieją i ranią mimowolnie nieufnością i niewiarą w pracę ducha mojego. To jest krzyż mój«. Nie wiemy, do kogo odnoszą się te słowa; może do towarzyszy z klubu i innych znajomych, których Słowacki chciał nawracać na nową wiarę, a z którymi szło mu opornie, a może też do niektórych »braci«, którzy nie mogli uwierzyć w zupełną transfiguracyę autora *Beniowskiego*. To pewna, że była to już wskazówka przyszłego odosobnienia się Słowackiego.

Tymczasem brał udział w posiedzeniach siódemek i zgromadzeniach całego koła. Jedno z takich zgromadzeń (17 marca 1843) miało na celu obmyślenie, jak się zachować wobec apostazyi, której się był dopuścił wówczas jeden z emigrantów, książe Światopełk-Mirski. Ażeby się uwolnić od ciężaru wygnania, a zapewnić dobre przyjęcie w Rosyi, wyrzekł się katolicyzmu, przeszedł na prawosławie i drukowanym listem wezwał innych wychodźców, aby poszli za jego przykładem. Krok ten oburzył całą emigracyę, ale najwięcej poruszył Towiańczyków. Poczuli oni potrzebę podniesienia głośnego protestu, tem więcej, że o Towiańskim krążyły po emigracyi plotki, przedstawiające go, jako ajenta rosyjskiego [2]), a Mickiewiczowi od-

---

[1]) Listy II. 170—172.

[2]) »Przychodziło mi na myśl — pisze Mickiewicz do Towiańskiego 3 listopada 1842 — jeżeliby tu w jakim dzienniku polskim

ıa zarzucano chylenie się do Rosyi. Otóż na zgromaiu owem postanowiono powołać przedstawicieli cawychodźtwa do podpisania protestacyi ułożonej przez iewicza. Protestacya była tak zredagowana, aby nie niczem przeciwników Towiańszczyzny, wszakże, z poı niechęci, jaką obudzał Towiański i jego nauka, nie› się na tem piśmie znalazło podpisów z poza grona ıawców mistrza.

Ale zgromadzenie, o którem wspomniałem, skądinąd ıguje na uwagę. Relacye o niem najlepiej świadczą n wspólnem upajaniu się cudownością, w jakiem żyli a, a między nimi Słowacki, upajaniu się, które do ı musiało wyrównywać nierówności pomiędzy drażnaturą naszego poety, a jego towarzyszy w wierze. › samego wieczora po owem posiedzeniu u Mickiea ukazała się kometa na niebie, i bracia byli zachwytym widokiem, ani na chwilę nie wątpiąc, że to niebo nawia do nich widomym, ale tajemniczym znakiem ɛumienia. Słowacki, pisząc nazajutrz potem do matki ɔdze, którą ma przed sobą do końca życia, »pełnej : i tęcz prawdziwych« i że »każdy czyn na tej dronie trudzi, ale pokrzepia«, dodawał dla objaśnienia: zora, droga moja, jednemu z takich czynów, związkowi , naszego, poświadczył Bóg srebrną tęczą na niebie, ı przez ćwierć niebios rozwlekła się, jak ogon olbrzykomety. Cudowny znak dla nas wiedzących, co znadla innych prosty meteor. Miejcie wiarę! I tak bęciągle, że nas nie zrozumieją ludzie, aż uczują Ducha ɔgo, a wtenczas ukochają nas na wieki« [1]). Goszczyńaś zanotował w swoim dzienniku: »Wieczorem koło ːj postrzegliśmy na Batignolles poraz pierwszy ogroʒo kometę. Nie rozwodzę się nad nim, bo dalekie

ɛano ciebie za agenta rosyjskiego, pozwać takowy dziennik warz i t. d.«. Współudział I. 51.

[1]) Listy do matki II. 175.

wieki będą o nim wiedziały. Na jego widok zadrżeliśmy dreszczem świętej bojaźni. Teraz poznaliśmy, jak ważną była chwila dzisiejszego zebrania. Sztandar Chrystusa ukazał się całemu światu w świetle niebieskiego zjawiska« [1]. A kiedy po czterech tygodniach było już rzeczą widoczną, że zgromadzenie 17 marca nie wywrze jakieś doniosłego wpływu nietylko na losy świata, ale nawet na emigracyę, Mickiewicz na posiedzeniu koła 11 kwietnia tak tę rzecz objaśniał: »Dzień 17 marca był nader ważnym w Sprawie. I mam to głębokie w uczuciu przekonanie, że gdybym tę myśl dociągnąwszy w duchu jak należało, poprowadził nasze Zgromadzenie, pewnieby ukazany znak na niebie był wyraźnym dla którego z Braci rozkazem do jakiego czynnego i skutecznego naprzód kroku«. Bodaj czy ten kometa nie przyniósł pierwszego zarodu myśli zjednania dla nowej wiary cesarza Mikołaja, myśli, która dopiero w rok potem przybrała wyraźne kształty.

W dziewięć dni potem Mickiewicz zaprosił do siebie wybitniejszych ludzi z różnych stronnictw emigracyjnych, ażeby skłonić ich do podpisania wspólnej protestacyi. Ale z powodu panującej niechęci dla Towiańskiego i jego nauki, niewielu z poza grona wyznawców mistrza przybyło na to zgromadzenie. *Demokrata polski* tak opisał to zgromadzenie: »Zaprosiny nie przyniosły wielkiego skutku; o oznaczonym czasie, to jest około południa w przeszły poniedziałek zebrało się zaledwie kilkanaście osób. Czekano na więcej i czekano napróżno. Mickiewicz wreszcie, po wynurzeniu żalu, że mimo zabiegów i starań zebranie jest tak nieliczne, przez słowo: Wejdźcie! dał rozkaz świętemu zastępowi do przybycia z przyległej komnaty, a następnie oznajmił, iż za porozumieniem się z kasztelanem Olizarem i pułkownikiem Zamoyskim założoną została protestacya przeciw Mirskiemu, odczytał ją i wynurzył zdanie, że przez wszystkie stronnictwa emi-

[1]) Z. Wasilewski l. c. 391.

gracyi, tak przez demokracyę, jakoteż arystokracyę i partyę nazwaną *Towiańszczykami* podpisaną być może. Wymawiając to ostatnie stronnictwo, zapytał się swoich: — Wszakże się tego nie wstydzicie? — Nie, zawołali donośnym głosem« [1]).

Ten ostatni, drobny z pozoru, wypadek odegrał ważną rolę w stosunku Słowackiego do Koła i Mickiewicza. Poraz pierwszy uczuł się wobec świata, przynajmniej wobec mikrokosmu emigracyjnego, jako szeregowiec z nabitą bronią u ramienia czekający na rozkazy wodza i wydający okrzyki na komendę i jego żądza pierwszeństwa, jego duch partyzancki, jego indywidualizm, na czas jakiś świętością spętany, ale wewnątrz nieposkromiony, zrywał się i gryzł wędzidło. W pół roku potem tak sam Słowacki objaśniał braciom wrażenie, jakie ta scena na nim wywarła. »Od czasu, mówił, jak nas zastępca mistrza publicznie nazwał partyą i Towiańszczyzną — wszystkie kroki koła stawały się dla mnie wspólnemi. I dlatego duch mój przywalony był wnętrznem cierpieniem i tęsknotą za dawną osobistą odpowiedzialnością — za dawnym sumnieniem« [2]).

Od tego czasu zaczął pilniej przypatrywać się swoim towarzyszom-szeregowcom, porównywać ich z sobą, i wiele rzeczy, których przedtem nie dostrzegał, zaczęło go razić. Zasadą Towiańczyków było, że duch jest wszystkiem, i że nie z obliczeń rozumu, ale z wnętrza ducha, z tajemniczych głębi uczucia powinniśmy brać skazówki postępowania, stąd sny, widzenia, przeczucia, extazy, wogóle natchnienie miało kierować działaniem wyznawców nowej wiary. Kto poczuł w sobie jakiś głos wewnętrzny, uniesienie ducha, kto miał jakąś wizyą senną, z której można było coś wywróżyć, ten dzielił się natchnieniem, które nań spłynęło, z braćmi, aby i w nich rozbudzać ducha i podnosić ich do wyższego tonu.

---

[1]) Demokrata polski z 2-go kwietnia 1843.

[2]) J. Słowacki przez dra H. Biegeleisena, str. XXX.

Ale utrzymać ognisko extazy w jednakowej sile było rzeczą niepodobną. Sam Mickiewicz, w którym ten ogień płonął najsilniej i najszczerzej, spowiadał się nieraz przed mistrzem z zapadania w niemoc, w nieruchomość ducha; cóż mówić o wielu innych, którzy głównie ogniem Mickiewiczowskiego ducha byli ogrzewani. A tymczasem mistrz ciągle zdaleka nawoływał do wzmagania się duchem. Stąd wytwarzała się nieraz fałszywa sytuacya: silono się na natchnienie, które samo nie przychodziło, i objawienia pewnych braci ponad miarę wywyższano. Przynajmniej tak zdawało się Słowackiemu. Porównywając to, co słyszał na zgromadzeniach siódemek czy Koła, z tem, co po jego przewijało się głowie, spostrzegał wielką poziomość obcych natchnień, zwłaszcza, że te nie umiały się stroić w piękne słowa, w jakie on umiał odziać każdą myśl swoją.

Objaśnienie, o którem wyżej wspomniałem, choć pisane o kilka miesięcy później, rzuca światło na dawniejszy jego stosunek do Koła. Oto w jaki sposób krytykował on życie wewnętrzne w Kole. »Co do ducha waszego, Bracia moi, uznaję, że ten czysty jest i najpiękniejszy na ziemi. Ale wy go już przyprowadzacie do form — już obumiera — już stało się u was rozkazem: przyjść w duchu, mówić z ducha, uderzyć kogo duchem, być w wielkim podniesieniu, czuciu, — gdyt ymczasem ja, który znam, choć niedoskonale, stan natchnienia i działanie na drugich ludzi, będących w natchnieniu, nie słyszałem nigdy w kole naszym tego głosu... Na rozsądek wprawdzie działano, po wniosku każdym otrzymywano zgodę, — ale zgodę intelligencyjną, nie duchową..... Bezsilność ta w natchnieniu prowadziła koło, że wynajdywało między sobą osoby, którym nadawana była wielkość idealna. Wyznam otwarcie, że ani pisma brata Romualda (Januszkiewicza), ani głosy brata Jeżewskiego, ducha mego nie podnosiły. W pierwszych jest retoryka, w drugich słychać głos dawnego sektarza, zręczność pewną rubaszną w rozumowa-

ı i świeże dobicie się do pierwszych prawd religijnych. ›a doświadczyli nad sobą łaski Bożej — ale w drodze cha uszli jeszcze maluczko, bo niedosyć mają wiedzy ;iętej z własnego cierpienia — i często już lilii aniel- iej używają za kij pasterski i pastorał. Bracia moi, nie cie się na exaltacyę i przeciw sumnienia nie gadajcie niczem, choćby celem waszego niepełnego zachwycenia ło jakie pismo mistrza, napisane jak do dzieci przez ;a. Nie krzyczcie, jak gdybyście niebo otworzone ujrzeli — ›owiem i duch mistrza ma głębsze tajemnice, o których ısi rozmawiać z aniołami«...

Spoglądał więc Słowacki na swoich braci, z wyjątkiem pewne Mickiewicza, jako na ludzi niedorosłych do poj- ›wania w całej pełni mistrza; że o sobie miał inne wy- rażenie, tego łatwo się domyśleć. Gdy tak spoglądał ;óry na swoich towarzyszy, budziło się w nim niekiedy wne hogartowskie usposobienie. W dzienniku jego zna- ła się między innemi taka notatka: »Dr Gutt sztuki kołem dokazywał i po każdej scenie miał minę taką, liżając się do Mickiewicza, jakby chciał mówić: a wi- icie, jakie barany! Na co Mickiewicz miną odpowiadał: ıwdziwie, że dokazałeś sztuki, przemieniwszy tych lu- i w takich głupców!« [1]).

Stać w jednym szeregu z ludźmi, których za tak niż- rch od siebie uważał i na równi z nimi ulegać pewnym mom, które się ustalały w kole było rzeczą dla Sło- ıckiego trudną do zniesienia. Do takich form należała ›wiedź, którą jedni bracia odbywali przed drugimi, przedewszystkiem siódemki przed zastępcą mistrza. owiedź ta »nowego zakonu«, o której Mickiewicz mó- ł, że jest podniesieniem o jeden szczebel spowiedzi wnej, składała się z dwóch części. W pierwszej części ›wiadający się (który powinien był siedzieć, podczas y »trzymający ton« czyli spowiednik stał przed nim),

[1]) Rkps. Bibl. Oss. 1792 Nr. 2. k. 63 (b).

spowiadający się miał wytykać uchybienia, jakich dostrzegł w postępowaniu zwierzchnika, to jest spowiednika. W drugiej części wytykano błędy różnych braci i dawano im przestrogi. Tak przynajmniej sądzić można z bardzo niejasnego w odpowiednim ustępie przemówienia Mickiewicza przy spowiedzi I i VI siódemki w lipcu 1843[1]). Była to więc — o ile zrozumieć można — spowiedź cudzych nie własnych przewinień. Ale karcenie ich powinno było odbywać się w duchu miłości. Ten tylko miał prawo dawać bratu przestrogi, kto go w czemkolwiek uznał wyższym od siebie, kto w nim odkrył i uczcił jakiś przymiot, którego sam zupełnie lub w takim stopniu nie posiadał, i w ten to sposób »ująwszy jedną ręką człowieka za serce, można było dopiero drugą chłostać złe dopatrzone przy dobrem«. Wiemy, że Słowacki odbywał tego rodzaju spowiedź przed Mickiewiczem[2]), ale czy odpowiadała ona wymaganym warunkom, czy mógł Słowacki szczerze i głęboko przejąć się jakąkolwiek wyższością swoich braci nad sobą, rzecz to dość wątpliwa. To pewna, że ta spowiedź musiała być dlań przymusem, ponieważ trwałemu jej ustanowieniu był przeciwny.

Drugą formą, której już wcale poddać się nie chciał

---

[1]) Współudział I. 95—96. Powiedziano tam: »Pierwsza część spowiedzi jest z urzędu i na urząd. Spowiedź nowego zakonu jest Łaską teraz daną ludziom, bo tego dawniej nie miano, żeby rządzący sprawiał się przed rządzonym, i ten miał nietylko prawo, ale obowiązek sumiennie wytknąć jemu wszystkie uchybienia. Druga część względem bliźnich«. Dalej powiedziano tam, że »druga część chociaż już się praktykowała między nami w dawanych Braciom przestrogach, nie jest jeszcze dopełnioną, jak należy«. P. Hoesick (III, 283), przedstawia spowiedź Towiańczyków w ten sposób, że naprzód spowiadały się przed Mickiewiczem z upadków swoich siódemki, a potem spowiadał się sam Mickiewicz, wzywając braci, aby i jego uchybienia jawnie wykazywali, ale niewiadomo mi, na czem opiera to przedstawienie.

[2]) List do Kołyski u Z. Wasilewskiego. Bibl. Warsz. 1895 I. 394—395.

›yło przyjęcie medalu. Medale sam mistrz dawał, póki ›ył w Paryżu, potem przysyłał Mickiewiczowi dla rozdaıia braciom, którzy godni byli przejść do pierwszego sze·egu sług Sprawy i którzy sami żądali ich przyjęcia.)brzęd wręczenia, z woli mistrza, odbywał się uroczyście: vynoszono chorągiew koła, Mickiewicz stawał pod nią ›rzemawiał do ślubujących i do innych zgromadzonych ›raci, jako świadków aktu, odmawiał modlitwę przed ıztandarem i wręczał medale. Przyjmujący z własnego po›ędu ściskali nogi jego, okazując w ten sposób swoją potorę. Jakie zaś znaczenie miał ten obrządek, najlepiej to ›bjaśnia przemówienie Mickiewicza przy rozdaniu medali lnia 3 czerwca 1843. »Medal — mówił on — jest znatiem wykonanego ślubu służenia Sprawie. Można ślubovać i służyć bardzo dobrze, nie mając medalu. Medal nie vkłada na przyjmującego ani nowych obowiązków, ani ıdziela mu żadnego przywileju; ale wkłada nań większą ›dpowiedzialność. Jak w sakramencie małżeństwa błogoławieństwo kapłańskie nie stanowi całego ślubu, ale jest ego pieczęcią, wiąże dwie dusze odpowiedzialnością wzaemną, tak i tutaj, kto przyjęciem znaku stwierdza ślub ıroczyście, wchodzi w podobnąż spółkę duchową. Odtąd :nika jego pojedyńcza osoba, cały duch jego zlewa się : duchem koła. Podnosząc się, podnosi, zniżając się, zniża ›łomień wspólny. Zasługi i grzechy duchowe każdego ›rata są nabytkami i ciężarami koła« [1]).

Łatwo zrozumieć, że Słowackiemu, który już tylko vskutek publicznego zaliczenia do Towiańszczyków czuł ıię niemile skrępowanym wspólną odpowiedzialnością i tęıknił »za dawnem sumieniem«, takie bezwzględne zlanie ıię z duchem koła pożądanem nie było, zwłaszcza, że sama orma obrzędu, która się nawet Mickiewiczowi wydawała rudną do napełnienia duchem, odstręczać go mogła [2]).

---

[1]) Współudział I. 93.

[2]) Zdając sprawę z dopełnienia tego obrzędu 3 czerwca 1843 r.

Więc kiedy inni, którzy mniej więcej jednocześnie z nim wstąpili do koła, prosili o medale, on tego nie uczynił, co bardzo złe w kole sprawiło wrażenie i wywołało niechęć braci ku Słowackiemu, niechęć, którą zapewne starał się poskromić Mickiewicz, mówiąc, jak wiemy, że »można ślubować i służyć bardzo dobrze, nie mając medalu«. Echem tego zajścia są słowa z późniejszego (cytowanego już) przemówienia Słowackiego: »Jakże wam Stwórca świat podda — Żydy i Araby i Indyany — kiedy wy do mnie za to, żem o medalik N. Panny Mistrza nie prosił, już wstręt czuliście, już prawie gotowi byli odrzucić?« [1]).

Ale czy to był jedyny powód niechęci braci, można o tem wątpić. W liście do Guta, pisanym 3 czerwca, zaraz po przyjęciu medali przez Goszczyńskiego i trzech innych braci, Mickiewicz donosił: »Słowacki dotąd jeszcze ostatniego upadku nie naprawił«. Co to był za upadek, nie wiemy, ale nie sądzę, ażeby Mickiewicz, który oświadczał publicznie, że i bez medalu można bardzo dobrze służyć, mógł uważać za upadek Słowackiego to, że ten nie prosił o medal. Musiało tu więc być coś innego. Z wyrazu wreszcie »ostatni« (ostatniego upadku) trzeba się domyślać, że w oczach Mickiewicza Słowacki jako członek Koła niejeden raz upadał duchem [2]). Przypominam, że już w sty-

pisał Mickiewicz do Guta: »Obrzęd ten bardzo mi trudny. Stanąć przed chorągwią jest rzecz wielka i strasznej trzeba siły formę taką duchem napełnić. Przełóż Mistrzowi niezmierną trudność takiego obrzędu«. Współudział I. 97. Zwracam uwagę, że data tego listu: 3 Julii 1843 jest błędna, jak to się zaraz z początku listu okazuje; list był pisany 3 czerwca 1843.

[1]) J. Słowacki przez dra H. Biegeleisena, str. XXXIII.

[2]) Przypuszczenia p. Hoesicka (III, 308—309), że to po przyjęciu medala przez Goszczyńskiego, w głowach braci, nie lubiących Słowackiego, zrodziła się złośliwa myśl, aby i jego zmusić do takiego aktu pokory, i że to do odmowy ze strony Słowackiego odnoszą się słowa Mickiewicza o jego upadku, muszą upaść, bo się opierają na mylce w dacie listu Mickiewicza (3 Julii zamiast 3 Junii), mylce bardzo wyraźnej, niedostrzeżonej jednak ani przez wydawcę, ani przez tych, którzy na tym liście w swoich wywodach się opierali.

czniu pisząc do Krasińskiego, Słowacki skarżył się, że go ludzie, śród których pracuje, często nie rozumieją i ranią mimowolnie nieufnością i niewiarą w pracę ducha jego; prawdopodobnie więc już wtedy dawał powód, słuszny czy niesłuszny, do posądzania go o upadek.

Taki był stosunek Słowackiego do Mickiewicza i Koła w ciągu pierwszego roku po transfiguracyi poety. Zarówno z innymi braćmi głęboko wierzył w zasady nowego objawienia, w cudowne powołanie mistrza, ale wciąż oddalał się od nich rosnącem uczuciem wyższości nad nimi i coraz bardziej drażniły go węzły solidarności wiążące go z Kołem.

ROZDZIAŁ XIII.

Ksiądz Marek.

1843.

Przyjaźń z Goszczyńskim. — Demokrata w duchu ewanielii. — Przypuszczalny wpływ Goszczyńskiego na dalszy ciąg *Beniowskiego*. — Geneza fragmentu »*Poeta i natchnienie*«. — Niewiasta w słońcu na włosach; trzy mary w powietrzu. — Waga nadziei i waga zwątpienia. — Prelekcya Mickiewicza o dramacie. — Postać księdza Marka. — Mickiewicz o poematach na cześć tej postaci. — Geneza *Księdza Marka*; duch towianizmu. — Plemię Izraela; dwa typy. — Judyta i Kossakowski. — Wpływ Calderona. — Jeszcze o prelekcyi Mickiewicza. — Usprawiedliwianie się Słowackiego przed Krasińskim i stosunek *Księdza Marka* do *Przedświtu*. — Ułomność dramatu.

Z pomiędzy wszystkich braci Słowacki najściślej był zaprzyjaźniony z Sewerynem Goszczyńskim. Z temperamentu, z upodobań, przyzwyczajeń, z sytuacyi materyalnej i przeszłości obywatelskiej, byli to ludzie zupełnie do siebie niepodobni. Jeden o gorącej a wybujałej wyobraźni, żyjący tylko w świecie marzeń, a stroniący od życia, i wiecznie sobą zajęty; drugi o gorącem sercu a mało lotnej wyobraźni, gotowy w każdej chwili zamieniać uczucie w czyn. Najlepiej kontrast między nimi uwydatnia ich zachowanie się w czasie powstania listopadowego: obaj pisali pieśni wzywające do boju, ale ten, który piękniej i głośniej śpiewał, usunął się od powstania; drugi śpiewał mniej pięknie, ale należał do tych, co pierwsi uderzyli na Belweder. I drogi życia inaczej się im słały: Słowacki dzięki matce, nie zaznał nigdy niedostatku

i mógł żyć swobodnie i wygodnie. Goszczyński, syn ubogich rodziców, od najpierwszej młodości musiał z trudem przedzierać się przez życie i nieraz uczuwał brak chleba powszedniego. Szczególnie na emigracyi położenie jego materyalne było trudne; ale jako poeta, żyjący tylko dla idei, mało dbał o to.

Słowacki spotkał się z Goszczyńskim poraz pierwszy w r. 1839, ale była to znajomość krótka i przelotna. W ścisłe stosunki wszedł z nim dopiero w r. 1842, mniej więcej około tego czasu, kiedy w nim zaszła transfiguracya, i kiedy znaleźli się obaj w braterskiem Kole wyznawców mistrza. I tu godną jest uwagi różnica między nimi w przyjęciu nowego objawienia. W Słowackim nowa idea wiary »w jednem błyśnieniu zmartwychwstała«, ale niedługo starczyła mu za węzeł, ściśle wiążący go z mistrzem i innymi braćmi; Goszczyński zbliżywszy się do Koła jeszcze przed Słowackim, długo się pasował z różnymi wątpliwościami i dopiero 2 sierpnia 1842 zapisał w dzienniku swoim: »Widziałem się z Mickiewiczem. Ostatnie wątpliwości usunięte. Nie widzę nigdzie prawdy, tylko w idei Towiańskiego i dlatego ją przyjmuję ostatecznie i na zawsze« [1].

I do końca życia jego idea ta nie przestała być węzłem, ściśle go wiążącym z mistrzem i braćmi.

Słowacki pod wpływem wezbrania uczuć braterskich, jakiego doznawał w pierwszych czasach przejęcia się nową ideą, zbliżywszy się do Goszczyńskiego, a widząc jego ubóstwo, ofiarował mu »zbywający pokój« w swojem nowem od słońca wyzłoconem mieszkaniu. Goszczyński przyjął ofiarę i już od początku października 1842 przyjaciele mieszkali obok siebie. Jak długo mieszkali razem i jak długo panowała harmonia w tym stosunku, dokładnie określić tego nie można, ale jeszcze w pół roku po wprowadzeniu się Goszczyńskiego do mieszkania Słowackiego,

---

[1]) Z. Wasilewski. Bibl. warsz. 1895 T. I, 389.

ten ostatni w liście do matki (z 18 marca 1843) pisał o swoim przyjacielu, że jest to «jeden z posągowych ludzi... jeden z tych, na których ramieniu można się oprzeć śmiało« i dodawał: »Przez ścianę go mając, czuję się weselszym« [1]).

Ta ścisła zażyłość i przyjaźń z Goszczyńskim nie mogła pozostać bez wpływu i na ówczesną twórczość poetycką Słowackiego, który tak łatwo ulegał wpływom. Jak przedtem Krasiński, tak teraz, na jakiś czas przynajmniej, stał się Goszczyński jego moralnym przewodnikiem. Jak w Krasińskim była najszlachetniej pojęta arystokratyczność, tak w Goszczyńskim występował najszlachetniej odczuty kierunek demokratyczny.

Ażeby dokładnie zrozumieć ówczesne pojęcia, dążenia, ideały Goszczyńskiego, trzeba koniecznie odczytać jego artykuły krytyczne na niedługo przedtem umieszczane w *Demokracie polskim*, którego był wówczas przez jakiś czas redaktorem. Szczególnie godnemi uwagi, tak pod względem pięknej formy jak i głębokiej treści, są jego rozbiory *Pamiątek Soplicy*, i nowowydanych poezyj Bohdana Zaleskiego. Dawniejsza bezwzględność i ryczałtowość sądów ustąpiła tu miejsca dojrzałemu umiarkowaniu i wyrozumiałości, przyczem uwydatnił się już nastrój religijny, który miał niebawem zaprowadzić Goszczyńskiego do koła potępionych przez demokracyę emigracyjną Towiańczyków. Recenzya o poezyach Bohdana była napisana z takiem uczuciem, że Bohdan przy jej czytaniu zalał się łzami i nie mógł doczytać reszty, dopóki się nie wypłakał, i w głębokiem rozrzewnieniu dziękując dawnemu przyjacielowi za »wspaniałą, prawdziwą w myśli swojej głównej, a podniosłą, obywatelską w uczuciach« recenzyą, zapewniał go, że jak Bogu, nie przeniewierzy się nigdy i ludowi [2]).

---

[1]) Listy do matki II, 177.
[2]) Korespondencya Józefa Bohdana Zaleskiego I, 242—243.

Ale pisząc te recenzye, Goszczyński, choć nastrojem religijnym wyróżniał się od swoich towarzyszy i nachylał się bezwiednie ku towianizmowi, przecie tkwił jeszcze w obozie demokratycznym i spoglądał na jego zasady, jako na jedyną drogę prawdy i zbawienia dla narodu. Niebawem pod wpływem propagandy Mickiewicza zaczął innemi oczami patrzeć na swoje stronnictwo [1]), i przekonał się, że jego dążenia mają charakter czysto materyalistyczny i odrodzenia narodu nie zdolne są sprowadzić. Wtedy wziął rozbrat stanowczy z obozem, któremu wiele lat służył, i pod koniec r. 1842, właśnie w czasach wspólnego mieszkania ze Słowackim, takie *credo* wypowiedział w liście do pewnej znajomej Wielkopolanki: »Do zgubnych obłąkań liczę tak zwane dzisiaj zasady demokratyczne, które pod świętemi pozorami wolności, życia, szczęścia ludów, nie są niczem innem w istocie swojej, tylko ubóstwieniem siły materyalnej, interesu materyalnego, jednem słowem — materyi, która jest śmiercią na pognębienie ducha, który jest życiem, a przez to prędzej lub później zniszczyłyby wszystko, co jest wielkie, święte na ziemi, zabiłyby ludy w ich duchu: otóż przyczyna, że ich się wyrzekłem, a ukorzyłem się przed tem, co mi odsłoniło przepaść moich błędów i wprowadziło mię na drogę prawdy, t. j. przed słowem Chrystusa« [2]).

Tak więc Goszczyński z demokraty w duchu Towarzystwa demokratycznego stawał się demokratą w duchu ewanielii. Jego głębokie przejęcie się nowemi zasadami, korność i karność jego ducha, jego cześć dla zastępcy mistrza i ścisły z nim stosunek, wszystko to dodatnio musiało oddziaływać na Słowackiego i wpływać na utrzy-

---

[1]) W liście z d. 3 listopada 1842 Mickiewicz pisał do Towiańskiego: »Demokraci studenci! niech im Bóg odpuści, łają nie wiedząc, co czynią...« Współudział I, 51.

[2]) Artykuł Chmielowskiego o Goszczyńskim. Wielka Encykl. Powsz. T. XXVI, str. 517—518.

manie harmonii pomiędzy tym ostatnim, mającym tak mało zmysłu społecznego, a resztą Koła i w szczególności Mickiewiczem.

Co się tyczy ówczesnej twórczości poetyckiej Słowackiego, to wpływ Goszczyńskiego był zapewne innego rodzaju. Słowacki, jak wiemy, po wydaniu pierwszych pięciu pieśni Beniowskiego, pisał dalej poemat, opiewał podróż wschodnią Beniowskiego, ale potem, zniechęcony jego »mozajkowością«, czując jakąś niemoc poetycką, zaniechał poematu. Przeobrażenie duchowe, jakie w nim zaszło w lecie 1842 roku, zbyt było wstrząsające, aby mógł zaraz potem powrócić do porzuconego tematu, ale w jesieni, czy też później w zimie, mieszkając wspólnie z Goszczyńskim, któremu tradycya rzezi humańskiej i w ogóle tradycye ukraińskie tak dobrze były znane, który lepiej niż ktokolwiek inny mógł ocenić koloryt jego poezyi ukraińskiej, — odczytywał zapewne przyjacielowi niektóre dalsze urywki *Beniowskiego*, zasięgał jego rady, wypytywał o szczegóły tradycyi, a przedewszystkiem w wymianie myśli na temat opiewanych w *Beniowskim* wypadków, znajdował bodziec do podjęcia porzuconego poematu.

Z pozostałych fragmentów jego, ujętych w pośmiertnem wydaniu w pieśni XI, jakoteż z niektórych urywków poematu, dopiero niedawno wydanych, można wnioskować, że poemat przed transfiguracyą poety utknął na pieśni XI. Do tego poglądu prowadzi naprzód okoliczność, że we fragmentach tej pieśni znajdujemy motywy, w dwóch lub trzech waryantach powtórzone. Takim motywem, dwa razy powtórzonym, jest śmierć matki Wernyhory, zabitej lirą przez syna; motywem zaś trzy razy powtórzonym [1]) jest dobywanie tej liry przez Wernyhorę z grobu. Dalej na to trzeba zwrócić uwagę, że postać Wernyhory, wpro-

[1]) Porównaj Nieznane fragmenta i waryanty Beniowskiego. Gazeta Lwowska 1902. Nr. 212—223.

wadzona już w pieśni VI, pojawia się potem w pieśni XI w taki sposób, jak gdyby przez poetę po raz pierwszy była wymieniona. Możnaby na tej podstawie przypuszczać, że gdy Słowacki pisał pieśń szóstą, postać ta inaczej mu się przedstawiała, aniżeli potem, przy pisaniu pieśni XI, że Wernyhora nie był jeszcze dla niego przedstawicielem cudownej, proroczej poezyi ludowej, a lira jego nie była jeszcze cudowną lirą Bojana. Jeżeli przypuszczenie słuszne, to na tę przemianę w pojmowaniu Wernyhory mogło wpłynąć ukazanie się »Trzech Wieszczb« Lucyana Siemieńskiego (w r. 1841), a jeszcze więcej przyjacielski stosunek z Goszczyńskim. Słowacki znał podanie o przepowiedniach Wernyhory jeszcze wtedy, gdy pisał *Wacława*, o czem świadczy wstęp do tego poematu, a znał je jeżeli nie skądinąd, to chociażby z powieści Czajkowskiego *Wernyhora*, która się w tym czasie właśnie pojawiła, ale w przypisach do *Trzech wieszczb* znajdował dokładniejszą niż u Czajkowskiego wiadomość o lirniku ukraińskim i jego stosunku z Suchodolskim, starostą Korsuńskim. Co się zaś tyczy Goszczyńskiego, ten miał zapewne dzięki swoim wędrówkom po Ukrainie, z pierwszej ręki podania o Wernyhorze, napisał był nawet, jak twierdzi Siemieński[1]), poemat p. t. *Wernyhora*, który zaginął w czasie rewolucyi 1831, mógł więc podać Słowackiemu nieznane mu dotąd szczegóły z podań o Wernyhorze i w ten sposób wpłynąć na pewne przeobrażenie tej postaci w wyobraźni autora *Beniowskiego*.

Wreszcie godnem jest uwagi to, że spora ilość strof, odnoszących się do Wernyhory, a należących do pieśni XI, podobnie jak parę innych, odnoszących się do księdza Marka, a niedawno przezemnie wydobytych z auto-

---

[1]) *Trzy Wieszczby*, Paryż 1841, str. 101.

grafu [1]), ma inną budowę; nie są to oktawy, ale strofy dziewięciowierszowe. Wygląda to tak, jak gdyby poeta chciał zbyt ograną i spowszedniałą strofę dostroić do nowego uroczystego nastroju swoich uczuć.

W ogóle trzeba przypuścić, że Słowacki, powracając do porzuconego poematu, inaczej teraz pojmował rolę swoją, jako poety, innemi niż przedtem oczami spoglądał na temat *Beniowskiego*, i chciał postaciom i scenom poematu nadawać głębsze, mistyczne znaczenie. Szczególnego znaczenia nabierały dlań wówczas dwie postacie poematu, już w tradycyi mistycznym urokiem owiane: ksiądz Marek-cudotwórca i Wernyhora-prorok. Ale postacie te w *Beniowskim* stały dotychczas na drugim planie; niełatwo je było wyprowadzić na pierwszy plan, zrobić głównemi postaciami poematu, a jeszcze trudniej było dostroić nowy ton mistyczny do aryostycznego tonu początkowych pieśni. Więc robota nad dalszym ciągiem *Beniowskiego* nie szła, rwała się, i poeta porzucił znowu swój poemat, aby dla niektórych postaci, które go szczególnie wówczas zajmowały, więcej od tytułowego bohatera, znaleźć inną oprawę i osadzić je na pierwszym planie. Pomiędzy świeżo wydanymi fragmentami *Beniowskiego* znajdują się ustępy, świadczące, że Słowacki nosił się jakiś czas z myślą napisania epickiego poematu, o budowie niestroficznej, o poważnym wierszu trzynastozgłowym, poematu, którego główną postacią miał być ksiądz Marek. Ale i tę formę niebawem porzucił, a zwrócił się do kalderońskiego dramatu i napisał dwa poematy dramatyczne: «*Ksiądz Marek*» i »*Sen srebrny Salomei*«. Były to, jak to gdzieindziej powiedziałem, jakby dwa mistyczne dzbanki, w które ulał wezbranej i zmąconej nowemi wyobrażeniami treści dawnego poematu. W »*Księdzu Marku*« znalazła się Konfederacya barska i górujący nad

---

[1]) Gazeta Lwowska 1902, Nr. 216.

ą ksiądz Marek; w *Śnie srebrnym Salomei* walka szlach-
z chłopstwem i górująca nad nią postać Wernyhory.
Żeby jednak lepiej zrozumieć genezę *Księdza Marka*
Snu Srebrnego, trzeba przed jej rozważaniem poznać utwór
owackiego, który się dochował we fragmencie, a wydany
stał przez Małeckiego w I tomie *Pism pośmiertnych*
t. *Poeta i natchnienie.* Utwór ten dotychczas nie był
zywiązany do żadnej wyraźniejszej daty chronologi-
nej. Małecki, a za nim inni, uważają go za późniejszy
. dramatów mistycznych, o których mowa, ale Małecki
.ty bliższej nie oznacza. Jest też ten wiersz dla Ma-
ckiego niezrozumiały. »Niezrozumiałości tej — powiada —
e to przyczyną, że fragment nie tworzy większej cało-
i, ale że nam tak zupełnie brak klucza do otworzenia
bie i wglądnięcia w ten cały świat mistycznych wyo-
ażeń i wierzeń, wśród jakich w owym czasie brnął
yobraźnią i wiarą swoją Słowacki... Trzebaby... te
szystkie marzenia jego ówczesne znać szczegółowo,
ozumieć alluzye do nich odnośne, których taka obfitość
tym poemacie« [1]).

Otóż ten klucz do otworzenia poematu, który tru-
iej było znaleźć w czasach, kiedy Małecki pisał mono-
afię o Słowackim, niż dzisiaj, — ten klucz, jak sądzę,
alazłem i mogę rozproszyć ciemności, które dotychczas
ıętrze tego poematu zalegały, a zarazem bliżej ozna-
yć datę powstania jego. Nie był on napisany po dra-
ıtach mistycznych, ale je wyprzedził o jakie pół roku.
ıiadczy o tem jego wyraźne pokrewieństwo ideowe
listami do Krasińskiego z końca 1842 i początku 1843;
twierdzają to inne szczegóły poematu.

Przypominam, że w liście z grudnia 1842 r. Słowacki
ıał Krasińskiemu o sobie, jako o »martwym, pokona-
m, milczącym«, jako o posągu z kamienia, który »pa-
jąc przed Bogiem, skruszył się na kilka kawałków«

[1]) Małecki Opus cit. III 102—103.

a zarazem jako o takim, który przeklął poganizm, ale jeszcze nie może zapomnieć, »że on mu był litośnym panem, że jego Dyanny były mu kochankami, a jego trwałość prawie wiecznością«. Od tych samych uczuć, w cudowną formę obleczonych, zaczyna się poemat, o którym mowa. Jest to dyalog między poetą a jego natchnieniem, jego muzą, która nosi szczególne imię Atessy, a występuje jako jakiś opiekuńczy, siostrzany duch jego. Ten duch razem z poetą żył w dawnym świecie pogańskim, razem z poetą »zmartwychwstał«, to jest doznał metamorfozy, ale pamięta swoją przeszłość starohelleńską i przypomina ją poecie w obrazach pełnych wdzięku. Te obrazy budzą w poecie taką tęsknotę, że woła do muzy:

Dosyć, o duchu biały, bo mi z bolu
Znów serce pęka...

Atessa opowiada potem, jak po wiekach wyrosły jej skrzydła motyle i poleciała »gdzieś na jakąś górę — nad którą słońce w krwi, księżyc w zaćmieniu«, czyli innemi słowy, jak się przeobraziła z muzy helleńskiej na chrześcijańską, której, na wzór Ukrzyżowanego, »rany na nogach i rękach się palą«. W jej słowach (Czemu nie patrzysz na mnie? o! czy żal ci — mojego włosa... pełniejszego łona?) poeta znów akcentuje swoją tęsknotę do znikającego świata pięknych form, a następnie wprost od siebie już przemawiając, rzuca promień w ciemnię swoich przeszłych żywotów, które nastąpiły po rozstaniu się z muzą helleńską. W zapytaniu do niej zwróconem (gdzie była od czasu rozstania się w Helladzie?), mamy godny uwagi komentarz do ówczesnych wyobrażeń poety o swojej roli na świecie i do ówczesnego chwilowego usposobienia. Obszerniej o tem będę mówił później, podając genezę *Króla-Ducha,* tutaj przytoczę tylko te wiersze, które są jakby parafrazą słów listu do Krasińskiego, wyżej cytowanych:

Lecz ty aż teraz, jak krzyż zapalony
Przyszłaś, kiedy ja wichrem nieszczęść zbity,
I tak jak sztandar kulami zniszczony,
I tak jako hełm Hektora bez kity,
I tak jak harfa, co straciła tony
I tak jako trup w grobowcu odkryty,
Na bezlitosne wystawiony wzroki
I tak widzący swój zgon, jak proroki,

Walę się w prochu....

Wszystko to, w odmiennych tylko wyrazach, można znaleźć w pierwszym po transfiguragyi liście Słowackiego do Krasińskiego. To zaś, co potem następuje, mianowicie wizya błękitnej Pani na niebie, która

na swej półmiesięcznej łodzi
Płynie, rękami sypiąca złotymi
Litosną miłość... dawno tak widziana
Na wyspie Patmos przez świętego Jana...

wiąże się bardzo ściśle z drugim listem Słowackiego do przyjaciela, mianowicie z tym ustępem, gdzie jest mowa o «niewieście w słońcu na włosach, z księżycem pod nogami«. Krasiński, jak już dawniej wspomniałem, sięgał w liście swoim do Apokalipsy, mianowicie objaśniał obraz mistyczny zawarty w rozdziale XII. Występuje tam »niewiasta obleczona w słońce, a księżyc pod jej nogami, a na głowie jej korona z gwiazd dwunastu«. Tę niewiastę ściga i prześladuje smok, a nie poprzestając na tem, walczy także »z drugiemi z plemienia jej, którzy zachowywają przykazania Boże i mają świadectwo Jezusa Chrystusa«. Jak Krasiński objaśniał w nieznanym nam liście ów obraz mistyczny, możemy do pewnego stopnia domyślać się z pisanego współcześnie *Przedświtu*, a mianowicie z tego ustępu, gdzie Najśw. Panna »z pomarłem sług plemieniem« zstępuje do otchłani »po raz drugi zdeptać węża« i gdzie poeta woła:

Niech przepada kłamca stary,
Który wieków był złudzeniem;

U stóp twoich on polęże,
A ci zbrojni polscy męże
W pierś mu wetkną miecz ze stali.

O takiem rozwiązaniu apokaliptycznej zagadki przez Krasińskiego Słowacki wspominał Mickiewiczowi i z jego wzroku, jak wiemy, wnioskował, że i mistrz podobnie tłómaczy ową niewiastę. Że ten obraz uderzył, zajął i zapłodnił wyobraźnię Słowackiego wskutek owego listu przyjaciela, o tem nie można wątpić, gdy się zważy, ile razy potem ta cudowna postać niewieścia ze słońcem na włosach, z księżycem pod nogami ukazuje się w jego poezyi.

Jak tu wygląda i jakie ma znaczenie? Poeta podniósłszy głowę spostrzega na tle szafiru nad postacią swojej muzy inną cudowną, a nierównie piękniejszą postać niewieścią.

Ach! od słońcaby w oczy mi nie biła
Taka ogromna jasność, jak z tych oczu
Spuszczonych! cały świat rozweseliła
Oblana słońcem złotem na warkoczu;
Taka miłości w niej ogromna siła,
Że gdy stanęła na ciemnem przeźroczu:
Słońc się girlandy — niby zawrócone
Żórawie — wiążą w ognistą koronę.

Jest to owa »widziana na wyspie Patmos«, a że i Słowacki widział w niej Najśw. Pannę, po raz drugi schodzącą na ziemię, dowód najlepszy w tym wierszu:

Bo zapragniona jest znowu na ziemi.

Ale jak dla Krasińskiego, tak i dla Słowackiego ta postać jest symbolicznym wyrazem pewnej idei; Słowacki w liście dawniej cytowanym mówi o niej: »ta idea« i zgadza się z przyjacielem w pojmowaniu symbolicznej postaci. Że to jest idea moralna, odrodzenia się ludzkości przez ducha ewanielii, to rzecz jasna, sam *Przedświt* tego dowodzi, a także Towianizm. Ale jakiż jest stosunek poety do tej idei we fragmencie?

Muza oznajmia mu, że owo cudowne zjawisko jest znakiem, iż »przychodzą nowe na świat Pańskie czasy«, i wzywa go, aby był »tej łaski Pańskiej zwiastunem«. Ale poeta nie przyjmuje wezwania muzy chętnie. Jego oczy wprawdzie zaskrzyły się światłami na widok pani błękitnej i prowadziły ją po niebie, ale wróciły stamtąd bez łez. Jego serce czem innem napełnione, nie może się otworzyć na przyjęcie tej boskiej istoty. Muza to spostrzega i mówi do niego:

Mów do mnie! może w twoim smętnym głosie
Nie będzie echa podziemnej mogiły.
O nie! ty cały łamiesz się w boleści,
A twoja ręka szuka rękojeści...

Cóż to znaczy? Poeta tłómaczy Atessie, dlaczego nie poleciał za ową cudowną wizyą; nie poleciał za nią, choć tak piękna, bo inaczej przestałby być sobą, nie mógłby spełnić zadania, którem serce jego brzemienne; nie poleciał, bo musi tu czekać na kogoś w ciemności. Na kogo? W odpowiedzi na to pytanie poeta opowiada wspomnienie z czasów dzieciństwa czy pierwszej młodości, jak kiedyś nad Ikwą, siedząc, pełen smutnych rozmyślań nad losem Polski, pod chatą kobiety cmentarnej, był świadkiem niezwykle wzruszającej sceny z życia jaskółek, mianowicie jak rodzice-ptaszki, znalazłszy swoje pisklę nieżywe na ziemi, w rozmaity sposób starali się w niem rozbudzić życie, wreszcie dzióbkami porwali je za skrzydełka w górę i puścili, »myśląc, że w niem lot roznieci życie«. W tej paraboli poeta znalazł naukę dla siebie i woła:

O tak! nim ja w śmierć ojczyzny uwierzę,
Chociażby jak trup leżąc w grobie zbrzydła:
Potargam wprzódy ją pieśnią za pierze,
Położę wprzódy na pieśniane skrzydła,
Porwę ją z ziemi tak, jak wicher bierze,
Stargam łańcuchy wszystkie, wszystkie sidła,
Podniosę w niebo, aż gdzie Pan Bóg świeci,
Puszczę.... jeżeli żywa, to poleci...

Dlatego on tu musi czekać w ciemności i nie może śpieszyć za wizyą cudowną, za tą ideą odrodzenia się moralnego, która wiele obiecuje ludzkości, ale nie wróży nic z osobna Polsce, dawnej Polsce.

Cóż ty mi teraz pokazujesz świty,
Gdzie inna matka, ta królowa gminna,
Dzieciątka swoje podnosi w błękity...
. . . .
Cóż ty mi wróżysz tym pięknym widokiem
Tęcz i błękitów? Za mną inna strona
I duchy, co się na pieśń zbiegły tłokiem,
Od których była już ogniem czerwona,
Ich tchem trująca, tętniąca ich krokiem...
Dobranoc! — harfiarz wasz posępnie kona!
Klnie wam i kona... precz straszydła stare!
O siostro! odpędź odemnie tę marę!

W tej tyradzie jest coś z tonu Wallenroda, który na uczcie po zbytnich kielichach wybuchając długo tajoną goryczą, piętnuje »pieśń zdradziecką«, co »wlewa w duszę najsroższe trucizny — głupią chęć sławy i miłość ojczyzny« i który do przedstawiciela tej pieśni, Halbana, woła: precz mi z oczu stary! Ale skąd taki ton? co znaczą te słowa? co znaczy to łamanie się poety, te jego przekleństwa, to odpychanie starych straszydeł? Dalszy ciąg poematu wyraźnie nam to objaśnia i dziwić się w istocie trzeba, że nikt dotychczas na to nie zwrócił uwagi.

Ta pieśń, która »była już ogniem czerwoną«, do której »duchy zbiegły się tłokiem«, na której skrzydła chciał poeta wziąć ojczyznę, »tak jak wicher bierze«, i podnieść w niebo, »aż gdzie Pan Bóg świeci«, ta pieśń — to *Beniowski*, nie ten naturalnie, w którym główną rzeczą jest walka z krytyką i głównym współzawodnikiem, ale ten późniejszy, z którego poeta zamyślał utworzyć jakąś Iliadę barską. Bo oto w powietrzu ukazują się poecie trzy mary, jakby wywołane wspomnieniem owej pieśni ognistej. Poeta, któremu włos z przestrachu operla się

potem, nie nazywa żadnej z nich, ale przemawia do każdej z osobna w taki sposób, że każdą z nich sami nazwać możemy. Oto, co mówi do pierwszej i o pierwszej:

Patrz, za cerkiewnym, o! tym — bohomazem
Powietrze całe się wydaje złotem...
Zapewneś przyszedł od duchów z rozkazem?
Albo mi lirą powstać — albo grzmotem!
Tak zwykle gadał..........
. . . .
Teraz nie mówi nic; lecz stoi srogi
I zda się, twarz mi swoją w pamięć wraża.

Jakkolwiek rysy tej mary dość rozlewne, poznajemy w niej przecież Wernyhorę. Drugiej marze poświęcił poeta aż cztery oktawy, z lubością przypominając jej ziemskie przygody, które niegdyś tak czarowały jego wyobraźnię.

A tamten — patrzaj, tak piękny, jak bogi —
Który wygląda także na harfiarza;
Ale instrument ma bardzo ubogi,
Sam widać był tej harfie za stolarza —
Dziwna!... rybie w niej srebrzą się ościenie
I labradorskie Sybiru kamienie.

Struny podobne do starych badylów
Pod palcem tego ducha drżą spróchniałe.
A co? czy dobrze na niej panna Nilów
Grała, wywiódłszy ciebie gdzieś na skałę
Kamczatki i t. d....

Więc jest to *Beniowski;* Beniowski, wzięty z okresu życia wygnańczego, które dramatycznością i awanturniczością prześciga najśmielsze pomysły fantazyi. Wspomniana tu panna Nilów, to córka gubernatora Kamczatki, która się w nim zakochała, która została jego żoną i wybawicielką, którą on uczył grać na harfie przez siebie sporządzonej. Trzecia mara — to ksiądz Marek, który tu inaczej wygląda, niż w poemacie i w dramacie, uchwy-

cony w jakiejś przejściowej fazie przeobrażania się w wyobraźni poety.

Precz bladzi! — i ten trzeci, co nad głowy
Wyciąga ręce i nad wami trzyma
Swój wielki, bardzo ciężki krzyż cynowy,
Niech mię nie prosi łzawymi oczyma!
Stary świat skonał... nie zaczął się nowy.
Dla takich duchów, jak wy, miejsca nie ma!
Lećcie i w nową zorzę się rozpłyńcie
I bądźcie nowi duchem — albo gińcie!

A więc poeta, wskutek przełomu, jaki w nim nastąpił, stracił serce dla ostatnich mar swojej wyobraźni i odpędza je, bo nie odpowiadają jego nowym na świat poglądom i dążeniom. Ale Atessa wstawia się za niemi: wszakże jak poeta uległ transfiguracyi, tak i one mogą się w jego duszy przeobrazić.

Stój! oni wszyscy z wiarą i nadzieją.
Pozwól im swojej duszy, jak kościoła,
Gdzie teraz żadne lampy nie jaśnieją!
Kto wie, przez ciebie jaki głos zawoła,
Gdy będą w tobie... Patrzaj, jak pięknieją;
Ogień im tryska z nóg i z rąk i z czoła —
To wielkie duchy i wydarte niebu!

POETA.

Czegoż odemnie oni chcą?

DUCH.

Pogrzebu....

I poeta obiecuje ich pogrzebać, te mary zabrać z pobojowiska rzuconego poematu i wprowadzić przeobrażonych do swojej nowej poezyi. Ale w jakich ramach, w jakich rozmiarach, o tem nie miał jeszcze wówczas jasnego wyobrażenia. Nie wiedział też, że z trzech duchów, które obiecał pogrzebać, tylko Wernyhora i ksiądz Marek doczekają się poetyckiego pogrzebu; trzeci zaś duch, którym wówczas wyobraźnia jego była najwięcej zajęta, pozostanie na polu niepogrzebany.

Ostatnie strofy fragmentu wtajemniczają nas jeszcze

głębiej, niż poprzednie, w stan ducha poety w kilka miesięcy po transfiguracyi, t. j. wtedy, kiedy zostawał w najlepszej zgodzie z braćmi, z Mickiewiczem, Goszczyńskim i innymi. O nich to pisał:

A przyjacioły moje już do biegu
Świat boży pędzą, jest w nich Bóg i siła...
. . . .
Serce przy sercu stoim, duch przy duchu;
Bóg rozkwitnieniu w nas serc błogosławi,
Złoci widzenia Janowe zapałem
Chrystus, krwią poi i nakarmia ciałem.

Odzywają się też echa pewnego zwątpienia o sobie, o swoich siłach, które się już na początku fragmentu pojawia, a które tak wybitnie występuje we współczesnym liście do Krasińskiego. Z tem wątpieniem jednak waży się nadzieja, że jak dawniejsza jego poezya nie była bez pożytku dla narodu, tak i nowa, do której się zabierze, przyda się nowemu światu. Oto jak idzie w górę waga nadziei:

I ja to widzę, że wola Jehowy
Jest, aby nowy świat stanął przed świtem.
Nie pożałuję ręki ani głowy,
Gdy przyjdzie pora. Ale pod błękitem
Gdzie jest kto świeży i zupełnie nowy,
By świat odrazu jednym zbił granitem?
. . . .
. . . . . czym ja kiedy Polski ducha
W żywotną jego część i w serce ranił?
Czym gdzie ominął pleśń, szczątki łańcucha,
Fałsz, co źrenice światłami tumanił?
Nigdy na boży głos nie była sucha
Źrenica moja, choć mnie Bóg oszklanił
W koło... jak ludzi oddziela fatalnych
Od ludzi — światłem rzeczy niewidzialnych.

Ale zaraz potem waga zwątpienia zaczyna iść w górę, waga nadziei opada. Poeta mówi o sobie, jako o zamierającym, jako o umarłym w porównaniu z tymi przyjaciółmi, w których jest Bóg i siła i którzy świat do biegu pędzą.

Teraz już serce moje pełne śniegu,
Który tam zima uczuć naruszyła; —
. . . .
Może też Bóg chciał, aby w tym szeregu
Z ludźmi żywymi niejedna mogiła
Raziła dziwem takiego sąsiedztwa
Nie dla pośpiechu, ale dla świadectwa
I dla przestrachu . , . .

Widzimy tedy, że fragment »*Poeta i natchnienie*«, jest bardzo ważnym dokumentem do historyi ducha poety w czasach blisko następujących po transfiguracyi. Pokazuje on nam tę chwilę, kiedy poeta zerwał z dawną twórczością, a poczuwając pragnienie nowej, nie wiedział jeszcze, jak ją rozpocząć: czuł tylko, że w *Beniowskim* są żywioły, które się do tej nowej twórczości nadają.

W genezie *Xiędza Marka* i *Snu srebrnego* odegrała także pewną rolę prelekcya Mickiewicza z 4 kwietnia 1843, cała poświęcona rozważaniu dramatu, takiego jaki był dotychczas i jakim być powinien. Słowackiego, który się tak niedawno jeszcze uważał za Szekspira polskiego, musiała ta prelekcya szczególnie interesować, a że był na niej, łatwo przypuścić, skoro były to jeszcze czasy zgodnego stosunku jego z Kołem i Mickiewiczem[1]. Naprzód drażliwość jego autorska, nigdy zupełnie nieukojona, musiała być niemile dotkniętą tem, że Mic-

[1]) Na 63 karcie Pamiętnika Słowackiego kat. Rkp. Bibl. Ossol. 1792 nr. 2, jest polemika z pewnymi szczegółami tej prelekcyi, pochodzi ona jednak, jak się zdaje, z późniejszych czasów, kiedy już trzeci tom prelekcyj wyszedł z druku. Zresztą, gdyby nawet Słowacki nie był na tej prelekcyi, to treść jej niewątpliwie musiał prędko poznać, skoro Zygmunt Krasiński bawiący wówczas w Rzymie, znał ją już w jedenaście dni po jej wygłoszeniu. Porówn. Listy Zygm. Krasińskiego do Stan. Małachowskiego. Kraków 1885, str. 29.

kiewicz mówiąc o dramacie w Słowiańszczyźnie, wymienił tylko trzy utwory, jako wychodzące ponad tłum rozmaitych naśladowań, mianowicie tragedyę Puszkina *Borys Godunow*, Milutynowicza *Obylicz* i *Nieboską komedyę* Krasińskiego, o Słowackim zaś i tym razem nie wspomniał. Wprawdzie i sam Słowacki lekko ważył teraz swoją dawniejszą poezyę i cieszył się, »że przez te flety nie wydał całego ducha swojego«, ale wierzył przecież, że w kwiatach jego poezyi »są niektóre wonie prawdziwe i potrzebne stworzeniom oddychającym« i miał przekonanie, że nawet chłopek polski może z pewną korzyścią odczytać jego *Balladynę* i *Lillę Wenedę*. Powtóre w słowach Mickiewicza o tem, jak trudno napisać dramat słowiański, któryby objął wszystkie żywioły poezyi narodowej, poruszał wszystkie struny, odzywające się w piersiach Słowianina, a przedewszystkiem napojony był cudownością, i w zapewnieniu profesora, iż dotychczas takiego dramatu jeszcze nie ma, znajdował Słowacki jakby wezwanie, zachętę, pobudkę do zwrócenia niewyczerpanych sił swojej fantazyi w tę stronę. Bardzo prędko też potem widzimy go wracającego na drogę dramatyczną.

Ale teraz nie Szekspir, jak dawniej, tylko Calderon miał być przewodnikiem jego na tej drodze. Czytał on Calderona jeszcze dawniej, we Florencyi bawiąc, i »upajał się jego brylantową i świętości pełną imaginacyą« [1]). Było to jeszcze wtedy, kiedy wykańczał *Anhellego*, i kiedy w nim chwilowo poważny nastrój przeważał. Ale wtedy Calderon nie wywarł wpływu na jego twórczość poetycką. Teraz, kiedy świętość stała się jego codziennym, stałym nastrojem, przypomniał on sobie znakomitego poetę hiszpańskiego i zaczął go na nowo studyować, zwłaszcza, że według świadectwa jednego ze znajomych poety «utwory Calderona i sposób, w jaki on je traktuje, przemawiały bardzo do przekonania członków towarzystwa Towiań-

---

[1]) Listy do matki II, 74.

skiego« i że nawet »uradzili oni przetłumaczyć celniejsze dramata tego pisarza hiszpańskiego«[1]. Jeżeli tak było, to niewątpliwie Słowacki czuł, że na nim przedewszystkiem spoczywa ten obowiązek, i że nikt lepiej od niego nie potrafi poezyi kalderońskiej na polską mowę przehaftować.

Ale nie od tłomaczenia zaczął się u Słowackiego wpływ Calderona. Ze wszystkich wskazówek można wnioskować[2], że *Księcia Niezłomnego* poprzedził *Ksiądz Marek* i *Sen srebrny Salomei.*

Potrącony prelekcyą Mickiewicza z 4 kwietnia 1843, zagrzany uznaniem Towiańczyków dla Calderona, Słowacki, wczytując się teraz w hiszpańskiego mistrza, szczególnie zaś w takie utwory, jak *El principe constante*, które do ducha towianizmu najwięcej się zbliżały, poczuł, że mógłby coś więcej zrobić nad przetłómaczenie tego lub owego utworu Calderona, że mógłby sam wystąpić jako polski Calderon, czerpiący z polskiej tradycyi i ideę nowej wiary oblekający w formę dramatu. Temat konfederacyi barskiej miał ciągle, od lat czterech, pod ręką. W ten temat chciał włożyć naprzód ideę polskiego *Fausta*, potem chciał z niego wykrzesać polskiego *Don Juana*, teraz ujrzał w nim najlepszy materyał do stworzenia dramatu w rodzaju Calderona. Nie Beniowski, jak wiemy, zajmował go teraz w tym temacie, ale cudownością otoczone i cudownością tchnące postacie Wernyhory i Księdza Marka. Wernyhora więcej może przemawiał do jego serca, jako przedstawiciel ludowej, proroczej poezyi, i polsko-ruskiej, szlachecko-ludowej harmonii, ale ksiądz Marek był najszczytniejszym przedstawicielem konfederacyi barskiej i tej idei, jaką w niej

[1]) Juliusz Słowacki, napisał Reitzenheim Józef. Paryż 1862, str 20.

[2]) Ograniczam się tu do wskazania świadectwa Reitzenheima, który l. c. podaje zupełnie stanowczo, że Słowacki przetłómaczył dramat Calderona dopiero po odłączeniu się od koła Towiańczyków, wiadomo zaś, że odłączył się już po napisaniu *X. Marka*, a podczas pisania *Snu srebrnego*.

upatrywano, najlepiej wyobrażał wielbioną przez wyznawców nowej wiary potęgę ducha.

Tak, jeszcze się Słowacki błąkał po manowcach zniechęcenia, kiedy już Towiańczycy w konfederacyi barskiej widzieli początek tych niejasnych jeszcze dążeń do odrodzenia moralnego ludzkości, do przewagi uczucia nad zimną rachubą, które jako kwiat pełny teoryi miały się rozwinąć w towianizmie. Już na lekcyi 18 lutego 1842 Mickiewicz tłómaczył słuchaczom, że trzy mocarstwa, które po upadku konfederacyi barskiej rozebrały Polskę, uczyniły to »bynajmniej nie dla zdobyczy jego kosztem, nie dla podzielenia się jego ziemią, ale z przyczyny, której powszechnie nie rozumiano«, mianowicie pociągnięte instynktem własnej konserwacyi: »bo czuły, że tu wśród ludów słowiańskich zabłysła nowa idea«. A »człowiekiem, co tę ideę najoczywiściej wyobrażał, — objaśniał dalej Mickiewicz — człowiekiem najznakomitszym owych czasów, nie przez swoje czyny, ale przez entuzyazm swojej wiary, był niewątpliwie ksiądz Marek«[1]).

Więc Słowackiemu, jako poecie nowego objawienia, postać X. Marka sama się nasuwała; w ówczesnym nastroju nic lepszego nie mógł znaleźć, jako temat dla dramatu na wzór Calderona. Ale mogła tu inna jeszcze współdziałać pobudka. Postać ta była już, jak wiemy, wprowadzona na scenę powieści o Beniowskim, w ogłoszonych jej pięciu pieśniach, a wprowadzona w sposób, który się Słowackiemu obecnie nie mógł podobać, bo nie odpowiadał jego obecnemu jej pojmowaniu. Nie byłoż to ubliżeniem dla X. Marka, że w drugiej pieśni kazał mu poeta pastwić się nad zdrajcą Dzieduszyckim tylko dla zrobienia efektu, a w czwartej traktował go humorystycznie, jako rubachę z bezmyślnem zadowoleniem przypatrującego się pojedynkowi dwóch ludzi blizkich sobie. Takie traktowanie tej postaci wywołało było dawniej,

---

[1]) Literatura słow. II 146—148.

więcej niż na rok przedtem, ujemną krytykę Mickiewicza, o której prędzej czy później musiał Słowacki się dowiedzieć.

Mylne bowiem jest zwykłe mniemanie, jakoby Mickiewicz raz tylko wspomniał o Słowackim, a to przy omawianiu literatury polsko-syberyjskiej. Tak, raz tylko wtedy wymienił jego nazwisko, ale mówił o nim, nie nazywając go, i to daleko więcej, z okazyi X. Marka, 22 lutego 1842. Powiedziawszy o tym ostatnim, że stał się dzisiaj ulubieńcem pisarzy, że »niemasz prawie nowego romansu, nowego utworu poezyi, gdzieby nie było wzmianki o nim«, uderzał z większym gniewem niż słusznością na metodę upowszechnioną przez Walter-Skotta, która »narobiła wiele klęsk w literaturze słowiańskiej« i tak mówił. »Tego nikt nie chce rozumieć, że działającą w nim (Walter-Skocie) ideą była pycha, może jeszcze większa, niż pycha Bajrona. Przyznaje on sobie znajomość najgłębszej skrytości serca wszystkich ludzi, których wprowadza do swoich romansów; ma pretensyę znać cały grunt ich charakteru, zgadywać, co mogli pomyśleć i zrobić, wymierzać całą rozciągłość ich duchowego i ziemskiego zawodu. Bierze więc bohaterów, jak maryonetki, porusza nimi dowolnie, gada za nich i o nich zawsze tonem wyższego, z niejaką poufałością bardzo krzywdzącą«.

Dotąd jest to krytyka Walter-Skotta ze stanowiska towianizmu. Ale nie o Walter-Skotta chodziło Mickiewiczowi, tylko o jego naśladowców. »Walter-Skott zresztą pisał dla zabawy ogromnej massy czytelników bezczynnych. Jestże taka publiczność w krajach słowiańskich? Możnaż w ten sposób traktować bohaterów konfederacyi Barskiej? A szczególniej godziż się przyznać sobie taką wyższość nad prorokiem natchnionym. Któryż z młodych literatów ma prawo mniemać, że pojął ideę tego człowieka i w piśmie swojem obracać nim, kazać mu odgrywać nadaną rolę dla rozrywki amatorów gazet? Szlegel zaklinał Niemców, aby nie tykali się powieści gminnych, bo ta delikatna pajęczyna zniknie w ich ciężkich rękach.

Jakże przebaczyć ręce świętokradzkiej, która śmie kalać wieniec światła otaczający głowę tak szanowną? Są pisarze, co wyszydzając wzniosłą ideę, której ten człowiek był apostołem i męczennikiem, piszą poemata na jego pochwałę. Ta cześć jest większą zniewagą, niż bluźnierstwa współczesnych przeciw niemu. Podobni autorowie powinniby lękać się nazwiska i losu Faryzeuszów. Faryzeuszowie stawiali ozdobne groby dla proroków zmarłych, ale Bóg ich przeklął, bo zawsze byli gotowi kamienować proroków żyjących« [1]).

Że te słowa wymierzone były przeciw Słowackiemu, to rzecz jasna i nasz poeta nie mógł tego nie zrozumieć [2]). A skoro i sam teraz musiał uznawać, że jego wystawienie X. Marka w *Beniowskim* ubliżało tej postaci, jak mu się ona w świetle nowych wyobrażeń przedstawiała, więc tem większą uczuwał potrzebę stworzenia nowego jej obrazu.

Tak więc w genezie *Księdza Marka* były rozmaite pobudki i wpływy. Najważniejsze z pomiędzy nich, to duch towianizmu, wpływ Calderona i wpływ prelekcyi Mickiewicza. Zobaczmy kolejno, jak się każdy z nich w utworze Słowackiego wyraził.

Duch towianizmu przyniósł naprzód dramatowi jego główną ideę, którą jest zwycięstwo ducha nad materyą, uczucia nad zimną rachubą. X. Marek jest przedstawicielem tych »duchów wielkich, mających wielkie przeznaczenie«, do których Słowacki zaliczał i siebie, tych duchów, którzy w ciele są jeszcze wprawdzie zamknięci,

---

[1]) Lit. Słow. II, 161—162.

[2]) Drugim autorem, któregoby tu można domyślać się, jest Lucyan Siemieński, autor »*Trzech Wieszczb*«, ale ostatnie słowa o »gotowości kamienowania proroków żyjących«, jako też inne wskazówki (np. wyszydzanie wzniosłej idei, której X. Marek był apostołem i męczennikiem) dają się tylko zastosować do autora *Beniowskiego*.

ale to ciało nie ma już nad niemi żadnej mocy. Stanowi on widzialny koniec niewidzialnej i nieskończonej kolumny duchów jasnych, wiążących go z Bogiem i użyczających mu cudownej mocy i daru proroczego. Oto jak mówi o sobie w akcie I do marszałka:

Bo zaprawdę jestem w lidze
Z duchami i ze świętemi!
A chociaż niski na ziemi
To duchy okryte zbroją
Na ramionach moich stoją!
I kończą się gdzieś w bezkońcach,
W świecie, gdzie gwiazd zawierucha,
W gwiazdach, w meteorach, w słońcach,
Za słońcami — w słońcu ducha.

W ten sposób objaśnia się jego cudotwórczość, przez tradycyę podana. Grzmoty i pioruny są na jego zawołanie; dość mu zwrócić się do Tej, która świeci u czoła kolumny jasnych duchów, unoszącej się nad nim.

Królowo świętych, proroków,
Najświętsza Panno Maryjo!
Każ, niech mi pioruny biją,
Proszę o salwę obłoków
I grzmoty: Salve Regina!

Jednakże ta jego cudotwórczość nie sięga tak daleko, aby jej mógł użyć do pokonania zbrojnych zastępów nieprzyjacielskich, które otaczają garstkę, zamkniętą w Barze. Gdyby inaczej było, nic łatwiejszego, jak odnieść zwycięstwo nad nieprzyjacielem, ale takie zwycięstwo nie byłoby zasługą narodu. Walka, która się toczy, jest walką ziemi z niebem, ale jest dla celów boskich konieczną; bo bez niej świat nie byłby wielką fabryką ducha.

Pan niebios pragnie,
Aby tu były dwie moce:
Jedna, która ciałem nagnie,
Druga, co duchem podniesie
I ukorzy w imię Pana.

Więc cudów używa ksiądz Marek tylko na to, aby wzniecić w ludziach wiarę, obudzić ich ufność ku sobie, i w ten sposób uczynić ich przystępnymi dla natchnionych słów swoich; jednocześnie przykładem poświęcenia się podnosić ich dusze.

Bo ja ojczyzny być muszę
Duchem, stróżem i patronem;
I wyżej porywać dusze;
A żadnej ziemią nie skalać,
Ale wszystkie pozapalać
Na nowe wieki i czyny.

Ten patron ojczyzny zbawić już dawnej Polski nie może, tak jest pleśnią różnych wad okryta, ale może dać początek jej odrodzeniu w przyszłości i czuje, że tu właśnie, w Barze, rodzi się ta Polska odnowiona:

Ja, ksiądz prosty, powiem tobie,
Że tu leży Polska w żłobie,
Lecz Polska nie tego wieku,
Żywa — nie przez nasze czyny.
Szanuj sen świętej dzieciny,
Która, gdy oczy otworzy
A uczuje boleść ciała,
Najpierwej będzie płakała,
Taka ją ciemność zatrwoży
Z naszych grobów uczyniona,
I brak matczynego łona
Tak ją w żłóbeczku rozkwili.

To odrodzenie narodu jest jego, wielkiego ducha, zadaniem. Bóg nań to zadanie włożył i dał odpowiednią siłę do jego spełnienia. Biada mu, gdyby tego zadania nie spełnił i nie użył tej nadzwyczajnej, boskiej siły, sobie użyczonej.

Siła wielka! niesłychana,
Która przy żywota kresie
U wielkich duchów się jawi,
A tę ludzie wydać muszą.

Bo kto ją w sercu zostawi,
Ze łzą, z chlebem ludzkim strawi
I uniesie razem z duszą,
Niebieskiej pragnąc korony,
A tu nie pomoże światu,
Ten zaprawdę potępiony!
Łachman z bożego szkarłatu!
Gwiazda upadła z anielstwa,
Gasnąca w błotnej kałuży!
Duch na wieki bez poselstwa,
Bez ciała, które mu służy,
Bez serca, co w piersiach bije,
Spadnie, w ziemię się zaryje
I Boga prosi o litość.

To znaczy, że duch taki, nie spełniwszy swojej misyi, po śmierci zamiast podnieść się do sfery duchów jasnych, wyzwolonych z ciała, do sfery aniołów, skazany jest na degradacyę do najniższych kręgów stworzenia, na nową wędrówkę ducha przez świat materyi. O tem prawie jeszcze ludzie nie wiedzą.

A to jeszcze wielka skrytość
U ludzi, to ducha prawo,
Nie głoszone na ambonach....

Takie pojmowanie księdza Marka ze stanowiska doktryny Towiańskiego było zupełnie słuszne i zupełnie zgodne było z przedstawieniem tej postaci w prelekcyach Mickiewicza. Można powiedzieć, że cała nauka Towiańskiego o wielkich duchach i o ich misyi włożona jest tutaj w księdza Marka. Ale zobaczymy później, że to, co ze stanowiska ideowego było słusznem, ze stanowiska sztuki okazało się fatalnem.

Tym, który w poemacie stoi najbliżej tej postaci, w którego serce i pałasz naprzód przelewa się »wielki duch« Marka, jest Kazimierz Puławski. Jest to pierwszy przedstawiciel odradzającego się społeczeństwa. Wszystkie inne ze świata szlacheckiego należą jeszcze do dawnej, skazanej na zagładę Polski. Nie mówiąc o Bra-

nickim (którego Słowacki stale za Rulhièrem nazywa Braneckim), a który sam się niejako wyłącza ze społeczeństwa polskiego, wszyscy inni, marszałek, regimentarz, starościc, Kossakowski, noszą na sobie jakieś piętno upadku. Kossakowski słucha tylko podmuchu żądz chwilowych, przedstawia jaskrawy typ anarchisty-rycerza, duch rozpasania indywidualizmu, duch Lisowczyka, na tle konfederacyi Barskiej; starościc grzeszy tradycyjną lekkomyślnością, lekkomyślnem stawianiem życia na hazard [1]); w regimentarzu Pułaskim są najlepsze chęci i gotowość do ofiar, ale brak wytrwałości i silnej wiary; w marszałku Krasińskim duma pańska i małoduszność okrywająca się pozorami rozumu politycznego. Ten ostatni stanowi najwybitniejsze przeciwieństwo z księdzem Markiem, bo jest to zarazem przedstawiciel trzeźwości i powszedniego rozsądku, jak ksiądz Marek exaltacyi i natchnienia. A jak rozsądek był pogardzany przez Towiańczyków i w szczególności przez Słowackiego, świadczy o tem dobrze ustęp z listu, współczesnego pisaniu *Księdza Marka*. Wypowiadając matce głęboką wiarę, że wkrótce w Polsce »wszystkie piękniejsze duchy zadrżą po kątach jak arfy eolskie, gdzieś po altanach pochowane«, dodawał: »a tymczasem ludzie z kości i stalowych sprężynek, zegarki te społeczeństwa, często stojące, grać wam będą zwyczajne kuranty, od wieków słyszane na świecie, o zdrowym rozsądku, rozwadze i rozumie«... [2]).

Stosunek Towiańczyków do kościoła zwanego przez nich »urzędowym«, odźwierciedlił się bardzo wyraziście w stosunku księdza Marka do Przeora Karmelitów. I w *Trzech Wieszczbach* Siemieńskiego zarysowuje się przeciwieństwo między prorokiem zakonnikiem a jego prze-

---

[1]) Warto zwrócić uwagę na to, że ksiądz Marek w stosunku do tej lekkomyślności przedstawiony jest zupełnie inaczej, niż w *Beniowskim* wobec pojedynku Beniowskiego z Sawą.

[2]) Listy II, 183.

łożonym, i zapewne ten pomysł Siemieńskiego nie pozostał bez wpływu na Słowackiego, ale u naszego poety jest on źwięźlej i szlachetniej przedstawiony. Przeor Karmelitów jest tylko duchowną odmianą świeckiego typu, jakim jest marszałek. Jest on także przedstawicielem zdrowego rozsądku wobec egzaltacyi, i tchórzostwa wobec bohaterskiego zapału. Jak marszałek uważa za swój obowiązek zbawić »szlachetnych ludzi ostatki«, tak przeor chce uwieźć z miasta, któremu szturm grozi, relikwiarze i sakramenta, »aby splamione nie były«. Ale ksiądz Marek, uzbrojony poczuciem swojej jedności z Bogiem, stawia przeorowi opór:

Nie, Boga nie weźmiesz zgoła,
Boć to nie jest tobie dane...
Oto idę do kościoła,
Sakramenta porwę w dłonie
I pójdę... i śród kul stanę,

i wywołuje z ust jego charakterystyczną przestrogę, którą przeor daje samemu sobie na przyszłość:

Temu księdzu na ambonie
Tumanić ludem zakażę.

Najpoetyczniej, najwspanialej wyraził się w dramacie pogląd Towiańskiego i jego wyznawców na plemię Izraela i na jego stosunek do nauki Mistrza. Podług tej nauki, objaśnionej przez Mickiewicza, to plemię wybrane, z powodu zadania, jakie na niem ciąży, pokrewne jest Francuzom i Słowianom. Izraelem tedy w języku Towiańczyków nazywała się najstarsza rodzina duchów, co miały drugie prowadzić, a same najgłębiej w zło zaszły... »Dla niezgłębionych pańskich wyroków przeprowadza je Pan od wieków w trzy pokolenia, to jest wstawia je w Izraela Żyda, wciela w Izraela Francuza i w Izraela Słowianina. Wszakże poczujmy, że to jest jedna rodzina.... Każdy taki duch, nim swego zastępu powinności nie pozna, zba-

wiony nie będzie«[1]). Tak nauczał Mickiewicz współwyznawców później, w r. 1842, a w r. 1843, to jest kiedy Słowacki należał do Koła i bywał na jego zgromadzeniach, zastępca mistrza uwydatniał silne poczucie Boga u Żydów, a winę tego, że się nie nawracają, zwalał na księży, od których »żadnego ducha ani światła dziś nikt nie zaczerpnie«.... »I cóż dziwnego, mówił, że ludzie tacy trafić do niczyjego serca nie mogą, że nie mogą nawrócić Żyda, kiedy Żydzi jedni jeszcze przez te 1800 lat zachowali między sobą prawdziwe uczucie Boga. Kiedy rabin w swojej bożnicy z głębi ducha jęknie, to odbierze czystsze potrącenia ducha i siłę, którą innym komunikuje, i jakże go ksiądz słaby wiarą ma nawrócić? Tenże sam Żyd, czujący Boga, wnet pozna, skąd kto siłę czerpie i widzieliśmy,—bo ja wam tu, bracia, żadnej nie mówię teoryi, ale to, czegośmy wszyscy byli świadkami, — że jeden Żyd po kwadransie rozmowy nawróconym został, ale Mistrz przemówił do niego znanym mu głosem, który go całego wstrząsnął«. Mowa tu o bracie Ramie, którego nazwisko przewija się nieraz w annalach towianizmu.

Słowacki w *Księdzu Marku* wyprowadził na scenę dwa typy Izraela: w bogatym arendarzu, którego niewiadomo na co nazwał rabinem, chyba dlatego, żeby na córkę jego więcej zlać tajemniczego blasku; i w tej córce właśnie, Judycie. Rabin jest wcieleniem materyalizmu żydowskiego, jego córka wcieleniem religijnej extazy, do jakiej tylko Żydzi są zdolni. W tej egzaltacyi poczuwa ona tak silny swój związek z Bogiem, że potrafi cuda tworzyć, podobnie jak ksiądz Marek. Wprawdzie jej Bóg, to jeszcze Bóg Starego Zakonu, który »nie wisiał na ćwieku, — nie pił octu i piołunów, — ale stał na wielkiej górze — pośród dwunastu piorunów — i rozbłyskał się na całe niebiosa«[2]), ale ona choć jeszcze chrztem nie

---

[1]) Współudział I, 219.

[2]) We wspaniałym obrazie Boga Judy i Izraela, który poeta kładzie w usta Judyty:

obmyta, jest już nachylona ku Chrystusowi, już nauczona miłości, i wyobraża »zmartwychwstanie Izraela — stojące już na mogiłkach«. Żeby pociągnąć Izraela do Chrystusa i jego sprawy, potrzeba takich wielkich i gorących duchów, jak ksiądz Marek. On też pociąga Judytę potęgą swojej miłości i wiary, on jej przebacza nawet zdradę, której się ona dopuszcza z zemsty za powieszenie ojca, on jej daje Sakrament chrztu wraz z imieniem Salomei i tę pewność, że już jest »u Panny Zbawicielki — na niebie oczekiwana«.

Ale ani chrzest, ani nowe imię, ani ta pewność nawet nie odmieniają temperamentu bohaterki dramatu. Obok mistycznej extazy Słowacki w cudowny sposób wcielił w Judycie namiętność hebrajską, zataczającą się do szaleństwa, mianowicie namiętność zemsty.

> Nu, ja nie Polka, ja mściwa,
> Ja żydówka! Ja Judyta!

wykrzykuje ona już po otrzymaniu chrztu i imienia Salomei, a Kossakowski zachwycony widokiem jej roznamiętnienia woła do niej:

> Słuchaj, dziewczyno straszliwa!
> Piękność twoja nieśmiertelna,
> Jakaś straszna i piekielna:
> Ząb perłowy kiedy zgrzyta,
> To mi serce w piersiach lata...

I choć jej ojciec »żyd, wisielec«, on się z nią »żenić gotów«. Ten Kossakowski obok Judyty, to para niezmiernie oryginalna, nie tyle już nauką Towiańskiego, ile intuicyą poetycką podsunięta. Dwie te natury, z różnych wzięte światów, wiąże demoniczność: u niej płynąca z głębokiej uczuciowości, mistycznie nastrojonej, u niego z pełni

---

> A jak spojrzy, to się góry pokłonią!
> A jak błyśnie, to ślepota na ludy i t. d.

uderza podobieństwo do obrazu tego Boga, przed którym poeta padał na twarz w piątej pieśni *Beniowskiego*.

sił żywotnych, nie znających steru, ni hamulca. W Kossakowskim pod rozpasaną fantazyą czyli złą głową, jak powiada starościc, jest »złote serce«, i ksiądz Marek mocą swojego ducha, jak demoniczną Judytę zaciąga pod sztandar Chrystusa, tak demoniczną głowę Kossakowskiego »zgniata, aby serce ocalało«. Nie można nic potężniejszego sobie wyobrazić nad te słowa, któremi, sam bezbronny, gromi on i wygania z miasta najzuchwalszego z warchołów. Wspaniały ten ustęp, zbyt długi, aby go tu przytaczać, kończył się wezwaniem:

A ty, na twój koń czerwony
Siadaj... bo drżysz, jak niewiasta,
A jeśli dla swej obrony
Nie masz wyrzec nic? precz z miasta!

I zgruchotany na duchu, na przelękłym rumaku Kossakowski ucieka, aby knuć zemstę na swego pogromcę. Ale ta chęć nie trwa długo: nie darmo ksiądz piorunami swojej wymowy »zgniótł mu czaszkę«, obudziła się skrucha w jego sercu, ujrzał całą ohydę swego postępowania i całą »furyę« swoją obraca teraz na to, aby zbawić księdza albo zginąć, a w każdym razie »poprawić utraconej sławy«. Finał stosunku tej pary, o której mówimy, nie mógł być efektowniej, jak był, i zgodniej z naturą jej pomyślany. Kossakowski wyrywa Judytę, »z grobu i z płomienia«, chwyta na swoją klacz czerwoną i jak ptak z łupem odlatuje z miasta. Są to dwa ognie, które się zwarły, aby spłonąć razem w szalonym pędzie, w ostatniej, śmiertelnej chwili[1]).

Wpływ Calderona, do którego teraz przechodzę, odbił się i na treści i jeszcze więcej, na formie *Księdza Marka*. Pod względem treści uderzają przedewszystkiem

---

[1]) Warto zwrócić uwagę i na to, że Słowacki traktuje przedstawiciela anarchizmu polskiego, Kossakowskiego, z pewną sympatyą, co wynika już choćby z tego, że czyni go zdolnym do skruchy i poprawy.

analogie pomiędzy postaciami księdza Marka i księcia Niezłomnego. Jeden i drugi mają być wyrazem zwycięstwa ducha nad siłą fizyczną, nad materyą. Tradycya przyniosła Słowackiemu wiele rysów takich, których nie było w Don Fernandzie, i Słowacki z nich korzystał, ale też przynosiła i takie, które pozwalały zbliżyć księdza Marka do księcia Niezłomnego. Źródła, z których poeta czerpał tradycyę, to były pamiętniki Kitowicza, Wybickiego, *Histoire de l'anarchie de Pologne* Rulhière'a i Soplicowskie opowiadania Rzewuskiego. Oświetlały one w rozmaity sposób postać księdza Marka i jego cudotwórstwo, żadne zaś z tych źródeł nie mówiło o jego śmierci. U Kitowicza była tylko wiadomość, że »prorok Marek, schwytany od Rosyan, batożkami ocięty i gdzieś do klasztoru wtrącony, z oczu ludzkich zniknął«. Otóż Słowacki kombinując rozmaite rysy tradycyi z tych źródeł zaczerpnięte, skorzystał z wiadomości, podanej przez Kitowicza, aby zmodyfikowawszy stosownie do swoich celów tę tradycyę, oprzeć na niej rozwiązanie swego dramatu, podobne do rozwiązania dramatu Calderona.

Jak Don Fernand z rozkazu króla Maurytanii cierpi męczarnie głodu i wreszcie z nich umiera, tak ksiądz Marek, z rozkazu Kreczetnikowa »zakrwawiony, knutem zbity« ponosi śmierć męczeńską. I tu i tam cierpienia bohatera, choć w różny sposób, obracają się na korzyść narodu. I w drugorzędnych motywach zakończenia *Księdza Marka* widzimy wpływ *Księcia Niezłomnego*. Jak u Calderona Alfons, przybywający do Afryki dla wyzwolenia Don Fernanda, zachwytuje córkę króla Maurytanii, Fenixanę, i zyskuje w ten sposób drogi zakład wojenny, tak samo Kazimierz Puławski dostaje w ręce żonę i dzieci Kreczetnikowa, i ufny w ten zakład domaga się od generała rosyjskiego wydania cudownego obrońcy Baru. Jak w dawnym królu Maurytanii kruszy się w końcu sztuki dusza, tak i Kreczetnikow, wzruszony i przerażony

wypadkami, każe bić z armat na cześć zmarłego proroka i gotów jest wraz z Puławskim nieść jego mary.

Pod względem formy wpływ Calderona w *Księdzu Marku* odrazu rzuca się w oczy, przy dokładnem zaś porównaniu widzimy zgodność formy w najdrobniejszych szczegółach. Więc *Ksiądz Marek* podzielony jest na trzy akty, odpowiadające trzem *jornadom* kalderońskich dramatów. Akty, podobnie jak *jornady*, nie są podzielone na sceny. Rozmiar wiersza u Słowackiego taki sam jak u Calderona, i jak tam, tak i tutaj wśród zwykłych ośmiogłoskowych wierszy pojawia się niekiedy wiersz dłuższy. Anafora i symetrya logiczna i tu i tam stanowią wybitną ozdobę stylu [1]). I tu i tam dyalog rozlewa się w potoki

---

[1]) Na przykład przytaczam takie wiersze z *Księdza Marka*:

A podemną popiołów kupa,
A na mnie wór podły, szary,
A ja podobna do mary
. . . .
A we śnie łzami zalana,
A w strachu jak wiedźma blada,
A zemstą w niebo porwana,
A w przekleństwach, jak piorun, co spada.

Tak mówi Judyta o sobie w akcie II, a w dalszym ciągu tak opisuje potęgę judzkiej niewiasty, natchnionej zemstą za śmierć ojca:

Jest jak noc cała w płomieniu,
Jest jak burza, cała w mocy,
Jest jak siła, cała w ciszy,
Jest jak głaz, w Dawida procy,
Jest jak płacz, który Bóg słyszy,
Jest jak grad, co bije w twarze,
Jest jak strach, co serca napełnia,
Jest jak miecz, którym Bóg karze,
Jest jak sąd, który Bóg spełnia.

A teraz do porównania niech służą te wiersze z I Jornady Kalderońskiego *El principe constante:*

Era por lo blanco cisne
Por lo sangriento era sierpe

lirycznych wynurzeń, kwiecistych porównań, szerokich opisów i opowiadań.

Małecki (III 90—91), gorsząc się tą rozlewnością dyalogu w *Księdzu Marku* i *Śnie Salomei*, zarówno jak tem, że wiele zdarzeń »najistotniejszą część osnowy tworzących, jest zbytych tylko w luźnej formie opowiadania« powiada: »Po półtora sta, po półtrzecia sta, czasem po cztery sta wierszy z górą jest włożonych w usta jakiej figury, perorującej jednym tchem — bez żadnej przerwy ze strony ludzi, do których prawi«. A potrącając zaraz potem o przypuszczalny wpływ Kalderona, nie wierzy, aby »gadatliwość« osób w tych dramatach Słowackiego, zarówno jak i inne rzeczy w nich rażące, dały się tłómaczyć samym tylko Kalderonem, i dodaje: »Zresztą jest też niewątpliwie u Słowackiego tych wszystkich rzeczy, co zadziwiają, daleko więcej, aniżeli u Kalderona; a raczej — w tej ostateczności i przesadzie u Kalderona niema ich wcale«.

Otóż Małecki pomylił się w tym względzie, przynajmniej o ile chodzi o »gadatliwość« osób, czyli to, co nazwałem rozlewnością dyalogu. Jest w istocie wiele bardzo długich przemówień jednym ciągiem wypowiedzianych

---

Por lo hermoso era soberbio,
Por lo atrevido valiente
Por los relinchos lozano
Y por las cernejas fuerte.

Tak mówi Fernando o swoim końcu, a następne jego przemówienie do Muleya tak się zaczyna:

Valiente Moro, y galan,
Si adoras como refieres,
Si idolatras como dices,
Si amas como encareces,
Si zelas como suspiras,
Si como rezelas temes,
Y si como sientes amas,
Dichosamente padeces.

w obu dramatach Słowackiego, o których mowa, ale żadne z nich nie dosięga nietylko czterechset, ale nawet trzechset wierszy (najdłuższe Pafnucego w *Śnie Salomei* wynosi około 270, Sawy tamże około 240). W *Księdzu Marku* najdłuższe przemówienie nie dosięga nawet 200 wierszy. A tymczasem u Kalderona w *El Mayor Encanto Amor* można znaleźć w jednem przemówieniu wierszy prawie dwieście (Jorn. I. Circe), w *El Principe Constante* — dwieście piętnaście (Jorn. I. Muley), w *La vida es Sueño* — 255 (Jorn. I. Basilio), nakoniec w *El Purgatorio de San Patricio* są przemówienia liczące przeszło trzysta, do pół czwarta sta wierszy (Ludovico Enio w Jorn. I. w. 311, przy samym końcu wierszy 346). Więc w rozlewności dyalogu Słowacki nie prześcignął Kalderona, i ażeby ją objaśnić, nie potrzeba szukać innych przyczyn, niż wpływ poety hiszpańskiego. Słowacki, wczytując się w Kalderona, — wskutek pokrewieństwa fantazyi i nastroju mistycznego tak nasiąkł jego poezyą, tak wsłuchał się w jej rytmy, że stała się ona jakby jego własną. Jeżeli pod względem harmonii, miary nie dorównał swemu mistrzowi, to nie dla długich przemówień i opowiadań, ale z innych względów, o których później będzie mowa.

Co się tyczy wpływu prelekcyi Mickiewicza z 4 kwietnia 1843, jak się on odźwierciedlił w *Księdzu Marku*, to nie powtarzając już tego, co się przedtem mówiło o tej prelekcyi, należy ukazać w dramacie Słowackiego, mianowicie w jego formie, pewien szczegół, który się tylko wpływem tej prelekcyi da objaśnić. Mickiewicz, wypowiadając przypuszczenie, że »Słowiańszczyzna długo zapewne będzie jeszcze czekała, nim znajdzie się wszystko, co potrzeba do odegrywania jej dramatów«, dawał radę dramatycznym pisarzom słowiańskim, aby pisząc swoje dramata, nie myśleli wcale o teatrze i o scenie. »Tę radę należałoby im często przypominać: bo z jednej strony Polacy zrażają się tem, że im braknie sceny narodowej, z drugiej Czesi przywiązują zbyt wielką wagę do swoich

czterech ścian z pomostem i kulisami, zwanych teatrem narodowym. Bezwątpienia są to rzeczy potrzebne, ale podrzędne, nie główne«. I przedstawiwszy na podstawie Tiecka, jak to w Anglii w czasach Szekspira czarodziejstwo tego pisarza starczyło za wszelkie dekoracye, jeszcze raz akcentował podawaną przez siebie radę. »Powtarzamy więc, że wartoby nie puszczać mimo uszu tej rady, aby poeci piszący teraz dramata, porzucili zupełnie względy, które ich krępują, zrzekli się chętki widzenia reprezentacyi sztuk swoich«.

Że Słowacki wziął tę radę do serca, dał tego dowód w obu dramatach, do których pobudką była owa prelekcya Mickiewicza. Dał dowód naprzód w tytule, nazywając *Księdza Marka* poematem dramatycznym, a *Sen srebrny Salomei* romansem dramatycznym, powtóre odstępując od powszechnego i przez siebie dawniej zachowywanego zwyczaju podawania osób działających na czele dramatu. W tym względzie nie szedł za Kalderonem, ale za prelekcyą Mickiewicza i w ten sposób dawał do zrozumienia, że dramatu swego nie przeznacza dla sceny, tylko do czytania, że czarodziejstwo jego stylu ma zastąpić to wszystko, co scena zwykła przynosić fantazyi widza.

Zanim przejdę do ogólnej oceny *Księdza Marka*, jako utworu poetyckiego, wypada mi jeszcze, dla lepszego objaśnienia jego genezy, potrącić o pytanie, czy Słowacki, wprowadzając do swego dramatu postacie marszałka Krasińskiego i Branickiego i przedstawiając je tak, jak przedstawił, miał chęć i zamiar dotknąć w ten sposób swego przyjaciela, Zygmunta Krasińskiego? Bo ten przyjaciel mógł się czuć i uczuł się w istocie podwójnie dotkniętym, i jako spadkobierca rodowej tradycyi Krasińskich, i jako narzeczony, a potem mąż Elżbiety Branickiej.

To pytanie rozwiązał sam Słowacki w kilka lat potem w liście do Krasińskiego, kiedy się powtórnie nawiązała między nimi zerwana wskutek pojawienia się *Księ-*

dza Marka korespondencya, i chodzi tylko o to, czy to rozwiązanie można uznać za bezwzględnie prawdziwe.

List, o którym mowa, nadto wiele światła rzuca na genezę tego utworu, aby go nie przytoczyć w ważniejszych ustępach: »W pierwszym szale rozbudzonych we mnie ducha wnętrzności, — pisał wtedy Słowacki do Krasińskiego, — chcąc koniecznie wytłómaczyć się nie z idei, bo ta tomów i wieków by potrzebowała, ale z ideału, to jest z pierwszego owocu idei, wpadłem bezmyślnie na jedyną figurę historyczną i wypadek, który mógł przez usta moje wytłómaczyć, czego chcę i co pojmuję. Obrałem księdza, a sama nędza zewnętrzna w wykonaniu świadczy, żem w szaleństwie pisał. Jak kochanek, który w bezsennej nocy list skomponował, a nad rankiem sam się dziwi wczorajszej głupocie, podobnie ja, aż po napisaniu dramatu obaczyłem wątłość dzieła i boleśniejsze jeszcze różne zeń wylatujące strzały, które wszakże, Bóg mi świadkiem, nie w twórczości godzinie, ani przed tą chwilą świętą ze mnie wypadły. Po napisaniu więc aż, spostrzegłem się na dwóch rozstajnych drogach, ducha i ciała. Z jednej strony mówiły duchy: poemat z nas jest, nam potrzebny, jest formą, z której się rozchodzić będą dzbanki różne, a my je będziemy duchem świętym nalewały. Jako poemat, zrujnuje sławę twoją u ludzi zimnych, podobnie jak list miłośnika gubi go między starcami, gdy list ten u dziewczyny wykradną i przez okulary czytają. Ale też list tylko taki gada do serca dziewczyny, właśnie dla głupstwa, a jakiejś niewinnej form przeźroczystości leje ogień w jej ducha i zwycięża ją jedną może tajemniczą, magnetyczną zgłoską, a kochankowi daje królestwo. Wydaj więc na wiatry list twój, zgub się jako autor, jeśli co więcej masz poświęcić, poświęć... Odpowiedziałem: więcej poświęcić! sto razy więcej!... A one: »Co?« Odpowiedziałem· Jest jedno serce, które może będzie myślało, iżem zapomniał o jego bolesnej naturze; jest człowiek, który, jeżeli kiedy o spoczynku i o nagrodzie doczesnej myślałem,

tom sądził, iż spokojna z nim gdzieś pod lipami wiejskimi jedna godzina będzie mi nagrodą trudnego i bolesnego żywota. Teraz to wszystko muszę... co, duchy?«

»Była godzina, iż zamilkły. A ja sam z własną wolą zostawiony, wybrałem.... wiesz, co wybrałem. Duchów nie było rozkazu, ofiara jest moją własną, a ja za nią odpowiadam. I tak będzie zawsze. Ile razy mi przyszło między pełną chatą a samotnością wybierać, zgadzałem się na to, żeby nigdy dzwonek drzwi moich na przyjście przyjaciela nie dzwonił, a czyniłem, co muszę« [1]).

Tak więc Słowacki wypierał się wszelkich złych intencyj względem Krasińskiego przy pisaniu *Księdza Marka* i do tego tylko przyznawał się, że choć po napisaniu spostrzegł różne »bolesne strzały« wylatujące z poematu, nie cofnął się przed ogłoszeniem tego, co pomimo nieudolnej formy uważał za owoc świętej chwili natchnienia, za robotę duchów, za propagandę nowej idei. Otoż, myślę, że w tem wyrażeniu była prawda, ale nie całkowita, albo raczej tak przystrojona, aby nie zrazić dawnego przyjaciela od ponownego nawiązania stosunku.

Pomysł *Księdza Marka* nie wypłynął niewątpliwie z nizkiej chęci dokuczenia Krasińskiemu, ale z chęci, o jakiej pisał poeta, zerwania z drzewa poezyi pierwszego owocu idei; postacie marszałka konfederacyi i hetmana nie były również przez złą intencyę wprowadzone do poematu, ale zjawiły się tam naturalnie samym tematem wywołane i przynajmniej w części z tą charakterystyką, jaką poeta znalazł w swoich źródłach historycznych [2]).

---

[1]) Listy J. Słowackiego wydanie drugie. Lwów 1883 Tom II str. 249—250.

[2]) Jednem z tych źródeł były *Pamiętniki* Wybickiego. Tak np. rys popędliwości w marszałku Krasińskim wzięty jest stamtąd. »Krasiński — pisze Wybicki — uniesiony furyą wyrzuca Puławskiemu publicznie zdradę.... na co gdy odpowiadał Puławski, Krasiński, jak pomnę, rękę na niego podniósł w oczach moich«. (Pam. Wybickiego. Przemyśl 1888 str. 52). Że Słowacki znał te pamiętniki świad-

Ale ten dyalog z duchami, który poeta przeniósł dopiero na czas po napisaniu *Księdza Marka*, odbył się, jak przypuszczam, wcześniej, już z chwilą rozpoczęcia dramatu i wprowadzenia postaci marszałka Krasińskiego w roli, stanowiącej kontrast z rolą głównego bohatera. Że w poemacie wina opuszczenia Baru przez konfederatów spada na Krasińskiego, że mianowicie stary Puławski, pociągnięty przez Krasińskiego, opuszcza Bar i księdza Marka przed szturmem nieprzyjaciela, tego nie mógł znaleźć Słowacki w swoich źródłach historycznych, to było już jego własnym pomysłem, niezgodnym z historyą. W Wybickim znalazł tylko wiadomość, że marszałek Krasiński ani w czasie dobycia Baru, ani bezpośrednio przedtem nie był w Barze, tylko przebywał w jakiejś wiosce niedaleko tego miasta i że do niego na dzień przed katastrofą, wyniósł się z Baru z aktami konfederacyi ówczesny sekretarz jej generalny Kochanowski i jego pomocnik, sam Wybicki. To był zapewne punkt oparcia dla Słowackiego przy swobodnem traktowaniu historyi w poemacie i ta licencya poetyczna nie byłaby rzeczą dziwną, gdyby w grę nie wchodziła postać, o której Słowacki nie mógł nie wiedzieć, że była drogą Zygmuntowi Krasińskiemu, postać marszałka Konfederacyi barskiej. Więc już przeinaczając historyę w sposób, potrzebny dla swego głównego pomysłu, ale ujemny dla tej postaci, musiał Słowacki rozważać i rozstrzygnąć w sobie, czy ma, czy niema oglą-

---

czy o tem pewna strofa *Beniowskiego* (pieśń XII), gdzie poeta z przekąsem mówi o Wybickim i o jego »rozpaczy«,

Ze się nie uczył w szkołach botaniki,
Nie takiej, która mówi, co kwiat znaczy,
Ale tej, która każdy listek dziki
Zwie po łacinie.

Jest to alluzya do ubolewania Wybickiego, że go nie uczono historyi naturalnej, któraby mu pozwoliła inaczej patrzeć na naturę w przejeździe przez Karpaty.

dać się na przykrość, jaką tem może sprawić swemu dotychczasowemu przyjacielowi.

Przypuszczenie to staje się jeszcze bliższem prawdy, gdy zwrócimy uwagę na expozycyę dramatu, zawartą w rozmowie dwu konfederatów. Z tej rozmowy dowiadujemy się o kazaniu, które miał ksiądz Marek w Barze przeciw magnatom, i które w dziwny sposób ilustrował zapomocą różnych części kościotrupa. Dowiadujemy się także, że właściwą pobudką dla Krasińskiego i szlachty do opuszczenia Baru ma być owo kazanie:

A tymczasem obrażony
Pan marszałek, szlachta cała,
Tem ruszeniem z grobu ciała,
Tem urąganiem z magnatów,
Tą obelgą antenatów
Zamyśla porzucić sprawę.

Motyw ten okazuje się potem zupełnie zbytecznym, sam poeta zdaje się zapominać o nim, gdy ustami księdza Marka oskarża Krasińskiego o tchórzostwo, nie zaś o dumę obrażoną. Po cóż więc ten cały obraz kazania umieszczony na wstępie do poematu, skoro właściwą pobudką exodu szlachty z Baru jest coś innego, niż to, co on wskazuje? Żeby to zrozumieć, trzeba zestawić obraz kazania z pewnym obrazem *Przedświtu* i wogóle z tendencyą tego poematu, który się właśnie wtedy ukazał [1]). Ukazywał się on wprawdzie nie pod imieniem własnem Krasińskiego, wprawdzie autorstwo swoje Krasiński starał się otoczyć jak najgłębszą tajemnicą, ale Słowacki dostawszy do rąk, na wiosnę 1843, *Przedświt*, nie mógł nie odgadnąć odrazu, jeżeli już nie po stylu przedmowy, to po jej treści, kto jest autorem *Przedświtu*. W przedmowie

[1]) Na związek między kazaniem księdza Marka a *Przedświtem* zwrócił już był uwagę p. A. Mazanowski w rozprawie p. t Stosunki i wzajemne sądy Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Warszawa 1890, str. 114.

tej bowiem znajdował on te same myśli, które mu Krasiński niedawno przedtem w jednym z listów swoich wypisał.

O idei mesyanicznej *Przedświtu* i o jej pokrewieństwie z towianizmem już przedtem była mowa, tu chcę zwrócić uwagę tylko na to, że w tym poemacie Krasiński z dawnego stanowiska wobec przeszłości, które zajmował w *Nieboskiej Komedyi*, gdzie już w dewizie wskazywał »błędy nagromadzone przez przodków«, przechodził na nowe stanowisko, z którego to, co się przedtem wydawało winą, okazywało się teraz błogosławieństwem (Błogosławcie ojców winie!). I w tym względzie, podobnie jak w idei mesyanicznej, Krasiński szedł za Mickiewiczem, za jego Księgami Narodu polskiego i wykładami w *Collège de France*. Słowacki, także mesyanista i to wierzący przedewszystkiem w swoje nadzwyczajne powołanie, pomimo mesyanizmu inaczej się zapatrywał na przeszłość, nie rozgrzeszał zupełnie ojców z winy. Nie mówił już wprawdzie, jak niegdyś w *Grobie Agamemnona* o ich »płachtach ohydnych«, przyznawał im w *Beniowskim* »złote serce i złotą wiarę«, przypuszczał, że i »z tych starych łbów szablą naciętych — mogłaby jeszcze wykwitnąć myśl duża«, ale skarżył się, że oni

Nie pożegnawszy nas nawet i woli
Nie zostawiwszy względem starej broni
I względem swojej puścizny i roli
Odeszli... Ucho jeszcze nasze dzwoni
Brzękiem ich szabel, serce jeszcze boli.
Bolem ich serca, lecz pełna zamętu
Myśl, bo odeszli nas — bez testamentu.

(PIEŚŃ XIII).

Więc kiedy w *Przedświcie* znalazł apoteozę przeszłości i to arystokratycznie zabarwioną, kiedy na tle jakiegoś srebrzystego stepu, który mu przypomniał jego własne krajobrazy z *Anhellego*, ukazało mu się wstające z grobów w całej wspaniałości

Antenatów blade mnóstwo,
Dawne króle, radne pany
I rycerze i hetmany

i kiedy ustami hetmana, co »ani z soli, ani z roli, ale z tego, co go boli wyrósł«, ci zmartwychwstańcy rzucili mu przestrogę:

Ty nie szukaj w ojcach winy,
Ty nie wdawaj się w szyderstwo,
Bo to potwarz i oszczerstwo,

wtedy Słowacki, zabierający się do pisania *Księdza Marka*, uczuł gwałtowną chęć przeciwstawienia tej apoteozie senatorskich antenatów — obrazu ich potępienia. Tylko w ten sposób, sądzę, można zrozumieć, skąd się wzięło na początku poematu dramatycznego szerokie opowiadanie o kazaniu księdza Marka, nie wiążące się, jak to już wskazałem, z rozwojem dalszej akcyi [1]).

Tak więc z różnych względów sądząc, trzeba przypuścić, że już przy rozpoczęciu *Księdza Marka* Słowacki musiał mieć zwróconą uwagę w stronę przyjaciela i nie mógł nie widzieć »bolesnych strzał«, wypadających z jego ręki w tę stronę. Ale i to rzecz możliwa, że dopiero po napisaniu, po przejściu gorączki tworzenia, ujrzał całą donioslość pocisków. Zresztą człowiek tak ulegający złudzeniom i podmuchom chwili, tak powodujący się grą wyobraźni, mógł sam łatwo — w trzy lata po napisaniu utworu — uwierzyć w to, o czem zapewniał przyjaciela.

Zachodzi jeszcze pytanie, jak rozumieć krytykę Słowackiego na własny utwór, w liście, o którym była mowa, zawartą. Pytanie to da nam sposobność zwrócić uwagę na wartość artystyczną *Księdza Marka*, bardzo różnie ocenianą. Słowacki mówi o »nędzy zewnętrznej wykonania«,

[1]) Możnaby wprawdzie mniemać, że kazanie było potrzebne, iako obraz dawnej Polski w przeciwstawieniu do nowej »leżącej w żłobie«, gdyby jednak to było głowną pobudką dla poety, toby on zapewne owo kazanie w inny sposób połączył z tokiem akcyi.

o »wątłości budowy«, dziwi się sam swojej »wczorajszej głupocie«, ale jednocześnie chwilę tworzenia *Ks. Marka* nazywa »świętą“ i utwór przypisuje natchnieniu duchów. Znaczy to, że chylił głowę przed ideą utworu, ale z wcielenia tej idei w kształty artystyczne był niezadowolony. Może to niezadowolenie przesadzał trochę, chcąc w ten sposób dać pewne zadośćuczynienie przyjacielowi, ale zmyślać go zupełnie nie mógł.

Otóż z czego mianowicie był niezadowolony, tego nie wiemy, ale z czego mógł być niezadowolonym, to wskazać możemy. Na *Księdzu Marku*, oprócz gorączkowego wizyonerstwa, o czem później, zaciężyło to, co i na wielu innych jego utworach dramatycznych: naśladownictwo, zbyt wielkie poddanie się obcemu wzorowi. Jak dawniej Szekspir, tak teraz, jak wiemy, Calderon był mu wzorem. Przejął się nim więcej, niż dawniej Szekspirem, i pod względem bogactwa, kwiecistości stylu, śpiewności i rytmiczności wiersza dorównał, może nieraz przewyższył swojego nowego mistrza. Ale wartość dramatu nie od stylu i wiersza przedewszystkiem zależy, tylko od jego budowy i od materyału psychicznego, z którego jest zbudowany. Materyał miał Słowacki własny, oryginalny, potężnie odczuty, ale nie umiał mu dać budowy własnej, do tegoż materyału zastosowanej, tylko usiłował zbudować wieżę w rodzaju *El principe constante* i naturalnie nie potrafił, bo materyał odmówił mu posłuszeństwa. U Calderona tryumf ducha nad przemocą fizyczną w zakończeniu sztuki jest jawny, widoczny, namacalny, świeci wspaniałym blaskiem, bo na to pozwalała historya, bo Ceuta nie przeszła w ręce Maurów. Słowacki naśladując Calderona, chciał także w końcu pokazać zwycięstwo duchowe Marka, ale nie umiał, nie mógł, bo historya temu przeczyła, bo Ceuta polska za pierwszym szturmem wpadła w ręce nieprzyjaciół.

Ten brak widocznego, historycznego tryumfu Słowacki chciał zastąpić innego rodzaju tryumfem, opartym na tra-



Dość mu tylko przyzwać tę tanecznicę, zrodzoną w najostrzejszej malignie fantazyi, a »wszyscy zginiecie straceni«. Jednakże obrońca Baru nie czyni tego. Dlaczego?

Bo oto ludzi tysiące
W jednej chwili strach poczuli,
I mnie żebraka na kuli
Do krwi ubiczowanego,
Jeszcze w niezakrzepłej bliźnie,
Jeszcze we łzach po ojczyźnie,
Jeszcze od męki krwawego,
Jeszcze w śmiertelnej bieliźnie,
Jeszcze w gorączkowych żarach,
Jeszcze w smętku i na marach
Na rękach swoich wynieśli,
Abym jako piastun cieśli
Siadł na moim majestacie
Rozkazał odejść zatracie,
Zarazie czarnej ustąpić.

Te ludzi tysiące, to są zarazą owionięci żołnierze Kreczetnikowa i rzecz bardzo naturalna, że mając księdza Marka za cudotwórcę, do niego się zwracają z błaganiem o cudowny ratunek. Ale to rzecz bardzo dziwna i niczem nieusprawiedliwiona, że Ksiądz Marek tak się wzrusza niedolą tego tłumu, że dla niej zapomina zupełnie o swojem zadaniu obrońcy kraju, a jeszcze dziwniejsza, że przy swojem cudotwórstwie nie znajduje innego sposobu na zarazę, jak umrzeć i odnieść jej »siny sztandar« Bogu. Cała ta przedśmiertna oracya księdza Marka jest jedną wielką gmatwaniną poetycką, z której tu i ówdzie przebłyskują myśli z towianizmu płynące, ale rozjaśnić tego chaosu nie zdołają. Biedny poeta, postawiwszy wspaniały zrąb dramatu, chciał go zakończyć, jak Calderon *Księcia Niezłomnego,* śmiercią i apoteozą bohatera, a nie wiedząc, jak doprowadzić do tego końca, najdziwniej się plątał.

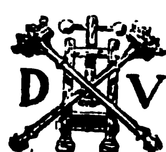
W parze z nieudolnością fantazyi w zakończeniu budowy idzie jej chorobliwość, wywołująca takie majaczenia gorączkowe, jak zacytowany obraz śmierci, tańczącej z trza-

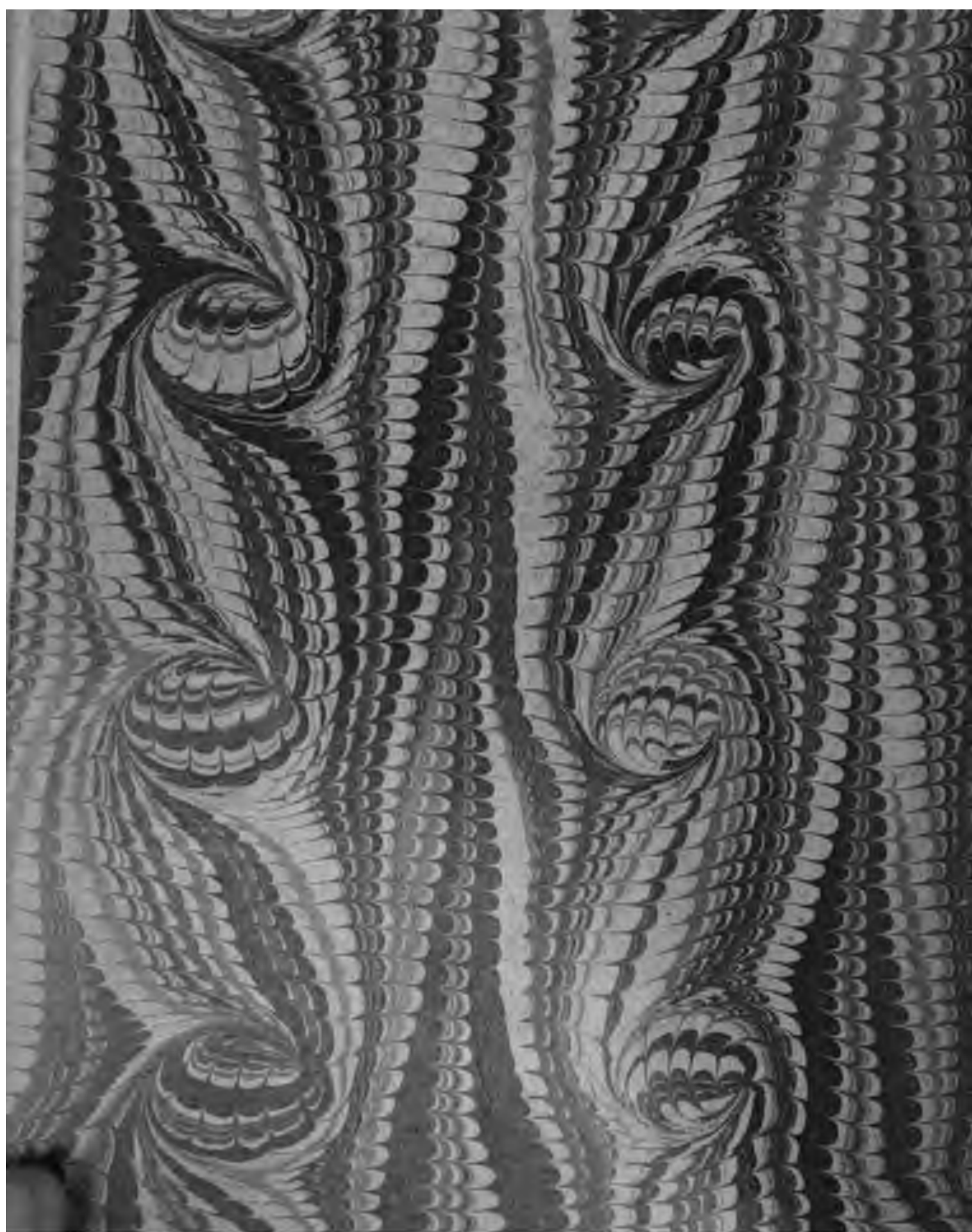
skiem goleni, albo takie ohydne okropności, jak obraz rozerwania sierżanta na sztuki. Ostatnie słowa Kazimierza Puławskiego, niedość stosownie zamykające poemat:

Ten lud, widzę, cały chory,
Wszędy, gdzie oczyma skinie,
Widzi ogień i upiory,

dają się doskonale zastosować do samego poety. A jednak są w *Księdzu Marku* ustępy tak potężne, akcenta tak silne i szczere, postacie, jak np. Judyty i Kossakowskiego, tak pełne głębi, że pomimo całej chorobliwości swych obrazów i całej ułomności budowy, dramat ten, właściwie zrąb tego dramatu przewyższa wszystkie inne utwory dramatyczne Słowackiego, jakie się w całości dochowały.

Uwaga: Na str. 7 wiersz 6 z góry zamiast »przy najbliższem« należy czytać: »przy najlżejszem«, na str. 476 wiersz 10 z dołu zamiast »o swoim końcu« — »o swoim koniu«.


D
V



Stanford University Libraries
3 6105 015 056 802

PG
7158
S62T7

DATE DUE

